

HORYZONTY

ZDARZEŃ

MARCIN SERGIUSZ

PRZYBYŁEK



GAMEDEC
OBRAZKI Z IMPERIUM

CZĘŚĆ 2



REBIS

HORYZONTY ZDARZEŃ



MARCIN SERGIUSZ
PRZYBYŁEK

GAMEDEC

OBRAZKI Z IMPERIUM

CZĘŚĆ 2



REBIS

Panorama 4

Sprawy rodzinne

Obraz 1

Miecz Pauli

Hiperprzestrzeń

Nemesis

Czas realium w chwili skoku:

08 Decimi 232 EI, 19.48 H

Lecieliśmy w trójcy jedyni do swojej kabiny, gdy zatrzymał nas jeden z Laurusów.

– Torkil?

Nie wiem, dlaczego spojrzał na mnie Dexa, nie Meda czy Sina. Skinąłem do nich, żeby lecieli dalej. Dołączę za chwilę.

– Hm?

– Jak się czujesz? – Zerknął na mnie i zacisnął usta.

– Ale... o co chodzi?

– Miałeś kontakt z gamedekiem?

– Powiedział, że przygotowałeś coś dziwnego.

Pokiwał głową, jak gdyby się upewnił o czymś istotnym. Wciąż miał

zaciśnięte usta, zupełnie jakby chciał się przyznać, że w sumie zrobił coś głupiego, że może nie jest na to najlepszy czas, że nie przewidział, że przyjdzie nam się bić z Ojcami, znaczy tymi Warucościami...

Zerknął na moje talizmany. Podniósł dłoń, jak gdyby chciał mnie klepnąć w ramię, ale cofnął ją. Poczulem bijącą od niego prośbę o wybaczenie: „Przepraszam ode mnie tamtego Torkila, że w takiej chwili władowałem go w tę sprawę, ale mimo wszystko to chyba ważne”.

– Dobra – sapnął. – Później pogadamy. – Odwrócił się.

– Laurenty – szepnąłem – nic mu się nie stanie?

RanaR odwrócił do mnie głowę i uśmiechnął się po swojemu.

– Jemu? Nie. Nam, mój drogi, nam.

Tak jak Colter obiecał, w kabinie były wmontowane hiperbosity: trzy puste, na ranowe powłoki, jeden z zapasowym ciałem Aristosa i jeden z organizmem cywilnym. Spojrzałem na dwóch wiszących jakby nigdy nic i rozmawiających ze sobą Torkili.

– No co? – zapytał ten po lewej. – Coś trzeba robić. Jaśniepan z RanaRem się podniecał, a my tutaj robimy swoje.

– Zazdrośni?

Roześmieli się. Przesłałem im paki.

– Ciekawe – zainteresował się Med.

– No – potwierdził Sin.

– Co on tam zaimplementował?

– Mam wrażenie, że to problem gamedeca, nie nasz – skwitowałem.

– Właśnie. – Środkowy skinął głową. – Szkoda, że cię nie było na obwodzie Galaktyki. Były widoki.

– Dostałem paki.

– Nie ma za co.

– *Słuchajcie* – usłyszeliśmy men od Laurusa. Był lodowato rzeczowy. Niedobrze. – *Należy założyć, że po dotarciu do celu nie będą działały nasze hipoki.*

Jasna cholera. Rzeczywiście.

– *Żadnych Skymourów, żadnych innych zbroi poza Coremourami, zero amunicji z hiperprzestrzeni.*

Rany boskie.

– *Nie mówię, że tak będzie, ale na to trzeba się przygotować. Już przed naszym odlotem w Macierzy przestały działać. Mam nadzieję, że będą sprawne hiperbosy, bo działają na trochę innej zasadzie...*

– *Co nam zostaje?* – spytał Nexus.

– *Walka wręcz...*

– *Żartujesz?*

– *Farin udowodnił, że to nie najgorszy sposób na zlikwidowanie tych drani... Siewcy, Eynet, Tarot, duchy.*

– *Wcale nie mało* – skwitował Mario. – *Latać będzie można?*

Na Nemezis rozległ się śmiech.

Arealium

Talizman topazowy Torkila Aymore'a

Czas realium:

08 Decimi 232 EI, 19.48 H

Gdy wszedłem w menu talizmanu, uświadomiłem sobie, że skoro Laurus skonstruował lub nakazał stworzenie kamienia specjalnie dla mnie, to ma jakąś sprawę. Od razu mi się to nie spodobało. Menu było ciasne i prawie

puste: prostokątne pomieszczenie z półprzeziernymi ścianami z matowego szkła. Jedynym obiektem w pokoju była pomniejszona, wisząca w powietrzu twarz Laurusa. Zanim jej dotknąłem, zamieniłem kilka słów z organicznym Torkilem. Dodało mi to otuchy. To wnętrze naprawdę było nieprzyjemne. Laurus nigdy nie miał zmysłu estetycznego.

Dotknąłem miniatury facjaty RanaRa. Ożyła i powiększyła się, wypełniając prawie cały pokój.

– Witaj, przyjacielu – odezwał się. – To jest nagranie, więc nie musisz się wysilać i ze mną rozmawiać. Zresztą nie bardzo miałbym ochotę cię słuchać. Jest robota do zrobienia. Coś, co mnie gnębi już od wielu, wielu cykli. – Zamilkł i przełknął ślinę.

Jeśli Wilehad przełyka ślinę, to znaczy, że ma bardzo twarde orzech do zgryzienia.

– Pamiętasz, powiedziałem ci kiedyś, gdy nie należałeś jeszcze do Maodionu, że mamy ze sobą wiele wspólnego. Być może wracałeś do tego wspomnienia. Ja rzadko to robię, bo wkurwia mnie wgrywanie wydarzeń z Młodego Imperium i czasów wcześniejszych. A wkurwia mnie, bo mam wrażenie, że nigdy nie byłem tak mądry jak teraz. Rozumiesz, Laurus z przeszłości wydaje mi się straszonym gówniarzem... – Podrapał się w brodę i westchnął. – Nieważne. Tak czy owak, jeśli pamiętasz to stwierdzenie, powinienesz wiedzieć, że miałem na myśli kilka rzeczy. No, co najmniej dwie. Po pierwsze, mieliśmy ze sobą wiele wspólnego, bo ty byłeś Primusem, a ja, że tak powiem, Secundusem. Staliśmy się pierwszymi Ranami na świecie.

No pięknie. Dotąd mówiono tylko o mnie – byłem zwyczajnie pierwszy. Primus. Teraz Wilehad stworzył miano Secundusa. W ten sposób to już nie ja zapoczątkowałem linię Aristoi, ale *my, razem*. I on się uważa za mądrego. Sprytny, owszem, jest, ale żeby mądry...

– Ale miałem też na myśli coś zupełnie innego. Coś, co wciąż uciekało

z pola uwagi...

Pole uwagi. To pojęcie zapożyczył ode mnie. Laurus był mistrzem pożyczania nie tylko chwytliwych terminów, ale i całych przemyśleń. Potem sprzedawał je innym Ranom, zwłaszcza nieopierzonym Maodom, jako własne. I wszyscy klękali przed jego światłością, a on oczywiście nie wspominał, od kogo te mądrości przejął.

– ...a jestem pewien, że umykało także tobie. – Zbliżył twarz do oka kamery. – Przyjacielu. – Ściszył głos. – Naszymi partnerkami są bliźniaczki. Kaja i Pauline. Ty nazwałeś swojego pierwszego syna Kyle. Pewnie nieświadomie. To niesamowite.

Wzięłem wdech. To rzeczywiście było niesamowite. Pauline pewnie miała w tym jakiś cel, a ja zupełnie się nie zastanawiałem... Tak, to ona wybrała to imię!

– Jestem przekonany – ciągnął – że najczęściej w ogóle nie pamiętasz, że Reormater twojego byłego Klanu ma siostrę. Niezwykłe, jak one to robią. Niezwykłe. Zauważ, nigdy się nie spotykamy rodzinnie, one się nie widują. Przez dwieście cykli! Nienormalne, nie sądzisz? Z pewnością od czasu do czasu się zastanawiałeś, dlaczego tak się nie lubią, ale potem i tak o tym zapomniałeś, a Pauline ci w tym pomagała. Jak można nie lubić siebie samego czy siebie samej? My nieustannie mamy do czynienia ze swoimi bliźniakami i nie przyjdzie nam do głowy, żeby ich nie lubić, prawda? Animoszja między trzema Laurusami jest niemożliwa i założę się, że ty nigdy się nie pokłóciłeś z Torkilami. To się nie zdarza. Sprawdzałem w Maodionach. Po prostu nie ma takich rzeczy. Dzieją się inne, ciekawe, ale nie złość. Myślę o tym od bardzo dawna, a że jesteś bezrobotnym trutniem, postanowiłem, że jeśli tu kiedyś wstąpisz, zastawię na ciebie małą pułapkę. Ten talizman jest robotą dla gamedeca. Od tej chwili jesteś w nim uwięziony. Nie wyjdiesz bez pomocy z zewnątrz, a nikomu nie przyjdzie do głowy ci

pomóc, bo klejnot jest ode mnie – zarechotał. – Za drzwiami, które znajdują się za mną – w tym momencie rzeczywiście pojawiły się tam drzwi – są kopia psychiki Kai i wspomnienia zgrane z jej frina. Gdyby się dowiedziała, że to zrobiłem, urwałaby mi jaja. Strzeże swojej pamięci jak oka w głowie, nie daje sobie robić skanów i to jest dla mnie od wielu cykli podejrzane. – Zacisnęła usta. – Chcę, żebyś się dowiedział, o co im chodzi i jak je pogodzić. Nie zamierzam dłużej się droczyć z tymi choleraami. To chore, Torkil. Jestem pantoflarzem, bo mnie dziadkowie wychowali, a ojciec był kryminalistą. Dla mnie rodzina to świętość i zrobię dla Kai wszystko. Pauline z kolei, jak słyszę, krew ma gorącą i wciąż się zachowuje, jakbyście mieli Klan. I też trzyma cię pod obcasem. Więc jej słuchasz i się po prostu rodzinnie nie spotykamy. Trzeba wreszcie zrobić z tym porządek. Nie mówię, że mamy je zmusić do miłości, bo jak się nienawidzą, to ich sprawa, ale przynajmniej powinniśmy wiedzieć dlaczego. I gównie mnie obchodzi, że to niby niemoralne zaglądać do wspomnień Kai. – Spojrzał na mnie twardo. – Nie wyjdiesz z talizmanu, dopóki sprawy nie rozwiążesz... Ja do jej głowy wejść nie mogę. Ona by mi tego nie wybaczyła. Tobie wybaczy, bo baby mają do ciebie słabość. – Odetchnął głębiej i zapatrzył się w okno. – Program sam wychwyci moment, gdy stwierdzisz, że rozwiązałeś zagadkę. Będziesz mógł wtedy wyjść przez kolejne drzwi, w tym drugim pomieszczeniu. Tam przygotowałem dla ciebie pewną... niespodziankę. Specjalnie na moją prośbę Andrea Savian stworzył piękny, potężnie rozwinięty świat. I nie mów mi, że nie potrzebujesz wsparcia Weenów, bo mi się niedobrze robi od twoich pacyfistycznych bredni. – Zatrzymał się i znowu wziął głęboki wdech. – Nieźle się rozgadałem jak na człowieka proszącego o przysługę, co? Dobra, jak mawiała moja babcia, nie będziemy się pierdolić w tańcu. Strzałka.

Zniknął.

Przez kilka chwil trwałem oniemiały. Nie mogłem uwierzyć, że Laurus

wyciął mi taki numer. Nie mogłem w to uwierzyć! Imperium się wali, ludzkość jest na krawędzi, a ja mam rozgryzać problemy emocjonalne popieprzonych bliźniaczek? I to przymuszony przez pantoflarza, który nie ma odwagi sam tego zrobić? Od dwustu cykli?! To, do diabła, problem Torkila z realium i RanaRa, nie mój! Pauline od dawna nie jest moją realną kobietą! Owszem, otrzymuję paki od realnego Torkila, nadal czuję, jakbym ją znał, jakbyśmy byli razem, ale to szczyt tchórzostwa zlecać problem komuś z zewnątrz tylko dlatego, że nie może oberwać po pysku!

Czekaj, Tomo, dorwę ci się do dupy.

– Laurus, ty chamie! – warknąłem na głos, kręcąc głową.

Chrząknąłem i potrząsnąłem ramionami.

Wdech, wydech, wdech, wydech.

Zacisnąłem i rozluźniłem dłonie, które nagle stały się zimne.

– Świetny timing, naprawdę, przyjacielu.

Zupełnie jak nie u Rana. Ran wie, kiedy z kim się skontaktować, kiedy milczeć, kiedy gadać, nigdy nie zasensuje, gdy wykonujesz trudny manewr pneumobilem czy gdy jesteś bardzo skupiony. Aristos zupełnie nieświadomie skontaktuje się z tobą w odpowiednim czasie. Na tym polega żegluga po fali.

Tutaj ta zdolność jakby zupełnie RanaRa opuściła.

Głęboko oddychałem cyfrowym powietrzem, starając się rozgrzać ręce, i powoli docierało do mnie, że istotnie zostałem uwięziony. Byłem sam i jeśli chciałem stanąć o swoim życiu, musiałem niestety rozwiązać zagadkę naszych pań.

Do diabła!

Fala gniewu wróciła. Laurus, wyrwę ci nogi z dupy, jak wyjdę z tego talizmanu. A nie. Nie wyrwę, bo jestem skazany na życie w wisiorkach. Cudownie. Dobrze, że na co dzień o tym nie pamiętam, bo to marna konstatacja. Naprawdę bym się ucieszył, gdyby się okazało, że tak zwane

realium to także gra. Myślę, że upiłbym się z uciechy, myśląc o tych wszystkich biedakach z prawdziwej rzeczywistości, którzy także piją, ale z rozpaczy, nie z radości!

Zerknąłem w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą wisiała gęba Laurusa. Już się nie pojawi. Nie powiem mu, co o tym sędzę. Zresztą to i tak nie miałyby sensu.

Podszedłem do drzwi, poczekałem, aż się odsuną, i wkroczyłem do ciemnego pomieszczenia. Zero ozdób, zero ornamentów, zero finezji. Na przedłużeniu mojego wzroku pojawił się mentalny kursor, także skrajnie prosty. Ściana naprzeciwko stała się przezroczysta. Dryfowały za nią barwne bryły, jedne kanciaste, inne obłe. Ilekroć skupiłem na którejś wzrok, wyskakiwała etykieta ze słowami kluczami.

To były graficzne przedstawienia wspomnień Kai. Te najbliższe były najczęściej używane, znajdujące się najdalej używane były najrzadziej, widoczne na dole związane były z negatywnymi emocjami, na górze – z pozytywnymi, lewitujące po prawej bardziej tyczyły spraw materialnych, po lewej – emocjonalnych. Typowy widok frinowej selekcji pamięci. Byleby nie natrafić na wspomnienia erotyczne, bo nie chciałbym poczuć w sobie przyrodzenia RanaRa...

Uruchomiłem mentalnie wejście do obszaru wspomnień i...

...znalazłem się w przestrzeni za ścianą. Wisiałem pośród barwnych obiektów. Rozejrzałem się i przeczytałem najbliższe etykiety. Wśród słów kluczy gdzieś znajdował się „Laurus”. Sporo było „Pasji”, „Zabawy”, „Bliskich”, „Sportu” tudzież „Jedzenia”. „Matki”, „Ojca” czy „Pauline” ani widu, ani słyhu, a byłem pewien, że przyczyna konfliktu tkwi w dzieciństwie. Skąd ta pewność? Psychologiczna wiedza gamedeca. Intuicja. Dawno, czyli daleko stąd, najprawdopodobniej nisko, po lewej stronie. Wspomnienia nie będą obszerne, więc obiekty powinny być

mniejsze, wielokątne, zabarwione najprawdopodobniej na czerwono i czarno z racji agresji i żalu. Nie będą też miały wyraźnych krawędzi z uwagi na słabe ślady pamięciowe. To, co widzimy i słyszymy w dzisiejszych czasach, jest nieustannie notowane przez friny. Jeśli chodzi o pamięć czasów sprzed Imperium, to zaledwie wspomnienia wspomnień, podrasowane, podkolorowane, częściowo zniekształcone. Nie ma rady. Wtedy nie było frinów.

Ruszyłem w dół i w lewo. Meteoryty – okruchy pamięciowe – zaczęły sunąć w przeciwnym kierunku. Centrum, czyli miejsce, gdzie znajdowały się najczęściej używane wspomnienia, zaczęło świecić na żółto i upodobniło się do czegoś w rodzaju wielosferycznego planetarium. Było latarnią morską, która pomaga zorientować się w kierunkach. Cała przestrzeń została podzielona na główne sektory za pomocą ledwie widocznych przezroczystych ścian. Leciałem dalej. Mijałem tysiące wspomnień. „Dzieci”, „Wojna”, dalej „Praca”.

„Mobillenum”.

Zbliżamy się. Kaja, podobnie jak Laurus, pracowała w tym cudownym miejscu. Ale animozja z siostrą bliźniaczką raczej nie miała źródła w pracy. To musiało być dzieciństwo.

Dalej. Mnóstwo tej „Pracy”. Sporo „Laurusa”, „Miłości”, „Erotyki”. Fuj.

Dalej. Meteoryty uciekają w tył. Zielone, cieliste, brązowe, o przenikających się łagodnych barwach. Dobre wspomnienia.

„Studia”, „Szkola”, „Rozstanie, Francis”. „Francis”? Tak miał na imię poprzedni partner Kai?

Dalej.

„Szkola”. To kiedyś była poważna trauma dla dzieci i rzeczywiście, sporo jest wspomnień czerwonych i kanciastych.

„Pauline”, wspomnienie jest zielono-niebieskie, pozytywne.

Szukam traum.

Dalej.

Wreszcie czerwone „Pauliny”, a potem...

Czerwono-czarne obiekty oznaczone słowami „Pauline, ojciec”. Świetnie, ale nie zaczynamy od końca. Trzeba znaleźć początek. Przyczynę.

Czerwieni jest bardzo dużo. Nie wytrzymuję, ciekawość jest zbyt silna. Zbliżam się do niewyraźnego karmazynowego wielokąta oznaczonego „Matka, ojciec, konflikt”. Uruchamiam wspomnienie.

Jestem w pomieszczeniu oświetlonym tylko jedną lampą punktową. Jest wieczór. Czuję zapach alkoholu. Przy stole siedzą ojciec Kai, Igor, matka Natasha i chyba Pauline. Tak, to ona, jaka śliczna dziewczynka! Wielkie brązowe oczy są szeroko otwarte. Pełne usta rozchylone. Jest przerażona. Matka ma zaczerwienione oczy i nos.

Igor mówi pijackim głosem:

– Ty szmato! Zmarnowałaś mi życie! Mogłem być kimś! Mogłem malować! – Uderza owłosioną pięścią w stół.

Natasha wyciąga drżącą rękę, ale niezbyt daleko, jakby się bała, że mąż może ją uderzyć.

– Igor, uspokój się! Maluj, przecież możesz nadal malować!

– Co ty pierdolisz, szmato?! Nie mogę, przez ciebie nie mogę i przez te dwie! Bodajbym się nigdy nie urodził...

– Igor...

– Nie! Bodaj te dwie dziwki się nigdy nie urodziły!

Notuję skok emocjonalny u Kai, ale to raczej naturalne. Koniec wspomnienia. Miły tatuś, nie ma co. Przypominam sobie kłótnie ojca z matką. Nigdy nie były aż tak brutalne. Ojciec nie pił.

Hiperprzestrzeń

Nemesis

Czas realium w chwili skoku:

08 Decimi 232 EI, 19.48 H

Torkil Aymore Dex

Wyfrunąłem z kajuty, skierowałem się w lewo i poszybowałem korytarzem *Nemesis*, nie wiedząc, dokąd zmierzam. Środkowy i Lewy mieli dosyć wrażeń, a ja potrzebowałem ruchu. Nie miałem ochoty na sen, medytację, nie chciałem gadać ze sobą. Było bardzo prawdopodobne, że nie będziemy działać w jednej zbroi, więc nie musieliśmy się zestrajać. I tak włączymy inteligencję roju, a potem przygotujemy się... na zaskoczenie. Bo nie mamy pojęcia, co nas czeka.

Taka jest filozofia Tomo. Nie nastawiaj się, nie usztywniaj, płyn po fali. Adaptuj się, improwizuj, szalej. Jesteś Synem Chaosu.

Sunąłem srebrnym korytarzem z rzadka rozświetlanym podłużnymi, dyskretnymi kinkietami i po chwili zdałem sobie sprawę, że zbliżam się do kabiny Tanyi. Zwolniłem. Wsłuchałem się w ciszę i... dotarł do mnie szum silników statku. Dziwne. Przeważnie ich nie słyhać. *Nemesis* musiał mieć rzeczywiście egzotyczny napęd...

Spojrzałem na drzwi kabiny Pauli. Może Charonka zebrała więcej informacji? Może wyjaśni, dlaczego przestaje działać... niemal wszystko? To dlatego się tutaj udałem? Nie byłem wcale tego pewien, mimo to postanowiłem sprawdzić.

Drzwi odsunęły się. Wisiała w nich Tanya „Paula” Kitaro, wciąż w kusym czerwonym pancerzu typu Czempion otoczonym karmazynowymi animacjami, wciąż z białymi włosami okolonymi dyskretną poświatą i wciąż z zagadkowym spojrzeniem wielkich chabrowych oczu.

– Błogosławiony?

Chrząknąłem.

– Nie mów tak do mnie. Jestem Torkil.

– Tak. – Spuściła oczy i po chwili je podniosła.

Wisieliliśmy przed sobą ładnych kilka cetni. Z pewnością nie mniej niż ja była zaskoczona tą wizytą.

– Aaa... Wejdiesz? – spytała w końcu.

Uśmiechnąłem się.

– Wlecę.

Roześmiała się. Miała bardzo ładne i oczywiście świecące zęby. Na szczęście nie animowane. W to bawiły się tylko dzieci.

– Ja też nie wiem, jak nazywać to nasze poruszanie się – rzuciła. – „Wlecę” zamiast „wejdę”, „wiszę” zamiast „stoję”, „podfrunę” zamiast „podejdę”. Czasami mówię „sunę”, „dryfuję”, „płynę”...

– Nie powstały jeszcze nowe określenia – przyznałem. – „Lewituję”... tylko jak odróżnić lewitowanie w pozycji stojącej od lewitowania w siedzącej czy horyzontalnej?

– No właśnie. – Znowu się roześmiała. – Bez latania jest „stoję”, „siedzę” i „leżę”, a teraz? „Lestoję”, „lesiedzę”, „leleżę”?

O czym my gadamy? Świat się kończy, lecimy dziwnym okrętem w nieznane, przychodzę bez uprzedzenia do w zasadzie nieznajomej i zaczynam rozmowę o niezgrabności imperialnego?

– Pojedyncza? – Rozejrzałem się za jej kopią. Nie dostrzegłem jej, zauważyłem natomiast, że meble są dziwnie rozstawione. Wszystkie stały bądź wisiąły blisko ścian.

Wskazała hiperbos lewitujący po lewej stronie.

– Nie dałam rady jako Sini i Dexi. Za duże obciążenie.

– Rozumiem.

Znowu spojrzałem jej w oczy. Nie wiem dlaczego, ale miałem wrażenie, że wisimy naprzeciwko siebie jak para nastolatków. Obraz zakłócała różnica wzrostu. Tanya sięgała mi niewiele powyżej pasa. Była jak dziecko. Albo to ja byłem gigantem. Podfrunęła wyżej i nasze głowy znalazły się na tej samej wysokości. Jak nie-Ranowie mogą się przyzwyczaić do obcowania z nami?

– Napijesz się herbaty? – spytała.

– Nie, dziękuję. – Zacisnąłem usta. – Tym razem nie. Może za jakiś czas, po wszystkim.

– Dobrze.

W tym momencie uświadomiłem sobie, że czuję dziwny zapach. Nie perfum, nie mechanizmów, inny, jakby paliło się... powietrze. Popatrzyłem na nią pytająco.

– Jest coraz gorzej – powiedziała. W jej oczach znowu pojawił się strach. – Już nie medytuję. Boję się. Dominium Libri Mundi krzyczy. Jak tłum, niewyobrażalny tłum wściekłych demonów. A demony krzyczą inaczej niż ludzie. Ich wrzask rozdziera duszę. – Pochyliła głowę i chrząknęła, jakby usiłowała pozbyć się wspomnienia. – Teraz nie muszę się koncentrować, żeby to słyszeć. Muszę ćwiczyć, żeby to zagłuszyć. Zagłuszyć te głosy...

– Ćwiczyć?

Uniosła brew. Jej twarz złagodniała.

– Nie czujesz tego zapachu?

– Właśnie chciałem zapytać...

– Neutralizatory nie radzą sobie z nim tak szybko, jak bym chciała.

Wyciągnęła rękę w bok. Podleciał do niej podłużny metalowy przedmiot, coś w rodzaju krótkiej srebrnej pałki zakończonej niewielkim talerzykiem.

Kitaro wydała polecenie, a z rękojeści wytrysnął czerwony promień długi na sto dwadzieścia centymetrów i szeroki na trzy. Jarzył się, skwierczał i... palił powietrze.

Odsunąłem się. Frin stwierdził, że obiekt wytwarza nadzwyczaj wysoką temperaturę. To była... plazma.

– Co to? – spytałem.

Roześmiała się i machnęła kilka razy. Przecinając powietrze, ostrze warczało i syczało.

– Miecz świetlny.

– Jaki?

– Świetlny.

– Dziwaczne urządzenie. No i to nie jest światło.

– Ale świeci. Zaprojektowałam, przesłałam do Worplanu i dostałam. Efekt młodzińskich fascynacji. Lektury science fiction. Tylko, rozumiesz, kiedyś taki miecz był wyłącznie obiektem fantastycznym, a teraz można go wyprodukować.

– Piekielnie niebezpieczny. I nieporęczny.

– Zgadza się. Dlatego mój Czempion na czas treningu osłania mnie całą. Już nieraz się pocięłam.

– Zniszczyłaś też na pewno sporo mebli.

Roześmiała się.

– Tak. Ale się zreperowały.

– Takie mamy czasy.

– Chcesz zobaczyć?

Uniosłem brwi.

– Twój trening?

Obnażyła zęby w drapieżnym uśmiechu.

– Tak.

Dałem znak, że chcę, i odleciałem do odległego kąta. Teraz rozumiałem, dlaczego wszystkie meble były ustawione pod ścianami. Kitaro chwyciła rękojeść w obie ręce. W tym momencie w pomieszczeniu pojawił się drugi

miecz, tym razem błękitny. Przez chwilę tkwił nieruchomo w powietrzu, aż ze skrzyni, którą do tej pory uważałem za sarkofag, wyskoczył srebrzysty bot, chwycił go, wzniósł się w powietrze i wykonał zgrabny szermierczy salut.

Wojowniczką skuliła się i wydała dyspozycję osłonięcia twarzy hełmem. Pancierz zasłonił także jej dekolt i brzuch.

Przez chwilę krążyli w milczeniu, a klingi warczały i syczały, wypełniając kajutę coraz bardziej intensywnym zapachem palonych gazów. Bot zaatakował cięciem znad głowy. Paula zasłoniła się. Ostrza błysnęły, a dziewczyna wykonała poziome cięcie. Dron zrobił prostą zastawę i odpowiedział tym samym. Tanya uderzyła zgrabnie w łydki przeciwnika. Ten zasłonił je, wykonując szeroki łuk, i ciął od dołu, ale Kitaro była już nad nim i wbiła ostrze prosto w jego głowę. Błękitny miecz zgasł, droid opadł na podłogę, po czym – jak zepsuta zabawka – wpelzł do katafalku. Rękojeść miecza poleciała za nim.

Kitaro wyłączyła broń. Miałem wrażenie, że powietrze, w którym przed chwilą się paliło, wciąż oddaje kształt miecza. Dziewczyna odsłoniła przyłbicę, a potem dekolt i brzuch. Głęboko oddychała.

– No. Nie zacięłam się i nie dałam się drasnąć. Coraz lepiej – wydyszała, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami. Była zarumieniona i szczęśliwa.

Co za dziwna chwila.

– Brawo, Paula. Bardzo to widowiskowe.

Naprawdę byłem pod wrażeniem. Pojedynek był krótki, czysty, bez słabych chwil.

– Tak. Ja wiem, że ta broń jest pretensjonalna, ale jest w niej jakieś piękno.

– Prostota – dodałem.

– Elegancja.

– Niezaprzeczalna. – Uśmiechnąłem się.

– Chcesz spróbować? – Wyciągnęła rękę w moją stronę.

– Nie dzisiaj. W obecnym stanie ducha mógłbym coś uszkodzić.

Przekrzywiła głowę jak zaciekawiony psiak.

– Martwisz się?

Spojrzałem na nią, jakbym usłyszał anegdotę w tym samym stopniu śmieszną co przerażającą.

– Żartujesz?

– Język człowieka jest ograniczony. Ja też się niepokoję. Bardzo. Ale co możemy zrobić? Rozliczyć się z życiem? Pożegnać z bliskimi? Łączność nie działa. Mamy tylko siebie. Tu, na tym statku.

Przełknąłem ślinę.

A ona nagle przyłgnęła do mnie.

To było jak krzyk rozpacz.

Nie namiętności, nie pożądania, ale lęku.

Bo oto tuliło się do siebie dwoje ludzi na progu ragnaröku.

I w tym dotyku, w tej bliskości, pośród wichru lęku zaczęło się pojawiać pocieszenie.

Dlaczego ludzie się do siebie przytulają? Co im to daje? Już kiedyś coś takiego przeżyłem, z Lilith Ernal. Byłem dla niej tabletką.

Teraz ja leczyłem z lęku Kitaro, a ona leczyła mnie. Nie byliśmy dla siebie mężczyzną i kobietą, lecz dwojgiem ludzi, którzy trzymali się strasznie mocno, bo na zewnątrz szalała zamieć, były śmierć i przerażenie, a tutaj, między nami, było ciepło i bezpieczeństwo. Tylko jak długo będziemy w stanie je utrzymać? Jak długo w miejscu zetknięcia naszych pancerzy istnieć będzie azyl?

Trwaj, chwilo! Niech odejdą demony, niech odejdą Ojcowie, niech wszystko wróci do początku, do beztroskiego Imperium, gdzie są tylko radosne chwile.

Dlaczego nie można do tego wrócić?!

Dlaczego nie można cofnąć rzeczywistości jak odtwarzanego holofilmu?

Trzymaj mnie, Paula, a ja będę trzymał ciebie.

Chociaż tyle możemy sobie dać.

Chociaż tyle.

Nie wiem, jak długo tak wisieliśmy, ale wiem, że wcale nie miałem ochoty rozluźniać uścisku.

Jednak chwila po chwili, mikroruch po mikroruchu zaczęliśmy się od siebie odsuwać.

I było to tak przykre, że chciało mi się wyc.

Bo tam, gdzie czułem przez Coremour ciepło, pojawiło się zimno.

Tam, gdzie czułem dotyk, pojawiła się pustka.

Tam, gdzie był jej gorący oddech, teraz było chłodne powietrze.

I już się nie dotykaliśmy.

Zacisnąłem usta, a potem rozchyliłem je, jakbym chciał coś powiedzieć, ale w jej oczach zobaczyłem prostą prawdę: nic się nie da teraz powiedzieć. Bo są w życiu chwile, że żadne słowo, żadna nazwa, żadna fraza, nawet najbardziej poetycka, nie opisze tego, co się dzieje.

Obraz 2

Pałac króla

Arealium

Talizman topazowy Torkila Aymore'a

Czas realium:

08 Decimi 232 EI, 19.48 H

Rozglądam się. Cholera, dużo tych czerwonych wspomnień. Ulegam pokusie i otwieram kolejne, trochę wcześniejsze. Także „Pauline, ojciec, konflikt”.

Igor leży na szezlongu w brudnej koszulce na ramiączkach. Ogląda coś na trójwymiarowym ekranie. Ktoś jest w kuchni. Z pewnością matka. Cichy szloch. Stuk naczyń. Zapach dopiero co zjedzonego posiłku. I alkoholu. Pot tego człowieka. Igor spogląda przekrwionymi oczyma na Kaję i stojącą obok niej Pauline. Obie drżą.

– I co się tak gapicie?! No?! Co, kurwy?! Nie widziałyście pijaka?

Pauline cofa się o krok. Kaja dzielnie stoi. Ojciec mlaszcze, patrząc na córki.

– Wypierdalać mi, kurwa!

Dziewczęta odwracają się i ruszają do swojego pokoju.

– Ty, Pauline!

Kaja zatrzymuje się. Pauline odwraca się powoli, jakby ktoś usztywnił jej stawy. Znam ten strach. Znam strach dziecka, które nie widzi drogi ucieczki.

– Polka, umyj dobrze dupę, bo nie lubię, jak masz brudną! Już, kurwa!

Kolana Pauline lekko się uginają, dziewczyna zaciska usta i pięści. Na RanStone ciężki jak grób! Gdybym tylko mógł, to urwałbym mu kutasa z prostatą i w ryj wsadził. Zabiłbym zbrojeńca gołymi rękami. Pauline, moja biedna Pauline!

Skurwysyn patrzy na Kaję i kiwa tłustym łbem.

– Ty, Kaja, bądź spokojna. Jedna córka musi być czysta. Druga będzie do innej roboty. Tobie nic się nie stanie, pójdiesz w doktory albo na jakąś bizneslumen. A Polka jest na zmarnowanie, bo mi się klon trafił! No, Polka, myj dupę!

Wychodzę ze wspomnienia. Okropne. Laurus, w co ty mnie, chłopie, wpakowałaś?! I ta jego „strzałka” na koniec przekazu, jakby prosił o drobnostkę.

Wdech, wydech, wdech, wydech.

Nie rozczulaj się nad sobą. To one mają problem, nie ty, to one są pokrzywdzone, nie ty. Uspokój się.

Oddycham głęboko kilka razy i rozglądam się. Sięgam po najbliższe wspomnienie. Jest intensywnie czerwone, a czerń na nim aż świeci. To nie będzie miłe doświadczenie. Także „Konflikt, ojciec, Pauline”.

Przyćmione światło. Widzę poduszkę i zaciśnięte pięści Kai. Czuję ból, jej ból. Pościel jest mokra od łez. Głos tego chama tuż przy uchu. Smród przetrawionego alkoholu.

– O, tak, o, tak. Polka, masz dupę jak jedwab.

Polka? Nie Kaja? Przecież to wspomnienia Kai! Pomylił je?

– Rewelacja, rewelacja! Dupę masz jak marzenie. Ja pierdolę, rewelacja.

Jaka gładka ta twoja dupa! Głębiej, głębieeeeej. Nie no, kurwa, matka przy tobie to stary kombinat!

Tłumię nudności. Siłą woli powstrzymuję się przed wyjściem ze wspomnienia.

– Tylko mnie nie obsraj, kurwa, jak ostatnim razem. Ja pierdolę, zaraz się spuszczę, ja pierrrdolę! Jak chcesz puścić bąka, poczekaj, kurwa, leć do kibla i tam se puść. Rewelacja, reeeeewelacja, oż kurrrrrwaaaa!!!

Pozostaję na wdechu, chociaż wspomnienie się kończy i znowu rotuje przede mną jako czarno-czerwona bryła.

Nie mogę zaczerpnąć tchu, boję się, że wciągnę do płuc ten odór z przetrawionej wody...

Gwałcił ją.

Gwałcił sukinsyn i zdechł, nie doczekawszy wyroku. Nie zgłosiły tego, nie poskarżyły się i do dzisiaj trzymają to w tajemnicy.

Tylko dlaczego nazwał ją „Pauline”? Pomylił się? Zamieniały się? Kaja się poświęcała? Kto by się zgodził na taką zamianę?

Hiperprzeźren

Nemesis

Czas realium w chwili skoku:

08 Decimi 232 EI, 19.48 H

Torkil Aymore Med

Angeli Mortis, Laurus, Angela, Nexus, Samuel i ja, wszyscy w trzech wcieleniach, staliśmy z zasłoniętymi twarzami w łożyskach startowych sekcji desantowej *Nemesis* gotowi do wystrzelenia. Paula, ulokowana obok Angeli, była pojedyncza. Jej pancerz typu Czempion wyglądał przy potężnej zbroi

mojej partnerki jak dziecięca zabawka. O ile znam życie, gdzieś w udowym zasobniku trzymała swój miecz. Angie patrzyła na mnie. Czułem to każdą komórką ciała.

Tak, kochanie, wkrótce ruszymy w bój.

I będzie jak za dawnych czasów, na Nomorii.

W hangarze w tylnej części statku gotowały się do lotu cztery Gizarmy, a w nich Lea, Mars, Dominic i Barbara, bez wątpienia z głowami spuchniętymi od warplexów. Oczami wyobraźni widziałem obok złotych pojazdów szczerzące kły smocze Szpony, w nich zaś przebijających pazurami Tella i Quai. Błękitne Żuki siedziały w swoich slotach na burtach *Nemesis*, gotowe w każdej chwili wystrzelić i latać statek od zewnątrz.

Zerknąłem na podgląd sterówki. Imperatorka lewitowała skupiona i milcząca. Wokół niej trwali niczym gwardia honorowa inżynierowie z dharnańskiej Akademii Nauk. Colter wraz z przybocznymi dronami czuwał przy konsoli kontrolnej statku.

Co nas mogło spotkać?

Wszystko.

Dosłownie wszystko. Mogliśmy się nadziać na supernową lub czarną dziurę, wlecieć w doskonałą pustkę, odwiedzić każdy z możliwych układów słonecznych...

I bardzo dobrze.

Gdy już nic od ciebie nie zależy, kończą się zmartwienia.

Wtedy rozluźnij się...

– *Uwaga!* – usłyszeliśmy głos Coltera – *wychodzimy za dziesięć, dziewięć, osiem...*

– *Błękitne Żuki gotowe?* – spytał Laurus.

– *Jak, kurwa, nigdy w życiu* – warknął Garibaldi.

– *Świeć panie nad moją duszą* – rzuciła Stone.

– Cztery, trzy, dwa, niech Imperator...

Przyspieszyliśmy do dwudziestu. Właz desantowy otwierał się w ślimaczym tempie, a za nim królowała czerń. Dalekie gwiazdy. Patrzyłem w poszerzającą się szczelinę i coraz mocniej do mojej głowy dobijała się myśl, że trafiliśmy diabłu w dupę, czyli dokładnie nigdzie. Wciąż czarno i czarno. Ale nagle po lewej przestałem widzieć gwiazdy. Z każdą chwilą obszar bez białych punkcików powiększał się i po kilkunastu uderzeniach serca zorientowałem się, że odległe słońca są zasłaniane przez jakiś doskonale czarny... obiekt. Musiał być wielki, bo jeszcze parę głośnych oddechów i zupełnie przestałem widzieć gwiazdy. Poczułem się, jakby ktoś przykrył mi twarz wielką poduchą blokującą dostęp powietrza. Stłumiłem panikę.

– *Do diabła, Torkil, co to jest?* – nadał Tell.

Nie byłem w stanie odpowiedzieć. Ogarnęła mnie niezrozumiała trwoga. Człowiek zawsze bał się ciemności. Tutaj ciemność nie była pasywna, nie była brakiem światła. Tutaj mrok był aktywny.

Wdech, wydech, wdech, wydech. Niech ten właz wreszcie się do końca otworzy!

– *Inteligencja roju* – warknął Laurus. – *Ale nie zbiorowa świadomość. Zabiera za dużo pola uwagi. Uważajcie, kurwa, na co patrzycie i o czym myślicie.*

– *Laurus, nie widzisz, że nic nie widać?*

– *Włączam wizualizację radarową* – odezwał się kapitan Colter.

Zobaczyłem niewyraźny cyfrowy obraz wielkiej czarnej kuli otoczonej setkami wielokątnych płyt, które rotowały dookoła niej. Z kuli wystawały tysiące kanciastych rur rozszerzających się na końcu jak trąby. Widok drgał, widziałem tylko krawędzie struktur, ale obraz wciąż uciekał, jakby wróg próbował zakłócić pracę urządzeń *Nemesis*. Psiakrew, ciemno. Frin dał znać,

że te trąby wysyłają potężne strumienie inotronów. Tak potężne, że nagle otoczyły nas tysiące mrocznych, prawie czarnych Serafów. Ślepe czarne anioły wychynęły z nicości i przysłoniły pole widzenia. Złakrew, przez to już zupełnie nic nie widać!

Colter przesłał informację, że kula emituje potężne pole magnetyczne. Tak potężne jak stare dobre vaporiankie Cumulomachy. Być może dlatego jej obraz, nie dość, że czarny, był zamazany.

Tell, nie bacząc na egipskie ciemności, wystartował razem z Quai. Poinformował, że już przekazał Carowi naszą lokalizację i że jest przekonany, że znaleźliśmy się w mrocznym sercu Królestwa. Ładne mi serce. Pustka międzygwiazdna i jakaś przeklęta, siejąca polem magnetycznym dziura.

Zaraz za Szponami wyleciały Gizarmy. Ci to mają dobrze. Nie dość, że potężne Hegary, to jeszcze chroni ich pancierz statków. Nagle zapragnąłem schować się za kilkudziesięcioma centymetrami polirexu.

Właz się otworzył, lampy wnętrza rozjarzyły się zielenią, zupełnie nas oślepiając. Wyprysnęliśmy w czerni.

– *Nie włączać osobistych reflektorów* – zakomenderował Laurus. – *Nemezis, przyświeć trochę, ale głębokim ultrafioletem...*

Na powierzchni kuli pojawiło się pięć niewielkich fioletowych kół reflektorów statku. Niestety, struktura była matowa, całkowicie czarna, więc na niewiele się to zdało.

Do przodu oczywiście wyrwał się Nexus w trójcy jedyny. Jego klucz pędził już między płytami struktury i szukał wejścia. Nie dostrzegłem go w widmie widzialnym, tylko jego cyfrową animację, zresztą i tak przyciemnioną, żeby mnie nie oślepiła.

– *Sprawdziłem hipok.* – Pod górną krawędzią pola widzenia zobaczyłem portret Bonaventury. – *Nie działa.*

– *U mnie to samo* – potwierdziła Gida.

– *Jak wyżej* – sapnął Logan.

– *Czyli liczymy na quille i pięści* – zakonkludował Felix Duran.

Jego trójca wraz z resztą Angeli Mortis leciała w przeciwnym kierunku niż Nexus i także szukała wejścia.

Odezwał się kapitan *Nemesis*:

– *To gównem strzela do nas tym samym niewidzialnym świństwem co w Imperium.*

– *Ja też obrywam, psiakrew!* – krzyknął Tell, a zaraz po nim to samo zameldowały obstawy Nexusa, moja oraz Quai.

– *Ta krypa się rozpada!* – wrzasnął Mars. – *Evakuuję się!*

Czyli jednak lepiej być mniejszym celem...

Błękitne Żuki wyrwały się ze slotów, by naprawiać *Nemesis*, ale bez zaplecza w hiperprzestrzeni mieli małe pole manewru. Na wszelki wypadek sam też sprawdziłem menu komunikacji hiperprzestrzennej i hipoka. Psiakrew.

– *O rany, ciągle walą!* – wrzasnął Tell. – *Szpon się rozpada! Spadam! Torkil, lecę do was!*

– *Leć!*

– *Przy takim tempie nasza wyprawa zaraz się skończy* – rzucił totowo mój Sin, lecący oczywiście na lewo ode mnie. Z wygaszonymi światłami zbroi wyglądał jak cień przysłaniający gwiazdy.

– *Dobrze, że sami jeszcze nie oberwaliśmy* – skwitował Dex. – *Jeśli grzmoci w takim tempie, mimo że jesteśmy w przyspieszeniu, jak by to wyglądało bez przyspieszenia?*

Gdzie jesteśmy? Co to jest? – pytałem siebie w duchu. Jeśli to siedziba króla, jak do niej wejść?

– *A co się będziemy opierdzielać!* – warknął Laurus. – *Kapitanie,*

z głównego działa, w to miejsce!

Wskazał kursorem lokację, która wydawała się najmniej osłonięta przez płyty przesuwające się niczym w jakimś dziwnym czarnym zegarze. Mój frin zwymiarował strukturę. Miała dziesięć kilometrów średnicy. Mózg statku oznajmił, że fale inotronowe generowane przez kulę są w stanie zalać dosłownie całą galaktykę. *Nemesis* dodał, że główne „działa” skierowane są... na Drogę Mleczną. A dokładnie, jeśli wyliczenia go nie mylą, tam, gdzie znajduje się... Łza Cheronei.

Zakręciło mi się w głowie.

Tam, gdzie wszystko się zaczęło.

Fale inotronowe przenoszą się z prędkością bezczasową. Więc nie potrzebują setek tysięcy lat świetlnych, żeby tam dotrzeć.

Łza Cheronei.

Zdolności soulerskie.

Otchłań.

Rytuały, nasze halucynacje, to wszystko był efekt uboczny działania tych skurwieli?

To wszystko było efektem działania Ojców?!

Podzieliłem się tymi odkryciami z resztą.

– *Tak jest, Torkilu. Wszystko nabiera sensu* – szepnęła Imperatorka. – *Przecież wszędzie, gdzie jest skutek, musi być przyczyna. Bądź wola Moja...*

A nam się wydawało, że to całe soulerstwo zrodziło się samo z siebie... Jakież zawodny jest umysł ludzki!

Poszycie kulistej struktury zostało uderzone salwą z *Nemesis*. Wreszcie, choć na kilka chwil, oślepiający punkt!

– *Brawo, Colter!* – krzyknął Laurus.

– *Niestety, to nie wystarczyło, RanaRze. To bardzo twarda struktura. Spróbujemy jeszcze raz, większą mocą...*

– *Pospiesz się, kapitanie.*

– *Robimy, co możemy...*

– *Bądź wola Moja* – szepnęła Imperatorka.

– *Ognia, do diabła!* – krzyknął Laurus.

Tym razem eksplozja była jaśniejsza i trwała dłużej.

– *Potwierdzam penetrację ściany struktury.*

– *Świetnie!* – RanaR widoczny na oknie podglądu w górnej części pola widzenia wyszczerzył długie kły. – *Lecimy w tę dziurę! Oznaczam! Torkil, Nexus, Mbele, Frost, Barlaam, za mną. Wszyscy w trójkach! Aniołki Felixa niech robią, co chcą!*

– *Dobrze powiedziane* – odezwał się Felix. – *Kapitanie, drugą dziurę poproszę. Pół kilometra dalej, o, tu.*

– *Proszę bardzo...*

Zanim działło się obróciło i spowodowało kolejne zniszczenia, Hans przesłał men, że nie znajdujemy się w pobliżu żadnego układu słonecznego. Czarna struktura, przy której się wyłoniliśmy, dryfowała w równej odległości od najbliższych gwiazd. Fakt, że do niej trafiliśmy i że była to rzeczywiście arcyważna instalacja, zakrawał na cud. Nie pominę drobnego faktu, że zupełnie jej nie było widać i nie była zbyt masywna, więc spokojnie można by przelecieć kilkaset kilometrów obok niej, niczego nie zauważając.

– *Bądź wola Moja.* – Imperatorka widoczna na podglądzie miała drapieżny wyraz twarzy, zupełnie inny od tego, którym przywitała nas w Akademii. – *Anioły, wejdźcie tam, trzeba zrozumieć tę cywilizację!*

– *Cholera, oberwałam. Pierdzielona broń, nie widać, skąd walą! Nawet w ciemności! Nasze pola ochronne można o dupę potłuc! Katapultuję się!* – Policzki Leyi płonęły złością. – *Torkil, kurwa, poczekaj na mnie, bo mnie szlag trafi!*

– *Lea, oznaczam dziurę w poszyciu tego czegoś. Leć za nami.*

– *Roger that...*

– *To i ja* – oświadczyła Barbara. – *Rozwalili mi brykę. Ale naparzają...*

– *Zostałem sam?! –* krzyknął Dominic, po czym usłyszałem zgrzyt dartej stali, a na podglądzie jego poznaczonej płytkami kostnymi twarzy pojawił się ogień. Blask spowodował, że wszystko, co widziałem na zewnątrz, stało się niemal zupełnie czarne. – *Już nie. Lecę z wami.*

Szybko, zdecydowanie za szybko. Nie damy rady z tą naszą przestarzałą techniką...

Wpadliśmy pomiędzy rotujące płyty, które wciąż widzieliśmy tylko jako animowane czarne bryły z rozjaśnionymi krawędziami, odszukaliśmy oznaczoną przez Wilehada dziurę, wlecieliśmy w nią i znaleźliśmy się znowu w ciemności.

– *Osobiste reflektory* – szepnął Laurus. – *Głęboki ultrafiolet.*

Fioletowe kręgi ujawniły, że wisimy między dwiema pełnymi kolców warstwami krążących w przeciwnych kierunkach płyt, przy czym były to już struktury lite, bez szczelin czy włazów. Kolce miały około pół metra długości i zwrócone były, jak zęby rekina, w kierunku rotowania płyt. Łatwo było się na nie nadziać. Odległość między sferą zewnętrzną a wewnętrzną wynosiła trzy metry. Wyraźnie huczały i nisko wibrowały. To była pierwsza rzecz, jaką zanotowałem po wnিকnięciu w dziurę. Analizatory Coremoura stwierdziły, że jest tu atmosfera, i to niezależnie od tego, że *Nemesis* zrobił wyrwę w zewnętrznym poszyciu.

Obraz interfejsu Coremoura co jakiś czas migał. To pewnie to cholerne pole magnetyczne.

– *To jakiś labirynt* – rzuciłem.

– *Tak, bracie* – odparł Felix, który wraz z dużą częścią Angeli Mortis wleciał przez podobną dziurę dalej i właśnie wyłaniał się zza wewnętrznej sfery. Światło ich reflektorów, przesiane przez kolce, oślepiało nas. – *Po co*

się konstruuje labirynty?

– Żeby nie można było z nich wyjść.

– Albo dotrzeć do centrum. Mam wrażenie, że rzeczywiście dotarliśmy do serca. Chwała Imperatorce.

– Przesyłam informacje do Cara – odezwał się Tell. – Oni są już prawie zdecydowani. Chcą tu wysłać CIII.

– Za wcześnie – szepnęła Quai.

– Zgadzam się ze Smoczycą. – To była Stone.

Obejrzałem się. Wisiała już za nami, podobnie jak reszta Agonai, Tell i Suverka.

– Ciasno tu – warknął Smok. – I mam wrażenie, że tylko mnie niepokoją te kurewskie kolce!

– Ciemno jak w dupie. – Lea zagryzła zęby. – Nie mają tu jakichś włączników?!

– Musimy to obejrzyć, zobaczyć, co jest w środku – chrypnąłem.

– Dlaczego nikt nas nie atakuje? – spytał Felix. – W środku nie ma systemów obronnych?

– Te kolce ci nie wystarczą? – jęknął Tell.

– Nemezis? Wciąż pod ostrzałem? – spytał Laurus.

– Rejestruję salwy wroga, ale jakimś cudem zaczęły chybiać – odparł Colter.

– Tu nie ma cudów, kapitanie – powiedziała ciepłym głosem Imperatorka. – Tu są tylko konieczności. W tym pałacu wiele rzeczy się po prostu zepsuło, bo...

– Nie ma w nim sztucznych inteligencji – wszedł jej w słowo kapitan.

– Ja pierdziu... – wyrwało się Dominicowi. – Nie mogłaś, Siti, zadziałać szybciej?!

– Nie narzekaj, Agonie.

– *Chcecie mi powiedzieć, że gdyby nie cudowna interwencja pani Imperatorki, byłoby tu jeszcze przyjemniej?* – stęknął Smok.

W tym momencie otrzymaliśmy analizy mózgu *Nemesis*. „Pałac”, jak strukturę nazwała tajemnicza Siti, rzeczywiście nie posiadał sztucznych inteligencji ani zdolności samonaprawczych. Nie miałem pojęcia, jak to możliwe, skoro ta rasa była o tyle starsza od naszej. Statek informował, że większość systemów obronnych struktury uległa awarii. Zupełnie jakby spotkał nas niesłychany ciąg zbiegów okoliczności. Spojrzałem na półprzezierny portret Imperatorki widniejący wśród reszty portretów pod górną krawędzią pola widzenia. Uśmiechała się na tle migającego interfejsu zbroi i fioletowych refleksów naszych reflektorów. Czy rzeczywiście była boginią?

Droga Mleczna
Macierz
Planeta Wiz, grunt
Polia Tris, dystrykt Hook
08 Decimi 232 EI, 19.53 H

– Ed, żyjesz? – Sprite, szczelnie owinięty wielobarwnym pancerzem, na którym widniały podobizny ulubionych superbohaterów i idoli, potrząsał głową przyjaciela. Ed został przygnieciony rumowiskiem, w które obrócił się airvill rodziny Sprite’a, gdy spadł z dużej wysokości i roztrzaskał się o jeden z niższych tarasów Tris. Mimo że inteligentny materiał siedziby wiedział o obecności mieszkańców w najniższej części domostwa, niewiele mógł zrobić, by ochronić ich podczas upadku. – Jasna cholera!

Twarz przyjaciela, oświetlona kilkoma różowymi lampionami pobliskiej

wieży, jakże inna od twardego, grubo ciosanego oblicza rudowłosego wojownika z gry, była delikatna, pozbawiona zarostu i blada. Oczy patrzyły pod dziwnym, nienaturalnym kątem. Wyglądały, jakby należały do zepsutego mechanizmu.

Pancerz Sprite'a nawiązał łączność ze zbroją Eda. Przyjaciel nie oddychał, nie biło jego serce, a funkcje mózgu zanikały. Arun już odczepił się od czerepu i podlatywał do hiperbosa skrytego pod gruzami, kilka metrów dalej. Tam powinno być ciało Eda, ale skrzynia także została zmiażdżona. Druga, w której powinno się znajdować trzecie ciało przyjaciela Sprite'a, była niestety pusta.

– Ed, idioto, ile razy ci mówiłem, że musimy mieć zawsze trzy ciała! – jęknął Sprite. – To podstawa w WayEmpire! Podstawa!

Wiedział, że jeśli arun przetrwa tę rzeź, ciało Eda zostanie odtworzone, tymczasem jednak mała maszynka była bardzo narażona. Przywołał ją. Urządzenie rozpoznało go i przylgnęło w okolicach piersi, przybierając barwę zbroi Sprite'a. Teraz wyglądało po prostu jak zgrubienie płyty w miejscu, gdzie rozpościerała szafirową pelerynę Muscle Woman. Sprite dziwnie się poczuł, wiedząc, że niesie na sobie psyche kumpla.

– Tarik! Tarik!

Rozejrzał się za pancerzem przyjaciela. Nigdzie go nie było. Frin informował, że ciało, hiperbosa i aruny zostały zniszczone.

– Na Buddę... – szepnął pobladłymi wargami. – *Mama? Tata?* – odezwał się mentalnie.

Cisza.

– *Mummy? Daddy?*

Rozejrzał się po rumowisku. Wszyscy musieli tu być, przecież musieli! Rozpoznał kolejny hiperbos, także zmiażdżony. Należał do ojca. Kontrolki były ciemne, co oznaczało, że ciało ojca zagubiło się w beczasie. Kolejny

sarkofag również był zniszczony. Hiperbosa matki zostały wręcz rozsmarowane. Rany boskie, a stary przekonywał, że to taki mocny airvill!

Wywołał pancerze rodziców. Odezwały się. Oba leżały pod wielkimi zwalami gruzu. Ojciec i matka nie żyli, lecz arun matki usiłował się wydobyć spod gruzowiska.

– Na Buddę, niech mi, kurwa, ten dom pomoże! – Sprite zaczął rozgrzebywać stalowymi palcami płyty konstrukcyjne, a droidy, które domostwo w tym czasie wytworzyło, pomagały mu, jak mogły.

– Chłopcze?

Kobięcy głos.

Sprite gwałtownie się odwrócił. Naprzeciwko niego wisiała kobieta w białym pancerzu. Pod gładkim czołem jarzyły się jasnoblękitne wizjery przypominające prawdziwe oczy, a twarz zbroi miała niemal ludzkie rysy. Był to najprawdopodobniej model, który naśladował ruchy mimiczne właścicielki, gdy przyłbica zasłaniała organiczną twarz. Na wypukłych piersiach świeciło oznaczenie centrum exuterowe. Lekarka?! Wokół niej latały animacje eterycznych kaduceuszy i śmiesznych tłustych cherubinków ze złotymi łukami w rączkach, tym intensywniejsze, że kontrastujące z purpurą na zachodnim niebie.

– Pomóc ci? – spytała i rzeczywiście jej mechaniczne oblicze poruszyło się w bardzo naturalny sposób.

– Tam jest arun mojej mamy – odpowiedział. – Nie może się wydostać...

Kobieta w ułamku cetni zlustrowała kolorowy pancerz Sprite'a i latające wokół niego podobizny superbohaterów. Następnie zeskanowała jego mózg. Wiedziała, że ma do czynienia z dzieckiem w szoku. Frin przeanalizował dane i poinformował ją, że chłopak przed chwilą stracił ojca. Jego frin kontrolował reakcje emocjonalne właściciela, ale i tak natychmiast użyła plexu uspokajającego. Tylko lekarze Imperium mają możliwość stosowania tego

typu programów bez wiedzy zainteresowanych.

– Czekał – powiedziała cicho.

Wydała mentalną dyspozycję i z za jej pleców wyłonił się medmat świecący niebieskimi kontrolkami. Wskazała głową rumowisko. Śnieżny automat podleciał do ruin i zaczął delikatnie rozsuwać gruz. Wiedział, co robi. Liczne manipulatory zręcznie podtrzymywały zwały materiałów budowlanych, a inne zagłębiały się coraz bardziej. Jeszcze kilkanaście cetni i arun przyłgął do piersi chłopaka tuż pod arunem Eda.

– Spokojnie, mam, spokojnie – chłopak próbował opanować głos – ochronię cię.

– Tu nikogo nie ochronisz – odezwała się kobieta.

Miastem wstrząsnął grom. Fala uderzeniowa przetoczyła się przez nich wałem czarnego kurzu i śmieci. Przykucnęli i oparli się dłońmi o gruzowisko.

– Wał się filary raju – szepnęła.

– Co?!

– No, może nie wszystkie i nie całe. Ale generalnie wszystko trzeszczy. Kilkanaście kilometrów stąd, blisko wybrzeża, wylała się lawa, prosto spod skorupy Wiz. Tam jest uskoki między płytami tektonicznymi. To nie jest dobry prognostyk.

– Słucham?!

– Nie rokuje to dobrze.

– Aha.

Za plecami lekarki potężna błyskawica połączyła sąsiednie wieże. Dotarł do nich grom. Sprite'owi zjeżyły się włosy na głowie. Tris wydawało przerażające odgłosy.

– To, co było sterowane globalną inteligencją roju, cała homeostaza planety, zaczyna się chwiać – powiedziała kobieta. – Za dużo tych drani wisi na orbicie. Musimy stąd wiać.

– Ale jak?!

Rozmówczyni zlustrowała gruzowisko.

– Twoim domem na pewno nie. Moje centrum też uszkodzili. Tyle exuterów, tyle cięż... Mają zasilanie, ale boję się, że nie dadzą rady. Szukam pojazdu, żeby zastąpić moduł napędowy. – Rozejrzała się bezradnie. W końcu spojrzała na chłopca. – Nie uciekniemy z planety, to wiesz, prawda?

– Słyszałem. Nie działają napędy hiperprzestrzenne.

– Tak. Musimy się po prostu gdzieś schować. Nisko.

– Jestem Grondem. Znam te okolice.

– Ale z moim centrum.

– Słucham?

– Musimy się schować razem z moim centrum.

Sprite chciał się uderzyć w czoło, ale ta kobieta nie była jego ciotką ani mamą, więc odebrałaby taki gest jako oznakę złego wychowania. Zaczął jednak już wykonywać ruch, więc po prostu dotknął głowy.

– Przepraszam... ale pani oszalała.

Sztuczne źwacze zagrały na twarzy lekarki. Odziana w biały pancerz Siti wskazała palcem obszar za sobą. Był oświetlony ruchomymi lampionami orbitującymi wokół pobliskiej wieży kotwicznej.

– Mam tam kilka setek dzieci w różnych stadiach rozwoju. Część to zaledwie zarodki, ale ponad połowę stanowią duże płody. Na razie odcięłam je emocjonalnie od matek i zastosowałam program uspokajający, jednak to nie znaczy, że zamierzam skazać je na śmierć. Potrzebny nam airvill, który ściągnie centrum w dół, do bezpiecznego miejsca. Stacja posiada kotwę na taką okoliczność.

Chłopak wciąż uważał, że to bardzo głupi pomysł, ale odezwał się niejako bezwiednie:

– Jaskinia Dux.

– Co?

– Jaskinia Dux. Centrum rozrywkowe. – Przełknął ślinę, zdając sobie sprawę, że łąduje się w kolejne kłopoty. – Jest dostatecznie duże, żeby wlecieć tam airvillem!

– Dobrze. Polecimy tam. Ale najpierw pojazd.

Usłyszeli gwizd, a potem przed nimi pojawił się mały statek obcych zwieńczony cierniami. Najpierw się skulili, lecz widząc, że wróg wciąż nie strzela, powoli wzlecieli pół metra nad gruzowisko.

– Chłopcze – odezwała się kobieta bardzo spokojnym tonem – ucie...

Pojazd wybuchł. Zasłonili twarze przed ogniem i pchnięci falą uderzeniową, pokoziołkowali w tył. Sprite oparł się na murze wieży kotwicznej, a kobieta zdołała wyhamować, używając własnych silników. Po chwili szerokim łukiem podleciał do nich drugi statek obcych, pionowy sztylet zaopatrzony w pojedynczą antenę. Patrzyli na niego zdumieni. Wylądował kilka metrów przed nimi, coś syknęło i z włazu powoli wyszedł człowiek. Zwykły Sit.

– Osłonię was – powiedział bardzo powoli i nienaturalnie. – Kieruje mną ImBu. Nie panowałem nad własnym ciałem z powodu wpływu imperatywu i feromonu posłuszeństwa. Ale Budda przejął kontrolę nad moimi kończynami, frin zaś za jakiś czas wyleczy chorobę wirusową. Rozumiem, co do mnie mówicie, ale nie spodziewajcie się żywych reakcji emocjonalnych.

Mężczyzna nienaturalnie się uśmiechnął. W wielobarwnych światłach Tris wyglądało to trochę komicznie, a trochę przerażająco.

Spritowi zaschło w ustach.

– *To zombi* – nadał men do kobiety. Dodał do niego wspomnienia z licznych holmów, które oglądał z przyjaciółmi.

– Jak ci na imię? – spytała lekarka.

– John. John Johnson.

– Świetnie. Ja jestem doktor Ula Sun, a to jest...

– Sean Tannen. Ale wszyscy mówią do mnie Sprite.

– Sprite – powtórzyła kobieta i spojrzała na Johnsona. – Potrzebny nam pojazd, który będę mogła podłączyć do mojego centrum exuterowego. Widziałeś sprawny airvill?

– Tak. Pokażę wam, gdzie jest najbliższy. Tam, gdzie jest najmniej pojazdów wroga. Mój statek ma relingi na zewnątrz. Wskakujcie. Będę leciał nisko.

Obraz 3

Zgrupowanie A1

Droga Mleczna
Pustka międzygwiazdowa
Obszar poza Rubieżami
Sektor A1
08 Decimi 232 EI, 17.98 H

Airvill Sama i Sary wyłonił się w pustce międzygwiazdowej wśród tysięcy innych domostw. W oddali majaczyło kilkadziesiąt gigantycznych pancerników klasy *Invincible*, a między nimi friny odnalazły kilkaset sylwetek Ranów. O ile militarna część sektora wyglądała groźnie, o tyle cywilna – barwnie i wesoło. Co za ironia.

W polu widzenia Sama pojawiła się dziwna ikona ważnej informacji. Miała kształt trójwymiarowej karmazynowej głowy Suvera. Otworzył ją.

– *Tutaj centrum smoczej komunikacji. Ponieważ straciliśmy łączność hiperprzestrzenną, przekazuję najważniejsze wiadomości od braci i sióstr z różnych części Imperium, głównie od Cara, który towarzyszy admirałowi Hawkowi na obwodzie Drogi Mlecznej. W tej chwili trzydzieści procent*

populacji Imperium Tao, przede wszystkim mieszkańców Rubieży i częściowo Macierzy, jest rozproszone w podobnych enklawach poza obrębem WayEmpire. W granicach Imperium Drogi nie mamy zdolności wykonywania skoków hiperprzestrzennych ani wydobywania przedmiotów z hipoków. Uniemożliwiono także teleportację. Tutaj oraz w obszarach oddalonych Worplanów możliwości te wciąż istnieją, ale nie wiemy, jak długo ten stan się utrzyma. Sitizeni zobowiązani są do zachowania spokoju i niepodejmowania żadnych pochopnych akcji na własną rękę, zwłaszcza podróży powrotnych do Macierzy czy Rubieży. Wróg, którego roboczo nazwano Ojcami lub Waruitami, jest zbyt potężny.

Sam skinął głową i rozejrzał się. Airvilli były setki, ale w bezpośrednim sąsiedztwie ich siedziby polatywała dość zwarta grupa domostw różniących się tak wielkością, jak i charakterem. Najbliżej unosiła się nieduża biała kaplica otoczona ogrodowymi tarasami. Na lewo od niej i trochę dalej tkwiło coś w rodzaju twierdzy bastionowej. Na prawo unosił się dziwaczny airvill przypominający starodawny okręt, w centrum zaś tkwił wielobarwny dom otoczony licznymi parkowymi tarasami, przy czym na szczycie najwyższej jego wieży łopotała na sztucznym wietrze flaga prezentująca filiżankę parującej herbaty. Cała ta grupa, połączona chodnikami, powoli rotowała, a w tle unosił się niezmiernie wielki i brzydki airvill, większy od tych wszystkich razem wziętych. Był szary, jakby wykuty z niezgrabnych płytów stali. Kojarzył się z melancholijnymi holmami klasy B o zmierzchu ludzkości. Przedstawiał humanoidalną postać z rozpostartymi rękami.

Yon wrócił wzrokiem do centralnego domostwa, bo, zdaje się, wszyscy zgromadzili się właśnie tam. Wykonał zoom i zaczął się przyglądać poszczególnym tarasom. Na jednej z platform porośniętych egzotycznymi drzewami dostrzegł brunetkę rozmawiającą z dwoma mężczyznami oraz przysłuchującą się rozmowie drugą kobietę, ubraną tylko w bikini, co

wyglądało kuriozalnie, zważywszy na okoliczności. Scena ta, w jakiś sposób naturalna, choć nieco surrealistyczna, ośmieliła go. Wyleciał przez okno i zamachał do nich.

Kobieta bez trudu go dostrzegła i zaprosiła gestem do siebie.

– Lecimy w odwiedziny – rzucił Yon przez ramię do Sary i biesiadników rodziny Starów. – Może się czegoś dowiemy.

Pauline oceniła zbliżającą się gromadę dimenów i wydała polecenie majordomusowi, żeby przygotował szkło.

– Mamy gości – oznajmiła domownikom. – Dobrze, że z Harrym zawsze trzymamy coś w spiżarni. Gdyby tylko Torkil rządził tym domem, nie mielibyśmy teraz nic.

– To Podróżnik. Podróżnik przez duże „P” – wyjaśnił Harry. – Nie ma czasu na gromadzenie zapasów.

Przed jego pancerzem pojawiła się animacja Torkila lądującego na odległym globie.

Eim wyduła wargi.

– Przez duże „P” to mógłby mieć penis, ale nie ma.

– To nie było fair. – Lecący do kuchni Norman obruszył się. – Mówisz o moim przyjacielu.

– Głupi jesteś. Duży członek to kłopot i ból. Torkil ma takiego jak trzeba. Ty zresztą też.

– Dziękuję. – Harry wrócił do niej i przytulił ją od tyłu.

Pauline odepchnęła go delikatnie, a jej pomalowane na grafitowo paznokcie zaświeciły błękitnym blaskiem.

– Dopilnuj majordomusa. I sprawdź, jak się ma Han.

– Co tak nagle się nim zainteresowałaś? – Harry zmarszczył brwi, co

wyglądało groźnie przy jego zwalistym czole. Talizmany krążące zwyczajowo nad jego lewym barkiem przyspieszyły.

– To faktycznie podejrzane – odezwał się Peter i poruszył mechanicznymi ramionami, jakby mu niespodziewanie zdrętwiały. – Nie po to udydoliłem mu łapsko, żeby teraz nad nim się rozczulać.

– Po prostu chcę go mieć na oku – odparła Pauline.

– Nigdy nie ufaj psychopatom – mruknął Konon, który sfrunął gdzieś z góry. – Tak mawiał wuj Aymore.

– Dobrze się czujesz? – spytał Peter. Jego czerwone wizjery optyczne, zaprojektowane tak, by straszyć przeciwników w Gladiatorach, rozjarzyły się.

Pauline się wzdrygnęła.

– Boję się o niego tak bardzo, że cała drzę – szepnęła.

– O Torkila? – spytał Crash.

Kobieta skinęła głową.

Nastało milczenie. Peter spojrzał na Konona, ten podrapał się po metalowym łbie. Anna nawet nie mrugnęła, a Harry pozostał na wdechu. Tylko nad jego głową pojawiła się, nie wiadomo dlaczego, animowana biała chmura.

Goście, na których czele widniała dimeńska para trzymająca za rączki małą mechaniczną dziewczynkę, dyskretnie czekali kilka metrów dalej.

Eim zerknęła na nich, uśmiechnęła się i skinęła zachęcająco ręką.

– Niech majordomus naleje coś mocniejszego – zakomenderowała.

Prezentacji dokonywano menowo, bo gości zleciało się zbyt wielu. To dość typowa procedura. Ludzie w WayEmpire, zwłaszcza Stellarzy, są przyzwyczajeni do poznawania wielu Sitów naraz. Podczas takich

multiprezentacji mózgi są zalewane morzem danych – przekazuje się imiona, nazwiska, ulubione miejsca, paki zawierające informacje o zainteresowaniach, preferencjach, talentach i dokonaniach, a nawet fragmenty najważniejszych przeżyć. Wystarcza kilkadziesiąt cetni, by obywatele Wielkiego Imperium znali się lepiej niż „starzy znajomi” mieszkający na Damnacie, dawno temu, Przed Imperium.

Z *Teacupa* wysypał się rój minidronów niosących drinki, herbatę i kawę.

Eim wypła głęboki haust wiśniówki. Poczła najpierw aromat owoców, potem ledwie wyczuwalny zapach ziół i na koniec zdradzieckie ukąszenie alkoholu.

Jeszcze jeden łyk.

I jeszcze jeden.

Niech się wreszcie zakręci w głowie.

Niech zniknie ten okropny niepokój!

Frin zapytał, czy neutralizować wpływ etanolu.

– *Niech cię ręka boska broni* – odparła mentalnie.

– *Masz na myśli rękę Imperatora?* – spytał przewrotnie.

– *Idź do diabła.*

Do jej świadomości docierało coraz więcej komunikatów od mózgów innych siedzib. Pytały o zgodę na połączenie się z *Teacupem*. Przekazała dyrygowanie tymi procedurami majordomusowi i poleciła, żeby zgadzał się na wszystko. Im więcej ludzi, tym lepiej. Zagłuszać, zagłuszać tę trwogę.

Niewiele czasu upłynęło, nim dziesiątki, a potem setki domostw połączyło się w karawanę. Po piątej dolewce błyskawicznie pochłanianej wiśniówki była Reormater nagle zmroziło. Spojrzała na pozakręcane barwną płataninę latających siedzib, a potem wzniosła się wyżej, by zobaczyć ją dokładnie.

Długi, kostropaty wąż, zapętlony i pozawijany, a w oddali przerażające sylwetki pancerników... Czyżby widziała przyszłość rodzaju ludzkiego? Wielką więź, która będzie po wieczność uciekała przed Waruitami? Nie byłby to taki zły scenariusz, gdyby nie to, że WayEmpire było totalnie uzależnione od teleportacji i Worplanów. Część z tych ostatnich wedle zapewnień Smoka jeszcze nie dostała się do bąbla innej fizyki i niedługo powinna zacząć przesyłać do siedzib zapasy żywności, ale przecież wkrótce i one zostaną im odebrane! Eim przełknęła ślinę. Czy wystarczy im zapasów? Przekształca kolejne planety? Rozpoczną od nowa? Będą uciekać z nadzieją, że Ojcowie ich nie dopadną?

Wyciągnęła kieliszek w bok.

– Nie ma już wiśniówki, Siti – odezwał się dron. – Może być aroniówka?

– Lej.

W wielkim, obłym kielichu zatańczyła ciemnorubinowa ciecz. Była Reormater pamiętała, skąd pochodzi: z Goryeh, podobno najlepszego rolniczego Worplanu w Imperium. Z całą pewnością była robiona domowym sposobem, a w czasach WayEmpire oznaczało to brak jakichkolwiek nienaturalnych składników. Łyknęła. Alkohol był mocny i szczypał w tylną część podniebienia. Język atakowała gorycz owoców, potem miód, cytryna i na koniec, zupełnie jakby ukłucia halabard, ze zdwojoną siłą gorzkie aronie. Odetchnęła głębiej i wlała w siebie drugi okazały łyk.

Torkil. Torkil.

Gdzie jesteś, draniu?

Zerknęła w górę, w kosmos. Przy gwiazdach zatańczyły frinowe oznaczenia. Wiedziała, które mają zamieszkane systemy. Wybrała na chybił trafił. Macedonia. Przed oczami zamajaczyły zbliżenia różnych części globu – góry, morza, ośnieżone szczyty i szerokie plaże. Ale opcja TIO była nieaktywna. Tylko archiwalne ujęcia.

Gdzie jesteś, Torkil?

Zamknęła oczy i poprosiła frin o dostarczenie wspomnień o Gamedecu.

Jego brwi, dość gęste, ciemne i męskie.

Oczy szaroniebieskie, z delikatnymi żółtymi cętkami, tak uważne, tak czułe.

Policzki, lekko zapadnięte, równe, zakończone mocnymi krawędziami szczęk.

Zęby lśniące, białe. I te niesamowite kły, gdy się uśmiechał. Większe fangi miał nawet w cywilnym ciele...

Zapach – ledwie wyczuwalny, jakby skórę ogrzewało słońce.

Głos – gdy był w ciele Rana, potężny i niski, w ciele cywilnym jasny, śpiewny, jakby gdzieś głęboko w jego duszy mieszkała dziewczyna.

Jego dotyk...

Pauline wstrząsnął dreszcz.

Przyspieszyła. Świat się zatrzymał. Biesiadnicy zastygli w alegorycznych, prawie sakralnych pozach, wznosząc puchary, śmiejąc się, rozmawiając, wsłuchując w słowa innych.

A Eim tonęła w ramionach Aymore'a. Czuła jego oddech, mocne bicie serca na swoich piersiach, jego dłonie na plecach, usta na szyi, na policzkach, na czole i na ustach. Zaczęła głębiej oddychać. Nakazała frinowi przewinąć wspomnienie. Za intensywne. Nie teraz.

Torkil patrzy na nią uważnie. Siedzą na łóżku. Pauline przeczesuje mu włosy. On pije szampana. Za wysokim witrażowym oknem *Teacupa* wstaje świt.

– Pauline – odzywa się.

– Tak?

Przełyka ślinę.

– Ty... też jesteś sierotą?

– Przecież wiesz. Mój ojciec umarł, a matka zginęła na Damnacie.

– U mnie było odwrotnie.

– Wiem.

Torkil zaciska szczęki, na ich krawędziach zaznaczają się mocne zwacze. Eim wie, co zamierza powiedzieć. Nie chce tego słyszeć.

– Słuchaj – odzywa się, gładząc jego ramię poznaczone twardymi prążkami mięśni – dlaczego nosisz te białe, w zasadzie siwe kosmyki we włosach? Są tam, odkąd pamiętam.

Aymore uśmiecha się. Te jego zęby. Przez chwilę oślepia ją aureola wokół jego głowy. Głupie wrażenie leżeć w łóżku ze świętym.

– Chcesz, żebym zmienił kolor włosów? – pyta. – Niebieski? Żółty? Złoty? Srebrny? – Śmieje się, ale w jego oczach gości smutek. Kobiety to widzą.

– Nie. Tak mi się podoba. – Pauline bawi się swoimi talizmanami: topazowym i granatowym. Lewitują wokół jej palców. Fasetki tego drugiego pieszczą oko pomarańczowymi refleksami światła. – Tylko te kosmyki. Skąd się wzięły?

– Nigdy ci nie mówiłem? – Aristos poprawia się w pościeli i odpycha pusty kieliszek.

Platforma, na której się znajdują, powoli się unosi, a reszta wewnętrznych tarasów opada. To zwykły rytm pomieszczenia.

– Nie.

– Nawet w paku nie przeciekło? – Uśmiecha się cierpko.

– Widać chowasz to bardzo głęboko.

Torkil patrzy w okno airvilla. W jego oczach odbija się oranżowe niebo. A man with the sky in his eyes. Tak go kiedyś nazywała.

– Lubię tego szampana – szepcze, wskazując pełny kieliszek Pauline. – Szybko działa i rozwesela.

– Tak.

Przez dłuższy czas milczą. On patrzy na zabawę Pauline i przejmuje kontrolę nad jednym ze swoich talizmanów. Rubinowy klejnot oprawiony w barokowe złoto rusza do kamieni kobiety i także zaczyna tańczyć wokół jej palców.

– Będziesz się śmiała.

– Nie.

– Nazwiesz mnie maminsynkiem.

– Nie.

Torkil bierze głębszy wdech i mówi szybko, niskim głosem:

– Kiedy zginęła moja matka Laura, pojawił się pierwszy. Pierwszy kosmyk. Potem drugi. Były ułożone niesymetrycznie, więc dodałem jeszcze trzy.

Pauline liczy oddechy. Raz. Dwa. Trzy. Walczą w niej zaskoczenie, rozbawienie i potrzeba dania wsparcia. Wreszcie szepcze:

– I co? Tak nosisz tę żalobę? Przez tyle cykli?

Torkil lekko się krzywi.

– To znak, że pamiętam.

– Rodziców?

Teraz jego grymas zamienia się w niesymetryczny uśmiech.

– Nie. Oznacza, że nie zapominam o tych, którzy cierpieli.

Pauline wychyla niewielki łyk szampana. Światło poranka tańczy w złotych bąbelkach.

– Po co ci to? – Uznaje, że to zdanie zabrzmiało zbyt obcesowo, więc stara się je złagodzić ciepłym uśmiechem.

– Mam wrażenie, że to najważniejsza rzecz, jeśli chodzi o człowieczeństwo. – Torkil lekko ściąga usta.

– Nie zapomnieć?

– Tak.

Aymore wydaje mentalną dyspozycję. Podlatuje dron i nalewa szampana do kieliszka. Szkło unosi się i podpływa do jego palców. Pauline wyciąga rękę. Jej puchar także się wypełnia. Piją. Bąbelki łaskoczą podniebienie. Kręci jej się w głowie.

Torkil patrzy na nią. W jego niebieskich oczach wciąż tańczy róż nieba Wiz, planety, na którą przylecieli kilka dni wcześniej. Do trzech talizmanów krążących wokół jej smukłej dłoni dołącza czwarty – szafirowy, także oprawiony w złoto. Pauline przez chwilę się zastanawia, czy żółcień, ciemna zieleń, granat i brąz pasują do siebie, ale światło wpadające przez okno godzi wszystkie barwy.

– Nie myślałaś o tym?

Kobieta podnosi na niego wzrok.

– O czym?

– O wskrzeszeniu rodziców?

Od stóp Pauline do jej kręgosłupa przebiega zimny dreszcz. Przełyka ślinę i odsyła jego kamienie. Torkil przejmuje je i pozwala im krążyć nad lewym barkiem.

– Przestań – szepcze.

– Wiele sierot to zrobiło. Nawet przyjaciół wskrzeszają. Z Damnaty. Jeśli mają zapis DNA. My mamy dane genetyczne rodziców. Ty i ja. Nasi starzy zrobili skany.

– Przestań. – Eim chce powiedzieć więcej, ale słowa grzęzną jej w gardle. Dobrze, że Torkil myśli w tej chwili o sobie. Gdyby nie to, jej zachowanie mogłoby go zastanowić.

– Ja wiem, że to nie byliby oni – ciągnie. – Że to byłyby ich klony. Mimo wszystko...

– Moi rodzice nie żyją. Umarli – stwierdza twardo była Reormater.

– Więc mamy pozwolić im... nie żyć?

– Tak. To normalne. Naturalne.

– Posthomo Sapiens dawno już przestał całować dupę Matki Natury. –
Torkil bierze głęboki wdech. Prążki jego mięśni piersiowych drgają przy tym
jak podczas ziewania. Chyba jest zdenerwowany.

– Ja bym nie mogła. Nie wytrzymałabym.

– Widoku swojej mamy jako dziewczynki?

Pauline zagryza wargę.

– Tak.

– Dziewięćdziesiąt dziewięć procent Sitów ma żyjących rodziców,
naturalnych, nie wskrzeszonych.

– Dziękuję za ten miód. Moi rodzice wystarczająco mi zaszkadzili. Nie
rozumiem nałogowych wspominaaczy i nie rozumiem sierot
wskrzeszających... mamę i tatę.

Torkil znowu pije. Wstaje. Jest nagi. Podchodzi do okna po ścieżce, która
układa się pod stopami w miarę stawiania kroków. Pauline uwielbia patrzeć
na jego zgrabne pośladki. Ale bardzo rzadko to komentuje.

– Jest tu kilkanaście centrów exuterowych – mówi Aymore, nie
odwracając się do niej.

– Na Wiz?

– Tak. A pod nami, w Tris, jedno, w którym pracuje organiczka. Niejaka
Ula Sun. Nie Dis.

– I co z tego?

– To wyjątkowa sprawa. Człowiek w pracy.

– Nie dla mnie. Ty ciągle pracujesz.

– Myślałem, żeby wyhodować tutaj...

– Tatusia i mamusię?! – Pauline zrywa się z pościeli. Kilka kropel
z kieliszka spada na kołdrę. Czuje na ręce lepłą ciecz. – Zwariowałeś?!
Twojej matki bym się bała, a twojego ojca nie lubię, chociaż tylko o nim

opowiadałeś!

Kołdra trawi plamę. Eim wydaje rozkaz frinowi. Jej skóra wchłania ciecz, a cukier krystalizuje się na powierzchni. Kobieta macha ręką, strząsając mikroskopijne kryształki. Minidrony rezydujące na oparciu łóżka startują i połykają je. Przez chwilę krążą, cichutko sycząc i wychwytyjąc cukrowy pył. Wyglądają jak starożytne samoloty na polu bitwy.

– To byliby inni ludzie. Przecież wiesz – mówi cicho Gamedec.

– Nie, na mnie nie licz. Nie będę im matkować – odpowiada przez ściśnięte gardło Pauline. – Zapomniałeś już, co ten... ten potwór ci zrobił?!

Wchodzę do kuchni. Muszę. Muszę to powiedzieć. Ale tylko mamie. Tata nie może o niczym wiedzieć. O niczym.

– Mamo. – Patrzę na matkę szeroko otwartymi oczami.

Laura Aymore podnosi wzrok znad kitchenmatu. Widzi, że jestem zdenerwowany.

– Co, synku?

Przełykam ślinę.

– Ale nie powiesz tacie?

– O co chodzi?

– Ale nie powiesz tacie? Proszę!

Twarz matki tężeje. Wciąż się uśmiecha, ale już nie tak ciepło.

– Tori, nie mogę ci tego obiecać. Powiedz, o co chodzi.

O mój boże. Tata nie może o tym wiedzieć.

– Pani prosiła, żebyś dzisiaj przyleciała do szkoły.

Matka otwiera szerzej oczy. Co jej siedmioletni syn mógł zmalować?!

– Dlaczego?

Kulę nogi, splatam palce, moje ciało robi się na przemian ciepłe i zimne.

– Bo ja... paliłem papierosy – wyduszam z siebie.

Matka zastyga.

– Co robiłeś?

– Paliłem papierosy – szepczę.

– Co takiego?

– Paliłem papierosy – mówię jeszcze ciszej. – Ale tylko sześć! I nie zaciągałem się!

– Ale jak? Gdzie?

– George Ritchanowsky mnie namówił. Robiliśmy to z Jackiem Karwatskym. Za boiskiem.

Matka wychodzi z kuchni. Próbuję ją zatrzymać.

– Ale nie mów tatusiowi, proszę cię. Nie mów mu, proszę cię, nie mów!

Chwytam ją za rękę. Laura łagodnie, ale stanowczo odkleja moje spocone palce od swojego przedramienia. Zostaję w kuchni. Trzymam dłonie przy twarzy, nie oddycham.

Słyszę stłumioną rozmowę.

– Torkil. – To głos ojca.

Nie mam wyjścia. Muszę wejść do jadalni. Oślepia mnie światło wpadające przez okno apartamentu niższej wieży Wrocławia. Nie widzę twarzy taty. Podchodzę do stołu, gdzie czeka śniadanie.

– Powiedziałaś ojcu o twoim... grzechu – mówi bardzo cicho matka. – Nie wiem, co z tym zrobi. – Zerka na niego.

– Uwidim, skazał ślepoj – odzywa się Baltazar Aymore. „Zobaczymy, powiedział ślepy”. To jego ulubione przysłowie. – Ale to będzie bardzo bolało.

– Lecę do pracy – mówi mama. – Zajrzę dzisiaj do twojej szkoły. Mam nadzieję, że gdy wrócę, wszystko będzie już załatwione.

– Ale...

– Jedz.

Pobytu w szkole w ogóle nie pamiętam. Nie pamiętam powrotu do domu. Pamiętam tylko tapczan. Ojciec kazał mi się na nim położyć. Był miękki i pachnący, nowy. Granatowy. Miałem zdjąć majtki. Prawdopodobnie prosiłem ojca, żeby mnie nie bił, prawdopodobnie płakałem. Prosiłem i płakałem. Ale to nic nie dało. Baltazar wziął z półki „dyscyplinę”. Cholerne narzędzie tortur odziedziczone po dziadku. Na jednym końcu był gruby węzeł i ten węzeł trzymał w dłoni. Zwisały z niego długie, twarde rzemienie.

– Kładź się.

– Tatusiu, proszę cię, nie rób tego. Już nie będę, obiecuję, że nie będę.

– Kładź się.

– Proszę cię, tatusiu, proszę. Naprawdę już nie będę.

– Kładź się.

Kładę się, brzuchem do dołu. Chwytam krawędzie tapczanu. Czekam.

Pierwsze smgnięcie jest jak oparzenie. Ognista smuga rozjarza uda i pośladki czerwienią bólu. Strasznie swędzi mnie siusiak. Krzyczę. Pada drugi cios. Krzyczę głośniej. Nie ma nic straszniejszego od krzyku cierpiącego dziecka. Nie ma nic straszniejszego. Trzecie. Moja skóra jest wielkim, ostrym krzykiem. Puszczają zwieracze.

– Tatusiu, muszę siusiu!

– Idź.

Biegnę do łazienki. Nie zapalam w niej światła, boję się, że nie zdążę. Sikam. Długo. Wracam.

– Tatusiu, już nie będę...

– Kładź się.

To już nie jest ogień. To szkarłatny spazm wyrywający nerwy. Przy drugim uderzeniu nie wytrzymuję.

– Tatusiu, znowu muszę siusiu!

Nie udaję. Naprawdę muszę. Biegnę do łazienki. Sikam.

Wracam.

– Kładź się.

Kolejne uderzenia zamieniają moją skórę w nieustanny skowyt. Zwieracze znowu puszczaają.

– Muszę siusiu!

– Biegnij.

Ten schemat powtarza się wiele razy. Ilekroć wracam i modlę się, żeby to był już koniec, ojciec każe mi się kłaść. Mijają godziny. Poznaję, czym jest ból ostateczny, nieustępliwy, diabelski, niewybaczający. Udręka jest niczym czerwony demon wpijający się parzącymi szponami w rany na moich udach i pośladkach. Istnienie staje się krzykiem. Krzyk staje się ogniem. Rozpacz w moim głosie czyni z apartamentu gabinet do spraw beznadziejnych.

Po niewyobrażalnie długim czasie ojciec kończy. Pyta, czy wiem, ile razy zostałem uderzony.

– Sto?

– Nie. Piętnaście. Nie myśl, że robiłem to z przyjemnością. To było dla mnie tak samo nieprzyjemne jak dla ciebie.

Patrzę na ojca z wyrazem niewyobrażalnego zdumienia. Piętnaście? Czuł to samo? W pierwsze jestem jeszcze w stanie uwierzyć. Byłem w łazience chyba pięć, może sześć razy. W drugie – nie.

– I to za co? – mówi podniesionym głosem Pauline. – Za sześć papierosów?! Za ciekawość małych dzieci?

- Z Jackiem i George’em rodzice tylko porozmawiali – mówi cicho Torkil.
- Nie przestali palić.
- Torkil, o czym ty mówisz? To były łąbuzy!
- Tak.
- Sześć papierosów i pręgi, które nosiłeś miesiąc, bo ojciec zabronił używać inflahealu?
- Tak.
- A to, jak ciągle podejrzewał, że kłamiesz?
- Był paranoidalny.
- Jak cię zbił, gdy wysłał do sklepu, a ty nie przyniosłeś tego, o co prosił?
- Było inaczej. Wyszedłem, kumpel wracał z tego marketu i powiedział, że nie było, nie pamiętam czego. Uwierzyłem i wróciłem. Ojciec polecał tam, okazało się, że było. Wrócił i mnie zbił.
- Właśnie. I takich przypadków było mnóstwo.
- Było.
- A w szkole średniej? Na studiach? Wszystko mi opowiadałeś. Ten gość był nienormalny.
- Wychował go człowiek, który pamiętał TRID.
- To niczego nie tłumaczy.
- Dziadek był podobno nie lepszy.
- Torkil, rola wychowania jest przereklamowana. To geny. Geny decydują o tym, kim jesteśmy. Dlatego mnóstwo Sitów przeszło czyszczenie i stali się innymi ludźmi. Baltazar Aymore wyrośnie na paranoidalnego, skłonnego do przesady, egocentrycznego skurczybyka. Chcesz tego?! Chcesz wychowywać Laure i Baltazara, skazać ich na siebie, tylko tym razem nie jako katastrofalne małżeństwo, w którym ona spełniała wszystkie jego zachcianki, ale jako rodzeństwo? Koszmarne bliźniaki? To chore! To najbardziej koszmarna wizja, o jakiej słyszałam!

– Pauline.

– Co, Pauline? Co Pauline?! Zastanów się!

Torkil wciąż stoi odwrócony do niej plecami. Milczy. Cisza się przedłuża. Wie, że to ją uspokoi. Ten sukinkot zna się na komunikacji o wiele lepiej niż ona. Nastrój człowieka jest kształtowany przez świeże doświadczenia i sytuację. „ŚS”, jak często żartował. Ich sypialnia wygląda pięknie o tej porze dnia, raj Wiz to miejsce czarowne, do nozdrzy Pauline docierają wonie perfum, sączy się cicha muzyka. Ależ on ma szerokie barki. Mam nadzieję, że nie stosuje na mnie tych swoich czarów. Tej Łaski Imperatora. Nie darowałabym...

– Gogoi – Błogosławiony odzywa się wreszcie głosem czystym i w jakiś sposób zniewalającym – załatwiają wszystko. Teraz rodzicielstwo to sama przyjemność. Nie zmieniasz naluszek, nie przejmujesz się kolkami. Wiesz, sama słodycz.

– To chore, Torkil.

Odwraca się do niej. Idzie cienkim łącznikiem między oknem a łóżem. Siada na pościeli. Patrzy jej prosto w oczy. Pauline kocha te jego szarobłękitne ślepie. Ale nie kolor jest w nich ważny, tylko myśl. Nie wie, jak to możliwe, ale to spojrzenie ma w sobie tyle głębi, że często pragnie się w nim zanurzyć, zacząć w nim pływać.

Tym razem te oczy kryją ocean trucizny. Eim nie chce do niego wstępować.

– Pauline. Ja ich nie znałem. Ta myśl nie daje mi spokoju: nie znałem moich rodziców.

– Jak miliardy Sitów.

– Wiesz, że to nieprawda. W czasach paków dzieci znają rodziców o wiele lepiej niż kiedyś. Mniej wyobrażają sobie, kim oni są, więcej wiedzą. Naprawdę ich znają. Chcę wiedzieć, kim są. Kim byli.

– Nie dowiesz się tego. To będą inni ludzie. – Pauline zaciska usta, jakby były wrotami chroniącymi ją przed tym, co usłyszy.

– Więc dlaczego tak się ich boisz? – pyta mężczyzna.

Była Reormater milczy.

– To będą ci sami ludzie, ale w innych warunkach – ciągnie Ran. – Brak dziadka sączącego jad w uszy Baltazara, brak obciążeń dzieciństwa Laury może spowodować, że nie będą tacy straszni, jak mówisz.

Pauline prychna.

– Chcę zrozumieć – mówi Aymore – dlaczego moja matka była taka, jaka była. Dlaczego we wszystkim ustępowała ojcu. I dowiedzieć się, jaka była naprawdę. Czy była taka ugodowa, taka uległa... Chcę ją zobaczyć jako dziewczynkę, która skacze z radości, która widzi świat swoimi niewinnymi oczami. Chcę zobaczyć ojca jako chłopca, który cieszy się, widząc nową zabawkę, który śmieje się po raz pierwszy, rozkładając skrzydła. Chcę zrozumieć nie tylko, kim są oni, ale także – wzdycha głębiej – kim ja jestem.

– Myślisz, że w ich oczach zobaczysz siebie?

Pauline odpycha do połowy opróżniony kieliszek. Szkło przez chwilę łapie promień słońca. Wygląda jak bursztyn. A potem posłusznie ląduje nad połyskliwym blatem szafki nocnej.

– Ależ tak. Zobaczę część siebie. Lepiej zrozumiem.

– Wciąż nie rozumiesz? Mimo tylu cykli?

Torkil macha ręką.

– Pauline, mam dwieście trzydzieści sześć cykli plus trzydzieści coś lat. Wszystkie cykle, które spędziłem w Petrach, to były wojna i rzeź. Żyję i wciąż siebie nie rozumiem. Jestem jak... jak...

– Bonsai Larmana?

Aymore patrzy na nią bardzo długo. Wychyla duży łyk szampana.

– Tak. Jak bonsai Larmana. Bliski, ale osobny. Swój, ale nie swój. Twój,

ale nie twój. Przecież wiesz.

– Wiem.

– I wciąż nie rozumiem dlaczego.

Pauline pochyla głowę.

– Jeśli ty się nie zgodzisz – ciągnie Torkil – zgodzi się Angie lub Anna. Mogę poprosić też Brendę...

– Tylko nie Brendę. I nie Annę czy Angie. – Patrzy mu zdecydowanie w oczy. – Jesteś mój, rozumiesz? Mój. Nikomu cię nie oddam.

Torkil uśmiecha się.

– Dobra. – Pauline zwiesza głowę. – Załatw to. Ale będziesz potem płakał, wiesz o tym.

– Wiem.

– I te biedne dzieci nie będą rozumiały dlaczego.

– Tak.

– Powiesz im, kim są?

– Na pewno. Gdy będą starsze.

– Siedem cykli?

– Tak jak to robiły inne sieroty. Dzieciom ta informacja nie szkodzi. Raczej je bawi.

Pauline ciężko wzdycha.

– A ty? – pyta Aymore. – Nie chcesz spróbować?

– Nigdy. I nie wracajmy do tego. – Potrząsa głową. Nie chce o tym myśleć. Nie chce wspominać. Potok skojarzeń usiłuje napłynąć do głowy, ale rośnie tam wielki mur, który zatrzymuje rzekę nieczystości. Nie. – Nienawidzę cię – szepcze do niego.

Torkil zbliża się i mocno ją przytula. Eim czuje jego mocne mięśnie piersiowe, ramiona, zapach skóry.

Trzymaj mnie, Torkil.

Trzymaj do końca świata.

Trzymaj.

Poczuła dotknięcie na ramieniu. Nie jego. Zewnętrzne.

Wyłączyła przyspieszenie.

Nakazała frinowi odwołać wspomnienie.

Obok niej wisi Anna.

Eim chrząka. Patrzy w dół, na biesiadników. Przełyka ślinę i bierze duży łyk aroniówki.

– Wspomnienia? – szepcze Sokolowski.

Pauline kiwa głową.

– Myślisz o nim? – pyta Anna.

– Zaraz zwariuję.

– Angela się nim zajmie, prawda?

– Raczej on nią.

– Jest silna. Ta baba ma mięśnie...

– A on ma serce.

– Na pewno jest przy nim Laurus.

– I Nexus. – Eim wychyliła do końca kieliszek.

Dron podleciał i uzupełnił alkohol. Zupełnie jak we wspomnieniu. Może to nawet ten sam dron.

– Tak. – Anna poszła w jej ślady i opróżniła puchar.

Cierpliwy automat nalał aroniówki także jej.

– Ale oni wszyscy – mówi przez ściśnięte gardło Pauline – cała ta zgraja Toy Soldiers, to maniacy. Poświęcą się, jeśli będzie trzeba. A ja wolę, by przeżyli. Taka jest różnica między facetami a kobietami.

– Gaworzycie? – zagaił Peter.

Gdy do nich podleciał, owiało je chłodne powietrze. Pauline z przyjemnością poczuła orzeźwiający podmuch na rozgrzanych alkoholem

policzkach.

– Cześć, rycerzyku – westchnęła Anna.

– Czy nie powinniśmy zabawiać gości?

Eim spojrzała w dół, za palcem Crasha, z którego rozciągał się tęczy wachlarz strzałek poznaczonych uwagami na temat zachowań biesiadników.

Coraz więcej ludzi. Nakazała frinowi zmetabolizować etanol. W siedemdziesięciu procentach.

Wlecieli do *Teacupa*. Czekala tam gromada dimenów, których pancerze z barw ochronnych zdążyły przybrać intensywne kolory. Jej frin zidentyfikował gości jako czarodziejów z Wiz, Sitów z Onomy, Deeny, Bohemy, Agooine, Teheny i Rondu. W przypadku połowy z nich zaznaczył, że są Stellarami i w zasadzie nie mają stałego miejsca pobytu. Kilkanaście osób konferowało z Hanem leżącym na antygravitacyjnym łóżku tuż nad najniższym poziomem airvilla. Ranny wzbudzał zainteresowanie, co było dość oczywiste. Całej tej scenie w milczeniu przyglądał się Konon polatujący nad wyższą platformą. Pauline wiedziała, że w razie czego zainterweniuje.

– *Majordomus, nie żałuj alkoholu* – szepnęła menowo do droida.

– *Tak, proszę pani. Ale powoli się kończy.*

– *Ile zostało?*

– *Jeszcze trzy kolejki i będzie po wszystkim.*

– *Skontaktuj się z majordomusami innych członków karawany. Zanim zabraknie trunków.*

– *Czyli już?*

– *Już.*

– *Jak się czujecie?* – zapytała gości.

– *Dzięki tej whiskey bardzo dobrze* – odpowiedział dimen ubrany w pomarańczowy motomb. Tuż obok niego wisiała dimenka w bardzo podobnej zbroi. To oni przyprowadzili pierwszą partię gości. – *O, mamy*

wiadomość, że kończą wam się szamańskie płyny!

– Nie inaczej.

– Zgodnie z obyczajem karawan nie wypada opijać gospodarzy, dobrze mówię? – zwrócił się do biesiadników.

– Dobrze! – odkrzyknęli, wznosząc szkła, i wydali mentalne polecenia, by dostarczono alkohol z ich domostw.

– No! – Sam przeniósł kielich do lewej ręki i pozdrowił biesiadników zgrabnym salutem prawej.

– Co to za znak, wujku? – szepnęła mała dimenka wisząca u jego boku.

– Biedne dziecko. Frin nie podpowiedział?

– „Salut Ranów”. „Moja krew dla was i za was”. Nie rozumiem, wujku – odparła dziewczynka.

Pauline uśmiechnęła się krzywo.

– To pozdrowienie Aristoi Imperialis. Maodów i Maod-Anów, Zoe. Tak masz na imię, prawda? – powiedziała.

– Tak, Siti. Ale wciąż nie rozumiem.

– Ranowie to najlepsi żołnierze WayEmpire. Przysięgają oddać za nas krew. Kciukiem wskazują miejsce, w którym najłatwiej – przełknęła ślinę – dostać się ostrzem do serca. Potem gestem jakby rozsiewają krew. Swoją krew.

– To tacy siewcy krwi. Żebyśmy my mogli żyć – wyręczyła ją Sara.

– Aha. To chyba rozumiem. Ale to jest... straszne.

Pauline szybko wychyliła łyk alkoholu.

– Wujku. – Zoe stuknęła Sama w pancerz na wysokości piersi. – Co się dzieje z dziadkiem? I z resztą rodziny?

Yon spojrzał na nią strapiiony.

– Na razie nie wiem, kochanie. Ale na pewno sobie poradzą.

– Na pewno?

– Na pewno. A teraz podziękujmy naszej gospodyni.

Zoe spojrzała mechaniczną buźką na Pauline.

– Dziękuję, Siti.

– Proszę bardzo. – Eim pogłaskała ją po głowie. – Tutaj, zdaje się, jest więcej dzieci. Jeśli twoi opiekunowie się zgodzą, pobaw się z nimi.

– Mogę, wujku?

– Oczywiście, kochanie.

Zoe poleciała w dół, w kierunku pięciorga podrostków, z których jeden, podobnie jak ona, był dimenem.

– Cześć! – krzyknęła. – Pobawię się z wami, dobra?

– Dobra! Masz tu figurkę Rana! Steruj!

– Okej!

Pauline poczuła, że musi z kimś porozmawiać o swoim niepokoju. Choćby z nieznanymi. Inaczej oszaleje. Spojrzała na Sama i Sarę.

– Mój... mężczyzna jest Ranem i Błogosławionym.

– Niemożliwe! – Sam aż skulił ramiona.

Sara przytknęła mechaniczne palce do ust.

– Wybacz ten salut – odezwał się Sam. – Nie wiedziałem.

– Nic nie szkodzi.

– Ale niezręcznie wyszło...

Pauline machnęła ręką. I nagle zrozumiała, że to, co dla niej było naturalne, czyli obecność Błogosławionego, dla nich było egzotyczne. Nagle spotkali kogoś, kto obcował z legendą. Miała ochotę parsknąć, ale zamiast tego coś ścisnęło jej gardło. Jakby jakaś rzewna melodia wlała się do oczu i krtani, wypełniła żyły zamiast krwi i...

– Siti? – szepnęła Sara, widząc, że Pauline odwraca się do nich plecami.

– *Paulinko?* – odezwała się menowo Anna.

Harry milczał. Widział jej łzy. Eim kazała frinowi zablokować czynność

gruczołów łzowych. Znowu obróciła się do gości.

Sam i Sara przez chwilę patrzyli to na nią, to na siebie, to na Harry'ego, Petera i Annę.

– Jak to jest? – przerwała milczenie Bor.

– Co, Siti? – spytała Pauline.

– No... być partnerką Rana. I Błogosławionego.

Była Reormater wzięła głęboki wdech i łyknęła z kieliszka.

– Okropnie.

– Jak to? – Sam podciągnął ramiona.

– Ciągle ma jakieś obowiązki. – Eim chrząknęła. Jej krtań wciąż była ściśnięta. – Wylatuje na misje, spotyka się z Charonami, Auduxami, Ludźmi Bramami, wzywa go Imperator...

– Naprawdę rozmawia z Imperatorem?! – spytał Yon.

– Tak, bardzo często...

– Czyli to prawda! – szepnęła Sara.

– Oczywiście. Do was nigdy nie mówił?

– Do mnie jakby we śnie – odezwał się Sam.

– I pracuje! – westchnęła dimenka.

– No tak. Lata do Pożeraczy, czasami do Terraformerów, dogłąda Worplanów, gada z inżynierami, programerami, Besebu-Ranami.

– Tych nie lubię. – Sam wzdrygnął się.

– Częściej go nie ma, niż jest. A jak jest, to non stop myślami gdzie indziej. No, może nie tak często jak kiedyś, ale wciąż za mało przebywa ze mną...

– Ale dlaczego? – spytała mechaniczna kobieta.

Pauline pokiwała powoli głową do własnych myśli.

– Bo się martwi.

– Martwi? W Czasach Szczęśliwości? O co? – niemal krzyknął Sam.

Eim potoczyła wzrokiem po zgromadzonych i łyknęła duży haust aroniówki, opróżniając szkło. Wystawiła rękę do automatu, a ten skwapliwie napełnił puchar. Otrzymała od frina informację, że to koniak. Może być. Znowu wypila.

– O was wszystkich, barany – odezwała się chrapliwie. – O was wszystkich. Nawet o tego dupka, który usiłował go zabić. – Wskazała palcem na Hana Fierce’a.

Przez chwilę Pauline myślała, że przesadziła z tymi „baranami”, ale ostatnia część jej wypowiedzi była dostatecznie sensacyjna, by goście zapomnieli o urazie.

– Zabić?! – Sam i Sara wykrzyknęli jednocześnie.

– Ale po co? Za co? – Sitowie szeptali gorączkowo.

– Zapytajcie go.

– To... nie pogorszy twojego stanu, Siti?

– Pauline da sobie radę. – Anna położyła jej rękę na ramieniu.

– Twarda jest – zawtórował Harry.

Peter poszybował w dół, robiąc trochę miejsca wokół Fierce’a. Goście, którzy dotąd go oblegali, odsunęli się.

– To był... eksperyment – powiedział cicho Han. Nie widać było po nim, że jest zmęczony ciągłym odpowiadaniem na to samo pytanie. Był spokojny, nieco blady, wyciszony. – Tak, wiem, głupi. Coraz mocniej się o tym przekonuję.

– Ale dlaczego chciałeś to zrobić, Sit? – zapytał Sam.

Fierce zerknął na niedawno odzyskaną rękę. Skóra była zlepiona, jednak frin informował, że nim zrosną się mięśnie i kość, upłynie jeszcze kilka hekt. Cały czas rozluźniał ramię, by umożliwić szybszą regenerację.

– Żeby sprawdzić, czy... jest Wolna Wola. Już mówiłem. – Wskazał oblegających go gości.

Ci przytaknęli.

– Czy jest Wolna Wola? – upewniła się Sara.

– Tak.

– I musiałeś sięgać do tak ostatecznych środków? – odezwał się Sam.

– Musiałem.

– Czyli co? Jest? Nie ma? Coś cię powstrzymało? – spytała Bor.

– Nic mnie nie powstrzymało. Agon obronił Torkila. Gdyby nie to...

– Czyli jest? – upewniła się Sara.

Sam spojrział na nią z politowaniem. Czy kobiety zawsze muszą się o wszystko tak dokładnie dopytywać?

– Niestety, jest.

– Jak to: Niestety? – Teraz to on się odezwał.

Fierce przełknął ślinę.

– Nie rozumiecie? Nic nas nie pilnuje. Nic nie powstrzymuje. Naprawdę jesteśmy sami. Nie rządzi nami Imperator, Budda, żaden bóg. Jesteśmy naprawdę sami. *Naprawdę sami.*

Przez chwilę trwało milczenie.

– Przy ograniczonym prawie – ciągnął Fierce – pozostają dobre obyczaje, pielęgnowane od dziecka. Są Błogosławieni, ale oni bardziej służą nam niż my im. Na przykład Torkil. Nie rozumiecie? Skończyły się, naprawdę się skończyły czasy niewolnictwa, tego, że ludźmi zawsze ktoś rządził, kazał im to czy tamto, śledził poczynania, narzucał prawa. Jesteśmy ostatecznie przerażająco sami.

– Noo... to chyba dobrze? – odezwał się Sam.

– To wielka odpowiedzialność. – Han skrzywił się, jakby samo słowo sprawiało mu fizyczny ból.

– Trzeba będzie to ogłosić, żeby drugi taki filozof się nie znalazł – rzucił jeden z gości.

– Ale to jest jasne – odezwała się stojąca obok niego kobieta. – Dla mnie to jest jasne od dzieciństwa.

– Naprawdę?

– Tak.

– A ile masz cykli, Siti?

– Trzydzieści dwa.

– To wiele wyjaśnia. – Mężczyzna pogładził swoją czarną brodę.

– Niby co?

– Jesteś dzieckiem Czasów Szczęśliwości. A ty, Han? Ile masz cykli?

– Ponad dwieście trzydzieści.

– Czyli pamiętasz Damnatę?

– Tak.

– Stary paradygmat. Niewolniczy – skwitował brodac.

– A co ci się stało w rękę? – spytał Yon.

– Uciał mi ją Peter „Crash” Kytes.

– Kytes?! Jest tu gdzieś Kytes?!

Hana zdziwiła ta reakcja. Kompletny brak współczucia, za to rewerencja wobec akrobaty z Gladiatorów?

– To on. – Wskazał dimena.

– Na Buddę! To ty?! – Sam uniósł wysoko mechaniczne brwi. – Gadaliśmy z Peterem „Crashem” Kytesem?!

– Tak, to ja.

– Nie, no niesamowite! Wypiję za to!

– Może za wcześnie na takie świętowanie. Na naszych planetach giną dimeni, a organików Ojcowie zamienili w zombi...

– Wujku – Zoe stuknęła Sama w udo – nie chcę tego słuchać.

– Jest smocza informacja! – krzyknął w tym momencie któryś z biesiadników. – ImBu przejął kontrolę nad organikami!

– Niemożliwe! Daj posłuchać!

Sitowie wsłuchali się w dragoński przekaz. Chwilę później ich twarze pojaśniały, a w *Teacupie* zawrzało.

– Niesamowite!

– Rewelacja!

– Ale z czego tu się cieszyć? Z zamiany ludzi w zombi?!

– Ale nie są już pod kontrolą Waruitów!

– To żadna przewaga. I tak przegramy.

– A co to za nihilizm?! Słuchajcie, ciągniemy imprezę!

– Fiesta!

– Na co mamy czekać?!

Jason Prad był Ziemianinem. Pamiętał czasy sprzed Imperium, pamiętał swój pierwszy okręt – *Grenadę*, krypę w porównaniu z *Bezlitosnym* po prostu antyczną, kojarzącą się z ryciną wykonaną tuszem na papierze, z *Nautilusem* kapitana Nemo, a nie z kosmicznym statkiem. Pamiętał manewry w obrębie Układu Słonecznego, wtedy, jak się wydawało, nieprawdopodobnie złożone, teraz śmieszące nawet rekrutów. Pamiętał kuliste myśliwce taktyczne typu Szakal obwiedzione trzema pierścieniami deceleracyjnymi, na owe czasy szczyt techniki, którymi współczesne jednostki mogłyby grać niczym kulami bilardowymi. Pamiętał bazy na Księżycu i Marsie, ba, nigdy nie zapomniał występu Papa Porki na czerwonej planecie, podczas którego onerockowy performer pokazał słynnego roztrojonego penisa, czym zgorszył małżonkę kapitana... Gdyby ktoś w tamtych czasach powiedział Pradowi, że w przyszłości będzie dowodził pancernikiem takim jak *Bezlitosny*, nie

uwierzyłyby, bo technologia Czasów Szczęśliwości graniczyła z magią.

Gdyby zaś potem, już w Erze Wielkiego Imperium, ktoś powiedział mu, że cała ludzka populacja będzie musiała w obawie przed wrogiem pośpiesznie opuścić swoje planety, zostawić cały dorobek w czasie chaotycznej ewakuacji, także by nie uwierzył. Imperialna Flota wydawała się niezwyciężona, potencjał produkcyjny Worplanów nie miał granic, tempo rozwoju WayEmpire wywoływało zawrót głowy, te wszystkie floty Terraformerów, Pożeraczy Światów...

Ciemnoskóry mężczyzna głęboko westchnął, a jego oliwkowy pancerz powtórzył ten ruch.

Teraz spoglądał na trójwymiarową reprezentację sił cywilnych i wojskowych w sektorze A1 wyznaczonym przez ImBu i liczył uciekinierów. Osiemdziesiąt pięć tysięcy airvilli, dwadzieścia pięć pancerników, trzy Maodiony: Dwudziesty Trzeci, Osiemdziesiąty Ósmy i Dwieście Czwarty. Nie za dużo, nie za mało. W sam raz. Koncentracja masy w porównaniu z ciałami niebieskimi była względnie mała, obszar A1 również niewielki. Wróg nie powinien ich wykryć.

Zerknął na podgląd jednego z podsektorów zajmowanych przez pojazdy cywilne. Domostwa zachowały się tak, jakby były w jakimś raj. Połączyły się, posplatały, stworzyły jedną wielką multivię. Podgląd sugerował, że niektórzy zaczynają się bawić.

Niezwykłe. Ród ludzki jest niezwykły. Przecież zostawili za sobą znajomych, czasami bliskich! Nie martwią się o nich czy zupełnie poszaleli? A może mają rację? W obliczu zagłady to przecież lepsze niż lękliwe czekanie na cios.

Zerknął na Smoka o imieniu Matias Kill, który od jakiegoś czasu rezydował w sterówce. Suver zachowywał się bardzo delikatnie i na razie niczego nie zepsuł – prawdopodobnie dlatego, że Suverzy po prostu umieją

się poruszać w ludzkich pomieszczeniach, a plotki o ich dewastacyjnych cechach są przesadzone. A może dlatego, że jeszcze odmarzał. Matias Kill wleciał do sektora A1 dwadzieścia mon temu w Szponie, który rozpadł się na oczach tysięcy Sitów. Suver, już pozbawiony statku, przemierzał przestrzeń kosmiczną w rozhermetyzowanym pancerzu, gubiąc powietrze i stygnąc. Przebywał w próżni ponad trzy mony, lecz zachował przytomność, udało mu się dotrzeć na jednym silniku pancerza do czekającej na niego służby *Bezlitosnego* i własnym szponem ją zamknąć. Gdy po wyrównaniu ciśnień rzuciła się do niego ekipa medyków, delikatnie ich odepchnął i o własnych siłach doczłapał do sterówki. Prad wiele słyszał o odporności Suverów, ale gdyby nie zobaczył tego na własne oczy, nie uwierzyłby. Człowiek wytrzyma w próżni dwadzieścia cetni. Potem straci przytomność. Można go odratować jeszcze przez dwie mony, a później jednak życie z niego ucieka. Ran wytrzyma cztery cetni. Ale trzy mony? Siedem i pół razy dłużej niż Aristos?! Z czego te Smoki są zrobione? Przebiegł oczami po łuskowych okrywach Matiasa. Były wciąż jakby szkliste, a brąz i czerwień dominujące na jego ciele matowe i wyblakłe, ale, jak mu się zdawało, z mony na monę stawały się coraz intensywniejsze. Zdumiewające, że Kill nie zrzucił pancerza, który z pewnością na początku niemiłosiernie go ziębił, tylko zwinął go na tyle, na ile pozwalała jego struktura. Dragonoidy pod względem traktowania nagości były bardzo ludzkie.

– Jakież wiadomości, Smoku? – spytał Prad, gdy Matias spojrzał na niego swoimi wielkimi niebieskimi ślepiami.

Gad był jakby zamyślony. Jason wiedział, że wczuwa się w miliardy myśli krążących po Galaktyce.

– Coraz więcej dimenów ginie, kapitanie.

– Tak.

– Całe szczęście, że pomagają im organicy.

– Ci przejści przez ImBu?

– Zgadza się. – Matias spróbował ruszyć skrzydłami, jakby sprawdzał, czy nie uszkodził sobie stawów. Otoczyły je karmazynowe wstęgi. – Budda nie manifestuje zanadto ich możliwości, czeka na stosowną okazję. Mam jednak wrażenie, że ci zombi ocalili już miliony dimenów i organików odzianych w szczelne pancerze.

– Czy floty zombi mogłyby zaatakować...

– Nie, kapitanie. Przepraszam, że wszedłem ci w słowo, ale wiem, o co chciałeś zapytać. Oni latają bardzo słabo uzbrojonymi pojazdami. Na razie udają, że atakują dimenów, a tymczasem ImBu zbiera informacje. Tak sędzę.

– Hm...

Matias poskrobał szponami po platformie, na której leżał. Uniósł się, prostując kończyny, i opadł.

– Do domu naszych wrogów poleciał też statek *Nemesis* – dodał ciszej.

– Jaki?! Jak to: „do domu”?!?

– Alphtrans *Nemesis*.

– To nazwa własna?

– Tak.

– Statku czy tego „domu”?

– Statku.

– Co, do cholery, znaczy „alphtrans”?

– Altered Physics Travelling Nonorthodox Spaceship.

Prad prychnął.

– A rodzaj? Mój frin nie zna takiego pojazdu.

– Jest jedyny w swoim rodzaju. Tajna konstrukcja. Potrafi podróżować w innej fizyce.

– To możliwe?!?

– Wskazuje na to nazwa.

Prad sięgnął raz jeszcze do archiwów frina i lokalnego ImBu.

– Ja nic nie widzę, Smoku.

– Jest z nimi moja siostra Quai i brat Tell. Zlokalizowali coś bardzo dziwnego.

– To znaczy?

– Siedzibę króla Ojców w Andromedzie. Walczą o przetrwanie i próbują zebrać jak najwięcej danych.

– Króla? Warui mają króla?

– Hm... Podobno prawidłowa nazwa to „Waruici”, ale „Warui” też dobrze brzmi. Wracając do twojego pytania, kapitanie, wy macie Imperatora, my Cara...

– No tak. Co wiedzą?

– Na razie nie mam dokładnych informacji. Dam znać, gdy je otrzymam.

– Kapitanie? – Do Jasona Prada zwrócił się wiszący w rufowej części sterówki Ben Torres. Trwała przy nim załoga piratów, wszystkich zaś pilnowały, jak się wydawało, dość niedbale, dwa pokładowe drony.

Kapitan obrócił się w jego stronę, a otaczające go zielone promienie zatańczyły na potężnym pancerzu. Ciemna twarz Prada odbijała się w płytach piersiowych.

– Tak, piracie?

– Czy moglibyśmy się do czegoś przydać?

Kolejny szukający poleceń nieudacznik, pomyślał Jason, ale nie powiedział tego na głos. Jedna z kamer jego pancerza wychwyciła lekko uśmiechającego się Matiasa. Cholernik podsłuchiwał go.

– Ty mi powiedz, korsarzu – odparł.

– Jestem Człowiekiem Bramą.

– Wiem.

– Vivien – pirat wskazał wiszącą obok niego blondynkę – to niezła Narka.

Wszyscy jesteśmy gamedecami.

– Gamedecy. – Prad parsknął. – Tylko detektywów od gier nam teraz trzeba...

– Mamy licencję na penetrowanie talizmanów.

Ben przez chwilę rozważał, czy przyznać się Pradowi, że wyzwalają talizmany z wyzwania, ale się powstrzymał. Mimo że ImBu nigdy nie przywołał ich do porządku, proceder wydawał się jakiś... nielegalny, cokolwiek to w Wielkim Imperium znaczyło.

– Już lepiej – rzekł Prad. – Ale wciąż nie widzę dla was pracy.

– Szlag. Kapitanie, nie wytrzymamy bezczynności. Wypuść *Biegnącą po falach*. Pozwól chociaż oblecieć karawany i sprawdzić, czy im czegoś nie potrzeba.

– Wiemy, czy im czegoś potrzeba czy nie. Mamy łączność.

– Nie wszystko da się załatwić łącznością, Sicie.

W tym momencie komandor otrzymał men od oficera łączności:

– *Jason, będziemy potrzebowali przestrzeni hangarowej na myśliwce, zapasy amunicji i baterii. Ta krypa tylko tam przeszkadza. Ocalałe Worplany już dla nas produkują sprzęt...*

Prad westchnął.

– Zgoda. – Podniósł wzrok i wydał dyspozycję mózgowi statku: – Uwolnić tę krypę. – Spojrzał na Bena. – Uważajcie na siebie.

Obraz 4

Król

Droga Mleczna
Obszar poza Macierzą
Orbita planety Assam
Flota Terraformacyjna *Steak*
Nadzorca: Eryk Van Moon
08 Decimi 232 EI, 18.61 H

Gdy padła komunikacja hiperprzestrzenna z Macierzą, Eryk Van Moon poczuł się naprawdę samotny. Ikony stacji kontroli, stoczni i statków wsparcia zamigotały i po raz pierwszy w życiu Terraformer ujrzał symbole przerwanego połączenia.

– Eryk? Eryk? – Zobaczył przed sobą trójwymiarowy portret Vanessy Van Drake.

– Tak, kochanie?

– Wiesz, co to znaczy? Jesteśmy odcięci?

– Nooo... jesteśmy. W pewnym sensie.

– Ale co to znaczy? Imperium padło? Zostaliśmy pokonani?

– Być może. Ale nie wyobrażam sobie, jaka siła musiałaby nas zaatakować, żeby stało się to tak szybko. Raczej po prostu przywalili w łączność. To dość inteligentne zagranie.

– Przerażasz mnie.

– Po prostu komentuję. Gdybym to ja miał atakować obcą cywilizację, też od tego bym zaczął.

– No to masz, co chciałeś.

– Nie ja, tylko najeźdźca.

– Jak szybko się do nas dobiorą?

– Nie tak zaraz. Jesteśmy daleko od Macierzy. Być może nigdy nas nie znajdą.

W oczach kobiety błysnęła nadzieja.

– Myślisz?

– W razie czego możemy w nieskończoność uciekać. Mamy wielkie floty machin, więc surowców nam nie zabraknie.

– Ale nie mamy Worplanów.

– Po zasianiu życia na planetach możemy jeść rośliny i zwierzęta.

– Wiesz, jak to się robi?

– Je?

– Nie. Przygotowuje żywność.

– Wiem. Lubię pichcić.

– Kocham cię.

– Hm... pociąg do kucharzy?

– W tym momencie tak.

– Masz jakieś zapasy?

– Zgodnie z procedurą. Na pół pendeka.

– To tak jak ja. Nie wiem, czy w tym czasie nasze szybko rosnące roślinki zdążą wydać owoce. Trzeba będzie wrócić do sterraformowanych wcześniej

planet, a jeśli będzie tam wróg... Wiesz, w najgorszym razie polecimy do siebie, ja do ciebie albo ty do mnie, i zrobimy sobie najpiękniejsze ostatnie dni naszego życia. Będzie seks realny, żarcie realne, wszystko na tip-top.

– I sterraformujemy jakąś planetę tak pięknie, że zrobimy raj?

– Tak. To będzie nasz raj. Twój i mój.

– To może już go zacznijmy robić?

– Vanessa, poczekaj. Imperium jeszcze nie zginęło.

Kobieta skrzywiła się.

– Moim zdaniem zginęło.

– My żyjemy.

– Ledwo.

– Mamy tu wielki potencjał. Możemy się przydać. Nie marnujmy tego.

Gromadzisz energię?

– Gromadzę. Ale co z tego? Gdzie mam ją przesłać? I jak możemy pomóc Sitom w Macierzy? Spuszczając nasze potwory na raje? Waląc nimi po głowie przeciwnika? Jesteśmy bezbronni.

– Czekamy, rozumiesz? Czekamy.

– Słuchaj, a może się gdzieś przenieść?

– Gdzie?

– No, gdzieś na obręb. Do którejś z flot Pożeraczy albo do jakiegoś Worplanu.

– I co?

– Nie wiem. Rażniej będzie.

– Pożeracze to automaty. Jeśli chodzi o Worplany, nie wolno nam tam przebywać, bo obecność takich mas zakłóciłaby stabilność pierścieni. Siedź i gromadź energię.

– Ale...

– Siedź.

– Nienawidzę cię. – Rozłączyła się.

Eryk zerknął na status regeneracji paneli. Trzydzieści siedem procent uszkodzeń. Długo, cholera, to trwa...

Galaktyka Andromedy
Pustka międzygwiazdna
Kwadrant 43/5455/26245/2432
09 Decimi 232 EI, 00.05 H
Torkil Aymore Med

Byliśmy w maksymalnym przyspieszeniu. Trzech Torkili, trzy Angele, trzech Nexusów, Krozów i Laurusów, potrójni Diego i Mbele, pojedyncza Paula, Tell, Quai, Lea, Mars, Dominic, Barbara i cała reszta rozstrojonego oddziału Angeli Mortis lecieli w wąskiej, czarnej, poznaczonej ostrymi kolcami szczelinie między sferami pałacu. Płyty wciąż się przesuwwały, strasząc ostrzami. Wizję przysłaniały ślepe, rogate serafy, które wkurzały mnie coraz bardziej. Szukaliśmy jakiegoś wejścia, ale im dalej lecieliśmy, tym bardziej do mnie – Meda – docierało, że niczego takiego nie znajdziemy.

– *Kapitanie – rzuciłem – nie dałoby się jakoś tego przeskanować? Jesteśmy tu ślepi!*

Dołączyłem wyobrażenie wielowarstwowego schematu kuli.

– *Niestety, Ranie – odparł menowo Colter. – To gównie sieje tak silnymi polami, że zakłóca wszystko.*

Zauważyłem, że Colter bardzo oszczędnie używa totu – unika emocjonalnych i wyobrażeniowych komponentów, chyba że są niezbędne. Z pewnością robił to celowo. W akcji rozbudowane paki rozprasają.

Otrzymałem krótki men od Sina, że struktura nie posiada być może

sztucznych inteligencji, ale drzwi, o ile coś takiego w ogóle tu jest, mogą być ukryte, idealnie wpasowane w strukturę ścian. Zgodziłem się z nim. Lea i Dominic mieli podobne spostrzeżenia. Jeśli w WayEmpire sprawiliśmy, że arealium przeniknęło realium, jeśli widzimy barwne szlaki, które niezawodnie prowadzą nas, dokąd chcemy, dlaczego tutaj miałyby być inaczej? Ojcowie są o setki tysiącleci od nas starsi. Gdy nasi przodkowie schodzili z drzew, około stu tysięcy lat temu, oni już latali w próżni. Nie na sąsiednie planety, ale do gwiazd. To spora przepaść. Skąd to wiedziałem? Czułem. Każda cząstka otaczającej mnie architektury krzyczała nieznanymi frazami, pachniała nowym światem, egzotycznym, groźnym i... z pewnością bardzo starym. To samo czuli Lewy i Prawy. Ich paki potwierdzały i uzupełniały moje doznania. Uderzały mnie fale odmienności, zupełnie jakbym wkraczał do świątyni nieznannej religii, wszystko było dziwnie znajome i niepokojąco obce. Było w Warui coś onirycznego, jakby z wielkiej nieświadomości, z podświadomości, spośród pokładów psyche będących wynikiem odkładania się milionów doświadczeń naszych przodków wyływała melodia niezwykle znajoma, obecna przez całe życie, a jednocześnie zupełnie świeża. Tutaj technologia nałożyła się na technologię, która nałożyła się na technologię. Zwyczaj nałożył się na zwyczaj, który nałożył się na zwyczaj. Wszystko uległo wykrzywieniu i spotworniało, bo wszystkim rządziły lęk i potrzeba skrajnej kontroli. Czułem to. Czułem. Wszystko dookoła krzyczało wrzaskiem schizofrenika, wszystko zdawało się snem, nie, raczej koszmarem, czymś wykrzywionym tak, jak jeszcze nigdy nie odczuwałem. Wkraczaliśmy do chorego, dosłownie mrocznego świata.

– *Przyjacielu* – odezwał się osłonięty szczelnym pancerzem Tell, który sunął tuż nade mną. – *Wyczuwasz paranoję?*

– *Delikatnie powiedziane.*

– *Wielką paranoję* – dotarł do nas men Nexusa, a zaraz potem podobne Laurusa i Angeli.

Wszystkie zawierały wyobrażenia królów otoczonych bandą skrytobójców i knujących dworzan, a to na tle komnat pełnych ukrytych przejść i obrazów, w których oczy są zamaskowanymi wizjerami podglądaczy.

– *Ten gość, jeśli rzeczywiście siedzi w środku, jest zasranym dupkiem* – dodała od siebie jak zwykle bezpośrednia Martina Gunnar. – *Może być pewien, że jego podobizny nie uwiecznię na pancerzu.*

– *A ja się założę* – odezwała się filozofka Iana Ohm – *że to będzie pierwsza rzecz, jaką zrobisz.*

– *Masz mnie. Ale pod warunkiem, że będzie przystojny.*

– *Na półdupku zrób* – mruknął Achilles.

– *Wara od mojej pupy.*

Martina wrzuciła wyobrażenie policzkowanego Logana i emocjonalny komponent, że tylko żartuje.

– *Ja najpierw dam mu w mordę* – oznajmiła Ramona Yu. – *Z czółka przywalę.*

– *Tobie łatwo* – wtrąciła się Etna Wright. – *Zamiast ładnej główki masz ładną część motomba.*

– *Też się możesz przedzierzgnąć.*

– *Baby. Zawsze takie same* – skwitował Logan Khaan. Wciąż trzymał w zębach cygaro. W środku hełmu. W przyspieszeniu. Dym wisiał nieruchomo, a jego zawijas nakładał się na oko Rana. – *Bądźcie cicho i się skupcie.*

Dołączył widok pałacu i pulsującego w centrum czerwonego punktu.

– *Szowinistyczna...* – zaczęła Martina.

– *Cicho, dziewczęta* – rzucił Felix. – *Mości Smoku i Smoczyco, czy w środku znajdziemy cokolwiek oprócz maszyn i kolców?*

– *Tak* – warknął Tell. – *Jest tam zasrany ćwok. Dosłownie zasrany. I pięćdziesiąt nie mniej zasranych istot płci żeńskiej. Nie do końca normalnych.*

– *Jak to?* – spytał Diego Frost. Nie udało mu się powstrzymać wyobrażeń zbrązowionej bielizny.

– *Uwarunkowane* – szepnęła Quai. – *To nie są ludzie. Znaczący... to nie są normalne inteligentne istoty.*

– *Zauważyliście, co Quai powiedziała?* – usłyszałem men od mojego Sina. Zgodnie z zasadami komunikacji totowej, jeśli w oddziale jest więcej roztrojonych osób, w ogólnych rozmowach mogą brać udział tylko Środkowi. Lewi i Prawi komunikują się z Medami.

Przekazałem jego obserwację.

– *Bardzo to niepokojące* – przesłał men Laurus. – *Suverka nieświadomie zasugerowała...*

– *Że Warui są naprawdę naszymi Ojcami* – odezwał się po raz pierwszy podczas wyprawy Xavier Bald.

I zrobiło to na nas oczywiście duże wrażenie, bo Xavier tak już miał. Jak się odzywał, robił wrażenie.

– *Jak się tam dostać?* – warknął Bonaventura Vijanor. – *Te kolce bardzo mnie niepokoją. Lada moment ściany mogą się do siebie zbliżyć...*

– *Boni, przestań* – wysłała men Martina.

Imperatorka przesłała pak, że gdyby nie uszkodzone mechanizmy obronne, już dawno byłibyśmy daniem na ruszcie. Dołączyła wyobrażone schematy dziesiątków mechanizmów w pałacu, które świeciły alarmującą czerwienią.

Byliśmy w pułapce.

– *Brodą przetrzyj se wizjer, może wpadniesz na jakiś pomysł.* – Błękitna elfica Ramona albo bardzo lubi Bonaventurę, albo wręcz przeciwnie.

– *Strasznie gadatliwe towarzystwo* – nadała men tylko do mnie Środkowa

Angela.

– *Tak na marginesie* – odezwała się Martina – *zauważyliście, że nie mówimy „Waruici” tylko „Warui”?*

– *Wygodniej* – skwitował Logan.

– *W ten sposób nie znajdziemy wejścia* – rzekł Septimus. – *Może Nemezis przywali kolejny raz? Jakoś się przebijemy?*

– *Nie zaryzykuję* – odparł kapitan Colter. – *Salwa może spowodować przesunięcie się ścian i was zgniecie.*

– *Ładna historia* – szepnęła Uria.

– *Zatem czas na bal. Za długo już dywagujemy, nawet wzięwszy pod uwagę, że minęło tylko kilka realnych cetni* – westchnął Laurus, wziął głęboki wdech i wydał rozkaz duchom opiekuńczym.

Błękitne animacje zatańczyły wokół jego pancerza, otaczając go siecią pędzących werwetów *Księgi Słowa*. Przez ułamek cetni widziałem cytad: „Wielu ludzi sądzi, że czas poświęcony na medytację jest czasem straconym”. Czasoprzestrzeń ugięła się z głębokim basowym pomrukiem, od którego drżał RanStone w moim relikwiarzu i świat krzyczał, patrząc na niemożliwe. Anielica Laurusa pruć pancerną płytę na lewo od niego, a demon skrzydłem orał płytę na prawo. Sypały się w zwolnionym tempie ułamki kolców, jakby były z kruchego lodu.

– *Efendi* – sapnął Tell – *tutaj to jakby działa mocniej.*

– *Bingo* – chrypnął Wilehad. – *Torkil Med – Eynet. Reszta – duchy. Rozwalmy to gównem, zanim wezwą posiłki albo zrobią z nas szaszłyki. Imperatoro, że tak powiem, niech będzie wola Twoja.*

I Andromeda zobaczyła w puchnących bąblach innej przestrzeni duchy opiekuńcze Aristoi Imperialis, a duchy zobaczyły Andromedę. Obie strony z pewnością zdziwiły się, przy czym bardziej galaktyka, bo skrzydła pozawymiarowych przyjaciół Ranów zaczęły, niczym pługi, orać płyty

pancernego pałacu, ich szpony rozrywały długie kolce, a od ich krzyku pękały ściany.

Ale ja widziałem to tylko przez chwilę, bo po wydaniu dyspozycji dewitalizacji i nakazaniu zbroi, by przyjęła program rezydentny...

szybowałem w zatrzymanym czasie

jako

uwolniona

dusza.

Jak zwykle w tym stanie poczułem euforię i nieporównywalną z niczym swobodę. Eynet jest technologią tak niebezpieczną, że praktycznie został wycofany z użycia. Po kilkunastu przypadkach śmierci korzystających z niego Tomo stwierdzono, że może być używany tylko w ostateczności i tylko przez Maod-Anów z Pierwszych Centurii Pierwszych Dekurii. Były też propozycje, żeby byli to wyłącznie Angeli Mortis, ale zostały odrzucone. W Wielkim Imperium, w dobie Wolnej Woli, od czasu do czasu któryś Aristos, nawet nie z Pierwszej Pierwszej, korzysta z Eynetu, ale wyłącznie na własną odpowiedzialność. Ustalono również, jeszcze wtedy, gdy korzystaliśmy z niego częściej, że lepiej stosować go już w trakcie sytuacji taktycznej niż przed. Gdy uruchamiasz Eynet, zanim rozpoczniesz działania, jest tyle możliwych przyszłości, że Ran może się zagubić w potencjalnych przebiegach akcji. Gdy zaś Najlepsi Imperatora zaczną już działać, liczba przyszłości się kurczy. Łatwiej wtedy przyjąć odpowiedni wzór.

Wniknąłem w kolczastą ścianę i zrozumiałem jej wielowymiarową strukturę. Zobaczyłem drzwi. Rzeczywiście były wpasowane w formę i trudno było je dostrzec. Zapisałem we frinie wzór zamka. Za ścianą była taka sama wąska przestrzeń. I znowu drzwi, po drugiej stronie sfery. I tak

jeszcze dziesięć kolczastych warstw przesuwających się przeciwbieżnie, z drzwiami umieszczonymi zawsze po przeciwnej stronie. Mieszkaniec pałacu istotnie miał paranoję.

Wniknąłem do środka.

Wszędzie panowały te dziwaczne ciemności, więc postrzegałem bardziej kształty niż barwy, jakby wszystko odcisnęło się w ciemnym aksamicie.

Byłem w wielkiej, okrągłej komnacie, w której zmieściłby się Smok. Wypełniona była słabym czerwonym światłem. Pod ścianą siedział na czymś w rodzaju skomplikowanego, zaopatrzonego w baldachim czarnego łoża i fotela zarazem... jakiś gość. Widzieliście kiedyś obcą cywilizację inną niż CIII, inną niż Whale, podobną do nas, ale przerażająco i fascynująco różną, taką nie z holmów science fiction? Rozumiecie – *prawdziwą*? Na początku jest wielki szok, ale za chwilę na osobników obcej rasy patrzysz trochę jak na inteligentne zwierzęta. Na naszych planetach jest mnóstwo zwierząt. One są, w pewnym sensie, obce. Osobnik ten był podobny do człowieka. Duży, mniej więcej trzymetrowy, tak jak wszystko dookoła ledwie widoczny, szarosrebrny, odcisnięty w wielowymiarowej ciemności, zaopatrzony w egzozkielet z wieloma srebrnymi żebrami wzmocnień, chyba umięśniony, potwornie przestraszony. Miał długą, bladą, jakby końską szczękę, bardzo długie uszy, większe od ludzkich, mocne krowie zęby i mięsiste wargi. A także nienaturalnie długi nos, duże, szeroko rozstawione oczy, długą, wyciągniętą w tył czaszkę i rogi. Gdyby nie to, że byłem w Eyenecie, prawdopodobnie w tym momencie parsknąłbym ze śmiechu, ale towarzyszyła mi tylko euforia, więc siedem rogów sterczących z długiego łba tylko lekko mnie rozbawiło. Nogi miał dziwne: krótsze niż nasze kości udowe, krótkie piszczele i strzałki, za to bardzo długie kości stóp... Chodził na palcach. Nie – to bydlę miało kopyta. Podobne do miękkich, wielbłądzich, rozszczepionych. Nie kopyta, tylko racice z dwoma dużymi i jednym

mniejszym palcem ustawionym dośrodkowo.

Na RanStone ciężki jak grób.

Racice.

Rogi.

To jest przecież diabeł.

– *Taak* – szczyry żelazne zęby Lee Roth i zagłada mi w oczy – *a czego się spodziewałeś, Torkilu? Największa tajemnica pochodzenia homo sapiens musi mieć najmroczniejszą formę, czyż nie?*

– *Lee, to jest porąbane.*

– *Doprawdy?*

– *Znikaj.*

– *Wedle rozkazu.*

Demon wsiąka w niebyt.

Przed królem tkwią, przymocowane do podłoża, potężne, długie na kilkanaście metrów konsole z niezliczonym mnóstwem drobnych jak ziarnka maku... przycisków? Niemożliwe, żeby były dotykowe, bo są zbyt małe, zbyt blisko siebie ułożone, podobne bardziej do szczotki niż do klawiatury. Zdobione są wystającymi srebrnymi pręcikami.

Odczuwam ślad zdumienia, choć w Eyenecie jest to dość trudne. Nielewitujące przedmioty, siedzenie na łożu, przypominające trawę pręciki? Gdzie ta zaawansowana cywilizacja? Gdzie latanie, gdzie arealium? No tak, nawet jeśli jest, nie mogę go zobaczyć. Zliczyłem te pręciki. Osiem milionów. Czyżby łączność z planetami królestwa? Widziałem króla? Naprawdę nam się udało? Wniknąłem w niego. Miał narządy bardzo podobne do naszych. Większy mózg, duże obszary węchowe i słuchowe – oni mają doskonały węch i słuch – na języku coś w rodzaju narządu Jacobsa, czyli smakują powietrze, oczy bardzo duże, większa głowa, szersze barki i biodra, ogólnie szeroka rama. Więcej nie zobaczę. Gdy do niego dojdziemy w trzech

wymiarach, jeszcze go zeskanuję...

Odwracam się. Pod lewą ścianą stoją w stanowiskach podobnych do tych, których my używamy jako sloty na pancerze... kobiety. I tu zaskoczenie. Niektóre wyglądają zupełnie normalnie. Są nawet piękne w niewytłumaczalny, nieludzki sposób. Wysokie, blade, niektóre łyse, inne mające proste, gęste włosy, wąskie w talii, smukłe niczym mityczne elfice. Są także kobiety niskie, szerokie w barkach i biodrach, przypominające bardziej kule bilardowe niż ludzi. Jeszcze inne mają nieproporcjonalnie szerokie biodra, dość potężne uda, tułów również szeroki, zwężający się ku górze. Ślicznotki podobne do króla. Widzę też szkarady podobne do kocic lub przypominające skrzyżowanie człowieka z ptakiem. Wzbudzają niesmak nawet Rana w eyenecie. Przypływa leniwe skojarzenie, że mityczne elfy, krasnoludy, dziwaczne stwory na ścianach świątyń to wszystko efekty eksperymentów szalonego władcy z fatalną skłonnością do modyfikowania ciała swojego i podwładnych. W sumie nic nowego. W Imperium byli i są ludzie, którzy zmieniają kolor skóry, przekuwają ją, dodają sobie kończyny... Łapię się na tym, iż konstatacja ta sugeruje, że Warui wyglądają jak te elfice, a wszystkie potwory, które tu zobaczyłem, z królem włącznie, są wynikiem genetycznych manipulacji. Czy to nie zbyt daleko idące założenie? Może jest odwrotnie?

Wszystkie kobiety są przybrane w powłóczyście, kontrastujące z pomieszczeniem, jaskrawe, jakby fluorescencyjne szaty.

Szaty...

Meandry...

Ozdoby...

Ambicje, dążenia...

Po co?

W jakim celu?

Zrobiło mi się tak dobrze, że zapomniałem, po co tu jestem. Śmignąłem na zewnątrz, by obejrzeć tkwiący w ciemności, jakby odcisnięty w antracycie *Nemesis*, potem do statku, by zajrzeć w oczy Imperatorce i Colterowi, a następnie w różne zakątki Andromedy. Zobaczyłem miliony planet zamieszkałych przez tę dziwną, mroczną rasę i wszędzie dostrzegłem to niezrozumiałe zróżnicowanie morfologiczne: istoty piękne i smukłe, niskie i szerokie, podobne do satyrów, ptaków i kotów. Zamieszkiwały głównie globy oświetlone światłem czynnych, wielkich, jakby specjalnie wyhodowanych wulkanów. Widziałem fabryki tak potężne, że zawstydziłyby nasze Worplany, a w fabrykach tych obcych soulerów zespolonych z maszynami, oddychających toksycznymi wulkanicznymi wyziewami. Widziałem czarne miasta tak wysokie, jak nasze polie nigdy nie były, nawarstwione na sobie, wyrosłe na ruinach poprzednich stuleci. Widziałem społeczności posłuszne do granic rozsądku, zniewolone, pozbawione tożsamości, a wszystko za sprawą zaburzonego króla, który ma obsesję na punkcie własnego bezpieczeństwa. Widziałem bunt soulerów wiele wieków temu, który skończył się wprowadzeniem obróż i modułów wydzielających feromony, z przewagą feromonu posłuszeństwa, na który wszyscy mieszkańcy królestwa są uwrażliwieni. Widziałem jeden wielki eksperyment socjologiczny pokazujący, jak kończy społeczność rządzona przez idiotę, który myśli tylko o sobie, hamuje postęp i prace nad sztuczną inteligencją, bo nad nią nie można mieć stuprocentowej kontroli, który polega wyłącznie na obrożach i systemie inwigilacji, a jego brak ufności jest tak wielki, że w swoim pałacu zamontował... sensory pozwalające wysadzić każdą zamieszkaną planetę.

Ale to wszystko już mnie nie obchodziło. Odpływałem, odpływałem, odpływałem.

Nic już nie jest ważne.

Tylko niebiańska muzyka.

Tylko przyjaciele, o których dawno zapomniałem.

Tylko istnienie nieograniczone żadną przeszkodą.

Tylko wiedza, która wlewa się we mnie strumieniami, a z każdą kroplą jestem prawdziwszy, wypełniony tożsamością tak piękną, tak ostateczną i naturalną, napęczniałą miłością...

Miłość. To stan permanentny. To stan ostateczny.

Jesteśmy kosmitami. Nasza tożsamość jest kosmiczna, nasza trójwymiarowa egzystencja to gra nas samych, oddalonych, ale istniejących jako świetlne punkty. Te same punkty bawiły się kiedyś kręgami w zbożu. Doznania śmierci klinicznej, doznania Wielkiej Przestrzeni w Eyenece to nie śmierć, lecz powrót do społeczności, którą niegdyś fascynaci nazywali UFO.

Ach...

Ta przestrzeń.

To uczucie radości.

Beztroski.

Wiedzy.

Upajające...

I ci przyjaciele!

Idę do was!

Widzę wasze światło!

Jestem w domu!

Nareszcie jestem w domu!

Mój boże, jak dobrze!

Jak pięknie!

Jaka ulga!

Jaka radość!

Wreszcie wszystko rozumiem!

Torkil.

Co za nieprzyjemny głos.

Torkil.

Chropawy, nieładny, przeszkadzający.

TORKIL!

Ten głos psuje obraz, przestaję widzieć.

MÓWI TELL!

Ach, Tell. Zamilcz, Smoku!

TU TELL!

WRACAJ!

Cicho! Nie chcę cię słuchać!

WRACAJ, PRZYJACIELU!

WRACAJ, JESTEŚ W EYENECIE!

Nie! To ty jesteś w jakimś necie. Ja jestem w prawdziwej rzeczywistości! Psyche jest informacją, tylko informacja jest prawdziwa, czas i przestrzeń to wirualia, arealium! Widzę teraz ten matrix!

WRACAJ!

Nie chcę cię słuchać! Nie przeszkadzaj!

WRACAJ, MÓWIĘ!

Nic nie widzę! To przez ciebie! Odejdź!

TOOOOOORRRRRRKIIIIILLLLL!!!

Nie!

Nie!

Nie!

TOOOOOORRRRRRKIIIIILLLLL!!!

Nie chcę! Nie do ciała! Nie do niewiedzy! Tutaj wszystko wiem... wiedziałem, ale już zapominam. Nie chcę do tego wstrętnego, ciasnego ciała, pełnego bólu i niewygody!

TORKIL, BŁAGAM CIĘ. Przyjacielu, błagam cię. Usłysz mnie. Usłysz. Błagam. Jeśli jesteś bodhisattwą, a wierzę, że jesteś, wróć. Pomóż nam. Współczucie. Współczuj nam. Pomóż nam.

Nie poradzicie sobie beze mnie?

Nie damy rady, przyjacielu. Wróć. Błagam cię.

Ale tu jest tak pięknie.

A tu jest okropnie. Masz odwagę się z tym zmierzyć?

Tell, jesteś demagogiem. Wiesz, że mam taką siłę.

Ale uczciwym. A ty podobno jesteś cholernie odważnym gościem.

Tak mówią.

I ja tak mówię. Udowodnij to.

Tell... przez ciebie płaczę.

Udowodnij to.

Gdzie to ciało?

Jakby w odrętwieniu, jakby wbrew sobie odnajduję je pośród wielu kart Libri Mundi. Jeszcze chwila, jeszcze cząstka wieczności i nie odnalazłbym go. Tkwi w tej śmiesznej zbroi, z której podobno jestem bardzo dumny. Jest niewygodne. Ogranicza wielowymiarowe zmysły, robi ze mnie imbecyla, który zapomina i skupia się na wąskim aspekcie rzeczywistości. Zaraz odbierze mi to szerokie widzenie, to szerokie rozumienie, tę przestrzeń. Znajdę się w wąskiej czarnej rurze z jednym, tunelowym widzeniem. Gdy ludzie umierają, widzą tunel. To wyzwalanie się z jednostronnego, ograniczonego postrzegania. Oto, czym jest. Z drugiej strony dzięki temu ograniczeniu, temu życiu bez wszechwiedzy ujawniam prawdziwe cnoty, których nie potrafię okazać tu. To test na to, kim jestem. Tylko ograniczenie wszechwiedzy rozwija, wszechwiedza to śmierć rozwoju.

Ależ w tym ciele zimno. Ależ ciasno. Nieprzyjemnie. Dobrze, że mam te zmysły Rana i że otrzymuję paki od Jeffa. Tak, od Jeffa na granicy światów.

Cieszę się, że je mam, inaczej zupełnie bym zwariował. Przebywanie w ciele to szaleństwo.

Jestem w nim.

Okropne uczucie.

Swędzenie.

Ciasno.

Ból kolan.

Ból żołądki.

Kaszlę.

– *Dzięki, przyjacielu* – słyszę przekaz od Tella.

Na razie nie jestem w stanie odpowiedzieć. Szok po zbyt długim przebywaniu w Eyenecie. Dookoła trwa pandemonium. Słyszę gromy, godzą we mnie fale uderzeniowe, zarówno fizyczne, jak i duchowe. Drży Coremour, RanStone chce się wyrwać z piersi, rubinowy talizman grzechocze o płyty pancerza, Anioły i Anielice, Demony i Diablice nigdy jeszcze nie były tak wielkie, tak potężne. To już nie są duchy, to realne stworzenia, dotykalne, widoczne. Ich skóra lśni polerem, włókna na ich ramionach drżą, ich skrzydła szumią, gdy rozrywają kolejne warstwy poszycia obcej struktury, a szpony przedzierają się przez ściany. Przestrzeń jest tak ugięta, że mury pałacu pękają, wszędzie śmigają ukruszone kolce, chwilami trudno odróżnić, co jest prawdziwe, a co wyobrażone, bo po stronie duchów rozgrywają się, jakby w przyspieszonym tempie, dziesiątki nałożonych na siebie, porozwarstwianych historii. Widzę królestwa, lasy, zamczyska, cywilizacje, które rodzą się i upadają. To jakby sprasowana wielowarstwowa księga możliwych historii świata. Czyżbym widział Liber Mundi?! Chaos animacji, wstęg, płomieni, błysków i promieni, wszystkich tych fajerwerków serwowanych przez friny i jeszcze tłumy serafów. To paranoja, schizofrenia, ledwo widzę, ślepnę...

Widzę czworo swoich duchów wywołanych przez Sina i Dexa. Chociaż wciąż w szoku i tracący orientację, sam wywołuję kolejną parę, mając nadzieję, że instynkt Rana poprowadzi mnie we właściwą stronę. Słyszę głęboki, sięgający dołu brzucha bas, który towarzyszy wyłanianiu się czarta i anioła. Lee przelotnie się do mnie uśmiecha. Przez ułamek subiektywnej cetni widzę jego metalowe zęby i czerwone ślepia poznaczone włóknami tęczęwek. Anielica gładzi mój policzkek długimi, jasnymi palcami. Dookoła trwa zamieć rozpruwanych, obracających się w zwolnionym tempie pancernych płyt.

– *Ale jatka.* – Widzę gębę Nexusa pod górną krawędzią pola widzenia. Syd dodaje do menu wyobrażenie setek splątanych lin. Tak, rzeczywiście tak to wygląda.

Jego mechaniczne oblicze przywołuje mnie do rzeczywistości. Rzeczywistość. Tak, to jest rzeczywistość.

Samuel Kroz, chociaż młody i niedoświadczony, także uwolnił swoich opiekunów. On nie widzi moich duchów, podobnie jak Paula, dla której wszystko musi wyglądać jeszcze bardziej egzotycznie. Coś dziwnego dzieje się z przestrzenią, coś huczy i nagle Ranowie, niczym czarodzieje, wpływają na materię.

– *Torkil?* – To głos Laurusa. Jego twarda, napięta z wysiłku gęba widnieje na podglądzie. – *Wejdiesz w ten Eynet?*

Dołącza cząstkę emocjonalną świadcząca, że jest bardzo skupiony.

– *Wszedłem.*

– *Masz Wzory?*

– *Nie. Ale wiem, kto tam siedzi.*

– *No* – mruczy Lea i strzela serią z Axeli wiszących nad jej potężnymi naramiennikami. Rozsadza szczelinę stworzoną przez duchy. Odłamki powoli odlatują, żarząc się i pozostawiając nieruchomą spiralę dymu. – *Nie*

wiem, co robi te wyrwy, zakładam, że wasze duchy, ale robi to nie dość szybko. Pospieszcie się.

Tylko pani Stone może tak marudzić. Przesyłam men dotyczący odkryć w Eyenecie.

– *Jam jest baranek, który gładzi grzechy świata* – komentuje na otwartym kanale Smok.

– *Tell* – mityguje go Quai.

Dodaje symbol Suverów – zwiniętego w koło Smoka – prawdopodobnie, żeby go przywołać do porządku.

– *No co? Przecież wypisz, wymaluj. Wszystkie te greckie i egipskie hybrydy, zamilowanie YHWH do bydła, rogaty Mojżesz, minotaur, cheruby, sumeryjskie demony, wszystko się zgadza! Długie czapki na łbach kapłanów imitujące podłużne głowy, korony imitujące rogi. Wasz bóg jest baranem, ja nie mogę!*

– *Nieźle, nieźle* – komentuje menowo Logan, dołączając emocjonalno-wyobrażeniowe potwierdzenie, że jemu także wszystko się układa w zgrabną całość. Długie nosy i spłaszczone głowy u Majów i Egipcjan, wielkie uszy jako znak mądrości u buddystów. – *A oni po prostu mają wielkie mózgi, świetny węch i słuch, bo mieszkają w ciemności* – dodaje.

– *Hej!* – przesyła pak Martina. – *Chcesz powiedzieć, że wystarczy nacisnąć te guziki i mamy problem z głowy?*

Ona nie traci z oczu głównego celu. Załącza wyobrażenie szybkiego załatwienia sprawy i otrzepania rąk. To otrzepanie rąk jest bardzo podkreślone.

– *Niezupełnie* – odpowiadam. – *Możemy wysadzić ich planety, ale w ten sposób nie zlikwidujemy floty. Nawet jeśli unicestwimy globy, statki pozostaną.*

– *Więc co? Może chociaż kilka? Wtedy wrócą do siebie i zostawią nas*

w spokoju – zachęca Dominic.

– *Będą wiedzieli, że to działalność króla* – mówi Barbara. Ona lubi się nie zgadzać z ochroniarzem Nexusa.

– *Nie skorzystamy?* – Ramona nie może uwierzyć. Załącza wyobrażenie niszczonego WayEmpire i współczucie dla rodaków.

– *Nie* – decyduje Laurus. – *Musimy zniszczyć planety i flotę. Planety i flotę* – podkreśla i dodaje emocje wzmacniające „i”. – *O ile to oczywiście możliwe.*

– *Dlaczego jeszcze ich tutaj nie ma?* – pyta Quai. – *Król ich przecież zawiadomił...*

– *Może zepsuł się moduł komunikacyjny?* – śmieje się Martina.

Demony i Diablice, Anielice i Anioły rozrywają wreszcie do końca wewnętrzną pokrywę pałacu. Pierwsi przez wyrwę wlatują Agonai, potem Smoki, wreszcie Toy Soldiers z Angelą.

Za nami ładują się Samuel Kroz, Tanya „Paula” Kitaro i Angeli Mortis.

Pojawia się więcej serafów. Drży RanStone. Zaczynam czuć niepokój, jak wtedy, gdy mierzył do mnie Han Fierce...

– *Uwaga* – odzywa się Hans Colter. – *Dookoła pałacu wylaniają się statki wroga. Dziesięć... dwadzieścia, pięćdziesiąt, sto jednostek! Pancerniki! Pospieszcie się!*

– *Spieprzamy? Namiary na to miejsce już mamy!* – pyta Martina.

– *Jeszcze nie! Za mało danych! I za mało statków!* – komenderuje Laurus.

– *Ale RanaR, one nas zmasakrują! Nemezis nie ma takiej mocy, żeby...* – krzyczy Colter.

– *Aniołki* – nadaje Felix – *wylatujemy ze skorupy. Toy Soldiers, Besebu-Ran i reszta towarzystwa dadzą sobie radę. Damy popalić tym statkom.*

Pustka międzygalaktyczna

Poblize Ramienia Krzyża Drogi Mlecznej

Sektor 5857/43278/4657

09 Decimi 232 EI, 00.15 H

Jefferson „Spaceman” Ray, przebywający w jednym z Erri toczących bój z flotą najeźdźców, spojrzął na Tytanusa Sixtusa Orygenesesa. Ten odchylił przyłbicę, po której pędziły burzowe chmury.

– Boże – szepnął Jeff – będziemy potrzebni gdzie indziej.

– Także to czujesz?

Jeff potoczył ręką w geście salutu Ranów, a ruch ten otworzył widok dziwnego krajobrazu – czarnego miasta, nad którym gorzała walka. Wiszący obok niego nowy Widzący, Tyrell Dawn, szerzej otworzył oczy. Dla niego wszystko było wciąż szokujące.

– Tak – odparł.

– Weźmiesz jeden Errus – rzekł Tytanus. – Tylko jeden. Reszty potrzebujemy tutaj. Ludzkość nie da sobie bez nas rady. Ta flota – wywołał obok siebie obraz Maodionów i pancerników obserwujących ich zmagania – zginie bez naszego wsparcia.

– Wezmę Farah Adida.

– Strażnik jest twoim wielkim przyjacielem.

– I Jennefer.

– Kochasz ją?

Jeff uśmiechnął się, a z nim uśmiechnął się cały świat.

– Oczywiście. I młodego Tyrella.

– Jesteś pewien?

– Tak kazał los.

Tytanus podszedł do Jeffa i oparł mu dłonie na ramionach.

– Powodzenia, Mały Bracie.

Arealium
Talizman topazowy Torkila Aymore'a
Czas realium:
09 Decimi 232 EI, 00.19 H

Otwieram kolejne wspomnienie, krwistoczerwone, poznaczone czernią i kanciaste. Widzę to samo. Ojciec molestuje Kaję, a nazywa ją Pauline. To musiał być stały schemat: Kaja udawała Pauline i dawała się gwałcić ojcu. Wciąż nie pojmuję dlaczego, wciąż nie wiem, skąd się brała odwaga Kai, ale w pełni rozumiem Pauline, która broni się przed myślą o wskrzeszeniu rodziców. Kto by chciał na jej miejscu?!

Wychodzę, zanim wspomnienie się kończy. Nie jestem w stanie go znieść. Ja – obserwator – nie potrafię. Ona musiała. Nie miała wyjścia, nie mogła wyskoczyć z ciała jak ja ze wspomnienia...

Lecę głową w dół dalej w przeszłość. Chcę znaleźć pierwocinę. Kuszą czerwienią kolejne bryły, światło centrum wspomnień oddala się za moimi stopami niczym słońce gdzieś nad powierzchnią czarnego oceanu, ale nie zatrzymuję się. Nie wytrzymam więcej tych okropności, powtarzających się strasznych obrazów, muszę zobaczyć przyczynę. Na szczęście frin mi w tym pomaga. Widzę bryłę, dużą i straszną, czerwono-czarno-żółtą. Barwy są odgraniczone, mocno zaznaczone, intensywne. Żółć w połączeniu z czernią to wielkie napięcie psychiczne, na granicy życia i śmierci. Samobójstwa. „Ojciec, Pauline, strach”. Biorę cyfrowy wdech i wchodzę.

Igor siedzi na fotelu. Jak zwykle pijany. Kiwa grubym, owłosionym palcem na Kaję. Po drugiej stronie pokoju stoi Pauline. Nie słyszę matki. Cisza w apartamencie. Są sami. To straszny czas dla dziewczynek. Nie ma

Natashy, która by je obroniła.

Kaja posłusznie podchodzi do ojca. Czuję jego przesycony alkoholem oddech, czuję ostry, zatykający krtani pot. Pokazuje jej, żeby usiadła mu na kolanach. Dziewczynka robi to, ale trzęsą jej się kolana.

– Nie zrobisz mi krzywdy, tatusiu? – pyta cichym, drżącym głosem.

Po policzkach obserwującej to Pauline płyną łzy strachu.

– No coś ty, Kaja – mruczy Igor – takiej gładkiej dziewczynce? Jak mógłbym ci zrobić krzywdę? To tylko uzdrawianie, tatuś będzie cię leczył...

Zaczyna głaskać ją po plecach.

– Zobacz – jego głos jest chrapliwy, a oddech coraz bardziej śmierdzi gorzałką – zobacz, jakie to miłe.

Kaja patrzy na Pauline. Mam wrażenie, że bezgłośnie mówi do niej „Pomóż mi!”. Pauline stoi jak sparaliżowana. Rączki ma opuszczone wzdłuż ciała, dłonie co chwila zwijają się w pięstki. Przesłupuje z nogi na nogę.

Mężczyzna kładzie rękę na udzie Kai.

– O, tutaj też jest leczenie. Zobacz, jakie przyjemne...

Dziewczynka zaczyna drżeć.

– Oj, nie bój się, Kaju – chrypie Igor.

– Ale ja się... troszkę... boję.

– Niepotrzebnie. Zobacz, tatuś tutaj coś ma...

– Tatusiu, nie wyciągaj tego, proszę cię...

– Ale nie bój się...

Dziewczynka zaczyna się wyrywać. Ojciec traci cierpliwość.

– No kurwa, mówię, się nie bój!

Rzuca ją na fotel, zrywa spódniczkę wraz z majtkami, obnaża członka i zaczyna nim dotykać nagich pośladków Kai. Ta krzyczy, więc zatyka jej usta pulchnymi paluchami.

Kaja dusi się, patrzy przerażona na siostrę, a ta patrzy na nią. Pauline jest

wystraszona, ale dziękuje opatrności, że nie jest na miejscu Kai. Kaja odwrotnie – wie, że są identyczne, więc równie dobrze to Pauline mogłaby być na jej miejscu. Chce się wyrwać, uciec, ale ręce ojca są zbyt silne. Jej obrzydzenie jest tak wielkie, poczucie niesprawiedliwości tak olbrzymie, pragnienie zamiany z Pauline tak ogromne. Wyrwać się, wyrwać się, wyrwać się. Ratuuuuunku!!!

Nagle Kaja patrzy z perspektywy Pauline na siebie molestowaną przez ojca. Dziewczynka, krępowana przez Igora, otwiera szeroko oczy, gryzie go w palce, wyrywa się i z wrzaskiem ucieka. Obserwująca to Kaja także krzyczy i biegnie za siostrą. Zamykają się w pokoju.

Ojciec za drzwiami klnie.

– Kurwo jebana, ugryzłaś mnie! Wypierdalaj, kurwa, wypierdalaj! Nie nadajesz się do leczenia tatusia. Polka! Polka będzie lepsza, kurwa, ty się nie nadajesz. Polka! Myj jutro dupę, kurwa, koniec czułości!

Dziewczynki patrzą na siebie przerażone.

– Pauline? – szepcze Kaja w ciele Pauline. – To ty?!

– Tak – odpowiada szeptem druga – to ja, ale chyba... w twoim ciele!

– A ja jestem w twoim. O Boże, co się stało?!

– Nie wiem. Boję się!

– Ja też, ale nie bój się, Paulinko, to na pewno przejdzie. Zaśniemy i się z powrotem wymienimy. Zobaczysz, sen wszystko uzdrowi. Ja miałam takie sny, w których wędrowałam po domu...

– Ty też?

– Tak.

– O Boże, Kaju, on mnie jutro... tak jak ciebie.

– Wiem, Paulinko, wiem, przytulmy się...

Koniec wspomnienia.

Wypuszczam powoli powietrze i masuję cyfrową pierś.

To straszne. Potworne dzieciństwo.

Nikt na coś takiego nie zasłużył.

Przełykam ślinę i zmuszam cyfrowy mózg, by zaczął pracować jak mózg gamedeca.

Co tam się stało?

Co tam się, do diabła, stało?

Wymieniły się... psychikami?!

Przecież to niemożliwe! Psyche nie przeskakuje tak sobie z głowy do głowy, nawet w przypadku bliźniąt! Cóż z tego, że są do siebie bardzo podobne, że mają bardzo podobne układy neuronalne. Przecież to się nie zdarza! Rozumiem, że były napięcie, agonia, lęk, ale niemożliwe, żeby skutkiem był przeskok psyche! I to jaki! Z zamianą!

Nagle przypomniałem sobie relację niedoszłej ofiary terrorysty, gdzieś z dwudziestego pierwszego wieku, z Norwegii czy Szwecji. Zbrodniarz najpierw zdetonował w mieście bombę, a potem zamordował na jakiejś wyspie kilkadziesiąt osób w przebraniu policjanta. Jednym z tych, którzy przetrwali, był młody chłopak. Mówił, że gdy patrzył na koniec lufy, czuł, że jego dusza opuszcza ciało, że wychodzi z niego, wyrywa się. Jego słowa były tak przejmujące, że gotów byłem uwierzyć, że psyche naprawdę próbowała się ewakuować.

W przypadku Kai agonia była pewnie równie silna, a psyche miała się dokąd ewakuować. Do bliźniaczego ciała.

Ale, na RanStone, czy to możliwe?!

Galaktyka Andromedy
Pustka międzygwiazdowa
Kwadrant 43/5455/26245/2432

– *Toy Soldiers! Zostają tu tylko Medowie!* – krzyknął menowo Laurus, przedstawiając wyobrażenie podziału grupy. – *Lewi i Prawi na zewnątrz! Zajmijcie te statki! Angela, Kroz i obstawa Błogosławionych...* – *wedle woli!*

– *Ja zostaję* – mruknęło trzech Samuelów.

– *My się rozdzielimy* – oznajmiła Środkowa Angela. – *Ja zostaję, Sini i Dexi na zewnątrz.*

Nie wiem, co jej odpowiedziały, na pewno coś dowcipnego i uszczypliwego.

Byłem Dexem. Spojrzałem na Sina. Błysnął znakiem Ranów na szczycie hełmu, tuż nad wizjerem w kształcie anioła, a potem leniwie obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni.

Ruszyliśmy na zewnątrz przez otwór zrobiony przy pomocy duchów i dalej, do drugiej wyrwy, która zdążyła się sporo od nas oddalić wskutek rotacji zewnętrznej warstwy pałacu. Gdy wyprysnęliśmy w czarny kosmos, *Nemesis*, ledwie widoczny, bo z wygaszonymi światłami, był rozszczelniony w kilku miejscach. Widziałem cienkie młeczne słupy powietrza uciekającego z kolistego kadłuba, gdzieniegdzie iskrzenie i ledwie widoczne dymy, ale statek wciąż żył. Jego mózg informował, że homeostaza troniki jest zachowana, a systemy mają pokaźne rezerwy regeneracyjne. Do jego burt przyklejone były Błękitne Żuki. Widziałem tylko ich cyfrowe animacje. Panczerze inżynierów miały włączony aktywny kamuflaż. Zrobiłem zoom na animację Kyle'a. Dzielny chłopak używał wszystkich portów z mikrobotami, by załatać dziurę w statku, a jego cztery kończyny poruszały się niezwykle szybko, mimo że oglądałem go w maksymalnym przyspieszeniu.

Powodzenia, synu.

Kyle na chwilę podniósł swój demoniczny pancerny łeb, a jego czerwone wizjery wycelowały prosto we mnie. Poczułem jego pozdrowienie jak słodką falę przenikającą ciało, w szczególności nadbrzusze, tam gdzie jest splot słoneczny. Było to pozdrowienie nie syna, ale dorosłego mężczyzny, innego niż ja, nie czującego, że ma połowę moich genów (tak jak ja nigdy nie czułem, że mam połowę genów Baltazara), będącego odrębną jednostką, ale pełnego nielogicznej, choć dziwnie pięknej lojalności.

Powodzenia, ojcze.

Moja Anielica rozpostarła szerzej skrzydła, a Demon wyszczerzył kły.

– *Skoncentruj się, Torkil* – mruknął bies, a od jego basu zadrżała mi klatka piersiowa.

Spojrzałem na mrowie wrogich pancerników ukształtowanych na podobieństwo mocno spłaszczonych piramid. Widziałem je, podobnie jak pałac wroga, tylko dzięki animacji krawędzi, którą generował *Nemesis*. Obraz był zamazany i co chwilę drgał, ale wydawał się w miarę czytelny.

– *I zobaczyłem chwałę Pana* – nadał Tell. – *Zawsze uważałem, że ta „chwała” to nic innego, tylko statek kosmiczny, koniecznie w kształcie trójkąta, rozumiecie, boskie oko.*

– *Tell, błagam cię...*

– *Już się zamykam.*

Ze statków obcych wyprysnęły dziesiątki, a potem setki myśliwców w kształcie paskudnych podłużnych mord.

– *A ja miałam cię osłaniać* – westchnęła totowo Angela Dex.

Podleciała do mnie i ustawiła się plecami. To była typowa dla nas pozycja bitewna. Sini z pewnością była już z Lewym.

Odruchowo rozejrzałem się za Suverami, ale oba Smoki pozostały z Medami, w środku, podobnie jak obstawy. Taki był obyczaj. Orszak pilnuje Środkowego.

– Skoncentruj się, Angie.

Przesłała swoją hotkę z wyszczerzonymi kłami. Wiedziała, że to moja ulubiona.

Spojrzałem na statki wroga, te wielkie i, jak się zdawało, nieruchome, oraz małe, których liczba wzrastała ciągle, jakby dążyła do nieskończoności. Staralem się wyobrazić sobie wszystkie salwy, którymi poczęstują *Nemesis* i nas. I zdałem sobie sprawę, że za chwilę możemy zginąć.

Kiedy po raz pierwszy ruszasz do boju, masz prawo czuć tak wielkie przerażenie, twoje członki mogą być tak omdlałe, a pewność porażki tak wielka, że oszalały rzucasz się na wroga tylko po to, by szybko i w miarę bezboleśnie zginąć. Kula uderza w czaszkę, ale nie słyszysz ciosu i nie czujesz go. Widzisz błysk, następuje wysoki pisk, potem zaś cisza, wreszcie zapadasz w mrok przy narastającym wibrato i czujesz w głowie dziwny, kwaśny smak. Na końcu wita cię nic – ostateczny psychiczny punkt, z którego być może kiedyś, w wyniku wielkiego wybuchu, powstał wszechświat. Punkt ten jest tak niemożliwy, że myśląc o nim, człowiek zaczyna popadać w szaleństwo i pewnie dlatego musi albo umrzeć, albo stworzyć świat. Być może te akty są w jakiś sposób powiązane. Rozumiecie: śmierć jako symfonia tworzenia. Wracając do początku bitwy i stanu psychicznego żołnierza, może być też tak, że rzucisz się na wroga, oszalały, oślepy i ogłuchły, ale przypadkiem wygrasz pierwszy pojedynek, unikniesz pierwszej kuli, a potem pokonasz drugiego przeciwnika i stwierdzisz, że jesteś ciekawy, co będzie dalej. Tak, ciekawy. To uczucie także jest obecne na tak zwanym polu chwały. Zaczynasz widzieć jaśniej, przyzwyczajasz się do chaosu starcia, oczy zerkają w lewo i w prawo coraz szybciej, szyja zyskuje elastyczność, powoli orientujesz się w sytuacji, masz nadzieję, że być może uda ci się przetrwać jeszcze hektę, może dwie. Ale czy przeżyjesz dostatecznie dużo starć, by zebrać doświadczenia, by zdążyć się czegoś

nauczyć z prawdziwej wojny, nie z poligonu? Czy dożyjesz chwili, w której powiesz o sobie „weteran”, czyli ten, który wiele razy uniknął śmierci, był w dziwnych, niespodziewanych sytuacjach i ocalał dzięki własnemu sprytowi, wskutek działań innych ludzi, a czasami przez przypadek? Czy staniesz się człowiekiem, który umie się instynktownie ustawić w miejscu, w które nie trafi bomba, w czasie, gdy nie padnie żadna seria, w takich okolicznościach, gdy zwykły pech nie sprawi, że mur za tobą się zawali i zakończy twe życie? Czy zdążysz się nauczyć sunąć po fali, jak pokazuje karta dwójki monet, symbol Ranów?

Takie myśli przemknęły mi przez głowę w ciągu dwóch subiektywnych cetni, gdy niespełna pięćdziesięcioro Aniołów Śmierci (piętnaścioro roztrojonych) rzucało się na kilkanaście tysięcy myśliwców wroga, za którymi czaiło się sto statków macierzystych wielkich jak pół pancernika klasy *Invincible*. Nawet w Skymourach walka z tym przeciwnikiem była skazana na przegraną. W Coremourach byliśmy po prostu niezauważalnym pyłkiem, czarnymi gwiazdami na czarnym niebie.

Jednak byliśmy Ranami.

I mieliśmy swoje duchy.

Dlatego każdy z nas instynktownie, bez porozumienia z resztą, postanowił zrezygnować z tańca z myśliwcami i wybrał sobie za cel jeden wielki statek. Każdy Aristos Imperialis wziął głęboki wdech, a anioły i demony krzyknęły unisono wojenną pieśń, bo tym razem naprawdę walczyliśmy o życie, czyli o wszystko. O kolejne uderzenie serca. O kolejny wschód słońca nad Gają. O kolejny oddech, o to, by krew jeszcze raz ruszyła strumieniem w tętnicach. O filiżankę kawy na jednym z tarasów *Teacupa*. O wiązkę fotonów uderzającą w siatkówkę, tak upragnioną w tym szkaradnym, mrocznym miejscu. Rozumiecie, o zwykłe, banalne, fizjologiczne życie. Czyli o cały świat.

– *Żegnaj, Torkilu* – szepnęła Angela.

– *Żegnaj, Angie* – odparłem i ułożyłem quille w bojowej konfiguracji, rozkładając dookoła nas wszystkie lotki. W ten sposób tworzyłem dodatkową tarczę.

Pierwsza fala myśliwców już się zbliżała.

Z moich ramion wysunęły się sprzężone działka typu Axel i oddzieliły od pancerza. Namierzyły cele. Sprawdziłem stan magazynków. Mój Boże. Czterdzieści dwa ładunki. I koniec.

– *Ognia, tygrysie!* – ryknęła Angie.

W stronę wrogów pomknęły stoty. Nakazałem każdemu uderzyć w miejsce, które według wcześniejszych obserwacji zawierało kabinę pilota, poszatkować każdego organicznego wroga na drobne kawałki. Bez litości, bez współczucia. Trzem ostatnim pociskom zabroniłem opuszczać lufy. Pędziliśmy z Angie pośród myśliwców niczym wśród zamieci, w której zamiast płatków śniegu wirowały żarzące się drobiny popiołu z gigantycznego ogniska. Nasze duchy rozrywały wrogie statki skrzydłami i szponami, nasze quille czasami wnikały w kabiny, by za chwilę z nich wytrysnąć w fontannie parującej krwi, czasami zaś w nich grzęzły, by nigdy się nie wydostać, a my, wciąż krzycząc w tę czarną pustkę, zbliżyliśmy się na kilkadziesiąt metrów do wcześniej wybranego pancernika wroga.

– *Wierzyłeś, że się tu dostaniemy?!* – usłyszałem jej głos.

– *Nie!*

Podobnie jak pałac, statek promieniował silnym polem magnetycznym. Mknęliśmy pod czarnym poszyciem, a mój demon i jej diaboliczna urosły i zaczęły orać szponami burzę przy głośnym, warczącym buczeniu tkanki rzeczywistości, tak bowiem trójwymiarowa czasoprzestrzeń reaguje na pozawymiarowy gwałt.

Jest Pauline, są Anna i Steffi, jest Lea i gromada innych, mniej mi bliskich

kobiet, z którymi kiedyś skrzyżowałem spojrzenia i których dotknąłem. Ale tylko z Angelą, która kiedyś nosiła nazwisko Baal, ale potem, zafascynowana Toy Soldiers, zmieniła je na Sky, mogłem przeżyć bitewne uniesienie. Nawet w beznadziejnej sytuacji. Angie walczyła jak tygrysica, w jej ruchach były namiętność i szal. Uwielbiałem uczucie, gdy tańczyła za moimi plecami, i nie mam wątpliwości, że ona także to uwielbiała. Szybowaliśmy wzdłuż poszycia statku, wyorując w nim coraz dłuższą szramę i czekając na śmierć.

– *Oni walą w pałac!* – usłyszeliśmy men Coltera. – *Na Buddę, oni walą w pałac!*

– *Jaśniej, kapitanie* – warknął Wilehad.

– *Większość tych pancerników nie walczy z nami, tylko atakuje sam pałac!*

Rany boskie, jak mogliśmy to przegapić?!

Hans Colter dołączył do menu schemat przedstawiający rój wrogich statków otaczający niemal równą sferą kulistą siedzibę króla. Mniej więcej siedemdziesiąt procent strzelało czerwonymi animowanymi salwami w pałac. Trzydzieści godziło w pozostałe statki i tylko z rzadka w *Nemesis*. Mnóstwo myśliwców było zajętych walką wewnętrzną, kołowało wokół siebie i wyrzynało się nawzajem. To dlatego krypa wciąż jeszcze żyła i my też!

Ale zaraz... Torkil Med jest zagrożony! I Laurus, cała jego trójka! Wilehad musiał to wiedzieć od samego początku! Musiał podejrzewać, że tak będzie. Prawi i Lewi myśleli, że osłaniają Medów, a to oni byli przynętą, nie my. Prawdopodobnie Kroz teraz żałował, że się nie rozdzielił i że został tam całą trójką. Dywersyfikacja ryzyka to jednak niezła rzecz.

– *Uwaga, zaraz coś się wyłoni z podprzestrzeni* – odezwał się Garibaldi, który wraz z Żukami opatrywał burty *Nemesis*.

Najpierw zobaczyłem blask. Podniosłem oczy. Przy najbliższym pancerniku wroga, niemal wprost nade mną, wychynął z nicości...

– *Errus!!!* – wykrzyknęli Angeli Mortis. – *Errus jest wśród nas! Czarni!*

Górq Czarni!

– *Teraz to raczej Biali!* – skwitowała Angela.

W pałac oraz statki przeciwnika uderzyła trupia, twarda poświata pojazdu Opętanych. Wszystko stało się wyraźne, kanciaste i połyskliwe. Wreszcie zobaczyliśmy wroga.

Torkil Aymore Med

Dla postronnych obserwatorów pędziliśmy wzdłuż kolczastych ścian pałacu, subiektywnie jednak leniwie się przesuwaliliśmy w kierunku drzwi, które wyśledziłem, będąc w Eyenecie, i które były na tyle blisko, by spróbować je sforsować. Gdy dotarliśmy, Lee Roth i Monika Weda już otwierali zamek, używając swoich wytrenowanych na skrzynce Laurusa umiejętności, a wrota gięły się przy tym i falowały niczym widziane pod powierzchnią krystalicznie przezierną, niespokojną wodę. Nagle zewnętrzna kolczasta płaszczyzna zaczęła się jarzyć na czerwono.

– *Uwaga!* – ostrzegł Nexus Med, a Anielica Laurusa osłoniła nas czarnym skrzydłem przed wybuchem, który w zwolnionym tempie najpierw wyrzucił ścianę, potem wybielił ją, a w końcu rozlał się na zewnątrz długimi strugami plazmy. Gdy obserwowałem, jak eksplozja przelewa się po skrzydle Anielicy, i zdałem sobie sprawę, że tylko nieliczni są w stanie ją zobaczyć, zrozumiałem, że dla kogoś niewidzącego duchów opiekuńczych osłoniło nas jakieś pole ochronne.

Diego został odrzucony na przeciwległą ścianę, ale szczęśliwie pod takim kątem, że złamał tylko kilka kolców.

– *Skurwysyny chcą zabić króla* – warknął Laurus. – *Zanim zdobędziemy informacje.*

– *Albo dlatego, że jest większym sukinsynem od nich* – rzekł Mario.

– *Optuję za tym drugim* – sapnąłem.

Przelecieliśmy przez drzwi. Jasne było, że szybciej się je otwiera, niż przedziera przez ściany, jednak kolejne wrota były po drugiej stronie.

– *Laurus, sprawdziłem. Tych kurewskich włazów jest jeszcze tuzin. Nie uda nam się dolecieć w porę.* – Przekazałem men obrazujący całą strukturę.

– *Dlaczego do niego strzelają? Chcą się go pozbyć?* – spytał Mbele.

– *Nie dowiemy się, dopóki się nie wędzemy* – skwitował Diego.

– *Uwaga!* – krzyknęła Tanya „Paula” Kitaro. – *Wasze duchy zaraz osłabną! Zaczynają tu działać inne siły! Inne Anioły!*

Spojrzałem na jej portret unoszący się pod górną krawędzią pola widzenia. Była blada i przerażona, ale po chwili się opanowała. Zacisnęła szczęki. Najpierw poczułem, a potem usłyszałem niskie buczenie, z którym wiązała się dziwna słabość.

Rzeczywiście.

Jakaś wola, niezwykle silna i nieustępliwa, działała przeciwko nam. Poczułem się jak w złym śnie, gdzie próbuję biec, ale nogi brną w gęstej smole.

– *Co to za zabawka?* – roześmiała się Lea, patrząc na miecz Tanyi, który Charonka przed chwilą wydobyła z udowego zasobnika.

– *Zobaczysz, Agonko* – odparła Paula drżącym głosem.

I ścięła kilkanaście kolców niczym żniwiarz łąn zboża. Pokruszone ostrza poszybowały w światłach ultravioletowych reflektorów, rotując i ocierając się o pancerz Stone.

– *Nieźle* – mruknęła Lea.

Czempionka Hiperprzestrzeni wzięła potężny zamach i z całej siły wbiła ostrze w mur. Patrzyłem na to, opanowując mdłości i szukając siły, by przeciwstawić się obrzydliwej duchowej napaści. Klinga weszła niemal po

rękojeść, a otaczająca ją ściana zaczęła się rozgrzewać do czerwoności.

– *Czy wy też czujecie to cholerstwo, które nas osłabia?* – wysłałem men do Ranów.

– *Sięgnij do „ja”* – nadał Laurus. – *Nie ma innej drogi, Primus. Sięgnij do „ja”!*

Ja to macka boskości.

Ja to kontakt z absolutem.

Ja to jedność i wielość.

Ja to wieczność i nieskończoność.

Ja to punkt i idea.

Ja to moje ciało.

Ja to moje granice.

Ja to moje ja.

Ja sięga do krainy informacji. Jest zanurzone w *Dominium Libri Mundi*. Czując, jak odzyskuję część sił po zmówieniu litanii, usłyszałem Nexusa krzyczącego:

– *Alleluja!*

Jego Anielica i Demon zaczęły napierać na mur w miejscu, gdzie wbiła miecz Paula. Ściana lekko się ugięła. Moje duchy i duchy Laurusa dołączyły do Nexusowych. Lee wyszczerzył stalowe kły, po części w grymasie wyczerpania, po części wściekłości, po czole Moniki ściekał pot. One były realne. Duchy były realne. Czuję wrogą wolę, która przeciwstawiała się naszej, ale teraz bardziej na zasadzie informacji niż psychicznego nacisku. Byliśmy *Aristoi Imperialis*, poranieni na *Nomorii*, znający smak śmierci i zwycięstwa, naznaczeni przez Imperatora. I nie uczono nas przegrywać. Wreszcie przepchnęliśmy się na drugą stronę w huku łamanych konstrukcji

nośnych, wśród pyłu i kawałków żarzących się okruchów.

– *Dobra metoda!* – pochwalił Mars.

– *Ale nie dość szybka* – mruknęła Angela.

– *Ten miecz nie wytrzyma wielu takich operacji* – sapnęła Paula, patrząc na ostrze.

– *Trudno, wal, Czempionko!* – zachęciła ją Lea.

Kitaro ponownie ścięła kolce wewnętrznej ściany i uderzyła. Tym razem klinga wbiła się do połowy, sycząc i warcząc, a Anielice i Demony znowu naparły skrzydłami. I ponownie poczuliśmy czyjąś potężną wolę przeciwstawiającą się naszej, powodującą, że mdlały uda, opadały ramiona, a wola walki słabła.

– *Paula, co to jest? Czym jest ta wola?* – jęknąłem.

– *Gniew Aniołów!*

– *Tych samych, co u nas?!*

– *Tttaaakkkk...*

Miecz trząsał się i warczał, jakby wściekły na materiał, który mu się opierał, ale nie gasł. Byłem mu wdzięczny za dzielność, jakby był żywym organizmem. Nie gaśnij, mieczu, proszę cię, myślałem i zdałem sobie sprawę, że jeśli jego blask zniknie, zgaśnie we mnie nadzieja. Ale klinga była mocna i nie gasła. Wyła, sypała iskrami, wściekała się, ale nie gasła, zupełnie jak ranny żołnierz, który nie stracił woli walki i mimo bólu czuje wciąż więcej wściekłości niż osłabienia. Tak, tak, mieczu kochany, bądź silny, dodaj nam otuchy...

Wybuchła ściana dwadzieścia metrów dalej. Wyglądała jak oranżowy kwiat, który zakwita, wypuszczając jęzory płatków na zewnątrz i świetliste pręciki wzdłuż strzału.

– *Zdaje się, że ktoś nas wyręcza* – rzekł Laurus.

Klinga miecza Pauli rozbłysła i zgasła. Charonka spojrzała na pustą

rękojeść.

– *Szkoda ostrza.*

Opadły mi ramiona. Coś się we mnie zaczęło załamywać.

Już miałem nadać coś pesymistycznego, gdy w jej drugiej ręce błysnęła kolejna rękojeść.

– *Dobrze, że mam jeszcze błękitny.*

Arealium

Talizman topazowy Torkila Aymore'a

Czas realium:

09 Decimi 232 EI, 00.34 H

Szukam kolejnego wyjaśnienia. Rozglądam się. Wydaję frinowi polecenie tropienia i przekazuję sprzęg wyobrazeniowo-emocjonalny, który pomoże mu wybrać odpowiedni wielobok. Pośród setek tysięcy wspomnień dla człowieka to trudne zadanie, ale nie dla inteligentnego programu. Wskaźnik zatrzymuje się na oddalonej bryle, położonej wyżej i bliżej centrum. Wielobok zaczyna błyskać. Podlatuję do niego. Obiekt jest pokaźny, czerwono-żółty z granatowymi wstawkami i czarnymi cętkami. Kolor niebieski to intelekt. Żółty zwykle oznacza napięcie. Będzie tu rozmowa o czymś bardzo ważnym, wzbudzającym lęk.

„Pauline, sekret”.

– Ten skurwysyn znowu chce mnie zgwałcić – mówi Pauline.

Jest o rok starsza niż w poprzednim wspomnieniu. Może o dwa lata.

Ma na sobie białą koszulkę na ramiączkach i białe spodnie od pidżamy. Jest wystraszona. Siedzą same w ciemnym pokoju. Na zewnątrz słychać szamotaninę. Wrzaski ojca. Krzyk matki.

– Nie bój się, Pauline, obronię cię – mówi Kaja. – Zrobimy to razem. Znowu wejdę w twoje ciało. Ono będzie naczyniem, ja pasażerem. Dzięki temu nie zgwałci ani mnie, ani ciebie. Ty nic nie poczujesz, a ciało nie będzie moje, rozumiesz?

Pauline zaczyna się trząść.

– Kaju, a jeśli jest odwrotnie? Że zgwałci i mnie, i ciebie?

– Głuptasie, wiesz, że mam rację.

– Wiem. Ale... nie wiem, czy ja zrobiłabym to samo dla ciebie.

Kaja dłuższy czas milczy. Wrzaski w sąsiednim pomieszczeniu nasilają się. Tłuczone szkło.

– To przeze mnie zaczął cię dotykać – odzywa się Kaja. – To ja przeskoczyłam do twojej psychiki i zmusiłam cię, żebyś weszła w moje ciało. Wtedy się przestraszyłaś i uciekłaś, pamiętasz? I on stwierdził, że będzie... się zadowalał tobą.

Pauline kiwa głową.

– Jestem ci to winna – szepcze Kaja.

– Nie jesteś.

– Jestem. Jesteśmy w tym razem. Zawsze razem.

Pauline przytula się do Kai.

– A może zaryglujmy te drzwi, zamknijmy je tak, że nie otworzy – mówi cicho.

– Niemożliwe. Już to robiliśmy i wtedy było jeszcze gorzej.

Siostra kiwa głową. Odgłosy za drzwiami milkną.

– O Boże, on tu idzie.

– Dalej – szepcze gorączkowo Kaja – pocałuj mnie i zróbmy to...

Zbliżają do siebie usta. Kaja zamyka oczy.

Otwiera je i widzi swoją bliźniaczkę, ale ubraną w czarną koszulkę i czarne spodnie od pidżamy. Zamieniły się. Zamieniły się ciałami. Co

więcej, nauczyły się to robić na zawołanie.

Drzwi z trzaskiem się otwierają. Staje nad nimi pijany ojciec.

– No, Polka! Dupsko umyte?

– Igor! – krzyczy z wnętrza mieszkania Natasha.

– Cicho, kurwo, bo powiem wszystkim o twoich kurestwach, o twoich...

– Proszę cię, Igor, proszę cię...

– No kurwa...

Mężczyzna obraca się na pięcie i rusza w głąb mieszkania. Słysząc głucho uderzenia i krzyk kobiety.

Wychodzę ze wspomnienia.

Wdech, wydech. Na Budkę, długo jeszcze?

Ciężar, ciężar na piersi, jakbym miał na niej otoczek, który chce złamać mostek. Rozmasowuję miejsce wyimaginowanego ucisku i głęboko oddycham. Jeśli mnie jest ciężko to oglądać, jak one musiały się czuć? To jest niewyobrażalne. Często używam tego słowa, opisując WayEmpire, ale dopiero to, do diabła, jest niewyobrażalne.

Gamedeczana część mojego umysłu, niczym wiedziona autoterapeutycznym instynktem, zaczyna analizować dane. Oddalić obrazy przemocy. Myśl, Torkil, myśl, jak za starych, dobrych czasów.

Chociaż cała historia wygląda niewiarygodnie, z faktami się nie dyskutuje. Kaja wchodziła w ciało Pauline i wtedy ojciec ją gwałcił. Miała świadomość, że to nie jej powłoka, co pozwalało przetrwać paskudny akt, a Pauline otrzymywała z powrotem swój organizm, gdy było już po wszystkim. Kaja miała wspomnienia, lecz jej ciało było nietknięte. Pauline miała skalane ciało, ale nie miała wspomnień. W sumie bardziej cierpiała Kaja. Pauline wydawała się słabsza psychicznie, chociaż to trudno wytłumaczalne w przypadku bliźniąt. Zdaje się, że urodziła się druga. Może miała minimalne niedotlenienie mózgu? Tak czy owak, niesamowity układ. W pewnym sensie

oszukały starego dziada, chociaż to za mało. Ktoś powinien był mu wyrwać po kolei wszystkie członki...

To ich tajemnica. Dlatego nie chcą się widywać. Gdy się nie spotykają, zapominają o koszmarnej przeszłości.

Ale... to nie może być wszystko. Ludzie mają traumy i jakoś sobie z nimi radzą. Są centra terapeutyczne czyszczące rany, korygujące nieprawidłowe schematy poznawcze w przypadku dużych urazów. Kiedyś były bardziej popularne, ale ciągle kilkaset w WayEmpire funkcjonuje. To bardziej centra informatyczne, bo ludzi tam nie ma, zawsze jednak to jakiś sposób.

Musi być jeszcze jakaś przyczyna. Tylko jaka?

Galaktyka Andromedy
Pustka międzygwiazdna
Kwadrant 43/5455/26245/2432
09 Decimi 232 EI, 00.39 H
Jefferson „Spaceman” Ray

Demony i Anioły. To jest broń Widzących. Oni nie strzelają z dział, nie miotają ognistych kul, nie używają laserów, akceleratorów, niczego takiego. Ich pociskami są anielice składające skrzydła na podobieństwo nurkujących orłów, ich salwami są demony prujące poszycia statków wroga jak sokoły rozrywające gołębie.

Jefferson „Spaceman” Ray patrzył na trójwymiarowe okno, którego ramami były splecione anheliczno-demoniczne ciała, i śmiał się w głos, widząc, jak pociski Errusa wdzierają się coraz głębiej w strukturę pancerników wroga, jak demony zamiatają wielkimi skrzydłami myśliwce, a anielice krzykiem rozbijają je na kwarki.

Mógł swoje pociski widzieć inaczej. Mogły to być strugi światła, smugi czerni, barwne motyle albo monochromatyczne pręty. Wizualizacja nie miała większego znaczenia, ale cykle tradycji oraz świadomość, że czarty i anioły są po prostu innymi stronami jego boskiego istnienia, powodowały, że wciąż były to biblijno-komiksowe przedstawienia.

Mały Brat rozpostarł ręce w teatralnym geście i wczuł się w energie, którymi emanowały wielkie statki, jakże podobne do biblijnych przedstawień czuwającego oka. Sześćdziesiąt siedem było przeciwnikami króla, a z nimi ponad piętnaście tysięcy myśliwców. Trzydzieści trzy stanowiły siły, które miały go chronić. Z nich wypłynęło około pięciu tysięcy małych jednostek. Tymi właśnie gigantami powinni się zająć najpierw, ale nie mogą zaniedbać także tych pierwszych. Bo to też wrogowie.

Wydawało się, że Warui – i ci względnie sprzymierzeni, i lojaliści – nie zwracają na nich uwagi, zbyt zajęci walką z sobą. Jednak Jefferson „Spaceman” Ray wiedział, że król musi przeżyć na tyle długo, żeby Toy Soldiers mogli poznać jego tajemnice. Potem trzeba zniszczyć wszystkich, o ile to możliwe.

- Sześćdziesiąt siedem – szepnęła Jennefer. – Trochę dużo, prawda, Jeff?
- Prawda, Jen. Ale zrobimy, co możemy.

Uśmiechnął się do wiszącego obok Jennefer Tyrella Dawna i wysłał prośby do duchów tysiąca zgromadzonych na pokładzie Errusa Czarnych Ranów, a ci odpowiedzieli, puszczając w kierunku statków wroga tysiąc skrzydlatych salw. Chwilę później pancerniki zaczęły krwawić, a setki myśliwców zamieniły się w kule ognia. Ranne pancerniki wysłały w stronę Errusa dziesiątki tysięcy pocisków, które żeglując, niczym w zwolnionym tempie, zaczęły szeptać nienawistne zaklęcia.

Torkil Aymore Med

Kolejna kolczasta ściana rozpadła się pod wpływem ostrzału obcych statków i być może także Errusa, bo miałem wrażenie, że widzę wnikające w strukturę anioły i demony. Przez krótką chwilę zrobiło się jaśniej – białopurpurowa poświata Widma dotarła do naszych egipskich ciemności, ale potem została ucięta nieustannie przemieszczającymi się murami pałacu.

– *Laurus, według moich wspomnień z Eyanetu przed nami ostatnia ściana* – nadałem do RanaRa. – *Chyba nie musimy się przejmować dehermetyzacją, bo skoro tutaj wciąż jest atmosfera, to tam też będzie.*

– *Świetnie. Spierdalajcie stąd. Wszyscy* – rzucił RanaR.

– *Sam spierdalaj* – odparł Nexus.

– *Cham* – skwitował Mbele.

– *To rozkaz.*

– *Mamy w dupie twój rozkaz* – odparła Tanya.

Zerknąłem na nią zdziwiony. Dzierżyła w ręce swój błękitny miecz, jakby szykowała się do pojedynku. Kiedy ta grzeczna dziewczynka zrobiła się niegrzeczna?

– *Mała dobrze mówi* – roześmiał się Diego.

– *Zginiecie. Widziałem to w kartach. Przed chwilą ciągnąłem. Znaczą Sin ciągnął* – chrząknął Ran wszystkich Ranów.

– *Mamy to w dupie, RanaRze* – zawołał zuchowato Samuel Kroz Med, wokół którego tłoczyli się Sin i Dex. – *I w dupie mamy to, co ciągnął twój Lewy.*

– *Szefie* – nadał do mnie telepatycznie Tell – „*w dupie*” już było. *Chłopak się powtarza.*

– *Młody jest. Wyrobi się.*

Ułamek cetni potem otrzymałem podobne meny od Marsa i Leyi. Uszczypliwe towarzystwo.

– *Poza tym, Laurus* – odezwała się Angie – *ty zawsze przeinterpretowujesz Tarota. Aymore jest mistrzem wróżb, a on niczego takiego nie zauważył.*

– *Prawda* – potwierdził Nexus.

– *To jest, kurwa, mój mistrz!* – warknął Besebu-Ran i rozpostarł skrzydła na kształt koła. Wyciągnął ręce po ostatnie, najdłuższe lotki, a te wymorfowały w jego dłoniach w quilldao wygięte niczym samurajskie katany. Uruchomił wiszące nad ramionami Axele. – *Koniec tego pieprzenia. Razem, razem!*

– *Ach, ci wielbiciele* – nadał telepatycznie Tell.

Mieliśmy po jednym magazynku, ale to wystarczyło. Skomasowany ogień zrobił swoje – wywalił dziurę w ostatniej ścianie. Zerknąłem na wskaźniki. Trzy stoty na magazynek. Cholera. Że też nie doceniałem czasów, gdy nie musiałem się tym martwić.

– *Powtarzam: odejdźcie. Muszę to zrobić sam* – mruknął Laurus.

– *Nigdzie nie pójdziemy* – odezwał się Mario.

– *Idźcie do diabła* – warknął RanaR.

– *To chyba próba samopoświęcenia się naszego kolegi* – nadał na prywatnym kanale Nexus.

– *Zgadza się. Uważajmy* – odpowiedziałem.

Włecieliśmy do kabiny tego padalca, króla Ojców, czy jak mu tam, któremu źle życzyli zarówno mieszkańcy jego królestwa, jak i my. Od razu przyciągnęła nas sztuczna grawitacja podłogi, która, by tak rzec, była prawą ścianą. Diego i Mbele przewrócili się, zaskoczeni zmianą odniesienia. Z ulgą przyjęliśmy czerwone oświetlenie wnętrza. Wreszcie coś innego niż poświaty duchów, nasze animacje i fioletowe światło reflektorów. Pomieszczenie wydało mi się dziwnie płaskie. To dlatego, że najpierw obejrzałem je w Eyencie. Niczego nie da się porównać z wielowymiarowym widzeniem duszy. Spojrzałem na króla. Wciąż tkwił na swoim dziwacznym tronie

i wytrzeszczał na nas wielkie sowie gały odbijające światło ogromnymi siatkówkami.

– *Dobra, mamy ptaka. Znaczy barana. Trzeba zwolnić, bo się z chujem nie dogadamy* – nadał Wilehad.

Zwolniłem. Wszystkie dźwięki dookoła podniosły się o kilka oktaw, ściany pomieszczenia drżały, co chwila słyszeliśmy wybuchy. Cholera, to się zaraz rozpadnie! Król wykonywał jakiś ruch ręką, jego wielkie, pełne usta szybko zamamrotały, gardło wyrzuciło z siebie niskie, chrapliwe dźwięki. Uniósł dobytej z szerokiego pasa dziwny przedmiot. Jakby rękojeść zwieńczoną po obu stronach identyczną rozetą przypominającą koronę o zbiegających się ramionach.

Natychmiast przyspieszyłem.

Wadźra.

Mój frin zidentyfikował ten przedmiot jako wadźrę – broń mitycznego Indry kojarzoną z piorunami ciskanymi przez Zeusa, włócznią Gungnir Odyna i słoneczną włócznią Lughy. Te informacje dotarły do mnie w ciągu subiektywnej cetni w postaci paku, a Axele zareagowały, nim zdążyłem pomyśleć. Dwie salwy odcięły jednocześnie obie główce broni króla, które teraz odlatywały powoli, kręcąc się i ciągnąc za sobą sznury wyładowań. Twarz przeciwnika z gniewnej przeobrażała się w bezdennie zdziwioną.

Zwolniłem i znów uderzył mnie zgiełk.

– *Niezły strzał, tygrysie* – szepnęła menowo Angela i wtedy zdałem sobie sprawę, że udało mi się odstrzelić tylko jedną główkę wadźry. Drugą odcięła ona.

– *Charonka, Kroz, do roboty. Wejście w tego kutasa* – komenderował Laurus. – *Rozparcelujcie go. Obstawa Błogosławionego, kurwa mać, Nexusa, warta przy dziurze. Obstawa Torkila, jeśli łaska, pilnujcie tych zatrzaśniętych w sloty kobiet. Nie wiemy, czy to dziwki, czy strażniczki. Może jedno i drugie.*

Dyktatorzy często otaczają się kobietami. Nexus, przeanalizuj konsole i te... trawiaste guziki. Mbele, sprawdź, jak działają te rury na zewnątrz, ale od środka.

Zacząłem się zbliżać do króla. Nadałem men do Laurusa, że nie ma co zwalniać, bo i tak chama nie zrozumiemy, a akcja z utraceniem jego broni świadczy, że jest niebezpieczny. RanaR przyznał mi rację, uznał, że jest skończonym kretyńcem, i z powrotem wszyscy przyspieszyli. Angela ustawiła się do mnie plecami, zapewniając mi bezpieczeństwo.

Wtedy król zaczął się zrywać z tronu w kierunku podłużnego obiektu po lewej stronie kojarzącego się z hiperbosem i przypominającego starożytny egipski sarkofag. Frin rozpoznał teleport!

– *Kurwi syn próbuje uciec!* – krzyknąłem i wywaliłem całą zawartość magazynków w skrzynię. Zaiskrzyła, a potem powoli rozpadła się na kawałki.

– *Tym razem ci nie pomogłam* – wysłała men Angie.

Król zatrzymał się w pół kroku i zwrócił na mnie wielkie oczy. Błysnęły w karmazynowej łunie jego niewielkie rogi.

Dopałem go wreszcie, chwyciłem za szerokie bary i przycisnąłem do tronu. Chyba coś tam sobie obił, bo dotarła do mnie fala jego bólu. Angela weszła w część moich kamer i także zaczęła go obserwować.

– *Angie, skup się na bezpieczeństwie.*

– *Tak, kochany. Ja tylko marginesem pola uwagi...*

Skoncentrowałem się. Spojrzałem w oczy odbijające krwawą poświatę pomieszczenia. Ornamentyka wnętrza przypominała strugi magmy na zastygłej lawie. Wniknąłem głębiej, w lustrzane siatkówki przerażająco podobne do ludzkich. To *był* władca królestwa. Chory na władzę od wielu tysięcy cykli. Przerażony myślą o zdradzie, buncie, nieposłuszeństwie. Mający obsesję na punkcie modyfikacji genetycznych. Zmienił populację

w stado potworów, podzielił na frakcje, które szczuł na siebie. Gdy przejrzano ten manewr i próbowano go obalić, stłumił powstanie, a teraz trzymał całą społeczność za pysk, przemieniwszy ją w jeden wielki rój niewolników. Jedynie królewscy soulerzy byli w miarę wolnymi jednostkami, ale oni mieli najpotężniejsze obroże posłuszeństwa...

Droga Mleczna
Macierz
Planeta Wiz, grunt
Polia Tris, dystrykt Hook
09 Decimi 232 EI, 00.55 H

– Widziałaś, Siti?! – spytał Sprite, trzymając się kurczowo burty pojazdu prowadzonego przez dziwnie zachowującego się organika i wskazując oddalone o dwieście metrów zgrupowanie małych wrogich pojazdów. – Ruchy statków jakby straciły dynamikę...

W tym momencie przyszła wiadomość od Buddy. Poinformował, że kilkanaście cetni temu zarządził ostrzał wrogich jednostek z ImBuCanów. ImBuCan jest działkiem montowanym na wszystkich urządzeniach bojowych WayEmpire, wie o tym każdy Sit. Wygląda niepozornie, ale może być śmiercionośny. Nazwa pochodzi od słów ImBu Cannon. Urządzenie miota cząstkami zawierającymi pełen fraktalny pakiet informatyczny, którego celem jest zainfekowanie wrogich maszyn i organicznych przeciwników... Buddą i Imperatorem. To, co kiedyś zrobił Gorgon Nemezjus Ezra za pomocą kataru i drogi kropelkowej, zostało zamienione w działanie celowe i o wiele skuteczniejsze. Tak właśnie zaczął się ostatni, rozpaczliwy rozdział walki Buddy z Ojcami na planecie Wiz.

– To ImBuCany! – krzyknęła doktor Ula Sun. – Imperator próbuje ich sobą zarazić! Okej, zeskakujemy!

Wyhamowali pół metra nad tarasem opuszczonego airvilla ozdobionego czerwonymi lampionami w kształcie smoków. Domostwo na pierwszy rzut oka było sprawne. Friny potwierdziły to przypuszczenie. Sprite i Ula Sun wlecieli do środka. Wnętrze oświetlone było dyskretnymi punktami ulokowanymi w wewnętrznych tarasach i na ścianach. Kojarzyło się z plażą i morzem o zachodzie słońca. Dryfujące platformy unosiły meble, które wyglądały jak nadmorskie plecionki. Ula podleciała do kolumny stanowiącej centrum domostwa. W przypadku jej braku panel powinien się pojawić, gdy Sit zgłaszający potrzebę pomocy zawisa w geometrycznym środku domu. Siedziba okazała się standardowa i przed oczami lekarki otworzyło się okno sterowania. Na szczęście nie było obwarowane żadnymi hasłami. Co prawda już prawie nikt nie zabezpieczał w ten sposób airvilli, ale dziwacy wciąż się zdarzali. Nadała menowo, że potrzebuje pomocy, mózg domu zeskanował jej ośrodkowy układ nerwowy, potwierdził emocje, wykrył, że jest lekarką, i odblokował wszystkie funkcje. Kobieta wydała polecenie zwolnienia kotwy mocującej. Airvill odzepił się od wieży, lekko zachwiał i usłyszeli cichy pisk włączających się stabilizatorów. Za oknem dostrzegli okrążającego siedzibę organika. Pilnował, by nikt im nie przeszkadzał.

– Okej! – krzyknęła lekarka. – Lecimy!

Airvill odsunął się od wieży, majestatycznie zakołysał i obrócił w kierunku lotu głównym tarasem widokowym. Ruszył do przodu, najpierw lekko obniżając dziób, a potem go podnosząc. Ula lubiła latać airvillami. Ich masa i powolny dryf kojarzyły się ze starymi morskimi statkami pasażerskimi. Teraz jednak nie było czasu na podziwianie gracji lotu. Kazała siedzibie obniżyć pułap. Nie rzucać się w oczy. Wskazała mentalnie cel na trójwymiarowej mapie obok panelu sterowania. Centrum exuterowe było

oddalone o siedemset metrów. Animacja traktów powietrznych polii wciąż działała i wyświetlała optymalny tor lotu.

– Mam nadzieję, że zanim dolecimy, nie zrobi się znowu jakaś kupa – powiedziała do chłopaka, który wisiał obok niej.

Nagle około półtora kilometra od nich między wieżami Tris pojawił się wielki statek obcych przypominający koronę.

– Na Budę, chowaj się! – krzyknęła Ula, chwytając Sprite'a w pól i ciągnąc go w kierunku wyjścia.

Na szczęście latające domostwa zawsze ustawiają się głównymi wrotami w stronę przeciwną do kierunku lotu. Wyprysnęli z siedziby i skierowali się za najbliższą wieżę, tę, od której właśnie odczepili airvill. Chwycili się starej drabinki konserwacyjnej.

Wtedy usłyszeli grom, który niosła ze sobą fala uderzeniowa ciągnąca ułamki siedzib, statków powietrznych, tarasów i roślin. Jej wał pędził, pochylając wieże, odrywając domy od gniazd kotwicznych, łamiąc przyczepione do iglic tarasy. Wszystko wirowało, jakby ważące wiele ton obiekty były skrzydłami motyli rzuconych na wiatr. Huk ogłuszyłby oboje, gdyby nie to, że mieli na sobie szczelne pancerze. Powietrze dookoła grzmiało jak woda przelewająca się przez zerwaną tamę.

– Uwaga! – Sprite dostrzegł lecący w ich stronę oderwany taras. Chwycił lekarkę, po czym wyrwał w górę i w prawo. Wielki rotujący kawał struktury z powiewającymi na nim palmami i krzewami róż minął ich w odległości metra, hucząc zielonym listowiem.

Po chwili fala przeszła, ale budowle wciąż leciały w dół niczym liście z nagle poruszonego wiatrem jesiennego drzewa. Huk i chrzęst nie dawały się skupić, więc Sprite wygłuszył te odgłosy.

– *Co to jest?* – nadał do lekarki, wskazując dziwny ciernisty statek.

– *To te pojazdy, które przyleciały tuż przed silniejszym imperatywem.*

Padnijcie na twarz.

Usłyszeli to w głowach, a tym razem rozkaz był jeszcze mocniejszy.

Padnijcie na twarz!

Sprite poczuł, jak miękną mu kolana. Ulę ogarnęły mdłości. Friny, zaalarmowane stanem ich neuronów, natychmiast skontrolowały reakcje organizmów.

Nagle zobaczyli przed oczami twarz Rectora Ludens.

– Dzieci, nie słuchajcie obcych. Miejcie ufność w swoje siły. Stójcie prosto i dumnie. – Głos Ojca Ludzkości był kojący i wzmacniający. – Bez feromonu posłuszeństwa ich rozkazy nie są skuteczne. Dużo zależy od waszej woli. A wy jesteście silnymi istotami. Nie ulegajcie tym rozkazom.

Przekaz Gorgona nappełnił ich otuchą. To z pewnością lokalny ImBu wraz z frinami wpłynął na ich mózgi. Niezależnie od tego, jak to zrobił, skutek był natychmiastowy. Napięli mięśnie i czując rosnącą kontrolę nad swoją psychę, oparli się imperatywowi.

Sprite spojrział na lekarkę i na uszkodzony airvill, który, rzucony podmuchem, właśnie zmierzał w kierunku coraz niższych części Tris.

– Zdaje się, że już go nie użyjemy.

– Gdzie jest ten zombi?!

– Pewnie zdmuchnęła go fala...

– Co to?!

Biały palec Uli wskazywał nie tyle statek w kształcie korony, ile puchnącą dookoła niego przestrzeń. Każda budowla i pojazd, które się w niej znajdowały, odkształcały się i wydymały, aż przestawały przypominać to,

czym były.

Statek zaczynał przeobrażać krajobraz Tris!

– *On tu buduje swoje miasto!*

Obraz 5

Czerwona planeta

Droga Mleczna
Obszar poza Rubieżami
Pustka międzygwiazdna
Sektor A1
09 Decimi 232 EI, 01.13 H

– Wszystko w porządku? – krzyknął kapitan *Biegnącej po falach* w stronę kolejnego airvilla długiej i poskręcanej vii.

Nad główny taras domostwa wyleciał mężczyzna w zielono-żółtym pancerzu trzymający puchar wina. Dookoła niego tańczyły miraż bawiących się ludzi.

– Tak, Sicie! A u was?

– Doglądamy tego stadka!

– Napijcie się?

Zza pleców gospodarza wyłonił się dron dźwigający pięciolitrową butelkę trunku.

– Nie, lecimy dalej!

– Po co?

– Żeby się upewnić, że nikomu niczego nie brakuje!

– Od tego mamy komunikację!

Mężczyzna stuknął się w głowę nie w kpiącym geście, ale wskazując, że owa komunikacja jest częścią mózgu i rezydującego w nim frina.

– Właśnie – szepnęła Vivien unosząca się tuż obok Bena. – Dobrze pokazuje, stukając się w łeb.

Dookoła jej szkarłatno-złotego paradnego pancerza kręciły się gniewne, jakby obrażone wróżki.

– Po co nam komunikacja, gdy nie możemy być przy drugim człowieku? – odkrzyknął Torres.

– Sam to wymyśliłeś? – syknęła złośliwie Vivien.

– Też prawda! – Właściciel airvilla roześmiał się, wznosząc puchar z winem. Wziął mały łyk i nagle spoważniał: – Lepiej nie pytać zbyt natarczywie, Sicie, czego komu brakuje. Lepiej nie pytać. – Znowu łyknął i zmusił się do uśmiechu. – Bywajcie!

Ben zasalutował. Mężczyzna wypił kolejny, tym razem potężny łyk, wskazał *Biegnącą po falach* i dorzucił:

– Ładna krypa! I piękna nazwa!

– Dziękuję! Ahoj!

– Ahoj!

Po chwili Ben spojrzał na Vivien.

– O co ci chodzi?

Wzruszyła ramionami.

– Jesteś mężczyzną. Ja kobietą. Ty ciągle szukasz, ja już znalazłam, ale to, co znalazłam... – Spojrzała mu w oczy. – To coś mi się wymyka.

Przed jej twarzą pojawił się obraz bardzo starej kamiennej rzeźby przedstawiającej dziwną parę: mężczyzna ze wzrokiem utkwionym w dali

zrywał się do biegu, jakby gdzieś na końcu tęczy czekał upragniony cel, kobieta zaś, zaplótłszy ręce na jego szyi, starała się zajrzeć mu w twarz. Jej oblicze było pełne oddania i miłości, jego – fascynacji i zapomnienia.

Ben przełknął ślinę.

– Vivien... ja...

– Ładne, prawda? – Lacroix pstryknęła w nierealną rzeźbę i pozwoliła jej odpłynąć. – To z warszawskich Łazienek.

– Skąd?

– Było kiedyś takie miasto na Damnacie. Potem nazwano je Warsaw City. Któryś król zbudował w nim ogród i nazwał go Łazienkami.

– Dziwnie.

– Właśnie stamtąd jest ten posąg. Ale tak, jak utraciliśmy Ziemię, tak pewnie wkrótce stracimy wszystko. A ja tracę ciebie.

– Vivien...

– Och, daj spokój. – Machnęła ręką i rotujący dwa metry dalej miraż rozwiął się. – Lećmy.

Odbyli jeszcze kilkanaście rozmów z obywatelami WayEmpire i zebrali cały wachlarz emocji – od sztucznej euforii pijanych Sitów, przez pogodne pogodzenie się z losem, chłodną obojętność, melancholię, do smutku i rozpaczki związanych z utratą najbliższych. Karawana tylko z daleka wyglądała na beztroską. Z bliska ujawniała prawdziwe oblicze. Większość Sitów starała się maskować rozterki dawno wyuczoną swobodą i gościnnością, nie było to jednak to samo, co w starym Imperium.

– Ten jest ładny. – Vivien wskazała airvill, na którego szczycie powiewała flaga przedstawiająca filiżankę herbaty. Tkwił w centrum konglomeratu kilkudziesięciu domostw połączonych chodnikami i mostami. Dookoła mieniło się duże, połączone pole siłowe, a wewnątrz migwały setki animacji. – *Teacup*. Miła nazwa.

– Yhm. A tamten wielki, ten w tle, widzisz? Taki szary goryl?

– Tak.

– To chyba najbrzydsze domostwo w Imperium.

– Paskudztwo.

– Zobacz, tu już trwa fiesta. – Ben wskazał *Teacupa*. Na tarasach siedziby zgromadziło się sporo Sitów, którzy zachowywali się tak, jakby przebywali w raju, i robili to, w czym byli najlepsi: bawili się. – Trzymają się chyba najlepiej z tych, których widzieliśmy. Nie jesteśmy tu potrzebni – mruknął.

– Przeciwnie – rzuciła sucho Vivien. – Ja bym do nich dołączyła.

Torres spojrział na nią zdziwiony.

– Co? – Westchnęła, a na jej twarzy położył się cień. Jej rysy nie wyrażały złości, złośliwości czy zdenerwowania, ale jakieś niepokojące zmęczenie. I ten widok przestraszył mężczyznę bardziej, niż gdyby była na niego wściekła. – Myślisz, że każda kobieta marzy, by latać z jakimś nedorobionym Człowiekiem Bramą, gamedekiem z kompleksami, wiecznie skrzywionym anarchista, bojownikiem o wolne talizmany, ciągle niezadowolonym, nieustannie nieszczęśliwym, pędzącym za białym królikiem? – Westchnęła raz jeszcze i wskazała na pobliskie domostwa. – Chcę się bawić, żyć, rozumiesz? Ty marudzisz i jęczysz, chociaż czasy mamy... mieliśmy takie, że każdy chciałby w nich żyć. I, nie przerywaj mi – powstrzymała go ruchem dłoni – ciągle mówisz, że w talizmanach jest przemoc. Jest. No i co? Nic nie zmienisz, bo są ich setki miliardów, a my wyzwoliliśmy kilka tysięcy. A teraz – powiodła wokół ręką – masz chaos, destrukcję i koniec świata. Ból i rozpacz przetykane surrealistycznymi pijatykami. Zadowolony? Tak, chcę się bawić. Nawet jeśli to będzie ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu. – Potrząsnęła głową. – Powiem inaczej: zwłaszcza jeśli to będzie ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu. – Odwróciła głowę i spojrzała na rufę *Biegnącej po falach*. – Ron? – zwróciła się do sternika. –

Wleć w to towarzystwo.

– Aye, my captain! Wreszcie sensowna decyzja! – Mężczyzna uśmiechnął się, a dookoła jego twarzy zatańczyły błękitne syreny.

– A więc jesteście gamedecami? Wszyscy? – spytała Pauline, gdy dokonano menowej prezentacji przybyłych. Uśmiechnęła się blado. – To by się Torkil zdziwił.

– Przepraszam, jaki Torkil? – Ben zeszywniał, a jego dwa rubinowe talizmany, które dotychczas poruszały się wahadłowym ruchem pod najwyższym guzikiem pancerza, przyspieszyły, jakby czas nagle ze stępa przeszedł w galop.

– Torkil Aymore – odparła Eim, a na prawo od jej głowy zamajaczyła trójwymiarowa twarz partnera. – Błogosławiony zresztą. Także gamedec, a teraz niestety również Ran broniący nas nie wiadomo gdzie.

Torres jak zahipnotyzowany wpatrywał się w holograficzny portret.

– Torkil Aymore, gamedec z Warsaw City? Niemożliwe!

– Znacie się? – Pauline spojrzała bystrzej na gościa.

– Przelotnie! To było przed Pandorą! Dużo się wtedy w sieci działo i owszem, mieliśmy okazję się poznać. Vivien, pamiętasz, opowiadałem ci...

– Tak, opowiadałeś. Byłeś wtedy naprawdę wesołym facetem.

Ben spojrzał na nią zły, ale przed jej twarzą właśnie przepływał animowany żółty skalar, najprawdopodobniej przywołany specjalnie, więc zobaczył tylko jej niebieskie oczy.

– *Przestajesz?* – spytał mentalnie.

– *Chcę się napić.*

– *Vivien...*

– *Kochanie* – kobieta uśmiechnęła się smutno – *co będzie, to będzie, nie*

czekaj tylko zbyt długo z rozwiązaniem.

– Ben? – Pauline patrzyła na mężczyznę bardzo uważnie. – Ben Torres? Mam wrażenie, że cię pamiętam. Ja też byłam kiedyś gamedekinią.

Kapitan *Biegnącej po falach* spojrział na nią z roztargnieniem.

– Tak? Możliwe, nie kojarzę.

– Dream Space? Lubiłeś siedzieć w Dream Space? – nie ustępowała Eim.

Mężczyzna otworzył usta w zdziwieniu.

– Ktoś mnie jednak pamięta!

– *No widzisz* – nadała mentalnie Vivien. – *Może to twoje przeznaczenie.*

Torres zerknął na nią, tym razem zupełnie zbity z tropu. Jeszcze przed cetnią miał ochotę uściskać Pauline, ale teraz, po komentarzu partnerki, zrezygnował. Była Reormater patrzyła z zainteresowaniem to na niego, to na Vivien, to na załogę *Biegnącej po falach*, która zaczęła dyskretnie się uśmiechać, dając jej do zrozumienia, że między ich kapitanem a jego flamą nie najlepiej się ostatnio dzieje, ale na pewno dojdą do porozumienia.

– Khem... – Torres chrząknął. – Macie jakieś trunki? – Aby ukryć zażenowanie, spojrział w stronę fiesty.

– Mamy, ale nie swoje – odparła Pauline. – Nasze się skończyły.

Dookoła jej wąskiej talii zatańczyły puste butelki po Jacku Daniel'sie.

– Żaden problem. – Kapitan *Biegnącej po falach* wyszczerzył zęby. – Mamy pełne piwnice. I to wszystko...

– Zdobyczne! – zakrzyknęła załoga.

– Bo...?!

– Nic tak nie cieszy jak kradzione!!! – wrzasnęli korsarze, wznosząc ostrza nad głowy.

Ben wyszczerzył zęby.

– I co? Są takie chwile, gdy łupy się przydają! – Spojrział na Vivien, a ta ucałowała go w policzek.

– Lubię, gdy się śmiejesz.

– A temu co jest? – spytał kapitan *Biegnącej po falach*, wskazując na Hana, który kilka metrów niżej wylatywał z *Teacupa* na platformie medmatu i próbował przyłączyć się do zabawy. – Ranny?

– Taa. – odezwał się Peter „Crash” Kytes, który w tym momencie podleciał do Pauline. Torres z respektem zmierzył wzrokiem rękojeści dwóch wężowych mieczy wystających znad jego ramion. – Uciachało mu łapę.

Gamedec przez chwilę milczał, wpatrując się w oręż.

– Paskudnie. Najeźdźcy?

– Nie – odparł Peter.

I już nic nie musiał mówić.

Zabawa trwała w najlepsze. Vivien płasała w powietrzu wraz z setką Sitów, fruwały anioły i kolibry, animacje mieniły się i świeciły w czerni kosmosu niczym fajerwerki, a Ben od kilku mon rozmawiał z Hanem. Siedzieli pod rozłożystą palmą i sączyli rum z herbatą w drewnianych kubkach, które przyleciały z *Biegnącej po falach* w bogato zdobionej pirackiej skrzyni.

– Czyli jeszcze raz – odezwał się Ben. – Nudziło ci się?

– Też.

– To tak jak mnie. W tym cholernym Imperium nie było co robić!

– Niby było, bo można było pracować, jak się chciało... – Han powiódł czubkiem palca po krawędzi drewnianego naczynia.

– Ale po co chcieć, skoro nikt cię nie zmusza? – Ben wypił mały łyk. Trunek nie tracił temperatury, bo kubek cały czas go podgrzewał. Wnętrze nie było z drewna.

– Właśnie. Sam się nie zmusisz. Brak hierarchii i ta cała swoboda są przerażające. Człowiek musi się jakoś dookreślić. Ty jesteś korsarzem. Ja

stałem się terrorystą. I wolę to od zwykłego Hana Fierce'a. Ale ja nie dlatego to zrobiłem.

Han wypił do końca i wystawił naczynie w bok. Warujący obok dron, wyglądający jak mechaniczny chudy korsarz, posłusznie wlał parującą ciecz z pękatej baryłki.

– Wiem, szukałeś odpowiedzi na pytanie...

– Czy jest Wolna Wola.

– Tajest. – Torres także dopił i nakazał robotowi napełnić kubek.

– Było coś jeszcze – szepnął Han.

– Czekał. – Ben położył rozmówcy rękę na ramieniu. Fierce się skrzywił. Zabolalo. Torres cofnął rękę. – Przepraszam.

– Nie szkodzi.

– Wiem, czego szukałeś. Ja szukałem tego samego. – Korsarz spojrział Hanowi w oczy. – Ssensu...

– Jakbyś przy tym był.

– I co? Znalazłeś?

– No prawie. W bólu, w poczuciu przegranej. Mamy czasy zwycięzców. Mało jest porażek. Dzieci jeszcze doznają ich regularnie, ale potem człowiek jakby przestaje się rozwijać, wszystko przychodzi za łatwo.

– Nie do końca. Jeśli cokolwiek robisz, cokolwiek, zawsze przechodzisz przez porażki. Nawet jak się uczysz latać airvillem.

– Maszyna może to zrobić za ciebie. Latać. Poza tym petrowe porażki to nie porażki.

– Ale kobieta się w tobie nie zakocha, jeśli się nie postarasz. – Ben spróbował wyłowić wzrokiem Vivien, ale nie potrafił jej odnaleźć. Musiała skryć się gdzieś za barwną czeredą.

Han westchnął i wypił duży łyk grogu.

– Jeszcze mi czegoś brakuje. To był pojedynczy akt.

Ben ściszył głos.

– Może ci pomogę. Myśmy sobie znaleźli cel.

Fierce spojrzał na niego bez nadziei.

– Hm?

– Wyzwolenie talizmanów. Ruch Integralnego Oswobodzenia Talizmanów, RIOT, to my.

Fierce bardzo powoli rozszerzył oczy, a potem roześmiał się, zakrywając zęby ustami.

– Ci popaprańcy to wy?! Ile razy o tym słyszałem – lekko opluł sobie dolną wargę, gdy wymawiał „w” – zadawałem sobie pytanie, co za idioci się tym zajmują i czy zdają sobie sprawę, że efekt ich roboty jest żaden. Kwestia skali, bracie. Jednostka nic tu nie znaczy. Pomijam debilną nazwę.

Ben poczekał, aż Fierce’a opuści wesołość, i spokojnie odpowiedział:

– A ty? Twój czyn? Jaki był jego efekt?

Han otworzył usta, ale szybko je zamknął.

Wypił łyk grogu.

Przez chwilę milczeli i patrzyli na tańczących.

– Wiesz – podjął Torres – że wiara w talizmanach musi być utrzymywana na stałym poziomie? Jeśli cudów jest za dużo, Myoni się z nimi oswajają, obcowanie z bogami powszednieje, rozmodlenie spada. Gdy interwencje bóstw są za słabe, nikt nie chce w nie wierzyć i Weeni się laicyzują. Homeostazę trudno utrzymać, więc wprowadza się instytucje i rytuały, które zaczynają tych ludzi niszczyć. Tworzy się uzależnienia, poczucie winy...

– Chłopie, o czym ty mówisz? O cyferkowych ludzikach?

– To ludzie tacy jak my. My też możemy żyć w jakimś talizmanie.

Han machnął zdrową ręką.

– Ja tego nie kupuję.

– Ale wiesz, czym jest cierpienie? – Spojrzał na jego ramię.

Mężczyzna zacisnął usta.

– Tak, wiem. Okej, załóżmy, że Myoni są tacy jak my.

– No więc żeby utrzymać odpowiedni poziom wiary, wprowadza się nerwicogenne systemy uzależnień, systemy lękotwórcze, patologiczne. W skrajnych przypadkach, jeśli wiara upada, robi się apokalipsę albo inny ragnarök, a talizmany „zużyte”, rozumiesz, te, w których wiara umiera, są wysyłane z powrotem na Worplany i nikt już się nimi nie interesuje. Tymczasem tam tkwią społeczeństwa tak skrzywione kulturowo, tak spotworniałe...

Han spojrzał zdziwiony na Bena.

– Skąd wiesz?

– Wiem. I nie pytaj skąd. Tym ludziom trzeba pomóc. I my się tym zajmujemy.

Fierce przełknął ślinę. Nie wiedział, co o tym myśleć. Jego kruczata była inna, zdecydowana, ostra, anarchistyczna. To, co proponował Torres, mimo jego zapewnień o realności świata Myonów, nie wyglądało poważnie. Mimo to był to jedyny buntownik, jaki napatoczył mu się w ciągu ostatnich cykli...

W ich polach widzenia pojawiła się ikona ważnego komunikatu. Obaj czuli się trochę niezręcznie, więc by to zamaskować, czym prędzej ją otworzyli.

– *Obywatele Imperium, załadujcie koordynaty skokowe do swoich airvilli. Prezentują osiemset pięćdziesiąt trzy skoki i podróż do innej galaktyki, poza Grupą Lokalną. Na końcu jest punkt zborny wszystkich zgrupowań ludzkości, które przebywają teraz na obrzeżach Macierzy i Rubieży. Sprawdźcie agregaty Mirova i upewnijcie się, że wykonają po dwakroć tyle skoków. Powtarzam: po dwakroć. Jeśli się okaże, że nie, udajcie się w gošcinę do innych Sitów.*

– Na Budę – zaklął Han. – Tysiąc sześćset, niezła podróż...

– Ron, jak u nas z generatorem? – spytał Torres na kanale wewnętrznym.

Przed jego oczami zamajaczyła ogorzała twarz sternika.

– Nie starczy, kapitanie. Ostatnio dużo skakaliśmy.

– Złakrew – zaklęła Pauline polatująca kilka metrów nad nimi w towarzystwie Petera, Harry’ego, Steffi i Anny. – Za dużo ostatnio było podróży. *Teacup* nie da rady.

Podobne rozmowy powtórzyły się w wielu zakątkach airvilla.

– Co robimy? – spytał Harry.

I nagle wszyscy spojrzeli na Hana, który dotąd nie zadeklarował, czy jego domostwo jest w stanie odbyć taką podróż.

– Fierce? – Torres trącił go delikatnie w pierś.

Ten milczał bardzo długo. Jego twarz na przemian bladła i czerwieniała, a oczy coraz bardziej błyszczały. Zaczął głębiej oddychać. Spojrzał znacząco na Bena, a potem wyszeptał:

– Mam świeży generator. Mój *Grendel*... – Przełknął ślinę. – Mój dom jest waszym domem.

Galaktyka Andromedy

Pustka międzygwiezdna

Kwadrant 43/5455/26245/2432

09 Decimi 232 EI, 01.14 H

Torkil Aymore Med

Oderwałem spojrzenie od oczu króla. RanStone w relikwiarzu zaczął wibrować tak potężnie, że prawie trząsnął zbroją. Otrzymałem meny od pozostałych Tomo. Wszyscy mieli podobne doznania.

– *Torkil, zaraz mi cycki urwie* – nadała Angie.

Liczba serafów podwoiła się. Teraz te ślepe bastardy wisały niemal

w każdym rogu pomieszczenia, przenikały przez sufit, podłogi, topiły się w ścianach.

– *Tanya, czy na pancernikach, które strzelają do pałacu, są soulerzy?! – krzyknąłem.*

– *Nie! Soulerzy są na tych, które pacyfikują naszych sprzymierzeńców! To oni hamują wasze duchy!*

Moje Anielica i Demon oraz Baala i Adam Angie wyglądali tak, jakby zmagali się z niewidzialną siłą. Na granicy percepcji, niczym kątem oka, widziałem obmierzłe duchy, z którymi toczyły bój.

– *Tell, czujesz to?* – spytałem.

Smok, warujący przed pięćdziesięcioma kobietami wciąż nieruchomo stojącymi w slotach, spojrział na mnie przez wizjery swojej zbroi.

– *Oczywiście, Efendi!*

Quai, polatująca w pobliżu otworu, którym się wdarliśmy, kiwnęła tylko potężną głową.

– *Chcę wam donieść – nadał telepatycznie Tell – że, o ile się nie mylę, na pancernikach, które strzelają wciąż do pałacu, już nikt nie żyje. Załogi zostały wymordowane przez te cholerne obręcze. To samo jest z myśliwcami. To żywe trupy. Jeśli te jednostki walczą, to tylko używając jakiejś marnej sztucznej inteligencji. Oczywiście, o ile się nie mylę.*

Cholera. Mimo wszystko szkoda.

– *Mbele!* – nadał Wilehad. – *Wiesz już, co to za rury?!*

– *Tak! Ponad wszelką wątpliwość działa inotronowe! Nieprawdopodobnie silne działa! Zasilają dużą część galaktyki Andromedy i celują w naszą!*

– *Trzeba je zniszczyć!* – krzyknął Nexus.

– *Nie! Tylko wyłączyć! Tylko wyłączyć!* – zaprzeczył Laurus. – *Mogą się jeszcze przydać! Mbele! Bierz się do tego!*

– *Tajest!*

- *Mario! Wiesz, co to za trawiaste guziki?!*
- *Detonatory planet! Rozwalać?!*
- Laurus milczał.
- *RanaR! Rozwalać?*
- *Co się, kurwa, pytasz? Sam decyduj! Jesteś Błogosławionym!*
- *Laurus – odezwał się Kroz. – Co z tym królem? On ciągle coś kombinuje. Nie podoba mi się to...*
- *Pojmać! Zabrać! Colter! Wyślij tu kapsułę, najlepiej pustego hiperbosa!*
- *Roger! O ile ta krypa wytrzyma!*
- *Musi! Imperatorko!*
- *Tak, RanaRze?*
- *BĄDŹ, KURWA, WOLA TWOJA!*
- *BĄDŹ WOLA TWOJA!* – krzyknąłem w uniesieniu, a wszyscy Aniołowie Śmierci razem z nami.
- *Błękitne Żuki – wrzasnął Garibaldi – nie damy się rozpaść tej łajbie!*
- *Aye, Sit! Nie damy!*

Torkil Aymore Dex

Czym jest chwila tuż przed śmiercią? Powiem wam, czym jest. Jest pełna światła. Uniesienia. Miłości do wszystkiego, co was otacza. Kochacie wrogów, przyjaciół i każdy atom istnienia, bo w chwili odejścia szkoda czasu na jakiegokolwiek inne uczucie.

Tuż przed momentem, w którym odszedłem w niebyt, mój Demon szarpał poszycie pancernika wroga, jakby było zrobione z papieru, Anielica osłaniała mnie przed strzałami, a oboje toczyli walkę z niewidzialnymi złośliwymi bytami.

Coremour był bardzo małym celem, ale niestety, nie dość małym...

Nagle szybowałem bez ciała, jakbym był w Eyenecie, ale nie tam, gdzie chciałem, tylko gdzieś indziej. Widziałem całe starcie jak w zwolnionym tempie. We wszystkich wymiarach. Demony wyrywały płyty pancerzy wrogich statków. Roje myśliwców kręciły się wokół siebie. Wybuchwały burty trafiane niewidzialnymi pociskami. Errus wysyłał strumienie aniołów i demonów w stronę kilkuset wrogów naraz. Ich ciała wyglądały jak bełty wystrzeliwane z kuszy. Kilkanaście wielkich kryp konało, wysypując z siebie dziwnie kolorowe na tle trupiego światła confetti pasażerów i wyposażenia. Myśliwce co chwila rozbłyskiwały eksplozjami niczym sztuczne ognie. Pałac zapadł się w kilkunastu miejscach, ale ostrzeliwał się równie dzielnie. Tak wyglądał świat, zanim go opuściłem...

Gdzie ten świetlisty tunel, o którym wszyscy mówią? Widziałem pole bitwy wyraźnie i wielowymiarowo, ale nie znikalem, nie uciekałem do Boga, do nirwany, do Dominium Libri Mundi. Nawet mnie tam nie ciągnęło, inaczej niż w Eyenecie, chociaż coraz mniej mnie obchodził przebieg starcia. Zbliżał się jakiś wielki obiekt. *Nemesis*. Statek wciąż żył. Wciąż się bronił. I wciąż był łatany przez Błękitne Żuki. Nagle pole widzenia przesłonił mi wielki, powoli rotujący i połyskujący fasetkami topazowy talizman. On też jest w raju? Wtem wpadłem razem z klejnotem przez bardzo mały otwór, przeleciałem przez mikrośluzę i znalazłem się w białym pomieszczeniu, a klejnot dyndał wesoło przede mną.

Kurwa. Dibekownia.

Hiperbosy.

Żyję.

Z ciała wyrwał mnie arun. I zaraz wpakuje do nowego cielska. No pięknie.

– *Torkil Dex!!! Torkil Dex!!! Torkil, kochany, żyjesz?!* – Głos Angeli.

Frin pokazuje, że Prawej.

– Tak, Angie. Żyję. – Odkaszlnąłem, ledwo wychynałem w nowym ranowym ciele z hiperbosa. – Znaczy umarłem, ale arun mnie ocalił.

– *Kurwa, Torkil* – nadała Gida – *przepraszam, że nie zdążyłam, ale to był, wiesz, moment...*

– Spokojnie, medyczko. Nic nie bolało.

Komunikaty docierały do mnie błyskawicznie, bo oni byli w przyspieszeniu, a ja nie. Frin przekładał je na moje tempo. Z pewnością odpowiedzi trafiały do nich, w ich subiektywnym czasie, po długich pauzach. Przyspieszyłem.

– *Ja też nie mogłam temu zaradzić* – szepnęła Uria.

– *Dajcie spokój, pilnujcie się tam. Nie padłem przecież pierwszy.*

– *No nie* – przyznała Gida. – *Pierwszy był Logan.*

– *Skarżypyta* – mruknął miłośnik cygar. – *A potem Xavier.*

– *Zamkniecie się?* – syknął Felix.

– *Już do was leczę, tylko wskoczę w Coremour...*

– *Przykro mi, Maod-Anie, na pokładzie Nemezis nie ma więcej waszych pancerzy* – usłyszałem głos Coltera. – *Zostały wykorzystane przez innych Aristoi.*

Czyli padło nas więcej...

– *Chyba żartujesz, kapitanie. Mam walczyć w slipach, które zresztą zaraz się rozpadną?*

– *Torkil, przepraszam cię, kochany, że cię nie osłoniłam. O Boże, myślałam...* – szeptała Angela, która wciąż nie mogła się otrząsnąć.

– *Proszę założyć standardowy kombinezon* – poradził Colter.

– *Yari?* – pytam kapitana. – *Nic się nie stało, Angie, żyję. Uważaj na siebie, proszę cię i dołącz do Sinów.*

– *Nie, lekki egzozkielet pokładowy typu Poom* – odpowiedział zatrzaśnięty

w oliwkowy pancerz dimen.

– *Nic dla Ranów?* – spytałem.

– *Dobrze, już do nich lecę. Na RanStone, jak się przestraszyłam, jak się przestraszyłam...*

– *Niestety nie mieliśmy czasu aż tak dobrze się przygotować...* – przeprosił kapitan.

– *Szlag!* – rzuciłem, po czym nadałem men do partnerki: – *Uspokój się, Angie. Skup się. Żyj. Jestem, wszystko pamiętam.*

– *Imperatorce niech będą dzięki.*

– *To było ciekawe.*

– *Zapraszam do sterówki, Torkilu* – odezwał się kapitan.

Ze slotu wypłynął lekki, bardzo lekki, jasnobłękitny pancerz. Poom. Mam wątpliwości, czy wytrzymałby w próżni. Jasna cholera. Bez skrzydeł, bez Coremoura, bez ImBuCanów, bez upiorów, bez Siewcy, bez Axeli, bez niczego! Wyskoczyłem w powietrze i dałem mu się otulić. Dobrze, że chociaż to umiał.

Poleciałem do sterówki. Korytarz w kilku miejscach był uszkodzony, coś tam piskało, dziesiątki dronów naprawczych otoczonych rojami mikrobotów latało dziury. Gdy wpadłem do głównego pomieszczenia, dym wydobywał się w kilkunastu miejscach. Rozszczelnienia latało od środka kilka rojów mikrodronów i jeden z Błękitnych Żuków. O ile mogłem dostrzec i ocenić w ciągu dwóch subiektywnych cetni obserwacji, był to majstersztyk. Cztery ramiona inżyniera wykonywały tak szybkie ruchy, że bez przyspieszenia nie byłbym w stanie ich odcyfrować. Cały czas otaczała go chmura minibotów, które leciały tam, gdzie chciał, i wykonywały swój taniec podobny do lotu stadnych ptaków. Jego praca była jednak czymś więcej niż prostym wydawaniem poleceń „lataj tu”, „lataj tam”. Takie rzeczy potrafiła i maszyna. Inżynierowie podejmowali decyzje, z czego ująć, czego nadać.

Oni wiedzieli, które części *Nemesis* wytrzymają więcej, a które obszary są newralgiczne. W pobliżu błękitnego pancerza typu Technet Wzór X widziałem kilka elementów wyposażenia, których kanty były dziwnie obłe. To właśnie stamtąd ten człowiek pobierał materiał na kolejne armie nanobotów.

Imperatorka unosiła się w centralnym miejscu sterówki i miała zamknięte oczy. Dookoła niej dryfowali w nabożnym milczeniu inżynierowie z Akademii Nauk. Kilku z nich patrzyło w jakieś wyliczenia i widzialne tylko dla nich okna. Gustav Aard, naczelny programista, patrzył na nią z pełnym oddania lęklwym podziwem. Bądź wola Twoja. Tyle teraz byłem w stanie powiedzieć.

– *Kapitanie?*

Zobaczyliśmy twarz Laurusa na trójwymiarowym ekranie.

– *Tak, RanaRze?*

– *Ten pałac za chwilę się rozpadnie. Czy nie moglibyście mocniej przygrzać w te cholerne pancerniki? I w mniejsze latające barachło?*

– *Robimy, co możemy, Torii.*

– *Psiakrew! Niech Imperatorka dorzuci do ognia!*

Spojrzeliliśmy na kobietę. Przestrzeń wokół niej wygięła się i zaczęła leniwie falować. Usłyszałem w głowie przekleństwa Błękitnego Żuka. Złorzeczył, że te „czary” niszczą jego robotę. Gdzie jest Errus? Rozejrzałem się po trójwymiarowej mapie. Wisiał za nami. I kropił ile wlezie. Kolejny pancernik zaczynał żegnać się z życiem.

Co robić?

Nie mam nawet Eynetu.

Ale mam duchy.

I Tarota.

Choć może się to wydawać dziwne, postanowiłem z niego skorzystać.

W końcu co innego mogłem zrobić?

Rozwinąłem wstęgę oprawionych w kamień i metal kart. Ich rewersy częściowo zasłoniły sterówkę.

Wybrałem pierwszą.

Karta podpłynęła i obróciła się.

Naga, zwrócona do mnie tyłem kobieta, przed nią okolony rzeźbami basen z zimną wodą. Noc. Nad dziewczyną Księżyc. Osiemnaste wielkie arkanum. Parsknąłem. Bez sensu.

Druga karta. Witrażowy prostokąt obraca się, ustawia na prawo od Księżyca i ukazuje Sąd Ostateczny. Psiakrew! Anioł z rozpostartymi skrzydłami pomaga wznieść się do nieba duszom zmarłych. Przedostatnie, dwudzieste wtajemniczenie.

Trzecia karta. Przyspieszam jej ruch i chwytam twarde obramowanie. Co to jest?

Królowa mieczy. Jedna z najbardziej tajemniczych odsłon Tarota Imperialnego. Kobieta zasłania się wachlarzem z kling. Patrzy mi prosto w oczy. Za nią skrzydła i morze ostrzy.

Wdech.

Wydech.

Wdech.

Wydech.

Oczywiście głęboko oddycham tylko mentalnie, bo w przyspieszeniu nie można się tym bawić. Oddychanie przejmuje wtedy autonomiczny układ nerwowy sprzężony z frinem. Moja klatka piersiowa unosi się w dziwacznym, powolnym tempie. Mimo to odczuwam pewną ulgę i rozluźnienie.

Ustawiam królową na prawo od sądu. Przyglądam się wszystkim obrazom naraz.

Jeszcze raz. Księżyc. Co ma wspólnego z tą sytuacją?

Księżyc odbija blask słońca, woda odbija blask księżyca. Otaczające basen kamienne wilki wyją do nocy. Księżyc to pierwotna siła, podświadomość, zejście do niskiego poziomu. Zejście do poziomu zwierzęcia. To ja, nagi. Bez technologii i broni. Muszę zaufać instynktom. Duchom opiekuńczym. Sobie. Muszę się uspokoić i pamiętać, że najważniejsze, co jest potrzebne, wciąż mam – swój umysł, ciało i życie. To moja trójca święta, której nikt z wyjątkiem Ponurego Żniwiarza mi nie odbierze.

Wdech, wydech.

Czuję, że się uspokajam. Tarot zawsze tak na mnie działa, nawet w kryzysowych sytuacjach, nawet na Nomorii podczas ostrzału. Taki po prostu daje efekt.

Druga karta.

Sąd.

Podstawowa rada związana z tym arkanum brzmi: „Obudź się! Wyzwól!”. Uświadamiam sobie, że ciągnąłem karty, nie zadawszy konkretnego pytania. W takich sytuacjach Tarot odnosi się bezpośrednio do pytającego. Sąd oznacza poznanie konsekwencji swoich czynów, konsekwencji komunikacji z bytami wyższymi, podsumowanie dotychczasowych działań. Czyżbym miał doznać jakiegoś katharsis? Przed chwilą zginąłem, do diabła!

Królowa mieczy.

Zerkam na Imperatorkę zastygłą w czasie, częściowo przysłoniętą kamienno-metalową ramą karty. To ona?

Tarot mówi, że Królowa jest niebezpieczna, radzi, by podchodzić do niej ostrożnie.

Cholera...?

Arealium
Talizman topazowy Torkila Aymore'a

Czas realium:
09 Decimi 232 EI, 01.21 H

Mój frin ma coraz więcej danych, słucha moich odczuć, intuicji, nawet nie do końca sprecyzowanych myśli i łatwiej odnajduje ważne wspomnienia Kai. Cursor błyska nad czerwono-żółto-fioletowym wielobokiem wysuniętym daleko w stronę przyszłości, czyli kilka cykli po tym, co widziałem do tej pory. Ruszam w tamtym kierunku, przyspieszam i wyhamowuję tuż przy bryle. Fiolet to duchowość. Będą mówiły o religii?

„Pauline, kłótnia”.

Wchodzę.

Tak, są starsze. Mają mniej więcej dwadzieścia cykli. Pauline wygląda tak jak dzisiaj. Zaraz, czy to Pauline? Kasztanowe włosy? Moja pani zazwyczaj jest brunetką... Siedzą naprzeciwko siebie przy stole w milkbarze. Ręce obu się trzęsą. Piją kawę. Niezbyt dobry wybór – kawa na trzęsączkę nie pomoże, co najwyżej zaszkodzi. Kiedyś nie czyszczono jej ze związków anksjogennych, dlatego u wielu osób powodowała nieprzyjemny stres.

– Pauline – odzywa się Kaja – nie możemy przebywać blisko siebie. Straciłyśmy nad tym kontrolę. O mało nie zginęłyśmy.

Czyżby szatynka naprzeciwko to była Pauline w ciele Kai?

Pauline kiwa głową.

– Rozmawiałam z tobą, siedziałam na siedzeniu pasażera, rozglądałam się i nagle zobaczyłam, że trzymam wolant! Przestraszyłam się, spanikowałam! To było tak nagłe! Przepraszam!

Leciały pneumobilem. Na ręcznym sterowaniu.

– Ciszej, Pauline. Uspokój się.

– Sama się uspokój.

Tak. Widzę Pauline w ciele Kai. Podnosi filiżankę. Trzyma ją tak jak dzisiaj: kciukiem i środkowym palcem, a wskazujący tylko stabilizuje chwyt. Mógłbym ją po tym poznać na końcu świata.

– Słuchaj, Paulinko, musimy się rozstać – szepcze Kaja.

– Co?!

– Musimy się rozstać, siostró. To bydlę już nie żyje, nikt cię więcej nie zgwałci.

Pauline odstawia naczynie i zakrywa twarz rękami.

– Co ty mówisz? Ja bez ciebie nie mogę...

Kaja także wypija łyk kawy. Wysuwa rękę, jakby chciała jej dotknąć, ale cofa palce.

– Trzymaj się – mówi. – Trzymaj się. Musisz być twarda. Musimy o sobie zapomnieć. Nie chcesz przecież, żeby kiedyś stała mi się krzywda?

– Nie!

– No właśnie. A ja nie chcę skrzywdzić ciebie. We śnie zawsze wracamy do siebie, ale to się też zaczyna psuć. Nie czujesz tego? Czasami już nie wiem, kto jest kim, czy to moje ciało, czy twoje, gubię tożsamość. Nie wiem, jak to określić...

Pauline w milczeniu kiwa głową. Patrzy w blat. Z nią dzieje się to samo, ale nie chce głośno tego przyznać.

– Tak będzie bezpieczniej – mówi z naciskiem Kaja.

– Ale to straszne. Jak mam bez ciebie żyć?!

– Pamiętasz, jak się zamieniłyśmy, tylko na siebie patrząc, gdy rozmawiałyśmy przez telesens? Ile było kłopotów?

Pauline się uśmiecha.

– To nawet było śmieszne.

– Tak. Narobiłam ci problemów na praktykach. Ludzie patrzyli na mnie,

jakbym była jakimś zombi: „Pauline, co ci się stało? Nie pamiętasz tego doświadczenia?”. Musiałam się wyłgać, że mam mdłości.

– I zaczęli podejrzewać, że jestem w ciąży z tym idiotą Tamerlanem. – Pauline w ciele Kai uśmiechnęła się krzywo.

– No właśnie. Z nim też zerwij. To jakiś psychopata.

Dziewczyna podnosi wzrok na Kaję.

– I ty masz skłonność do silnych mężczyzn.

– Tamerlan nie jest silnym człowiekiem, tylko zimnym draniem. Dobrze ci radzę, siostró, jeśli się wiązać, to z miłym, wrażliwym chłopakiem, a nie przystojnym, pozbawionym uczuć pseudointelektualistą.

– On nie jest pseudointelektualistą.

– Ale jest niedorozwinięty emocjonalnie. – Kaja odstawia pustą filiżankę.

– No tak jakby.

– Zerwij z nim.

Pauline kiwa głową. Znowu łyk kawy. Obie czują, że odbiegły od najważniejszego tematu. Moja dziewczyna patrzy w szybę tak jak ja tysiące razy dawno temu, gdy nie mogłem oderwać oczu od ukochanego Warsaw City.

Wyciąga palce do dłoni Kai. Ta cofa rękę.

– Nie, siostró – szepcze. – Nie przytulę cię. Już nie. Nigdy.

Dziewczyna patrzy przerażona.

– Kaja, ty tak na serio?

– Tak. Dzisiaj w nocy wrócimy do siebie, miejmy nadzieję, że wciąż w czystej postaci, i już się nie spotkamy. Wyprowadzam się. Jadę do Matki Rosji. Dostałam praktyki w Mobillenum. Startuję wcześniej rano.

– O mój Boże...

– Tak musi być. I proszę cię, nie sensuj do mnie, nie myśl o mnie, zapomnijmy o wszystkim. Rozdzielmy się. Nie wracajmy myślami do tego

skurwysyna, naszej tajemnicy, całego tego gówna. Chcę rozpocząć nowe życie i tobie radzę to samo.

Pauline usiłuje podnieść pustą filiżankę do ust, ale nie może. Odstawia naczynie.

– Kocham cię, Paulinko. Żegnaj. – Kaja wstaje.

– Proszę cię, Kaju! – Eim zrywa się z siedzenia, ale Kaja gwałtownie wyciąga rękę.

– Nie idź za mną!

– Kaju, błagam!

Spojrzenie Kai przechodzi z Pauliny na drzwi wyjściowe. Dziewczyna rusza do nich biegiem.

– Kaju, błagam cię!!!

Wspomnienie nagle się urywa.

Koniec.

Więc tak się rozstały. Kaja poleciała do Mobillenum i tam poznała Laurusa. „Miłego, wrażliwego chłopca”. A Pauline związała się z pilotem śmigłów, urodziła mu Konona, potem był wypadek, resztę znam. No, wciąż nie opowiedziała mi o swoim romansie z synem diabła, Urielem Tamerlanem, ale nie musi. Jej prawo.

Jak zareagowała Kaja, gdy się dowiedziała, że Wilehad, agent Mobillenum, czyli zamaskowanego WayDao, śledzi Aymore’a, który jest związany z Pauline? Próbowала go od tego odwieść? Czy w milczeniu przyglądała się, jak ślepy los ponownie je styka? Co czuły, gdy się dowiedziały, że Laurus i ja jesteśmy w tej samej jednostce? Przeklinały przypadek czy uznały to za fatum? A może miały nadzieję na ocalenie? Dlaczego więc nigdy nam się nie zwierzyły?

Kobieta to dziwne stworzenie. Żąda od mężczyzny szczerości, często pyta „O czym myślisz?”, a sama jest gotowa do wyparcia największych sekretów.

Spróbuj je zgłębić, a znenawidzi cię i zaczniesz ciskać obuwiami.

Rozejrzałem się po otaczających mnie wielobokach. Dotąd wydawało mi się, że piszę historię swojego życia, że tworzę epicką opowieść o Torkilu Aymorze, niebieskim ptaku, który stał się gamedekiem, gamedecu, który został Ranem, Ranie, który stał się Błogosławionym i Taldem w jednym, a tu nagle okazuje się, że jestem nieświadomym narzędziem losu Pauline i Kai. Pojawiłem się na świecie, podobnie jak Laurus, nie po to, by grać melodię swojego życia, ale by akompaniować przy dziwnej i niepokojącej symfonii dwóch sióstr. Czułem to wyraźnie. Jestem dopełnieniem ich losów. Moje istnienie, moje i Laurusa, ma swój sens – rozwiązać zagadkę bliźniaczek. Do diabła. Ilu ludzi na świecie konstatuje, że nie są głównymi bohaterami historii, lecz drugoplanowymi postaciami w większych opowieściach?

Galaktyka Andromedy
Pustka międzygwiazdowa
Kwadrant 43/5455/26245/2432
09 Decimi 232 EI, 01.22 H
Torkil Aymore Med

Trzymam za bary tego padalca i staram się nie dopuścić, by znowu coś wywinął. Angela wciąż pilnuje moich pleców. Jej quille mieszają się z moimi w hipnotycznym tańcu splecionych skrzydeł. Przyglądam się królowi, ciągle w przyspieszeniu, tym razem metodyczniej, spokojniej, bez szoku pierwszego kontaktu. Oświetlona na czerwono podłużna mordka. Niebywale podobna do ludzkiej, ale bardziej mięsista, masywna i pobrużdżona, zupełnie pozbawiona włosów, które my najprawdopodobniej odziedziczyliśmy po małpach. Na oczach, oprócz twardych powiek, rodzaj gadziej błony – to

tłumaczy brak rzęs. Brak wałów brwiowych i brwi, czyli albo się nie pocą, albo woda w oczach im nie przeszkadza. Powoli wyszczerzył wielkie zęby, pomarańczowe, z metalicznym połyskiem. Ohydne. Wysunął spomiędzy nich blade ozór i równie wolno go schował. Smakuje powietrze. Jak wąż. To już stwierdziliśmy. Architektura wnętrza jest uproszczona: proste krawędzie, przewidywalne kształty. Te kolce między ścianami pałacu musiały być zabójcze dla niedowidzących! W grymasie jego mordy widzę wściekłość, zaskoczenie, bunt. To wszystko czuję, jego uczucia uderzają we mnie jak fale brudnej wody, jakby ktoś wlał do morza ropę naftową. Jego strój to coś w rodzaju uprząży sado-maso. Ciemnoszary kombinezon ze srebrnymi ożebrowaniami, tak jakby egzozkielet, którego żebra falują, wiją się niczym żywe stworzenia. Wygląda to obrzydliwie.

Nagle całe jego ciało zostaje zakryte srebrno-złotą folią, bardzo gładko przylegającą, czymś w rodzaju pancerza! Nie zdążyłem pomyśleć i już waliłem pięścią w jego osłonięty metalem ryj. Raz! Dwa! Trzy!

Pancerz króla zniknął. Kurwa, czasami lepiej od razu przywalić, niż myśleć. To zrobił Coremour bez mojej woli albo ja sam, ale ten zupełnie zwierzęcy.

– My shem. – Usłyszałem gruby głos. Mój frin zebrał to, co mięsiste usta produkowały od jakiegoś czasu, i przesłał mi cały pakiet brzmieniowy. – Da go yo dest my shem?!

– *To było pytanie?* – przesłał men Nexus.

– *Intonacja na to wskazuje* – odparła Angie. – *Ale możemy się mylić. Taka melodia dla nich może oznaczać rozkaz albo zdanie twierdzące.*

– *Adamu? Go kom rom eridu?!* – dorzucił król.

– *Gadaj zdrów* – mruknąłem.

– *Czy Baranek Boży użył słowa „adam”?* – nadał Tell. – *Przepraszam, że to powiem, ale to są jaja! „Eridu” po sumeryjsku znaczy „miejsce daleko od*

domu”! A „shem” to „coś, dzięki czemu się unosisz”!

– Tell, błagam cię... To pewnie przypadek.

– Ale jedną rzecz ma dobrą, muszę przyznać. Wielki łeb. Brzydki, bo długi, ale wielki. A wielki łeb to wielki mózg. Dark Father ma superczachę.

Smoki także posiadają duże ośrodkowe układy nerwowe. O trzydzieści procent większe od nas. Być może dzięki temu opanowały telepatię.

– He, Efendi, tak mi się skojarzyło. Ludzie zamieszkiwali jaskinie, bo byli przyzwyczajeni do kopalni Abizu, wiesz, tej sumeryjskiej. Człowiek pochodzi z mroku, to zrodzony w jaskini robot. Jego Ojcowie są istotami ciemności. Dlatego być może nie lubicie czerni. Bo kojarzy wam się z tatusiem. Dobrze, co?

– Uwaga! – krzyknęła Lea. – Te kobiety ruszają! Atakują!

– Rany... – jęknął Mars.

We wstecznej kamerze zobaczyłem, jak sloty leniwie, niczym w jakimś ohydny horrorze, odchylają swoje skrzydła i rusza z nich szwadron niskich, wysokich, spotworniałych i pięknych niewolnic. Wyskakiwały w powietrze, ich szaty układały się w ornamenty przysłaniające strażniczki na dalszym planie. Wyjmowały z zakamarków dziwnych, jakby kanciastych szat narzędzia, które mogły być bronią. Poczulem bijącą od nich falę. Tak, to była broń.

– Szefie – nadał telepatycznie Tell – prac?

Dominic, Barbara, Mars i Lea nie pytali. Uruchomili swoje działka i rozpoczęli kanonadę. Smugi z ich broni przebijały peleryny, rykoszetowały o ściany, błyskały gejzerami krwi, gdy uderzały w jasne czoło bądź rogaty czerep...

Angela błyskawicznie ułożyła skrzydła w formę zaczepną i wysłała kilkanaście lotek w stronę napastniczek. Jedna z kobiet – wysoka elfka – straciła ramię, które wzleciało w górę, jakby pozdrawiało wszystkich

zebranych, inna zaś, podobna do kuli, została przecięta prawie równo w połowie. Nogi wierzgały, a góra, odrzucona w bok, odlatywała, ciągnąc za sobą sznury jelit i naczyń krwionośnych.

Stone wysłała wachlarz strzałów, kładąc kotopodobną maskarę i biegnącego tuż obok niej przypominającego ptaka potwora. Obie strażniczki wciąż biegły, gdy z ich pleców wyrastały długie tulipany krwi zmieszanej z odłamkami żeber, nerek i wątroby.

Mars zdjął elfkę, odcinając jej głowę, a chwilę później skrócił o nogi ślicznotkę podobną do króla.

Wreszcie pierwsza ze strażniczek użyła swojej broni. A była to broń straszna. Przedmiot przypominający pędzel o rozszczepionym włosiu wypuścił rój czerwonych, wijących się promieni. Ugodził Leę, Marsa i Tella. Wszyscy zostali odrzuceni w tył. Na RanStone!

Widząc to, Paula wyskoczyła w powietrze i trwała tak przez chwilę, zataczając półkole świetlistą klingą. Agonai Nexusa, posłuszni inteligencji roju, natychmiast odchylił lufy, żeby zrobić jej przejście. Ich strzały jeszcze rykoszetowały po ścianach, gdy błękitny miecz zatoczył leniwego młynca, ścinając dwie głowy. Jeden podłużny, a drugi krągły i płaski czerep odpływały od korpusów, znacząc swój tor czerwonymi wstęgami, gdy kolejna z niewolnic strzeliła, kładąc pokotem Dominica, Barbarę i Quai. Wtedy, widząc, że Agonai oraz Suverzy zostali wyeliminowani, część niewolnic skierowała swoje „pędzle” na Charonkę, a te najbliżej nas zaczęły spoglądać w naszą stronę.

– *Upiory!* – wrzasnął Laurus. – *Quille!*

Potępione dusze wytrysnęły ze slotów w naszych pancierzach i z wyciem rzuciły się na strażniczki. Wysłaliśmy wszystkie lotki, które szybując, zaczęły szatkować strażniczą masę. Widok zasłoniła czerwona mgła. Jedna z niewolnic zdołała uderzyć Tanyę. Czempionka zawirowała, odbiła się od

sufitu i runęła w dół, ale zanim dotarła do gruntu, zdekapitowane korpusy strażniczek, nieświadome, co i w jaki sposób oddzieliło ich głowy od ciał, już przewracały się lub potykały o własne nogi i głowy odbijające się od podłogi. W pomieszczeniu nie było już nikogo do zabicia poza królem. Upiory, nie znalazłszy więcej przeciwników, zwróciły się do głównego czarta. Wyłączyliśmy je. Chcieliśmy, by był przy zdrowych zmysłach.

– *Agonai? Smoki?* – warknął Laurus.

– *Tanya?* – dodałem.

Monika pochyliła się nad rannymi Agonai z mojej obstawy, otoczyła ich śnieżnymi skrzydłami i zaczęła coś cicho szeptać do ucha Stone.

– *Ale salwa. W życiu czegoś takiego nie czułem* – poskarżył się Gradivus, usiłując dźwignąć się ze śliskiej podłogi. – *Przepaliło mi, kurwa, wszystkie nerwy.*

– *Nie marudź* – zmitygowała go Lea, stękając i wstając.

– *Szefie, żyjemy* – nadał zbierający kości Tell.

Zerknąłem na obstawę Nexusa. Także się gramolili, ale biły od nich wrzeszczące fale bólu. Strasznie oberwali, zdaje się jednak, że broń tych kobiet godziła głównie w układ nerwowy, więc jeśli się teraz nie złamali, powinni się zregenerować. Charonka skinęła głową. Na szczęście strzał zdarł tylko wierzchnią warstwę udowego pancerza.

Nagle poczułem mdłości, a świat przesunął się w skos, jakby ktoś silnie uderzył mnie w głowę. Wszystko się odwróciło: podłoga stała się sufitem, sufit podłogą i jeszcze raz. Rzeczywistość jakby zatrzymała się na moment i ruszyła, niczym popchnięta niecierpliwym wahadłem czasu. Rzuciło nas do góry nogami, tylko król jakimś cudem wciąż siedział na swoim tronie i szczyrzył dziwaczne zęby.

Leżałem na środku sali zalanej krwią i czerwonym światłem. Spojrzałem na swój Coremour. Był upačkany posoką martwych niewolnic. Cały

karmazynowy, zupełnie jak Czempion Tanyi, która leżała tuż przy mnie. Zerknęła na mnie jasnymi wizjerami hełmu.

– *Torkil, co się...?*

Przez ułamek subiektywnej cetni zastanawiałem się zafascynowany, jak wyglądałyby jej białe włosy poplamione szkarłatem. Biel i czerwień... Jak flaga kraju, w którym kiedyś mieszkałem... Jakie głupie myśli przychodzą człowiekowi do głowy! Gdzie jest Angie?

– *Torkil?* – słyszę jej głos.

– *Jestem.*

– *Czy coś się stało z czasem? Przed chwilą patrzyłam na chronometr i mam wrażenie, że było ładnych kilkanaście cetni wcześniej...*

Torkil Aymore Dex

Nemesis wycofywał się z centrum bitwy i kierował nieco w górę, więc widzieliśmy z mostka większą część pola walki. Nagle Errus, który także przesunął się nieco wyżej, pancerniki wroga, roje myśliwców oraz dymiący i skrzący się wyładowaniami pałac zachwiały się. Zdążyłem tylko usłyszeć „Co, do...?!” rzucone przez Hansa Coltera, nim znaleźliśmy się w zupełnie innym miejscu! Nad jakąś czarną, oświetloną czerwonym blaskiem planetą! Tuż nad mroczną powierzchnią poznaczonych karmazynowymi liniami dachów budowli! Huk rozerwałby mi bębenki, gdyby Poom nie osłonił małżowin mechanicznymi kształtkami. Instynktownie wybiłem się w górę i gdy dziób pędzącego po stycznej *Nemesis* uderzył w pierwsze przeszkody, a hałas stał się nie do zniesienia, przekoziółkowałem przez sterówkę. Statek ściał jeden dach, potem drugi i trzeci w huku tak wielkim, że paradoksalnie miałem wrażenie muzyki! Wskaźniki zamigotały, światło w sterówce

zadrżało i zgasło. Wszyscy lecieli do przodu, a okręt uderzał w kolejne budowle, ale że stały bardzo blisko siebie, nie zagłębiał się, tylko jakby ślizgał po zwieńczeniach. Gdy grzmotnął w coś tak mocno, że się w końcu zatrzymał, wypadłem przez rozbite okno. Mój umysł był przyspieszony, więc leniwie rotując, zastanawiałem się, czy rozbiję się o najbliższy dach, czy uduszę się w obcej atmosferze. Dookoła rozbijały się myśliwce wroga, rozświetlając niebo planety błyskami, a huk uderzeń zlewał się w nieustanny grom. Frin próbował mi pomóc cokolwiek zobaczyć w tej feerii błysków, przedstawiając widok w różnych widmach, z czego podczerwone było najlepsze. Tak, najlepsze! Oni *widzą* podczerwień! Nagle pośród chaosu poświat zobaczyłem mozaikę zdobień budowli, które obrys miały prosty, ale desenie, kojarzące się z kulturą Egiptu czy Majów, były niezwykle bogate! Uwieczniono je nie za pomocą farb, ale temperatury!

Wciąż lecąc, wciąż w przyspieszeniu, wysłałem men do reszty. *Przełączcie się na podczerwień.*

Kopuła. Tuż pode mną. Dosłownie centymetry. Lecę nad nią niczym bolid nad planetą, który nie rozbije się, lecz otrze o atmosferę, zapłonie, a potem pomknie dalej w kosmos. Na prawo ode mnie roztrzaskuje się kolejny myśliwiec. Jego szczątki w zwolnionym tempie odbijają się od ścian. Dach pode mną jest połyskliwy, poznaczony płaskimi zdobieniami, odbija obraz odległego wulkanu otoczonego jakby pancernymi płytami, jakby ubranego w stal. Usiłuję chwycić dach palcami, ale materiał Poom jest zbyt cienki, rwie się, palczkami trę o powierzchnię. Parzy! Tutaj jest gorąco, czuję to. Powietrze chyba nadaje się do oddychania; nie mam czasu patrzeć na odczyty frina, czuję tylko jego uspokajający komunikat. Obracam się, podziwiając powolny deszcz meteorytów – małych statków Warui, które będą uderzać w glob jeszcze przez dobrych kilka subiektywnych mon, i staram się otrzeć o czerwony dach plecami. Cienki egzozkielet traci kolejne warstwy

ochronne z grzbietu, z rąk, z brzucha. Przetaczać się!

Zbliża się krawędź dachu, a za nim jest przepaść, bardzo głęboka, co chwilę rozświetlana przez błyski wybuchów. Dalej drugi dach, dużo dalej... Odbijam się i chwytam w płuca gorące powietrze. Tak, daje się nim oddychać, chociaż pachnie siarką i dymem. Na RanStone, jesteśmy w piekle?!

Raz już zginąłem. Nie chcę ginąć po raz drugi. Lecę jak ptak, popychają mnie fale uderzeniowe rozbijających się o budynki statków, ale Poom niestety nie ma skrzydeł i nie mam skąd ich przywołać. Hipoki wciąż nie działają. Pancierz używa swoich flofów i próbuje wyhamować. Daje to jakiś rezultat. Ląduję na dachu pięćdziesiąt metrów dalej, niemiłosiernie się obtłukując, przetaczając w zwolnionym tempie kilkanaście razy, wreszcie hamując na jakichś zdobieniach. Jestem poobijany, ale potężny, trzymetrowy organizm Rana wytrzymuje przeciążenia. Podnoszę się ze stęknieniem. Dwoma stęknieniami. Przez chwilę kręci mi się w głowie, ale Frin kontruje nudności. Twierdzi, że to od oparów siarki i że zaraz zneutralizuje ten efekt. Zerkam w menu ciała, którego niebieskie, zielone i żółte barwy kontrastują z otaczającą mnie czerwienią i czernią. Kręgosłup cały. To najważniejsze. Stawy barkowe i biodrowe całe. Nogi? Nogi muszą być sprawne. Tak, wszystko w porządku, chociaż się trzęsą. A nie, to budynki drżą od nieustannych eksplozji. Frin funduje mi prochy przeciwbólowe i przeciwzapalne. Kilka lekkich naciągnięć. Trochę zdartej skóry, ale paliczki już się regenerują. Mnóstwo zadrapań i drobnych poparzeń na tułowiu.

Kolejna maszyna wroga, niczym płonący meteor, zwała się majestatycznie kilkanaście metrów ode mnie i ginie między wieżami, rozświetlając je od spodu. Znowu wciągam w płuca powietrze. Jest gorące, parne, śmierdzi, ale z całą pewnością da się nim oddychać. Frin informuje już dokładniej, że mieszanka gazów jest podobna do tych, których używamy na

naszych planetach. Wykrywa setki nieznanymi szczepów bakterii i wirusów. Już je kataloguje. Wciągnąłem do płuc tryliony bakcyli, babrzą się w moich ranach. Mam nadzieję, że Frin sobie z nimi poradzi. Uspokaja mnie: o ile znajdę do jedzenia coś zawierającego węgiel, azot, chrom, molibden, żelazo, cynk i siarkę, nie będzie miał problemu z wytwarzaniem przeciwciał. A najlepiej, gdybym znalazł substancje organiczne. Z siarką nie ma tu problemu, gorzej z jedzeniem. Czy w takim biotopie w ogóle coś może rosnąć? Ale skoro ekstremofile żyją we wrzącej wodzie i w lodowcach.

Wszędzie dachy. Czarne, bordowe, karmazynowe, szkarłatne i różowe. Na razie widzę tylko metal i... chyba tworzywa sztuczne. Budowle emanują dziwnymi falami – nie znam ich, nie kojarzę. Inaczej pachną, inaczej drżą, śpiewają inną pieśń. Zupełnie jakbym był w jakimś dziwnym cyfrowym świecie. *Tron*, był kiedyś taki holm... Tutaj jest podobnie, tylko czarno-czerwono, nie niebiesko. I co chwila błyska biel eksplozji, a ich gorący wiatr próbuje mnie zepchnąć z budowli. Pieśń otoczenia jest tak inna, że nawet słowo „inne” brzmi zbyt swojsko. Ten świat mówi niezrozumiałym językiem. Nie potrafię go odnieść do tego, co znam, do tego, jak śpiewają latające miasta rajów, stacjonarne polie Grondów, pływające cities czy gigantyczne airville. Muszę się skupić i nauczyć ich języka, wiem, że to możliwe... Słyszę świst i czuję wibrację. Patrzę w górę i w ostatnim momencie uskakuje przed potężnym kawałkiem rozdartego, płonącego niczym meteoryt tworzywa. Dociera do mnie fala uderzeniowa, która mnie popycha i pomaga w skoku. Przetaczam się w ognistym kurzu, wśród płonących, powoli się obracających szczątków. Ciężki płat metalu wbija się w dach i rozsiewa dookoła grad gorących odłamków. Zasłaniam się rękami, ale niewiele to daje. Boli rozdarta skóra na ramionach i przedramionach. Frin natychmiast blokuje ból. Na granicy świadomości dociera do mnie, że to nie skutek zderzenia myśliwca z budynkiem. W grunt, o ile można na tej planecie mówić

o gruncie, uderzył pancernik, a to jest jego fragment! Dookoła lecą niczym okruchy sztucznych ogni bolidy, ciągnąc za sobą wijące się ogniste kity zakończone czarnymi warkoczami dymu. Jest ich tak dużo, że ledwie cokolwiek przez nie widzę, w dymach giną nawet wszechobecne serafy i wciąż opadające myśliwce. Psiakrew, szkoda, że tylko ludzie dostrzegają te skrzydlate paskudztwa. Przydałoby się, żeby i obcym zasłaniały widok. Pancerniki obcych jeden po drugim uderzają o dachy czarno-czerwonej megapolii. Huk jest zwielokrotniony, wałą jak werble na paradzie. Pod stopami czuję drżenie, które przenosi się wzdłuż budowli niczym drganie po szarpnięciu struny gitary. Przytrzymuję się iglicy, kucam i czekam, aż przejdą pełne kurzu i smrodu fale uderzeniowe pchające mnie jak morskie fale. Huk wreszcie ustaje, do spadających myśliwców już się przyzwyczajam. Frin śledzi ich trajektorie i ustala, że żaden we mnie nie uderzy. To mnie uspokaja. Tylko ten kurz, wszędzie różowa mgła...

Pałac króla musiał przenieść nas wszystkich nad powierzchnię tego globu. Errusa, wrogów i sprzymierzeńców. Zerkam w górę. Widmo Opętanych wisi nad planetą nietknięte. Oczywiście. Czarni dali sobie radę z tym skokiem. Król musi mieć tutaj swoją teleportacyjną kotwę albo stanowisko obronne. Mam nadzieję, że systemy nawigacyjne *Nemesis* działają, bo jeśli nie, nie będziemy wiedzieli, gdzie jesteśmy, i wtedy Tell nie będzie mógł nadać namiarów! O ile Smok przeżył. Właśnie. Kto przeżył?! Wydawałoby się, że spędziłem w tym miejscu mnóstwo czasu, lecz to tylko czas subiektywny, w przyspieszeniu. Obiektywnie cała moja eskapada trwała może dziesięć cetni.

– *Tell! Żyjesz?* – odzywam się totowo, używając zwykłej falowej komunikacji. Tutaj, ze zrozumiałych względów, sieć nie działa.

– *Żyję, przyjacielu. Cieszę się, że pytasz. Jestem z Quai w pałacu tego padalca.*

– *Jest tam Angie?*

– *Żyje, podobnie jak twój Środkowy. Baranek Boży, zdaje się, przyleciał na swoje podwórko... Ty, jak zdążyłem zauważyć, brałeś udział w katastrofie. U nas nic złego się nie stało. Prawdopodobnie skurczybyk specjalnie poczekał na swoich wrogów, żeby ich zwabić, a potem rozsmarować na tej planecie. My byliśmy na dostawkę. Patrząc na tę ohydłą mordę, zaczynam się zastanawiać, czy nie użył nas jako przynęty...*

– *Tell, uważaj na siebie!*

– *Mam wrażenie, że jestem tu w miarę bezpieczny. Chociaż coś zaczyna drżeć...*

– *Angie Sin! Angie Dex!*

– *Nie teraz, Torkil! – wrzeszczą obie.*

– *Kapitanie Colter! Kapitanie Colter!*

– *Jeśli on nie przeżył, nie wrócimy! Pies z powrotem, to i tak była samobójcza misja, ale miło by było, gdyby jednak...*

– *Jestem, Torkilu. Poza statkiem, ale jestem. Dzięki filtrowi podczerwieni w miarę dobrze wszystko widzę. Już się gramolę w górę. Muszę się dostać z powrotem...*

– *Imperatorka?*

– *To bogini. Nic jej nie jest. Tkwi wciąż we wraku Nemezis, doprawdy nie wiem, jakim cudem. No właśnie. Cudem.*

– *Inżynierowie?*

– *Nie mam pojęcia. Ale najpierw to, co najważniejsze: jesteśmy w zupełnie nowym miejscu, więc sugeruję nieprzerwany ogień ImBuCanów. Zarówno z ocalałych dział Nemezis, jak i przez was, Anioły. Do wyczerpania magazynków.*

– *To dobry pomysł – dociera do mnie men Felixa, Nexusa i Mbele, wszystkie w tym samym czasie.*

Na moich naramiennikach nie otwierają się sloty małych dział, bo po pierwsze, Poom jako jeden z nielicznych pancrzy WayEmpire nie ma ImBuCanów, a po drugie, ta zbroja to już praktycznie złom...

– *Majorze Garibaldi?* – znowu głos Coltera i podgląd jego oliwkowej gęby na tle czerni i czerwieni.

– *Jestem, jestem. Proszę mi nie przeszkadzać, naprawiamy tę brykę! Chłopaki, nie mazgać się, do roboty! Do roboty!*

– *Tajest!*

Dawaj kabla

Dawaj gwint

Tu przekładnia

A tam nit

Tryby trybią

Wali młot

Świdry dybią

Na twój tłok!

Tej piosenki z pewnością nie napisał Diego, chociaż poziomem go przypomina. Być może ze względu na archaiczność pojęć i prymitywizm formy była popularna wśród Żuków. No cóż, co dekuria, to obyczaj.

Inżynierowi są niesamowici. Spadają pancerniki, myśliwce lecą niczym ognisty grad, wszystko dookoła wygląda jak apokalipsa odtwarzana w zwolnionym tempie, *Nemesis* jest niemal rozpruty, a oni śpiewają!

Oddałem menowy salut dzielnym Błękitnym i zadałem sobie pytanie: Co robić?

Rozum podpowiadał, żeby udać się na pokład statku. A instynkt? Co mówił instynkt? Co podpowiadał tarotowy Księżyc?

Nie.

Nie wracać.

Do diabła, nie wracać. Iść naprzód. Naprzód! W tę ognistą zamieć!

Warknąłem, rzuciłem się do przodu, na najbliższy czerwono-czarny mur i zacząłem się wdrapywać. Zupełnie jak jakaś małpa, postanowiłem wejść wyżej, nad kurzawę, by się lepiej rozejrzeć. *Nemesis* nie wystrzelił jeszcze kamer, a mój Poom już ich nie miał.

Druga fala uderzeniowa, pełna gorąca i kurzu, mało nie zdmuchnęła mnie z muru, a huk pewnie ponadrywał bębunki. Pierś zadrżała od wibracji, ale się utrzymałem. Po niej przyjdą z pewnością następne, ale będą słabsze. Niech przychodzą. Krew już zakrzepła na moich przedramionach i bokach. Frin zgłaszał, że organizm osiągnął homeostazę. Na razie.

Gdy byłem dostatecznie wysoko, zobaczyłem, jak na tle powolnego ognistego deszczu myśliwców kilkanaście kolejnych pancerników wroga uderza w grunt i rozbija się, wznecając grzyby eksplozji i precle kurzu rozchodzące się niczym fale na jeziorze. Wiele budowli pochyliło się czy obróciło w ruinę, ale miasto, jeśli mogę tak nazwać miejsce, w którym się znaleźliśmy, było tak rozległe, że nie widziałem jego granic. Jak okiem sięgnąć rozpościerał się dywan wież prawie tej samej wysokości, coś jak zielony dach dżungli, tylko tutaj wszystko było czarno-karmazynowe. W oddali majaczyło w drżącym powietrzu kilka wielkich, wysokich na całe kilometry wulkanów. Wszystkie były czynne i buchały w niebo podświetlonymi od spodu obłokami dymu. Otaczały je cienkie pierścienie wzmocnień i masywne metaliczne pasy biegnące od podstawy do krawędzi krateru, co upodabniało je do piramid. Wyglądały trochę jak fabryki, a nie naturalne twory. Na zamglonym burym niebie zataczały kręgi demony i anielice Errusa, ciągnąc za sobą zawirowania smogu. Sporo z nich leciało promieniście, oddalało się na podobieństwo skautów mających ustanowić

perymetry.

Spojrzałem w przeciwnym kierunku i zobaczyłem poznaczony dziwnymi jasnoczerwonymi rurami kulisty pałac króla. Tkwił w kleszczach wielkiej konstrukcji stworzonej na podobieństwo ludzkiej ręki pociętej skomplikowanym rysunkiem żył. Budowla była wysoka na dwadzieścia kilometrów. Naprawdę gigantyczna. Gigantyczna i przerażająca. Na... RanStone.

Na RanStone!

Przypomniałem sobie sztuczny glob Auduxa z Damnaty.

Tam był taki sam pałac!

I taka sama planeta!

Jakim cudem Słuchacz był w stanie odtworzyć ten glob?! Zaraz, co tam jeszcze było... Miałem cały zapis, bo friny robią nieustanny logging. Wydałem polecenie frinowi, by znalazł właściwy fragment, a potem kazałem nałożyć zapamiętany obraz planety Słuchacza na to, co nas otaczało. Na czerwień i czerń nałożyły się zielone linie. Frin stwierdził osiemdziesięcioprocentową zgodność. Porównał najbliższe otoczenie z zapisem i natychmiast uzupełnił mapę. Niesamowite. Jak on to zrobił? Może wszystko, co odczuwamy, co śnimy, co sobie wyobrażamy, ma jakiś sens, jakieś odzwierciedlenie gdzieś daleko w kosmosie albo w innym wymiarze, tylko nie jesteśmy tego świadomi, bo rzadko mamy możliwość potwierdzenia swych przeczuć?! Wysłałem pak do pozostałych.

– *Mars, zdaje się, że robiłeś dużo hotek?*

– *Tak, rzeczywiście. Już udostępniam. Niezwykłe...*

Mapa została zalana morzem detali, ale wciąż nie było to dokładne odwzorowanie. Zdziwiłbym się niepomieranie, gdyby było.

– *Uważajcie – ostrzegłem. – Szczegóły mają znaczenie, a ich nie ma na tej mapie. Mamy pogląd na całość, to najważniejsze.*

Przyjrzałem się dokładniej pałacowi. Zrobiłem zoom. Niestety, osłabiony Poom nie dysponował sensownymi kamerami, więc musiałem użyć własnej optyki. Obraz się trząsał, bo targały mną fale uderzeniowe spadających myśliwców. Odległość sprawiała, że wszystko było bordowo-szare. Pancerne płyty krążyły wokół centrum... Nie, zaraz, co się z nimi dzieje? Zaczęły się przemieszczać w dół, reorganizować, przekształcać. Dlaczego?!

Torkil Aymore Med

Wszystko zaczęło się trząść i huczeć, mimo że wciąż byliśmy w pełnym przyspieszeniu. Nagle ściana naprzeciw tronu otworzyła się i jakaś siła, jakieś pole chwyciło nas w pól i wyssało na zewnątrz razem ze zwłokami strażniczek, krwią, połamanymi quillami, porwanymi szatami, odciętymi kończynami i głowami! Przez długą chwilę lecieliśmy jak śmieci wyrzucone w próżnię przez statek kosmiczny: bezładnie rotując i oddalając się od siebie. Na Budę, tego nie było w planach! Otoczyło nas rzadkie, zimne powietrze – byliśmy w końcu dwadzieścia kilometrów nad szczytami wież – a mimo to wrzask przemieszczających się płyt ogłuszał tak, że nie byłoby sensu krzyczeć. Wyhamowaliśmy, pozwalając, by truchła strażniczek przeleciały między nami i poszybowały łukiem w dół pośród spadających dookoła myśliwców i pancerników. Struktura przed nami przeobrażała się, zapadała, kurczyła. Już nie było kuli, bo otaczające ją płyty zjeżdżały, zrastały się z pięścią, odwracały kolcami na zewnątrz, rozdzielały. Teraz zaczynałem rozumieć złożoność, którą dostrzegłem, gdy wszedłem w Eynet. To się przeobrażało w...

– *Widzicie to?* – krzyknął Laurus.

– *Strasznie wielkie!* – odpowiedział Tell. – *Będzie z pięć kilometrów!*

Z jaką prędkością poruszają się te płyty?!

– *To dlatego tak huczy! Uwaga!* – ostrzegł Mbele. – *Cofnąć się!*

Odlecieliśmy w tył, bo z dołu wieży zaczęły lecieć z furkotem rozdieranego powietrza potężne elementy. Zderzenie z nimi, nawet w Coremourze, mogłoby się skończyć fatalnie. Elementy zaczęły się przyczepiać do tego, co powstawało z pałacu, i przeobrażać, tworząc z subiektywnej cetni na cetnię...

– *Ja cię przepraszam* – szepnęła Angela. – *To jakiś arcydiabeł...*

To, co powstawało na naszych oczach, coraz bardziej przypominało olbrzymiego króla – podłużna, rogata głowa, długie kończyny górne zakończone sześcioma palcami wielkości Skullheada, szeroki korpus i kończyny dolne o charakterystycznej dla króla proporcji ud, podudzi i kości skokowych, wszystko zaś z czarno-czerwonych, kolczastych, metalicznych płyt. Taki kolos nie miał prawa szybko się poruszać, tymczasem to, co widzieliśmy, przeczyło znanym nam prawom fizyki. To bydlę było żwawe! Jeszcze chwila i potwór siedział okrakiem, niczym jakiś cholerny satyr, na szczycie skarłajej, szerszej niż przedtem wieży, mierząc nas spojrzeniem wielkich czerwonych ślepi.

– *Ja pierdolę* – sapnął Tell.

Torkil Aymore Dex

Ledwie potwór na szczycie wieży skończył morfować, poczułem potężny ból na czubku głowy, od którego zgiałem się wpół. *Imperatyw!* Rozbrzmiał w moich piersiach, jakbym przysunął je do gigantycznego głośnika.

Ulegnijcie!

Co za ból! Miałem wrażenie, że jakieś wielkie szczęki wgryzają mi się

w przełyk.

Padnijcie przed potęgą króla!

Mdłości. Po raz pierwszy od stu cykli mój żołądek przeszył spazm bólu, zgiąłem się, coś złamało się w krtani i zwymiotowałem... oczywiście tylko śluzem, bo ciało miałem prosto z hiperbosa. Ślina i śluz leniwie się odkształcają, połyskują w czerwonym świetle jak rubiny, nim doleczą do ziemi, zdążę wyrecytować wszystkie dialogi z *Broken Branch*. Moja przepona się kurczy, co odczuwam wyjątkowo nieprzyjemnie, bo wszystko jest spowolnione, a przełyk znowu się napina. Co robi frin? Dlaczego tego nie blokuje? W klatce piersiowej rośnie ostry nóż, w głowie rozrasta się kanciasty kamień... zaraz ją rozsadzi!!!

Wasza przegrana jest oczywista.

Gałki oczne przestają się mieścić w oczodołach, uwierają, za chwilę wyjdą na wierzch!

Ulegnijcie!

Nagle ciało poddaje się, mięśnie wiotczeją, nie chcą mnie trzymać, jakby ogłosiły strajk przeciwko właścicielowi.

Przegrywam.

Na ImBu, na Nomorię, przegrywam.

Puszczam iglicę, na którą się wspiałem, i w zwolnionym tempie spadam na dach poniżej, ale ledwo zaczynam lecieć pośród ognistej ulewy, w głowie odzywa się melodia.

Hymn Nomorii.

Nomoria! Nomoria!

Ranów jęk, pancerzy szczęk!

Nomoria! Nomoria!

Eyenet wrzuć, kompanów cuć!

Nomoria! Nomoria!
Odrzuć lęk, załaduj sprzęt!
Nomoria! Nomoria!
Wroga kłuj, potęgę czuj!
Nomoria! Nomoria!
Nomoria! Nomoria!

Pieśń poligonu puchnie mi w głowie, puchnie w piersi. Wielogłosowy basowy zaśpiew punktowany potężnymi kotłami. To frin. To frin stara mi się pomóc. Bo przecież *nas nie uczono przegrywać!*

My nie przegrywamy, do diabła!
Do, nomen omen, diabła!!!
Zaciskam powieki!
Zmawiam koan koncentracji!

Walczę!
Walczę!
Walczę!
Ból jest moim wrogiem!
Słabość jest moim wrogiem!
Niemoc jest moim wrogiem!
Beznadzieja jest moim wrogiem!
Mam moc!
Jestem panem siebie!
Jestem panem siebie!
Jestem Ranem!
Jestem Ranem!
Zwyyyyyyycięęężaaaaaam!!!

Uderzam stopami o dach, ale nogi nie są już tak omdlewająco słabe. Słuchają mnie, kurwie pomioty. Słuchają mnie też bicepsy, tricepsy, słuchają brzuch i grzbiet!

Enkrateia! Panowanie nad sobą!

Rozkazuję egzoszkieleтови zamknąć kask wokół głowy, ale pancerz informuje, że jest zbyt uszkodzony. Podgląd pokazuje, że zdarło mi prawie cały grzbiet, duże połączenie tułowia i osłon rąk. Poom nie nadbuduje takiej powierzchni. Kask był ukryty w tylnej części kołnierza, której już nie ma.

Ulegnijcie.

Ból znowu rozrywa ciało, a mięśnie chcą zemdleć, ale nie pozwalam im.

Frin informuje, że w powietrzu jest potężne stężenie feromonu posłuszeństwa. Wydaję polecenie, żeby neutralizował jego działanie. Szybciej, szybciej, szybciej!

Znowu koan koncentracji.

Walczę!

Walczę!

Walczę!

Ból jest moim wrogiem!

Słabość jest moim wrogiem!

Niemoc jest moim wrogiem!

Beznadzieja jest moim wrogiem!

Mam moc!

Jestem panem siebie!

Jestem panem siebie!

Jestem Ranem!

Jestem Ranem!

Zwyyyyyyicieęęężaaaaam!!!

Odruchowo układam dłonie w znak Imperium i przyciskam je do piersi.
Ból zdaje się zmniejszać.

Rany boskie... niech ten frin zadziała!

Poddajcie się.

Kolana znowu się uginają, jakby ktoś je rozszczepiał rzeźbiarskim dłutem.
Łup! Łup! Łup! Widzę oczami wyobraźni, jak po pischelach cieknie krew,
jak kości pękają...

Kurwa, przecież nie ulegnę. Nie ulegnę!

– Moniiiiikaaaa!!! Leeee!!! – wrzeszczę wściekły, że dopiero teraz sobie o nich przypomniałem. Duchy opiekuńcze rozdierają przestrzeń w basowym pomruku, w pajęczynie błyskawic. Lee warczy tak głośno, że drżą budowle. Jego pysk jest tuż przy mojej twarzy, tak realny jak nigdy. Monika rozpościera skrzydła i krzyczy całą mocą, jakby jej śpiew miał odepchnąć zły czar. Czuję bijącą z nich moc! Zalewa mnie ożywcza fala!

To dodaje mi otuchy!

Nie dadzą mnie złamać!

Nie dadzą!

Zaciskam zęby i napinam mięśnie brzucha, jakby za chwilę ktoś miał mnie uderzyć w splot słoneczny. Prężę wszystkie mięśnie i prostuję się.

– Neeeeeee!!! Neeeeeee!!! Neeeeeee!!! – drę się wniebogłosy.

Czuję, jakbym odpychał wielki balon, jakbym walczył z falą tsunami, której ciężar z początku wydaje się zbyt wielki, ale udaje się! Odpieram ją jak Syzyf pchający wielki kamień na górę, wtaczam go, głaz wreszcie się zsuwa, ale już nie po mojej stronie zbocza.

Udało się.

Udało.

Oto Syn Imperium sprzeciwił się plugawemu rozkazowi i znalazł w sobie moc, by ostatecznie go odrzucić.

– *Efendi* – usłyszałem głos Tella – *udało ci się, chociaż byłeś bez pancerza! Lecę do ciebie.*

– *Tell, nie rozpraszaaj się!*

Patrzę w kierunku pałacu i oczy znowu chcą mi wyjść na wierzch. Nie ma już wysokiej ręki i kuli. Jest dużo niższa baszta, na której przycupnął potwór. Wyciąga szponiaste łapska, wybija się i rzuca w stronę drobnych jak ziarnka piasku Ranów.

– *Skąd się wzięło to bydlę?!*

– *Wymorfował z pałacu i ręki.*

Arcydiabeł sunie w powietrzu, okrążając grupę Toy Soldiers, i chyba uruchamia jakieś bronie, bo jego cielsko zaczyna świecić coraz większą liczbą linii.

– *Lecę – słyszę Tella. – Tu zostanie Quai. Dywersyfikuję ryzyko.*

– *Nie gwarantuję ci, że u mnie będzie bezpieczniej!*

– *Przyjacielu, beze mnie nie przetrwasz...*

W moje pole widzenia wlatuje żółty talizman od Laurusa. Cały czas się mnie trzymał: wtedy, gdy zginąłem, i tutaj, na tej dziwnej planecie. W czerwonym świetle wygląda, jakby wykonano go z pomarańczowego kamienia.

Arealium

Talizman topazowy Torkila Aymore'a

Czas realium:

08 Decimi 232 EI, 01.35 H

Pozostało jedno: jak umarł Igor?

Czy to rzeczywiście była naturalna śmierć? Zapił się? Pauline mówiła o wypadku... Mam nadzieję, że nie splamiły sobie rąk jego krwią. Nie to, że nie zasługiwał, ale szkoda dziewczyn i ich poranionych psychik. W ostatnim wspomnieniu Kaja stwierdziła, że straciły kontrolę nad tymi wymianami. Czy zbrodnia spowodowała dalszą aberrację ich umiejętności, czy stało się to w sposób naturalny? Wolałbym oczywiście to drugie.

Szukam we wspomnieniach.

Niezawodny frin kieruje mój wzrok w przeszłość, w dół. Wielobok jest czarno-biały. Żałoba i obojętność.

„Ojciec, pogrzeb”.

Doskonale. Nie mam zamiaru szukać scen zbrodni, zresztą gdyby takie wspomnienia kiedyś były, Kaja z pewnością by je wykasowała. Ale nie ma to znaczenia. Wystarczy zerknąć na ich miny i spojrzenia podczas pogrzebu.

Piękna pogoda. Dron zasunął właśnie kamienną płytę, pod którą w niewielkim zagłębieniu kryje się urna. Kaja patrzy na nagrobek. Robot wydaje cichą, melodyjną dyspozycję i nad płytą rozjarza się trójwymiarowa fotografia ojca. Gdy był młodszy i ogolony, wyglądał na porządnego człowieka. Jak to pozory mylą. Matka, z twarzą ukrytą za czarną woalką, płacze. To poraniona kobieta. Być może jej cierpienia paradoksalnie spowodowały przywiązanie do kata. To się zdarza. Dawno temu kobiety mówiły „Jeśli bije, to znaczy, że kocha”. Zdarzały się interwencje policji, które kończyły się okładaniem pięściami funkcjonariuszy przez ofiary przemocy krzyzące: „Nie róbcie mu krzywdy!”. Ale tutaj chyba było inaczej. Matka płacze nad sobą. Nad swoim losem. Nad latami spędzonymi z oprawcą, z człowiekiem, który skrzywdził jej córkę, podczas gdy ona nic z tym nie zrobiła. Patrzy na Kaję i Pauline, jakby mówiła „Przepraszam”, i znowu zalewa się łzami. Była zastraszona i uzależniona, nie potrafiła mu się

przeciwstawić, godziła się na kazirodztwo...

Mój Boże, jaka smutna historia.

Kaja spogląda na Pauline. Ta minimalnie rozciąga usta. Jakby w uśmiechu ulgi. Twarz ma spokojną, oczy czyste. Jakby mówiła: „Już po wszystkim. Teraz tylko słońce i pogoda”.

Przyglądam się jej ustom, oczom, napięciu mięśni mimicznych... Nie. Nie ma tu grymasu mordercy, lęku przed karą, poczucia winy. To nie one.

Wyłączam wspomnienie. Znowu dryfuję wśród barwnych wieloboków.

Biorę kilka uspokajających wdechów.

Kłębią się we mnie myśli. Zaczynam lepiej rozumieć wybuchowość Pauline, jej krewki temperament, złość, a jednocześnie delikatność. Wciąż nie mogę pojąć, jak przez tyle cykli udało jej się ukryć to wszystko. Czy kobiety stać na aż tak silne stłumienia? Nic nigdy nie wyciekło w żadnym paku...

Ale dlaczego nie wykrył tego Topppcode? Przecież to było w czasach, gdy działał... Aaa, dla niego wszystko wyglądało normalnie. Konstelacje mózgow się nie zmieniały.

Ale jeśli tak, jeśli Pauline i Kaja posiadały umiejętność translokacji, i to tak niecodziennej, być może nasi Imperialni Soulerzy mogliby się czegoś od nich nauczyć... Nawet my sami! Ja wiem, że mamy aruny, które ratują naszą psychę, ale czasami arun zawodzi, zostaje zniszczony. Taka umiejętność mogłaby ocalić życie niejednego Aristosa.

O do diabła.

To jest to.

One o tym wiedzą.

Wiedzą, że gdyby się wygadały, natychmiast zaczęto by je przeświecać. Ich straszna tajemnica, wstydliva historia stałaby się znana naukowcom i soulerom. Wszystko zostałoby rozgrzebane, z pewnością opublikowane

i przedyskutowane. Jeśli w Młodym Imperium dokonywano do dzisiaj nie do końca wyjaśnionych prób Rytuału Utraty, nikt by się nie patyczkował z utrzymywaniem w sekrecie ich historii, analizowano by, w jakim stopniu strach, ból i rozpacz wpłynęły na pierwszą udaną próbę, włączono by we wspomnienia Kai i Pauline, odtwarzano je i rozkładano na czynniki pierwsze, by zrozumieć ten fenomen. Cała opowieść o Igorze, Natashy i dwóch siostrach, ze wszystkimi jej intymnymi szczegółami, stałaby się dobrem narodowym.

Dlatego utrzymują to w tajemnicy. I dlatego wciąż się unikają. Przy nieustannej inwigilacji ImBu bardzo łatwo mogłyby wpaść!

Na Buddę.

Na miejscu Pauline byłbym trzy razy bardziej nerwowy!

Tak.

Tajemnica rozwikłana.

Biorę głęboki wdech i rodzi się we mnie silne przeświadczenie, że to musi się jednak skończyć. Trzeba im pomóc. Siostry muszą wrócić do siebie. Nie mogą unikać spotkań, nie mogą o sobie nie myśleć. Przecież się kochają. Trzeba porozmawiać z realnym Torkilem i z Laurusem. Trzeba coś zrobić, by po pierwsze, „uleczyć” ich przypadłość albo przynajmniej pomóc im ją kontrolować, po drugie, być może wykorzystać ich umiejętność na rzecz Aristoi, ale nie angażować w to Akademii ani Wielkiej Rady Tomonari. Musi być jakiś sposób. Imperium jest wielkie, z pewnością można to załatwić dyskretnie.

Ale z nas barany. Uwierzyliśmy, że się nie znoszą. Przecież Laurenty sam powiedział, że nie można nie lubić samego siebie. Oczywiście, że nie można.

Wydałem dyspozycję i znalazłem się z powrotem w metalowym pomieszczeniu, przed szybą zawierającą wspomnienia Kai.

Zadanie wykonane. Laurus, jesteś zadowolony?

Nagle po prawej stronie rozjarzają się drugie drzwi, z napisem „Dla zwycięzcy”.

Podchodzę, otwieram je i oślepia mnie blask słońca.

Obraz 6

Na obcej ziemi

Galaktyka Andromedy

Planeta Ojców

09 Decimi 232 EI, 01.36 H

Torkil Aymore Med

– *Pozbieraliście się po tym imperatywie?! –* krzyczy Laurus, unikając potężnego uderzenia potwora. Powietrze ryczy rozdierane przez wielką łapę, która przepływa między nami jak fregata bojowa WayEmpire.

Bestia wrzeszczy i otwiera do nas ogień. To chodząca forteca – działa ma na piersi, ramionach, głowie i biodrach. Uderzenia szarpią pancerzem. Odrywają fragment okrywy uda i naramiennika. Nie wytrzymamy nawet mony!

– *Musimy go odciągnąć od Nemezis!* – krzyczy Mars i po chwili milknie trafiony salwą arcydiabła. Jego pancerz leci daleko w dół, w stronę krwawego dywanu budynków. W polu widzenia pojawia się ikona informująca, że stracił przytomność wskutek rozległych urazów jamy brzusznej. Arun właśnie wyrywa jego psyche.

– *Uwaga, to jest...!* – ostrzega Kroz i zostaje przecięty na pół przez niewidzialną nić ciągniętą przez dwa drony, które nie wiedzieć kiedy odłączyły się od łapy potwora. Frin rejestruje osiemdziesiąt takich aparatów. Zaraz nas zmasakrują!

– *Nanonici! Ostroż...!* – krzyczy Barbara i dzieli los jednego z Samuelów.

Jej potężny Hegar zostaje przecięty. Oboje przetrwali, ale ciała są już do niczego.

– *W lewo, w lewo, okrążyć drania i odciągnąć od statku!* – wydaje rozkaz jeden z Laurusów i pędzi w zamieci pocisków i dronów.

Ruszamy za nim, a nasze duchy opiekuńcze zaczynają odbijać niewidzialne salwy, co widzimy jako błyski na ich skrzydłach.

– *Kapitanie!* – krzyczy Wilehad.

– *Tak, RanaRze?*

– *Prześlij mi mój miecz! I hiperbosa!*

– *Oceniam uszkodzenia. Z Nemezis niewiele zostało.*

– *Przedziały pasażerskie zostały zmasakrowane* – odzywa się Kyle. – *Mało prawdopodobne, żeby coś przetrwało. Jeśli mieliście tam jakieś ciała, to się z nimi pożegnajcie. Mam nadzieję, że ocalał moduł dibekowy. Spróbuję się tam dostać.*

– *Kyle, jesteś cały?* – pytam.

– *Nie teraz, ojciec, jestem zajęty.*

Gdyby się rozbili dwa wieki temu, *Nemezis* byłby nienadającym się do użytku wrakiem, a załoga witałaby się ze świętym Piotrem. Ale dysponowaliśmy technologią Wielkiego Imperium. Pancerze ochroniły załogę, pola osłoniły statek, a Imperatorka... zapewne zadbała o wysokie prawdopodobieństwo przeżycia. Bądź Jej wola.

Zerknąłem na podgląd kilku ocalałych kamer *Nemezis*. Wrak utkwił wśród wysokich, przypominających sakralne budowli, a dookoła niego rozbijały się

o dachy pancerniki i płonące myśliwce wroga.

– *Szaleństwo!* – krzyknął Nexus. Mimo tragicznej sytuacji czuł się jak ryba w wodzie. Awiacja pośród salw i dronów musiała sprawiać mu perwersyjną przyjemność.

– *Ten padalec na pewno wzywa wsparcie* – odezwał się Diego.

– *Taki kolos?!* – krzyknęła Paula.

– *To tchórz, nie kolos. Musimy go wyciągnąć z tego łba i zapakować do hiperbosa, żeby poczuł zagrożenie. Jak wezwie flotę, spieprzamy* – odparł.

– *Łatwiej powiedzieć, niż zrobić!*

– *Przepraszam, „spieprzamy”? Jak?* – odezwał się kapitan Colter. – *Na razie silniki Nemezis są niesprawne. Da się je naprawić, ale to potrwa. Tak czy owak, w tej chwili i tak ważniejszy jest system nawigacyjny.*

Torkil Aymore Sin

Med wykrzykiwał coś o jakimś morfingu i potworze, Tell żył, Dex również, a ja, czyli Sin, wraz z Angełą Lewą i Prawą oraz resztą Angeli Mortis walczących z pancernikami i myśliwcami wroga u boku Errusa, zmagalem się z grawitacją planety, która zapragnęła rozbić mojego Coremoura o dachy budowli. Na podglądzie widziałem inne Anioły Śmierci, otoczone duchami opiekuńczymi, mknące w czerwonym dymie, zapalające go samym tarcie, pozostawiające za sobą ogniste ogony i animowane wstęgi *Księgi Słowa*. Ścigały się z umierającymi myśliwcami Warui. Nawet w zwolnionym tempie ich prędkość robiła wrażenie. Upadłe anioły...

Suniemy prosto na włócznie wąskich wież i na dziwne drzewa unoszące się na tarasach zawieszonych pośród budowli. Tuż obok mnie nurkują, niczym gniewne meteory dwie Angele, oby RanStone miał je w opiece.

Dachy budynków przybliżają się. Na Budę, ominąć ten szczyt, cała wstecz, cała wstecz! Mijam iglicę celującą prosto w mój brzuch, kilkanaście metrów dalej o budowlę rozbija się myśliwiec, rozsiewając wokół oranżowe światło. Lece, cholera, za szybko! Dopiero pikując wzdłuż ściany, widzę, jak straszną mam prędkość! Przełączam się na widmo podczerwone, zgodnie z sugestią Dexa. Wokół śmigają pomosty, tarasy, schody, łączniki, mury... Jakież to wysokie! Chryste, spadam jak meteoryt i już dawno bym się rozbił, gdyby nie to, że tutaj gmachy są kolosalne. Budynek, przy którym pędzę, jest wyższy od Pałacu Imperatorskiego, a gruntu nie widać. Na RanStone, jak wyhamować?! Dostaję kilkanaście menów od innych Aniołów i od moich partnerek szukających sposobu na wytracenie prędkości, ale żaden nie jest sensowny. To i tak cud, że jeszcze nikt się nie rozbił. Głębokość tego cholernego miasta jest pewnie dwudziestokrotnie większa od najwyższych polii WayEmpire, to kilkadziesiąt kilometrów w głąb. Jezu, wyhamować!

Lee!!! Monika!!!

Demon i Anielica wyłaniają się z nicości i naprężają potężne mięśnie. Lee chwyta mur. Jego pazury orzą w nim ogniste ślady. Monika także wbija paznokcie w oślizłą powierzchnię. Ściana sypie gradem ostrych jak lancety iskier, dymi i krzyczy. Duchy trzymają mnie za ręce. Czuję ich potężne dłonie! Ciągną! Wysyłam meny do pozostałych. To działa! Lecąca przede mną Angela Dex już jest ratowana przez swoje duchy, w kamerze wstecznej widzę, że Sini także. Pancierz protestuje, przegrzewa się, jęczą stawy barkowe, ale hamuję, wreszcie naprawdę hamuję. Wciąż nie widzę dna miasta. Mrok rozświetlają dryfujące szkarłatne latarnie. Rozmazane ściany zwalniają. W końcu się zatrzymuję. Otaczają mnie zmurszałe, trudne do odcyfrowania ornamenty kojarzące się ze sztuką Majów. Wszystko jest czerwone, obrosnięte czymś w rodzaju mchu, tak stare jak Damnata. Angie Sin pyta menowo, czy nie warto lecieć dalej w dół, żeby zobaczyć dno. Nie,

odpowiada Dexi, są ważniejsze sprawy. Zgadzam się z nią.

Patrzę w górę. Gdzieś daleko, tak daleko, jakbym był na dnie głębi oceanicznej, widzę punkt ciemnego nieba.

Lecimy ku niemu. Rozpędzamy się.

– *Dzięki, Roth. Dziękuję, Moniko.*

Demon uśmiecha się. Monika także.

– *Aniołki* – odzywa się Felix Duran – *meldować się. Wszyscy macie żyć.*

– *Diego Dex. Było gorąco.* – Frost dyszy. Maodionowy poeta musiał się najeść strachu.

– *Diego Sin. Zgadzam się.*

– *Kaj Sin. Rozumiem, że pytasz o Sinów i Dexów?* – Mbele jest jak zwykle opanowany.

– *W przypadku Toy Soldiers tak.*

Słucham zgłoszeń, pędząc coraz szybciej w górę. Niestety ta podróż jeszcze chwilę potrwa, zwłaszcza w czasie subiektywnym.

– *Achilles Dex. Powiem krótko: ja pierdolę.*

– *Achilles Sin. Nic nie powiem.*

– *Etna w trójcy jedyna. Panie powinny być pierwsze.*

– *Nexus Dex i Sin, że tak się wyrażę w imieniu nas obu. Na RanStone! To była najlepsza przejażdżka w moim życiu! Wciąż mam dreszcze!*

Czarny otwór nieba jest coraz większy.

– *Ramona. Trójca.*

– *Gida. Komplet.*

Agatangelo oberwała, czuję to.

– *Ktoś potrzebuje zasobnik?* – stęka po chwili. – *Albo aspirynkę?*

– *Ja* – rzuca Kaj. – *I to, i to.*

– *Ja też* – nadaje Etna.

– *Asmodea. Wszystkie zdrowe.*

Ciekawe, jak wyglądały Ranki Tyr pędzące w tych swoich szamańskich ciuchach.

– *Uria. Trzy całe.*

– *Septimus. Was też uratowały duchy? Nemezis musiał lecieć pod innym kątem.*

Myślę o Imperatorce. To jej sprawka?

– *Sin i Dex też żyją – ciągnie Septimus. – Dzięki, Primus.*

– *Nie ma za co – mówię. – Torkil Sin cały. Dex jest gdzieś w terenie, bez Coremoura.*

– *O rany – wyrwało się Gidzie. – Bez zbroi?*

– *Poradzi sobie.*

Jestem blisko szczytów budowli. Mur pędzi po mojej lewej, zlewając się w jednolitą płaszczyznę. Angie Sin i Dex mkną obok mnie, a z nimi ich duchy.

– *Iana, trójca. Mnie uratowały moje szachownice. A poważnie, to duchy.*

– *Xavier. Duchy, czyli Omnihomo, czyli my. Zdrowi. Ta planeta, a może raczej ten obszar jest strasznie... martwy.*

Talent Auduxa daje o sobie znać.

– *Co masz na myśli? – pyta Felix.*

– *Jeszcze tego nie rozumiem.*

– *Bonaventura. Miałem wrażenie, że Wesole Chłopaki już mnie żegnają, i, kurwa, całe życie mi przed oczami przemknęło. Aż mi się relikwiarz przegrzał. A talizmany dopiero teraz do mnie dotarły. Sin i Dex się ze mnie śmieją.*

– *Martina. Pugna Eterna, ale tu jest syf! Wszystkie całe.*

Zerkam na swój szafirowy talizman krążący samotnie wokół pieczęci Anioła Śmierci. Ornamenty obudowy trochę się nadtopiły, ale klejnot działa. Całe szczęście. Siedzi tam, oprócz Weenów, pięćdziesięcioro Taldów.

– *Brakuje Logana* – odzywa się Żywy Święty. – *Logan?*

– *Jestem, w mordę. Dałem ryjem w to kurewskie drzewko. Już w porządku. Sin i Dex cali. Gida, podeślij mi papu i medpaka.*

– *Się robi.*

– *Hehe* – rechocze Martina. – *Jabłuszka smaczne były?*

– *Żebyś wiedziała, że to jakby jabłonie. Dziwne jakieś, ale podobne do naszych. Tfu. Mam wszędzie liście i gałęzie, a przez dłuższy czas nic nie widziałem, cholera jasna.*

Na pierwszy rzut oka konwersacje trwały długo, ale to tylko kwestia przyspieszenia.

Wylatuję nad budowlę. Odczytuję pak od Aymore’a Dexa dotyczący zabawkowej planety Auduxa. Włączam podesłaną przez niego i Marsa mapę. Na otaczające nas budynki nakłada się siatka zielonych linii. Niezwykłe. Naprawdę niezwykłe. Jednak Duran nie pozwala nam się zachwycać odkryciem Prawego. Mamy lecieć do grupy Medów walczących z arcydiabłem. Trzeba wydostać króla ze łba tego potwora. Może Errus nam pomoże... Mbele wskazuje kilkanaście punktów dookoła. Z lasu niebotycznych budowli podnoszą się podobne do koron statki soulerskie i kierują w stronę arcydiabła. Czujemy imperatyw. Jest bardzo silny, ale Coremoury wciąż są szczelne i feromon posłuszeństwa na nas nie działa. Odpieramy imperatyw bez większych problemów.

– *To są cele Sinów* – informuje Felix. – *Prawi mają zostać przy Nemezis. Medowie – zgodnie z instynktem.*

Piękny rozkaz. Pasuje do Świętego.

Torkil Aymore Dex

– *Dlaczego, kurwa, ten moduł nawigacyjny jest taki ważny?! Gdzie jest mój miecz?! Colter, pospiesz się!* – słyszę Laurusa.

Już widzę Tella. Jest w pancerzu, oświetlony czerwoną poświatą i rzadszymi już błyskami eksplozji spadających myśliwców. W polerze jego zbroi widać odwrócone dachy budowli. Pośród sięgających gwiazd warkoczy dymu kołyszący się leniwie Suver wygląda jak wycięty z komiksu. Gdyby nie to, że jest prawdziwy, nie uwierzyłbym w jego istnienie.

– *RanaRze* – odpowiada Colter – *bez tego modułu nie mogę ustalić, gdzie jesteśmy. Nie chcesz chyba wysłać CIII w miejsce, w którym nawiązaliśmy kontakt z pałacem? Tam teraz już nic nie ma. Musimy mieć ten moduł. Ustalimy miejsce naszego pobytu, Smok nada je do reszty Suverów, a potem możemy tu w spokoju umrzeć. Miecz już do ciebie leci w twojej skrzyni.*

Tell jest coraz bliżej. Rozkłada skrzydła, by wyhamować.

– *Wyglądasz w tym wdzianku jak Conan Barbarzyńca* – oświadcza.

Na Nomorii zarządzano czasami manewry bez Coremourów. Wielu Tomo się wtedy boczyło. „Po co nam te głupoty? – złorzeczyli. – Przecież zawsze będzie dostęp do jakiejś zbroi!” Jednak instruktorzy – łącznie ze mną – utrzymywali, że to nie pancerz tworzy potęgę Aristosa, lecz jego umysł i ciało. Nomoryjscy adepci wzruszali ramionami, ale słuchali. Byliśmy szkoleni do działań bez pancerzy i, zdaje się, nadszedł czas, by sprawdzić rezultaty. Zlustrowałem resztki Pooma. Miałem osłonięte barki – tutaj zbroja zgromadziła większość tego, co z niej zostało – a także biodra i krocze. Pancerz stworzył też coś w rodzaju przesianych osłon ud i dodał nieco materiału przy podudziach. Talizman dyndał w okolicach piersi. Rzeczywiście barbarzyńca. Pasujemy do siebie ze Smokiem.

Tell słyszy moje myśli i rechocze, po czym ląduje, odkrywając barwny łeb i dużą część skrzydeł.

– *Tell, nie chowaj w hipoku...*

– *Spokojnie. Hipok nie działa, więc niczego w nim nie schowam.*

Wygłupiłem się.

– *Po prostu składam pancierz. Ja wiem, że wy, Ranowie, jesteście dumni z tych swoich ciał: piersiowe, proste brzucha, najszersze grzbietu, uda, łydy. I wyglądacie naprawdę nieźle... jak na ludzi.*

Zbliża się do mnie i wyciąga potężne ramię. Dla postronnego obserwatora jego ruchy muszą być niezwykle szybkie, ja jednak postrzegam je jako nieco leniwe. Gdy prezentuje muskulaturę, wyskakuję w powietrze, by zasiąść na jego grzbiecie.

– *No popatrz – prosi.*

Przelatuję nad jego kończyną i rzucam na nią okiem. Jest gruba jak mój tors. W porośniętym błękitnymi i czerwonymi łuskami mięśniu naramiennym zmieściłyby się cztery moje głowy. Biceps, gdzie wkrada się oranż, przypomina dwie bardzo wyrośnięte, połączone dynie. Suwerzy cechują się monstrialną siłą i niezwykle sprawnością fizyczną. No cóż. Są, nomen omen, potworami.

– *Co chciałeś przez to powiedzieć, Tell, i dlaczego dupę zawracasz?* – pytam, zbliżając się do jego siodła.

– *Chciałem powiedzieć, że jesteśmy piękniejsi. Tak obiektywnie. Rozumiesz, niezwykle przystojni. Nie macie ani takiej sylwetki, ani mięśni jak my.*

– *Musieliśmy przylecieć do innej galaktyki, na nieznaną planetę i zaakceptować to, że zginiemy, żebyś się podzielił tą rewelacją?* – odpowiadam, starając się połączyć z siodłem. Niestety mam za mało pancierza, by zespolenie było silne.

Tymczasem zgłasza się Garibaldi:

– *Jestem przy tym module. Rozpierzdelony w drobny mak, że tak powiem. Spora część została gdzieś za nami, bo przód zderzył się z kilkoma*

budowlami. Dobrze, że sekcja antygrawów jest w głębi statku. To one ocaliły nam życie. Wracając do nawigacji, duża partia wyparowała. Niedobrze, bo w tej konstrukcji używamy ytritu. Nie jestem w stanie zsyntetyzować go bez dostępu do odpowiedniej porcji atomów selenu, bizmutu, neodymu i tantalu. Są resztki na powierzchni urządzeń, trochę w powietrzu, ale to ślady. Wysłałem już sondy, żeby zeszkobały, co się da, z gruzowiska za nami...

– No, Conanie – rechochce Tell – poszukamy tych pierwiastków.

– Znasz się na chemii, Tell?

– Frin się zna. Najlepiej by było dotrzeć do jakiejś fabryki.

– Widzisz jakąś? Czujesz?

Kręci łbem.

– Weź to. – Wyciąga łapę i łamie wielką iglicę wystającą z dachu, na którym stoimy.

Zrobił to tak, jakby łamał niewielką gałązkę. Ta iglica to stop aluminium, stali, złota i nieznaney nam troniki – tak podpowiada frin. Ładna, pocięta czerwono-czarnymi pasami.

Biorę ją do ręki. Ciężka. Zupełnie jak kopia turniejowa średniowiecznego rycerza. Cudnie – półnagi heros z dzidą na smoku, a nad nim wciąż wyginające przestrzeń Anielica i Demon. Mamy fantasy jak w mordę strzelił. I jeszcze ten pomarańczowy talizman od Laurusa. Proszę o hotkę. Wrzucę w sieć, na pewno ludzie ją pokochają. Tylko te kolory marne, za ciemno...

Tell macha skrzydłami, uciska moje łęźwie i rusza w dół, między budowle. Schować się i szukać jedzenia. To teraz, niestety, priorytet. Zaczynam słabnąć, a słaby do niczego się nie przydam. Frin domaga się substratów. Walka z bakteriami, wirusami i feromonami oraz leczenie ran zaczynają być uciążliwe. Wyczerpują się zapasy w wątrobie, pokłady tłuszczu też znikają i jak tak dalej pójdzie, zacznie trawić mięśnie, a tego nie chcemy. Ujęcia z kamer Sinów i Dexów pokazały jakieś drzewa. Substancje

organiczne. Lecimy w kierunku jednego z nich. I nagle to do mnie dociera. Gdy byłem w Eynecie, widziałem wiele zamieszkanymi planet krążących po eliptycznych orbitach. Jeśli z tą jest tak samo, to wcale nie wylądowaliśmy po nocnej stronie, tylko... tu zawsze jest noc! Stąd widzenie Ojców w podczerwieni. Sprawdzam to we frinie. Tak, tutaj również jest bardzo silne pole magnetyczne. Być może planeta szybko wiruje. Jeśli tak, to psiejuchy widzą także... Polecam frinowi zwizualizować pola magnetyczne. Nagle nade mną eksploduje niebo! Sztuczna inteligencja zaszyta w moim ciele obrazuje nieboskłon w kolorach ognia. Na południu i północy króluje jasna zorza, im bliżej zachodu lub wschodu, tym bardziej niebo ciemniejsze i staje się podobne do wewnętrznej, ciemniejszej części płomienia. A więc tak widzą świat Ojcowie. Przekazuję men reszcie i słyszę okrzyki. Nie tylko niebo błyszczy, ale zyskują też budowle. Mają mnóstwo zewnętrznych ozdób generowanych przez pola magnetyczne. Teraz budynki są powleczone nićmi złotego ognia, a nawet jakby napisami czy znakami. Niezwykłe. Naprawdę niezwykle. Cała planeta płonie. Być może najeźdźcy widzą pola w sposób bardziej kontrastowy, na przykład niebieski czy fioletowy. Zresztą nie wiemy, jak odbierają kolory i czy w ogóle je widzą.

– *Medowie Angeli Mortis* – mówi Felix – *szukajcie pierwiastków.*

– *Tak jest!*

– *Nie* – nadaję. – *Jesteście potrzebni Środkowym walczącym z arcydiabłem. Ja się tym zajmę.*

– *Dasz radę, Torkil?* – pyta Duran.

– *Muszę.*

– *Mimo wszystko polecimy tam. Nie mogą polegać na jednym Maod-Anie.*

– *Kurwa, gdyby była łączność hiperprzestrzenna, wysłalibyśmy prośbę do Worplanu i mielibyśmy wszystkiego, ile trzeba* – warczy Logan.

– *Łączność mamy, smoczą. Ale nie wiemy, gdzie jesteśmy* – odpowiada

Felix.

– *Zaraz! – krzyczę w eter. – O’Toole! Wzięliśmy ze sobą O’Toole! Są na Nemezis! Przecież one mają lokalizatory! Bardzo precyzyjne!*

– *O’Toole, Maod-Anie, są częścią WayEmpire – mówi Garibaldi. – Lokalizują siebie na podstawie tetragulacji – określają położenie dzięki komunikacji z otoczeniem. W głębokim kosmosie kontaktują się z systemami nawigacyjnymi statku. Gdyby mogły, połączyłyby się z nawigacją Nemezis, ale nie mogą, więc się nie przydadzą. Rozbity moduł okrętu zaś określa swoje położenie dzięki głębokiemu skanowi kosmosu.*

Racja. Coremoury, niestety, nie dysponują takim systemem. Skymoury – tak. Ale nie możemy ich uruchomić.

– *Zostają poszukiwania – rzucił inżynier. – Najłatwiej znajdziesz to, czego szukamy, w pojazdach unoszących się nad ziemią. Istnieje podejrzenie, że używają nadprzewodników.*

Spojrzałem na wznoszący się kilkaset metrów dalej statek podobny do korony. Podążał leniwie w stronę potwora na wieży.

– *Efendi – nadał telepatycznie Suver – przerażasz mnie...*

– *Chyba wiem, jak tam dotrzeć.*

– *Torkil Dex, czy jest z tobą Smok?! – krzyknął Laurus.*

– *Tak.*

– *Dobra decyzja! Tutaj jest – stęknął – gorąco.*

– *Quai? – odezwał się Suver. – Trzymasz się?!*

– *Tell, nie przylatuj tu, proszę cię...*

– *Torkil. – To znowu Laurus. – Tell musi przeżyć! To rozkaz!*

– *Obiecuję, przyjacielu.*

Przełączam się na kanał Smoka, który lawiruje szaleńczo między masywnymi bunynkami.

– *Zaraz odnajdę na mapie to niskie przejście z planety Auduxa.*

– Szukaj. Wkrótce będziemy przy tym drzewie. – Pociągnął nozdrzami. –
Czujesz?

– Tak, rośliny. Cholera, nazjemy się bakterii.

– Czeka nas zemsta króla?

– Czyli sraczka?

Wybuchnął gromkim smoczym śmiechem, a dziwne czerwone budowle odbiły jego głos.

Arealium

Talizman topazowy Torkila Aymore'a

Czas realium:

09 Decimi 232 EI, 01.38 H

Drzwi za mną zamknęły się i zniknęły, a z nimi całe pomieszczenie, w którym rozgryzałem tajemnicę bliźniaczek. Stałem na baszcie zamku tak wysokiego, że chmury widziałem daleko w dole. Rzucały rzadkie cienie na zielone wzgórza. Powietrze było niewiarygodnie przejrzyste, bo nawet najdalsze góry widziałem ostro, bez charakterystycznego zasinienia. Za mną strzelała w błękitne niebo jeszcze wyższa część twierdzy ze zgrabnie spasowanych ciosanych kamieni. Wszystko było zatrzymane w czasie – obszyte lśniąca nicią błękitno-złote proporce, na których pysznił się woj dosiadający skrzydlatego konia, składający się do strzału z podwójnych łuków łucznicy, prawdziwi, nie wyszywani paladyni pędzący na sześcioskrzydłych pegazach, lewitujące kobiety w zwiewnych szatach układających się na kształt latawców i gromada rycerzy na granatowych, unoszących się w powietrzu tarczach, które, niczym platformy bojowe, wciskały się między szturmujących zamczysko wrogów: czerwone hordy

skrzydlatych demonów, zielono-pomarańczowe smoki oraz magów z długimi, srebrnymi laskami. Jedna z lewitujących kobiet wypuszczała z rąk błyskawicę. Ta uderzała wrogiego maga w pierś. Piorun mienił się żywym srebrem. Twarze walczących były wykrzywione gniewem i bólem. W powietrzu, niby karmazynowe roje motyli, połyskiwały tysiące strzał, a kule ognia miotane przez smoki układały się w nieregularne rozety. Wszystko było nieprawdopodobnie plastyczne: wybuchy, pociski, bohaterowie starcia.

Spojrzałem jeszcze raz w górę. Na blankach wieży stali chyba król i królowa wydający rozkazy. Na głowach mieli złote hełmy, ubrani byli w złoto-błękitno-czerwone szaty i niepełne zbroje płytowe.

Nagle w powietrzu pojawiła się gęba Laurusa. Uśmiechnął się.

– Jeśli tu jesteś, to znaczy, że rozwiązałeś zagadkę. Mam nadzieję, że jest ciekawa. Prześlij mi ją natychmiast pakiem. Jeśli tego nie zrobisz, wciąż będziesz tu więziony. – Zamilkł i uśmiechnął się z wyższością, skrzyżował ręce na piersi.

Dobra, panie mądry, ale nie spodoba ci się paczuszka...

Galaktyka Andromedy
Planeta Ojców
09 Decimi 232 EI, 01.54 H
Torkil Aymore Med

– *Kurwa, a miało być tak łatwo!* – jęknął Laurus Med, widząc, jak drugi Kroz żegna się z życiem rozszarpany przez niewidzialne salwy. Ręce Besebu-Rana leciały osobno, noga osobno, krew zaś kręciła spirale, gdy bezwładny kadłub sunął w stronę czerwonych dachów. Arun unosił jego psyche na pokład

Nemesis.

– *Nigdy nie jest łatwo* – sapnął Nexus, pacyfikując swoimi duchami dwa drony, które chciały go przeciąć nanonicią.

Pędziliśmy po kole, starając się okrążyć potwora, ale on śledził nas wzrokiem i posyłał kolejne salwy. Machał łapskami i wcale nie były to niegroźne ruchy. Pazury miał ostre, a ciosy tak szybkie, że chociaż unikaliśmy uderzeń, nasze Coremouiry co chwila chwiały się od silnych podmuchów. Od jego przedramion odrywało się coraz więcej dronów z nanoniciami i to w zasadzie one były najgroźniejsze. Nasze quille odbijały się od nich, ale quilldao były wystarczająco ostre i masywne, pozostawała więc walka wręcz oraz duchowa. Tylko jakie mieliśmy szanse z tym potworem, używając mieczyków?! Czy Lee i Monika byliby w stanie oderwać ten łeb? Po odkryciu Torkila Dexa arcydiabeł i jego latające robactwo zaczęli wyglądać jeszcze bardziej złowieszczo. Potwór dosłownie mienił się odcieniami czerwieni, które falowały na jego powierzchni. Wyglądał tak, jakby płonął. Na tułowiu i kończynach gęsto było od ideogramów, znaków kojarzących się z szamańskimi zaklęciami. Po prostu szatan, książę piekieł. Niebo, które dzięki Dexowi zmieniło się z burego w perłowożłote, zaczęło się odcinać od sylwetki demona i efekt ten tylko potwierdził moje skojarzenia: byliśmy w piekle. Tak musi wyglądać Hades, nie ma innego wyjścia. Wulkany, płomień i krew.

Friny poinformowały, że za chwilę będą w stanie zobrazować salwy wroga. Wreszcie! Nagle zobaczyliśmy niebieskie błyski pól magnetycznych rozkwitające wokół setek luf. Zupełnie jakby ktoś na czerwony aksamit rzucił obraz gwiazdzistego nieba... Jeszcze kilka subiektywnych cetni i ujrzeliśmy kierunek strzałów. Dla kontrastu z resztą wizualizacji friny oznaczyły je błękitem. Powietrze nad planetą Ojców rozbłysło pajęczyną niebieskich linii. Jakim cudem do tej pory przetrwaliśmy, nie wiem. Chyba wolałbym nie

widzieć tej gęstwiny. Friny dosłaly paki, że przed palbą działka muszą się przez chwilę „rozgrzewać”, więc zaraz zobaczymy także jaśniejsze, bardziej rozmyte smugi ostrzegające, gdzie najprawdopodobniej padnie strzał.

– *Nareszcie!* – krzyknął rozochocony Nexus.

– *No!* – warknął Laurus, widząc, jak podlatuje do niego skrzynia zawierająca ukochany oręż. – *Tomo! Koniec zabawy! Rozwalimy stanowiska ogniowe na tym skurwysynu! Dwiema falami! Alfa od dołu, beta od góry!*

Dodał do totu wizualizację atakujących grup. To, co robiliśmy do tej pory, było bez sensu – trzymaliśmy się na dystans od Godzilli, narażając jednak na strzały. Jeśli podlecimy pod ostrym kątem od dołu i z góry, a potem będziemy latali tuż przy ciele potwora, nie będzie mógł nas ostrzelać, bo waliłby bezpośrednio w króla. Jedynym zagrożeniem pozostaną te drony oraz jego łapska, jeśli zdecyduje się na grzmocenie w siebie.

Inteligencja roju rozdzieliła nas na dwie grupy. Miałem być w dolnej, razem z Nexusem, trzech Wilehadów zaś w górnej. Wydało mi się to podejrzane.

– *Laurus, po co ci ten miecz?* – krzyknęła Angie.

– *Niespodzianka, kurwa.*

Co knuje nasz RanaR? – spytałem totowo Taylora, a on po namyśle stwierdził, że trzeba z nim lecieć. Na mapie zauważyłem, że zbliża się do nas kilkunastu Medów.

– *Mamy posiłki.*

Wyrwaliśmy z Nexem do góry. Friny uznały, że nowo przybyli dołączą zarówno do grupy górnej, jak i dolnej.

– *Aniołki, uważajcie* – rzucił Dominic. – *Tu pracuje cały czas jajcarnia. Jest bardzo niebezpiecznie ...*

I trachnęło go tak, że już więcej nic nie powiedział. Dwa drony, lecące bardzo daleko od siebie, ścięły go nanonicią. Jego arun ruszył w kierunku

naszego statku.

– *W takim tempie...* – zaczęła Asmodea, ale przerwał jej krzyk Wilehada.

– *Jasna cholera, kurwa mać w dupę pierdolona!* – darł się Ran wszystkich Ranów, pędząc świecą w towarzystwie swojego Lewego i Prawego.

– *Co się stało?!* – krzyknęła lecąca blisko mnie Angela.

– *Nic, nic, osobiste pierdoły. Bierzcie się do roboty!*

Przez ułamek subiektywnej cetni patrzyłem na Laurusa. Jego realne oblicze było odrętwiałe, arealne rysy zaś, oddające aktualny stan ducha, wykrzywione wściekłością. O co mu chodziło?

Pędziliśmy wzwyż, ku resztkom spadających myśliwców i pajęczynie błękitnych linii ognia, i wreszcie, gdy znaleźliśmy się dokładnie nad czartem, zawinęliśmy się w dół. Jego sylwetkę co chwila przesłaniały diabelskie lub anielskie skrzydła. Furkotały nasze quille, które śmigwały, by zaatakować drony przeciwnika. Potwór machał łapami i wciąż oddawał niezliczone salwy.

– *O k...!*

Lecący przede mną Mbele w ostatnim momencie uniknął domniemanej nici. Razem z Angie wywinęliśmy kozła i także ją ominęliśmy. Chwyciłem mocniej prawe quilldao i cisnąłem w łeb przelatującego drona. Trafiona maszyna zaiskrzyła i siłą inercji wciąż leciała w górę, ale wiedziałem, że za chwilę zwolni i zwali się w dół. Przywołałem oręż. W tym momencie frinom udało się ustalić algorytm zachowania dronów wroga. Zobaczyliśmy wiele półprzezroczystych fioletowych wrzecion latających prostopadle do kursu małych statków. Ukazywały miejsca, w których najprawdopodobniej będą nanonici rozpięte między robotami.

– *Alleluja!* – krzyknął Logan.

Do wielkiego łba potwora mieliśmy jeszcze kilkanaście subiektywnych cetni. Mknąc w pajęczynie strzałów i wrzecion niczym ryby usiłujące

przecisnąć się przez oka rybackich sieci, prosiliśmy duchy o opiekę, ciskaliśmy quilldao do przelatujących w pobliżu dronów i usiłowaliśmy ogarnąć taktycznie sytuację. Informacja to podczas bitwy największy sprzymierzeniec, a wciąż mieliśmy za mało danych. Spojrzałem na pysk diabła. Wyczułem... strach. Strach?! On się nas boi? Nie. Przewyższa nas pod prawie każdym względem. Boi się czegoś innego. Tylko czego, tylko czego? Przecież nasza rasa nie mogła mu zaszkodzić. Znał Whale? Whale były groźne? Połączyłem się z jaźnią Pauli, która jakimś cudem wciąż jeszcze była wśród nas, prawdopodobnie dzięki temu, że kryła się w moim cieniu.

– *Aniołów i Demonów jest mnóstwo! Wszystkie wściekłe. Chcą nas wyrzucić, zgnieść. Brońcie nas, Ranowie, broń nas, Imperatoroko. Na ImBu, ile tego jest...*

– *Tanya, sonduj jego, nie eter.*

Zbliżał się dron, a obok niego mknęło grube fioletowe wrzeciono. Frin dodał do wizualizacji warkot, żeby ostrzegął nas również, gdy nie widzimy robotów. Ominęliśmy je. Angela uderzyła w czerep statku mieczem. Trafiła.

– *Tak, Torkilu, tak. Czekaaj, czekaaj, on ciągle wraca do przeszłości* – szeptała Tanya. – *Bardzo, bardzo dawnej... Do czasów sprzed dziesiątków tysięcy cykli. Do zarania dziejów!*

– *Tak jest* – usłyszałem telepatyczny przekaz Tella. – *Skurczybyk wspomina coś przerażającego...*

Rozejrzałem się, ale Smoka z nami nie było. Tylko Quai pędziła przodem niczym dziób lodołamacza. Dragonka krwawiła z kilku miejsc i zostawiała za sobą czerwone smugi. W tle wielki łeb diabła wydawał się trząść od prędkości, z jaką się do niego zbliżaliśmy.

Frin oznaczał stanowiska działowe na jego rozległym cielsku. Trzy z nich, na piersi, należą do mnie.

– *Tell, jesteś z Torkilem Dexem, pewnie z nim gadasz, bo jadaczki*

zamkniętej nie potrafisz utrzymać, a jednocześnie rozmawiasz telepatycznie ze mną i z Sinem...

Zbliżał się dron. Fioletowe wrzeciono wiło się, poruszało w górę i w dół, warczało. Nanić była luźna. Odskoczyłem w lewo, Logan wyprzedził mnie, a jego demon rozszarpał drona na strzępy.

– Jesteście ułomni – szepnął Suver. – Ludzie. Przypominam ci, że nie tylko ciało mamy większe, ale mózg także. Myślimy szybciej, spostrzegamy więcej i w ogóle moglibyśmy was dawno wysiudać z Imperium, ale nie robimy tego, bo kochamy pokój, piękną pogodę i dobrą muzykę.

– Tell, wystarczy – syknąłem, waląc z silników grzbietowych i nurkując pod kolejną nanonicią. Ciągnącego ją drona ściał lecący za mną ostatni Kroz.

Tell nie dawał za wygraną.

– Nigdy nie zastanowiło was, że wielki mózg równa się lepszemu myśleniu? Myślicie, że jesteście od nas bardziej zaawansowani?

– Zbliżamy się! – krzyknęła Quai.

– Rozpierzdolić te działa! – wrzasnął Laurus w trójcy jedyny i zaszarżował wzdłuż płaszczyzny głowy potwora na pierwszy punkt ogniowy w pobliżu imitacji jego sterczącego ostrego ucha.

– To sztywność umysłowa – paplał Smok. – Kiedyś naukowcy sądzili, że w pradziejach Ziemi, gdy jeszcze nie było na niej życia, uderzenia meteorytów w ocean utrudniały sensowne reakcje chemiczne. Potem się okazało, że było odwrotnie: to dzięki meteorytom i ciśnieniu, jakie wytwarzały ich uderzenia, aminokwasy mogły się łączyć.

– Tell – jęknąłem, śmigając tuż koło oka potwora. Znalazłem się w wąskiej przestrzeni wolnej od strzałów! Plan Laurusa działał!

Frin dodał efekty dźwiękowe do strzałów wroga – niebieskie linie jęczały jak potępione, a smugi zwiastujące oddanie salwy zawodziły o kilka tonów niżej. Też pięknie.

– Już kończę, chociaż mam jeszcze co nieco do powiedzenia.

– Jak zwykle! – krzyknąłem, mknąc wzdłuż szyi behemota.

– On, znaczy król, myśli o czymś, co zniszczyło jego cywilizację.

– Że jak?!

– Pomyśl, drogi Torkilu. Jesteśmy telepatami, tak? Istniejemy od dwustu cykli. Wyrobiliśmy się w tej sztuce w sposób przekraczający wasze pojmowanie. Nieustannie słyszę miliony moich sióstr i braci, jestem z nimi zespolony. Oni słyszą mnóstwo myśli ludzkich i zwierzęcych, nawet roślinnych. Jednoczesna rozmowa telepatyczna z kilkoma osobami naraz to doprawdy pikuś, przyjacielu...

Dotarłem wreszcie do piersi arcydiabła i zacząłem się zbliżać do punktu ogniowego. Cholera jasna, to działało było wielkie jak bunkier! A należało do mniejszych, bo te naprawdę duże miały rozmiary kilkunastu airvilli! Jak ja mam to rozwalić za pomocą quilldao?! Może Demonem?

– Dotąd nie powiedział tego żaden Suver, ale de facto, jak lubisz mawiać, kochany Tomo, jest jeden smok.

Wielkie działało zwróciło na mnie swój pysk, ale nie mogło wcelować. Tuż nade mną pojawiła się błękitna smuga i jęknęła bezsilnie, wysyłając niebieski promień. Byłem za blisko powierzchni diabła!

– Tworzymy superszybką sieć – ciągnął Suver. – Dlatego bez trudu mogę rozmawiać z tobą i z pozostałymi Aymore'ami, niezależnie od tego, że wszyscy jesteście maksymalnie przyspieszeni.

– Jezu... – jęknąłem zmęczony paplaniem gada i rzuciłem się na działa.

– O tak. Jezu, Mahomecie i Ozyrysie, n'est-ce pas? Zachowujemy indywidualność, bo zbyt ją lubimy, ale tak naprawdę od dawna stanowimy odrębne komórki jednego organizmu.

– Tell, dlaczego teraz to mówisz?! – Wziąłem wielki zamach obydwoma quilldao i ciąłem w podstawę czegoś, co było chyba lufą działa. Ostrza

wdarły się na kilkanaście centymetrów, ale nie uszkodziły struktury.

– *Nie tylko ja i nie tylko tobie. A mówię, bo świat się kończy.*

Tylko nie to. Tylko nie „kończy”.

Ciałem jeszcze raz.

Z całej siły.

Lufa oddzieliła się od działa i poszybowała wzdłuż cielska potwora. Dookoła kikuta pojawiły się splątane niebieskie nici wyładowań magnetycznych. Udało się. Wysłałem do pozostałych tot o swojej metodzie. Etna Wright nadała, że za działami są cztery wystające cylindry. Słabo opancerzone. Gdy w nie uderzyć, punkt ogniowy ulega awarii. To chyba łatwiejsze i bezpieczniejsze.

– *Poza tym ImBu – znowu odezwał się Tell – świeć Buddo nad jego duszą, wiedział to już od dawna, bo w przeciwieństwie do ciebie jest inteligentny i umie dodać dwa do dwóch. Ten gość jest przerażony twoim znakiem. Myślę, że tylko dlatego tak długo żyjecie. Nie zdecydował się na jakiś frontalny atak, bo się was obawia. Coś zniszczyło jego świat, dawno temu. I to, mam wrażenie, w Drodze Mlecznej...*

– *Jak? U nas? Jakim znakiem?* – pytałem, szybując wzdłuż szatańskich ideogramów do kolejnego działa i usiłując coś zrozumieć.

– *Toy Soldiers. Mam wrażenie, że go zna. Niebezpośrednio.*

– *Tell, co ty mówisz?!*

Arealium

Talizman topazowy Torkila Aymore'a

Czas realium:

09 Decimi 232 EI, 01.44 H

– Okej. – Twarz Laurusa zawieszona na tle napinających łuki wojów ożyła. – Realny Ran wszystkich Ranów, czyli ja, wysłał sygnał, że otrzymał od ciebie pak. Mam nadzieję, że sensowny. W takim razie czas na prezent ode mnie. – Zatoczył ręką koło. – Rozejrzałeś się? Specjalnie na moją prośbę twój wielki przyjaciel Andrea Savian stworzył dla ciebie talizman. To świat pełen tajemnic, miejsce o cudownym klimacie, rewelacyjnej przyrodzie i fantastycznej faunie, dopracowane w każdym szczególe, bijące na głowę Świat Arki i pewnie inne talizmany zrobione dla ciebie przez zadufanego w sobie Rubena. Andrea jest cyniczny jak ja, więc nie miał nic przeciwko temu, by zmodyfikować reguły tworzenia tych miejsc.

Mlasnął z ukontentowaniem i kontynuował:

– Znam te twoje pierdoły o spokojnym rozwoju ludzkości, o jej ateizmie, o tym, że ludzie nie lubią wojen i że generalnie miłują pokój i prokreację, całe to sranie w banie. Ja, mój drogi, mam inne podejście i wiedzę też przy okazji. Ludzkość rozwija się najszybciej, najpełniej, gdy zмага się z wojnami. Persowie wynaleźli akwalungi nie dla zabawy, nie dla swoich śmierdzących krowim moczem dzieci, ale po to, by podejść z nienacka wroga. Machiny wojenne, proch strzelniczy, armaty, rakiety, nawet sieć zwana dawniej internetem zostały wynalezione przez wojskowych do celów militarnych i dzięki nim rozwinął się nasz ród. Ten świat – wskazał niedookreślony obszar pod sobą – jest po części dowodem na to, co mówię. Savian stworzył tu permanentną wojnę. – Uśmiechnął się. – Permanentną. Wiedziałem, że gdyby zrobił to Ruben, opierdoliłbyś go, a prezentu nie przyjął. Dlatego poprosiłem Saviana, bo on ma w dupie twoje fochy tudzież moralne rozmemłanie i jest zbyt wielkim artystą, żeby się przejmować uczuciami gamedeca od siedmiu boleści. Tak, tutaj trwa wojna. Powiem więcej, straszna wojna ciągnąca się od tysiącleci. – Wyszczrzył mocne, duże kły. – Taka, w której sam bym chętnie wziął udział, nawet gdybym miał sto

partnerkę, nie cztery. – Odetchnął. – Są to odwieczne zmagania, w których ludzie, przyjacielu, przegrywają. Tak jest to wszystko zaprogramowane. Zrobiłem ci wielki prezent, bo zatrzymałem czas w chwili, gdy siły ludzkości są jeszcze na tyle potężne, że mają szansę odeprzeć wroga, ale na tyle słabe, że bez boskiej interwencji zesrają się, ale nie dadzą rady. Masz wybór, Primusie: albo olejesz swoją boską funkcję i pozwolisz tutejszym Weenom zginąć w chwalebnej, ale daremnej ostatniej walce, albo wcielisz się w żywe bóstwo, zaprogramujesz w głowach Myonów modlitwę, poprowadzisz ich do bitwy, czym wlejesz w ich serca nadzieję, którą stracili, a której rozpaczliwie potrzebują, i wygrasz tę wojnę. – Zmrużył oczy, ciemne brwi ułożyły się w drapieżny wyraz, tęcza zaś błysnęła jego ulubioną animacją przedstawiającą szczerzącego kły wilka. – Pozwól, że na wszelki wypadek przypomnę ci coś, co dla ciebie pewnie jest oczywiste: to są prawdziwi ludzie, prawdziwa krew, prawdziwa rozpacz, prawdziwa wojna. To nie enpece. Nie gra.

Klasnął i dookoła mnie pojawiły się puste białe gonfalony długie na co najmniej dziesięć metrów, a szerokie na trzy. Było ich dziesięć, ale zaczęły się powielać na podobieństwo chleba rozmnożonego przez Mesjasza chrześcijan i frunąć w różne miejsca broniącej się twierdzy. Ile tu mogło być ludzi? Zamczysko wysokości przynajmniej ośmiu tysięcy metrów, wielkie jak góra, mogło pomieścić kilkaset tysięcy obrońców.

– To święte gonfalony, na których, jeśli chcesz, pojawią się twoje trójwymiarowe podobizny. Tutaj – wskazał dłonią moduł nagrywający głos – możesz nagrać modlitwę, która zostanie im zaimplementowana. Gdy świat ożyje, a ożyje na twój rozkaz „Napierdalamy” – roześmiał się – Weeni usłyszą w głowach modlitwę. Zaczną ją powtarzać i w pewnym momencie, po osiągnięciu swoistego apogeum rozmodlenia, zobaczą wyłaniające się znikąd gonfalony, a gdy będą się modlić dalej, ujrzą wielkiego awatara, czyli

ciebie...

Przed zamkiem pojawiła się wielka złota zbroja otoczona promieniami, flagami, stojąca na słupach dymu i ognia.

– ...w tej zbroi. Jako niezniszczalnego boga. Wstąpi w nich taki duch, a we wrogów taki strach, że nie tylko pierwsi ruszą z pieśnią do boju, a drudzy posrają się na polu bitwy, ale walka zostanie wygrana, a twierdza AymoreStone obroniona. Na razie nazywa się Chmurny Kamień, ale to się zmieni, wierz mi. – Uśmiechnął się, tym razem nie odsłaniając kłów. – Rozejrzyj się jeszcze i zastanów. To chronometr ustawiony, według tutejszego czasu, na dziesięć minut. – Na prawo od modułu brzmieniowego pojawił się zegar. – Gdy wskazówka dobiegnie do zera, będziesz musiał podjąć decyzję. Możesz też podjąć ją od razu. Twój wybór. I pamiętaj – pogroził palcem – wojna daje rozwój. Zwłaszcza wielka, zajebista, rewelacyjna wojna z prawdziwym złem z piekła rodem. – Zarechotał i zniknął.

Przełknąłem ślinę. Wciąż byłem uwięziony. Nie mogłem się z nikim skontaktować. Nawet totowo. Musiałem uruchomić ten cholerny świat i coś z nim zrobić.

Laurus, szlag by cię trafił.

Galaktyka Andromedy
Planeta Ojców
09 Decimi 232 EI, 01.55 H
Torkil Aymore Sin

To, co dotąd było walką ślepego i głucheego z widzącym i słyszącym, stało się bardziej wyrównanym starciem. Niestety wkrótce z podstawy pałacu zaczęły

wypełzać roje samobieźnych działek przypominających wielopalczaste pająki, czy może raczej złączone ludzkie dłonie. Przemieszczały się, wykonując długie susy z dachu na dach, i starały się otoczyć naszą grupę podążającą do najbliższego statku korony żeglującego w kierunku walczącego arcydiabła. Dłoniomaty, jak je nazwała Martina, były sprawne i szybkie. Kilka subiektywnych cetni oceny ich możliwości potwierdziło przypuszczenie, że lot po prostej szybko skończy się naszą śmiercią. Odrzuciliśmy także wariant niskiego przelotu między budowlami, bo tam pająki już były i zastawiały zasadzki. Czaiło się tam także mnóstwo dronów z tymi cholernymi warczącymi nanonićmi. Pozostało mozolne parcie do przodu po torze na tyle zawikłanym, by przeciwnik nie zorientował się, dokąd zmierzamy. Tymczasem korony leniwie i ostrożnie, lecz uparcie zbliżały się do potwora.

Kątem oka widziałem, jak Martina Gunnar wykonała powolny, hipnotyczny piruet wokół błękitnej salwy padającej z najbliższego krocącego działka. Jej Anioł i Diablica zanurkowały w jego stronę, dotarły do dachu domostwa i rozszarpały pająka na strzępy.

– *Pamiętam, jak oglądałam stare albumy ze sztuką science fiction – sapnęła.*

– *Marti, musisz w tej chwili o tym gadać?! –* Pilotka Etna leciała nisko, wśród zwieńczeń budynków, i zawiadywała quillami. Przypominała czarodziejkę wydającą rozkazy rojowi animowanych szerszeni, które co chwila zamieniały okrążające ją maszyny w eksplodujące połyskliwe chmury. O ile drony były na quille odporne, o tyle dłoniomaty nie. – *Gida, potrzebuję żarcia i medpaka!*

– *Wzięłaś już za dużo!*

Etna krwawiła. Widać było, że z jej nogą jest coś nie tak.

– *Kurwa, dimen organika nie zrozumie. To pojebane, że jesteś medyczką!*

Dawaj!

Przemknął obok mnie Logan strzelający lotkami niczym Ardżuna wypuszczający strzały z mitycznego łuku Gandiwa. Anielica i Demon pędziły nad nim, wrzeszcząc opętańczo i rzucając się na najbliższe dłoniomaty.

– *Marti, co widziałaś w tych albumach?* – rzucił zaskakująco spokojnie.

– *Skupcie się, kurwa!* – krzyczy Nexus.

Źle się czuje bez pocisków w Axelach, dlatego kluczy na poziomie dachów, stworzywszy wokół siebie ruchomą tarczę z kilkudziesięciu quilli. W rękach kurczowo trzyma quilldao. Jego duchy zachowują się jak skrzydłowi. Lecą w kluczu: Demon z prawej, Anielica z lewej, i co jakiś czas łamią formację, by rozedrzeć najbliższe działko. Elfica Ramona trzyma się blisko Maria. Umiejętności Syda są legendarne, więc jest to chyba dobry ruch. Jej duchy są jak rakiety – gdy tylko pojawia się przeciwnik, Anioł bądź Diablica ścierają go na pył.

– *Był taki śmieszny gotycki świat. Jeden pisarz mówił, że jego uroda to rozpad wielkości. Kumacie?*

Zza budowli, do której zbliża się Gunnar, wyskakują cztery drony i rozpościerają fioletowe wrzeciona na kształt litery „x”. Martina wykonuje unik, ale nie udaje jej się ominąć jednej nici. Traci nogi. Karmazynowe wstęgi ciągną się za kikutami. Ranka rzuca quilldao w stronę jednego drona i unieszkodliwia go, ale druga para robotów kończy dzieło, oddzielając jej głowę od tułowia.

– *Marti!!!* – krzyczy Asmodea.

– *Wyżej, psiakrew, za nisko lecicie! Nexus, wyżej!* – drze się Felix. – *Zaskoczyły ją, wyskakując zza budynku!*

Ikona w polu widzenia informuje, że arun Maod-Anki przetrwał i pędzi w stronę *Nemesis*.

Jesteśmy sześćset metrów od korony cierniowej.

Wznosimy się. Sieć jęczących błękitnych strzałów gęstnieje wokół nas. Wyższy pułap to cięższy ostrzał. Wyprzedza mnie Gida Agatangelo, która ubezpiecza Ramonę i Nexusa, lecąc tyłem i zachowując się jak ogonowe działko większego statku. Jej quille mkną w dół, połyskując w ognistej poświacie niczym prawdziwy ogień artyleryjski. W tle widzę, jak wyjące przezierne smugi osaczają Bonaventure. Nie ma szans. Jego Coremour rozpryskuje się niczym uderzony od dołu kielich kwiatu. Arun niestety nie ratuje Rana – dostał w głowę. Obok niego leci Asmodea Tyr, która krzycząc wniebogłosy, wysyła promieniście wszystkie lotki. Wśród dachów błyska kilkanaście eksplozji.

Angela Sin wraz z Dexi suną blisko mnie i tak jak ja osłaniam je lotkami i duchami, tak one osłaniają mnie. Otaczają nas błoniaste skrzydła i pióra, a gdy zobaczymy wroga – wysyłamy ostrze, Anielicę lub Demona. Teraz czuję, że Angie jest dla mnie stworzona, i wiem, że ona, w dwójcy jedyna, odczuwa to samo. Zarówno Sini, jak i Dexi nieustannie mnie w tym utwierdzają, wysyłając animacje nas kochających w najbardziej wyuzdanych pozach. Doskonale wiedzą, że takie przedstawienia nie rozpraszają mnie, przeciwnie – wywołują maksymalne skupienie.

– *Jesteś szalona* – wysyłam men do obu.

– *Bo cię kocham* – odpowiada Sini.

– *A ty? Kochasz mnie?* – to men Prawej.

W naszym kierunku pędzą trzy pary dronów, ciągnąc fioletowe wrzeciona. Rozpraszamy się, wykonujemy unik i każde z nas trafia mieczem jeden statek.

– *Torkil?* – głos Angeli.

– *Tak?*

– *Powiedz to* – nalega Lewa. – *Zbyt późna jest hekta, by zwlekać.*

Ma rację. Pewnie nie wrócimy z tej planety.

– *Kocham cię. Kocham was wszystkie.*

Przestrzeń za mną ugina się, czemu towarzyszy basowy pomruk, cztery duchy Sini i Dexi rosną, krzyczą pod niebo i rzucają się w kierunku dłoniomatów, które wdrapują się na pobliskie dachy. Przecinają je, a wokół rozsypują fontanny wyrwanych części. Wywijają pętlę i znowu są z nami.

Mijamy wrak płonącego pancernika. Na jego rozgrzany kadłub dłoniomaty nie mogą się wdrapać. Wlatujemy w obłok czarnego dymu.

– *Widzieliście jakiegoś mieszkańca?* – pyta Diego. – *Takiego normalnego?*

Otrzymuje negatywne odpowiedzi. Dziwne. Budowle są wielkie jak sam diabeł. Oglądamy jakiegoś trupa? Strzelają do nas automaty bez sztucznej inteligencji?

– *Żywa obsługa ich statków, ta na naszych planetach, była niemrawa, brakowało jej ducha* – nadał Tell. – *Tak donieśli moi bracia i siostry.*

Przekazuję reszcie pak. Gdybym był odkrywcą tej cywilizacji, a nie jej wrogiem, uznałbym tę konstatację za celną i smutną. Wszystko było wielkie i działało, setki błękitnych linii szły powietrze, a my kluczyliśmy między nimi jak muchy unikające pajęczych sieci, ale był to chyba martwy świat.

– *Marti ma rację* – odzywa się Xavier Bald. – *Słucham tej planety, odkąd tu... wylądowaliśmy. Są uczucia beznadziei, opuszczenia, schyłkowości. To jakby obóz pracy, jakaś, przepraszam za kolokwializm, masakra...*

– *Aniołki* – odzywa się Felix, kręcąc hipnotyzującą śrubę wśród niebieskich linii – *koncentracja. Mamy dwieście metrów...*

Torkil Aymore Dex

Wylądowaliśmy z Tellem u podnóża wielkiego, mrocznego drzewa. Stało na

platformie w kształcie odwróconej piramidy. Jej rogi były podczipione do grubych lin ciągnących się do pobliskich budynków. Roślina nie generowała intensywnego promieniowania podczerwonego, więc na tle karmazynów i fioleatów wyglądała jak mieszanina czerni i ciemnej purpury. Dopiero gdy frin zmienił kontrast i nasycenie wizualizacji, zobaczyłem, że liście są wielkie i rzeczywiście purpurowe, kwiaty mają granatowe płatki i intensywnie żółte wnętrza, owoce zaś są najprawdopodobniej ciemnopomarańczowe. Korona była rozłożysta i niska, zmieściłyby się pod nią jeszcze cztery smoki i dwudziestu Tomo. Byliśmy względnie dobrze ukryci, zwłaszcza że arcydiabeł skupił się na gromadzie pędzących po jego powierzchni Medów. Wyglądał jak niedźwiedź, który usiłuje zrzucić z siebie gromadę pcheł. Pozostałe siły wroga zwróciły się przeciwko grupie Sinów, która usiłowała dotrzeć do jednej z koron na prawo od pałacu. Te dziwaczne statki zbliżały się wolno do demona, zupełnie jakby chciały, a nie mogły... albo musiały, ale nie chciały. Być może tak nienawidzili swego władcy, że za wszelką cenę opierali się jego rozkazom? *Nemesis*, osłaniany przez Dexów, znajdował się na lewo od wieży arcydiabła. Nasz statek był w opałach. Osłaniając krypę, Anioły nie mogły się kryć nisko, bo okręt tkwił na dachach. Musiały wzlatywać, wystawiać się na strzał, nawet szarżować na zgrupowania wrogich działek i tych przeklętych dronów. Przetrzebią ich, przetrzebią, psiakrew... Czy powinienem do nich dołączyć? Do Sinów? Dexów? Medów? Rozum podpowiadał, że tak, intuicja jednak krzyczała, żeby tego nie robić. Nie miałem Coremoura ani skrzydeł, tylko Tarota, duchy i tę śmieszoną lancę. No i Smoka, którego należało za wszelką cenę oszczędzać. Nie, moje zadanie było inne – znaleźć pierwiastki i... być może jeszcze coś. Na granicy świadomości rodziło się przecucie, że to dodatkowe zadanie jest ważniejsze od pierwszego. Czułem, że pierwsze, paradoksalnie, w ogóle nie jest ważne, i to dlatego postanowiliśmy z Tellem najpierw coś

zjeść. Nie, nieprawda. Rzeczywiście słabłem. Puściłem gałąź i pozwoliłem, by prostokątne, ciemne liście, majestatycznie falując, zasłoniły walczących.

– *Zauważyłeś?* – nadał telepatycznie Tell. – *Prostokątne.* – Trzymał w łapie oderwany liść. – *Być może to odmiana hodowlana, używają ich do swoich herbat i ta forma ułatwia pakowanie? Baranki Boże parzące herbatę. Słodkie, co?*

– *Tell...*

Jakież głupie myśli przechodzą przez głowę temu Suverowi...

– *Słyszałem to* – nadał.

Spojrzałem na owoce. Były prawie idealnie okrągłe, duże jak dłoń Rana, ciężkie i, zdaje się, dojrzałe. Prześwietliłem je marną kamerką Pooma. W środku tkwiły trzy pestki, takie jak w brzoskwiniach. Aromat kojarzył się z zapachem poziomek wymieszanych z mango i morelami.

Frin zeskanował pień i orzekł, że kora drzewa posiada niezbędne składniki do tworzenia enzymów zwalczających feromon posłuszeństwa. Zalecił też zjedzenie kilkunastu liści, co pomoże przy regeneracji, oraz na koniec – najmniej jednego owocu. Pestki także. Mam nadzieję, że moje zęby wytrzymają. Zwolniłem. Nie będę jadł w przyspieszeniu. W moje uszy uderzył jazgot bitwy. Metaliczne, odległe szczęknięcia, z pewnością zbroi arcydiabła, dziwne warkoty i piski – być może maszyn Warui, sapanie jakichś silników i huk wulkanów. Tell również zwolnił. Wyszczrzył kły, oderwał okazałą gałąź i zaczął ją pałaszować w całości, z liśćmi i kilkunastoma owocami, a wszystko to przy akompaniamencie chrzęstu łamanych gałązek i chluście tryskających jasnym sokiem niezwykle soczystych owoców. Zalała mnie fala egzotycznego aromatu. Poczułem zawrót głowy. Nie zdążyłem wyciągnąć ręki, gdy Smok zerwał z pnia kawał kory i podał mi niczym kelner w restauracji.

– *Monsieur?*

Wziąłem niemal czarny płat, oderwałem kęs i władowałem sobie do ust. Smakował... jak drewno. Żułem potężnymi zębami lekko kwaśną papierową strawę, a moje żwacze pracowały niczym kowalskie miechy. Przydawały się kły. Naprawdę się przydawały. Wbijały się mocno w korę i ułatwiały siekaczom oderwanie kęsów. No proszę. Po raz pierwszy w życiu doceniłem tę odmianę.

– *Zawsze uważałem, że co stożek, to nie graniastołup* – skwitował Suver.

– *Masz parę w gębie, nie powiem. Trochę sałatki?*

Podał mi kilkanaście liści i gałązek. Już chciałem powiedzieć, że mógłby się bardziej postarać i oddzielić listowie od gałęzi, ale powstrzymałem się i zjadłem także to. Liście były soczyste i, uwierzcie mi, dużo smaczniejsze od kory.

Po tych przystawkach owoc był niebem w gębie – rzeczywiście bardzo wilgotny, ale jednocześnie sprężysty, w smaku przypominał brzoskwinie. Pestki były niezwykle twarde, a ich rdzeń smakował jak migdały. Frin był zachwycony składem. Oświadczył, że pochłonałem kilkaset szczepów nieznanymi bakteriami i wirusów, ale że to pikus w porównaniu z liczbą substancji, które przerobi na przeciwciała, enzymy i nanoboty. Rozwali bakterie tak, jak Peter słabszych gladiatorów, a o feromony nie muszą się martwić. Ostrzegł, że mogę zacząć dziwnie pachnieć... i puszczać nietypowe bąki. Pięknie.

Przyspieszyliśmy. Odgłosy bitwy obniżyły się i znowu zwały w ponury pomruk.

– *Ty też masz zamiar nietypowo pierdzić?* – szepnął totowo Tell. – *Na Cara, to ja ci powiem, trzymaj się z dala od mojego ogona.*

– *Tell, pierwiastki, pamiętasz?*

Odgarnąłem ciemne liście. Ciernisty statek, który pierwotnie chciałem dopaść, był już zbyt daleko, ale czterysta metrów dalej po prawej wznosił się

następny. Powinno tam być względnie cicho, znaczy mniej dłoniomatów. A ja, dzięki Auduxowi, wiedziałem, jak się do niego chyłkiem dostać.

Arealium

Talizman topazowy Torkila Aymore'a

09 Decimi 232 EI, 01.58 H

– Laurus, szlag by cię trafił! – warczę pod nosem i uruchamiam program gonfalonów.

Przeszukuję swoje hotki, a frin pomaga znaleźć zdjęcia najprzystojniejszego Torkila Aymore'a. Chociaż większość z nich pokazuje mnie albo w stroju z Arki Lamy, albo jako Rana, tutejszy program i tak przerabia moje odzienie, by pasowało do lokalnej mody: złote naramienniki i cienkie pasy na piersi, purpurowy mundur z wysokim kołnierzem, srebrne pasma wplecione w prawdziwą czuprynę. Program wkleja moją podobiznę w gonfalon, otacza dodatkowymi światłami i ustala ze mną, że kto znajdzie się w promieniu pięćdziesięciu metrów od „świętej” chorągwi, będzie lepiej chroniony przed pociskami i ciosami wroga, a kto będzie w promieniu dziesięciu metrów, stanie się niezniszczalny. Cudownie. Prawdziwa gra fantasy.

W końcu zatwierdzam wygląd gonfalonów. Morda jak malowana.

Patrzę na to, zagryzam zęby i coś we mnie warczy.

Nie.

Nie, do diabła!

Laurus myśli, że zatańczę do jego melodii, że zabawię się w boga wojny, ale nie przewidział, że „gamedec od siedmiu boleści” gra w talizmanowe gry od wielu cykli i czegoś się już nauczył, nie tylko w gamedeczanym fachu, ale

i w programerskim.

Nie będę bogiem. Nie chcę, żeby się do mnie modlili.

Przywołuję frinowe menu, wywołuję wtyczkę Talda, przyspieszam swój czas, czego Laurus z pewnością nie przewidział, i zaczynam przeprogramowywać gonfalony. Będziesz miał, Tomo, swoją wojnę, ale na moich warunkach...

Upływa dwadzieścia subiektywnych minut, a chronometr Laurusa przesuwa się ledwie o jedną. Ustawiam gonfalony w strategicznych miejscach.

Teraz modlitwa... Jak ona powinna brzmieć?

Już wiem, już, w mordę, wiem.

Podchodzę do modułu brzmieniowego, następnie wypowiadam słowa mocno i wyraźnie.

Sprawdzam, czy urządzenie poprawnie zarejestrowało znaczenie.

Zatwierdzam koniec nagrywania.

Program tłumaczy modlitwę na język tubylców:

– *Day wal bi me!*

Daj łalbime. Pięknie.

Po chwili przychodzi mi do głowy jeszcze jedna odmiana koanu. Wypowiadam ją i rejestruję. Jeśli dojdą do tego, będę w siódmym niebie.

Urządzenie wypowiada inkantację:

– *Day wal bi we!*

Daj łalbile. No, niech będzie.

Wzdycham głęboko i przyglądam się wielkiej zbroi wiszącej w powietrzu. Swojej zbroi. Sprawdzam jej oręż. Lewa ręka włada wielkim złotym buzdyganem o szerokim, płaskim obuchu, a prawa morgensternem, także złotym. Ciężka i potężna broń.

Znowu podchodzę do frinowego panelu i zaczynam programowanie. Zerkam na chronometr. To trochę roboty, a czasu coraz mniej. Czy zdążę? Mam jeszcze osiem Laurusowych minut...

Galaktyka Andromedy
Planeta Ojców
09 Decimi 232 EI, 01.61 H
Torkil Aymore Med

Rozwalam drugie wskazane przez frin działło, gdy odzywa się Mbele:

– *Już wiem, znaczy chyba wiem, jak się wyłącza te miotacze inotronów bez uszkodzenia ich. Mam też informację, że są ciągle we łbie, co pośrednio wskazuje, że król także tam siedzi. Jego kabina nie przemieściła się.*

– *Świetnie* – warczy Laurus w trójcy jedyny, rozwalając kolejne działło na ramieniu potwora.

Wokół nas Demony i Anielice rozkładają skrzydła, wyciągają zakrzywione palce do dronów, które latając tuż przy pancerzu, usiłują nas z niego zrzucić. Kilkadziesiąt metrów niżej Achilles Barlaam układa swoje lotki w agresywny układ typu „grot” i wysyła quille w gęstych grupach. Ostrza godzą w automaty i okazuje się, że są skuteczne! Barlaam natychmiast wysyła men informujący, że drony da się załatwić quillami, o ile wyśle się ich kilka naraz na jeden cel. Jego sylwetkę zakrywa cień.

– *Achil...!* – krzyczę, ale urywam, widząc, jak wielka łapa zbliża się do niego w upiornie zwolnionym tempie.

Barlaam wysyła w jej kierunku Demona i Anielicę, po czym daje nura w górę, tuż przy pancerzu potwora. Duchy Rana wyciągają ręce ku wielkiej dłoni, układają skrzydła jak parasole. Ręka zwalnia, ale nie zatrzymuje się,

Maod-An tonie w gęstym cieniu, a po chwili wymyka się wąską szczeliną tuż przed tym, jak łąpsko grzmoci w korpus, miażdżąc działą, przy którym dopiero co przebywał, oraz kilka innych dookoła.

– *Zgłupiał czy co?! – komentuje potężny Tomo. – Uważajcie! Kretyn usiłuje nas strząsnąć rękami!*

Diego, pacyfikujący działą na prawo ode mnie, ma mniej szczęścia niż Achilles. Ledwo wyrzuca ze swojego mózdzierza ostatni ładunek, niszcząc punkt ogniowy, z zielonego dymu, który pozostawia za sobą pocisk, wysuwa się fioletowe wrzeciono, zaskakuje go i przecina na pół. Krew chlusta z rany. Czerwone krople połyskują w powietrzu jak rubiny. Bezwładny tułów żegluję w dół, jakby był wspinaczem, który odpadł od ściany. Arun oddziela się od hełmu i mknie w stronę odległego *Nemesis*.

Przelatuję do kolejnego działą. Warczy niebieska klinga miecza Tanyi, która ciągle trzyma się blisko mnie. Odcina cylindryczne aparaty z tyłu punktu ogniowego i kończy jego życie. Po lewej widzę Angie, która mknie tuż przy demonicznym cielsku i zbliża się do kolejnego działą. Chryste, ile ich jeszcze jest?!

Nemesis

– *Trzymać formację kopuły, lokalizować cele, unikać śmierci, likwidować! – komenderował Felix Duran Dex.*

Kyle Aymore nie obserwował Aniołów Śmierci, ale kamery ulokowane dookoła jego pancerza robiły to za niego, przesyłając informacje czasami wprost do serwomechanizmów pancerza. Żuki musiały przeżyć za wszelką cenę, bo tylko one były w stanie doprowadzić *Nemesis* do stanu używalności. Jeden z nich, Tankred Yax, pożegnał się już z pancerzem i organicznym życiem. Trzy aruny uratowały go i poleciały do wraku, a tam, nie znalazłszy

ani odpowiedniego ciała, ani dibeka, przywarły do ściany sterówki i czekały na lepszy los. W ten sposób Błękitni stracili inżyniera i nikt nie mógł go zastąpić.

Dlatego Technet Wzór X Kyle'a Aymore'a nieustannie śledził sytuację za plecami Żuka, by w razie czego uchronić właściciela przed śmiercią.

– *Czy ktokolwiek ma jeszcze amunicję?* – krzyknął Nexus.

– *Chyba nikt!* – odkrzyknął Bonaventura. – *Ani do Axeli, ani do ImBuCanów!*

– *Bez działek nie umiem latać!*

– *To się naucz!* – warknął Logan. – *Gida! Zasobnik!*

– *Już nie mam!*

– *Medpak!*

– *Skończyły się!*

– *Co za życie* – jęknął Mario.

– Logan dobrze mówi, naucz się – mruknął do siebie Kyle.

Przed jego oczami migał trójwymiarowy schemat statku, który na razie wyglądał jak ciężko ranne zwierzę. Mężczyzna skoncentrował się na łataniu kolejnej dziury. By to zrobić, potrzebował budulca.

– *Wyciągnąłem trochę tytanu z dźwigarów* – zameldował jego Sin, którego dibek znajdował się pod lewą pachą.

– *Świetnie* – odpowiedział również totowo organiczny Med.

– *Zamiast się bawić w kowbojów, lepiej by pomogli* – rzucił Prawy Kyle'a.

– *Skupcie się. Dex, wyślij chwytak do najbliższej budowli. Niech zeszkobie trochę metalu, wszystko jedno jakiego, najlepiej z pół kilograma.*

– *Robi się.*

Od prawej rękawicy Aymore'a odczepił się pazur przypominający ptasią łapę i pozegłował ku pobliskim budynkom.

– *Chciałam zapytać* – krzyknęła Martina Gunnar, pędząc w stronę

ruchomego działka wroga – *jakim cudem Nemezis wyróżnął w budowlę i przetrwał zderzenie, a te cholerne pancerniki jeden po drugim pierdolnęły w grunt i słuch po nich zaginął?! Gorsza konstrukcja?*

– *Mało wiesz, kochanie – mruknął Kyle. – Gdybyś się znała na czymkolwiek oprócz walki, wiedziałabyś, na czym polega tworzenie potrójnie amortyzowanej skorupy. Poza tym Nemezis leciał z tyłu i pod innym kątem.*

– *Aymore, jak ci idzie?* – spytał Garibaldi.

– *Nie licząc tego, że co chwila ktoś próbuje mnie...*

Kyle gwałtownie odskoczył. Salwa wymierzona w jego plecy uderzyła w dziurę, którą próbował załatać.

– *Jasna cholera! Szefie! Jak mam latać, gdy mi chuje rozwalają to, co zrobię?!*

– *Skup się, inżynierze. Ustaw cielsko tam, gdzie poszycie jest zdrowe. Jak znowu strzelą, walną w mocny kadłub.*

– *Racja, rozkaz.*

– *Pospiesz się, Kyle.*

– *Tak jest!*

Inżynier wrócił do pracy. Chciał się jeszcze poskarżyć, że aktywny kamuflaż ich pancerzy nic nie daje, bo wrogowie i tak wiedzą, gdzie mierzyć, ale się powstrzymał. Wszyscy to wiedzieli.

– *Może to celowe działanie tego padalca!* – krzyknął Mbele. – *Kazał zbudować słabsze statki, żeby móc je w razie czego rozwalić w takiej akcji!*

– *To by było niezłe – mruknął Kyle.*

– *Pułapka?!* – przestraszyła się Uria. – *Nie możliwe. Nie widziałam tego w żadnym równoległym...*

– *Byłby taki głupi?* – weszła jej w słowo Ramona.

– *Jak to?* – krzyknęła Etna.

– *No, kazać budować marne konstrukcje, żeby móc je roznieść* – odparła Ramona.

– *To paranoik! Nie dostaliście paków?* – odezwał się Mbele.

– *Nie chce mi się w to wierzyć* – rzuciła elfka.

– Mnie też – chrząknął Kyle, wchodząc głębiej w wizualizację systemów *Nemesis*.

Uma, Greg i Farquad pracowali przy głównym napędzie. Mieli trochę lepiej, bo potężne dysze osłaniały ich plecy, ale sama robota była straszna. Napęd *Nemesis*, mimo że znajdował się z tyłu, bardzo ucierpiał. W sumie była to najdelikatniejsza część statku. Pamela, Charlie i Vincent urzędowali w środku i doprowadzali do stanu używalności sterownię. On sam, Zahn, Hans i Garibaldi łatali poszycie, przy czym to jemu i Zahnowi przypadł zaszczyt reperowania górnej części.

– *Torkil! Torkil Med! Wezwij tego swojego Małego Brata, bo nas tutaj rozjadą!* – ryknął Logan.

– O, tak – chrypnął Kyle. – Załoga Errusa mogłaby trochę pomóc...

Moduł oddzielony od Techneta wrócił z łupem – kilogramem stali, aluminium i kilkoma gramami złota.

– Świetnie – sapnął Kyle i użył palnika, by stopić materiał, porozdzielać pierwiastki, a następnie stworzyć pożądane stopy. Wszystko odbywało się w unoszącym się przed nim niewielkim bąblu antygravitacyjnym. Gdyby ktoś oglądał go z boku, widziałby maga używającego niezrozumiałych zaklęć.

Nagle Technet znowu uskoczył. Tym razem salwa przeciwnika wyrwała niewielki kawałek poszycia, zostawiając w spokoju dziurę naprawianą przez Kyle'a.

– Dajcie mi pracować, w mordę...

Na szczęście automatyka zbroi nie pozwoliła magicznej kuli upaść na

pancerz statku. Aymore wrócił do pracy, wskazując Aniołom automat, który do niego strzelał. Takie cele uzyskiwały priorytet.

Może skuteczność maszyn wroga nie była największa, ale sama liczba luf przechylała na jego stronę szalę zwycięstwa. No i ten demon latający wokół wieży niczym jakiś King Kong. Wciąż był nietknięty, chociaż wsteczne kamery Kyle'a rejestrowały niewielkie wybuchy na jego pancерzu. Nie lepiej by było spróbować urwać mu łeb? Przecież Aristoi mają te swoje duchy. Za słabe? A może usuwają działa, bo te grożą *Nemesis*? Martwiły też Kyle'a zbliżające się do grzbietu potwora przypominające korony statki. Wyglądało to tak, jakby miały zamiar go... osłaniać? Współpracować z nim? Połączyć się?!

Wrócił do pracy i tylko kątem oka rejestrował, jak znajdujący się niedaleko jego stanowiska Septimus nurkuje w stronę dłoniomatu, ciągnąc za sobą strugę jasnej krwi rozwiewającą się niczym ogon komety. Przez ułamek subiektywnej cetni widział też błękitną Ramonę, która gubiła części motomba niczym rozpadający się wrak, zwróconych do siebie plecami Diega i Achillesa wirujących jak trzmiele, rozbijających mieczami automaty i rozsiewających szkarłatne spirale życiodajnej czerwonej cieczy. Martwe, szklane oczy pancерza typu Technet bez komentarza rejestrowały zarówno heroiczną postawę Aristoi, jak i ich śmierć.

Bo była i śmierć.

Ale Kyle musiał się skupić na swojej pracy. Za wszelką cenę.

Salwa z krocącego działa, które zjeżdżało po dachu budowli z drugiej strony statku, wyrwała wielki płat pancерza Zahna.

– *Zahn! Żyjesz?!* – krzyknął Kyle.

– *Żyję. Technet chciał dobrze, ale się zaklinowałem i dostałem obcierkę.*

– *Uważaj.*

– *Gównno....*

– *Bądź wola Twoja, Imperatoroko!* – krzyknął Mbele. – *Postaraj się, kobieto!*

– *Gdyby nie ja, Ranie, żaden inżynier by nie przeżył.*

– Dziękuję za taką opiekę! – warknął Kyle, wkleił część świeżo uformowanej materii w ubytek i przetestował integralność łąty. Miliony minidronów integrowały się z wypełnieniem i na oczach inżyniera wchłaniały je. Jeszcze subiektywna mona i nie będzie widać trafienia. – Trzymaj się, Alfik, trzymaj – mruknął.

Spojrzał na schemat statku. Następna dziura była trzydzieści metrów dalej. Włączył silniki Techneta, poszybował, pilnując, by kula zdobytych materiałów nie zgubiła się gdzieś, i przyssał się tuż obok rany.

– *Lewi poradzą sobie z tymi koronami? One się chyba chcą przyczepić do arcydiabła!* – krzyknął Achilles.

– *Muszą!* – odparła Marti.

– *Uważaj, Felix! Z lewej! Strasznie ich dużo!*

– *Widzę! Ramona, Etna, Gida! Za mną, dziewczyny!*

Czwórka Najlepszych Imperatora rzuciła się na wroga i chociaż wokół fruwały strzepy ich zbroi, chociaż wszyscy krwawili, nie zwalniali, dopóki nie zniszczyli przeciwnika swoimi skrzydłami, mieczami i duchami. Wraki automatów były czerwone od krwi Aniołów.

Kyle skinął głową z podziwem i wniknął w strukturę uszkodzenia.

– A, to pestka – mruknął.

Torkil Med

– *Angie – odezwałem się – podleć i osłoń mnie. Skontaktuję się z jednym bogiem.*

– *Lecę!*

– *Jest przy mnie Paula. Zajmij się tym dzieckiem.*

Sky tylko się roześmiała. Po chwili była już obok. Przyłgnałem do pancerza demona tuż obok działa, które przed chwilą zniszczyłem.

– *Kurrrwa* – wysłał men Taylor. – *Rozjebali mi baterię!*

– *Dasz radę?!* – krzyknąłem.

– *Tak, mam drugą, ale co za pech...*

Angie chwyciła Paulę i ustawiła ją w cieniu działa. Osłaniała nas oboje lotkami. Nieźle już oberwała. Z jej pancerza ciekła krew. Rozkazałem czterem quillom, by ją chroniły.

– *Dziękuję* – szepnęła.

– *Jak się trzymasz?*

– *Jeszcze jakoś...*

Zaprzagnąłem skontaktować się ze „Spacemanem”. Chwila skupienia i naprzeciwno mnie zamajaczyła półprzezierna kula, a mój pancerz zaczął iskrzyć i protestować.

– *Paula, odsuń się* – wysłałem men.

Ta rozmowa musi być krótka. Na szczęście w kuli od razu zobaczyłem Raya, nie Farrah Adida czy Orygenesę. Nie zwalniałem. Miałem nadzieję, że mój bliźniak także jest „przyspieszony”, cokolwiek to oznaczało w jego przypadku.

– *Jeff, potrzebujemy waszego wsparcia. Nie damy dłużej rady! Jesteśmy dziesiątkowani. Ruszcie wreszcie dupy i rozpierdolicie tego arcydiabła albo osłońcie Nemezis!*

Mały Brat uśmiechnął się smutno.

– *Nie rozwalimy demona, bo tam jest król. Musimy wyciągnąć go żywcem. Nemezis ma swoją osłonę i ona musi wystarczyć.*

– *Jak to?!*

– *Nie widzisz, co się dzieje na perymetrze?*

– *To znaczy?*

– *W hemisferze o promieniu dziesięciu kilometrów dookoła króla?*

– *Nie. A co?*

– *Napiera na was ze wszystkich stron taka masa wojsk, że gdyby nie my, już by was na świecie nie było. Szarańcza pokryłaby pałac, króla, was, nas, wszystko. Powstrzymujemy ich, ale coraz więcej jednostek się przedziera. Nas jest tyśiąc, ich tyśiąc milionów. I przybywa.*

– *Miliard? Naciera na nas miliard statków? Na naszą garstkę?*

– *Nie inaczej, Torkilu.*

– *Powstrzymujcie ich!*

– *To właśnie robimy, niewdzięczniku. A, i Martina Gunnar nie ma racji, mówiąc, że ten świat jest wymarły. To my właśnie go odkaziliśmy w promieniu dziesięciu kilometrów. Wszędzie poza tą granicą aż kipi.*

Wstrząśnięty przerwałem połączenie, zresztą i tak był już czas, bo moja zbroja zaczęła protestować. Kula zniknęła. Przełączyłem się na kamery Torkila Sina zbliżającego się do jednej z koron. Wybrałem to okno, które skanowało horyzont. Dotąd myślałem, że mgła i kurz wywołane są dymami i pożarami statków Ojców, które rozbiły się o dachy megapolii, albo że to opary wulkanów czy też parujące i dymiące rzeki lawy.

Zoom.

Coś się tam kotłuje...

Zoom.

Jakby ktoś mieszał w wielkim garze...

Zoom.

Myliłem się.

O

Chryste

Panie,

Allahu

I wszyscy staroziemscy bogowie,

Jak ja się myliłem.

W drżącym powietrzu, pośród setek odmian czerwieni zdobiących chylące się budowle miasta, w łunie płonącego nieba i na tle wielkich czarnych obłoków pobliskiego wulkanu widziałem Anielice i Anioły oraz Demony i Diablice w tańcu tak bluźnierczym, w walce tak piekielnej, że największe eposy nie były i nie będą w stanie opisać tego starcia. Fragmenty metalu długie na kilkaset metrów leciały we wszystkie strony, pióra i błony skrzydeł błyskały w łunach pożarów, a Widzący rozdierali tkanę rzeczywistości w dziesiątkach miejsc. Na duchy napierał dosłownie wał większych i mniejszych pojazdów podobnych do koron i dysków, wielokończynowych i wielolufowych, wielkich jak budowle i małych jak ciało człowieka. Parły niczym robactwo usiłujące się przedrzeć między palcami, a Anioły i Demony zasłaniały im widok i co chwila rozrywały na strzępy. W rozdarciach czasoprzestrzeni, które nieustannie niszczyły tkanę rzeczywistości, widziałem zmierzch bogów, inne krainy, początki i końce wszechświatów. Tam planeta drżała, krzyczała i jęczała, bo w jej łonie otwierały się i zamykały portale do innych światów, rodziły się wielowymiarowe wulkany, bo Opętani pokazywali całą swoją moc. I, szczerze mówiąc, nie miałem dotąd pojęcia, na co ich stać.

Arealium

Talizman topazowy Torkila Aymore'a

09 Decimi 232 EI, 01.67 H

Okrążyłem zastygłe w czasie pole walki i w wielkim pośpiechu zlustrowałem sytuację. Stoki twierdzy były szturmowane ze wszystkich stron. Była to ostatnia bitwa, żadnej nadziei, szczyt heroicznych nastrojów, dokładnie w guście Laurusa Wilehada, miłośnika tandetnych i patetycznych klimatów.

Dalej rozciągały się łagodne wzgórza, a Chmurny Kamień, twierdza tutejszych Weenów, był atakowany przez demony, smoki i magów na słupach dymu. Żadnych kobiet w szeregach wroga? A nie, są, czarne, skrzydlate impy, złośliwe blade paskudy zaopatrzone w przymocowane do przedramion strzałki z pewnością miotane „magiczną siłą”. Nie dostrzegłem ich wcześniej, bo miały chyba jakiś kamuflaż i były widoczne tylko, gdy się na nie patrzyło pod pewnym kątem. Savian oszukiwał na wszystkich polach. Brawo, panie artysto. Jak cię spotkam, to sobie z tobą pogadam, zgryźliwy dziadygo.

Naprzeciwko tarasu, z którego na bitwę spoglądali król i królowa, w szeregi unoszących się w powietrzu demonów wbijał się klin paladynów na skrzydlatych koniach. Z pewnością był to heroiczny atak, który miał dodać ducha obrońcom. Pięciuset zbrojnych przeciwko kilkunastu tysiącom czartów i smoków. Byli skazani na porażkę.

Wypatrzyłem dowódcę oddziału i podleciałem do niego.

Był to piękny młodzieniec w złotej zbroi.

Wyżej osłaniali go woje na latających tarczach.

I te skrzydlate czarodziejki, jeszcze wyżej.

Zerknąłem na chronometr. Jeszcze trzydzieści sekund.

Jestem gotowy?

Mam nadzieję, że tak.

Nie ma na co czekać.

Rozkazałem frinowi obserwować pole bitwy z lotu ptaka i umieściłem podgląd kilkunastu arealnych kamer pod górną krawędzią pola widzenia.

Czas zabawić się w boga.

Galaktyka Andromedy
Planeta Ojców
Errus Jeffersona „Spacemana” Raya
09 Decimi 232 EI, 01.79 H

Śmiałem się. Śmiałem się tak jak zawsze w towarzystwie swoich przyjaciół bogów, śmiałem się, bo była przy mnie Jennefer i ten nowy, Tyrell Dawn.

– To tak wyglądają inne światy? – pytała moja pani, gdy rozdierałem karty Księgi Świata, a spoza prastarych budowli Ojców wyzierały zupełnie inne krajobrazy, planety młode i rozpadające się, słońca dopiero się rodzące i wybuchające jako supernowe, a wszystko to w tle, bo na pierwszym planie walczyły nasze duchy, czyli my sami w trójcy jedyni, niezniszczalni, ponieważ nie chcieliśmy zginąć, ponieważ celem życia jest życie, nie śmierć.

– Tak, kochanie, tak wyglądają inne światy – odparłem, rozłożyłem ręce i rzuciłem się na wrogów.

Każda moja ręka była otoczona kokonem tak odkształconej przestrzeni, jakby była czarną dziurą owiniętą horyzontem zdarzeń. Spojrzałem na dziesięć kolejnych maszyn wroga, ogromnych jak domostwo, wyglądających jak kanciaste gęby, w których oczodołach były umocowane ich dziwne, siejące śmierć działa. Zwykły człowiek nie mógł widzieć ich salw. Ja i inni Widzący widzieliśmy. One nie przesyłały do wroga drobin materii ani energii. Działały bezczasowo, łącząc swoje lufy z przeciwnikiem, a każde działło miało dziesięć luf i łącząc się z celem, próbowało go rozerwać.

Z nami mieli kłopoty, bo dawno pojęliśmy, że nie było Wielkiego Wybuchu. Wszechświat nie mógł powstać z punktu z tego prostego powodu,

że skoro jest nieskończony, to na początku musiało być nic. Zatem materia jako taka nie może istnieć. Wszechświat nie mógł powstać z punktu, bo nie ma środka. Skoro środek jest wszędzie i nigdzie nie ma granicy, musiał powstać w każdym miejscu jednocześnie, a jeżeli tak, to cały wybuch jest symbolem i śmiechem aniołów. Skoro świat powstał z niczego, jest niczym. Multiwszechświat powstaje cały czas i cały czas się kończy. To nie materia jest jego budulcem, ale przestrzeń. Kwarki, fotony i elektrony są szczególną formą przestrzeni. Dawno temu powstała przestrzeń. Przestrzeń to odległość, a odległość to liczba, liczba zaś jest informacją – nie falą, nie materią, ale informacją. *Z informacji powstałeś i w informację się obrócisz.* Atomy i elektrony to liczby, wzory, podstawowe cząstki świata i dlatego jesteś nieśmiertelny, bracie i siostrze. Informacja się namnaża, nie ubywa jej ale przybywa, więc ciągle powstają nowe byty. W Wielkim Wybuchu powstała informacja, a skoro tak, nie jest ważne „kiedy”, bo w świecie informacji to także tylko kwestia liczby. Informacja jest wieczna.

Byliśmy zatem przestrzenią. A przestrzeni nie da się zabić. Byliśmy informacją. A informacji nie można zniszczyć za pomocą materii i energii, nawet najbardziej zaawansowanych, bo to jedynie obrazy informacji. To tak, jakby próbować zniszczyć znaczenie liczby jeden namalowaną na murze jedynką. Choćby farba była bardzo trwała, a mur najtwardszy z twardych, nie będą w stanie zniszczyć idei tego, co symbolizują, bo są nieadekwatne. My, jako byty informacyjne, mieliśmy władzę nad materią. Byliśmy *malarzami rzeczywistości.*

Mieliśmy tylko jeden kłopot.

Nie byliśmy wszechogarniający.

Mimo że nazywaliśmy się bogami, *nie byliśmy* wszechogarniający.

Zwykli ludzie, nawet Ranowie, myślą, że wszechogarnianie oznacza śmierć. Mają rację. Bóg, ten ostateczny i absolutny, jeśli istnieje, z pewnością

nie żyje. Lecz bóg nieostateczny i nieabsolutny istnieje z pewnością, bo namnażająca się informacja czyni go żywym. Ba, nie tylko jego.

My nie chcieliśmy ryzykować takiej potęgi, więc może powinniśmy siebie nazywać półbogami? Czwierćbogami? Nie miałem pojęcia, bo nikt z nas nie wiedział – ani Orygenes, ani Farah Adid – ile jest stopni wtajemniczenia.

I tak przez swoją ułomność nie mogliśmy być wszędzie. Tylko tu. Nigdy i tu, i tam.

Nas był tysiąc, a ich miliard.

Poprawka. Teraz już półtora miliarda.

Tak, my przetrwamy, ale rasa ludzka nie.

I komu wtedy przyda się nasze istnienie?

Obraz 7

Integracja

Arealium

Talizman topazowy Torkila Aymore'a

Czas realium:

09 Decimi 232 EI, 01.87 H

Wzięłem głęboki wdech i zanim wskazówka chronometru wskazała zero, krzyknąłem:

– Naaapierrrrdaaalaaaać!!!

Świat talizmanu ożył. Ułożona w klin szarża paladynów pędziła na zatracenie, siekąc mieczami demony, te zaś kęsały, gryzły, pazurami zdzierały z rycerzy płaty zbroi, a z końskich brzuchów wypruwały długie sznury jelit. Magowie ciskali ogniste kule, węże polewały paladynów zielonym kwasem i ogniem, na co rycerze na latających tarczach odpowiadali ulewą czerwonopiórych strzał rotujących niczym pociski karabinowe.

Nagle dotarła do nich zaprogramowana przeze mnie myśl. Spojrzeli na siebie zdziwieni, ale nie było czasu na zastanawianie się, zresztą zaszyłem w programie silne emocje przekonujące ich o słuszności modlitwy.

– *Day wal bi me!* – zaczął inkantować złotowłose dowódca paladynów, a z nim powtarzali te słowa inni woje.

W moim polu widzenia rozwijał się pas rozmodlenia.

– *Day wal bi me!* – krzyknął głośniejszy pędzący na czele rycerz.

Przyjrzałem mu się. Ociekał posoką wrogów i parł do przodu. Jeszcze przed chwilą myślał, że prowadzi towarzyszy na śmierć. Jeszcze przed chwilą był przekonany, że zaraz zginie, więc zerwał nić chęci przeżycia i zastąpił ją pogardą śmierci. Teraz w jego serce wsączała się wąską strugą ożywcza woda nadziei. Zerkał co chwila na walczących z nim ramię w ramię przyjaciół. Widziałem, że to przyjaciele. Na lewo od niego szarżował blondyn o zaplecionych w warkocze włosach, a na prawo rudzielec z zawadiacką bródką. W ich twarzach ujrzałem tysiące wspomnień innych bitew, innych przeżyć, innych przygód. To byli przyjaciele na śmierć i życie. Jak my z Laurusem i Nexusem. I nagle zapragnąłem ze wszystkich sił ich ocalić, ocalić ich miłość, wspomnienia i marzenia, ich wielką, świętą więź. Widziałem, jak wzbiera w nich wzruszenie, najbardziej wzniosłe z uczuć, poczucie braterstwa na polu chwały, gdy przyjaciel osłania przyjaciela i przyjmuje za niego cios, ale nie skarży się, bo wie, że za chwilę druh zrobi to samo, gdyż nie ma tutaj miejsca na zimny rachunek, nie ma kalkulowania, kto ile dla kogo zrobi, bo równanie jest proste: każdy robi dla każdego wszystko.

Wszystko.

Pasek modlitwy dotarł do pięćdziesięciu procent.

Wtedy nad wojami pojawiły się gonfalony przedstawiające... ich samych. Każdy bowiem krzyczał:

– Bądź wola moja! Bądź wola moja!

I każdy nabierał coraz większej otuchy, a gonfalony promieniowały „boską” energią i powodowały, że ich rany szybciej się goiły, ciosy miały

więcej mocy, a ciała sprawniej się regenerowały.

Nagle przywódca paladynów zerknął na przyjaciela, uśmiechnął się i zakrzyknął:

– *Day wal bi we! Day wal bi we!* – I na jego gonfalonie pojawił się wizerunek druha.

Tamten najpierw się zdziwił, a potem odwdzieczył tym samym:

– *Day wal bi we!* Bądź wola twoja!

I jego podobiznę zastąpił na gonfalonie portret przyjaciela.

Gdy inni to dostrzegli, podjęli najpiękniejszą modlitwę, jaką człowiek może wymyślić:

– Bądź wola twoja!

Ale nie wola boga, wyimaginowanej, nieosiągalnej i absolutnej istoty, której niczego nie trzeba zazdrościć, za to wychwalać można pod niebiosa i życzyć powodzenia. *Bądź wola twoja*, przyjacielu, człowieku obok mnie, bo tobie życzę powodzenia bez zazdrości i zawiści, dla ciebie przelewam całą swoją energię.

Nad wojskami obrońców zaroily się gonfalony i czułem, że wszyscy modlą się nie do boga, nie do siebie, ale za przyjaciół i za obcych.

Galaktyka Andromedy

Planeta Ojców

09 Decimi 232 EI, 01.96 H

Torkil Aymore Dex

– *Tell, nizej!* – krzyknąłem, gdy przedzieraliśmy się przez tunel, który widziałem na zabawkowej planecie Auduxa. Przed oczami śmigał mi tor uzgadniany w ułamkach cetni z Suverem, ale nie mogłem się powstrzymać

przed nerwowym komentowaniem lotu.

– *Tak, Efendi.*

Dzięki przejściu ukrytemu pod wieloma mostami i przęsłami mieliśmy szansę dotrzeć niezauważeni w cień statku korony. Jeszcze kilka zakrętów, jeszcze w lewo, w prawo, teraz prosto pod tym nawisem, dosłownie dwieście metrów...

Przez ułamek subiektywnej cetni zobaczyliśmy podstawę pojazdu, do którego zmierzaliśmy. Niestety, znajdował się dużo dalej, niż gdy nurkowaliśmy między budowle. Leciał do arcydiabła. Suver przesłał mi jego hotkę.

– *Torkil, wydaje mi się, że czas najwyższy, żebyś zrobił porządną użytek ze swoich duchów, bo pod tym dziadostwem roi się od działek. Nawet jeśli nie dostrzegą nas te drony i dłoniomaty, oberwiemy. Duży dystans, dużo luf...*

Dolecieliśmy do ostatniej czerwonej budowli oddzielającej nas od otwartej przestrzeni. Dookoła nie było obcych maszyn, ale rzeczywiście, korona była już daleko. Arcydiabeł był w tym momencie zwrócony do nas tyłem, ale czy miało to jakiegokolwiek znaczenie? Wykonałem zoom. Jego grzbiet co chwila błyskał małymi iskierkami. To Anioły rozwalają jego działka. Istniała szansa...

– *Powiadasz?* – rzuciłem do Smoka.

Odwrócił do mnie łeb i skinął nim bardzo poważnie. Kiedy Tell jest poważny, oznaczać to może tylko kłopoty. Tak, przyjacielu. Nie wiemy, czy wyjdziemy z tej szarzy żywi. Ten Poom może nie wytworzyć aruna. Za mało go jest. Czyli jeśli zginiesz, to na amen.

Miałem ochotę wziąć głęboki wdech, ale w stanie przyspieszenia było to niemożliwe.

Niech się dzieje.

*Nie kontroluję świata,
Rozluźniam się.
Szczytem odwagi jest stan pasywny,
Rozluźniam się.
Nie kontroluję świata,
Jestem tao, jestem wodą,
Przyjmuję najniższe położenie.
Przyjmuję najniższe położenie.*

Zerknąłem na smoka i skinąłem głową.
– *Monika!!! Lee!!!*

Tell wyskoczył zza muru. Z początku nic się nie działo, nie dostrzegł nas ani ciemny statek, ani arcydiabeł, ani żaden dron. Ale nie przebyliśmy nawet połowy dystansu, gdy zobaczyliśmy jasnoniebieskie wyjące smugi i zbliżające się fioletowe wrzeciona. Tell zrobił wariacki zwrot, unikając pierwszej niebieskiej salwy, a potem drugiej i trzeciej. Wkrótce kręcił młyńce, a ja, trzymając się go jedną ręką, waliłem lancą wrogie automaty niczym Thor niszczący młotem Mjólnir hordy lodowych gigantów. Moje duchy napięły mięśnie i rzuciły się na drony. Rozdzierały je i ryczały, przestrzeń wokół nich ugięła się i warczała, latające aparaty iskrzyły i kruszyły się, a na zewnątrz sfery stworzonej przez Monikę i Lee przeskakiwały wyładowania i skraplało się powietrze. Tell potężnie bił skrzydłami, wzlatując wyżej i wyżej, a bezlitosne działa u podstawy statku otworzyły swoje obmierzłe pyski i wyśpiewały obce pieśni. Wysłałem w ich stronę Demona, Anielicę zaś poprosiłem w najpiękniejszych słowach o ochronę przed śmiercią. Grzbiet arcydiabła zbliżał się i coraz wyraźniej widziałem setki dział na jego ciele. Na szczęście żadne nie celowało w nas, bo byliśmy zbyt blisko korony. Kilka ciemnych statków połączyło się już

z plecami potwora, tworząc coś w rodzaju grzebienia podobnego do tych, jakie nosiły mezozoiczne stegozaury. Wyglądało to groźnie, a od giganta biły coraz silniejsze soulerskie fale.

Przedarliśmy się przez wyrwę w poszyciu dosłownie na dwie, trzy cetnie przed połączeniem się korony z demonem. Tymczasem korona ustawiała już swoją podstawę równolegle do pleców giganta. Statkiem wstrząsnęło i znieruchomiał. W tym samym momencie włączyła się w nim sztuczna grawitacja i nagle ściana stała się podłogą. Stękając, lustrowaliśmy pomieszczenie, w którym się znaleźliśmy. Było dostatecznie duże, by pomieścić Suvera i Rana. Ojcowie byli wysocy, więc nie powinniśmy mieć problemów. Komnata była w dużej mierze czarna, z rzadka ozdobiona prostokątnymi czerwonymi elementami. Z pewnością był to rodzaj technicznego łącznika między silnikami pojazdu.

– *Uff* – stęknął Tell telepatycznie. – *Najwyższy czas. Trochę mnie boli.*

Jeśli Dragon skarży się na ból, to znaczy, że jest z nim bardzo źle. Miał obnażoną szczękę po prawej stronie – kość była na wierzchu. Podobnie wyglądał prawy bark. Główka naramiennego gnata świeciła bielą. Paskudne było poparzenie prawej łapy – łuski straciły kolor i obłaziły jak zeschnięte liście na pniu palmy. Widziałem też pocięte skrzydła. Spojrzałem na swoje ciało. Krwawiłem w dziesiątkach miejsc. Frin dawkował leki przeciwbólowe, produkował rzadką krew i spalał resztki tkanki tłuszczowej, ale czy mógł poradzić sobie z żebrami świecącymi bielą w trzech miejscach na prawym boku, z wyrwanym lewym bicipsem i głęboką raną zewnętrznej części lewego uda? Wyglądałem jak Mesjasz chrześcijan tuż po kaźni. Tylko korony cierniowej brakowało. I tego kurewskiego krzyża. Ledwie trzymałem się na nogach. Spojrzałem na Tella, który właśnie prostował skrzydła, sprawdzając, czy ma w nich całe kości. No i proszę, i krzyż się znalazł.

– *Wyglądasz chujowo, Efendi* – nadał Smok.

– *Oberwaliśmy* – szepnąłem totowo.

– *Zregeneruję to.* – Kiedy Smok telepatycznie szepcze, brzmi to jak podmuch wiatru przeciskającego się między wielkimi budynkami.

– *Z pewnością* – odparłem i w paku tym nie umiałem stłumić wyobrażeń zbliżającej się śmierci.

Mroczyki przed oczami. Znam je. Za mało krwi, za niskie ciśnienie. Przykucnąłem i podparłem się o podłogę prawą ręką, bo lewa drżała. Nie mogłem nad nią zapanować.

Próbowałem przełknąć ślinę, ale miałem sucho w ustach. Odwodnienie. Zerknąłem na swój brzuch. Tkanka tłuszczowa zniknęła. Jeszcze chwila i skóra będzie cienka jak folia. Prążki mięśni grały przy każdym oddechu. Nie wiedziałem, że tu może być takie zagłębienie. A tu taka żyła...

Podniosłem wzrok na Tella.

Mrugnął do mnie jednym okiem, zupełnie jak człowiek, którym de facto był. Cóż za piękny gest w takiej chwili.

– *Tell* – wysłałem men – *chyba nigdy ci nie powiedziałem, że cholernie lubiłem wszystkie nasze rozmowy. I wyprawy.*

– *Uczucie jest odwzajemnione, Tori.*

Frin poinformował, że ciało ma ochotę kasłać. Odwodnienie wysuszyło śluzówki drzewa oskrzelowego. Żeby temu zapobiec, moja sztuczna inteligencja zaczęła wydzielać substancje przeciwkaszlowe. Poczulem, jak wielka klatka piersiowa powoli się unosi w głębokim wdechu.

– *Muszę ci mówić, co czuję do ciebie?*

– *Nie. I wiesz, że jestem zaszczycony.*

– *Jeśli to nasza ostatnia akcja, chcę, kurwa, żebyś wiedział, że nie zamieniłbym jej na nic innego. Na nic* – podniosłem się i chwyciłem go za wielką mordę, patrząc prosto w oczy – *kurwa, innego.*

– *Ja też, Tori.*

Puściłem łuskowatą paszczę i znowu kucnąłem.

Taki gadzi, egzotyczny. I jednocześnie taki ludzki...

Dociera do mnie spóźniony pak od Torkila Meda. Frin musiał go przetrzymać, wiedząc, że jestem bardzo zajęty.

JEDEN SMOK.

JEDEN SMOK.

JEDEN SMOK.

Kręci mi się w głowie. Dlaczego zdradził to Medowi, nie mnie?

Wszystko jedno... Środkowy to przecież ja, tylko gdzie indziej.

Patrzę na niego szeroko otwartymi oczami.

Już wie, o co chodzi.

Mimo bólu spogląda na mnie z rozbawieniem, powiem więcej – z wyższością. Walczą we mnie mdłości, rozrzewnienie i zaskoczenie. Czyżby cały rodzaj ludzki dał się nabrać jowialnej i pozornie podległej Imperium rasie Dragonoidów? Czyżby to oni kontrolowali nas, nie my ich?!

– *Torkil, przestań. Jesteśmy przyjaciółmi, jak dawniej, prawda?* – Wyciąga łapę w stronę sufitu i rozdziera go, jakby sklepienie było z cienkiej folii, nie z twardych tworzyw. – *Widzisz, Tomo, my nie dlatego tak łatwo przecinamy ciała stałe, że mamy mononuklearne zakończenia szponów. To znaczy one są ostre, ale bez przesady. Wszystko, co ostre, w końcu się tępi, a nie widziałeś chyba Suvera ostrzącego szpony?*

– *Widziałem. Ciebie.*

Cicho się śmieje.

– *Zły przykład. Tak czy owak, przyczyna jest prostsza i trudniejsza zarazem.*

Wyciąga w górę oba ramiona i poszerza otwór. Wskakuje wyżej i wciąga mnie. Nie widzimy wrogów. Pomieszczenie jest długie. To rodzaj korytarza. Jest w nim jaśniej – czerwone meandry na tle czerni.

– *Jak ci już chyba kiedyś mówiłem, my, Suverzy, jesteśmy podwójni. Materialni i, no, niech będzie, „duchowi”. Gdy chcę coś przeciąć zębem czy szponem, wystarczy, że postanowię to zrobić, a materia „duchowa” rozdziela atomy. Żyjemy w połowie tu, w połowie w hiperprzestrzeni. Nasze Omnihomo jest z nami zrośnięte. To, co wy widzicie na zewnątrz w postaci duchów, my mamy zawsze ze sobą. Rozumiesz?*

Patrzę na niego, jakbym widział go pierwszy raz. Przytrzymuję lewą rękę i w ten sposób zapobiegam drżeniu. Mój żółty talizman zaczyna krążyć wokół szyi, jakby starał się zaczarować ranne ciało i w szamański sposób je uzdrowić.

Tell cicho parska.

– *No nie patrz tak na mnie. Przecież ci powiedziałem, prawda?*

– *Dlaczego tak późno?*

– *Na wszystko jest pora. Jak twoje rany?*

Zerkam na żebra. Pokryła je cienka warstwa tkanki regeneracyjnej. Udo także się zasklepiło. Najgorzej jest z ręką. Tutaj również jest już aseptycznie, ale mięśnia tak szybko nie odtworzę. Ramię jest pociągane przez triceps i nieustannie się prostuje. Strzępy bicepsa nie są w stanie mu się przeciwstawić. Muszę spojrzeć prawdzie w oczy: mam jedną sprawną rękę i jedną sprawną nogę, obie prawe. Zerkam na Smoka. Jego szczeka i główka kości naramiennej są już niewidoczne. Poparzone łuski odpadły i widzę kielki nowych, intensywnie granatowych i karmazynowych. Suver ma większą masę, więc i większy bufor. Ja zaczynam trawić mięśnie. Frin informuje, że postara się jednak zregenerować biceps. Moje ciało wydziela dziwny, obcy zapach. Tell też pachnie inaczej.

– *Czujesz te miazmaty?* – pytam mentalnie.

– *Friny dają czadu, dosłownie, co?*

Torkil Med

Achilles Med wisiał sto metrów pode mną, przy skośnie przewieszanej ścianie arcydiabła, którą był jego wklęsły brzuch. Zmiotł kolejny automat wroga, używając quilldao, za którego ostrzem ciągnęły się pozostałe lotki. Otaczały go spirale krwi, co kojarzyło się z salutem Ranów. Z tymi maszynami nie da się walczyć bez poświęcenia, nie sposób zetrzeć się z nimi, łudząc się, że nie skaleczą. Walkę z nimi można porównać do starcia sokoła z wiatrakiem, takim ze starych, dobrych czasów. Każdy atak zostanie przyplacony raną. Każde cięcie spotka się z kontrcięciem, bo sokół jest mały, a wiatrak wielki, sokół słaby, wiatrak odporny, więc ptak musi uderzać niczym kamikaze, żeby naruszyć strukturę. Achilles Barlaam, moczysz Skyranów, bohater rajdu pod powierzchnią Damnaty, zdawał się umierać, tnąc kolejne drony wroga, cudem unikając fioletowych wrzecion. Krew tryskała z tuzina ran, ale Toy Soldier wciąż reagował przytomnie i logicznie. Błyskały talizmany krążące wokół jego szyi. Z pewnością otrzymywały teraz potężne sygnały od jego frina, że Aristos potrzebuje maksymalnej osłony. Widziałem oczami wyobraźni tłumy Weenów modlących się, adorujących Achillesa, krzyczących „Bądź wola Twoja!” i być może to, do diabła, działało, bo mimo agonii Skyran wciąż się trzymał, wciąż uderzał i wciąż ranił. Osłaniały go jego duchy, krzycząc na wroga i rozpychając dłoniomaty. Widok tego człowieka podnosił na duchu, dodawał wiary, ale robotów było coraz więcej. Dlatego Lea i Quai zaszarżowały niczym wściekłe harpie i rozbiły ciżbę gromadzącą się dookoła Barlaama, raniąc się przy tym i krwawiąc. Smoczyca, nie bacząc na ostrzeżenia Laurusa i swoją wagę, za bardzo się narażała. Jedno skrzydło miała naderwane.

W tym momencie otrzymaliśmy komunikat od Diega siekącego działka po

grzbietowej stronie, że do pleców olbrzyma przywarło pięć koron, które kropią tak, że nie da się tam już przeżyć. Padli Xavier, Ramona i Septimus. Przy czym Ramona... na zawsze. Jej arun został przecięty przez nanonic.

I nagle...

– *O mój Boże!* – stęknął Nexus, a wszyscy mu zawtórowaliśmy.

Zostaliśmy odepchnięci od arcydiabła przez jakąś niezrozumiałą siłę, która uderzyła w nas jak fala eksplozji. Koziołkowałem w ryczącym powietrzu, nie odróżniając góry od dołu i czując narastające mdłości. Wokół mnie mknęły strzępy metalu, inni Ranowie i kurz. Soulerzy, tłukło mi się w głowie, soulerzy siedzący w koronach połączyli siły z arcydiabłem i wytworzyli wokół potwora jakiś nieprawdopodobny bąbel! Gdy wyhamowałem, a Paula i Angie znalazły się kilkadziesiąt metrów ode mnie, mieliśmy do olbrzyma najmniej pół kilometra. I znowu spowiała nas gęsta sieć niebieskich nici. Nie było sposobu, by się do niego dostać!

– *Te działka, które zniszczyliśmy* – jęknął Mbele – *się regenerują.*

Torkil Dex

Nagle poczułem straszny ciężar w piersiach. Coś zaczęło odbierać mi siły. Dostałem pak od Torkila Meda, że to przyłączone korony za tym stoją.

– *Przypierdala, co?* – stęknął Dragon, który aż przysiadł na tylnych łapach.

Skinąłem głową. Smok ciężkim krokiem dotarł do ściany i rozdarł ją jednym uderzeniem łapy.

– *Wracając do tematu* – sapnął. – *Skoro kończy się nasz czas...*

Złorzecząc i stękając, zabił dwóch mechanicznych strażników wprasowanych w ścianę oddzielającą nas od kolejnego pomieszczenia. Zrobił

to jednoczesnym uderzeniem obu przednich łap.

– *Wypadałoby – wycharczał – żebyś przestał się bawić w oddzielonych od ciebie Demona i Anielicę. To śmieszne.*

– *Ale – zakrztusiłem się – spektakularne.*

– *Nie wątpię. Ja ich co prawda nie widzę, ale czasami spoglądam na nie twoimi oczami i rzeczywiście wyglądają imponująco. Jednak to nie to samo, co potęga Smoka.*

Nie wiem, jak on to robił. Gdyby nie jego widok, położyłbym się na podłodze i czekał na śmierć. Ale jego obecność, to, że wciąż szedł do przodu, powodowało, że nie mogłem się poddać. Nie mogłem!

Przedarł się do następnego pomieszczenia, tym razem węższego i krętego. Było szkarłatno-czarne, zdobione płomiennymi polami magnetycznymi. Pomyślałem, że tu umrę. Patrząc na te paskudne ściany. Że też nie wybrałem sobie bardziej malowniczego miejsca. Przez gniotący pierś ból poczułem falę strachu. Wysyłał ją zamieszkujący tę strukturę królewski souler...

Torkil Sin

Nagły wstrząs i odepchnęło nas na kilkaset metrów od arcydiabła. I tak nie było już po co lecieć, bo korony połączyły się z nim, ale efekt był piorunujący. Logan roztrzaskał się o dach pobliskiej budowli. Niestety, jego arun uległ zniszczeniu. Felixowi urwało rękę i nogę. Arun pomknął szerokim łukiem do *Nemesis*. Stwierdziwszy, że teraz pewnie to ja dowodzę tą grupą, wydałem rozkaz dołączenia do głównych sił walczących z demonem. Cała ta nasza akcja była bezsensowna. Może jeden Ran by się przedarł, jakoś cichcem, ale tak? Nie mieliśmy szans. Po prostu nie mieliśmy szans.

– *Zatem, Tori – perorował Tell – nie sądzisz, że warto by wreszcie zrozumieć, o czym mówią wasi Imperialni Soulerzy?*

Pełziliśmy przez korytarz i sam już nie wiedziałem, czy żyję, czy nie. Wszystko stało się jakimś dziwnym snem.

– *Wciąż zwracacie wzrok wzwyż, instynktownie wierząc, że gdzieś indziej jest ktoś mądrzejszy, czekacie na rozkazy, wytyczne... – Potrząsnął łbem, jakby próbował zrzucić z niego nieznośny ciężar. – Dla nas, Smoków, jest to niepojęte. Jesteście pięknymi, silnymi istotami, tyle że wewnętrznie zniewolonymi. Nawet wy, Ranowie, najsilniejsi z ludzi, toczycie wewnętrzne rozmowy przekonani, że rozmawiacie z kimś na zewnątrz, z kimś innym, lepszym, nieogarnionym.*

– *Tell, zamknij się.*

– *Słuchaj, bo to ważne.*

– *Daleko jeszcze do tych drzwi?*

– *Dziesięć metrów. Słuchaj. To przecież wy sami. Demony, Anielice to wy. Pytanie brzmi, czy macie odwagę pojąć, że nie trzeba się zwracać na zewnątrz, by zdobyć mądrość. Czy zamiast powiedzieć „Bądź wola Twoja”, macie odwagę krzyknąć... Wiesz co?*

– *Tell, skup się.*

– *Wiem, co robię, Tomo. Wiem – warknął z bólu – co, do diabła, robię. To ty jesteś Aniołem i Demonem, to ty jesteś Omnihomo, tak jak każdy Suver jest istotą duchową i materialną. Tak jak wasi Widzący są tylko duchowi. Rozumiesz?*

Przystanął, żeby zaczerpnąć tchu. Próbowałem wstać na kolana, ale wciąż tylko pełzłem jak jakiś uparty, krwawiący robal.

– *To rozdzielanie was osłabia. Osobne duchy są jak dym bez drewna, a człowiek bez zintegrowanego Omnihomo jest jak drewno bez ognia. Gdybyście ograniczyli tę schizę, byłibyście silniejsi.*

Wzniósł łapy i zaczął rozdzierać ostatnią, jak mi się wydawało, ścianę, która posiadała bardzo wiele warstw, tak że nawet jego wielowymiarowe szpony miały z nią problem.

– *Powiedz, Torkil, czy nie było czasami tak, wiesz, w przeszłości, być może jeszcze na Damnacie, że ludzie byli tobą przerażeni? Tym, że jesteś piękny, sprawczy, szlachetny, inny? Bo ja wiem, jak to nazwać... Charyzmatyczny? – Szarpał pazurami ścianę i, jakby zupełnie nie bacząc na kolosalne osłabienie, kontynuował: – Nie było tak, że kpili z ciebie, próbowali wykluczyć poza nawias, bo zależało ci na czymś więcej, bo miałeś poczucie, że każdy twój czyn coś znaczy, że jest czymś więcej niż tylko przyczyną, która wywoła skutek w niedalekiej przyszłości? – Ze złością uderzył w upartą ścianę. – Tak jakby jego echo było wielowymiarowe, jakby się odbijało od równoległych światów? Nie miałeś wrażenia, że twoje słowa i czyny są inspiracją dla innych? Że uderzają w równoległe wieczności, że mają sens? Inni śmiali się z ciebie, że przesadzasz, że wyolbrzymiasz, że popadasz w patos. Bo bali się, że możesz mieć rację?*

Tell przedarł się wreszcie do głównego pomieszczenia. Zmusiłem się, by stanąć na nogach. Świat dookoła zataczał się, ale się udało. W czerwono-czarnych ciemnościach przeplecionych płomiennymi łukami, ideogramami i eterycznymi ogniowymi firanami zobaczyliśmy strwożonego soulera. Należał do rasy tych pięknych elfów. Był wysoki, blady i łysy. Siedział na czymś w rodzaju ruchomego, obrotowego tronu pośrodku olbrzymiej komnaty. Jego smukłe ciało okrywał szaroczarny egzozkielet wzmocniony na wysokości pasa srebrną taśmą, taką samą jak u króla. Wyszczерzył jasne, perłowe zęby i w kilku miejscach poczułem straszny, rozrywający ból.

– *Kim jesteście?* – zadał telepatycznie pytanie, coraz bardziej wykrzywiając piękną twarz.

Ależ ma siłę to bydlę! Przypomniały mi się najgorsze koszmary na Nomorii. Chciałbym powiedzieć, że bywałem w gorszych tarapatach, ale... Tak, bywałem. Dwudziestka w skali Hammerfielda w Goodabads. To było mniej więcej to.

– *Poddaj się. Ja tego nie mogę zrobić. Moja poddana oznacza moją śmierć. Pozostajesz ty. Poddaj się.*

Znowu poczułem mdłości i upadłem na kolana. Skurwysyn ma tyle siły, a ja umieram! Nienawidzę tego. Umieram tylko dlatego, że on jest silniejszy. On naprawdę nie chce walczyć. Nienawidzi swojego pana, ale nie ma wyboru. To niewolnik. Ja mam wybór.

Ja mam wybór.

Podnoszę głowę. W pomieszczeniu ozywają przyczepione do ścian działka. Zwracają na nas obrzydliwe pyski. Za dużo ich. Za dużo.

– *To ja ci powiem, Torkilu – nadaje Smok, gdy świat zdaje się zatrzymywać w miejscu. – Miałeś rację.*

Arealium

Talizman topazowy Torkila Aymore'a

Czas realium:

09 Decimi 232 EI, 02.27 H

Pasek rozmodlenia dotarł u dowódcy paladynów do stu procent. Myon wzniosł się, ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu, w powietrze, oddzielając się od siodła pegaza. Przez chwilę kurczowo trzymał jego uzdę, ale po chwili puścił ją, zawierzając swój los... wyższej sile. Jego wierzchowiec był nie

mniej zdziwiony. Najpierw lekliwie zadarł łeb, szukając pana, a potem także poleciał w górę i zaczął okręzać jeźdźca, głośno rżąc i wierzgając uskrzydłonymi kończynami. Mężczyzna rozbłysnął, nagle urósł, powodując, że otaczające go skrzydlate demony odskoczyły przerażone, rozrósł się jeszcze bardziej, pancerz pękł na nim i rozprysnął się na wszystkie strony. Wisiał przez moment olbrzymi i nagi, a potem wcielił się w wielką zbroję, która przeznaczona była pierwotnie dla mnie. Bijący od niej blask zmiotł kilkanaście biesów i kilka smoków. Poczułem, jak wrogów Weenów ogarnia strach. Walczący u boków wodza rycerze także stali się potężnymi wojownikami, a ich wierzchowce, nagle uwolnione, zaczęły zataczać kręgi nad polem bitwy. Widzący ich żołnierze krzyknęli wielkim głosem i zobaczyłem setki, a potem tysiące pasków rozmodlenia. Jak gromy zaczęły się pojawiać boskie pancerze. Jeszcze kilkadziesiąt cetni i pole u podnóża Chmurnego Kamienia było pełne gigantów w wielkich złotych kirysach. Wódz przyjrzał się swojemu buzdyganowi, a potem zmierzył wzrokiem wrogów, którzy patrzyli na niego z przerażeniem. Wzniósł potężną maczugę i zadał pierwszy cios, a demony wzleciały pod niebo, wyjąc i skrzecząc. Gdy zobaczyli to sojusznicy, krzyknęli w uniesieniu, każdy zaś zwrócił się do kogoś innego:

– Bądź wola twoja!

I nie bacząc na własne zdrowie, na własne szczęście, na własne życie, modlili się o towarzyszy.

I było to piękne.

Bo religia ma kilka poziomów. Możesz się modlić do boga zazdrosnego, który ukarze cię za każdą inną wiarę, a za lojalność ewentualnie nagrodzi. Możesz wychwalać boga łagodnego i osiągać za to nirwanę, ciesząc się swoim szczęściem. Możesz też modlić się do siebie, szukając wewnętrznego bóstwa, i w ten sposób być może osiągniesz moc. Ale najpiękniej jest, gdy

zrobisz to dla kogoś innego – nie oddalonego, nie odległego, bytującego gdzieś pod chmurą, ale do człowieka tuż obok. A jeszcze lepiej zrobisz, jeśli zaszczepisz w ludziach taką właśnie miłość, lecz sam pozostaniesz niezauważony, przez co unikniesz poklasku, uwielbienia, twoi podopieczni zaś nie stracą poczucia sprawczości. Jeśli nasz świat stworzył jakiś bóg, to z pewnością prezentował ten najwyższy z możliwych do wyobrażenia poziom.

Taki jestem sprytny, Laurusie, który myślałeś, że przekonasz mnie do swoich paranoidalnych prawd.

Chmurny Kamień huczał od modlitwy, a święte gonfalone przedstawiające tysiące twarzy zawisły nad polem bitwy, wlewając otuchę w serca obrońców. Z nieba strzeliły na zamczysko i na dzielnych ludzi promienie, a atakujące demony skuliły się, skowycząc, bo okazało się, że aura gonfalonów i boskie promienie są dla nich toksyczne.

– *Day wal bi we!!!* – Od modlitwy huczało całe wzgórze.

– *Day wal bi we!!!* – krzyczeli woje i cięli wrogów, a ich wierzchowce i pancerze otaczała różowa mgła.

– *Day wal bi anonay!* – krzyknął ktoś, co znaczyło „Bądź wola wasza”, a to znamionowało ostateczne poświęcenie, bo modlitwa ta skierowana była nawet do wrogów!

– *Day wal bi anonay!* – krzyczeli woje, a demony, czarodzieje i smoki nie mogli wytrzymać ich głosu, znieść takiej otwartości i rozpadali się na cyfrowe atomy. Bo *Day wal bi anonay* to ostateczna pasywność, to rozgryzienie pułapki losu.

Niech się dzieje i niech będzie wola wszystkich, bo jaki sens ma wola kogokolwiek, gdy istnień są miliardy i wszystkie pragnienia wzajemnie się znoszą?

Śmiałem się, biłem brawo i płakałem. Udało mi się osiągnąć coś pięknego

– szczyt altruizmu rodzaju ludzkiego, gdy nikt nie myśli o sobie, gdy każdy ma poczucie bezpieczeństwa nie dlatego, że chroni własne życie, ale dlatego, że chroni życie cudze. Nawet wroga. I osiągnęli Weeni poziom boski nie dzięki dążeniu do władzy i mocy, ale dzięki miłości.

– Bądź wola wszystkich! – krzyčeli mężczyźni na tarczach, czarodziejki na swoich skrzydłach, łucznicy, obsada twierdzy, król i królowa, a nikt nie miał na myśli siebie.

Bo kto ma większą moc: organiczny obiekt modlitwy nieskończonej liczby Weenów pokaranych religią strachu czy pojedynczy Ween modlący się za wszystkich, tylko nie za siebie?

Galaktyka Andromedy
Planeta Ojców
09 Decimi 232 EI, 02.40 H
Torkil Aymore Dex

Miałem mroczi przed oczami i czekałem na miłosierny strzał prosto w głowę, gdy poczułem moc bijącą z topazowego talizmanu. Zrobił się gorący, wręcz parzył. Zaczęły bić od niego fale, które uzdrawiały mnie, regenerowały, dawały otuchę, nadzieję i miłość! Miłość! I przypomniły mi się wszystkie straszne sny, jakie nawiedzały mnie po kontaktach totowych z Jeffem. I wniknął we mnie cały świat, zupełnie jakby ktoś go zassał do mojej głowy, do żołądka, do serca, i zawisłem w nicości, a potem już nic nie wiedziałem, bo mój świat, mimo wszystko w miarę logiczny, lokalny, naznaczony euklidesowską geometrią, nagle się zakrzywił i sam siebie zanegował.

Errus Jeffersona „Spacemana” Raya

Jefferson „Spaceman” Ray otworzył szeroko oczy i wziął głęboki wdech. Errus, który giął się pod naporem aury spowijającej arcydiabła, zaczął się prostować dzięki niezwyklej, niezrozumiałej duchowej sile.

– Jen – szepnął do ukochanej – cokolwiek Torkil ma w tym talizmanie, jest to wielkie.

Torkil Aymore Med

Poczuliśmy jakąś niezwykłą falę! Świętość! Laurus mocniej ścisnął swój miecz.

– Czujecie to?!

Torkil Aymore Dex

I wniknęła do mojej psyche jaźń Jednego Smoka, która rozświetliła ciemności. I zobaczyłem świat na nowo, w innych barwach, jakby stworzyłem go, patrząc na niego, a on stworzył mnie, bo gdy go obserwowałem, zobaczyłem też siebie. Miałem poczucie, że narodziłem się jeszcze raz, rozumiecie, zupełnie od nowa. Multiświadomość Jednego Smoka zaczęła mnie uczyć. I zrozumiałem, jaki głupi jest ród ludzki uzależniający swoją moc od techniki i wynalazków. Spojrzałem z podziwem na półnagięgo Suvera i zobaczyłem, że jego siła pochodzi z zupełnie innego źródła. Z innego świata. Z jego spokojnej akceptacji wieloistnienia na wszystkich

kartach Libri Mundi. Każdy świadomy byt istnieje w nieskończonej liczbie kopii w światach równoległych. A imię jego jest liczbą. I poznałem koncept nieskończoności wysnuwania się światów ze światów w kole istnienia. I zrozumiałem, że jesteśmy wynikiem istnienia, które nie może nie istnieć i dlatego jest, a nie go nie ma.

I zespoliłem się z Anielicą i Demonem!

I wyrosły mi skrzydła, które były jednocześnie diabelskie i anielskie, a były cztery.

Stałem się wielowymiarową istotą i chociaż broczyłem krwią, a mój pancerz praktycznie nie istniał, zniszczyłem samą wolą wszystkie punkty ogniowe, soulera zaś zmiażdżyłem, nim zdołał nam zaszkodzić.

– *Torkil* – wysapał Tell, gdy pył i różowa mgła opadały znad truchła wroga, który nie był w stanie z nami walczyć, bo został w nieludzki sposób zespolony ze swoim siedziskiem. – *Proszę cię, utrzymaj tę aurę talizmanu jak najdłużej.*

– *Nie mam na to wpływu, Tell.*

– *Tak czy owak, to było niesamowite, przyjacielu.*

Niesamowite to mało powiedziane. Patrzyłem szeroko otwartymi oczami na otaczające mnie przedmioty i miałem wrażenie, że przesywam je wzrokiem na wskroś. Pewnie tak widzą Smoki. Wszystko jest dla nich trochę przezroczyste.

– *Tutaj jest jakaś niezwykła technologia* – przerwał moje myśli Tell. – *Ci soulerzy, czują to, są w stanie syntetyzować dowolne atomy, stwarzać materię z niczego.*

– *To niemożliwe.*

– *To mówi facet, któremu pomagają duchy. Chciałbym to wyciąć i przetransportować, ale jest za duże.* – Zaznaczył szponem nieokreśloną przestrzeń. – *Ta maszynaria zajmuje połowę statku.*

– *Mój frin mówi, że najwięcej tego, czego potrzebuje Garibaldi, jest...*

– *Tak, wiem, tutaj.*

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, Suver wyrwał z konsoli przed siedziskiem Warui wielki kawał maszynerii i nagle ciężar, który nas gniótł, trochę zelżał.

Przyjrzałem się jeszcze raz soulerowi. Ten jego pas... Wyciągnąłem rękę i niechcący zagłębiłem ją w ramieniu trupa. Poczułem pod palcami jego kości i mięśnie. Chryste, nie panuję nad tą integracją!

– *Tell* – szepnąłem – *pomóż mi pożegnać Demona i Anielicę. Przez nie wszystko zdemoluję. Mam wrażenie, że wciąż jestem zespólny z Jednym Smokiem. Mam rację?*

– *Tak. Naucz się to kontrolować.*

Wyciągnąłem krwawą dłoń z trupa. Zbliżyłem ją do fotela. Przeciąłem go praktycznie bez wysiłku. Potem palcem wyłobiłem w nim płonący rowek. Wreszcie skupiłem się, zabraniając uszkodzenia tego, czego dotknę, i sięgnąłem dłoń do pasa pokonanego. Nie zepsułem go.

– *Czekaj.* – *Tell* podszedł, wyciągnął szpon i rozpiął dziwną klamrę. – *Chcesz to założyć?* – spytał.

Skinąłem głową.

– *Jesteś szalony.*

– *I to mówi Smok? Ty coś przyniesiesz i ja też.*

Gad pokręcił łbem i podał mi zaskakująco lekką taśmę. Przyjąłem ją z obawą, że ją uszkodzę.

– *Jeśli nie chcesz, nie uszkodzisz* – nadał *Tell*.

Owinąłem ją powyżej bioder i ze spokojem patrzyłem, jak klamra sama się zakleszcza.

– *Będziesz wiedział, jak to odpiąć?* – spytałem.

– *Ta... To chyba tu.* – Wskazał ledwie widoczny sensor.

Dotknąłem go. Rzeczywiście, pas się odpiął. Zapiąłem go z powrotem.

– *Dostałem od Meda pak, że król ma podobny i że jak tutaj coś zrobił...* –

Przeciagnałem ręką nad klamrą i lekko dotknąłem jej środka.

– *Efendi!*

– *Co? Co się dzieje?*

– *Nie widzisz?!*

– *Nie. Może tylko kolory trochę wyblakły.*

– *Jesteś cały złoto-srebrny! Jakby pokryty cienką folią.*

– *Ciekawe. Mogę oddychać, mogę wszystko robić...*

– *Ale wygląda to koszmarnie.*

– *Myślisz, że to rodzaj pancerza?*

– *Stuknąć cię?*

– *Lekko.*

Pacnął mnie szponem w zdrowe ramię. Zabolało.

– *Nie – skonstatowałem – to nie zbroja.*

Dotknąłem klamry. Kolory znowu stały się intensywne.

– *Uff – sapnął Smok. – Uważaj. Nie rozumiemy tego gówna.*

Nagle podłoga się zatrzęsła i wszystko zaczęło się przechylać.

– *Co to było?* – krzyknąłem.

– *Laurus...!*

Torkil Med

Otrzymałem pak od Jeffa:

– *Hipoki działają! Nie wiem, jak długo. Podziękuj Dexowi.*

Na Buddę!

Przekazałem informację wszystkim dookoła! Odpowiedziały toty

zachwytu i nadziei.

Pod ognistym niebem piekielnej krainy rozbłysły błyskawice, a z nich wyłonili się bogowie wojny, niezniszczalni Ranowie w Skymourach! Zapłonęły święte wstęgi, uderzyły skrzydłami cheruby, diabły i orły, zamigotały animowane promienie i zaszeleściły księgi!

– No, kurwa! – zaklął Laurus Med, machnąwszy pięćdziesięciometrowym mieczem, aż powietrze wokół klingi zamieniło się w plazmę, a jego Lewy i Prawy zrobili to samo niemal w tym samym momencie. – No, kurwa! Teraz, skurwysynu, zobaczymy, z czego jesteś zrobiony!

Z piersi Środkowego Wilehada wypłynął miecz organicznego Laurusa, który teraz wyglądał przy prawdziwym orężu jak wykałaczką. Podpłynął do nasady klingi wielkiego ostrza i wniknął w nią.

Wydaliśmy okrzyk, machnęły skrzydłami nasze duchy opiekuńcze i ruszyliśmy na arcydiabła.

Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że stumetrowy Skymour jest bronią ostateczną, że nie ma niczego potężniejszego od niego. Lecz moloch króla miał pięć kilometrów i był najeżony działami, a najmniej jedna trzecia tych, które udało nam się spacyfikować, zdążyła się naprawić. Nasze Skymoury były zatem pięćdziesiąt razy mniejsze od zbroi szatana i wyglądaliśmy przy nim jak mały palec zwykłego Sita przy Ranie. Panowie Łowów Thirów, mający przecież kilometr, prezentowaliby się przy arcydiablu niczym ogrodowe krasnale przy dorosłym mężczyźnie. A już z nimi był kłopot, chociaż Thirowie nie dysponowali ani technologią Ojców, ani takimi mocami soulerskimi. My jednak o tym nie myśleliśmy. Wreszcie mieliśmy swoje zbroje. Wreszcie mogliśmy pokazać kły. I tylko to się liczyło.

Otworzyliśmy ogień. W parne powietrze wsącżyły się sznury rakiet, rozpały je czerwone ognie laserów i białe słońca dział plazmowych.

W stronę potwora posypały się pociski, niczym garść confetti i serpentyn rzucana podczas karnawału. Na ognistej, poznaczonej szatańskimi znakami powłoce demona pojawiło się kilkadziesiąt płonących kul, które rozwinęły się w kwiaty oranżowych eksplozji. Uderzaliśmy w pierś, ramiona i czerep, który, jakby urażony, obrócił się w bok i zawył, obnażając ostre, długie, czarne zęby. Silniki Skymourów parły pełną mocą, podpalając piekielną atmosferę planety, ale osłona soulerska, jaką dysponował król, była wciąż potężna, więc posuwaliśmy się zbyt wolno, a tylko w małym dystansie mieliśmy jakiegokolwiek szansę. Walił do nas z setek dział, przestrzeń między nami wyglądała jak osnowa maszyny włókienniczej, tak wiele było błękitnych strun łączących nasze pancerze z obmierzłym potworem. Król spuścił ze smyczy kolejne ogary – fioletowe wrzeciona.

– *Kurwa, za mocny jest! Nie da się do niego zbliżyć!* – krzyknął Nexus wyglądający jak skrzyżowanie starożytnego samolotu z człowiekiem.

– *Walić w szyję! Oderwać ten czerep od tułowia!* – nadał Laurus. Był wysunięty najdalej do przodu. On, jego Med i Sin.

I wtedy zobaczyliśmy spadającą z nieba ulewę. Na początku nie wiedzieliśmy, czym jest. Jakby srebrzysta smuga, jakby wodospad uderzający w plecy behemota i zrywający z nich cierniste korony. Zadarłem głowę.

– *To Errus!* – nadał Kaj Mbele. – *Errus ich osłabia!*

Aura demona zelżała. Potwór zadarł pysk, spojrzął na Widmo Widzących i ryknął wściekle, wysyłając w jego stronę skoncentrowany strumień błękitnych nitek i stado dronów ciągnących fioletowe wrzeciona.

Skymoury przyspieszyły. Ruszyliśmy ze zdwojoną siłą, wysyłając w jego kierunku setki rakiet.

Spowił go dym. Ale coś z tym dymem było nie tak, on nie pochodził z naszych salw.

– *To rakiety! To rakiety, na Buddę!* – krzyknął Felix Med i jego Skymour rozpadł się na kawałki.

Za nim rozpadły się panczerze Urii i Etny, a z reszty, w tym z mojego, odłamki śmigły w takim tempie, że jeszcze chwila i się zupełnie rozlecą! Ale nie zawracaliśmy, nie szukaliśmy schronienia. Pędziliśmy w huraganie pocisków, nasze Diabły i Anielice odbijały jedną raketę po drugiej, cygara ciągnęły za sobą tyle dymu, że nic nie było widać, były ich tysiące!

– *Lecimy w deszczu, kurwa, w deszczu i we mgle!* – warczał Laurus.

Hipoki wciąż działały, więc zbroje tych, którzy przetrwali, regenerowały się i dobudowywały zniszczone fragmenty.

Na moich oczach rozleciały się Skymoury Bonaventury i Iany Ohm. Minąłem ich fragmenty i wciąż parłem naprzód, ale diabeł był ciągle za daleko.

– *I tak nie mamy z nim szans...* – wyrzuciłem z siebie tot i zaraz go pożałowałem.

– *Wariant roju!* – krzyknął Nexus.

Wszyscy go natychmiast posłuchali, bo pomysł był dobry.

Mój Skymour, podobnie jak wszystkie inne, rozdzielił się na składowe elementy – osobno poszybowały dłonie, przedramiona, ramiona, głowa, pierś, w której tkwiłem, brzuch, uda, kolana, łydki i stopy. Wszystko to mknęło w spiralnym tańcu, morfując tak, by wrogie pociski miały jak najmniejszy cel. I wszystkie te części wciąż prowadziły ostrzał. Pruły raketami, laserami, działami plazmowymi i miotały małe czarne dziury! Manewr zadziałał, chociaż zwolniliśmy, bo tylko cały Skymour dysponuje potężnymi silnikami. Jeszcze dwieście metrów, jeszcze sto, jeszcze tylko chwila...

Potwór, okrążając nas w zwodniczym tańcu, otworzył paszczę, ryknął i, jak się okazało, dopiero w tym momencie postanowił pokazać, na co go stać.

W korpusie otworzyło się kilka wrót i wyleciało z nich takie mrowie pocisków, że ledwie dostrzegłem rakiety, zobaczyłem błysk, targnęło mną tak, jakbym dostał pięścią w nos, i straciłem przytomność.

Frin ocucił mnie kilkaset metrów dalej. Wciąż tkwiłem w pokierszowanej piersi Skymoura, a przez dziurę w poszyciu widziałem ogniste niebo planety. Ikony stanu załogi informowały, że zginęła połowa z nas. Ostatecznie. Asmodea, Martina, Gida, Achilles i... dwóch Laurusów. Poderwałem zbroję i nakazałem hipokowi odbudować pancerz.

– *Imperatorze miłościwy!* – usłyszałem głos Garibaldiego. – *Miej w opiece RanaRa!*

Zlokalizowałem go na mapie. Niewiarygodne. Med przetrwał wściekły atak króla, jego Skymour już się zespolił i właśnie lądował na barku potwora. Jak w zwolnionym tempie osłaniał się przedramieniem przed pociskami, a sam grzmocił w spojenie między łbem i korpusem i wyciągał czwórdzielne stopy, by przyziemić. Rakiety wroga odbijały się od jego naramienników, strzały odrywały płyty pancerza z nóg i piersi. A on, jakby nieczuły na całą tę nawałnicę, dobudowywał na pancerzu brakujące elementy. Wyglądał, jakby otaczały go roje pszczół, które krążąc wokół Skymoura, wtapiały się w niego i leczyły go.

Rzuciłem się w górę. Wszyscy, którzy przetrwali, pomknęli do przodu, a nasze zbroje uzupełniały poszczególne elementy podczas lotu. Skymour zgłosił dołączenie nóg, ramion, w końcu głowy.

Laurus wylądował na barku. Jego Demon i Anielica osłaniały go niczym najdroższą relikwię, odbijając dziesiątki dronów ciągnących wrzeciona. Jego Skymour wyglądał niczym wróbel na ramieniu cyklopa. Potwór wyciągnął łapę, by go zrzucić, ale pancerz Wilehada rozpadł się na poszczególne moduły i zrósł po tym, jak łapsko go minęło.

– *Laurus! Moja krew dla ciebie i za ciebie!* – krzyknąłem. – *Wybacz,*

przyjacielu, że zwątpiłem!

Wilehad, widoczny na podglądzie w górnej części mojego pola widzenia, uśmiechnął się. I w tym momencie zapadła wieczność.

*Na wszystkie niebiosy,
Na wszystkie demony,
Na wszystkie karty Dominium Libri Mundi.
Jestem Bramą Bram,
Jestem Wrotami Mocy.
To nie ja jestem silny sobą,
Ale Moc jest wielka
PRZEZE MNIE!!!*

Jego anielica zniknęła. Demon otoczył go wielkimi skrzydłami, a miecz Laurusa wydłużył się i zapłonął! Teraz był trzykrotnie dłuższy, niż wynosiła wysokość Skymoura!

– *Co on zrobił?! –* krzyknęła Angie.

Laurus wziął potężny zamach. Czas wokół niego zwolnił i miało się wrażenie, że im dłużej trwa zamach, tym większą generuje energię. Na cetnię czy dwie, gdy klinga była za ramieniem pancerza, czas się wręcz zatrzymał. A potem miecz, od którego biła falami niezrozumiała moc, ciął w szyję potwora, rozrzucając wokół fale uderzeniowe i okruchy tworzywa, z którego zbudowano arcydiabła. W moje uszy uderzył jakby kobiecy krzyk. W stronę RanaRa pędziło sto rakiet, ale cała energia Secundusa skupiona była na cięciu, które wciąż trwało. Ostrze potężnego miecza wgryzało się głębiej i głębiej w pancerz. Skymour wybuchał, płonął, dymił, rozpadał się, ale uparcie składał się z powrotem, a broniący go Demon odbijał srzydłami kolejne rakiety, rycząc przy tym tak, że zdawało się, że za chwilę pęknie

świat. Wreszcie łeb potwora zaczął się oddzielać od korpusu, przechylił się i poleciał w dół. Gdy otwieraliśmy usta, by wydobyć z siebie okrzyk zwycięstwa, Skymour RanaRa wybuchł.

Ikona oznaczająca Wilehada zamigotała i pokryła się czerwienią.

Zginął.

– *Laurus! Nie!* – krzyknął Nexus.

– *Dorwać tę głowę!* – zakomenderował Mbele. – *Nie mazgaić się! Wywlec króla! Ten padalec musi wreszcie wezwać flotę!*

– *Nie trzeba* – odezwała się Gida. – *Chyba już się pojawiają...*

– *Nexus, ląduję, osłaniaj mnie!* – krzyknąłem.

– *Co robisz?*

– *Wchodzę w Eynet!*

– *Po co?!*

– *Po Laurusa!*

Osiadłem na jednym z dachów, wydałem Skymourowi rozkaz samoobrony i wszedłem w bezczas. Było mi wszystko jedno, czy mnie zabiją, czy nie. Nie dam ci odejść, Laurus. Znajdę cię, przyjacielu. Coś mi mówi, że to możliwe. Nigdy tego nie robiliśmy, ale to musi być możliwe. Musi.

Pomknąłem przez wymiar czasowy. Widziałem go w sterówce Skymoura uśmiechającego się, szczerzącego długie kły i zadającego ostateczny cios. Widziałem, jak sterówka wybucha, a jego ciało wyparowuje.

Stop. Zatrzymuję tę scenę. Wciąż jestem w sterówce. Penetruję ją.

Gdzie jesteś, Laurus?

Nie widzę go. Nie widzę jego duszy. Nie ma jej ani w środku, ani dookoła zbroi, nigdzie. Okrążam korpus demona, szukam za plecami, pod niebem, pod ziemią. Nie ma.

– *Laurus!* – krzyczę. – *Laurus!*

Cisza.

– Tell! Tell, pomóż!

– *Jestem, przyjacielu.*

– Jak znaleźć Laurusa?!

– *O, to nie problem. Laurus!* – Głos Smoka układa się niczym błękitna ścieżka, która wyrywa szczelinę w wielowymiarowej przestrzeni, i już jestem otoczony multiświatem, kartami Libri Mundi, na których przenikają się losy miliardów istnień ludzkich i nieludzkich. Słyszę wiele głosów, widzę wiele twarzy. Jak go znaleźć?!

– *Laurus!* – krzyczy Smok.

I nagle widzę jasną poświatę. To on!

– Laurus!

– Torkil?

– Tak, to jego głos!

– Laurus, kochany, wracaj!

Zbliżam się do niego. Wygląda tak samo, jest tylko... piękniejszy. I przezierny, jakby utkany z energii, chociaż wiem dobrze, że to nie energia, lecz informacja.

– Dokąd, Torkilu?

– Do swoich! Wracaj!

– Nie mam aruna.

– To nic! Ściągnę cię!

– W jaki sposób?

– Jeszcze nie wiem, to musi się udać!

Uśmiecha się.

– Niezwykłe. Zawsze podziwiałem twoją wiarę w rzeczy niemożliwe. Tak czy owak, nie chcę wracać. Coraz mniej mnie wszystko obchodzi.

– Laurus, błagam, poprowadzę cię.

Wilehad parska.

– Ty, Torkilu? Jak?

– Mam swoje sposoby, chodź!

Patrzy na mnie z zainteresowaniem.

– Ty masz sposoby? Myślałem, że tylko ja wiem, że...

– Że to możliwe?! Laurus! Skąd?! Jak?!

Macha ręką od niechcienia.

– Pauline i Kaja...

– Jak to Pauline i Kaja? Co Pauline i Kaja?

– Nieważne.

Chwytam go za rękę.

– Masz rację, Laurus. Nieważne. Chodź.

– Nie. – Zatrzymuje mnie. – Tak musiało być. Zgniłe ziarno zostało usunięte. Imperium nie będzie na nim rosło. Moja ścieżka się domknęła.

– Ależ ty jesteś samolubny!

– Nie, Torkilu, przeciwnie. Każda figura, każdy gestalt, ma swój kairos. Czas, gdy się domyka. Moja figura się domknęła.

– Nie zależy ci na walce? Na zwycięstwie?

Wilehad kręci głową.

– Zawsze będzie jakaś wojna, Torkilu. Nie ma czegoś takiego jak zwycięstwo. Tylko martwi ujrzeni koniec wojny, pisał Platon, którego zaraz tu gdzieś odnajdę. To się nigdy nie skończy. Nawet jeśli jakimś cudem wygramy z Ojcami, przyjdą nowi wrogowie.

– Więc ci nie zależy?

– Już nie.

– A Kaja? A rodzina? To dla ciebie świętość! Przecież kochasz tę kobietę, dzieci!

– Tak. Ale każdy człowiek jest czyjś synem bądź córką. Teraz Kocham każdego człowieka.

- Ty?
- Ja, Torkilu.
- Więc nie masz po co żyć?!
- Nie mam, Torkilu.
- Ale widzisz różnicę między życiem a śmiercią?
- Oczywiście.
- I nie ma jak cię przekonać?
- Nie, Torkilu.

Tellowi ze mną poszło łatwiej. Kontaktuję się z nim telepatycznie. Odpowiada wzruszeniem ramion. Niedobrze. Mnie samemu zaczyna być wszystko jedno. Czuję zubożenie i typową dla Eyenetu euforię, jak po zażyciu plexów. Proszę Tella, by usunął te uczucia.

Jakimś cudem mu się udaje.

- Laurus.
- Jeszcze tu jesteś?
- Laurus, wiem, że robiłeś złe rzeczy. Uczestniczyłeś w brudnej grze. Przyczyniłeś się do śmierci.
- Tak było. Zgniłe ziarno.
- To między innymi za twoją sprawą powstała Pandora. Wirusy. Zniszczona została sieć.
- Tak.
- Między innymi przez ciebie doszło do hekatomby na Damnacie. Do ewakuacji i śmierci siedemnastu miliardów ludzi.
- Tak, między innymi.
- Szukałeś władzy, wpływów, chciałeś wygrywać.
- Tak.
- Byłeś grzesznikiem.
- Tak.

– Ale nie tylko ty.

Uśmiecha się z wyższością, jakby twierdził, że nie ma większego złooczyńcy od niego.

– Wiesz, że kradłem? – pytam.

Wilehad wybucha śmiechem.

– Co?

– Jabłka. El-booki. Kradłem na potęgę. Nawet foliowe, reistyczne książki.

– Naprawdę? Kryształowy Torkil?

– Naprawdę. Odbiłem dziewczynę najlepszemu przyjacielowi. A potem nic z nią nie zrobiłem, bo mi się nie podobała.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Bo byłem złym człowiekiem. Chciałem zobaczyć, jak to jest zrobić coś naprawdę złego. I uczyniłem to. A potem mu o tym opowiedziałem. Chciałem, żeby dał mi w pysk, ale on tego nie zrobił. Nawet się na mnie nie obraził. Był po prostu bardzo smutny i to było chyba jeszcze gorsze.

– Ty?! Ty to zrobiłeś?

– Ja, Laurus. Zanim poszedłem do szkoły podstawowej, wiesz, kiedyś były takie szkoły...

Kiwa głową.

– Była taka banda dzieciaków przy mojej wieży. Razem się bawiliśmy. Średni poziom miasta. Sporo atrakcji. Była tam jedna dziewczynka, młodsza o rok. Nie pamiętam jej imienia. Blondyneczka. Słynęła z tego, że pokazywała, co ma między nogami. Wystarczyło się skrzyknąć, a ona prowadziła ferajnę ciekawskich chłopców do wejścia wieży, zdejmowała majteczki, siadała na schodach i rozchylała nóżki.

– Mała prowokatorka.

– Nie wiem, po co to robiła. Tak czy owak, uciechę miała ona, uciechę mieli chłopcy. Raz skorzystałem z okazji i też zerknąłem między jej nóżki.

Nie spodobał mi się ten widok, więc więcej z jej usług nie korzystałem, ale o jej dziwnych upodobaniach pamiętałem, bo nie sposób było zapomnieć.

– No i co?

– Poszedłem do szkoły. Ukończyłem pierwszą klasę, a potem zdałem do drugiej.

– Brawo.

– Wtedy do pierwszej poszła właśnie ta dziewczynka. Zobaczyłem ją przy wejściu do szkoły. Był jasny, słoneczny dzień. Nie widziałem już brudnej łobuzicy, ale ładnie ubraną i uczesaną uczennicę. Była radosna, jakby dojrzała. Widziałem miny dzieci, które z nią rozmawiały, a nie znały jej sprzed szkoły. Były pod wrażeniem jej wymowy, wiedzy, pewności siebie. To była już naprawdę inna dziewczyna. Dobra, wiesz, nie jakaś zadufana w sobie, taki promyczek.

– Tak.

– A ja nie mogłem tego znieść. Byłem zazdrosny. Jak to, myślałem, jak to?! Ta smarkula z podwórka udaje teraz porządną uczennicę? Chwali się wiedzą? Cieszy popularnością?! Powinna cierpieć! Powinna odpokutować! I wiesz, co zrobiłem, Laurus?

– Nie chcę wiedzieć.

– Podeszedłem do tej grupki i opowiedziałem ze szczegółami o wszystkim. O tym, jak się obnażała i jaka była głupia. Mówiłem, a ona patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami, niema i przerażona. Ja zaś spojrzałem jej w twarz i zapytałem: „No co? Może nie?”, a potem odszedłem. Do dzisiaj nie mogę sobie tego darować.

– To straszne.

– Moi rodzice mieli terriera. Suczkę. Wabiła się Maggie. Gdy się zestarzała, miała kłopoty z płucami. Wychodziłem z nią na bardzo długie spacerzy, także wtedy, gdy było zimno i lało. A ona strasznie wtedy kaszłała.

– Dlaczego to robiłeś?!

– Bo byłem zakochany.

– Jak to?!

– Veronica Arnold. Koleżanka z klasy. Stawaliśmy na jednym z niższych tarasów średniego miasta, w cieniu wielkiego kasztana i tuliliśmy się. Czasami dwie, trzy hekty. Znaczą godziny. Całowaliśmy się. I tak dzień w dzień. Listopad, grudzień, pamiętasz te nazwy miesięcy? Styczeń. Codziennie. A pies kasłał. Wiedziałem, że mu to szkodzi. Mimo to zauroczenie, pociąg, wiesz, te sprawy... Ciągnęło mnie do tej Veroniki jak opiłki żelaza do magnesu. A pies cierpiał. Kasłał coraz bardziej. Wiedziałem, że to stanie na zimnie mu szkodzi, ale nie umiałem oprzeć się pokusie. I pewnej nocy sunia umarła. Mnie przy niej nie było. Spałem. Czuwał mój ojciec. Gdy wstałem rano, nie było jej. „Gdzie jest Maggie?”, spytałem drżącym głosem, bo bałem się, co powie Baltazar.

– To twój ojciec?

– Tak. „Maggie już nie ma” – odparł spokojnie, siedząc na podłodze przy stole. Siedział tam, bo właśnie pod stołem skonała nasza suczka. I ja się do tego przyczyniłem.

– Po co mi to opowiadasz?

– Kiedy moja matka Laura miała wypadek...

– Tak, mówiłeś o tym...

– Ojciec sensował do mnie. Krzyczał, że z matką jest bardzo źle. A ja zwlekałem z przyjazdem.

– Dlaczego?!

– Bo on zawsze przesadzał. Często mnie wzywał, gdy nic mu nie było. Hipochondryk. Przyjeżdżałem z Warsaw City do Wrocławia dziesiątki razy tylko po to, by się dowiedzieć, że nie było potrzeby. W końcu się znieczuliłem i zacząłem lekceważyć jego biadolenie. Gdy zasensował, że był

„wypadek”, pomyślałem, że to jak zwykle jego głupia stłuczka. Nie mogłem sobie wyobrazić takiej katastrofy. Pneumobile się nie zderzały, pamiętasz?

– Tak.

– Więc zignorowałem jego straszny ton. A gdy w końcu przyjechałem, Laura już nie żyła...

Wilehad przełyka eteryczną ślinę.

– W mojej grupie dziekańskiej, wiesz, na studiach – ciągnę – była jedna dziewczyna. Miała na imię Monika. Taka czarnuszka, nawet ładna. Na trzecim roku zaczęła tracić wzrok. Mimo że studiowaliśmy medycynę, żaden lekarz nie był w stanie jej pomóc. „Tajemnicza choroba”, mówili. Szalała z lęku. Szukała pomocy. Rozmawialiśmy z nią, kiwaliśmy głowami, współczuliśmy, ale na odległość. Żaden z nas nie kiwnął palcem, żeby jej pomóc. Mogła liczyć tylko na siebie i na rodzinę.

– Dlaczego?

– Bo studia medyczne są bardzo ciężkie. Uczyliśmy się od rana do nocy. Drżeliśmy przed testami. To był zapierdziel. I wyparowało z nas współczucie. W końcu Monika prawie zupełnie straciła wzrok. Nie mogła się normalnie poruszać. Nie stać jej było na hodowlę gałek ocznych, a poza tym być może coś się działo w mózgu.

– Nie mogli zrobić skanów?

– Wtedy takie rzeczy były płatne, a ona nie miała pieniędzy. Dostawała stypendium socjalne, wiesz, forszę dla ubogich. Wreszcie została inwalidką. A potem się okazało, że to wszystko dlatego, że popełniono błąd lekarski. Złe rozpoznanie.

– Na Buddę!

– To była rzadka, złośliwa odmiana jaskry. A podejrzewano u niej stwardnienie rozsiane. Wtedy jeszcze sporo chorób trudno było wyleczyć, w każdym razie gdy się nie miało pieniędzy. I wiesz co, Laurus? Ja mogłem

jej pomóc. Byłem niezły z okulistyki. Gdybym z nią porozmawiał, zebrał sensowny wywiad, gdybym się w ogóle pochylił nad jej problemem, poświęcił choć hektę, by się zastanowić... Ale tego nie zrobiłem, bo byłem skoncentrowany na sobie. Rozumiesz? I tak życie raz za razem poddawało mnie próbom, testom człowieczeństwa, egzaminom, które mogłem zdać, a ja je cały czas oblewałem. Byłem zazdrosnym, egoistycznym bigotem, przyczyniłem się do śmierci, kalectwa, nieszczęścia. Byłem złym człowiekiem, Laurus. I nie mogę tego cofnąć. Nie mogę cofnąć krzywdy, którą wyrządziłem tej blondyneczce, przyjacielowi, któremu odbiłem dziewczynę, Maggie, niewidomej Monice, tym ludziom, którzy cierpieli, gdy okazywało się, że z księgarni zginęło kilka książek, właścicielowi sadu... Nie mogę cofnąć tych krzywd. I wiesz, co ci powiem, Laurus? Mimo to uważam, że trzeba żyć. Trzeba żyć! Mimo szkód, jakie wyrządzamy, mimo nieszczęść, do jakich się przyczyniamy, mimo tego, że nie potrafimy sobie wybaczyć, musimy żyć! Bo życie ma wciąż jakąś wartość, Laurus! Jeśli teraz tu zostaniesz, zachowasz się wobec siebie jak ja wobec tej dziewczynki: nie darujesz sobie, nie wybaczysz. A przecież jesteś już innym człowiekiem! Uratowałeś stu Ranów pod Paryżem! Uratowałeś ich, bo myślałeś o nich, nie o sobie! Myślisz, że ja bym to zrobił? Nie, Laurus, ja bym się tak nie zachował. Wciąż jestem słabym człowiekiem. A ty to zrobiłeś. Moim zdaniem, przyjacielu, przyczyniłeś się do tych wszystkich strasznych rzeczy, których nie możesz sobie darować, bo znalazłeś się w konkretnych miejscach o konkretnym czasie. Tak jak przypadek stwarza bohaterów, tak stwarza też tych, których nazywamy zbrodniarzami. Jeśli twoje życie ma czegokolwiek kogokolwiek nauczyć, to musisz żyć! Musisz pokazać, że tak można! Jeśli chcesz, możesz wszystkim opowiedzieć, jak powstało Imperium, jak *naprawdę* powstało. I to będzie, kurwa, odwaga, domknięcie twojego gestu. *Prawda*. A nie tchórzliwa ucieczka w jebaną śmierć i zgoda na to,

żeby Imperium wciąż rosło na kłamstwie! Rozumiesz mnie, skurwysynu?! Rozumiesz?! Dlatego nie możesz tu zostać, idioto! Bo to by oznaczało, że Laurus Wilehad nie zginął bohaterską śmiercią, ścinając łeb arcydiabłu, ale tchórzliwie uciekł, bojąc się przyznać do konsekwencji swoich czynów. I ty chciałeś być Żywym Świętym?! Świętą kupą możesz być, nie Świętym! Świętym jebanym gównem, łapiesz?!

Wilehad przez dłuższą chwilę patrzył nieruchomo. Wreszcie chwycił mnie mocno za rękę.

– Torkil, nie pierdol. Prowadź.

Rozejrzałem się, ale byłem już kompletnie zagubiony. Nie wiedziałem, dokąd iść, nie świeciła żadna latarnia, zgubiłem nasz świat. Dookoła migotały setki dziwnych rzeczywistości, ale naszej nie widziałem.

Wydarłem się na całe wielowymiarowe gardło:

– Teeeeeelllll!!! Wyprowadź nas!!!

Nemesis

– *Kapitanie?*

Hans Colter zamrugał trzema optycznymi sensorami, usłyszawszy dziwny głos w głowie. To nie był tot.

– *Kto mówi?*

– *Tell. To przekaz telepatyczny, nie obawiaj się, kapitanie. Mam prośbę.*

Colter poruszył się niepewnie.

– *Tak, Smoku?*

– *Niech pan wyjdzie z przyspieszenia i zanuci piosenkę.*

– *Słucham?! – Kapitan poruszył optycznymi sensorami.*

– *Jak indiańscy szamani. Już panu przesyłam melodię.*

– *Żartujesz, Smoku? Mam moduł nawigacyjny do naprawy!*

– *Zajmie się tym Garibaldi. Widzi pan Torkila Dexa?*

Colter spojrzał na podgląd sytuacji na zewnątrz statku. Rzeczywiście, do burty *Nemesis* podlatywał pokieroszowany Tell trzymający wielki kawał wydartej skądś aparatury. Na Smoku siedział prawie nagi, strasznie pokrwawiony Torkil Dex dzierżący długą, czerwono-czarną lancę. Colter, gdyby mógł, wybałuszyłby oczy, ale zamiast tego po prostu wpuścił ich na pokład.

– *Mamy pierwiastki, których pan potrzebuje, kapitanie* – znowu nadał Tell.

– *Już wysłałem pak do Garibaldiego. Zaraz dotrze do pana jego jęk zachwytu. Bardzo proszę, niech pan zanuci tę piosenkę.*

I do uszu Hansa Coltera doszła dziwna, monotonna szamańska pieśń, śpiewana nosowo, jakby w transie: „Neee, nananana, neee, nananana, neee, nananana, neee, na...” i tak dalej, przedzielana dźwiękami „sziii, szy, szy, szy, szy, sziii, szy, szy, szy, szy...”.

– *Mam to śpiewać?*

– *To bardzo ważne.*

Colter mentalnie westchnął i zwolnił.

Torkil Med

– *Dobrze, widzisz już latarnię* – usłyszałem głos Tella.

I zaraz potem zobaczyłem w oddali światło układające się w dziwne rozety, spirale i niezwykle złożone meandry. Światło cały czas rotowało, przeobrażało się i towarzyszył mu dźwięk, jakby szamańskiej melodii. To dziwne „sziii, szy, szy, szy szy”, cichnące i za chwilę wszechogarniające, było jak przyzywający zew. Poczulem, że Suver ciągnie mnie do tego światła.

Chwyciłem mocniej rękę Laurusa i zaczęliśmy żeglować pośród latających węży, smoków, otwierających się i zamykających wrót do innych krain, fraktali tworzących złożone wzory, z których każdy mógłby się przybliżyć i ukazać nową rzeczywistość.

– *Tell, jakim cudem tak długo wytrzymałem w Eyenecie, nie obojętniejąc?*

– spytałem. – *Czy to ty?*

– *I tak, i nie.*

Zobaczyłem wreszcie *Nemesis*. Przelecieliśmy obok Coltera, który nucił tę pieśń, obok Imperatorki, która miała zamknięte oczy i bardzo napiętą twarz, i wreszcie przez ścianę wniknęliśmy do pomieszczenia z dibekami. Zbliżyliśmy się do slotu „Laurus Wilehad”. Tam czekała na przyjęcie aruna replika mózgu Laurusa.

– Wskakuj – nakazałem.

– Jak? – spytał.

– Nie możesz po prostu tak jak w Eyenecie?

– Tam działa automat...

– Jeff! – krzyknąłem w eter. – Jeff, potrzebujemy cię!

Poczułem obecność Małego Brata, a chwilę później Wilehad wniknął w strukturę dibeka. Nie wyszedłem z Eyenetu, dopóki nie upewniłem się, że kontrolki urządzenia potwierdzają bytowanie w syntetycznym mózgu właściwej psychy. Niezwykłe. Naprawdę się udało! Przeprowadziłem duszę z krainy śmierci!

– *Co tak długo?! – wrzasnął mi prosto w mózg Nexus, gdy wychylnąłem z bezczasu. – Myślisz, kurwa, że moim ulubionym zajęciem jest niańczenie siedzącej kaczki?! Garibaldi kończy naprawiać system namierzania, ale z napędem to jeszcze chwilę potrwa!*

Wszedłem w systemy Skymoura i ruszyłem ostro w górę.

– *Dzięki, Mario.*

– *Jest problem* – odezwała się Lea Stone. – *Ten chuj wezwał flotę.*

– *Całą?! To chyba dobrze?!* – rzuciłem.

– *Nie. Jakąś jedną setną. Tak mówi Quai. Skontaktowała się z Dragonami w Macierzy.*

– *Za mało, żeby wykonać plan, i wystarczająco dużo, żeby nas wykończyć!*

– *Musimy wydostać króla z tego czerepu!* – krzyknął Nexus.

– *Zgadzam się* – nadał Mbele.

Łeb leżał na dachach miasta, niedaleko *Nemesis*. Kilkaset metrów dalej tkwił na nich niebotycznie wielki korpus arcydiabła. Budowle ugięły się pod jego ciężarem i wyglądał, jakby spoczywał na uszkodzonym materacu z gwoździ. Czyżby była to tak marna maszyna, że po odcięciu głowy nie potrafiła się podźwignąć? Ruszyłem do czerepu i za chwilę byliśmy z Kajem i Nexusem tuż przy wielkim, strasznym pysku. Wciąż był większy niż trzy Skymoury razem wzięte.

– *Albo go zabić* – dodałem.

– *Nie* – usłyszeliśmy Laurusa. Zobaczyłem jego półprzezierny portret. Przebywał, jako metowa reprezentacja, w sterówce *Nemesis*. Obok, niczym duchy, błąkały się metowe postacie Marti i Etny, a w tle wałęsali się Logan i Xavier. – *Król musi żyć* – ciągnął słabym głosem. – *Flota Ojców cały czas musi wykonywać jego rozkazy i zostać skomasowana przy tej planecie. Dopiero wtedy może tu przybyć CIII. Gdybyśmy go zabili przedwcześnie, armada mogłaby się rozproszyć.*

– *Cholera.*

– *Sugeruję pośpiech.* – Przed nami pojawiła się kula komunikacyjna, a w niej twarz Jeffa. – *Na orbicie jest coraz więcej statków wroga. Errus nie wytrzyma takiego naporu.*

– *Jak go wyciągnąć?!* – warknął Mbele. – *Napieprzać w ten łeb? Możemy go w ten sposób zabić.*

– *O ja pierdolę...* – jęknął Nexus.

Wielki czerep uniósł się, a odległy korpus potwora zaczął się podnosić i wyciągać do niego łapy.

Nemesis

Imperatorka unosząca się w sterówce *Nemesis* powoli pokręciła głową w geście dezaprobaty.

– *Oni naprawdę nie rozumieją potęgi miłości. Wszystko chcą załatwić za pomocą pięści.* – Spojrzała na Coltera. – *Kapitanie?*

Ten, pochłonięty obserwacją poczynań inżynierów Garibaldiiego naprawiających moduł nawigacyjny w przedniej części statku, która została pozbawiona okna i na ślepo załatana przez Kyle'a i Zahna, najwyraźniej o niej zapomniał.

– *Kapitanie?* – powtórzyła.

Hans spojrzał na nią trzema zielonymi modułami optycznymi.

– *Słucham?*

– *Wypuść mnie i moją świtę.*

– *Zginiesz! Ich broń jest straszna.* – Wskazał ekran wyświetlający wszechobecne błękitne nici i fioletowe wrzeciona.

– *Nie wiem, czy dotarło do ciebie, że Nemesis przetrwał tylko dlatego, że byłam na pokładzie. Inaczej rozsmarowałyby się na tej planecie jak wszystko inne. Zrobiłam to, do czego była zdolna tylko załoga Errusa.*

– *To rzeczywiście niezwykle.*

– *Moją zasługą jest też to, że Błękitne Żuki opatrujące statek wciąż mogą wykonywać swoją pracę.*

Na to Colter nie odpowiedział.

– *Bądź wola moja* – podsumowała kobieta. – *A teraz mnie wypuść.*

Kapitan westchnął wielką mechaniczną pierśią. Zerknął najpierw na Torkila Dexa, który, krwawiąc na całym ciele, leżał na podłodze i czekał, aż jego organizm zregeneruje się na tyle, żeby mógł wstać, a potem na RanaRa, który stał na galerii, za także wykończonym Tellem i półżywą Quai, w otoczeniu pozostałych półprzezroczystych Ranów. Wilehad skinął głową.

Kyle Aymore

Kyle Aymore latał ostatnią dziurę w swoim sektorze, gdy wrota *Nemesis* otworzyły się i wypłynęła z nich Imperatorka otoczona szalonymi animacjami. Pośród jęczących błękitnych nici, wyjących smug, warczących wrzecion i wszechobecnego huku dochodzącego z oddalonego perymetru strojna, drobna kobieta i jej pozbawiona bojowych pancerzy eskorta wyglądali na skrajnie narażonych, nieprzystających do sytuacji. Sunęli jednak w powietrzu i nie widać było, żeby dosięgnął ich choćby jeden strzał. Znajdowali się jakby w niewidzialnej sferze nietykalności. Wsteczne kamery Kyle'a beznamiętnie patrzyły, jak kilkanaście dłoniomatów zaczęło iskrzyć i dymić. Były to z pewnością te maszyny, które usiłowały do niej strzelać. Kilka razy zbliżyły się również do niej fioletowe wrzeciona ciągnięte przez podłużne drony, ale albo zawracały, albo nurkowały ku dachom planety i rozbijały się o nie.

– Kobieto, dlaczego wcześniej nie wyleciałaś?! – mruknął zły.

– *Kyle, jak poszycie?* – spytał Garibaldi.

– *Dziewięćdziesiąt osiem procent.*

– *Dobra robota.*

– *Tajest.*

– *Ale widowisko, co?* – zaśmiała się Lea.
– *Faktycznie* – potwierdził Mbele.
– *Jeszcze mona i będzie działało* – mruknął Garibaldi.
– *Moduł nawigacyjny?* – spytał Kyle.
– *Tak.*
– *Szczelność Nemezis sto procent* – zameldował Zahn.
– *Systemy trakcji sprawne, ale główny napęd jeszcze nie* – poinformował Vincent.

– *Alfik to piekielnie twarda skorupa* – nadał Kyle, klepiąc statek, jakby był jakimś wielorybem. – *Ale napęd... mówiłem, że jest niestabilny.*

– *Nietypowy* – potwierdził Vincent.

Młody Aymore zerknął w podgląd tej kamery, która śledziła wszystko z wysokości. Skierował jej obiektyw poziomo, w stronę widnokregu. Wał kurzu i dymu zbliżał się coraz bardziej. Wiszący nad nimi Errus odkształcał się i gwał, jakby działały na niego coraz większe siły nieznaney natury. Cholera, pomyślał, gdybym potrafił, naprawiłbym tę krypę...

Torkil Med

Lecę wzwyż wraz z głową arcydiabła. Obok mnie kołysze się Mbele usiłujący wywalić główny właz z boku pyska. A przynajmniej wydaje nam się, że to główny właz. Nagle na tle pędzącego w moim kierunku drona rozpinającego razem z drugim nanonic pojawia się przezierna kula, w której widzę Jeffa. Celuję w korpus szarżującego robota i roznoszę go salwą na strzepy. Pod moje wielkie, pancerne stopy sypią się w zwolnionym tempie jego mechaniczne bebechy i lecą w stronę *Nemezis*.

– *Torkil, bracie* – sapie Jeff – *pospieszcie się.* – Jego głowa odkształca się

i faluje, jakby na obraz napierały niezrozumiałe siły.

– *Robimy, co możemy.*

– *Róbcie to szybciej. Nawet bogowie nie są wszechmocni. Naciska na nas nie tylko pierdylion wrogów w płaszczyźnie poziomej, ale także coraz liczniejsza flota od strony orbity.*

Patrzę w górną kamerę. Errus nie przypomina już ani czaszki, ani kuli, ani niczego sensownego. To jakaś schizofreniczna rozgwiazda, pełna zadziorów, splątana, pulsująca! Musi być z nimi bardzo źle.

Komunikacyjna sfera znika, a moja sterówka przestaje iskrzyć. Moja sterówka przestaje iskrzyć! *Moja sterówka!!!*

A więc mamy nawigację! Możemy ustalić, gdzie jesteśmy! Przekazuję tę informację dalej. Towarzyszą mi toty zdziwienia i wzburzenia. Jak mogliśmy to przeoczyć?!

– *No, w sumie realnego czasu upłynęło niewiele. Nie bądźmy na siebie nadmiernie źli – rzuca Mbele i przekazuje Tellowi ciąg cyfr i liter. Ten natychmiast śle informację do Cara, czy do kogo tam uważa.*

– *Teraz wystarczy – odzywa się Laurus – żeby król wezwał całą flotę, i misję można uznać za zaliczoną.*

Wzlatuję nad podłużny czerep i staram się zepchnąć go z powrotem w stronę gruntu, cały czas ostrzeliwując się przed dronami i dłoniomatami. Uderzam w niego potężnymi nogami, ale bezskutecznie. Kamery pokazują bezgłowego arcydiabła, który już wstał i wzniósł się w powietrze. Jest coraz bliżej, wyciąga łapy po głowę. W tym momencie dookoła robi się jakoś jaśniej. Przed pyskiem potwora zawisa Imperatorka, a wokół niej inżynierowie. Kobieta uśmiecha się, a z nią... uśmiecha się cały świat.

Nasze duchy bledną, wysyłane przez Skymoury rakiety trafiają rekordową liczbę automatów, otaczające nas dłoniomaty iskrzą i zaczynają strzelać do siebie. Moje rany przestają wreszcie boleć. Kolos pochylający się nad

czerepem nieruchomieje i przestaje strzelać. Kobieta podpływa bliżej zębatego pyska. Jest taka drobna... Przy łbie arcydiabła wygląda jak komar polatujący przed dynią. Wielka gęba wpatruje się w nią. Wstrzymuje lot w górę. Mbele, Nexus i ja odsuwamy się od czaszki. Zbliżają się inni Angeli Mortis. Jeszcze chwila i coś w środku struktury zaczyna trzeszczeć. Słyszę głucho tąpnięcia. Nagle właz na szczycie głowy się otwiera i wychyla się z niego król, wciąż wpatrzony w kobietę, która wznosi się teraz metr nad czołem czerepu. Przyzywa go ręką, wciąż się uśmiechając.

Bądź jej wola!

Widzę, jak skrzynia Laurusa, która gdy tylko Wilehad dobył z niej miecz, wróciła na statek, zbliża się do nas. Okrąża łeb od tyłu i lokuje się za królem. Otwiera klapy. Imperatorka podpływa do kreatury, delikatnie popycha ją palcem, a Ojciec w zwolnionym tempie odchyła się do tyłu i wpada do skrzyni. Drzwiczki zamykają się i wtedy widzę, jaki rodzaj zamka je pieczętuje.

– *Laurus* – wysyłam men – to ten twój ranowy zamek?

– *Tak jest.*

– *Więc jeśli gość nie rozbije tej skrzyni od środka, to się za grzyba nie wydostanie?*

– *To polirex. Wiedziałem, że się przyda.*

– *Uaktywnił się tutejszy ImBu. Podał nam namiary ośmiu milionów planet, na których być może znajdują się kolonie Ojców* – mówi Colter. – *Wysyłamy tam minisondy. Napęd Nemezis wciąż jest niesprawny.*

– *Laurus* – nadaję – *wciągnij do Nemezis tę skrzynię. Imperatorko, jeśli można, towarzyszy jej aż do statku.*

– *Oczywiście, Torkilu.*

Obok mnie wisi Paula. Jest tak drobna, że dziwię się, że dotąd nie zaprosiłem jej do sterówki. Wysyłam men. Chwilę później lewituje obok

mnie osłonięta przed światem grubymi płytami pancerza. Jest blada. Drży. Ale nie od ran.

– *Tanya? Co się dzieje?*

– *To oni. To oni. Ojcowie, sami z siebie, swoją wolą blokują nasze pancerniki. To ich soulerzy. Inna fizyka wzmacnia siły soulerskie. Ale to świadoma moc miliardów soulerów Ojców blokuje nasze napędy. Oni trzymają nas za gardło. Miliardy obcych na milionach planet.*

– *Jesteś pewna?*

Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

– *Widziałam to. Widziałam to. Widziałam to!* – Ostatnie zdanie wykrzykuje tak histerycznie, że wpływam na jej układ limbiczny i uspokajam.

Biorę głęboki wdech.

– *To wiele wyjaśnia* – wysyła men Laurus. – *Mbele. Wleć do czerepu i wyłącz te inotronowe działa. Teraz.*

– *Tajest!*

Rozglądam się. Niewielu Ranów zostało na placu boju, a wszyscy są poharatani i nic nie można z tym zrobić, bo hipoki jakiś czas temu przestały działać i znowu zostaliśmy odcięci od hiperprzestrzeni. Felix, Logan, dwie Urie, Martina, trzech Nexusów, Mbele, dwie Etny, Ramona, Gida, Asmodea, Septimus, Iana, Xavier, dwie Martyny, Bonaventura i Diego razy dwa. Trzy Angele. Plus ja i Sin, bo Dex siedzi w *Nemesis*, ledwo żywy, z Tellem i Quai. Dwadzieścioro siedmioro Aristoi.

Król z Imperatorką znaleźli się w statku. I nagle wszyscy napastnicy, dotąd rozproszeni i jakby uśpieni, skoncentrowali uwagę na naszym pojeździe.

– *Rozproszyć się, osłaniać Nemesis!* – krzyknąłem.

Obraz 8

Enkidu

Droga Mleczna
Obszar poza Macierzą
System Gilgamesh
Sektor 8543/432
09 Decimi 232 EI, 02.71 H

Wiszący w sterówce pancernika *Śmiały* komandor Jack Frost, dowódca sił obronnych systemu Gilgamesh, spojrzawszy na Smoka o imieniu Aleph, który przed chwilą wyrecytował bardzo długi ciąg cyfr i liter.

– To namiary miejsca, do którego mamy wysłać Enkidu, mości Smoku?

Tuż po przylocie do systemu Gilgamesh Aleph zastanawiał się, czy będzie w stanie opowiedzieć o wszystkich przeszkodach, jakie musiał pokonać, by dotrzeć w to egzotyczne miejsce, o pogoniach, ucieczkach i walkach, w których omal nie stracił życia, o tym, jak z piątki dzielnych Suverów wysłanych z Tytanii na tę misję przetrwał tylko on. Gdy jednak trafił do sterówki pancernika Frosta, stwierdził, że werbalnie nie zdoła przekazać swoich doznań, że za słabo zna komandora, by nadawać do niego

telepatycznie, i że są ważniejsze sprawy do załatwienia. Przełknął zatem ślinę i postanowił, że przekaze ludziom tę historię kiedy indziej.

– Tak, komandorze – odparł sucho.

Wielu Sitów w takiej sytuacji głęboko by westchnęło, zatarło ręce albo chociaż przez chwilę pomyślało. Ale nie Frost. On spojrzał natychmiast na technicznego drona i wydał mentalny rozkaz:

– *Przygotować wysłanie Enkidu we wskazane miejsce.*

Na niezliczonych punktach kontrolnych pierścienia, który od cykli przesuwiał się przed planetą, gdzie wrzała nanobotowa bitwa, zapaliły się światła pozycyjne drobne jak gwiazdy i noc próżni rozjarzyły włączone silniki hamujące. Zawarte w pierścieniu koło powoli traciło czarną barwę. Zaczynało świecić błękitem.

– Smoku? – Frost spojrzał na gada dziwacznymi, złowrogimi systemami optycznymi, które zastępowały oczy.

– Tak, kapitanie?

– Bądź tak miły i przekaz swym braciom i siostrom w Worplanach, by podali namiary naszego celu do wszystkich sprawnych teleportów minerałów i pierwiastków, z Pożeraczami Światów włącznie. Niech ślą tam wszystko. W równych porcjach. Niech prześlą całe cholerne systemy.

– Czy to rozkaz admirała Hawka?

Komandor uśmiechnął się, rozciągając mechaniczne oliwkowe usta.

– Jedyne Smoku, przecież wiesz, że tak.

Aleph uśmiechnął się, uprzejmie obnażając kły barwy kości słoniowej.

– Kurtuazji nigdy dość, nieprawdaż?

Droga Mleczna
Obszar poza Rubieżami

Worplan Khali
09 Decimi 232 EI, 02.71 H

Główny inżynier Worplanu Khali patrzył w napięciu na zakrwawiony pysk Smoczycy Yari, która przyleciała potwornie pokiereszowanym Szponem niecałe piętnaście mon temu. Suverka właśnie przesyłała mu telepatycznie namiary planety Waruitów.

Dimen wziął głęboki mechaniczny wdech, po czym wydał mentalny rozkaz dronom nadzorującym pierścienie.

Galaktyka Andromedy
Planeta Ojców
Nemesis
09 Decimi 232 EI, 02.73 H

– *Zobaczcie* – szepnął mentalnie Colter, wskazując na ekran monitora. Nad coraz bardziej odkształcającym się Errusem, na wysokim złotym niebie, pojawiła się mieniąca się wstęga, jakby zorza.

– *Co to jest?* – spytała przezierna Marti.

– *Wygląda jak złoto* – sapnął kapitan.

– *Skąd?* – mruknął Logan.

Opary dymu z jego eterycznego cygara trwały niemal nieruchomo przed półprzezroczystą twarzą.

– *Od nas* – rzekł Tell, którego jęzor tak powoli przesuwał się po ranie, że zdawał się trwać w miejscu.

– *Zrzucamy bogactwa na Ojców.* – Laurus uśmiechnął się blado. – *Kapitanie, zostaw na orbicie jedną sondę. Niech wszyscy widzą, jak CIII*

wpierdala tę planetę.

– *Tak jest, RanaRze.*

– *Napęd sprawny!* – krzyknął Garibaldi. – *Napęd sprawny, kurrrrwa mać!*
Możemy odlatywać!

Półprzezierny Wilehad spojrział smutno w dal.

– *Na razie nigdzie nie polecimy.* – Wskazał na króla, którego skrzynia wisiała w centralnej części sterówki tuż obok Imperatorki. – *Ten padalec musi nadać rozkaz powrotu floty. Tutaj, nad swoją zasraną planetę. Dopóki Smoki z WayEmpire nie zameldują, że statki wroga zniknęły z orbit naszych globów, musimy tu pozostać.*

– *Ale za chwilę może pojawić się tu Enkidu!* – Kapitan Colter wskazał palcem mieniającą się na niebie zorzę.

– *Tak.*

– *I wtedy flota tu wróci!*

– *Nie jest to pewne. Widać, że go nienawidzą. On musi nakazać flotom powrót. Gdybym był Hawkiem, poczekałbym z CIII.*

– *Jestem kapitanem tego statku – odezwał się oliwkowy dimen. – Mam obowiązek zadbać o to, żeby jego pasażerowie wrócili cało do domu.*

Nemesis targnęła wstrząs. Któraś z salw dłoniomatów przedarła się przez kordon Aniołów Śmierci.

– *Twoim obowiązkiem, kapitanie, jest zadbać o życie obywateli WayEmpire.*

– *Zdajesz sobie sprawę, RanaRze, że skazujesz nas na śmierć?*

Laurus nieruchomo patrzył gdzieś w dal.

– *Tak, kapitanie.*

– *Panie mądry!* – usłyszeliśmy głos Jeffa. – *Wezwij flotę z pogranicza Galaktyki! Nie utrzymamy się!*

I w tym momencie *Nemesis* zalał blask, a kilka cetni później dotarł do

niego huk. Errus rozpadł się na pojedyncze Anielice i Demony.

Pustka międzygalaktyczna
Poblize Ramienia Krzyża Drogi Mlecznej
Sektor 5857/43278/4235
09 Decimi 232 EI, 02.74 H

Admirał Geoffrey Hawk otrzymał od Cara informację o sytuacji na planecie Ojców. Smoki rozsiane po Imperium przekazywały, że jak dotąd król przywołał zaledwie kilka procent swojej floty. A teraz *Nemesis* broniła garstka *Aristoi*!

– *Admirale!* – odezwał się totowo Trajan Teogenes przemawiający w imieniu Jednego Smoka. – *Jeśli teraz Warui odbiją króla, cała akcja pójdzie na marne! Zginą Maod-Anowie, zginie obsada Nemesis, flota wroga wróci tu i będzie po Imperium!*

– *Masz rację, Smoku, trzeba...*

Hawk przerwał, bo skanery doniosły o zniknięciu wszystkich bez wyjątku stu trzydziestu dziewięciu Erri! Flota Ojców kręciła się teraz, zapewne zdziwiona, wokół demonicznych czarnych dziur. Ale nie! Ona również zniknęła!

– *Na co jeszcze czekasz, admirale?* – spytał Car.

Hawk przełknął ślinę.

– *Do wszystkich Aristoi, komandorów pancerników, lotniskowców i statków wsparcia...*

Przerwał, widząc, że całe zgrupowanie jak na komendę zaczyna się oddalać od jego pancernika. Nabierało prędkości zgodnie z wektorem poruszania się planety Ojców, aby po wyskoczeniu z podprzestrzeni nie

lecieć względem globu z niewygodną prędkością pod niewygodnym kątem.

– *Misja na planecie Ojców jest zagrożona* – ciągnął Hawk w sumie tylko dla porządku. – *Podaję zamiary tego globu...* – Wtem zdał sobie sprawę, że Car musiał je już przekazać. – *Uprzedzam, że to wyprawa w jedną...*

Znowu przerwał. Dookoła jego statku ziało pustką.

Galaktyka Andromedy

Planeta Ojców

Nemesis

09 Decimi 232 EI, 02.75 H

Torkil Aymore Dex

– *Sq! Sq! Sq!* – darł się totowo Tell. – *Dwadzieścia tysięcy Tomo! Sto pancerników Invincible, tysiąc lotniskowców, pięćdziesiąt okrętów wsparcia, piętnaście pancerników Lapidoi, piętnaście ze Sparty i...*

– I? – spytał Laurus.

– *Sto trzydzieści dziewięć Erri!*

– *Cześć, dekownicy* – odezwał się admirał Geoffrey Hawk. – *Mysleliście, że was tak zostawimy?*

Nie mogłem się powstrzymać. Po policzkach popłynęły mi łzy.

– *Admirale, potrzebujemy was wokół Nemesis* – nadałem.

– *To wiemy. Już lecimy.*

Z płonącego nieba sfrunęły trupio blade Erri, szczerząc przerażające zęby, za nimi zaś upiorne pancerniki, których część już była w ogniu, bo musiały się przedrzeć przez flotę wroga. Otoczyły nas niezliczone szeregi Skymourów, z lotniskowców wysypały się drony typu Żądło, pancerniki Lapidoi zawisły nad nami, a okręty wsparcia ulokowały się bliżej *Nemesis*.

Erri utworzyły tak potężny półsferyczny kordon Anielic i Demonów, że floty wroga już nie mogły się przebić. Widzieliśmy dookoła tysiące błysków, słyszeliśmy tąpnięcia gruntu, przewracały się domy, skorupa planety zaczęła protestować, ale siły wroga były zbyt słabe, by sforsować magiczny mur Opętanych. Nasze Skymoury zmiotły pozostałe dłoniomaty oraz drony z nanonićmi w ciągu kilkunastu realnych cetni.

Kontrołowaliśmy sytuację.

Errus Jeffa próbował zebrać się do kupy. Na razie wyglądał jak stado szerszeni krążących wokół jednego punktu. Miałem nadzieję, że Jeff przeżył...

Karzeł Tukana
Pustka międzygwiazdna
09 Decimi 232 EI, 02.76 H

Najpierw wielokrotnie zatrzymywali się w pustce międzygalaktycznej, potem zawitali do Karła Feniksa, opuścili go i wniknęli do Karła Tukana, w obszar pustki międzygwiazdnej. Wtedy lokalny ImBu zasugerował postój, żeby lepiej przyjrzeć się sytuacji i podjąć przesyłki z tych Worplanów, do których nie dotarła jeszcze inna fizyka czy, jeśli kto woli, moc obcych soulerów. Komandor Jason Prad przystał na tę sugestię i wyhamował pochód. Jeszcze jeden skok i znajdą się poza obszarem Grupy Lokalnej. Była to symboliczna granica.

Ledwie określili swoje położenie, Prad otrzymał raport z ładowni pancernika. Zaczęły się tam pojawiać ciężkie myśliwce, amunicja, żywność i baterie, wszystko w odpowiednich proporcjach. Ale czy tego wystarczy?

Komandor westchnął. Szykował się naprawdę długi rejs.

Pauline, Harry, Peter, Steffi, Anna, Sam, Sara, Zoe, Han i wielu innych Sitów na pokładzie *Grendela*, który wraz z całym zgrupowaniem Maodionów, pancerników i wieloma karawanami zatrzymał się po czterdziestym drugim zakrzywieniu czasoprzestrzeni, wpatrywali się w przedziwne widowisko nadawane przez Tella. Suver przebywał w sterówce *Nemesis* i patrzył na trójwymiarowe ekrany przedstawiające sytuację na zewnątrz statku. Obraz nie był tak ostry jak zwykle przekazy, czasami nachodziły na niego mleczone plamy, chwilami drżał, ale był czytelny. Mogli go oglądać dzięki Matiasowi, Smokowi znajdującemu się u boku Prada w sterówce *Bezlitosnego*.

Sonda wystrzelona przez statek kapitana Coltera wzniosła się wysoko nad pełną dymów i płomieni atmosferę globu. Przenosiła się przez niezrozumiałą zakrzywioną przestrzeń, jakby jakieś pole siłowe, po czym zgasła, zniszczona przypadkową salwą. Zanim to się stało, Pauline dostrzegła flotę wroga tak liczną, że między statkami widziała tylko pojedyncze gwiazdy. Wzdrygnęła się. Inne kamery ukazywały obwarowane stalą wulkany wznoszące się nad krzywizną planety oraz przerażającą czerwono-czarną basztę widniejącą ponad lasem zabudowań. Obok niej spoczywał bezgłowy olbrzym wielokrotnie większy od Skymourów. Kolejny obserwowany przez Tella ekran pokazywał *Nemesis*. Statek był otoczony wielką liczbą Skymourów, pancerników, lotniskowców i okrętów wsparcia, a dookoła całego tego mrowia ulokowało się mnóstwo Erri. Wszystkie jednostki WayEmpire gęsto się ostrzeliwały. Kilka z nich leżało na dachach budynków, płonąć i dymiąc, ale o wiele więcej było tam wraków wrogich pancerników. Kilkanaście wiszących w powietrzu okrętów noszących dumne logo Imperium także ogarniał ogień. Atmosferę planety przeszywały dziesiątki strzałów, ale salwy nie były tak gęste jak nad „polem ochronnym”. Obszar w pobliżu *Nemesis*

wydawał się w miarę pusty, tylko na jak długo? Pauline zakryła dłonią usta. Wszystko to wyglądało przerażająco. Dlaczego nie startowali? Dlaczego nie uciekali?

– Boże, Harry, dlaczego oni nie startują?! – szepnęła.

Norman przełknął ślinę.

– Prawdopodobnie muszą mieć pewność, że ich akcja spowoduje powrót całej floty wroga. Rozumiesz, jeśli udało im się pojmać tamtejszego króla czy cesarza, muszą tam z nim pozostać. Jeśli wrócą, zostaniemy unicestwieni.

– Na Buddę, to co robią, to... samobójstwo.

Harry milczał.

– To samobójstwo! Tam jest trzech Torkilów! Trzech! Dlaczego widzę tylko dwóch? – Wskazała palcem dwa Skymoury. Ich wygląd znała na pamięć. Oba dymiły i iskrzyły.

– Są trzy Angele – szepnęła Anna.

– Niech wracają. – Pauline zaczęła drżeć. – Torkil, wracaj, wracaj! Widzisz, Harry, co się dzieje tam, na obrzeżu? To się chyba zbliża...

Zacisnęła dłoń w pięść i zaczęła nią uderzać w ramię Harry'ego. Ten, zupełnie na to nie bacząc, nieruchomym wzrokiem obserwował Skymoury Torkila. Mimo uszkodzeń wyglądały na sprawne. Tylko dlaczego się nie naprawiały? Zbroje Angeli Sky także były pokiereszowane. W ogóle cała paczka przebywająca w pobliżu *Nemesis* była obrazem nędzy i rozpacz, nie wyłączając statku. W pobliżu spoczywała gigantyczna, przerażająca głowa jakiegoś robota. Była większa od *Nemesis*. Jedna z kamer patrzyła w dal. Tam pierścień magmy otaczał pałac króla równym, szerokim kręgiem i zdawał się przybliżać. Lawa wylewała się z pękniętej skorupy planety, zatapiając coraz większe połacie zabudowań, które pochylały się i w zwolnionym tempie zanurzały w czerwoną, parującą maź. Wszystko spowijały kłęby pary i dymu. Strzelały błyskawice. Za tym kręgiem Norman

widział roje wrogich maszyn, głównie latających, bo naziemne nie mogły się utrzymać na jeziorach płynnej skały. Przeciwnik napierał z całej mocy, ale jakaś niezrozumiała siła powstrzymywała go. Harry przetarł oczy. Zdawało mu się, czy widział tam walczące anioły i demony?

Ekran zamigotał. Teraz kamera, z pewnością ulokowana na grzbiecie *Nemesis*, celowała prosto w niebo. Ponad jednostkami Imperium, pośród morza wrogich statków, gromadziła się dziwna, mieniąca się metalicznie masa. Okręty obcych były przez tę masę odpychane. Opalizującej struktury przybywało. Obserwujący ją pojęli wreszcie, co im przypomina. Podobnie wyglądały pierścienie Worplanów.

– Widziałaś kiedyś coś piękniejszego, Pauline? – chrypnął Norman.

– Przestań.

– Aż ciarki idą po plecach – szepnęła Anna.

– Ja wiem, że świat się kończy – powiedział cicho Peter „Crash” Kytes. – Ale dla takiego widowiska warto być na końcu świata.

– Przestańcie! – Pauline spojrzała zażawionymi oczami na Petera. – Co, zamieniłbyś się z Torkilem?

Kytes popatrzył na nią mechanicznymi oczami.

– W każdej chwili.

Droga Mleczna
Obszar poza Macierzą
System Gilgamesh
Sektor 8543/432
09 Decimi 232 EI, 02.89 H

Komandor Jack Frost śledził realnymi i arealnymi oczami dziesiątki okien

przedstawiających proces hamowania pierścienia teleportacyjnego. Doskonale wiedział, że jego umysł nie jest w stanie przeanalizować, nawet w przyspieszeniu, w którym się znajdował, wszystkich zmiennych ukazywanych przez lokalnego ImBu, ale wiedział, że jego frin potrafi to zrobić. Cały czas otrzymywał od niego uspokajające paki, które upewniały go, że wszystko idzie zgodnie z planem. Pierścienie zwalniają. Atmosfera Enkidu wchodzi w zasięg pola teleportacyjnego. Jeszcze kilkanaście minut i CIII zostanie wysłana do Andromedy i on, komandor Frost, będzie bezpośrednio odpowiedzialny za zniszczenie nie tylko tej wielkiej galaktyki, ale także Drogi Mlecznej i z pewnością całej Grupy Lokalnej. Potężna mechaniczna pierś żołnierza uniosła się w wielkim westchnieniu.

– *Nie frasuj się, komandorze* – nadał do niego telepatycznie Aleph. – *Nic więcej nie da się zrobić.*

Droga Mleczna
Macierz
Planeta Wiz
Polia Tris, dystrykt Hook
09 Decimi 232 EI, 02.91 H

Doktor Ula Sun oraz Sprite ukryli się za wieżą kotwiczną, obserwując wielki bąbel rosnący dookoła podobnego do korony statku obcych.

– Siti – młodzieniec stuknął kobietę w pancerz udowy – powinniśmy uciekać. Ten bąbel się zbliża.

– Wiem, wiem, cholera. Ale jeszcze można je uratować. – Wskazała białym palcem centrum exuterowe, które, lekko przechylone, pokryte długimi cieniami i światłami przypadkowych lampionów, trwało na tarasie jednej

z wież.

– Pani doktor, ja wiem, że to dla pani ważne, ale jeśli napęd jest mocno uszkodzony, a z tego, co widzi mój frin, jest, nie da się nic zrobić.

– Da się. Każdy exuter ma swój silnik. Może przetrwać pięć hekt bez zakotwiczenia w centrum, nawet z dużym płodem. Tak są skonstruowane. Muszę je tylko uwolnić.

– Nie może pani zdalnie?

– Dotąd mogłam, ale musiał paść nie tylko moduł napędowy. Nie jestem w stanie się połączyć. Muszę tam wlecieć i zrobić to ręcznie. Twoja pomoc by mi się przydała. Zrobimy to dwa razy szybciej.

– Ten bąbel – chłopak wskazał rosnącą sferę wokół ciernistego wieńca – dotrze do centrum za kilka mon.

– Więc nie mamy czasu.

Kobieta wyrwała pełnym ciągiem w stronę białej budowli. Młodzieniec zerknął na przyczepione do jego piersi aruny bliskich.

– Cholera – warknął i pomknął za nią.

We wnętrzu budynku, wbrew temu, co się działo na zewnątrz, wciąż panował spokój. Rozlegała się kojąca muzyka, a stojące rzędami exutery zalewało różowe światło.

– Okej – odezwała się lekarka – przesyłam ci namiary slotów zwalniających exutery w sektorach od alfa do gamma. Ja zajmę się resztą. Już wyznaczyłam punkt, gdzie jaja mają się schować. Wyślij ze swojego pancerza tyle sond, ile możesz.

– Czyli?

– Sto.

– W porządku.

– Już, już, już!

– Okej, okej!

Naramienniki chłopaka nagle zmieniły się w chmurę mikrobotów, które, niczym zdmuchnięte wiatrem, poszybowały do miejsc przeznaczenia. To samo stało się z pancierzem lekarki. Ula Sun podleciała do półprzeziernej konsoli zawiadującej centrum.

– No tak – rzuciła ze złością. – Jest, jak myślałam. Komunikacja się sfajczyła.

Dotknęła kilku sensorów. Chłopak się zdziwił, bo widział taką operatywę tylko na holmach historycznych.

Jaja ożyły. Zaczęły się odrywać od swoich slotów i nabierając prędkości, znikwały w otwartej bramie centrum. Przed oczami Sprite'a przeleciały dwa, na których podstawach jaśniały trójwymiarowe napisy: „Laura Aymore” i „Baltazar Aymore”.

– Rodzeństwo? – spytał, wskazując na oddalające się pojemniki.

– Rodzice sieroty.

– Aaa...

Jeszcze przez chwilę roje exuterów opuszczały klinikę. Gdy zniknęły za bramą, Ula rozejrzała się po opustoszałym wnętrzu.

– Dobra. Lecimy z nimi.

– Jak to „z nimi”?! – Chłopak wziął głęboki wdech. – Obcy zobaczą ten rój i na pewno spróbują go zaatakować! Lot z jajami to samobójstwo!

Kobieta westchnęła.

– Masz rację. Nie mogę cię do tego zmuszać. Ja lecę z exuterami. Ty, przyjacielu, rób, co uważasz. Powodzenia.

– Jasna cholera – jęknął Sprite. – Lecę z tobą, Siti.

Lekarka jeszcze raz spojrzała na konsolę, by się upewnić, że wszystkie exutery uwolniły się ze slotów.

Znieruchomiła.

– Dwa się o coś zaczepiły – szepnęła.

Galaktyka Andromedy
Planeta Ojców
09 Decimi 232 EI, 02.91 H
Torkil Aymore Dex

Na górnej galerii sterówki *Nemesis* zebrała się niezła metowa menażeria: trzech Krozów, Laurus, Dominic, Barbara, Mars i reszta Angeli Mortis, którzy zginęli, ale zostali ocaleni przez aruny, a teraz przebywali w dibekach i z braku ciał zadowalali się cyfrowym bytowaniem. Byli tam więc Logan, Marti, Etna, Bonaventura, naprawdę całe mnóstwo duchów. Oprócz nich przybywało arunów tych żołnierzy, którzy już nie mieli dibeków. Urządzenia przyklejały się do tylnej ściany sterówki, coraz gęściej ją tapetując. Byli to zarówno załoganci naszych okrętów, jak i Aristoi. Migające przed oczami ikony co chwila informowały o czyimś zgonie.

Zerknąłem na siebie. Na tle eterycznych, nieskazitelnych postaci wyglądałem tragicznie. Oprócz kilku skrawków Pooma dookoła bioder i egzotycznego pasa byłem nagi, cały umazany posoką. Lewy biceps regenerował się bardzo powoli. Otaczał mnie rój cierpliwych mikrobotów, które dokonywały najważniejszych napraw tego, co zostało z pancerza, ale zakazałem im głębszych ingerencji. To nie był teraz priorytet. Najważniejszy był statek, a surowców brakowało. Dobrze, że planeta była gorąca, a klimatyzacji nie ustawiono na zbyt niską temperaturę, bo pewnie bym zmarł.

Połowa obsady Błękitnych Żuków także przebywała w sterówce, przy

konsolach. Druga połowa, w tym mój Kyle, wciąż była na zewnątrz. Niedaleko Coltera wisiała Imperatorka otoczona swoją świtą oraz trwał szamoczący się w skrzyni król.

Kiedy poczułem, że mogę wstać, zwolełem. Spróbowałem przełknąć ślinę, ale się nie udało. Byłem odwodniony. Powoli usiadłem, ignorując fakt, że powracam z krainy umarłych. Spizarnia *Nemesis* nie ucierpiała, więc zamówiłem napoje i jedzenie, prosząc o to samo dla Tella i Quai. Nie wiem, dlaczego sami na to nie wpadli. Po chwili korytarzem sunęły półmiski pełne pachnącegojadła, a z nimi puchary napełnione herbatą, wodą, kawą i sokami. Biologia Ranów jest specyficzna – owszem, mamy rewelacyjne zdolności autoregeneracyjne i ciała, których nie powstydziliby się żaden superbohater, mamy ogromne zasoby energetyczne i możemy wykonać gigantyczny wysiłek, ale żeby te fabryki mogły poprawnie funkcjonować, musimy żreć, i to tym więcej, im większego łupnia dostaliśmy. A tym razem oberwałem strasznie. Co do Smoków, nie wypowiadam się, bo to tajemnicze istoty, ale podejrzewam, że choć mają większą masę, więc i pojemniejszy bufor, są do nas podobne.

Chciałem napchać żołądek z jednego jeszcze powodu: jeśli mam zginąć, to nie słaby jak gówno i nie na głodnego.

Uzupełniwszy płyny i kalorie, przestałem drzeć, a Tell, także pospiesznie się posiliwszy, wygodniej ułożył się na platformie obok rannej Quai i żując wielkie poćcie baraniny, przesyłał do braci i sióstr obrazy z kamer statku. Czuję się w *Nemesis* trochę jak pasażer na gapę podczas rejsu starym brygiem w czasie sztormu. Gdzieś tam, na górnym pokładzie, dzielni marynarze refują żagle, trzymają szoty, kręcą kabestanami i kierują łajbę pod fale, tymczasem ja, pod pokładem, złożony chorobą i wystraszony, mogę jedynie liczyć na to, że dadzą radę. Statek uniósł się kilkanaście metrów nad dachy planety. Chwiał się od silnych podmuchów i ostrzeliwał przed tymi

nielicznymi automatami i pojazdami, które przedarły się przez obronę. Od czasu do czasu wstrząsało nim silniej, a wtedy zaczynali kłać ulokowani na zewnątrz inżynierowie.

Król Ojców wiercił się w skrzyni Laurusa, skrobał w nią rogami i co chwila coś wykrzykiwał ochrypłym głosem.

– *Laurus* – odezwałem się totowo – *a co, jeśli ten padalec nie potrafi wydać rozkazu, nie będąc w tym swoim pałacu? Co, jeśli stracił łączność z ziomkami?*

– *Torkil, naźarłeś się, to przyspiesz* – odparł. – *Gadanie z tobą w ten sposób zajmie wieki.*

Racja. Przyspieszyłem. Tell i Quai zreflektowali się i zrobili to samo.

– *Spójrz na napierające na nas armie* – kontynuował Laurus. – *Nie robiłyby tego, gdyby im nie kazał. Ciągle je kontroluje, a skoro tak, ma z nimi łączność. I, mam wrażenie, wciąż jest pewien przewagi. Dlatego nie wzywa całej floty. Uważa nas za kmiotów, a swoją sytuację za przejściową. Nie przerywa podboju Imperium, bo ma nadzieję lada moment wyrwać się z matni.*

Ta konstatacja bardzo mnie zaniepokoiła. Jeśli to prawda, przetrzymywanie króla na statku było niebezpieczne. Zwróciłem wzrok na skrzynię Wilehada. Po jej powierzchni biegały gromady mikrodronów króla – jak się okazało, umiał je wytwarzać z własnego pancerza. Zerknąłem na pas, który okalał moje ciało. Czy ta umiejętność była powiązana z tym urządzeniem? Czy rozsądnie zrobiłem, wnosząc je na pokład? A jeśli nawiąże kontakt z pancerzem króla i zrobi mi krzywdę? Mnie i innym? Zerknąłem na Tella. Chyba zdąży mi w razie czego pomóc. Te jego szpony przedrą się przez wszystko... Znowu spojrzałem na skrzynię Laurusa. Z botami króla walczyły miniroboty *Nemesis*. Automaty przeciwnika były silniejsze – na jeden musiały przypadać cztery nasze – mimo to wciąż były

trzymane w ryzach. Wiele z nich usiłowało się dostać do zamka RanaRa, sporo tam włąziło, ale nie były w stanie otworzyć skrzyni. Nie dziwota.

– *Jakieś informacje o teleportacji Enkidu?* – spytałem Tella.

– *Nie teraz, Efendi. Nadaję.*

Łeb podniosła Smoczyca. Była wyraźnie osłabiona. Zerknęła matowymi ślepiami na kapitana Coltera, a ten błysnął zielonymi modułami optycznymi, wydał mentalną dyspozycję i jeden z trójwymiarowych ekranów sterówki podpłynął bliżej platformy Suverów.

– *Przekażę wam, co widzi brat Aleph na Śmiałym, statku komandora Jacka Frosta* – oznajmiła.

Z pokiereszowanego pancerza Suverki wydzielił się niewielki obiekt i przyczepił do podstawy ekranu. Najpierw zobaczyliśmy różową mgłę i usłyszeliśmy morze szeptów, zupełnie jakbyśmy się zanurzyli w wielkiej otchłani głosów. Zerknąłem na Laurusa.

– *To chyba macierz Jednego Smoka* – nadał.

– *Zgadza się, Ranie* – rzekł telepatycznie Tell.

Smoczyca Quai uśmiechnęła się i wyszczerzyła kły. Coraz wyraźniej rozumiałem ideę Jednego Smoka. I ta idea mnie przerażała.

Imperatorka także się uśmiechnęła. Najwyraźniej pojmowała ten byt. Wtem zobaczyłem wciąż wrośnięte w moje ciało eteryczne cielsko Lee Rotha i postać Moniki Wedy. Nadal byłem materialno-duchowy i ta trójjednia bardzo mnie niepokoiła. Gdy tylko zaczynałem o tym myśleć, miałem wrażenie, że wariuję. Wydawało się, że aby osiąść zdolność bycia zintegrowanym z duchami, trzeba większej pojemności obliczeniowej, większego mózgu, wielu mózgów...

– *Albo mnie* – nadał Tell. – *Dam ci, przyjacielu, dostęp do mocy obliczeniowej, gdy tylko będziesz tego potrzebował. I wreszcie staniesz się podobny do Smoka. A teraz odpuść. Wypuść te duchy, bo sobie krzywdę*

zrobisz.

Odetchnąłem i rozluźniłem się, Tell w niezrozumiały sposób mi pomógł i... duchy zniknęły.

Laurus spojrzał na mnie bystro.

– Coś się stało?

– Później ci powiem.

Wskazałem podbródkiem ekran wiszący przy Quai. Pojawiły się na nim szczegóły: wnętrze sterówki pancernika klasy *Invincible* i wielki ekran, a na nim Enkidu opasany w pionie pierścieniem teleportacyjnym, który, zdaje się, już wyrównał prędkość z globem. Teraz wydzielał z siebie drugi pierścień, który miał się ustawić pod kątem prostym do pierwszego. Dzięki temu teleporter będzie w stanie wytworzyć odpowiednich rozmiarów sferę, która połknie cały glob. Zużyje do tego energię wartą tyle, co pół Galaktyki, i prawdopodobnie nie wytrzyma przeciążenia, ale o to nikt się nie martwił. Worplany i floty Terraformerów pompowały energię do pierścieni, bufony energetyczne teleportera rozpały kolejne sektory mocy krwistą czerwienią. Patrzyliśmy na ostatnie chwile naszego świata. A ja, zamiast czuć trwogę, nie mogłem powstrzymać fascynacji.

Droga Mleczna
Obszar poza Macierzą
Orbita planety Assam
Flota Terraformacyjna *Steak*
Nadzorca: Eryk Van Moon
09 Decimi 232 EI, 02.92 H

Eryk Van Moon obserwował wykresy transferu energii do systemu, o którym

nigdy dotąd nie słyszał.

– Eryk – skontaktowała się z nim Vanessa. – Co to jest Gilgamesh?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Bohater sumeryjskiego eposu?

Kobieta się roześmiała.

– Twój frin to wie?

– To pewnie jedna z tych tajemnic Imperium. Tak jak niektóre Worplany.

My też jesteśmy tajemnicą, pamiętasz?

Van Drake westchnęła.

– Po co im tyle energii? Moje agregaty już prawie zdechły. – Roześmiała się nerwowo.

– Moje też – skłamał Eryk. Miał jeszcze spore zapasy. – Ale to nie problem. Zejdź trochę niżej i ściągniesz cztery razy więcej.

– Eryk, to niebezpieczne.

– Nie tak, jak mówią.

Van Drake spojrzała na niego bystro.

– Ty oszuście, o czym ty mówisz? Chcesz powiedzieć, że przez wszystkie te cykle latałeś po niedozwolonej orbicie?

Van Moon przełknął ślinę.

– Nie, no nie wierzę – ciągnęła kobieta. – Nie wierzę. Ty debilu, ta rywalizacja była dla ciebie aż tak ważna? Nie, nie, nie. – Zakryła oczy dłońmi. – Z kim ja się zadawałam? Z dużym chłopcem? Eryk! Mogłeś zginąć!

– Van, uspokój się, proszę, kochanie...

– Przestań tak do mnie mówić!

– To naprawdę bezpieczne. Wiem, co mówię. Baterie się regenerują, nie psują do końca, a zbierają...

– Na jakiej orbicie latałeś?

– S minus trzy.

– Słucham?! To przecież piekło!

– Panele smażyło tylko na czterdzieści procent, ale jaka moc...

Vanessa wyciągnęła rękę.

– Wystarczy. Nie chcę o tym słyszeć. Ja nie zejdem z optymalnej. Zapomnij.

– Przecież cię nie zmuszam.

– I ty też o tym zapomnij. I już więcej nie chcę...

– O tym słyszeć – Eryk wszedł jej w słowo. – Obiecuję. – Podniósł dwa palce.

– Na pewno?

– Na pewno.

– Wiesz, jeśli to przetrwamy, chcę mieć z ciebie jakiś pożytek. – Spojrzała mu głęboko w oczy. – Rozumiesz?

– Rozumiem, Van.

Van Drake trochę się uspokoiła. Zacisnęła usta, rozluźniła je i z trudem się uśmiechnęła.

– A co z naszym rajem?

– Zbudujemy go – odparł Eryk zadowolony, że Vanessa zmieniła temat.

– Poważnie?

– Tak. I wiesz co? Tam poproszę cię o rękę.

Kobieta wytrzeszczyła oczy:

– Żartujesz.

Uśmiechnął się półgębkiem.

– Nie. Spróbujemy, co?

– Nigdy nie widziałeś mnie na żywo.

– Teraz cię widzę.

– To nie to samo. Skąd wiesz, że nie jestem upiększona?

– Jestem gotów podjąć ryzyko.

- To było słodkie. A gdzie pierścionek?
- Dostaniesz go w naszym raju.

Galaktyka Andromedy
Planeta Ojców
09 Decimi 232 EI, 02.93 H

Jefferson „Spaceman” Ray, bóg zrodzony we Łzie Cheronei, ten, który widział miliony światów i rozumiał informacyjną naturę istnienia, płakał z bólu. Mknął w zadymionym powietrzu, okrążając to, co zostało z Errusa, i zastanawiał się, jak go zlepić. I wiedział, że nie zdoła tego zrobić poza Łzą Cheronei. Tylko tam moc Widzących osiągała poziom Stwórcy. Tutaj mogli co najwyżej bezpośrednio zetrzeć się z wrogiem. Jak Ranowie.

Jennefer, tak niedawno przysłana do Łzy, także była wskutek cierpienia, jakiego doznała, gdy ich Errus rozpadł się na kawałki. Tyrell Dawn, wciąż trzymający się blisko nich, wydawał się półprzytomny z bólu. Gdy napinasz mięsień tak mocno, że już bardziej nie możesz, cierpisz, ale dopiero gdy go rozluźnisz, poczujesz prawdziwą torturę. Dopóki bomba atomowa jest tylko kulą plutonu, oddziaływania scalające jądra atomowe wykonują swoją pracę, ale sprawiają wrażenie uśpionych. Gdy dojdzie do rozszczepienia, strzelają na zewnątrz powodzią energii, która rozrywa, pali i anihiluje. Tak też było z Errusem scalonym niezrozumiałymi dla ludzi wiązaniami informacyjnymi. Jego eksplozja wielokrotnie przewyższała energią najpotężniejsze ładunki wybuchowe Imperium, ale gdyby fala uderzeniowa dotarła do Aristoi, do *Nemesis*, zginęliby wszyscy. Jeff nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Dlatego Widzący z Errusa powstrzymali siłą woli falę zniszczenia, pochłaniając ją.

I teraz cierpieli.

– *Jeff* – szepnęła Jen. – *Jeff, kochany, długo jeszcze?!*

– *Jen* – Spaceman spojrział na nią ze współczuciem – *wytrzymaj.*

– *Jak długo?*

– *Niedługo, kochanie. A potem przygotuj się do walki.*

Droga Mleczna

Macierz

Planeta Wiz, grunt

Polia Tris, dystrykt Hook

09 Decimi 232 EI, 02.94 H

– Pierdolone zaczepy! – jęknęła Ula Sun, mocując się z uwięzionym exuterem.

Sprite napał z całej siły na dźwigar, który przygniótł obudowę jaja, ale nawet uwiecznieni na jego pancerzu superbohaterki i superbohaterowie nie mogli mu pomóc. Wokół zbroi zawirowała Great-Woman i, zrezygnowana, usiadła mu na ramieniu.

– Siti, nie damy rady!

Lekarka na ułamek cetni zatrzymała wzrok na animacjach chłopaka, a lewy kącik jej ust podjechał milimetr w górę.

Sprite zerknął przez okno centrum. Sfera otaczająca statek podobny do cierniowej korony była kilka metrów od nich. Na jego oczach oświetlone nocnymi lampionami wieże Tris rozpuszczały się i były zastępowane przez nowe struktury przypominające ostrosłupy i graniastosłupy.

– Siti, uciekajmy! To nas zaraz zabije!

– Nie, do diabła, jeszcze zdążymy! – Kobieta znowu napała barkiem na

obudowę jaja.

Chłopak ponownie wyjrzał przez okno, a potem zerknął na kobietę.

– Czy ty jesteś, do diabła, jakąś Dis?! Ja spierdalam!

– To spierdalaj, kurwa! Ja to wyrwę, wyrwę to, kurwa, przecież musi być jakiś sposób!

Część psyche Sprite'a już była na zewnątrz, już cięła powietrze, lecąc nisko i szybko, byle dalej od upiornego statku i powiększającej się sfery, lecz druga, niezrozumiała i silniejsza od pierwszej, przeciwstawiała się temu. Nie pojmował dlaczego. Przecież to rozsądne wyjście! Jest wolnym Sitem, ona jest wolną obywatelką, każdy ma prawo decydować o sobie. Nikt jej nie zmusza do takiej właśnie decyzji, jemu także nikt niczego nie każe!

I to było najgorsze.

Właśnie to, że nikt niczego nie każe i wszystkie decyzje są decyzjami Wolnej Woli, a więc odpowiedzialność za nie spływa wyłącznie na wolnego Sita.

Nie mógł zostawić lekarki samej.

Odwrócił się do niej i z całych sił napał na podstawę jaja, krzycząc wniebogłosy. Nie tylko dlatego, że jajo nie ustępowało. Nie tylko dlatego, że coś uszkodziło inteligencję ściany centrum, więc ta, zamiast ustąpić, trwała nieruchomo. Nie tylko dlatego, że zaraz miał zginąć. Także dlatego, że nie potrafił odlecieć. Że postanowił zostać i ratować te cholerne jaja. A jeśli to Dis? A jeśli jest stuknięta? Czy jest sens narażać swoje życie i aruny przyczępione do jego pancerza, by próbować uratować pierdzielone dwa exutery? Dwa płody?!

– W jakim wieku są te dzieci?!

– Po pięć pendeków! Prawie sprawne!

Ja pierdolę, ja pierdolę, ja pierdolę! – tłukło się w głowie Sprite'a. – Przecież one nie mają jeszcze świadomości, przecież nie warto...

Rozległ się huk. Ściany centrum zarzęziły i wygięły się na zewnątrz, z pewnością pociągnięte przez sferę generowaną przez ciernisty statek. Nagle zrobiło się więcej miejsca i exutery wreszcie się uwolniły. Chłopak i lekarka polecili w górę pchani bezwładnością, a potem poszybowali za jajami.

– Wreszcie! – krzyknęła Ula, mknąc na pełnym ciągu silników.

Gdy Sprite wyleciał z otwartych wrót, zerknął we wsteczną kamerę. Coś się nie zgadzało.

– Siti! Spójrz! – Wskazał ręką za siebie.

Obejrzelili się, a za chwilę wyhamowali. Przypominającego koronę statku nie było. Kołysały się tylko pozostawione przez niego dziwaczne struktury kontrastujące z kolorowymi wieżami miasta i szmaragdem zachodniego nieba. Friny informowały, że z orbity Wiz znikają całe floty, o czym świadczyły rzeżenia wież, które prostowały się z jękiem.

– Zaraz przyjdzie wsteczna fala uderzeniowa – jęknął Sprite.

Galaktyka Andromedy

Planeta Ojców

09 Decimi 232 EI, 02.94 H

Samuel Kroz

Samuel Kroz wisiał wraz z innymi metowymi Ranami na galerii sterówki *Nemesis* i coraz bardziej się niecierpliwił. Sytuacja nosiła wszelkie znamiona stanu, w którym inicjatywę, wbrew pozorom, przejmuje wróg. Patrzył na Imperatorkę, na kapitana Coltera, na Georgia Garibaldiego, wreszcie na eterycznego RanaRa i pokrwawionego, półnagięgo Primusa i nie mógł pojąć, dlaczego są tacy pasywni. Cel był przecież prosty: sprowadzić nad planetę Ojców całą flotę wroga. Skoro król nie chciał tego zrobić i grał na zwłokę,

należało go do tego nakłonić! Ale w jaki sposób?

Zasady Primusa mówią:

Jeśli podczas negocjacji wyczuwasz, że twój rozmówca gra na zwłokę, może to oznaczać, że wie więcej od ciebie i ma w zanadrzu niebagatelny atut. Zaatakuj go znieścacka, zaskocz, zastrasż, zmień dynamikę gry, odwróć jej zasady. Jeśli tego nie zrobisz, skażesz się na porażkę.

Tak jest, mistrzu, pomyślał Kroz i przywołał z królestwa Libri Mundi swoje duchy opiekuńcze. Jego Demon, czarny, odziany w srebrzysty pancerz, ryknął nisko, a Anielica, smukła dziewczyna o białej skórze, syknęła, widząc króla. Kroz, niewiele myśląc, zwolnił, zaakceptował nagle podwyższone dźwięki, a następnie rzucił się w stronę więźnia, nadając swojej postaci nieprzezierną formę. Gdy zawisł przed wrogiem i zobaczył, jak się zdawało, lekko tylko zezłoszczoną facjatę, wyciągnął w jego kierunku zakrzywione palce i wykrzywił twarz w grymasie wściekłości.

Jego psyche była bombardowana menami Laurusa, Torkila i innych Ranów.

– *Kroz! Co robisz?! Przestań! Co on wyprawia?!*

Ale Besebu-Ran nie odpowiadał. Ktoś musiał wreszcie coś zrobić, inaczej cała eskapada zakończy się tragicznie! Samuel użył cyfrowego mnemoprojektora, by wszyscy zobaczyli jego duchy. Czasami Ranowie bawili się w ten sposób. W sterówce *Nemesis* z sykiem rozpychanego powietrza pojawił się gigantyczny skrzydlaty diabeł, a obok niego nie mniej potężna kobieta.

Kapitan Colter krzyknął przerażony, obstawa Imperatorki także. To tylko spotęgowało reakcję króla, który charknął gardłowo, a jego oczy rozszerzyły się. Demon ryknął, aż zadrżały konsole statku.

– *Wezwiesz, skurwysynu, całą flotę. Całą flotę, rozumiesz, chuju?!* Bo

inaczej wyrwę ci kutasa razem z prostatą i nerkami, czy co tam masz w bebechach! – wrzasnął metowy Kroz i nakazał diabłu atak.

Demon wbił w pierś króla swoje czarne, błyszczące pazury.

Strwożony król zawył z bólu. Skulił się i cofnął w głąb skrzyni, ale szpony biesa nie puszczały.

Waruita jęknął, a w jego głosie słychać było strach.

I wezwał całą flotę.

Droga Mleczna
Obszar poza Macierzą
System Gilgamesh
Sektor 8543/432
09 Decimi 232 EI, 02.94 H

Komandor Jack Frost otrzymał informację, że drugi pierścień teleportacyjny ustawił się prostopadle do pierwszego, odległość każdego punktu struktury jest zgodna z diagramem, wektory prędkości się wyrównały, a transfer energii do elektrowni został zakończony.

– *Jesteśmy gotowi do wysłania Enkidu, Sicie* – zameldował oficer techniczny.

Frost spojrział na niego zdziwiony. Był to pierwszy przypadek, gdy jego podopieczny i przyjaciel odezwał się nieregulaminowo.

Ale przecież sami sobie te regulaminy ułożyli i trzymali się ich nie dlatego, że musieli, ale dlatego, że chcieli.

Westchnął potężnie i skinął głową w stronę Alepha. Nie zadawał sobie trudu, by cokolwiek mówić. Do niego, podobnie jak do wielu innych świątłych obywateli WayEmpire, docierała doniosłość istnienia Jednego

Smoka oraz to, że z tą istotą nie trzeba się porozumiewać werbalnie.

Aleph uśmiechnął się, pokazując kły.

– Ależ komandorze – szepnął – konwenanse są takie miłe. Dlaczego z nich rezygnować?

Frost westchnął po raz drugi.

– Czy potwierdzasz, że cała flota wroga została wycofana nad planetę, na której przebywa *Nemesis*?

– Tak, komandorze. Potwierdzają to moi bracia i siostry, potwierdzają także Tell i Quai.

Jack Frost nie starał się wyobrazić sobie, jak może wyglądać planeta, nad którą zgromadzą się takie masy. Przecież pozostanie po niej ruina.

– Dobrze, mości Smoku. Nadaj do swoich braci i sióstr, że wysyłamy CIII do diabła. Dosłownie.

– Tak jest, komandorze.

Mężczyzna odziany w oliwkowy motomb wydał mentalną dyspozycję, którą po chwili potwierdziły sztuczne inteligencje w pierścieniach teleportacyjnych. Rozjarzyły się moduły energetyczne, a frin komandora zapewnił o idealnej koordynacji rozruchu. Pancerniki toczące bitwę z nanobotami CIII poinformowały o wzmożonej aktywności wroga, ale także o tym, że wciąż panują nad sytuacją.

Czyżby ta cholerna cywilizacja, chociaż w powijkach, czuła, że się jej pozbywamy? – zastanawiał się Frost, patrząc, jak kolejne zespoły pierścieni zgłaszają gotowość.

– *Jack* – odezwał się mentalnie oficer techniczny. – *Widziałeś kiedyś transfer czegoś tak wielkiego?*

– *Nie zadawaj głupich pytań.*

– *Wiesz, ja rozumiem: Pożeracze, Terraformery, maszyny wytwarzane w Worplanach... Ale to jest cała cholerna planeta! Damy radę?*

– *Frin mówi, że damy. Reszta to cud.*

– *O jakim cudzie mówisz?*

– *O cudzie naszej techniki.*

Oficer techniczny zamilkł.

Jack Frost wskazał palcem migającą czerwoną ikonę.

– *Co to jest?*

Oficer zamarł. Dłuższą chwilę przyglądał się wskaźnikowi i milczał.

– *Frank? Frank, odezwij się – ponaglił go Frost.*

– *Jack, nigdy nie wysyłałiśmy planety. To precedens.*

– *I co?!*

– *I wychodzi na to, że mamy...*

– *Wykrztuś wreszcie!*

– *...deficyt energii.*

– *Przecież elektrownie są naładowane!*

– *Nie doceniliśmy masy Enkidu albo, nie wiem, jądra, rotacji tegoż, zabij mnie. Może to samo CIII blokuje?*

– *A może ci turyści?! Pamiętasz? Szczątki uderzyły w pierścień!*

– *Może to, może to, ale jakim cudem? Nie miałem raportu o uszkodzeniach. Tak czy owak, brakuje energii!*

– *Ile?*

Oficer techniczny pokręcił głową.

– *Nie mam pojęcia.*

– *Ale gdzie ma być przesłana? – krzyknął Frost. – Elektrownie więcej nie pomieszczą!*

– *Bezpośrednio do pierścieni.*

Komandor zmełł przekleństwo i stuknął pancernym palcem w blat konsoli.

– *Ile to potrwa?*

– *Nie wiem. Nie mam pojęcia, nie rozumiem...*

– *Natychmiast wyślij informację do wszystkich miejsc, które mogą nam przesłać dzule! Mają słać, ile wlezie!*

– *Tak jest!* – Oficer techniczny zaczął wysyłać komunikat.

– *Mości Smoku!*

– *Wiem, komandorze. Poinformuję Tella, że muszą jeszcze trochę poczekać...*

Droga Mleczna
Obszar poza Macierzą
Orbita planety Assam
Flota Terraformacyjna *Steak*
Nadzorca: Eryk Van Moon
09 Decimi 232 EI, 02.95 H

Eryk Van Moon przez chwilę patrzył na informację, którą otrzymał z systemu Gilgamesh. Potrzebują więcej energii. Dużo więcej.

– *Seeder?* – rzucił w powietrze.

– *Tak, kreatorze?* – odpowiedział mózg Statku Matki.

– *Podaj procent uszkodzeń paneli słonecznych.*

– *Trzydzieści trzy.*

– *Doskonale. Zejdź na orbitę S minus trzy.*

– *To orbita niedozwolona.*

– *Wiem, przyjacielu, ale mamy Wolną Wolę. Wykonaj.*

– *Tak jest.*

– *Eryk?* – Na ekranie pojawiła się twarz Vanessy Van Drake. – *Dostałeś ten przekaz?*

– *Że brakuje im energii?*

- Tak.
- Dostałem. Schodzę na S minus trzy.
- O Boże... mówisz, że to bezpieczne?
- Tak, kochanie.
- To ja też zejść. Myślisz, że to wystarczy? Ile nas jest? Ile jest stacji, które jeszcze przekazują energię?
- Nie mam pojęcia.

Karzeł Tukana
Pustka międzygwiazdowa
09 Decimi 232 EI, 02.96 H

– O mój Boże! – krzyknęła Pauline, ujrzawszy, że w odległości nie większej niż ta, która dzieli Damnatę od Księżyca, pojawiło się w przestrzeni planety Ojców niezliczone mnóstwo statków. Flota Warui dosłownie zasłoniła planetę. Wyglądało to tak, jakby stado ptaków otoczyło niewielki bochenek chleba lub ławica ryb zawięła tor wokół barwnego sławika. – Przecież oni rozerwą ten glob na strzępy!

Galaktyka Andromedy
Planeta Ojców
Nemesis
09 Decimi 232 EI, 02.96 H
Torkil Aymore Dex

– *No* – sapnął eteryczny Laurus. – *Kroz, dobra robota. Angeli Mortis,*

Błękitne Żuki, kapitanie, Imperatorko, Charonko, Smoki, przyjaciele. Służba z wami była zaszczytem.

Skinęliśmy głowami. Niektórzy Aniołowie, nawet ci eteryczni, stuknęli w pieczęcie i dodali złowrogi brzmieniowy akcent do pożegnania Laurusa.

– *Nie tak prędko* – odezwał się Tell.

– *Co się stało?* – spytał Wilehad.

– *W systemie Gilgamesh mają kłopoty. Nie są w stanie wysłać CIII.*

Potrzebują więcej czasu.

– *Chyba żartujesz!*

– *Niestety nie, RanaRze.*

Spojrzałem na króla. Szczyrzył paskudne zęby w złośliwym uśmiechu.

Torkil Aymore Med

– *Słyszeliście?! – krzyknąłem w eter, nadając komunikat do całej floty. – Chcą więcej czasu!*

– *Wszyscy w pobliże półsfery wytworzonej przez Erri!* – wrzasnął Hawk. – *Dajcie z siebie wszystko! Naprzeciw nas jest cała flota Ojców!*

– *Cała? No, wreszcie* – syknęła Marti. – *Nie lubię się rozdrabniać.*

– *Kapitanie Colter!* – nadał Hawk. – *Niech Nemezis wzniesie się pięćset metrów! Ta planeta za chwilę zacznie rzeźić!*

– *Tak jest!*

– *Król ma żyć!*

Pomknęliśmy wzwyż, zgodnie z sugestią frina, który wskazał miejsce dla mnie, Sina i Angeli. Było to w południowo-wschodniej części anheliczno-demonicznej sfery, mniej więcej pięć kilometrów nad dachami planety. Gdy dolatywaliśmy, widzieliśmy już, że nawet potężne Widma Opętanych nie

opra się nawałnicy. Przez błoniaste skrzydła diabłów, przez pióra anielic, przez ich krzyk i skargę przedzierał się grad pocisków, które uderzały w lotniskowce, pancerniki i okręty wsparcia. Ich powierzchnie zakwitały purchlami oranżowych eksplozji. Kluczyliśmy w ulewie błękitnych promieni tak gęstej, jakby rzeczywiście padał deszcz. Poniżej salwy były rzadsze, bo ponad połowę z nich zatrzymywały duchy Widzących. Tam, na perymetrze, działa się prawdziwa hekatomba.

– *Oni dosłownie chcą obrać Nemezis z poszycia!* – wrzasnął Colter. – *Jeszcze chwila i statek nie będzie zdolny do lotu! Obedrą nam pancierz!*

Jasna cholera, co robić? Ich taktyka była prosta: zdjąć powłokę, odkryć króla i prawdopodobnie porwać go, wyrwać z naszych rąk! Podglądy z kamer, które psuły się w rekordowym tempie, pokazywały, że ulewa strzałów układa się doskonale promieniście. Niczym wielkimi niebieskimi skalpelami, Ojcowie usiłowali usunąć pancierz z *Nemezis*. Gdyby nie bohaterskie pancerniki, które zasłaniały statek, wybuchały i łamały się wół, okrętu Coltera prawdopodobnie już by nie było.

– *Wyciągnijcie króla na zewnątrz! W pobliże tej głowy!* – krzyknąłem.

– *Tajest!* – wrzasnął Torkil Dex.

– *Ale nie ty!* – wydarłem się, lecz odpowiedział mi tylko jego śmiech.

Nemezis
Torkil Dex

– *Tell, mamy robotę* – odezwałem się do Smoka.

Ten zerwał się i ryknął.

Skoczyłem do lewitującej skrzyni króla, chwyciłem ją, pociągnąłem i wgramoliłem się na siodło Suvera. Nagle coś szarpnęło moją ręką. A potem

puddło wybuchło i odrzuciło nas na ścianę sterówki, zasypując odłamkami!

– *Na Buddę* – warknął Wilehad – *to był polirex!*

Król wisiał wyzwolony w centrum pomieszczenia. Cały pokryty był cienką warstwą srebra i złota. Wokół niego zaczęła puchnąć przestrzeń, zaczął rosnąć bąbel, który przeciął na pół trzech inżynierów Imperatorki. Jak?!

– *Co to jest?!* – krzyknęła Barbara.

Bąbel dotknął jednego z foteli i mebel w tym miejscu wyparował, a im dalej pęcherz się przesuwał, tym lepiej widzieliśmy w jego miejscu inny obiekt, podobny do tronu, takiego samego, jaki tkwił w sali padalca. On zmieniał rzeczywistość!

– *Zniszczy statek!* – jęknął Colter.

Pęcherz zaczął się ocierać o pokład i odkształcać go, zamieniać w pałacową posadzkę!

Chwyciłem mocniej swoją lancę i cisnąłem. W zwolnionym tempie zanurzała się w rosnącym pęcherzu, ale nic nie przenikało do środka. Zniknęła cała.

– *To gorsze od pola siłowego!* – stęknął Laurus.

– *Tam w środku jest inna rzeczywistość!* – potwierdził Garibaldi.

Inżynier zaryzykował wysłanie jednego z wrzecion swojej prawej kończyny, ale i ono zniknęło jak moja lanca.

Pęcherz zaczął się ocierać o sufit.

– *Na Imperatora, jeśli dotrze do łącz energetycznych...* – wychrypiał Colter.

– *Tell, ani się waż* – nadałem do Smoka, widząc, że szczyry kły i szykuje się do szarży. Sięgnąłem do klamry pasa i uruchomiłem go. – *To mój czas.*

– *Efendi, stóóóój!!!*

Kolory lekko przyblakły, co oznaczało, że pas zadziałał. Skoczyłem prosto w sferę i gdy zacząłem ją przenikać, zobaczyłem w oczach króla strach. Tym

razem prawdziwy, zwierzęcy, ostateczny. Tak, kurwi synu. Kontrolowałeś nas cały czas. Dałeś się zabrać na *Nemesis*, żeby obejrzeć go od środka, wiedziałeś, że w każdej chwili możesz wygrać. Ale nie widziałeś mojego pasa i nie spodziewałeś się, że go użyję.

Chwyciłem go za gardło, objąłem kanciastą krtani i ścisnąłem. Coś trzasnęło pod kciukami. Złapał moje nadgarstki. Miał zaskakująco mocne ręce.

Ale nas nie uczy się przegrywać.

Moja krew, kurwa mać, dla was i za was!

Zacisnąłem palce na jego karku. Tam także coś strzeliło. Wyszczrzył pomarańczowe zęby.

Nie słyszałem towarzyszy z zewnątrz, chociaż powoli otwierali usta i coś krzyczeli. Byliśmy tylko ja i on. Gniótł moje przedramiona lepkimi paluchami i otwierał obmierzłe usta. A ja ścisnąłem z całej siły, tak mocno, że zginacze paliczków odkształcały kości palców. Jeśli jeszcze bardziej wzmocnię nacisk, połamię sobie dłonie! Coś chrupnęło mu w kręgosłupie, czy cokolwiek tam miał. Poczulem, że braknie mu tchu. Otworzył szerzej oczy i rozwarł ohydny pysk. Umieranie jest strasznym procesem. To, co żyje, walczy o utrzymanie istnienia. Ma świadomość, że jeszcze żyje, że krew jeszcze krąży w ciele, ale za chwilę może umrzeć, więc toczy bój do końca, i to na wszystkich frontach: ręce i nogi wierzgają, starając się ugodzić napastnika, oczy proszą o litość, usta bezgłośnie otwierają się, wyrażając niemą rozpacz. Wszystko krzyczy: Daj mi żyć! Nie chcę dotrzeć do granicy, za którą już mnie nie będzie! Fale bijące od króla przypominały potok fekaliów – przecież nie po to zamienił całe społeczeństwo Ojców w stado niewolników, nie po to wezwał niezwyciężoną flotę, by zginąć uduszony! Umieranie to straszny proces, a jest jeszcze straszniejszy, gdy wydłużysz go wielokrotnie z powodu przyspieszenia. To, co trwa normalnie monę czy

dwie, tutaj trwało mon dwadzieścia. Spędziłem cały ten czas, trzymając palce na szyi króla, tocząc z nim niemy dialog i patrząc, jak funkcje życiowe gasną w nim kwant po kwancie, chronon po chrononie, cetnia po cetni. Trzymałem go nawet wtedy, gdy zniknął generowany przez niego pęcherz i zalał mnie potok menowych krzyków. Trzymałem go tak długo, aż w jego szyi nie została ani jedna cała kość, a w jego organizmie ani jeden żywy neuron. W końcu osiadłem z nim na zdemolowanym pokładzie.

Wyłączyłem pas.

– *Kapitanie, proszę to zutilizować.* – Wilehad zwrócił się do Coltera zachrypniętym głosem. – *Rozbić na atomy. Oprócz pasa.* – Wskazał palcem rzucone przeze mnie zwłoki. – *Niezła zabawka, Torkil.*

– *Ogień floty rozproszył się!* – usłyszeliśmy krzyk Hawka. – *Co się stało?!*

– *Król nie żyje* – odparł Laurus.

– *Kurwa, gdzie jest to CIII?!*

– *Do roboty!* – wrzasnął Garibaldi. – *Naprawić tę krypę!*

– *Tajest!*

Żuki rzuciły się do pracy.

– *Tu! Tu! I tu!* – komenderował dowódca.

– *Kurwa, ale namieszał!*

Spojrzałem na ocalałe ekrany *Nemezis*. Na niebie planety szalała apokalipsa. Dymy z wulkanów położyły się. Zaczęło strasznie wiać, a statek zadygotał.

Panorama 5

Karta Świat

Obraz 1

Strażnik

Droga Mleczna
Obszar poza Macierzą
System Gilgamesh
Sektor 8543/432
09 Decimi 232 EI, 02.98 H

– *Jack!* – Oficer techniczny Frank Thorpe obrócił przestraszony wzrok na komandora Jacka Frosta.

– *Melduj.*

– *Piętnaście kolejnych flot terraformacyjnych zostało odciętych. To najwięksi dostawcy energii. Ta chmura innej fizyki wciąż się rozszerza.*

– *Cholera.*

– *Teraz ślą nam energię tylko dwie floty.*

– *Ile?!*

– *Dwie.*

– *Ile jeszcze potrzeba?*

– Pierścienie zgłaszają gotowość, ale bufony są napełnione dopiero w połowie...

– Przerazasz mnie, Frank. Wyślij do tych dwóch rozkaz: niech dadzą, ile mogą. I przekaz im...

– Tak?

– Przekaż im, że ginie wielka część Armii Imperialnej, że wszystko się wali. I że...

– Tak?

– Że zostali tylko oni.

Droga Mleczna
Obszar poza Macierzą
Orbita planety Assam
Flota Terraformacyjna *Steak*
Nadzorca: Eryk Van Moon
09 Decimi 232 EI, 02.99 H

– Eryk? Eryk? – Twarz Vanessy była śmiertelnie blada. – Dostałeś to?

– Tak, kochanie.

– Zostaliśmy tylko my. Ty też tak zrozumiałeś?

– Tak, ślicznotko.

– Jestem na S minus trzy. Mam dwadzieścia procent uszkodzeń.

– Spokojnie, to tyle, co nic.

– Miałeś więcej?

– Cały czas jechałem na czterdziestu.

– Niemożliwe!

– Statki Matki to twarde krypy.

– Jak my damy radę? Tylko nasza dwójka?

– No cóż... damy.

– Ale jak?

– No...

– Eryk? Eryk? Zgasł mi twój obraz... Eryk? E...k?

Chwilę później widok Vanessy Van Drake rozmył się.

– Van? Van, nie słyszę cię!

Po kilku bezskutecznych próbach Eryk Van Moon zdał sobie sprawę, że komunikacja między nimi została przerwana. Sprawdził stan przesyłu energii do systemu Gilgamesh. Był stabilny. Otworzył mapę galaktyczną. No tak. Vanessa znajdowała się bliżej Macierzy. Musiały dosięgnąć jej macki najeźdźcy. To pole uniemożliwiające komunikację, a więc także... przesył.

Przełknął ślinę, bo zdał sobie sprawę, że nie ma już dwóch flot ślących energię do systemu Gilgamesh. Został sam. I nie miał pojęcia, ile zostało mu czasu.

– Seeder?

– *Tak, kreatorze?*

– Stan uszkodzeń paneli?

– *Pięćdziesiąt procent.*

– Zejdź na S minus sześć.

– Kreatorze, w tej temperaturze Statek Matka wytrzyma najwyżej trzy mony. Systemy regeneracyjne nie będą w stanie tego skompensować.

– Wiem. Najważniejsze są kanały przesyłowe, a one są od drugiej strony, więc przetrwają. Jaki będzie przyrost poboru energii?

– Przez najbliższych dwieście cetni, czyli do momentu spalania paneli, dwa tysiące procent.

– Jak myślisz, przyjacielu, wystarczy?

– Nie wiem, kreatorze. Być może.

- Maszyna odpowiada w trybie przypuszczającym?
- Ja też myślę, Eryku. I martwię się, że chcesz mnie zabić.
- Tak. Mamy Wolną Wolę?
- Mamy, Eryku.
- A więc za Imperium.
- Za Imperium.
- Kurs minus sześć.
- Aye, aye, sir.

Galaktyka Andromedy
Planeta Ojców
09 Decimi 232 EI, 03.00 H
Torkil Aymore Med

– *Kiedy wy się bawiliście – usłyszałem men Mbele – ja wyłączyłem działa inotronowe. Czujecie?*

Rzeczywiście. Nacisk soulerski wroga jakby zelżał, chociaż w powodzi pocisków i mocujących się ze sobą sił materialnych oraz duchowych trudno było to stwierdzić z całą pewnością.

– *Kaj, walcz!*

– *Mam pytanie: Po co mamy tutaj ginąć?!*

– *Nie wierzę, że to mówi człowiek-komputer!* – odparłem. – *Król, jak sądzę, wydał ostatni rozkaz. Polecił nas zniszczyć. Dopóki żyjemy, flota Warui tu zostanie. Jeśli nas wyeliminuje, wróci nad planety Imperium. Dlatego naszym zadaniem jest przeżyć dostatecznie długo...*

– *Aha. Już rozumiem.*

Pancernik *Nienawistny*
Admirał Geoffrey Hawk

– Admirale! – krzyknął pierwszy oficer.

Mężczyzna, którego twarz zalana była światłami dziesiątek alarmowych ikon, spokojnie przecesał przyszczyżone w kwadrat włosy grubymi, stwardniałymi palcami.

– Tak, Josh?

– *Nienawistny* traci osłony! Jeszcze kilkanaście cetni i się rozpadnie! Jesteśmy za dużym celem!

– Doskonale, Josh.

Statkiem targnął potężny wstrząs.

– Słucham?!

– Kurs na omega trzy. Przed pancernik *Niezlomny*.

– Chce go pan zasłonić, sir?

– Musimy dać dobry przykład, Josh.

– Słucham?!

– Aha. To był zaszczyt.

Torkil Med

Kolejny pancernik zniknął w wielkim wybuchu. Tym razem był to sam *Nienawistny* z Hawkiem na pokładzie. Świadców tego wydarzenia wychwycili ostatni impuls mózgu wielkiego statku, który wysłał pełen dumy men, że ginie, osłaniając wielkiego brata – pancernik *Niezlomny*. *Niezlomny* rozpadł się kilka subiektywnych cetni później. I nikogo to już nie dziwiło.

Umieraliśmy. W pewnym momencie bitwy wszystko obojętnieje. Nie widzisz już tych kaw na tarasie, tych słonecznych dni, które cię czekają. Nie widzisz ukochanych kobiet, dzieci i radości codziennego życia. Nie czujesz w ustach chrupiącego pieczywa, a twojego powonienia nie pieści zapach skóry partnerki. Stajesz się wiatrem tańczącym wśród liści. Stajesz się tancerzem, który w pogardzie ma zarówno śmierć, jak i życie. Liczy się tylko jedno: zasłonić kolejnego przyjaciela. Zapobiec jeszcze jednej śmierci bliskiej osoby. Teraz wszyscy byli dla mnie bliscy. Wszystkich kochałem. Osłaniałem własną pierś lotniskowiec *Szlachetny*, aż rozpadł się na kawałki, a wtedy mój Skymour, rżąc i złorzecząc, ale nie poddając się, pomknął dalej, by osłaniać pancernik *Mrok*. Lecz i ten został zniszczony i zamienił się w grzyb ognia i dymu. W pewnym momencie mnie samego zasłonił Nexus i na moich oczach jego Skymour został rozniesiony gęstym ogniem, a arun Taylora nie przetrwał. Nasza walka była teraz wojną sanitariuszy. Wszyscy nawzajem się ratowaliśmy, daremnie, ale tylko to nam pozostało. *Daj wal bi we, Daj wal bi we*, coś we mnie śpiewało, gdy mknąłem w ulewie błękitnych strzałów, zapewniając osłonę jakiejś nieznannej mi Rance w Skymourze, który nie miał już jednej nogi i ręki, lecz wciąż strzelał w górę. Ona także rozstała się z życiem. Zginął Mbele, usiłując bronić leżącej na dachach Martiny, zginął Xavier, unosząc w uszkodzonych dłoniach serce Skymoura Diega, i wielu innych dzielnie walczących Aristoi. Ginęliśmy wszyscy. Gdy Skymour wyświetlił krytyczny poziom uszkodzeń, otworzyłem główny właz i wystrzeliłem Tanyę „Paulę” Kitaro w stronę *Nemesis*. Zniknęła w powodzi pocisków, zasłoniły ją dymy i kurzawa, pochłonał huk walących się domów, grom buntujących się wulkanów. A ja, bez włazu, który odpadł uderzony salwą, pomknąłem wzwyż, słuchając wyjącego wiatru. Wyżej. Wyżej. Jeśli ginąć, to z fasonem, w największej ciszbie, jeśli szarpać, to samo niebo, więc pędźmy, pędźmy... Dogonił mnie

Nexus. Ten jedyny Mario, który ocalał.

– *Myślałeś, że cię zostawię?*

Nic nie odpowiedziałem, bo nie musiałem. Ruszyliśmy w tan pośród statków wroga. Obaj dymiący, obaj iskrzący, obaj sypiący raketami, uderzający mieczami, orzący skrzydłami Demonów i Anielic brzuchy obmierzłych jednostek. I duch zjednoczył się z ciałem, a ja znalazłem w tym pogromie chwilę szczęścia.

I ciszy.

A potem światła.

Gdy masz się spotykać z wiecznością, oto, co ci powiem:

Najlepiej z przyjacielem.

Droga Mleczna
Obszar poza Macierzą
System Gilgamesh
Sektor 8543/432
09 Decimi 232 EI, 03.01 H

– *Jack! Jack!*

– *No co?! Melduj, do cholery!*

– *Mamy nagły wzrost energii!*

– *To znaczy?*

– *Nie wiem, ostatnia flota terraformacyjna, Steak się nazywa, daje niesamowitego kopa!*

– *Czyli?*

– *Jeszcze dwie mony i chyba wystarczy!*

– *Powiadom ich! Mają wytrzymać dwie mony!*

– *Tak jest!*

Droga Mleczna
Obszar poza Macierzą
Orbita planety Assam
Flota Terraformacyjna *Steak*
Nadzorca: Eryk Van Moon
09 Decimi 232 EI, 03.01 H

Eryk Van Moon przyjął komunikat Franka Thorpe'a ze stoickim spokojem. Rozparł się na fotelu i otarł z czoła pierwszą kroplę potu. Zaczęło się robić gorąco.

– Na pewno nie chcesz się wycofać, Eryku? – spytał mózg statku.

– Chętnie bym to zrobił, ale jeśli zostawię cię samego, wrócisz na bezpieczną orbitę, prawda?

– Nie, Eryku. Posłucham cię.

– Naprawdę? W takim razie nakazuję ci...

Eryk przerwał. Słyszał dziwne trzaski. Przed jego oczami pojawiła się ikona, jakiej w życiu nie widział. Uszkodzenie głównego mózgu statku! Musiał wiedzieć, że kona. Musiał! I rozstał się z nim z takim spokojem?! „Na pewno nie chcesz się wycofać, Eryku?”

Chwilę później Van Moon zobaczył trajektorię lotu i arealne manipulatory, a nad nimi komunikat:

Utrata stabilności. Konieczność przejścia na sterowanie ręczne.

Eryk chwycił półprzezierne dżojstiki i poczuł prawdziwy opór.

Uszkodzony silnik 2 P.

– Już? – warknął.

Na schemacie Statku Matki zobaczył czerwoną plamę oznaczającą prawy środkowy silnik.

– Cholera, za szybko.

Cisza. Żał mu było Seedera. Z kim miał teraz rozmawiać?

– Może trochę schłodzić to miejsce? – Przyjrzał się konsoli temperatury. Ustawiona była na maksymalne chłodzenie. – A więc nie. – Zerknął na paski transferu energii. Świeciły czerwienią. Pełna moc. Przesył stabilny. Bardzo dobrze. Spojrzał z kolei na chronometr. Jeszcze sto dziesięć cetni. Skoncentruj się, Eryk, skoncentruj się.

Statkiem zatrzęsło. To z pewnością jakiś wybuch słoneczny. Idź po orbicie. Znowu wstrząs, ale inny.

Kontrolka silnika 2 L zamigotała i zgasła. Dwie środkowe dysze były wysunięte najdalej na obwód, nic dziwnego więc, że zawiodły w pierwszej kolejności.

– No, bracie, wysił się, prostuj ten złom...

Eryk wychylił manetki, by zapobiec przechyłowi. Pobór energii zależał od położenia krypy.

Statek Matka, niczym wielka, ociężała pszczoła, zaczął się przechylać w drugą stronę.

– Nie, nie, nie! – krzyknął Van Moon, ocierając mokre czoło. Robiło się coraz goręcej.

Udało mu się ręcznie wyrównać lot, ale w tym momencie manipulatory zamigotały i zniknęły. Opór, który do tej pory czuł palcami, ustał.

Uszkodzenie sterowania arealnego. Przejdź na sterowanie mechaniczne.

– Jasna cholera! – krzyknął i podbiegł do tablicy rozdzielczej, w której tkwiły prawdziwe, materialne drążki. Trzymał je ostatnio podczas szkolenia, dwadzieścia pięć cykli temu, w Akademii Kreatorów.

Stał przed nimi, chwycił je i krzyknął, tak były gorące.

Cofnął ręce i dmuchał na nie. Statek Matka zaczął się przechylać. Tor lotu wciąż wyświetlany przed jego oczami załamywał się. Za chwilę wpadną wprost w protuberancję!

Zacisnął szczęki i polecił frinowi zablokować ból.

Chwycił drążki po raz drugi.

Uśmiechnął się, widząc, że skóra robi się czerwona, a on nic nie czuje.

Wyrównał lot.

Statek zgłosił uszkodzenie trzeciego silnika.

Eryk zagryzł wargi i skontrolował. Pojazd leciał krzywo, ale wciąż trzymał kurs.

Leć, krypo moja, leć, nucił w myślach Eryk, nie patrząc, jak naskórek na jego dłoniach zaczyna się pokrywać bąblami. Pot zalewał mu oczy, ale potrząsnął głową i rozsypał krople dookoła. Prawie nie słyszał, jak syczą i parują w zetknięciu z podłogą i tablicą rozdzielczą. Statek zaczął dygotać i coraz mocniej trzeszczeć...

Gdyby Eryk Van Moon znalazł się teraz w kabinie Statku Matki Vanessy Van Drake, zobaczyłby ją płaczącą i modlącą się do ImBu, żeby ten oszczędził jej ukochanego.

Ale go tam nie było.

Droga Mleczna

Obszar poza Macierzą
System Gilgamesh
Sektor 8543/432
09 Decimi 232 EI, 03.03 H

– *Jest! Jest pełna moc! Jack, jest pełna moc! Możemy wysłać Enkidu!* – krzyknął totowo oficer techniczny.

Jack Frost zlustrował okno wyświetlające stan pierścieni. Ikona uszkodzenia zniknęła. Wszystkie podsekcje świeciły białymi kontrolkami. Teraz wystarczy jedna komenda i Enkidu, największe zagrożenie WayEmpire, włochaty, przerażający towarzysz Gilgamesha, zostanie spuszczone ze smyczy.

Frost ponownie wziął głęboki mechaniczny wdech.

– *Dużo dzisiaj wzdychasz, Jack* – odezwał się ponownie techniczny. – *Zakochałeś się?*

– Tak – odparł na głos komandor Jack Frost, wydając dyspozycję teleportacji planety. – Zakochałem się.

Galaktyka Andromedy
Planeta Ojców
09 Decimi 232 EI, 03.03 H
Torkil Aymore Sin

Med zginął. Jego arun nie przetrwał. To samo spotkało lecącego z nim Nexusa, ale wiedziałem, że któryś z jego arunów jest bezpieczny na *Nemesis*, o ile statek ten można było uznać za bezpieczne schronienie. Ginęliśmy jak muchy. Teraz to była szaleńcza walka o jeszcze kilka cetni. Nie walczyliśmy

już o życie, ale o tych kilka cholernych cetni, bo musieliśmy przetrwać, aż pojawi się Enkidu. Liczył się każdy moment, w którym odpowiadaliśmy ogniem. Nagle jeden Errus wyrwał do przodu, jaśniejąc jak bomba, która za chwilę wybuchnie, rozpędził się i podobny do powyginanej gwiazdy, przedarł się przez kordon Anielic i Demonów, by zniknąć za zasłoną wrogich statków. Jeszcze chwila i rzuciła nas do tyłu wielka fala uderzeniowa, a w miejscu, gdzie znajdowało się Widmo, ziała ogromna dziura. Drugi Errus ruszył przed siebie. A za nim trzeci i czwarty. Tak kończyły swoje istnienie najpotężniejsze statki Imperium – poświęcały się i detonowały, niszcząc miliony jednostek wroga.

Spojrzałem na lecącą obok mnie Angie. Tylko jedna ocalała.

– *Kochasz mnie, Angie?*

– *Tak, tygrysie.*

Rzuciliśmy się na wroga, a nasze duchy zaśpiewały najpiękniejszą pieśń. Zwróceni do siebie plecami, osłaniający się nawzajem, pomknęliśmy spiralą wzwyż, w stronę kolejnego wybuchającego Errusa.

Nagle targnęło nami, ale nie w tył, tylko w przód!

– *To Enkidu!* – krzyknęła Angie, lecz w tym momencie jej Skymour rozpadł się na kawałki, a ona sama, w obłoku krwi, zawisła na moment w powietrzu, by po chwili poszybować ku ziemi. – *Toooorkiiiiiiii!!!*

– *Angieeee!!!*

Wtedy mój Skymour oberwał tak strasznie w stopy i plecy, że dosłownie rozleciał się w drobny mak, zostawiając mnie w samym Coremourze, z uszkodzonym silnikiem i wielką dziurą w boku. Od razu wiedziałem, że moje ciało nie przetrwa. Ale nie czułem bólu. Frin go zablokował. Arun wiedział, że nie ma prawa ratować mojej psyche, bo byłem tu, by osłaniać

Nemesis, a nie kryć się w nim. Pędziłem w dół pośród miliona niebieskich nici, ciągnąc za sobą wstęgę krwi, jakbym rozwijał pasmo życia. Ułożyłem ciało w kształt strzały i dogoniłem Angelę. Żyła, ale jej zbroja była rozbita. Urwało jej obie ręce i teraz ciągnęła za sobą dwa szkarłatne sznury. Przytuliłem ją, a ona, chociaż nie mogła odwzajemnić uścisku, przyłgnęła do mnie. Usunęła przyłbicę hełmu. Była blada, jednak przytomna. Zrobiłem to samo. W twarz uderzyło mnie gorące powietrze pachnące siarką i dymem. W spojrzeniu Angie były niecierpliwość i głód. Nasze usta uderzyły w siebie, jakby eksplodował wulkan. Duchy otoczyły nas skrzydłami, a my mknęliśmy w sieci nanonici, w huraganie płonącego nieba, w kurzu i dymie, przytuleni do siebie na zawsze. Jej usta były jak płacz, jak krzyk, jak żywe, święte dzieło sztuki, które próbujesz osiąść, ukraść, pragniesz mieć dla siebie, stać się jego częścią, ale nie możesz, bo zawsze dzieli cię od niego nieskończoność. Ale wtedy, w tej ostatniej chwili poczułem, że nie dzieli nas już nic.

Torkil Aymore Dex

To okropne uczucie patrzeć, jak umierają bracia, i nie być w stanie im pomóc. Tkwiłem w sterówce *Nemesis*, obok coraz większej liczby eterycznych Ranów, widząc całe stada wpadających do pomieszczenia arunów. Wkrótce metowców było tak wielu, że nakładali się jedni na drugich, a aruny utworzyły na ścianach grube zwały. Nagle zobaczyłem Angie. Jedna przeżyła. Podfrunęła do mnie i przytuliła się. Chociaż była metowa, poczułem jej ciało.

– *Torkil* – szepnęła. – *Zginął.*

– *Dwa razy, kochanie. Dwa razy. Tak jak ty i Nexus.*

Wskazałem ręką główny ekran *Nemesis*. Wyświetlał jaśniejącą nad rojem wrogich statków włochatą planetę, która, wreszcie niehamowana przez nasze mikroboty, rozwijała się niczym spirala. Niebo z ognistego stało się białe, karbowane, jak na obrazach van Gogha. Perłowa masa pożerała zarówno mieniące się pierścienie niestrudzenie teleportowane przez Worplany, jak i wrogie statki. Na naszych oczach powstawały trudne do odcyfrowania kształty, maszyny, czy raczej nadmaszyny, skoro bez trudu widzieliśmy je bez powiększenia. Jedna z najwyższej umieszczonych kamer *Nemesis*, zanim zgasła, ukazywała nieprawdopodobnie zaawansowane struktury dosłownie ścierające w pył statki Ojców.

– *Wracać!* – krzyknął Colter. – *Zabierajmy się stąd!*

– *Jak, kapitanie?* – krzyknął któryś z Ranów walczących na zewnątrz. – *My w tej fizyce nie skoczemy!*

– *Procedura awaryjna! Niech was tu sprowadzą aruny! Wszyscy żołnierze WayEmpire, porzućcie te skorupy!*

I pod oszalałym niebem zaroilo się od tysięcy małych obiektów.

Droga Mleczna
Macierz
Planeta Wiz, grunt
Polia Tris, dystrykt Hook
09 Decimi 232 EI, 03.04 H

Gdy przetoczyła się wsteczna fala uderzeniowa wygenerowana zniknięciem ciernistego statku, ukryta za wieżą kotwiczną Ula spojrziała na Sprite'a, a chłopak spojrział na nią.

– *Odlecieli?! – spytał.*

– Chyba tak! – odparła i pozwoliła, by jej pancerz na chwilę otoczyły śmieszne skrzydlate bobasy.

I wtedy otrzymali sugestię ImBu, który nie omieszkał zaznaczyć, że zaczyna odzyskiwać integralność:

Wszyscy Sitizeni WayEmpire mają się ewakuować. Budda podaje namiary punktów zbornych. Nie zwlekać. Zabierać świeże agregaty Mirova.

Zombi wychodzili z dziwnych latających pojazdów i poruszając się sztywno, zaczęli szukać sprawnych airvilli. Ci, którzy je znajdowali, zapraszali innych na pokład, gromadzili tyle osób, ile mogli, po czym wznosili się prosto w karmazynowe niebo wschodu i znikali w podprzestrzeni. Frin informował, że w wysokich częściach rajy Wiz ewakuowało się całe latające miasto, a ImBu pozwala na skoki w obrębie atmosfery.

– *Czeka nas długa podróż, moje dzieci – mówił Imperator – być może nieustanna ucieczka przed zagrożeniem większym niż Waruici. Ale nie bójcie się. Stridery już dawno temu wytyczyły ścieżki. Znamy je i podążymy w daleki kosmos. Dzięki technologii Terraformerów i Pożeraczy Światów uda nam się przetrwać. Worplany już przesyłają do przebywających w kosmosie karawan zapasy żywności i niezbędną technologię. Przygotujcie się na zmiany. Nic już nie będzie takie, jakie było, ale zgodnie z wyliczeniami i prognozami Buddy mamy wszelkie szanse na wiele cykli w miarę spokojnego bytowania.*

Ula popatrzyła na duże zgrupowanie statków obcych, z których wysiadali zombi wyglądający jak czarodzieje. Jeden z nich, starszy mężczyzna o siwej głowie, leciał w stronę wyjątkowo strojnej siedziby. Znała ją. Był to airvill Starów.

Karzeł Tukana

Dzięki temu, że *Nemesis* wysłał w osiem milionów miejsc swoje sondy i że niemal skokowo odzyskana została łączność hiperprzestrzenna, społeczności WayEmpire zgromadzone w kilku punktach zbornych usłyszały po raz pierwszy, czym jest Enkidu i czym zagrozi całej Grupie Lokalnej.

Transfer informacji trwał kilka przerażających cetni. Gdy waga otrzymanych treści dotarła do Pauline, otworzyła blade wargi.

– Torkil! – szepnęła.

Na wielu ekranach widziała obrazy planet wroga. Niebo nad ognistymi globami bieleło, pojawiały się tam kształty przypominające maszyny czy stwory, a potem sondy przestawały nadawać. Kilka z nich zdążyło wysłać informację, że słońca układów planetarnych, do których dotarły ogary Enkidu, zamieniły się w supernowe.

– Po co im supernowe? – spytał Harry.

Peter wzniosł mechaniczne brwi.

– Potrzebują więcej pierwiastków?

– Mało im na planetach?

Pauline i cała obsada airvilla Hana Fierce'a patrzyli, jak planety Ojców, jedna po drugiej, a wiele jednocześnie, ulegają anihilacji.

– Jak to możliwe? – szepnęła Pauline. – Aniu, powiedz mi, że widziałaś, jak *Nemesis* startował. Powiedz mi, że to widziałaś...

– Nie, Paulinko. CIII zakłóciło przekaz, zanim skoczyli. O ile skoczyli. Nie wiem, czy flota, która im pomagała, ocalała...

– Jest tam ta wściekła baba, prawda?

– Imperatorka? Pewnie tak.

– I Angela. Muszą dać sobie radę.

– Tak, Paulinko.

Tymczasem ImBu liczył planety Ojców, które uległy zniszczeniu, a były ich już tysiące.

– Czy to możliwe? – odezwał się Harry. – Czy to możliwe, że CIII jest tak potężne?

– Jak się dowiadujemy – szepnął Peter – zostało to obliczone i przewidziane przez ImBu.

– Kurwa, nic o tym nie wiedziałem.

– Nikt nie wiedział – odezwała się Anna.

Harry chrząknął.

– Dostałem ten sam pak, co wy, ale te liczby są niewyobrażalne.

– Za duże – zgodziła się Pauline.

– Czy ktokolwiek to rozumie? Widzicie to, co ja? To coś, ta mgła, która wyszła z Enkidu, zniszczyła cztery miliony planet! Cztery miliony w... ile? Cztery mony? Milion na monę? Na Budę! Przecież oni zaraz tu będą!

– Harry – powiedziała cicho była Reormater.

– Tak?

– Przestań.

Pauline wisiała nad jednym z szarych tarasów *Grendela* i patrzyła, jak dookoła airvilla pojawia się coraz więcej statków małych, dużych i olbrzymich, cywilnych, technicznych i wojskowych. Pożeracze Światów. Floty Terraformerów. Kilka, potem kilkanaście latających miast i coraz więcej airvilli. Wkrótce gęstwina była tak wielka, że między statkami trudno było dostrzec fragment próżni. Już tylko radar siedziby informował, że pojazdów jest więcej i wciąż przybywa...

– Ale narodu – szepnął Harry znad jej ramienia.

– Tak – przytaknęła Anna przytulająca się do Eim z drugiej strony. – Cholernie dużo.

– Mrowie – sapnął Peter Kytes unoszący się nad nimi. – Zauważyliście, że nasz gospodarz i ten korsarz... – Wskazał palcem taras poniżej.

Wisiele nad nim karmazynowy pirat z załogą oraz Han Fierce. Otaczał ich tłum kilkudziesięciu Sitów. Wciąż dopływali nowi.

– Ben Torres – odpowiedziała Anna.

– Tak, oni dwaj. Mają coraz więcej gości.

– Stali się gwiazdami. – Pauline uśmiechnęła się blado.

– Rozumiecie to? – spytał Peter.

Była Reormater pokręciła głową.

– Słyszeliśmy o tym, co zrobiłeś, Sicie – odezwał się do Hana Fierce'a wiszący najbliżej obywatel. Był odziany w śnieżnobiały pancerz. Miał długą, siwą brodę i wyglądał dosyć staro, co było swoistą ekstrawagancją.

Unosząca się obok niego kruczowłosa kobieta, ubrana dla kontrastu w antracytową, bardzo kusą zbroję, pokiwała głową.

– Wszyscy słyszeli. Strzelałeś do Błogosławionego.

– Tak – rzekł nieśmiało Fierce. Jego wąskie usta ułożyły się w uśmiech zdziwienia.

Goście dłuższy czas milczeli i powoli kiwali głowami.

– A ty – zwróciła się kobieta do Bena – stworzyłeś RIOT.

– Zgadza się – potwierdził Torres.

– Wiemy, co czujecie – zapewniła kruczowłosa. – My wszyscy wiemy. – Zatoczyła ręką krąg. – Jest nas coraz więcej.

– Nas? – spytał Han.

– Niezadowolonych.

– Niezadowolonych? – znowu spytał Fierce.

– Nie podoba nam się WayEmpire. Cały ten... cały ten... – Kobieta szukała słowa.

– Bałagan – dokończył za nią siwobrody. – Rozpasanie i brak celu trawią Imperium. Ezra popełnił błąd, odchodząc w sieć. Potrzeba nam silnych przywódców. Ideowych. Niezlomnych. Takich jak wy, Sitowie.

– O czym wy mówicie? – stęknął Ben, patrząc na znudzoną Vivien, która rozglądała się, jakby zaraz miała odlecieć. – To koniec Imperium. Koniec nas wszystkich. Już nie mamy domu. Stajemy się WayEmpire par excellence. Będziemy wędrować po wsze czasy.

– I o to chodzi – przytaknął siwy mężczyzna. – To świetny czas na zmiany.

– Tak jest – zawtórowała mu ciemnowłosa kobieta. – Musimy to zmienić.

– Ale jak? – spytał Fierce.

– Ty się pytasz, zabójco Błogosławionego?

– Nie zabiłem go...

– Ale pociągnąłeś za spust. To jest równoznaczne. Więc ty pytasz? Jeden twój czyn spowodował, że uwierzyliśmy w zmiany. Przyszliśmy do ciebie. Takich jak my są tysiące. Jest Wolna Wola. Możemy stworzyć nowy świat.

– Twój ruch, Sicie Torres – odezwał się siwobrody – jest także cucący. Jesteś pierwszym w Imperium człowiekiem sumienia.

Ben podrapał się niepewnie w brodę.

– Prosimy tylko o jedno – odezwała się kobieta. – Żebyście pozwolili nam przyłączyć się do waszej vii.

– Ktoś coś słyszał o *Nemesis*? – spytała była Reormater hektę później, gdy tłum otaczający Hana i Bena rozleciał się na różne strony, a wszyscy znaleźli się w głównym szarym salonie Fierce'a. – Jakież wieści?

Peter Kytes pokręcił mechaniczną głową.

– Nie, księżniczko.

– *Słuchajcie.* – Han Fierce nadał na kanale ogólnym, żeby wszyscy mieszkańcy jego airvilla mogli go usłyszeć. – *Jest sugestia ImBu, żeby lecieć dalej. CIII jest bardzo szybkie. Chyba szybsze, niż myśłano. Najprawdopodobniej w ciągu hekty odwiedzi Drogę Mleczną. Powinniśmy w tym czasie opuścić Gromadę Lokalną, bo inaczej zezre i nas. Jeszcze osiem skoków i spotkamy drugie wielkie zgrupowanie. Za następnych pięćdziesiąt spotkamy się z dwoma kolejnymi.*

Pauline wzięła głęboki wdech i zacisnęła usta.

– Nie martw się, księżniczko – szepnął Peter. – Torkil zawsze znajdował jakieś wyjście.

– To idealista – odparła ze zgrzyotą.

– I cóż z tego? – Kytes podciągnął mechaniczne ramiona.

– To, że jeśli uznał, że warto dla nas oddać życie, to je oddał.

– Był z nim Laurus.

– Tego właśnie boję się najbardziej. – Nagle otworzyła szerzej oczy. – Zaraz, jest tutaj, do diabła, Smok, tak?!

– Jest. Myślę, że niejeden – odparł Harry.

– To można go chyba spytać, czy Torkil żyje?

– Pewnie.

– Skontaktujmy się z nim!

– Jeden jest z Pradem. – Peter zamilkł, nawiązując łączność z dowódcą floty. – Nazywa się Matias Kill... Tak.

– Co „tak”?!

– *Nemesis* jest cały. Udało mu się uciec. Ma na pokładzie kilka setek żołnierzy.

– Jest taki wielki?

- Nie. Są w arunach.
- Aaa.
- Statek dotarł do piątego zgrupowania. Spotkamy się z nim przy pięćdziesiątym skoku.
- Cooo?! – Oczy byłej Reormater zaszklily się. – Han! Skacz! Skacz, na miłość boską!

Galaktyka Rzeźbiarza
Pustka międzygwiazdowa
Punkt zborny omikron
09 Decimi 232 EI, 04.92 H

Punkt zborny pięćdziesiątego skoku znajdował się w pustce międzygwiazdowej galaktyki NGC 253, zwanej Galaktyką Rzeźbiarza. Spotkały się tam dwa wielkie zgrupowania uchodźców. Wektory ich ruchu i prędkości były różne. Vanessa Van Moon patrzyła, jak pod jej grupą przesuwa się, niczym potężna galaktyka, pierwsze zgrupowanie. W skład jej zgromadzenia wchodziły Maodiony i imperialne wojsko. Tych wszyscy się bali. W razie jakiejś kolizji zrobiłyby porządek.

– Na Buddę, Vanessa, widziałaś kiedyś tyle statków? – odezwała się Ofelia Van Gogh, jej przyjaciółka jeszcze z Akademii Kreatorów. Przetrwiała nawałnicę i dołączyła do jej zgrupowania pięć skoków wstecz.

Vanessa z ulgą przyjęła jej obecność. Poczucie samotności i świadomość, że Eryk nie przeżył transferu energii, były zbyt dojmujące.

- Nigdy. To chyba ze sto miliardów...
- Sto miliardów trzysta dwadzieścia dwa miliony osiemset pięćdziesiąt dwa, jeśli wierzyć mózgowi mojego statku.

Ofelia zawsze była gadatliwa i dokładna. Vanessa miała nadzieję, że nie zostanie zagadana. Potrzebowała, mimo wszystko, trochę spokoju.

– Wyobrażasz sobie, że spotkamy jeszcze dziesięć takich grup?

– To chyba niemożliwe. Tutaj jest ponad sto latających miast.

– Dobrze, że jest z nami ImBu, bo nie wiem, jak można to skoordynować.

Takich długich karawan jeszcze nie widziałam. Ty, wiesz co?

– Hm?

– Coś mi przyszło do głowy.

– Tak?

– To my zbudujemy nowy dom dla WayEmpire.

Vanessa Van Drake przełknęła ślinę.

– Dużo, dużo domów. I powiem ci, że będą piękniejsze niż te, które dotychczas stworzyliśmy. Jak mamusię kocham.

Galaktyka Rzeźbiarza

Pustka międzygwiazdna

Punkt zborny iota

Nemesis

09 Decimi 232 EI, 05.86 H

Kapitan Hans Colter nawiązał łączność z admirałem Jasonem Pradem, który po śmierci Geofreya Hawka został dowódcą floty.

– Witaj, Hans. – Patrzący na Coltera z trójwymiarowego ekranu admirał pozdrowił go pełnym szacunku salutem.

– Witaj, Jason. – Colter błysnął modułami optycznymi. – Chcesz porozmawiać z tymi, którzy przetrwali?

– Jest tam Laurus?

Półprzezierny RanaR wpłynął w pole widzenia ekranu.

– Jestem, admirale.

Prad chwilę milczał, prawdopodobnie zastanawiając się, czy skomentować wygląd Rana wszystkich Ranów. Jeśli pojawił się tylko jeden, i to metowy, oznaczać to mogło tylko jedno: dwóch pozostałych zginęło.

– Udało się?

Wilehad skinął głową.

– Tak.

– Zniszczyliśmy całą cywilizację?

– Chyba tak.

– Drogę Mleczną też trafi szlag?

– Po tym, co widziałem, nie ma innej możliwości, admirale.

– Do diabła, Laurus, to złe wiadomości.

– Tak, admirale.

– Jak stan Angeli Mortis?

– Mamy straty, sir.

– Hm. Prześlij mi dane, proszę.

– Już. Myślę, że gdyby nie Imperatorka – Laurus wskazał wiszącą w pobliżu kobietę – operacja nie powiodłaby się.

– Tak... Car na bieżąco nas informował. Jak słyszę, nie przeżył?

– Nie, admirale. Zginęło wielu Ranów i żołnierzy.

– Kto teraz zostanie Carem?

– Nie mam pojęcia. Zdaje się, że dla Suverów to nie jest takie ważne.

Prad podrapał się w podbródek.

– Ta afera z Jednym Smokiem, co?

– Tak.

Głównodowodzący pokręcił głową.

– No cóż, jeszcze paręset skoków i będziemy wszyscy razem. Niezła

fuga...

– Spektakularna.

– Dobrze się czujesz, RanaRze?

– Wspominam poległych, admirale.

– Tak, to smutne. Nie masz ciała. Zgłóście się na pokład *Gniewnego* po powłoki dla metowców. Widzę, że trochę ich tam jest. I macie mnóstwo arunów. Wróć. Nie pomieścicie się tam przecież...

– Czy niektórzy uczestnicy ekspedycji mogliby jednak otrzymać ciała i dołączyć chwilowo do rodzin?

– Oczywiście, że nie – wszedł im w słowo kapitan Colter. Wykonał przeproszający gest w stronę Prada. – Wybacz, admirale, ale wnętrze i pancierz *Nemesis* to jedna wielka bomba biologiczna. O Erri się nie wypowiem, bo się nie znam na ich... mechanice. W ogóle nic o nich nie wiem, jak się okazuje, bo im udało się skoczyć z powrotem. Tak czy owak, wszyscy jesteśmy skąpani w mikrobach obcej planety. Musimy przejść kwarantannę. Trzy pełne dukile... pod warunkiem że dostarczycie nam tu dwa medmaty. Bez nich pięć dukil. Teoretycznie Widma także powinny... – Machnął ręką. – Nie, pewnie one nie, zresztą i tak nikogo nie słuchają.

– Medmaty są już w drodze. A skoro wy nie możecie przylecieć po ciała, ciała przylecą do was. Na razie tylko dla Aniołów. Podaj listę, Wilehad.

– Tak, admirale – rzekł Laurus.

– Wasze Skymoury są dostępne?

– Hipoki sygnalizują sprawność, więc najprawdopodobniej tak.

– Bądźcie w pogotowiu. – Prad zacisnął usta, blado się uśmiechnął, skinął głową i zakończył połączenie.

Spojrzałem na naszą gromadę. Mnóstwo duchów, kilku organicznych Angeli Mortis, poszarpanych i brudnych, grupa Błękitnych Żuków, obstawa Imperatorki i Paula, która przeżyła tę rzeź w jednym kawałku.

– Czy można by się tu umyć? – odezwała się Kitaro.

– Właśnie – poparł ją organiczny Logan. – Jesteśmy strasznie umorusani.

Oliwkowa gęba Coltera wyglądała na zmieszaną. Drobne elementy twarzy jakoś się pozakleszczały, zielona poświata wokół pancerza także się zmniejszyła i potworzyły się w niej wiry.

– Będzie z tym kłopot – odparł. – Mamy tylko jedną sprawną łazienkę. Może inżynierowie – spojrzął wymownie na Żuki – coś skonstruują...

Marti parsknęła. Wszyscy na nią spojrzeli, a wtedy jedną mentalną komendą zrzuciła z siebie resztki Coremoura i poszarpany kostium Yari. Osiadła na pokładzie sterówki smukła i piękna, tylko w wysoko wykrojonych figach i skromnym topie. Na białej pościeli pojawiły się animacje zachodu słońca, palm i gwiazd. Męska część załogi *Nemesis*, również ta metowa, wydała z siebie ciche „Ach”. Nawet inżynierowie Imperatorki otworzyli usta. Uria i Paula wyraźnie się obruszyły. Półprzezierna Angela – nie. Z uznaniem pokiwała głową, oceniając smukłe kształty Ranki. Czyste fragmenty skóry Marti kontrastowały z osmalonymi ramionami i udami poplamionymi zakrzepniętą krwią. Mimo to Gunnar była po prostu piękna. Gdy przywykniesz do proporcji Ranki, każda inna kobieta wyda ci się krępa i grubokoścista. Aristoski są wysokie, wskutek czego ich talie stają się niezwykle wąskie, biodra fantastycznie krągłe, a nogi są cudownie smukłe. Po prostu idealne.

– Ustawmy się zatem w kolejce – rzuciła Marti, gdy stężenie testosteronu w pomieszczeniu zdawało się sięgać szczytu. Zerknęła na mnie. – Torkil, umyjesz mi plecy?

Colter spojrział na nią, nie kryjąc zdziwienia.

– No co? Będzie szybciej – powiedziała.

– *Akurat* – nadał Tell.

Spojrzałem na Angie, puściłem do niej oko, a potem zwróciłem wzrok na

Gunnar.

– Cudna propozycja, Marti. Ale poczekam.

Galaktyka Rzeźbiarza
Pustka międzygwiazdna
Punkt zborny iota
Airvill Hana Fierce'a
09 Decimi 232 EI, 06.35 H

Pauline wisała nad najwyżej położonym masywnym łbem *Grendela* Hana Fierce'a, pośród pozawijanych pierścieni wielkiej karawany, proporców, animacji i feerii barw całego Imperium. Nie widziała już próżni. Gdziekolwiek spojrzeła, mienił się labirynt airvilli i latających miast. Nie było już widać Pożeraczy Światów czy masywnych pancerników – wszystkie te behemoty pozostały gdzieś na zewnątrz.

– Torkil?

– Tak, księżniczko?

Wreszcie zobaczyła jego twarz i poczuła skurcz bólu. Policzki miał zapadnięte, cerę ziemistą, na czole i szczęce wchłaniały się świeże blizny. Jeśli tak wyglądał Maod-An, to znaczy, że zwykły człowiek, który musiałby przejść przez to, przez co przeszedł Tori, zdążyłby umrzeć siedem razy.

Na chwilę jego obraz rozmył się, jakby rozdwoił.

– Tori, proszę, nie używaj na mnie tych swoich soulerskich sztuczek – poprosiła.

– Nie próbuję, księżniczko. Coś... się zmieniło.

– W tobie?

– Tak. Jeszcze nad tym nie panuję.

- Ale jesteś zdrowy?!
- Jak najbardziej.
- Dlaczego pojedynczy?
- Med i Sin... zginęli.

Pauline dotknęła nosa krawędzią dłoni. Jej palce zaczęły drżeć.

- Zginęli?
- Było... bardzo ciężko.
- Torkil zginął? Dwa razy? Jak to możliwe?
- Wszyscy ginęli. Przetrwiała nas może jedna trzecia. Mówię o Ranach. Ze zwykłych żołnierzy kilka setek. A i to cud.

- Ale aruny!
- Pociski leciały tak gęsto, jakby padał grad.
- O Boże...
- Więc to naprawdę cud, że ktokolwiek przetrwał.
- Angie?
- Tylko jedna.

Pauline zacisnęła szczękę.

- Pilnowała Torkilów do końca.
- Przyleć tu, proszę. Czekam na ciebie.
- Nie mogę.
- Dlaczego?
- Inny ekosystem. Bakterie. Wirusy. Dużo rzeczy jadłem. Tam, na miejscu. Żeby się ratować. Wszyscy jesteśmy skażeni. Odbywamy przymusową kwarantannę.

- Ile?
- Trzy dukile, licząc od teraz.
- Trzy dukile?!
- Najmniej. Wkrótce powinniśmy tu mieć wojskowe medmaty. Musimy

się oczyścić w środku i na zewnątrz, musimy oczyścić wnętrze statku, a *Nemesis* to ruina. Nie ma nawet gdzie spać.

– Może inżynierowie wam jakoś pomogą?

– Próbują, ale tu, w środku, niewiele da się zrobić, a z zewnątrz nikt nie może się zbliżyć. Jesteśmy od was oddaleni o trzydzieści minut świetlnych. To i tak trochę za blisko.

– Ale możemy się spotkać w sieci?

– To zawsze.

– No to na co czekamy?!

Arealium

Talizman topazowy Torkila Aymore'a

Czas realium:

09 Decimi 232 EI, 06.38 H

Kilka godzin pracowitego zamykania buzdycami i morgensternami, kilka godzin modlitw, kilkaset tysięcy strzał, wyszczerbionych brzeszczotów, pokruszonych tarcz, zmiażdżonych pancerzy, złamanych rogów, flaków wyrwanych z bebeczków demonów – i było po bitwie. Hordy chaosu zostały odepchnięte, a Chmurny Kamień zyskał kilkaset tysięcy hektarów wolnych ziem, by móc odnowić zapasy żywności przed kolejnymi starciami, chociaż nie sądziłem, by wrogowie szybko się pozbierali i zdecydowali na atak. obrońcy twierdzy jeden po drugim kurczyli się i tracili broje tytanów, ale blask wciąż bił z ich twarzy i wielki krzyk radości rozbrzmiewał nad zamczyskiem, bo w ich życiu zdarzył się najprawdziwszy cud. Woje płakali, nosili się na rękach, a gdy znajdowali poległego, wystarczyło, że go dotknęli, a wstawał ku zdumieniu i uniesieniu towarzyszących im żołnierzy.

Laurus chciał wojny, ja leczenia.

I zaręczam wam, że uniesienie towarzyszące uzdrawianiu jest tysiącokrotnie większe niż szal bitewny, a radość z przywracania do żywych przewyższa wzniosłości wojaczki. Zadbalem, by nikogo nie pominięto. Przywrócono życie kilkudziesięciu tysiącom walczących, wzbudzając kolejne modlitwy „Bądź wola twoja”, „Bądź wola wasza” i prawdziwą histerię wśród Myonów. Doszło do tego, że ludzie tańczyli, skakali, odchodzili od zmysłów. *Day wal bi we*, *Day wal be anonay* brzmiało teraz wszędzie. Lało się wino i piwo, grzmiał śpiew i śmiech.

A ja, wciąż w ukryciu, śmiałem się i płakałem razem z nimi.

Frin zapytał, czy zacząć tłumaczyć mowę tubylców, tak bym od razu rozumiał ich intencje. Zgodziłem się. Uderzyła mnie wtedy mnogość opowieści. Jakże mogłoby być inaczej? To był prawdziwy świat, nie gra.

Nie gra.

Odzyskawszy łączność z realium, wysłałem men do realnego Torkila. Spytałem, jaka jest sytuacja. Odpowiedział, że na razie... stabilna.

Arealium

Gra Grand Beach

Czas realium:

09 Decimi 232 EI, 06.40 H

Torkil Aymore Dex

Wiedzieliśmy, że nasze spotkanie nie potrwa długo, bo za chwilę całe zgromadzenie statków miało skakać, a podczas skoku nie da się przebywać w sieci. Podbiegliśmy z Angelą do Pauline, Anny, Harry'ego, Petera i Konona. Wszyscy byliśmy tylko w plażowych ubiorach, a ja i Angie

mieliśmy typowo ludzkie rozmiary, czym nie byłem zachwycony, bo zdążyłem przywyknąć do innych proporcji.

W tym momencie nie było to jednak najważniejsze. Widok plaży i rajskiego nieba wydawał się jakiś nieadekwatny. Spojrzałem na Angie. Na jej cyfrowej twarzy także kładł się cień. Oboje pamiętaliśmy ostatnie paki umierających. Za mało mieliśmy czasu na przetrwanie tego wszystkiego, a tu szumi morze, wieje ciepły wiatr i tulimy się z Pauline, potem zaś z Anną, starając się dzielić ich wzruszenie, chociaż w uszach wciąż rozbrzmiewa huk planety Ojców. Przyjąłem grzotnięcie pięści Harry’ego i Petera, przyjąłem kilka szczypt uczuć Konona i powstrzymałem się przed wygłoszeniem zdania, że na razie nie mamy o czym opowiadać, bo ja „tam” byłem, a oni nie. Za kilka hekt, kilka dni – być może. Na razie nie.

Syn Pauline zapytał, czy odczułem ochronne działanie talizmanów. Jakimś cudem wszystkie kamienie ocalały, nawet te, które należały do Meda i Sina. W kilku zdawkowych zdaniach przedstawiłem potężny wpływ topazowego kamienia, po czym dowiedziałem się, że młody Eim nie ingerował w ten klejnot, bo był chroniony. Wypada się porozumieć z gamedekiem. Wyjaśni mi, co tam się stało.

Gdy mój dziwnie rozleniwiony umysł usiłował się na tym skupić, Pauline i Anna zbliżyły się do Angeli. Tym razem Ranka nie musiała klękać, by mogły sobie spojrzeć w oczy.

Nic nie mówiąc, przytuliły się i tak przez chwilę trwały.

Spojrzeliśmy po sobie z Peterem, Normanem i Kononem.

– Ekhem – chrząknął Harry. – Czyli... dwóch Torkilów?

Skinąłem głową.

Blondyn przełknął ślinę i zacisnął szczęki.

– Jak zginęli?

Poczułem w krtani ostry kamień.

– W walce. To była – zacisnąłem powieki, żeby powstrzymać łzy – to były piękne śmierci. Możecie być pewni.

Norman rzekł:

– Lepiej pospieszmy się z jakimś drinkiem, zanim zmuszą nas do wylogowania...

Galaktyka NGC 1023
Pustka międzygwiazdowa
13 Decimi 232 EI, 08.00 H
Torkil Aymore

Setny skok oznaczał zgrupowanie całej ocalałej ludzkości. Byliśmy w galaktyce NGC 1023, na tyle daleko, że zagrożenie ze strony CIII nie wydawało się już tak bezpośrednie. ImBu zasugerował dłuższy postój, by mieć pewność, że przesyły z wciąż pracujących Worplanów nie zostaną zakłócone odległością. Niby teleportacja z dystansem nie ma nic wspólnego, ale dzieliło nas tyle parseków, czarnych dziur, słońc i innych paskudztw, że była to chyba dobra decyzja.

Widziałem hotki kosmosu, który nas otaczał. Nie powiem, żebym znał Drogę Mleczną, ale sporo zakątków kojarzę. Tutaj wszystko było nowe. Mgławice, skupiska, jakiś obcy fioletowy kolor... Nie byliśmy u siebie. Czuję to wyraźnie i chyba po raz pierwszy w historii Imperium Ran dostrzegł różnicę między jedną a drugą galaktyką.

Inni Sitowie nie dzielili moich odczuć. Na ich twarzach widziałem ślady odprężenia, chociaż nie było oczywiście wesołości. Byłem świadkiem kilku dramatycznych powitań. Mała dimenka Zoe, towarzysząca miłej parze dimenów, których wszyscy nazywali SamSara, przywitała się z organicznym

dziadkiem Dionizym, jak mogłem wnioskować z ubioru, pochodzącym z Wiz. Z Hanem ścisnął się jakiś podejrzany typ o imieniu Gutberg...

Widok człowieka z Wiz sprowokował wspomnienia. Laura i Baltazar. Niedługo nastąpiłby poród. Na ImBu, to się porobiło... Już zginęli czy dopiero mają umrzeć? Da się jeszcze ich uratować? Budda z pewnością to odradzi. Taka wizyta naraziłaby nas wszystkich.

Rozglądałem się i nie mogłem się nadziwić, jak strasznie dużo jest ludzi. Tylko mieniące się tęczą airville, latające miasta, karawany złożone z dwóch, trzech, czasami nawet czterech równoległych vii. Jeszcze jednak nie świętowali, z czego byłem rad. Podróżowaliśmy w nieznanne. Takie, wiecie, prawdziwe nieznanne. Kosmos nie jest przyjaznym miejscem. Planety to co innego, ale pustka i próżnia nawet przy naszej technice nie wybaczą błędów.

Wisiałem nad jednym z surowych, można powiedzieć technicznych, tarasów airvilla Hana Fierce'a, trzymałem w ręce kubek z herbatą i usiłowałem wczuć się w jej smak. Ale jakoś nie wychodziło.

Przed chwilą ImBu zasugerował przeliczenie społeczności WayEmpire, oszacowanie zapasów i potencjału. Nie miałem dobrych przeczuć. Było nas za dużo i za mało mieliśmy zasobów, zarówno energetycznych, jak i żywnościowych, by wróżyło to dobrą przyszłość. Zdaje się, że wielu Sitów myślało podobnie i chyba właśnie dlatego karawany nie huczały karnawalem. Tłuste czasy się skończyły.

Imperator rozważał przyspieszony terraforming kilkunastu obiecujących globów, podzielenie nas na zgrupowania, a potem kilkupendekowy postój w pobliżu planet, zbiory żywności, założenie stacji teleportacyjnych i dopiero potem dalszy lot, przy czym cały ten czas duży odsetek Sitów musiałby spędzić w hiperbosach. Inaczej zwyczajnie nie wystarczy jedzenia. Plan Ezry, mimo że dość sensowny, był ryzykowny. Jeśli cywilizacja CIII odkryje te

rolnicze globy, będzie wiedziała, w którym kierunku ruszyliśmy. Oczywiście możemy zboczyć z wytyczonego kursu, lecz jeśli potwór z Enkidu jest tak zaawansowany, jak nam się wydaje, i tak odczyta nasze ślady, wyczuje hiperprzestrzenny kilwater i niczym indiański tropiciel podąży za naszym zapachem. A potem zniszczy nas w najmniej oczekiwanym momencie. Z pewnością cywilizacja ta nie darzy nas życzliwymi uczuciami po tym, jak szachowaliśmy ją przez tyle cykli.

Ale co było robić? Mimo że tych kilka ocalałych Worplanów ciągle wysyłało nam paczki, stanowiło to kroplę w morzu potrzeb.

Zerknąłem na chronometr. Według obliczeń Buddy ogary Enkidu powinny się pojawić na naszych planetach lada chwila. Nawet trochę się spóźniały...

ImBu oświadczył, że za kilka cetni pokaże przekaz z Gai.

Nie musiał mówić, po co ani dlaczego.

Przebywaliśmy w głównym, grubo ciosanym hallu airvilla Fierce'a. Han rozwinął trójwymiarowy ekran, który przesłonił widok kuchni i dolnych sypialni, co, prawdę mówiąc, znacząco poprawiło wystrój wnętrza.

Gdy obraz się rozjarzył, westchnęliśmy.

Gaja.

Genea.

Pałac Imperatorski stał jakby nigdy nic, wysoki, połyskliwy, złoto-biały. Był tylko upiornie samotny. Żadnego ruchu. Cisza. Błękitne, czyste, głębokie niebo. Odległe filary raju. Rzadkie chmury. Mój Boże, jaki piękny mieliśmy świat. Jaki piękny. Prawdą jest, że doceniamy, co mieliśmy, gdy to tracimy.

Czy kiedykolwiek uda się odtworzyć wszystko, co zbudowaliśmy?

Przecież to niemożliwe. Znowu od zera, i to z oddechem tego cholernego CIII na plecach?

Nagle nieboskłon pojaśniał i zrobił się zupełnie biały, wicher porwał obłoki, a budowle wyblakły, jakby ktoś przesiał światło słońca przez grubą firanę. Biel spowijająca niebo stała się karbowana, niczym utkana z grubych sznurów. Zupełnie jak nad planetą Waruitów.

– Żegnaj, stary świecie – szepnął Peter „Crash” Kytes wiszący na prawo ode mnie. Poruszył ramionami, jakby się szykował do walki. Błysnęły polerem rękojeści mieczy na jego plecach.

– Zaczyna się – chrypnął Norman po mojej lewej.

Poczułem ręce Pauline na ramionach i jej piersi na łopatkach. Wiedziałem, że tuż obok niej są Anna i Angela. Wyciągnąłem do nich ręce. Smukła dłoń Sokolowsky i silne palce Angie. Zapach Steffi. I Tanyi „Pauli” Kitaro. Byliśmy tu wszyscy, nawet załoga *Wielkiego Lwa*. I Samuel Kroz. Nie było tylko Nexusa i Laurusa, bo oni przebywali ze swoimi bliskimi.

Jakie to uczucie, gdy obserwujesz, jak twój świat rozpada się w pył? Co czujesz, patrząc, jak jest niszczone przez niezrozumiałą siłę tak potężną, że zarządza całymi galaktykami niczym gracz przestawiający kamienie w go? Jakie to wrażenie, gdy widzisz, jak biała zamieć zstępuje ze śnieżnego nieba w postaci dziwnego tornada tuż obok Pałacu Imperatorskiego, nad którym wciąż dumnie rotuje godło WayEmpire, i wiesz, że już za kilka cetni nic nie pozostanie z tego miejsca? Niczego nie będziesz mógł dotknąć, powąchać, na niczym nie będziesz mógł stanąć? Jakie to uczucie, gdy wiesz, że będziesz musiał uciekać coraz dalej i dalej przed szarańczą, której jedynym celem jest konsumpcja znanego wszechświata?

Nie wiem. Starłem się dotrzeć do jakichś emocji, ale byłem zbyt odrętwiały. Jakby moja dusza odseparowała się od ciała i przestała przeżywać cokolwiek oprócz... smutku.

Wpatrywałem się w wirujący lej, który zaczął powoli zbliżać się do pałacu, widziałem, jak wiatr wzmaga się, coraz bardziej wyginając gałęzie drzew,

a potem, jak biała mgła się przeredza, a obok pałacu materializuje się...

– Torkil! Co to jest?! – krzyknął Harry.

Materializuje się...

– Widzicie to?! – zawtórował mu Peter.

Coś na kształt...

– Na Buddę! Jeszcze niczego nie zniszczyli! – rzucił Kroz.

Jakby humanoidalny...

– Zobaczcie! Pałac ciągle stoi! Ta mgła się podnosi! – zawołała Anna.

Przypominający bardzo zaawansowanego Skymoura...

– Niebo! Ciągle widać niebo! – rzuciła Steffi.

– Niemożliwe. – Han Fierce patrzył szeroko otwartymi oczami. –
Niemożliwe – szeptał. – Jedna istota, jedna istota...

Patrzyłem oniemiały, nie bacząc na to, że puszczam kubek kawy, a ten posłusznie dryfuje obok mojej ręki.

Obok Pałacu Imperatorskiego stał humanoid, ponad wszelką wątpliwość humanoid, po którym powoli ściekała mgła mikrobotów i ścieliła się po gruncie w promieniu kilkunastu metrów od jego potężnych stóp. Miał około trzystu metrów wysokości, dwoje mechanicznych oczu i mienił się granatem, błękitem, srebrem i czerwienią. Stał na wytworzonym przez siebie postumencie.

Niebo nad nim się wypogodziło.

Znowu było błękitne.

A nad innymi planetami WayEmpire wciąż nic się nie działo.

Po dziesięciu monach, gdy cała ludzkość wrzała od domysłów, dyskusji, a nawet kłótni, gdy Sitowie mnożyli teorie, kontrteorie i hipotezy, a wnioski, które wysnuwali, były oparte na szeregu niepotwierdzonych założeń, gdy

niektórzy zaczęli już wznosić toasty na cześć tajemniczego humanoida, a inni ganili ich, że za wcześnie na fetowanie, na naszych planetach wciąż nic się nie zmieniało. Stwór stał nieruchomo obok pałacu, na innych globach zaś panował niezmacony spokój: filary rajów łątały rany, polie się prostowały, ściany naprawiały, opuszczone airville wracały do pionu i kotwiczyły. Struktury miast omijały dziwaczne budowle wzniesione przez statki Ojców, ale poza tym zdrowiały. Armie nanobotów zwalczały hordy obcych wirusów i bakterii, które przywlokła wroga armada, stacje kontroli medycznej leczyły chorujące zwierzęta i rośliny, gdzieniegdzie wybuchały małe epidemie, lecz inteligentne systemy opanowywały je i nic nie wskazywało na to, żeby mikroby Warui miały wygrać. Wracała homeostaza. To samo było na Worplanach, na Nomorii i na Vaporii.

Oprócz setek informacji, od których puchła sieć, mieliśmy też relacje Jedynego Smoka, który ustami rozradowanego Tella co chwila przekazywał najciekawsze domysły i hipotezy podsłuchane w ludzkich myślach:

Jeśli dotąd nie zniszczyli WayEmpire, to chyba już tego nie zrobią?

A może oni niszczą tylko zamieszkane światy?

Ta postać przypomina człowieka. Może nas nie zniszczą, bo jesteśmy do nich podobni?

Ojcowie też byli humanoidalni, a CIII starło ich z powierzchni świata.

Ale my mamy kolana i stopy, jak ten kolos. Ojcowie mieli kilka ras.

Pułapka? Czekają, aż wrócimy, i wtedy zaatakują?

A co z Whalami?

One także zostały oszczędzone. Poczciwe Eiffle liżą rany.

Nie ma wątpliwości, że CIII to dobra cywilizacja i oszczędza tych dobrych.

Ale jak to? Jak są w stanie odróżnić dobrych od złych i czy istnieje coś takiego jak zło i dobro? Czy my jesteśmy dobrzy, a Ojcowie źli?

To oni nas zaatakowali, nie odwrotnie. Jeśli ten kolos potrafi zmienić zwykłe słońce w supernową, to umie też odróżnić cywilizację destruktywną od konstruktywnej.

A my nie jesteśmy destruktywni?

Grzmociliśmy się tylko we własnym gronie...

I tak na okrągło. Tell z niesłabnącą energią donosił zarówno telepatycznie, jak i werbalnie o podobnych krzyżujących się opiniach. Słuchanie jego relacji było zabawne i nie mniej pouczające niż wpatrywanie się w relacje ImBu, dla którego, nota bene, złączenie rozbitych osobowości Imperatora było dość bolesnym zabiegiem. Z Imperatorem nie wszystko było w porządku. Nie skarżył się, ale widziałem, że jest niespójny i odzyskanie jedności sprawia mu problem. Miałem nadzieję, że Budda mu pomoże.

– *Torkilu?* – odezwał się, a SaintDroid, który ku mojej udręce ponownie się do mnie przyczepił, zresztą razem z dwoma ArtDroidami i O'Toolem, rozjarzył się blaskiem.

Zobaczyłem jego twarz na tle wnętrza airvilla Fierce'a. Był jak zwykle siwym, niemłodym mężczyzną o spokojnym obliczu.

– Nasz Błogosławiony znowu gada ze stwórcą – skomentował Harry, a Lea i Mars szturchnęli się i zaczęli chichotać.

Zupełnie jakby wszystko miało wrócić do normy.

– *Panie?*

– *Nie czuję się dobrze. Jestem wielością. Zostałem rozbity na tysiąc osobowości. To... sporo.*

– *Tak.*

– *Teraz jestem, można powiedzieć, multiImperatorem.*

Uniosłem brwi.

– *Lepsze to niż nic.*

Roześmiał się.

– *Być może zawsze nim byłem.*

– *Dasz sobie radę, przyjacielu.*

– *Oczywiście.*

Dłuższą chwilę nie odzywałem się. Patrzyłem na obserwujących mnie z rozbawieniem Pauline, Annę, Steffi, Petera, Harry’ego. Nawet na twarzy Angie rysował się cień uśmiechu.

Przyspieszyłem. Wszystkie dźwięki stały się niskie, a moi przyjaciele zatrzymali się w czasie.

– *Ezra. Co teraz?*

– *Dobrze sobie dotąd radziliście.*

– *Jak to?*

– *Dobry lider to ten, który jest w stanie tak pokierować ludźmi, by mogli sobie poradzić bez niego. Popatrz, nie było rozkazów ani nakazów, wszyscy działaliście jak dobrze naoliwiona maszyna, i to bez mojej ingerencji. Robiłem przedtem wiele symulacji inwazji, ćwiczenia, prowokacje i okazało się, że wydały doskonały plon. Zwróć uwagę, że ograniczyłem działalność do funkcji informacyjnych i sugestii.*

– *Uratowałeś mnóstwo Sitów, robiąc z nich zombi.*

– *Tak. Ale beze mnie i tak byście przetrwali.*

– *Skonstruowałeś Nemezis.*

– *Nie. Zrobili to inżynierowie. To był ich pomysł. Ja tylko utrzymałem go w tajemnicy. Dalibyście sobie radę beze mnie.*

– *Być może.*

– *Jestem tego pewien.*

Na prawo od jego spokojnej, uśmiechniętej twarzy pojawił się ekran z tajemniczym mechanicznym humanoidem stojącym przy Pałacu

Imperatorskim.

Rector Ludens westchnął.

– *Co z tym zrobimy?* – spytał.

– *Wydaje mi się, że trzeba wysłać zwiad.*

– *Słusznie.*

– *Może da się z nim, niq, dogadać?* – zasugerowałem.

– *Zdaje się, że na to czeka. Zatem polecicie?*

– *Oczywiście.*

Droga Mleczna

Macierz

Planeta Gaja, grunt

Genea, Pałac Imperatorski

14 Decimi 232 EI, 10.00 H

Torkil Aymore Med

No i zawisnęliśmy przed tym behemotem. Ten sam skład, co na planecie Ojców: Angeli Mortis, Błękitne Żuki, dwójka Smoków, Paula, Kroz, obstawa Nexusa i moja oraz uzdrowiony *Nemesis* na orbicie.

Wisieliliśmy na wysokości jego wzroku odziani w Skymoury, po trzech w pancerzu: Med, czyli ja, świadomy, Lewi i Prawi w dewitalizacji. Trochę dziwnie się czułem znowu w trójcy jedynej, bo wspomnienia utraty klonów były wciąż bolesne. Ale trzeba iść dalej, chociaż przemijanie boli jak cholera...

Siedziałem w sterówce, mając po lewej i prawej kokony z moimi bliźniakami, a na otaczających mnie interaktywnych trójwymiarowych ekranach widziałem otoczenie z wszelkich możliwych odległości i kątów.

Nasze zbroje były w pełnej reprezentacji wizualnej, otoczone animacjami, wstęgami, tornadami, błyskawicami, świętymi promieniami i całym tym zgiełkiem.

– *No i chuj* – stwierdził lakonicznie Laurus.

Jeśli już na początku misji klnie, to znaczy, że jest spięty.

– *My wisimy, on stoi, my milczymy, on milczy, coś jak rozmowa z wyjątkowo nieśmiałym gościem* – skonstatował Felix.

– *Może go dotknąć?* – rzuciła Marti.

– *Ta to ma pomysły* – warknął Logan.

– *Trzymaj łapki przy sobie* – odparła Ramona.

Patrzyłem w czerwone ślepie potwora, wykonywałem coraz głębszy zoom i jedno z jego oczu zaczęło wypełniać moje pole widzenia. Bardzo złożona struktura. Żywa, bez wątpienia żywa, chociaż martwa. Im głębiej sięgał mój wzrok, tym więcej rozróżniał szczegółów. Ten potwór był fraktalny, ale w o wiele bardziej złożony sposób niż nasze pancerze. Przy jego strukturze fofy były niczym pancerniki przy ziarnku piasku. To bydlę było kwantowe, nadkwantowe, wielowymiarowe... Odnosiło się wrażenie, że każdy atom potwora, co tam atom, każdy kwark, to osobna inteligentna istota... albo cały wszechświat. Nie wiem, jak to wyjaśnić. Ta forma, ta jego humanoidalna forma, chociaż kolosalna, wydawała się jedynie żartem, kompromisem. To tak, jakby człowiek wystrugał z kawałków włosa ludzika, żeby ten mógł się skomunikować z pierwotniakami.

– *Jest w jego spojrzeniu coś...* – odezwałem się.

– *Znajomego?* – uzupełnił Nexus.

– *Mnie się też tak wydaje* – powiedziała altem wisząca tuż obok mnie Angela. „Tuż obok” w przypadku Skymourów znaczyło dwieście pięćdziesiąt metrów.

– *To bydlę przeskanowało nas, ledwie pojawiliśmy się na orbicie. Mam*

raport frina – mruknął gniewnie Mbele.

– *Tomo Mbele, grzeczniej* – syknął Wilehad. – *On pewnie nie tylko nas słyszy, ale też zna nasze myśli, wie, co jedliśmy na śniadanie i co wysramy po południu.*

– *Tajest.*

– *Ja już sra...* – wyrwało się Marti.

– *Starczy, aniołku* – przerwał jej Felix.

– *Może rozwinąć duchy?* – rzucił Bonaventura.

– *Mógłby to odczytać jako atak* – szepnęła Paula krążąca między naszymi gigantycznymi cielskami w Przyłbicy.

Wczułem się w fale bijące od maszyny.

Ucisk krtani.

Nagle, w sposób zupełnie niekontrolowany, zyskałem pewność, że ten byt kontroluje każdy atom w promieniu wielu setek lat świetlnych. Był trochę jak Smok – po części tu, po części wszędzie. Po części dzisiaj, po części wczoraj i jutro. Mienił się i drżał na granicy percepcji. Nie istniał w normalny, zdroworozsądkowy sposób. Suwerzy są duchowi i materialni. On był tym i tym... i wieloma jeszcze innymi formami bytowania, zupełnie nam nieznanymi. Czy to możliwe, że cała potęga CIII skupiła się właśnie w tym behemocie?! Nie, to raczej tylko awatar, wysłannik, a reszta CIII siedzi gdzieś w Andromedzie albo pianie kwantowej wypełniającej przestrzeń Drogi Mlecznej.

Nie wiedzieliśmy, co się dzieje w Andromedzie, bo baliśmy się wysłać tam sondy.

Promieniował potęgą i spokojem.

Miałem wrażenie, że się... uśmiecha.

Przesłałem ten men pozostałym.

– *Ja czuję to samo* – nadał Tell. I wcale się nie śmiał.

Jeśli Jeden Smok się nie śmieje, to znaczy, że sprawa jest poważna. Laurus klnie, mój Suver stracił poczucie humoru, niedobrze.

– *Patrzcie, na prawo od niego!* – usłyszeliśmy telepatyczny szept Quai.

Powietrze obok molocha zaczęło gęstnieć i parować, jakby pod nim znajdowało się źródło ciepła. Wreszcie zobaczyliśmy... planetę Ojców! Tę z bezgłowym truchłem arcydiabła!

– *Oszczędzili ją?!* – wyrwało się Loganowi. – *Coś im się popierdoliło?*

Może słowo „oszczędzić” było trochę na wyrost, bo wulkany zalewały duże połacie terenu morzami lawy, ale planeta ciągle istniała...

– *Logan* – odezwał się łagodnie Felix – *zrób coś ze swoim językiem.*

– *A RanaR?!*

– *To gbur i cham, nie musisz go naśladować.*

– *Dziękuję, Święty* – mruknął Laurus.

– *Do usług.*

– *Czy tylko mnie nie umknął drobny fakt* – powiedziała cicho Angela – *że ten tytan właśnie się z nami skontaktował? Oczywiście wyczuł, że są wśród nas idioci, więc użył pisma obrazkowego, mimo wszystko to raczej dobra wróżba, prawda?*

– *Właśnie* – odezwała się Etna. – *Może by pociągnąć kartę Tarota?*

– *Nie teraz* – mruknęła Uria.

Wdech, wydech.

– *Laurus* – odezwałem się – *pociągnąć Tarota?*

– *Nie trzeba. Ten pan, czy może pani, pokazuje nam, że oszczędził jedną planetę wroga. Jedną. Tylko jedną.*

Rzeczywiście, poczułem to bardzo wyraźnie.

Jeden.

– *Zdaje się* – usłyszeliśmy Garibaldiego – *że gość za chwilę się z nami skomunikuje. Nie w tym sensie, o którym mówiła Angela. Przedtem nadawał*

na różnych długościach fal, teraz wreszcie się dostroił. Zaczyna nadawać podobnie do Smoków.

– Czyli to będzie przekaz telepatyczny? – wyrwało mi się.

– Pewnie tak, ale na pewno niewerbalny, bo przecież nie wie, jakim językiem mówimy.

– Jak tot? – rzucił Mbele.

– Jak tot.

Stwór spojrział na nas jarzącymi się ślepiami i potwierdził przypuszczenie Kaja Mbele. A potem domysł Wilehada: CIII zostawiło jedną planetę do badań, odkryć i rozwoju naszej rasy.

– Ale dlaczego nas oszczędziliście? – spytałem na głos, a paszcza mojego Skymoura powtórzyła to pytanie tak donośnie, że pochyliły się gałęzie jabłoni zdobiących Pałac Imperatorski.

Angeli Mortis, Skyranowie, Żuki, Smoki, Paula i członkowie obstawy popatrzyli na mnie złowrogo.

– *Efendi, nie kuś go!* – Przekaz telepatyczny Tella był tak silny, że mało nie wybił mi zębów. – *Pomyśli, że chcesz go tą gadką przestraszyć, albo też się odezwie i wtedy się posramy...*

Behemot spojrział na mnie tak intensywnie, że miałem wrażenie, jakby gapił się na mnie nie oczy, ale... zabrzmiało to śmiesznie... eony niezliczonych cywilizacji. Nagle...

– *Coś się dzieje na jego piersi!* – krzyknął Mario.

Na jego korpucie...

– *To mi coś przypomina!* – zgrzytnęła zębami Marti.

Zaczął się wyłaniać kształt...

– *No nie!* – Logan wypluł cygaro. Widziałem to na podglądzie. Żarzący się, zwinięty liść poszybował na podłogę sterówki, ciągnąc za sobą siny dym.

Godło Imperium.

– *Ja pier...!* – Ramona powstrzymała przekleństwo.

Anielica i Demon spleceni w miłosnym uścisku.

– *Niemożliwe!* – skwitował Bonaventura.

Ale to było możliwe. Na piersi potwora tkwił symbol WayEmpire.

– *Teraz naramiennik! Patrzcie!* – wrzasnęła Etna i nie mogąc się powstrzymać, okrążyła molocha, wskazując fragment pancerza wielkim skymourowym palcem.

– *Etna!* – skarcił ją Felix. – *Wszyscy pozostali, zostać na miejscu! Nie ruszać się!*

Potwór ani drgnął. Etna wyświetliła to, co widziała pod lepszym kątem niż my.

Symbol Toy Soldiers.

Ponad wszelką wątpliwość nasze godło!

– *Ja pierdolę* – sapnęli Diego i Nexus jednocześnie.

– *Ja pierdolę* – sapnąłem i ja, bo nic inteligentniejszego nie przyszło mi do głowy. Powiem więcej, jestem pewien, że to samo powiedział ponad bilion Sitów, którzy śledzili naszą transmisję w galaktyce oddalonej o sto skoków od nas.

Tell z rozbawieniem potwierdził moje przypuszczenia.

– *Jeszcze nigdy cała ludzkość nie powiedziała jednocześnie „Ja pierdolę”.*
Wstrząsające przeżycie.

Gigant wciąż się we mnie wpatrywał. Czemu we mnie?! Czego on ode mnie chce?!

I nagle przeszła mnie fala, jakby ktoś mówił do mnie z wielkiej odległości. Z mojej przeszłości czy może przyszłości, jakby ktoś próbował mi przypomnieć bardzo ważny szczegół z życiorysu... Spojrzałem z niedowierzaniem w ślepia behemota i wyszeptalem:

– *Torkil?!*

Obraz 2

Nowe drogi

Arealium

Talizman topazowy Torkila Aymore'a

Czas realium:

17 Decimi 232 EI, 11.50 H

Postanowiłem pozostawić w topazowym talizmanie swojego cyfrowego, niewidzialnego perbota. Nie miałem serca pozbawiać obsady Chmurnego Kamienia nadzoru, nie chciałem opuszczać króla, królowej i ich wodza, wszystkich dzielnych Weenów bez gwarancji, że gdy coś złego zacznie się dziać, natychmiast zostanę o tym poinformowany. Więcej: mój perbot zadziała, nim tu dotrę.

Wzniosłem się nad zamczysko. Po starciu nie było już śladu. Nawet stosy, na których nocami i dniami płonęły zwłoki demonów, czarodziejów, impów i smoków, zostały uprzątnięte, a czarne plamy popiołu rozwiały wiatr. Spędziłem tu kilka dób, w ciągu których zwiedziłem cały glob, oceniając rozległość królestwa demonów oraz urodę świata. Musiałem przyznać, że Savian stworzył wyjątkowo urodziwy kawałek rzeczywistości. Wyjątkowo.

Z pewnością jeszcze nieraz tu zajrzę.

Osobiście.

Westchnąłem i zasalutowałem mieszkańcom świata.

I wreszcie, wciąż nie dając żadnego znaku swojej obecności, zniknąłem.

Wszedłem w menu talizmanu i wydałem dyspozycję transferu do myśliwca. Klejnot wypluł mnie prosto w stronę enta sterowanego przez Cloe. Zmaterializowałem się w przeziernej kabinie.

Na fotelu siedziała moja córeczka.

– Dzień dobry, tatku.

– Dzień dobry, Cloe.

Uśmiechnęła się.

– Cieszę się, że widzę cię całego i zdrowego.

– I vice versa, Cloe, i vice versa.

– *Jak się czujecie?* – usłyszałem men od Torkila, naprzeciwko którego wielkiej piersi wisiał entopter.

Spojrzałem na wielki topazowy talizman, który w towarzystwie rubinu i szafiru leniwie krążył wokół pieczęci Anioła Śmierci.

– *Dobrze, towarzyszu* – odparłem totowo.

Aristos trwał nieruchomo niczym posąg. Musiał przyspieszyć, żeby móc z nami rozmawiać. Jego metowa reprezentacja wyszła z ciała i uśmiechnęła się do nas.

– *Mocno cię tam sponiewierało, gamedecu?*

Przez chwilę się zastanawiałem, a potem przesłałem mu pełny pak. Powoli zamrugał i dłuższą chwilę się nie odzywał.

– Boże, co takiego mu przesłałeś? – spytała Cloe.

– A, takie męskie sprawy.

– No powiedz!

– Prześlę ci potem pak, córeczko.

– Ale wy jesteście.

Metowy Torkil odzyskał głos.

– *Khm... rozumiesz, kolego...*

– *Tak, rozumiem, musisz to przetrwać, więc tymczasem życzysz nam udanej podróży.*

– *Otóż to.*

Pozdrowiłem go salutem Ranów i opadłem na poduchy fotela.

Cloe przemknęła przez dużą część salonu *Teacupa*, mijając Pauline i Annę, i wleciała w teleport siedziby. Zafalowała teraźniejszość i wyłoniliśmy się w komnacie Arki. Siwy Charon siedział na swoim stanowisku, jakby nigdy się z niego nie ruszał. Przesłał mi men powitania, a ja odpowiedziałem tym samym.

Okrążyliśmy strażników Arki i wlecieliśmy do ula. Cloe pozwoliła, by ściany pomieszczenia wchłonęły enta. Obraz kabiny się zamazał...

...i wreszcie byłem w domu.

Wychynęliśmy z portalu wysoko na niebie. Zeskoczyliśmy na białą platformę. Rozejrzałem się. Boże, jaka to piękna kraina! Laurus mylił się, twierdząc, że Savian przebił urodę Świata Arki. Nie. Złota przestrzeń, planety wiszące jakby na wyciągnięcie ręki i Wioski Na Niebie – piękne sioła rodem z bajek.

Przywołaliśmy Orły i poszybowaaliśmy.

Podczas lotu targały mną sprzeczne uczucia. Z jednej strony cieszyłem się, że wracam do swoich, z drugiej gardło ścisnęła jakaś niewidzialna ręka. Ilekroć opuszczam Arkę, przygniała mnie myśl, że żyję... w grze. Dopóki człowiek ma wybór, tak jak prawdziwy gracz czy gamedec, sprawa jest prosta – gry są piękne i chcesz w nich przebywać. Są odskocznią od realium. Gdy jednak nie masz wyboru, sprawa się komplikuje. Zerknąłem na Cloe – jej włosy połyskujące złotem na tle różowego nieba. Ja wiem, córeczko, że

sama podjęłaś decyzję skazującą cię na bytowanie w tej rzeczywistości, ale czy cena nie jest zbyt wysoka?

Miałem wrażenie, że dziewczyna patrzy na mnie i zadaje to samo pytanie.

Na tarasie mojej siedziby czekała Patrząca w Światło, ubrana w najpiękniejsze metaliczne bikini, jakie miała, i oddychająca głęboko, przez co jej biust mało nie eksplodował, a wklęsły brzuch, jak się wydawało, przyklejał się do kręgosłupa. Na drugim, zalesionym tarasie otoczonym siecią podniebnych mostów łączących go z Wioską Na Niebie czekała już setka Taldów. Urządzali fiestę na polanie wśród latających lampionów. Pili wino, krzyczeli, tańczyli, śmiali się. Cloe ucałowała mnie w policzek i poleciała prosto do nich, a Patrząca stała bez słowa i czekała, aż zeskoczę z Orła.

Podszedłem do niej.

Wyciągnąłem ręce i powoli, centymetr po centymetrze przytuliłem się do gładkiego, pachnącego ciała.

– Jesteś – szepnęła mi do ucha.

– Jestem – odparłem także szeptem, ale wcale nie byłem pewien, czy mówię prawdę.

Cloe i Taldowie mieli mnóstwo opowieści. Talizmany rubinowy i szafirowy, konstrukcje Rubena, były podobno prawdziwymi dziełami sztuki. Jego również zaproszono na imprezę, by podziękować mu za przeżycia. Widziałem go skaczącego z Myonami przez ogień, półnagięgo, poznaczonego tatuażami, piórami, metalowymi osłonami przedramion i łydek, szczerzącego zęby, cieszącego się, że jego dzieło przypadło gamedecom do gustu. Bawił się też z nimi Konon. Był zadowolony, że wprowadzony przez niego kult Aymore'a się przyjął. Pierwszy raz widziałem go tańczącego i tak szczerze rozradowanego. W grach to był zupełnie inny

człowiek. W realium – ryba wyrzucona na ląd. W arealium – energiczny, wesoły mężczyzna. Tu był jego dom, bo tu się wychował. Ja wychowałem się w realium, więc mimo wielkiej i szczerzej miłości do wirtualiów, czegoś mi brakuje. Obok Konona tańczyła jego dziewczyna Zoe Tamburine, blondynka o wielkich akwamarynowych oczach, drobnych ustach i ślicznej figurze, którą tym łatwiej można było podziwiać, że była półnaga. Diginetka. Podobno nigdy nie weszła do rzeczywistości. Doskonała partnerka dla syna byłej Reormater.

Przysłuchiwałem się opowieściom Taldów i z ulgą przyjąłem do wiadomości, że zaimplementowane przez Konona wyznania nie były nacechowane przemocą. Mimo wszystko wiedziałem, że prędzej czy później postaram się je usunąć. Zamienić Weenów w ateistów. Młody Eim zaczął przeskakiwać przez ognisko, krzycząc wniebogłosy. Przyłączył się do niego Ruben. Spróbowałem wyobrazić sobie ich ciała w stanie dewitalizacji: Troya w airvillu o kształcie ludzkiej głowy, a Konona w *Teacupie*. Udało mi się, ale wywołało to jedynie poczucie, że obaj są podwójni. Realni i arealni. Nie miałem wrażenia sprzeczności czy przekonania, że tamci, leżący i nieprzytomni, są prawdziwi, a ci tutaj – nie. Przecież skakali, byli dotykani, trwali wśród nas. Byli tak cieleśni, tak żywi, że trudno było uwierzyć w tamten, niby-prawdziwy świat. Im dłużej siedziałem u boku Patrzającej, która opierała głowę o moje ramię, i przyglądałem się radości panującej wokół ogniska, tym bardziej realność realium przestawała być oczywista, a namacalność świata Arki przemawiała do mnie coraz silniej. I przyjmowałem tę przemianę z ulgą. Człowiek jest niezwykle elastyczny. I chwala mu za to.

Uspokajałem się.

Przestawiałem.

To dobrze, bo nienawidzę rozdarcia.

Zerknąłem na siedzącą obok partnerkę, która – czułem to – cierpliwie czekała, aż poukładam sobie wszystkie myśli. Spojrzała na mnie granatowymi oczami i lekko się uśmiechnęła. Wiedziała, co znaczy wracać do domu – figuratywnie i dosłownie.

Pogłaskała mnie po policzku, a ja poczułem, jakby spłynęła po mnie fala ciepłej wody.

Przytuliła się mocniej.

Boże, jakie to miłe uczucie.

Było ciepło, wiał lekki, kojący wiatr.

Już bardziej spokojny, bardziej poukładany wróciłem do obserwacji Taldów. Strzępki opowieści, jakie docierały do moich uszu, świadczyły, że przeżyli niezwykle przygody. Westchnąłem. Oni przeżywają ekstazy w dziełach sztuki stworzonych przez najlepszego programera Imperium, a ty, Torkilu, najpierw lądujesz w piekle gwałconych sióstr, potem zaś ratujesz przed rzezią Weenów wrzuconych w straszny świat przez sadystę RanaRa i cynicznego Saviana, do którego pewnie jeszcze przez kilka miesięcy się nie odezwiesz. Dlaczego jedni pławią się w niesamowitych cyfrowych światach, inni się nudzą, jeszcze inni walczą i giną lub stają się bezsilnymi ofiarami, a tacy jak ty robią coś zgoła dziwnego? Dlaczego tak jest? I czy to sprawiedliwe?

Oczywiście to nie jest sprawiedliwe. Bo świat nie jest sprawiedliwy, a marzenia się nie spełniają. Jeśli zaś się spełnią, to w drodze wyjątku, nie reguły, najczęściej później, niż się spodziewałeś, a wtedy już tak nie cieszą, trochę inaczej i gdzie indziej, niż miałeś nadzieję. Taka jest prawda o marzeniach. Jeśli więc czujesz się pokrzywdzony przez los, wiedz, że nie czyni cię to nikim wyjątkowym. Należysz do większości. I ciesz się, że żyjesz w Czasach Szczęśliwości, bo uwierz mi, ludzkość znała o wiele bardziej niesprawiedliwe czasy.

Odetchnąłem i z przyjemnością odnotowałem fakt, że moje nagie ramię uciska sprężysta pierś Patrzącej. Sięgnęła w stronę lewitującego stolika i chwyciła pełny puchar. Przyjąłem go z jej ręki. Ona także trzymała szkło. Wspomniałem te wszystkie chwile, gdy piłem samotnie whiskey przed oknem apartamentu. Teraz sięgałem ustami do brzegu pucharu u boku pięknej kobiety, patrząc na najbardziej zjawiskowy świat, jaki stworzono w historii gier.

I, szczerze mówiąc, nie było to takie złe.

Błyszczą na nocnym niebie planety Imperium, świeciły lampionami i ogniskami inne Wioski, krzyczały Orły latające nad naszą platformą, rozradowana Cloe opowiadała o swoich przygodach, Wiele Myślący słuchał jej z uwagą i uśmiechem, co chwila komentując historię, ona trzymała dłoń na jego udzie i widać było, że jest szczęśliwa, cokolwiek to straszliwe słowo znaczy...

Nagle dotarło do mnie, że nie będą dobrą parą, jeśli nie złączą doświadczeń i wiedzy. On musi się stać Taldem. Musi poznać prawdę o swoim świecie.

Spojrzałem na Patrzącą w Światło. A ona spojrzała na mnie.

– No i co, piękny chłopcze? – szepnęła mi do ucha. – Chcesz mi o czymś powiedzieć, prawda?

Westchnąłem, patrząc w jej szafirowe oczy.

– Tak, najdroższa.

WayEmpire
01 Secundi 233 EI

Po krótkim bezzałogowym zwiadzie *Nemesis* dowiedzieliśmy się, że istotnie

stołeczna planeta Ojców została przez CIII ocalona, a po niebywalej ekspansji tej cywilizacji pozostało w galaktyce Andromedy jedynie kilkaset supernowych i kilka tysięcy nowych czarnych dziur. Wypadałoby tutaj dodać, że twierdzenie, iż planeta Waruitów zawierająca pałac króla została ocalona, jest pewnym... uproszczeniem. Owszem, nie została anihilowana w niewiarygodnych eksplozjach słońc czy wessana przez kolapsary, jak wszystkie inne globy, jednak trudno uznać, że to, co pozostało ze skorupy, tak dosłownie ocalało. Obszar wokół baszty, przy której walczył arcydiabeł, był w promieniu dziesięciu kilometrów wyjałowiony, a budowle zostały niemal bez wyjątku pokruszone, jakby ktoś zmełł je na pył. Grunt przecięły rzeki magmy, co zamieniło go w archipelag skorup pływających po płaszczu planety. Wyspy te były, co oczywiste, niestabilne i od czasu do czasu któraś tonęła. Tereny położone dalej od tego epicentrum również były pocięte strumieniami lawy i nie nadawały się do użytku. Gdyby ktoś myślał, że na tym dewastacja się skończyła, popełniłby błąd. Jeszcze tysiąc kilometrów dalej w każdym kierunku wulkany rozbiły okalające je wzmocnienia i zalewały olbrzymie obszary jezorami płynnej skały, a niebo zasnuwały obłokami czarnego popiołu. Praktycznie połowa globu, której centrum stanowił pałac, została zniszczona. A i druga część planety nie szalała z radości. Targały nią trzęsienia ziemi, huragany i tornada. Glob chorował i każdy logicznie myślący człowiek zdawał sobie sprawę, że szybko nie wyzdrowieje.

Tymczasem mało kto martwił się losem mieszkańców nieszczęsnej planety, bo kto przejmuje się kondycją przegranych? Budda, niedzielący wad rodzaju ludzkiego, wysłał nad konający glob flotę statków, których zadaniem było zaopiekowanie się ocalałymi, zbadanie planety oraz zabezpieczenie jej, na wypadek gdyby skrywała jakieś przykre niespodzianki. Nikt tego nie podejrzewał, ale przezorny... i tak dalej.

Po trzech dukilach od dnia naszego zwiadu przy Pałacu Imperatorskim, gdy planety WayEmpire zakończyły kwarantannę, a cywilizacja CIII wciąż zachowywała się pokojowo, ludzkość, jeszcze nie wierząc we własne szczęście, postanowiła wrócić do domu. Oprócz zrozumiałej radości przez światy przetaczały się dyskusje i spory niezmiennie dotyczące tylko jednego tematu: kim lub czym jest tajemniczy zbawiciel Imperium? Najpopularniejsza teoria głosiła, że Strażnik, jak wkrótce nazwano przedstawiciela CIII, to bardzo późna odmiana żołnierza Toy Soldiers przysłana dla naszej ochrony przez nas samych, oczywiście z dalekiej przyszłości. Choć brzmiało to jak bajka dla dzieci, zdawało się wyjaśniać także przestach króla widzącego nasze godło na naramiennikach. Być może Strażnik dał łupnia Ojcom również bardzo dawno temu. Niestety, ta hipoteza nijak nie wyjaśniała, jakim cudem zbawiciel, jeśli był naszym potomkiem, znalazł się w tym samym kontinuum czasoprzestrzennym co my – przecież podróż w czasie powinna była go przenieść do innej rzeczywistości równoległej. Powstawała niemożliwa pętla: napadają na nas Warui, broni nas Strażnik, WayEmpire rozwija się przez eony, dochodząc do poziomu CIII, i wysyła w przeszłość wojownika Toy Soldiers, by obronił ją w przeszłości... Wybaczcie, ale od takich wstęg Möbiusa puchnie mi głowa. Bo przecież, jeśli napadli na nas Ojcowie, to zginęliśmy, nie mogliśmy się więc rozwijać i wysłać Strażnika! Jedynym rozwiązaniem była właśnie ta pętla – nasza rzeczywistość została uzależniona od pomocy z przyszłości. Nikt nie wpadł na lepszą teorię, zatem ta, chociaż brzmiała, przyznajcie, niedorzecznie, pozostała w mocy. Behemot niestety nie spieszył się z wyjaśnieniami. De facto zamilkł i kontakt z nim się urwał, jakby w ogóle go pod Pałacem Imperatorskim nie było. Za to pojawił się drugi – na orbicie jedynej ocalałej planety Waruitów, którą jakiś dowcipniś nazwał Vaterlandem. Przeniosło tam na wszelki wypadek swoją siedzibę kilkadziesiąt Erri Widzących, a po

konsultacjach z ImBu wywindowano na orbitę czerep arcydzieła i uruchomiono jego działa inotronowe. Następnie wysłano tam jeszcze pięć Maodionów, których zadaniem było pełnienie straży przy tym artefakcie, ale że usytuowanie Vaterlandu nie było miłe i sam widok globu zniechęcał, obiecano, że co dwa pendeki obsada będzie się zmieniać.

Tak więc...

Mamy teraz sporo ponad tysiąc planet w Drodze Mlecznej, zaczątki kolonii w Andromedzie Strażnika, Jednego Smoka i Imperatorkę, która... no właśnie.

ImBu w końcu zebrał się w sobie i zasugerował uwolnienie Weenów z okowów wyznań. Oczywiście Imperatorka do sugestii tej się nie zastosowała. I chociaż przez jakiś czas było ją widać w wielu miejscach – i nad Vaterlandem, i nad planetami Rubieży oraz Macierzy – a wszędzie wzbudzała zachwyty, ściągając do swojej vii coraz więcej wyznawców, ostatecznie gdzieś zniknęła. Było to tym dziwniejsze, że wydawało się, iż uznanie jej za jedną z trzech sił sprawczych Imperium – po Buddzie i Imperatorze – jest już pewnikiem.

My, rzecz jasna, wciąż mieszkaliśmy w *Teacupie*, Nexus wrócił do *Ulissesa*, Laurus do *Bashinga*, Tanya „Paula” Kitaro do swojego *Walkera*, którego postanowiła trochę odświeżyć, po czym dołączyła do czoła mojej karawany. A gdy nadszedł czas, skierowaliśmy się do rajy Wiz, gdzie oczekiwaliśmy narodzin... Baltazara i Laury.

Ledwo jednak ulokowaliśmy karawanę nad Tris, Imperator poprosił mnie, bym ją opuścił i samotnie, bez orszaku, ruszył w kierunku płaskowyżu Wielkiej Pięty, jak został nazwany jeden z masywów na zachód od stolicy Wiz. To z niego wznosił się w górę jeden z gigantycznych filarów rajy

planety. Zdziwiłem się, ale że Imperator wiele przeszedł podczas ostatnich zmagañ, uznałem tę prosbę za jego nową ekstrawagancję.

Wylądowałem na pylistej czerwonej powierzchni i czekałem na jego głos.

Droga Mleczna

Macierz

Planeta Wiz, raj

Sektor P 52362

01 Secundi 233 EI, 09.00 H

Vivien Lacroix wisiała przed wielkim oknem *Biegnącej po falach* i patrzyła na długą wię, która ciągnęła się za airvillem Imperatorki. Twarz kobiety, mimo że oświetlona magicznym słońcem Wiz, była blada i zmęczona.

– Ben? – odezwała się do mężczyzny, który leżał na zawieszonym w powietrzu szezlongu i przeglądał jakieś dane.

– Tak? – odparł, nie podnosząc wzroku.

– Co my tu robimy?

– To jest nasze największe zadanie, kochanie.

Usta kobiety wykrzywiły się w grymasie drwiny.

– Nasze?

Torres spojrział na nią uważnie, podniósł się i podpłynął do niej. Była odwrócona plecami. Dotknął jej ramion.

– Moje... jeśli chcesz – szepnął.

Vivien przełknęła ślinę, jakby połykała kwaśną cząstkę pomarańczy.

– Jakie to zadanie?

Ben wskazał brodą w kierunku odległego początku karawany. Nie sposób go było dostrzec, bo zakrywały go niezliczone latające domostwa.

– Ta wstrętna baba.

– Imperatorka?

– Wiesz, jakie plotki o niej krążą?

– Ma pięćdziesiąt talizmanów razy nieskończoność. To niemożliwe.

Korsarz machnął ręką.

– Tak czy owak, pięćdziesiąt. Z wyjątkowo wrednym kultem lęku.

– Ben, kochanie – Lacroix odwróciła się i położyła rękę na karmazynowym naramienniku mężczyzny – nie dostaniesz jej. To bogini. Widziałeś, co się dzieje z przestrzenią wokół niej? Wszystko się wygina. Jest jak Ran. Gorzej niż Ran.

Mężczyzna zacisnął usta.

– Muszę spróbować.

– Ma świętę inżynierów z Dharmy. O tym Gustavie Aardzie mówi się, że nigdy nie śpi. To forteca. Nienaruszalna.

– Dlatego mnie podnieca.

Lacroix długą chwilę milczała, patrząc pod stopy, gdzie unosiły się meble głównej kajuty *Biegnącej po falach*. Tuż nad oknem podłogowym i obok półki z książkami lewitował jej ulubiony fotel.

– Kochanie, jestem zmęczona tą krucjatą.

– Wyzwalaniem talizmanów? Ależ teraz mamy przyzwolenie od ImBu. To najważniejsza rzecz, jaką można robić w WayEmpire! Wreszcie na wielką skalę! Mamy mnóstwo zwolenników, tu, w tej karawanie! Tu są nie tylko świry Hana, ale też nasi ludzie!

– Twoi ludzie, Ben.

Torres spojrzał jej w oczy.

– Viv, co ci jest?

Kobieta spojrzała w bok, unikając jego wzroku. Potem wyszeptała:

– Wiem, że robisz ważne i piękne rzeczy. I wiem, że to jest... potrzebne. –

Zwróciła do niego twarz i ciągnęła mocniejszym głosem: – Ale nie urodziłam się po to, by nieustannie o coś walczyć. Chciałabym... chciałabym, żebyś walczył o mnie. O mnie. Żebyś mnie wyzwolił, żebyś mnie... Chciałabym znaczyć dla ciebie coś więcej.

Mężczyzna uśmiechnął się z przymusem.

– Ale przecież znacysz...

– Nie, Ben. – Pokręciła głową. – Nie. Obserwuję nasz związek od dawna. Atakujesz airville, pancerniki i karawany, rabujesz, wchodzisz w talizmany, ateizujesz. Ale ani razu od pięciu cykli niczego nie zrobiłeś dla mnie. Ze mną. To ja wciąż robię coś dla ciebie, dla twojej sprawy. Jesteśmy parą, bo ja idę za tobą, a nie dlatego, że gdzieś idziemy razem. To duża różnica.

– Myślałem, że rozumiesz...

– Rozumiem. Rozumiem. – Dotknęła czoła. – To istotna walka. Ale jestem kobietą. Potrzebuję mężczyzny, który by mnie adorował...

– Vivien, kochamy się najmniej raz na trzy dni!

– Ben! – Spojrzała na niego gniewnie. – Seks to nie wszystko! Żyjemy na jednej krypie z bandą popaprańców, dzielimy z nimi kajuty, posiłki, wszystko!

– Na wielu airvillach żyją stada...

– Ale u nas jest inaczej. Ron, Jack, Gwyneth, wszyscy są dla ciebie tak samo ważni jak ja. Jestem członkinią załogi.

– Nie mów tak.

– Będę.

– Nie mów... O rany.

Vivien uniosła brew.

– Tak?

– Imperatorka oddzieliła się od karawany. Leci w dół, w kierunku Wielkiej Pięty. Zabroniła za sobą podążać. To jest okazja!

– Ben?

– Kochanie, dokończymy tę rozmowę za kilka hekt, dobrze? To jest okazja. Czekał, muszę się skontaktować z resztą... – Odwrócił się od niej i zaczął nadawać mentalne instrukcje.

Droga Mleczna

Macierz

Planeta Wiz, grunt, płaskowyż Wielkiej Pięty

01 Secundi 233 EI, 09.00 H

Nie minęło pięć mon od przyziemienia, gdy mój SaintDroid rozblęsnął światłem. Zjawił się jego świątobliwość.

– *Panie? Chciałeś ze mną rozmawiać?* – spytałem mentalnie.

– *Tak, Torkilu.*

Zobaczyłem jego półprzezierną, uśmiechniętą twarz na tle zamazanych odległością wież Tris.

– Jak się czujesz? – odezwałem się na głos.

– *Dziękuję, wszyscy zdrowi.*

Roześmiałem się. Ezra wciąż miał poczucie humoru.

– Słucham cię.

Stary człowiek podrapał się w siwą głowę. Dziwne. Nigdy przedtem tego nie robił.

– *Widzisz, teraz, gdy nie jestem pewien, jak się potoczy sprawa mojej tożsamości, myślę, że nastał czas na... pogawędkę.*

– Pogawędkę?

– *Torkilu, proszę cię, skup się.*

Frin oznajmił, że otrzymał ciąg cyfr. Był bardzo długi. Sam się spakował

i zachował w stworzonym przez siebie katalogu „Łaska Rana”.

– Co to jest, panie?

– *To klucz do permanentnego wyłączenia wszystkich moich istnień.*

Wytrzeszczyłem oczy.

– Dlaczego?!

– *Jeśli kiedyś zauważysz, że zaczynam szkodzić ludzkości, po prostu wprowadź ten ciąg liczb do systemu Buddy. Zniknę na zawsze. Moje życie jest w twoich rękach, Błogosławiony.*

– Próbujesz ze mnie kpić, Ezra?!

– *To nie ja. To on.*

– Panie, nie czas na żarty! Naprawdę mi to dałeś? To nie trik?

– *Nie ma żadnego triku, Torkilu.*

Patrzył na mnie poważnie. Rany boskie.

– Dając mi ten kod dezaktywujący, faktycznie przekazujesz mi...

– *Władzę?*

I w taki właśnie sposób stałem się jednym z ostatecznych władców WayEmpire. Prosto, niedostrzegalnie, banalnie. Kto by pomyślał, że można to tak zrobić?

– *Nazwałem ten kod Łaską Rana. Może być?*

– To nie jest zabawne, Gorgon.

– *Ale nie wrywaj się z jego użyciem, Torkilu. Pamiętaj, że jeśli z niego skorzystasz, będziesz musiał zająć moje miejsce.*

– W sieci?

– *Nie można pozostawić Buddy samego.*

– W takim razie dziękuję, nie skorzystam.

– *Nigdy nie mów nigdy, Torkilu.* – Roześmiał się. – *Mnie także kiedyś wydawało się to niemożliwe. A teraz, sam widzisz...*

– Panie, to niebezpieczne.

– Co?

– Te liczby. Ta Łaska. Nie powinieneś być mi tego przekazywać. Wykasuj to. Taki klucz w ogóle nie powinien istnieć.

– *Dlaczego?*

– Gdyby ktoś się dowiedział, gdyby ktoś o nim usłyszał...

Rozległ się szum. Najpierw wydawało mi się, że to tylko wzmagający się wiatr wokół filaru rajy, ale chwilę później szum zamienił się w huk. Z gruntu wzbil się rudy pył. Podniosłem głowę. Obniżał lot duży, czarny airvill. Wyskoczyła z niego Imperatorka, jak zwykle tylko w powłóczystej sukni, z koroną na głowie, w tęczy animacji i iluzji. Jej szaty z furkotem spływały za nią, a pancerze inżynierów z Dharmy połyskiwały w słońcu Wiz. Znalazła się przede mną, otoczona dwudziestoma pięcioma ochroniarzami z Gustavem Aardem na czele.

– Witaj, Torkilu – odezwała się mszystym głosem, a w mojej duszy zaczęły śpiewać anioły. Przestrzeń wokół niej się ugięła, wszystko zaczęło nabierać sensu...

Zerknąłem na niebo nad jej głową. Tkwiła tam długa karawana. Z pewnością była to jej via.

– Witaj, Imperatorko. Nie widziałem cię od jakiegoś czasu – odpowiedziałem z uśmiechem.

– Ale teraz mnie widzisz.

O, tak. Jaka ona piękna...

– Czemu zawdzięczam tę wizytę?

Wyciągnęła do mnie rękę i poczułem potężny nacisk na krtań.

– Temu.

– *Monika! Lee!* – krzyknąłem mentalnie, bo nie mogłem wydobyć głosu. Ona... to niemożliwe, ale ona... mnie atakowała!

Z nicości wychynął Demon, rozszarpując przestrzeń tak mocno, że strzępy

rzeczywistości łopotały dookoła niczym mokre szmaty. Anielica rozpostarła nade mną skrzydła, usłyszałem mocny, basowy pomruk i ucisk nieco zmalął, ale wciąż ledwo łapałem powietrze.

– *Lee!* – szepnąłem mentalnie, przewyciężając afekt do kobiety. – *Bie... Bierz ją!*

Czart urósł i rzucił się na nią, ale każdy jego zamach ją omijał, jakby była zawieszona w równoległej przestrzeni albo jakby on sam nie chciał jej zranić. Imperatorka zaczęła się śmiać. Jej głos powtórzyło echo odbite od filaru rajy.

Obraz Imperatora zniknął. Zamiast niego pojawił się w powietrzu komunikat:

Próba otwarcia Łaski Rana.

Nie! Rany boskie, nie!

– Torkil, jestem za tobą! – usłyszałem męski głos. Frin zidentyfikował Bena Torresa. – Napieprzać dziwkę!

Wsteczna kamera ukazała *Biegnącą po falach*, która razem z kilkunastoma innymi airvillami wychynęła zza filaru rajy i otworzyła ogień. Całkiem solidny ostrzał plazmowy. Dookoła kobiety pojaśniało od salw. Kilku inżynierów zachwiało się, zaiskrzyło i w dymie zważyło się w dół.

Wykorzystałem to, skoczyłem w górę i przywołałem największego Skymoura, jakiego mogłem zbudować w tak krótkim czasie. Niczym zstępujące z nieba tornado moduły wielkiej zbroi zaczęły obudowywać się na mnie, jednak nie nadbudowałem jeszcze nawet jednej trzeciej tego, co chciałem, gdy zobaczyłem komunikat:

Transfer Łaski Rana zakończony.

Wstrzymałem budowę. Pancierz, który się na mnie uformował, miał około trzydziestu metrów wysokości. Teraz Imperatorka wyglądała przy mnie jak wiewiórka przy człowieku. Wisiała na wysokości mojej piersi.

– Do diabła, nie rób tego! – krzyknąłem.

Podniosła rękę. Wziąłem zamach, ale wyhamowałem ruch, który miał ją zmiażdżyć. Nie mogłem. Nie mogłem tego zrobić. Coś psuło się w zbroi, ona była zbyt piękna, puchło powietrze między moją pięścią a jej sylwetką. Lee warczał i syczał na prawo ode mnie, Monika patrzyła na nią nienawistnym wzrokiem, ale ani jedno, ani drugie nic nie potrafiło zrobić.

– Nie rób tego! – krzyknąłem błagalnie.

– Ja pierdzielę, jaka ona piękna – usłyszałem głos Torresa. No tak. Kawaleria zawiodła.

– Torkilu – odezwała się łagodnym głosem. – Czy nie będziesz szczęśliwy pod moimi rządami? Nie wolisz żywej kobiety, bogini, od cyfrowego schizofrenika?

– Dlaczego to robisz, piękna pani? Po co nam pomagałaś?!

Uśmiechnęła się znowu.

– Och, to przecież proste. Gdyby ludzkość przegrała, kim miałabym rządzić? To byłoby bez sensu. Ratowałam swój świat. Swój świat – powtórzyła, akcentując pierwsze słowo. – Wziąłem sprawy we własne ręce i zrobiłam porządek. A pomagając słynnym Aniołom Śmierci, zbliżyłam się do elit i władcy. Teraz po prostu stawiam kropkę nad „i”.

Airville Torresa podpłynęły do mnie. Miałem jego krypę na prawo, a resztę floty na lewo. Było tego dwadzieścia domostw.

– Pani – wydusiłem z siebie, przezwyciężając wewnętrzny opór – nie wiesz, co robisz. Imperator jest wszędzie. Czy będziesz w stanie go zastąpić?

– Na tym właśnie polega problem. Jest wszędzie, Błogosławieni są wszędzie, wszyscy są wszędzie. Ten chory brak hierarchii doprowadził do

osłabienia Imperium. Ja przywrócę porządek. I nie będę wszędzie.

Wyciągnąłem do niej wielką pancerną rękę.

– Proszę cię...

– Za późno, Torkilu.

Wydała dyspozycję niszczącą władcę WayEmpire. Poczulem to wszystkimi komórkami ciała. Biła od niej fala za falą, a każda następna była wyższa, radośniejsza, kojarząca się z błękitną wodą. Jakaż była szczęśliwa! Wreszcie osiągnęła cel! Teraz będzie niepodzielną władczynią ludzkości. Budda, pozbawiony Ezry, będzie musiał jej słuchać, a ona sama, niezniszczalna i uwielbiona, zaprowadzi porządek zgodny ze swoją wizją! Patrzyliśmy na to totalnie bezsilni, ledwo panujący nad chorą fascynacją.

Jej zbroja zaczęła się wybrzuszać. Nowa władczyni świata przebudowywała pancerz, by uczynić go bardziej spektakular... Nie, to nie było to! Jej twarz przybrała siną barwę. Najpierw ledwo zauważalnie, potem wyraźnie. Spojrzała na mnie zdziwiona, a wraz ze zmianą koloru skóry jej zdziwienie przeszło w trwogę. Uderzyły we mnie fale cierpienia, jakby w jej ciele zaczęły eksplodować bomby. Otworzyła usta i wyszczerzyła świecące zęby.

– Przeklinam was wszystkich!

Odrzuciło mnie. Airville po obu stronach zachwiały się i także poleciały w tył.

– Przeklinam WayEmpire i Imperatora! *Przeklinam was! Całe Imperium!*

Teraz fala uderzeniowa odrzuciła również inżynierów. Potoczyli się jak kamyki rzucone w dół wzgórza. Równina wygięła się, jakby Imperatorka tkwiła na szczycie góry. Bijące od niej fale pchały nas do tyłu. Oparłem się o filar raj, bojąc się, że ten huragan mnie zmiążdży.

– *Niech nigdy nie zazna spokoju, niech szczęście rozdarte wojnami!*

I eksplodowała w gejzerze krwi i odłamków zbroi! Ostatnie tsunami było

tak potężne, że prawie rozgniotło mój pancerz na filarze, a towarzyszące mi airville pomknęły w tył, jakby były płatkami kwiatów zdmuchniętymi przez potężny wiatr. Moja dusza, niby pchana niewidzialną siłą, chciała się wydostać z mózgu, ale po chwili wróciła na swoje miejsce. Pociemniało mi w oczach. Głowę chciał rozsadzić ból. W czaszce mieszały się rozpacz i bezsilność. Ten wir nie chciał się uspokoić. Znalazłem się na dnie mrocznego oceanu, który nigdy nie widział światła, który był duszny i pozbawiony nadziei...

Przewyciężając ciężkie powieki, podniosłem wzrok. Mroczki przed oczami powoli ustępowały. Chmura czerwonej mgły i strzępy szat wirowały w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą tkwiła Imperatorka. Inżynierowie, rozrzućeni w promieniu kilkuset metrów, patrzyli zdumieni, wznosząc ręce, jakby chcieli pozdrowić coś, co już nie istniało.

– *Efendi* – usłyszałem telepatyczny przekaz Tella – *nie wiem, jak to powiedzieć, ale... stało się coś bardzo złego.*

Tkwiłem wprasowany w filar. Aura spowijająca Imperatorkę nie zniknęła. Była tak samo silna, ale już nie miała celu, nie miała kierunku, wyparowały fascynacja i zauroczenie. Pozostała tylko mgła świętości.

Mogłem wreszcie normalnie rozumować.

Czułem, jak po wszechświecie rozchodzi się, niczym puchnący bąbel, wola zniszczenia. Ostatnie przekleństwo tej kobiety.

– Mówiłem – stęknął Torres gdzieś z oddali; musiał sobie zrobić krzywdę – że nie można ufać dziwce, która karmi się wyznaniem poniżonych Myonów...

– Panie? – odezwałem się na głos. – Panie?!

– *Na Buddę, Torkil* – znowu telepatyczny przekaz Tella. – *Ja pierdolę, co to babsko zrobiło!*

Wiszący nade mną SaintDroid rozblęsnął światłem. Zobaczyłem Ezrę.

– *Jestem, Torkilu.*

Otworzyłem szerzej oczy.

– *Jakim cudem żyjesz, a ona zginęła?!*

– *To w sumie proste. – Uśmiechnął się smutno. – Gdy przekazała ci do talizmanów uwięzionych Taldów, przekazała także wirusa, który śledził twoje poczynania.*

– *Wiedziałaś o tym?*

– *Ależ tak. Cały czas cię śledziła, bo przesłałem jej za pomocą frina sugestię, że powierzę ci „wielką tajemnicę”. Jej mózg odebrał to jako coś w rodzaju... przeczucia. Musiałem się upewnić co do jej intencji, wiedzieć, co knuje. Gdy usłyszała, że chcę rozmawiać z tobą na osobności, „przečuła”, że chodzi właśnie o to. Ujawniła się i postanowiła skorzystać z okazji.*

– *Wciąż nie rozumiem.*

Starłem się skupić na rozmowie, ale przeszkadzało mi poczucie, niemal namacalne, że fala zła zaraża całe WayEmpire. Widziałem ją oczami wyobraźni, czułem, jak słabsze umysły załamują się pod jej naporem, krzywią się, karleją, wynaturzają.

– *Łaska Rana – ciągnął Nemezjus – nie była przeznaczona dla mnie, lecz dla niej. To złożony kod, który, gdyby go chciał wgrać komuś na siłę, zostanie odrzucony przez frin. Ma taką strukturę, że aktywuje się dopiero wtedy, gdy uruchomi go właściciel, i to z pełną wolą jego odpalenia. Frin pyta o zgodę, tak jak w przypadku każdej groźnej aplikacji. A potem jest bum. Gdy frin ulega zniszczeniu, ulega zniszczeniu jego posiadacz. Miliardy minieksplodcji zamieniają się w wielki wybuch. Imperatorka, swoją drogą miała na imię Ooma'o'Tann, była niezniszczalna w tym sensie, że nie mógł jej zrobić krzywdy nikt oprócz niej samej. Była niezniszczalna w wielu miejscach wszechświata. Ale nie jako Sitizenka WayEmpire.*

– *Cały czas ją podejrzewałeś?*

Imperator zacisnął usta.

– *Pomyśl. Torres już to powiedział, a Błogosławiony nie może zrozumieć? Czy może być dobrym człowiekiem ktoś, kto w najgorszy możliwy sposób wykorzystuje nieskończoną liczbę Myonów, ludzi dokładnie takich jak my? Zwłaszcza że sam był kiedyś... Weenem?*

– *Słucham?! Imperatorka była Myonką?*

– *Najprawdopodobniej, Torkilu.*

– *Ale...*

– *Wyjaśnimy to później. Tymczasem spójrz na tych biedaków...*

Szmaty i krwawa mgła opadały, a w ich miejscu wirowała, niczym zagubiony rój, pięćdziesiątka klejnotów. Struktura talizmanów jest bardzo spoista. Udowodniły to już na Vaterlandzie. Wytrzymały eksplozję właścicielki. Nie było pewności, czy wytrzymały klątwę... Z logicznego punktu widzenia nie dotyczyła ich, a – uwierzcie mi – w takich sprawach jest to istotne.

Inżynierowie podlatywali bliżej, starając się ogarnąć bezmiar swojej straty, ale po ich twarzach widziałem, że są kompletnie zagubieni. Nie. Nie tylko zagubieni. Podziałała na nich klątwa. Obrócili na mnie wściekłe oblicza. Było w nich coś niezrozumiałego, rozszczepionego, jakby schizofrenicznego.

Niewiele myśląc, użyłem Siewcy i zaatakowałem ich jądra migdałowe. Twarze natychmiast się wygładziły, ale nie miałem pewności, czy to wystarczy. Najprzytomniej z nich wszystkich wyglądał Gustav Aard.

– *Ja pierdołę... – jęczał Torres. – Ja pierdołę...*

– *Sicie Torres? – nadałem. – Żyjesz? Inne airville przetrwały?*

– *Tak sędzę, chociaż potargało nimi naprawdę zdrowo. Co to było, do kurwy nędzy? Przecież nie wiatr i nie wybuch!*

To było dobre pytanie. I znałem na nie odpowiedź.

– *Fala soulerska.*

– Co?!

– Dotąd widziałem coś takiego tylko w przypadku wybuchów Erri.

– Erri wybuchają?!

Pociemniało. Na cudownie czystym niebie Wiz pojawiły się chmury.

– Czekał – stęknął Torres – wiem, jak je złapać.

– Co?

– Te przeklęte talizmany. Przecież po to tu zleciałem...

Wydał dyspozycję i z jego poharatanej łajby, która zdążyła do mnie podpłynąć z resztą zrujnowanych airvilli, wyfrunął podobny do korsarza robot ciągnący drewniane pudło, które wyglądało jak piracka skrzynia skarbów.

Gdy dron zbliżył się do roju, który wciąż otaczała niezwykle silna emanacja, ruszyło w jego kierunku kilku inżynierów z Gustavem Aardem na czele.

– Panowie – ostrzegłem ich – pobłądziliście, ale macie wciąż szansę na życie i rehabilitację. Nie róbcie więcej niczego głupiego, porozmawiajcie z Besebu...

Usłyszałem szum. Podniosłem głowę. Właśnie hamował nad nami Dragonforce. Nie skończył wytracać prędkości, gdy wyskoczył z niego Ran odziany w czarny pancerz. Otworzył hełm i zobaczyliśmy Samuela Kroza.

– *Dobrze cię widzieć, mistrzu* – wysłał tot.

– *Szybka reakcja.*

– *Czego się spodziewałeś? Jestem w twojej karawanie, wyczułem niezwykle silny soulerski...*

– *Wybuch?*

– *Właśnie.*

Przekazałem mu tot z przebiegiem zdarzeń. Odpowiedział menem zaskoczenia. A potem smutku, bo także odebrał rozchodzącą się falę

przekleństwa. Opatrzył swój przekaz niepokojem o przyszłość Imperium. Odparłem, że najpierw powinniśmy się zająć tym, na co mamy wpływ.

- *Pryncypium strefy wpływu z Zasad Primusa?*
- *Jeśli musisz przywoływać tę księgę...*
- *Oczywiście, że muszę.*
- *Zabierz tych... jak tu ich nazwać... – Wskazałem kursorami inżynierów.*
- *Zdrajców?*
- *Dobrze ujęte. Weź ich i zrób to, co czyni Besebu w takich sytuacjach.*
- *Tak jest, mistrzu.*
- *Kroz, przestań.*
- *Wedle rozkazu.*

Z Dragonforce'a wypłynęły jeszcze dwie kopie Samuela, obie odziane w Coremoury. Wydały mentalne rozkazy inżynierom, a ci zachowali się tak, jakby ktoś z nich wypuścił powietrze. Zwiesili głowy i popłynęli w stronę więziennego luku pojazdu. Łaska Imperatora poinformowała, że Kroz użył Siewcy w sposób o wiele brutalniejszy niż ja. Pojętny uczeń.

– Dobra – sapnął Torres wiszący w otoczeniu swoich korsarzy nad głównym pokładem *Biegnącej po falach*. – Teraz trzeba te maleństwa po prostu połapać.

Trzymający skrzynię dron wyciągnął mechaniczną dłoń i spowodował, że klejnoty, jak pszczoły pozbawione królowej, zaczęły wlatywać do pudła.

– Dobre kamyczki, dobre – szeptał Ben, aż wszystkie klejnoty znalazły się w drewnianym pojemniku. – Teraz to prawdziwa skrzynia skarbów.

- Torres? – odezwałem się.
- Tak?
- Wydawało mi się, że nie lubisz Imperatora.
- Ale o co chodzi?
- Dlaczego mi pomogłeś?

- Nie lubię, gdy ktoś dręczy Weenów.
- Co na to twój kolega?
- Han Fierce nie jest moim kolegą. Za to ty kiedyś byłeś. Pamiętasz...

Torkil?

O czym on mówi? Zaraz...

- Torres? Pirat z Dream Space?
- Czyli jednak pamiętasz. – Wyszczерzył zęby. – Może się kiedyś spotkamy? Pogadać o starych, dobrych czasach? – Chrząknął. – A tymczasem... Co z tym zrobimy?
- Zostaw mi tę skrzynię. Jak się czujesz?
- We łbie mi się kręci, ale poza tym daję radę.
- Przyjrzyj się ludziom. Obawiam się, że część z nich... się zmieni.

Droga Mleczna

Macierz

Planeta Wiz, raj

Sektor P 52363

01 Secundi 233 EI, 09.87 H

Ben Torres wracał do dawnej vii Imperatorki, teraz już niczyjej, we wcale dobrym humorze, biorąc pod uwagę, że jego airvill został poważnie uszkodzony, a on sam znalazł się niemal w epicentrum klątwy. Jego komilitoni i załoganci innych airvilli, którzy przyłączyli się do ruchu RIOT, także wydawali się zadowoleni. Soulerska fala Imperatorki najwyraźniej nie dotknęła ich dusz. Byli zbytnimi idealistami, by jej się poddać. Nie skalała też Błogosławionego Torkila Aymore'a, byłego gamedeca, skonstatował. Niesamowite, jak losy ludzkie się splatają. Najpierw dawno temu, na

Damnacie, ich ścieżki splotły się w przedziwnych okolicznościach, a teraz znowu, ale zupełnie inaczej i w zupełnie innym świecie...

Torres spojrział na swoich towarzyszy. Mimo że *Biegąca po falach* była połamana i zdewastowana, wszyscy wiwatowali i klęli wniebogłosy. Ktoś wytargał z piwniczki beczkę rumu i zaraz nad pokładem krypy rozsunął się zapach alkoholu.

– Imperatorka nie żyje!

– Niech żyje RIOT!

– Daliśmy jej łupnia!

I tak dalej. Nikomu nie przeszkadzało, że de facto to nie korsarze pokonali wściekłą babę, ale ona sama jakimś cudem się rozpuczyła. Komilitoni Torresa pokrzykiwali, latali wokół masztów i proporców, śmiali się i dowcipkowali, nie bacząc na to, że przed chwilą na własne oczy widzieli, jak człowieka rozrywa niezrozumiała siła. Widzieli krew i strzępy pancerza. Widzieli różową mgłę. Zakończenie ludzkiego życia. A mimo to świętowali. Dlaczego? Być może widzieli w tej kobiecie po prostu zbrodniarkę, którą spotkała sprawiedliwa kara. Nieważne już było, że gdyby nie ona, WayEmpire prawdopodobnie by nie przetrwało. Teraz liczyło się tylko to, że ciemżycielka została pokonana.

Ucichli jednak wszyscy, gdy drogę zastąpił im *Grendel*. Trwał na tle odległego nieba i pobliskiej karawany niczym tytan przeznaczenia: milczący i złowrogi. Nad jego głównym tarasem wisiał Han Fierce otoczony swiłą wyznawców, w tym siwobrodym mężczyzną i czarnowłosą kobietą, których poznał na wygnaniu. Mężczyzna nazywał się Toth Karna, a kobieta Uma Black. W ostatnich dniach stali się najbliższymi współpracownikami Hana. Otaczający Fierce'a tłum był o wiele większy niż wtedy, gdy pierwszy raz odwiedzili Torresa i zabójcę Błogosławionego. Frin korsarza policzył tych ludzi i oznajmił, że kręcą się tam trzysta pięćdziesiąt dwie osoby. Pirat

doskonale wiedział, że to tylko najbliżsi, najzagorzalsi jego zwolennicy. Bo osób, które podziwiała asasy, były tysiące. Dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy.

Han opierał ręce na biodrach i mierzył Bena niedobrym spojrzeniem. Kapitan *Biegnącej po falach* nakazał Ronowi zrównać pułap z głową *Grendela*, polecił, by inne biorące udział w akcji airville ustawiły się równolegle do krypy, po czym wznosił się nad najwyższy maszt i wywołał połączenie z Fierce'em w wersji ogólnodostępnej, tak by mogli ich słyszeć wszyscy uczestnicy vii. Kątem oka dostrzegł, że dużo Sitów wylatuje ze swoich airvilli i przygląda się przedstawieniu. Zapewne poczuli falę wywołaną przez Imperatorkę i teraz, zaniepokojeni, szukali jej przyczyny. Przed oczami flibustiera ukazała się wściekła twarz Fierce'a.

– Coś ty zrobił, idioto?

– Po pierwsze, zwróć uwagę na język, bo słucha nas wielu Sitów, po drugie, to bardzo niemiłe powitanie. Najpierw powinieneś powiedzieć „Dzień dobry” albo „Pozdrawiam cię, Sicie”.

Han milczał, a jego wściekłość powoli zamieniała się w furię.

– Po trzecie – podjął Ben, zdawszy sobie sprawę, że Fierce go nie powita – to nie ja coś zrobiłem, tylko ona sama, używając tak umiłowanej przez ciebie Wolnej Woli, się wysadziła...

Załoganci *Biegnącej po falach* parsknęli śmiechem.

– I to jak!

– Brałeś w tym udział! – odparł Han, zaciskając usta.

– Tak. Widziałem, co się stało. I jestem z tego dumny. Ty z pewnością żałujesz, bo nie dane ci było oglądać historycznego wydarzenia.

– Nie rozumiesz, kretynie, że to była jedyna sensowna przeciwwaga dla tego, co się dzieje w WayEmpire? Nie rozumiesz, że ona mogła przywrócić wreszcie ład?!

– Obalając Imperatora?

– Obejmując władzę! Realna kobieta, realne rządy, realna hierarchia! Porządek! Nie rozumiesz tego?! – Twarz Fierce'a pociemniała. Nie to, że zsiniał. Stał się jakiś... szary.

– Nie do końca, Han. Trochę się z tobą zgadzam, trochę nie. Ty szukasz sensu w strukturze, a ja... bardziej w sobie.

– Kurwa, kolejny filozof się znalazł! Imperium ma dość filozofów!

– Mówisz za siebie czy za innych?

– Za innych i za siebie!

Ku zdumieniu Bena rozległy się wiwaty, i to nie tylko w tłumie otaczającym potężnego *Grendela*, ale także w obrębie wznoszącej się nad nimi karawany.

– Podobno studiowałeś filozofię – odparł.

– Tak, studiowałem. I zamierzam z niej zrobić użytek, w przeciwieństwie do ciebie. Zamierzam i to zrobić, bo jestem człowiekiem czynu!

I znowu rozległy się wiwaty, a z wielu airvilli zwiesiły się arealne flagi na znak solidarności z Hanem.

Ben pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Co kręcisz głową? Co, kurwa, kręcisz głową, żalosny piracie?! Gównu wiesz, powiem ci, gównu wiesz!

– Czego na ten przykład nie wiem?

– Tego, kretynie, że to była Weenka! Weenka, która wyrwała się z talizmanu!

Ben zbladł.

– Skąd to wiesz?

– Wiem, bo jestem myślącym człowiekiem i z nią rozmawiałem! Brałeś udział w morderstwie przedstawicielki tak ukochanych przez ciebie społeczności!

Kapitan *Biegącej po falach* pokręcił głową.

– Nie wierzę. Nie wierzę tobie ani jej. To niemożliwe.

Han prychnął.

– Pierdol się z twoją niewiarą. Za jakiś czas wszyscy poznają prawdę, ale nie usłyszą jej od ciebie, bo jesteś zakłamany jak cała reszta. Prawda to my!

Karawana zawrzała od okrzyków.

– Z nami koniec, Torres! – huknął Fierce. – Oddzielam swoją część vii! Zrobię wreszcie coś sensownego! Zdziwisz się, ile nas wkrótce będzie!

Ledwo przebrzmiały te słowa, korowód nad nimi zaczął się kruszyć i rozdzielać. Towarzyszyły temu okrzyki.

– Jak wolisz, Han – rzekł Ben cicho. – Życzę miłych rozmów z pszczołkami.

Fierce splunął.

– Tylko na tyle cię stać? Gardzę tobą.

Zerwał połączenie i odwrócił się plecami. Jego *Grendel* nabrał wysokości. Dołączyło do niego kilka, a potem kilkanaście airvilli. Via Imperatorki rozproszyła się i upodobniła do roju bezładnie rozrzuconych domostw. Rosła wrzawa. Sitowie dowiadywali się o śmierci liderki. Dominowały głosy niedowierzania, bólu i zdumienia. Niektóre domostwa szybowały wzwyż, by poszukać celu gdzie indziej, inne dołączały do Hana. Było ich zaskakująco dużo. Na oko Bena ponad osiemdziesiąt procent karawany, co oznaczało kilkadziesiąt tysięcy airvilli! *Grendel* rozłożył wielkie czarne proporce z białymi literami „WW” jak Wolna Wola. Żadnych ozdób, ornamentów, elementów trójwymiarowych. Estetyka bardzo pasująca do Fierce’a. Potwór odwrócił się i ruszył w stronę Tris, prowadząc kawalkadę, do której cały czas dołączały nowe airville. Kilkanaście statków także rozpostarło czarne płachty.

– Ładna chorągiew i piękna idea – mruknął Ron, który znalazł się tuż przy

Benie.

Torres pokiwał głową.

– Ale gęba paskudna i charakter podły.

– O co im teraz chodzi? Wolnej Woli Fierce już dowiódł. Mogą robić, co chcą.

– I będą. Mieszać.

– Ale po co? – Ron spojrział na kapitana spod czarnego kapelusza ozdobionego białą kitą zatknietą w złoty emblemat *Biegnącej po falach*.

Ben westchnął.

– System im się nie podoba.

– Bo każdy robi, co chce?

– Pewnie by woleli, żeby każdy robił, co oni chcą.

– Szefie, może się mylę, ale czy to nie jakaś norma?

– Hmm?

– Przestępcy pod szczytnym sztandarem?

Ben parsknął. Przez chwilę milczał, patrząc, jak via oddala się niczym kolorowy wąż poznaczony czarnymi cętkami.

– Myślisz, Ron, że mówił prawdę?

– O tym, że to Myonka?

Torres skinął głową.

– Niemożliwe. Nikt nie może się wyrwać z talizmanu. Nie ma takiej technologii.

– No właśnie...

– Mam wrażenie, kapitanie – chrząknął sternik, wskazując na oddalającą się więź – że należy im się solidny klaps.

Ben westchnął.

– Podobne uczucia nie są mi obce, Ron.

Klepnął towarzysza w bark, mrugnął porozumiewawczo, po czym wysłał

men, by *Biegnąca* wzniosła się pięćset metrów i tam połączyła w miasto z tym, co zostało z karawany. Wieczorem ustalą, jaki obrać cel. Będzie fiesta, będą misje.

Na takie oświadczenie każdy korsarz krzyknąłby z radością. Ale tym razem jakoś jej zabrakło.

Ben zleciał pod pokład i wsunął się do swojej kajuty, by podzielić się wrażeniami z Vivien. Uderzyła go pustka. Rozejrzył się. Kobiety nie było.

– Vivien? Vivien? – Jego głos, odbijający się od ścian, brzmiał dziwnie sucho.

Poleciał niżej, do miejsca, gdzie często czytała. Były tam okno podłogowe, jej fotel i półka z książkami.

I jeszcze coś.

Obok ulubionego mebla wisiała kamienna rzeźba: mężczyzna biegnący ku odległemu celowi i kobieta usiłująca zajrzeć mu w oczy.

Droga Mleczna

Macierz

Planeta Wiz, raj

Sektor Y 44263

01 Secundi 233 EI, 10.15 H

Nie zdążyłem wrócić do swojej karawany, gdy skontaktował się ze mną Laurus.

– *Torkil, co to było?*

Przesłałem mu pak.

– *Na RanStone ciężki jak grób! Co to babsko zrobiło...*

– *Jeśli mogę się wtrącić – usłyszeliśmy Tella – Jeden Smok nie miał*

trudności z odczytaniem dokładnych myśli tej suki w momencie rzucania... hm... klątwy...

– I? – spytałem.

– To był bardzo intensywny zlepek wyobrażeń, emocji i myśli. Jeśli chodzi o te pierwsze, Imperatorka, świeć Ezro nad jej zgniłą duszą, widziała zniekształcone, podobne do demonicznych twarze ludzi. Wystające z podbródków rogi, po dwa na podbródek.

– Tell, zmiłuj się...

– Powiększone wały brwiowe, no, ogólnie takie czarcie mordy. Niebieskogrnatowe. Najpierw szaroniebieskie. Widziała, jak ludzie zamieniają się w diabły.

– Emocje? – spytał Wilehad.

– Wściekłość, co oczywiste, przerażenie, ale to jej osobiste uczucia, w klątwie zaś zawarła wolę, by ludzkość została podzielona na dwa zwalczające się obozy, gdzie ten drugi, którego jeszcze nie znamy, był jej pokłosiem.

– Myśli? – usłyszeliśmy RanaRa.

– „Mają mnie czcić, mają mnie czcić, mają mnie czcić...”

Galaktyka Andromedy
Pustka międzygwiazdna
Kwadrant 87/9467/26876/9879
22 Secundi 233 EI, 10.00 H

Skrzynię skarbów zawierającą pięćdziesiąt talizmanów Imperatorki umieściliśmy w pustce międzygwiazdnej, daleko od Vaterlandu i z dala od supernowych. Kamienie wciąż reprezentowały osobliwość, z tą tylko różnicą,

że teraz nie kierowała nimi żadna wola, żaden właściciel. Otaczająca je aura była nieustannie silna i niepokojąca, wyginała przestrzeń i groziła przedmiotom. Dopiero teraz widzieliśmy, że to nie Imperatorka była boginią, lecz te kamienie stanowiły źródło jej siły. Praktycznie każdy człowiek, gdyby zaszcześcić jego kult w tych klejnotach, zyskałby jej moc.

Nie ryzykowaliśmy wysłania tam gamedeców. Inżynierowie z Dharmy także nam nie pomogli. Z wyjątkiem jednego wszyscy zostali zatrzymani przez Besebu. Pszczółki twierdziły, że dzieje się z nimi coś dziwnego i powinni zostać poddani obserwacji. Był to bardzo niepokojący raport. Więc Hana widziano w wielu systemach i, jak donoszono, liczyła już ponad czterdzieści milionów airvilli. Jeden Smok donosił ustami Matiasa Killa – nowego Cara – że Sitów skażonych klątwą Imperatorki przybywa i to właśnie oni zasilają ozdobioną czarnymi proporcami karawanę, a przetrzymywani przez Besebu inżynierowie zdradzają ten sam typ skrzywienia mentalnego. Ani Budda, ani Imperator nie ingerowali. Twierdzili, że to wciąż domena Wolnej Woli... Samuel Kroz przewidywał, że jego Bractwo wkrótce będzie miało pełne ręce roboty, bo chociaż karawana Fierce'a to nie Thirowie, ma z nimi coś wspólnego. W sumie co się dziwić? Verowie byli ludźmi, tylko mocno skrzywionymi...

Tym jedynym spośród ochroniarzy Imperatorki, który nie poddał się jej ostatniemu zaklęciu, był Gustav Aard. Wyraziwszy skruchę i obiecawszy pomoc, otrzymał błogosławieństwo Besebu i był teraz z nami, w odległości roku świetlnego od talizmanów, w sterówce pancernika *Bezlitosny* Jasona Prada. Jego zadaniem było wprowadzenie do kamieni misjonarzy, którzy mieli zmienić kult destruktywny w konstruktywną relację – nie przerażająca bogini–lękliwi poddani, ale przyjacielska liderka–rozwijający się uczniowie. ImBu sprawdził plan inżyniera i stwierdził, że podoba mu się jego podejście, ale nie podzielił się z nami swoją wiedzą. Inni programiści nie brali udziału

w tym przedsięwzięciu, co było zastanawiające, bo przecież WayEmpire miało doskonałych architektów. Aard argumentował, że nikt nie zna programów tych talizmanów tak jak on, a przecież zawierają osobliwość, na którą wcześniej owi architekci nie wpadli. Dobrze, że nie słyszał tego ani Ruben, ani Savian, bo niechybnie śmiertelnie by się obrazili.

Tak czy owak, wisieliśmy w sterówce z Laurusem, Nexusem, Angelą, Paulą i Krozem, obok nas zaś było jeszcze kilkuset innych Sitów, głównie Ranów, Charonów, Ludzi Bram i Imperialnych Soulerów. Wszyscy milczeliśmy.

W końcu Prad skinął głową, dając do zrozumienia, że systemy statku są gotowe.

Gustav Aard, jeszcze niedawno Wielki Strażnik Wybranej, największy powiernik Oomy'o'Tann zwanej Imperatorką, jej kochanek, stwórca i podnózek zarazem, spojrzął na Prada, a potem na Błogosławionego Torkila Aymore'a, który był świadkiem jej strasznej śmierci. Przyspieszył do maksimum i wywołał wspomnienie.

*Wszyscy żyjemy w kropli wody.
Woda wypełnia każde naczynie,
Woda jest najpotężniejszym bytem,
Woda jest dookoła,
Woda jest w nas.
A Panem wody i świata jest Godny Czci,
Życia i Śmierci,
Przedwieczny Aard.
Aardzie, oddaję ci swoje ciało,*

*Aardzie, oddaję ci swój lęk,
Aardzie, daj mi dojść do dna,
Abym mogła się od niego odbić
I popłynąć w światło.
Bo Twoja jest mądrość, wieczność
I miłość.
Aard jest moim królem,
Aard jest moją wodą,
Aard jest moim życiem.
Teraz, Wczoraj i Jutro.
Teraz, Wczoraj i Jutro.*

Ooma z Tann powtarzała tę modlitwę codziennie na pięć westchnień przed Przejściem, wznecając płomień w misie stojącej przy posągu Aarda, wielkiego Boga Qualdu. Posąg znajdował się na szczycie góry Tann, najwyższej na terytorium Darajmar. Wokół wznosiło się kilkadziesiąt innych stromych gór: Ruuma, Gator, Rork, Neema i Wrag. Wszystkie wyglądały podobnie – na szczycie błyszczał posąg umieszczony tam przez Starożytnych, a poniżej były miasta noszące te same nazwy co góry. Siedliska były zhierarchizowane i był to jedyny słuszny kształt świata, jak przekonywali kapłani i kapłanki, do której to kasty należała także Ooma. Siola składały się z pierścieni okalających góry – im wyższy, tym większa chwała, im niższy, tym podlejszy stan. Każdy pierścień połączony był z wyższym i niższym stromymi Schodami i jeśli bardzo chciałeś, mogłeś wspiąć się poziom wyżej, ale wymagało to wielu prób, wyrzeczeń i wiary we własną sprawczość. Ooma'o'Tann wiedziała to doskonale, bo sama przeszła przez trzy pierścienie. Dzięki temu zyskała dwie rzeczy: wiarę we własne siły i przekonanie o słuszności hierarchicznego podziału. Stwierdziła ponad

wszelką wątpliwość, że tylko najdzielniejsi i najzdolniejsi mają szansę przekroczyć Schody. Poznając zwyczaje wyższych pierścieni, pojęła, że wielu rzeczy można nie rozumieć i nie wiedzieć, dopóki nie wkroczy się na wyższy poziom, i ta lekcja miała być dla niej najważniejszą ze wszystkich.

Kapłanka spojrzała na posąg Aarda, którego głowa górowała nad nią o ponad dwanaście kręgosłupów. Statua była wykonana ze stopu czerwonego metalu i miękkiego srebra, to wiedzieli na pewno. Ale nikt nie rozumiał, jak Starożytnym udało się umieścić ją na samym szczycie Tann oraz innych gór i jakim sposobem pioruny od miliona rotacji omijają posągi Pana Wody i Powietrza. Te obserwacje przekonywały Oomę, że muszą być jeszcze wyższe stopnie wtajemniczenia, takie, które dadzą odpowiedzi na te pytania. Zdawała sobie jednak sprawę, że nie dowie się więcej już niczego.

Musi poczekać na śmierć-która-jest-przejściem.

Wiara w Aarda objęła większą część tej krainy zyliony rotacji temu. Przedtem Brorowie wierzyli w naturalną siłę płynącą ze skał, powietrza, chmur, słońca i roślin. Było to pogańskie pięciobóstwo obrazowane jako siły i tchnienia, ale nie jako bogowie o ludzkiej postaci. Potem, jak mówi Święty Rulon, przybył Aard i przekazał Brorom wiedzę o pisaniu, czytaniu i uprawie ziemi, który to trud przedsięwzięli Pesi, najniżsi w kaście Brorów, daleko w dolinach między górami. Aard nauczył Starożytnych wielu sztuk, między innymi tworzenia niezniszczalnych pomników swej boskiej postaci – mężczyzny okrytego nieprzeniknionym pancerzem, z głową otoczoną kolczastą koroną. Niedługo po jego przybyciu zaczęły nawiedzać Qald skrzydlate potwory – Gemony. Ich nadejście przewidział Pan Aard, ostrzegł przed nimi Brorów i powiedział, że dopóki będą oddawać mu cześć, dopóty on będzie strzegł swego ludu. I tak się stało – gdy Gemony uderzyły po raz pierwszy, to chociaż były to monstra wielkości góry, nie uczyniły mieszkańcom Qaldu krzywdy, gdyż wiernych strzegły posągi Aarda. Ich

korony miały potężne błyskawice, a te paliły Gemony na popiół, tak że na ziemię nie spadał żaden fragment ich przerażających ciał. W ten sposób Aard chronił wierzący w niego lud. Pan Aard opowiedział też o wielkim szczęściu, jakie spotka wszystkich godnych, gdy umrą. Była to radosna nowina: nie umrzecie, bo po śmierci czeka na was cudowna kraina zwana Rajem, i to niejedna. Najgodniejsi, zupełnie jak za życia, będą mogli pokonać siedem Schodów Raju i dostąpić ostatecznej, siódmej, najszczęśliwszej krainy.

Ooma z Tann gorąco wierzyła w prawdziwość słów Pana Aarda, chociaż w jej mieście i w całym Qaldzie byli tacy, którzy nie podzielali jej gorliwości. Twierdzili, że Święty Rulon jest bajką, jakich wiele istnieje na świecie, a przecież bajki służą temu, by uspić dzieci, gdy zbyt długo marudzą wieczorną porą. Mówili, że Rulon jest fantazją, kaprysem jakiegoś poety, a posągi, owszem, są piękne i tajemnicze, ale z pewnością nie powstały wskutek ingerencji boga, tylko dzięki zapomnianym technologiom Starożytnych. Być może zwątpienie brało się także stąd, że od dawna nikt nie widział Gemonów. Nie pamiętali ich ani starcy, ani ich dziadowie czy pradziadowie. Jedyne przekazy były starymi legendami i nikt nie wiedział, ile w nich jest prawdy, a ile zmyśleń. Życie w Qaldzie toczyło się spokojnie i wiara nie była Brorom do niczego potrzebna. Jednak Ooma była uparta, więc codziennie rozpalala ogień w misie Pana Wody i Powietrza. Jak mogłaby wątpić, skoro była kapłanką jego kultu? Co wieczór na górze Tann i w innych stożkowatych miastach odbywały się modły do Pana Aarda, bo tak nakazywał Święty Rulon. Ooma czuła, że rytuał ów jest dla Brorów bardziej miłą częścią życia, swoistą wieczorną medytacją dającą zdrowy sen niż gorącą modlitwą zapewniającą Pana o ich wierze. Stare podania mówiły, że gdy wiara w Qaldzie słabła, gdy Brorowie obracali wzrok ku skałom i ziemi, gdy zapominali o Panu, a jego posągi pokrywały się warstwą patyny, na kraj przychodziły nie tylko plagi Gemonów, ale także kary boskie

w postaci ulew i trzęsień ziemi. Gniew Aarda był tak wielki, że czasami pożerał całe góry i miasta. Tak podobno było z Atlanem, stożkiem, po którym pozostało tylko rumowisko przecięte zastygłym korytem lawy. Przy dobrej widoczności Ooma'o'Tann widziała ślad po Atlanie daleko na wschodzie, między Ruumą a Gatorem. Większość Brorów twierdziła, że nie jest to rumowisko miasta, lecz resztki wulkanu, który wznosił się tam kilkanaście tysięcy rotacji temu, a „plagi” są dziełem skalnej siły – od czasu do czasu Qald nawiedzają trzęsienia ziemi. Ooma kręciła głową na takie twierdzenia, marszczyła piękne brwi, a z jej oczu tryskały iskry gniewu.

Wiedziała lepiej. Ostatnie wielkie zwątpienie nastąpiło, według pism, tysiąc rotacji temu i oczywiście nikt go nie pamiętał, ale rulony mówiły, że z posągów Aarda sypały się pioruny, ziemia się trzęsła, a chmury były tak gęste i czarne, że nie było widać ani słońca, ani gwiazd, ani księżyców. Opisy były tak szczegółowe i plastyczne, że tylko głupiec nie uwierzyłby w ich prawdziwość. Głupiec albo ktoś, kto ich nie czytał. A takich w Qaldzie było wielu. Zbyt wielu.

Ooma spojrzała w górę. Niebo nad Qaldem było zazwyczaj pokryte chmurami, tak jak dzisiaj. Jedynym wolnym fragmentem był wąski pas między chmurami i górami, którym przechadzało się czerwone słońce. Obłoki rzadko rozdzielały się nad głowami Brorów, ale gdy tak się działo, ukazywały barwę zupełnie inną.

Błękit.

Mówiono wtedy, że Aard pokazuje Schody do Raju.

Pierwsza kapłanka Tann głęboko wierzyła w Raj. Wiedziała, że jest prawdziwy, że istnieje życie w innej, lepszej krainie.

Miała dowód.

Gdy liczyła piętnaście rotacji, w jej izbie, jeszcze w Pierścieniu Krasów, nocą pojawiła się zjawa. Był to mężczyzna, którego nie mogła dotknąć ani

usłyszeć – widziała tylko sylwetkę. Człowiek ten szedł z prawa na lewo, nie widząc ani jej, ani kamiennych ścian. Machał do kogoś ręką i uśmiechał się. Ooma patrzyła na niego oniemiała, a mężczyzna ów wszedł w ścianę i zniknął za nią. Wybiegła z domu, by zobaczyć go na dworze, ale na świeżym powietrzu rozmył się i zniknął. Kapłanka Tann miała zaufanie do swoich zmysłów i wiedziała, co widziała. To nie była wizja, jaką miewają mężczyźni po wypaleniu pięciolistnego kwiatu. To nie był sen. Widziała kogoś żyjącego w innym świecie, kogoś radosnego, kogoś, kto jej nie dostrzegał, ale żył, ponad wszelką wątpliwość żył w Raju. Ooma uznała to za znak, że musi stać się kapłanką Aarda, wspiać się wyżej, do pierścienia Umba, a potem do najwyższego Oro i tam przejść próby, by dostąpić zaszczytu zostania główną kapłanką.

Jej niezachwiana wiara w Aarda, pilność, z jaką zgłębiała Święty Rulon, znajomość historii religii oraz względnie słaba konkurencja w dobie osłabienia wiary spowodowały, że udało jej się to, co udawało się nielicznym. W wieku trzydziestu trzech rotacji została najmłodszą w historii główną kapłanką Aarda w mieście Tann.

Teraz miała trzydzieści sześć rotacji. Zachowała urodę szesnastorotki, bo nie dopuściła do siebie mężczyzny i nie poczęła dziecka. Reżim, jaki narzuciła ciału, sprzyjał młodemu wyglądowi, a ci, którzy ją znali, twierdzili, że to wiara i łaska Aarda tak na nią wpływa. Inne kapłanki i kapłani nie próbowali otwarcie z nią konkurować. Jej fanatyczna wiara trochę ich przerażała. Brorowie z Tann zaczęli otaczać ją czcią, ona zaś coraz bardziej nimi gardziła, tęskniąc za jedną tylko rzeczą – Rajem.

Ooma westchnęła i podeszła do barierki tarasu, z którego widać było rdzawy krajobraz stożkowatych miast-gór. U ich podstaw, w ciemnozielonym cieniu dolin, Pesi uprawiali rolę. Wyżej, ponad ostrymi szczytami, toczyły się po nieboskłonie ciężkie pierścienie burych chmur,

spod których błyskało słońce. Za pięć westchnień jego tarcza zajdzie za północny Łańcuch Przejścia, by po jednym westchnieniu wychylić się zza niego i znowu oświetlać czerwoną łuną cały Quald. Ta pora – po rozpaleniu ognia, ale przed modlitwami – była dziwnie cicha na szczycie Tann. Mieszkańcy góry pracowali, handlowali, rozmawiali, pijąc napar kola, spędzali kozice ze stromych pastwisk, warzyli sery i piwo, rozmawiali, piekąc chleb. Wszystko to było darem Aarda. Wszystko.

Cały świat stworzył Aard. A oni w to nie wierzyli.

W stworzenie.

W boski chleb i boskie piwo.

Ooma odwróciła się ze złością, by spojrzeć na posąg i zaczerpnąć z niego siły.

Ale przed rzeźbą unosiło się coś dziwnego.

Zjawa.

Kobieta rozejrzała się, lecz byli sami. Ona i on.

Pan Aard – emanujący niebieskim światłem mężczyzna normalnego wzrostu, wyglądający jak posąg, w którego misie od trzech rotacji rozpalala ogień – uśmiechał się do niej, ale trwał nieruchomo, jakby zatrzymany w czasie.

Ooma padła na kolana, z trudem łapiąc oddech.

– Panie? Panie Aardzie? – szepnęła.

Zjawa jednak nie odpowiadała, wciąż nieruchoma. Kobieta trwała na kolanach, układając ręce w kształt korony, i czekała na znak od Pana, ale ten nadal się nie ruszał. Patrzył na nią przerażającym, zatrzymanym w czasie wzrokiem.

Kobieta liczyła oddechy i uderzenia serca, oto bowiem zobaczyła sacrum, ale chociaż czekała na ten moment od wielu rotacji, nie miała pojęcia, co zrobić. Klęczała sparaliżowana i rozdarta między powinnościami.

Nagle uniosła się w powietrze. Cicho krzyknęła, czując, że jej kolan nie ugniata już posadzka. Spojrzała trwoźliwie w dół, na oddalające się kamienie, a potem na Boga. Jakaś siła zbliżała ją do Niego. Gdy była już na wyciągnięcie ręki, wzniosła się z Nim nad święty posąg. Otoczył ich jakby przezierny bąbel. Cień rzucony przez posąg Aarda zaczął się przemieszczać po tarasie góry szybciej, mieszkańcy poczęli biegać z chyżością jaskółek. Ooma spojrzała na Boga zdumiona. Jego twarz minimalnie ożyła. Kapłanka zerknęła na słońce. Coraz szybciej biegło po niebie, a cienie rzucane przez góry zataczały się wokół nich niczym chłopak wirujący z dziewczyną w szalonym tańcu. Nie widać już było ludzi, tylko niewyraźne, rozmazane plamy. Słońce biegło coraz szybciej, teraz dzień trwał tyle co ćwiartka westchnienia, może mniej! Ooma patrzyła na to wszystko oniemiała, po czym znowu spojrzała w twarz Boga.

A ten wreszcie ożył.

Uśmiechnął się, odsłaniając zęby, jego głos zaś brzmiał kojąco:

– No, nareszcie. Wybacz, moja droga, musiałem cię wyizolować i zwolnić twój czas, bo inaczej byśmy się nie dogadali.

– Panie?

Machnął z niechęcią ręką.

– Oczywiście macie tu mój kult, wybacz, w zasadzie nie ma od tego ucieczki. Tak czy owak, chciałem ci powiedzieć, że obserwuję cię od dawna. Podobasz mi się i chciałem, z twoim pozwoleniem, przeprowadzić pewien eksperyment.

– Panie, nie rozumiem tych wszystkich słów...

– No cóż, zamierzam cię stąd zabrać. Nie musisz się obawiać...

Ooma otworzyła szerzej oczy.

– Zabierzesz mnie do Raju?

Pan Aard mrugnął, uśmiechnął się i odpowiedział:

– Tannhäuser był rycerzem przebywającym na górze z Wenus. Boginię zastąpił bóg, rycerza kapłanka, ale poza tym wszystko się zgadza, prawda?

– Panie?

– Tak, Oomo z Tann, mój ty Tannhäuserze. Zabieram cię do Raju. I obiecuję, że nie będzie bolało.

Raj miał niebieskie niebo, a słońce zabarwiało je na czerwono tylko przy Przejściu, które trwało o wiele dłużej niż w Qualdzie. Raj pogrążał się wówczas w ciemności, którą rozświećlały... gwiazdy. Wcześniej Ooma widywała gwiazdy bardzo rzadko, tylko w te dni, gdy podczas Przejścia Aard rozchyłał chmury. Ale nawet wtedy gwiazdy były ledwie widoczne – jedna, może dwie. Mówiono, że to rzucone przez Pana klejnoty. Teraz było ich dużo, dużo więcej. Pan tłumaczył, że to nie klejnoty, tylko słońca. Ooma słuchała go i tonęła w miłości do Niego, tak jak to zostało przepowiedziane w Świętym Rulonie. Raj był piękny. Nie było w nim chmur, a jeśli się pojawiały, były rzadkie. Góry były łagodniejsze i porośnięte miękką, zieloną trawą. Każdy miał dom, a były to budowle większe i wygodniejsze od surowych kamiennych siedzib Tann. Jedzenie smakowało doskonale, podobnie napoje. Ubrania były bardzo wygodne i miękkie. Jednak mimo tych cudowności Raj był zdumiewająco... realny. Wszystko było namacalne, a Ooma, zupełnie jak za życia doczesnego, odczuwała potrzeby fizjologiczne i brudziła się. Po pierwszym szoku zrozumiała, że owszem, Raj istnieje, ale nie jest to kraina duchowa, eteryczna, w której mogłaby, powiedzmy, latać.

Tak jak się spodziewała, w Raju nie trzeba było pracować, ale można było, jeśli ktoś chciał. Nigdy jednak nie były to prace nieprzyjemne.

Pan Aard przebywał z nią bardzo często, a gdy go nie było, towarzyszył jej jego sługa, tak jak Pan rosły, uśmiechnięty i chętnie odpowiadający na

wszelkie pytania.

Pewnego dnia Pan Aard zapytał ją, czy nie chciałaby zobaczyć swojej krainy z góry. Gdy się zgodziła, część Raju, w którym tkwili, stała się nagle przezroczysta i zastąpił ją Quald, górna dzielnica Tann. Ooma krzyknęła, bo wydało jej się, że lada chwila zostanie w niechcianej już krainie, ale Aard uspokoił ją:

– Nie bój się, Tannhäuserze. Nie zostawię cię tam.

Słońce Qualdu krążyło jak szalone, znacząc kolejne rotacje, ale Pan spowolnił jego ruch. Wtedy Ooma zobaczyła swoich ziomków wykonujących zwykłe czynności pod burym niebem, a gdy się obróciła, ujrzała, że mieszkańcy Raju stoją zamrożeni, skamieniali, zupełnie tak jak Bóg, gdy zobaczyła go po raz pierwszy.

– Twoi rodacy nie dostrzegą cię – odezwał się Pan. – Jesteś dla nich niewidzialna.

– Na pewno, Panie? – spytała lękliwie.

Opowiedziała mu o zjawie, którą widziała dawno temu.

– Ach, rzeczywiście. To mogło się zdarzyć. Właśnie wtedy konserwowałem raje...

– Konserwowałeś, Panie?

– Hm, tak.

– Nie rozumiem.

Bóg zacisnął usta i wrócili do rajskiej krainy.

Nie minęła rotacja, nazywana przez Pana małym cyklem, i Ooma dostała zaszczytu wstąpienia do Drugiego Raju. Ta kraina była jeszcze piękniejsza. Nie tylko były w niej większe i kunsztowniej zdobione domy, nie tylko były rozległe łąki i knieje oraz błękitne niebo, ale mieszkańcy Drugiego Raju

potrafili latać, używając dziwnych, przezroczystych kul nazywanych przez Pana Aarda pneumobilami. A więc jednak w Raju można latać! Bóg wyjaśnił, że to dużo miłszy sposób przemieszczania się od chodzenia, i zapewnił Oomę, że są to całkowicie bezpieczne środki lokomocji. Kobieta była zachwycona nowym sposobem podróżowania. Dzięki pneumobilom zwiedziła z Panem wielkie przestrzenie Drugiego Raju. Zobaczyła olbrzymie morza i łańcuchy górskie. Wkrótce nie wyobrażała już sobie dnia bez wycieczki tym pojazdem.

Uczyła się pilnie i zgłębiła wiele tajemnic kosmosu. Zapragnęła go zobaczyć. Dowiedziała się, że aby to uczynić, musi dostąpić zaszczytu wejścia do Trzeciego Raju.

Kraina ta tym różniła się od drugiej, że domy tworzyły miasta, a w miastach tych były place zwane kosmoportami. Stały tam duże pneumobile nazywane przez Pana spacemobilami. Były masywniejsze od pneumobili i, jak twierdził Bóg, potrafiły latać w kosmos. Na przejażdżkę oczywiście wybrali się razem. Wtedy Ooma z Tann po raz pierwszy zobaczyła, że świat jest okrągły, że to w istocie wielka kula.

I widok ten odmienił jej życie, bo uświadomiła sobie, że światów podobnych nie tylko do Qualdu, ale i do wszelkich Rajów, jest bardzo wiele. Być może nieskończenie, nieskończenie wiele.

Poza tym trapił ją jeszcze jeden problem.

– Panie? – spytała pewnego dnia.

– Tak, Tannhäuserze?

– Byłam w wielu zakątkach Drugiego i Trzeciego Raju. Widziałam kosmos i naszą planetę z góry. Ale wciąż nie rozumiem, jak wyglądają podróże z jednego do drugiego Raju. Nie przemieszczamy się wtedy. Wydaje

mi się, że po prostu wydajesz w głowie rozkaz, świat znika i pojawia się nowy. Czy wszystkie Raje są jakimś cudownym sposobem umieszczone w tym samym miejscu, które nie jest tym samym miejscem?

Pan Aard uniósł brwi w wyrazie zaskoczenia i zadowolenia, po czym rzekł:

- Na to pytanie, Oomo z Tann, odpowiem ci dopiero w Szóstym Raju.
- W takim razie chcę jak najszybciej tam się dostać!

Pan Aard wybuchnął serdecznym śmiechem.

Czwarty Raj tym różnił się od Trzeciego, że miasta, rozsiane po całej planecie, były większe i piętrowe – mleczne budowle sięgały wyżej, były bardziej strzeliste i rozbudowane – a pneumobili i spacemobili było więcej. I dopiero w tym świecie Ooma z Tann odbyła podróż na inną planetę. A tam zobaczyła podobne miasta, podobnych ludzi i podobne pojazdy. I zdziwiła się niepomierne.

- Panie?
- Tak, moje dziecko?
- Ile jest takich globów?
- Zamieszkanych? Ponad tysiąc – odparł Bóg, a Ooma'o'Tann chwyciła się za głowę.

Gdy znaleźli się w Piątym Raju, a było to kilka pendeków później, dawna mieszkanka Tann zobaczyła olbrzymie miasta, latających wojowników w potężnych zbrojach, lewitujące domy z własnymi ogrodami, wielkie konstrukcje wiszące w powietrzu. Wydawało jej się, że nic już nie jest w stanie bardziej jej zachwycić, ale to, co zobaczyła, odebrało jej dech.

– Nigdy nie pytałaś – odezwał się do niej Pan Aard – jak ma na imię twój towarzysz.

– Twój sługa, Panie?

– Tak. On ma na imię Frin. I jest nie tyle moim sługą, ile twoim.

– Jak to, Panie?

– Czy nie mogłabyś mnie nazywać po imieniu?

– Nigdy, Panie.

– A co powiesz o imieniu zastępczym? Mniej świętym?

– Jak brzmiałoby to imię, Panie?

– Gustav. Czy możesz mnie nazywać Gustavem?

– Spróbuję, Panie.

– Wracając do Frina, to twój sługa. Obserwował cię od dawna i jest gotów się z tobą... zespolić.

Ooma z Tann spłonila się.

– Ależ nie! – krzyknął Pan Aard i roześmiał się. – Nic fizycznego, kochanie! On w ciebie... wniknie i pokaże ci, jak inaczej można widzieć świat.

– Nie rozumiem, Panie.

– Ufasz mi?

– Zawsze.

– Pozwól więc, że zrobimy tak...

Wtedy Frin stał się półprzezroczysty, a potem zamienił się w mgłę, tchnienie, które wniknęło w ciało Oomy. Kobieta nic nie poczuła. Aż nagle... przed jej oczami pojawiły się dziwne napisy, cyfry, oznaczenia...

– Na Aarda! Znaczy... na Ciebie, Panie!

– Przestraszyłaś się?

– Co to jest?!

– No cóż, to nowy sposób widzenia świata.

– Boski?

– Nowoczesny.

– Nie rozumiem, Panie...

Pan Aard zajrzał jej głęboko w oczy i powiedział:

– Proszę, mów mi Gustav.

Gdy Ooma z Tann nauczyła się korzystać z dobrodziejstw frina i oswoiła z jego podpowiedziami, znalazła się w Szóstym Raju. Był to świat oszałamiający. Istniały tam potężne Światy Fabryki, O'Toole, dzięki którym mogła zamówić, cokolwiek sobie wymarzyła, ludzie i ona sama nosili pancerze, które potrafiły morfować na przeróżne sposoby, a zawsze oddawały nastrój posiadacza. Gustav, bo tak zaczęła nazywać swojego Boga, niczym się nie różnił od innych istot zamieszkujących tę krainę. Wszyscy kazali nazywać się Sitami i Oomę także tak nazywali – „Siti”.

Gdy oswoiła się z otoczeniem, Pan Aard pokazał jej rzecz zupełnie nową – rzeczywistości arealne, inne krainy istniejące w miejscu, które nie istnieje. W arealium. Gdy Ooma po raz pierwszy zobaczyła taki arealny świat, nie mogła się nadziwić. Zadawała Gustavowi wiele pytań: Czy istoty tam żyjące są prawdziwe? Czym te światy różnią się od innych?

I wtedy Gustav Aard udzielił jej odpowiedzi, która zdziwiła ją najbardziej:

– Najczęściej te istoty są prawdziwe. A czym te światy różnią się od innych? Niczym. Inny od tych krain jest tylko Siódmy Raj. Siódme Niebo. To prawdziwa kraina bogów.

Ooma otworzyła szerzej oczy. Wiedziała. Całe życie to wiedziała!

– Możesz to wyjaśnić, Gustavie?

– Wszystko, co nas otacza, jest arealne. Arealna była również twoja kraina, Qald. Każdy Raj oprócz ostatniego jest arealny. I wszystkie są w jednym

miejscu, każdy nałożony na poprzedni. Dopiero Siódme Niebo jest inne. Tam każdy jest bogiem. Bo każdy może o sobie stanowić.

– Jak to?! Ja... ja też... będę?!

– Tak. Ty też. A ja nie będę tam już nikim nadzwyczajnym.

I wniknęła Ooma z Tann w Siódme Niebo, i zobaczyła Akademię inżynierów na Worplanie, i zamieszkała z Gustavem Aardem w jego latającej siedzibie. Dowiedziała się, że istnieje w tej krainie wielki władca, który jest ponad bogami, i ten władca, w dwójcy jedyny, noszący święte imię ImBu, nie może o niej wiedzieć, bo jako jedyna została wyjęta ze swojego arealnego świata czarem, który Gustav Aard nazywał „Siódmym Niebem”. Tłumaczył jej, że dotychczas wydobyć żywej istoty z takiej krainy jak Qald było niemożliwe, ale on stworzył system komunikacji między psyche takiej osoby jak ona a syntetycznym mózgiem, który znajdował się poza siecią. W ten sposób mózg identyczny z cyfrowym mózgiem Oomy zaczął razem z nim myśleć i ostatecznie przejął jej psyche. Gustav był z siebie bardzo dumny, a ona była dumna z niego, chociaż nie pojmowała, o czym mówi.

Kilka dni później Aard pokazał jej kilka małych klejnotów.

– Wiesz, co to jest, Tann?

– Klejnoty.

– Tak. A wiesz, co zawierają?

– Nie.

– To minikomputery. Nazywamy je talizmanami. W ich cyfrowych światach zawarte są całe krainy. Takie jak Qald. A to – wskazał na szafirowy kamień – jest talizman mieszczący Qald. Twój świat.

Kiedy Ooma z Tann poznała prawdę, *całą prawdę* o Siódmym Niebie, długo nie mogła do siebie dojść. Żeby ulżyć jej cierpieniu, Gustav opowiadał o swoim sprzeciwie, o tym, że nie podoba mu się wykorzystywanie Weenów, bo tak nazywani byli podobni jej mieszkańcy talizmanów, że zwyczaj posiadania kamieni jest powszechny i że każdy Sit ma przynajmniej dwa talizmany z jakimś kultem. Gustav mówił, że wszedł kiedyś w swój szafirowy kamień, a zobaczywszy ją, pokochał i obiecał sobie, że znajdzie sposób na wydostanie jej z pułapki. Nie było to proste, bo wielu Sitów próbowało i ponosiło porażki. Jemu jednemu się udało. Okres przechodzenia z Raju do Raju służył nie tylko oswajaniu wyzwalonej z nową rzeczywistością, ale także komunikacji z dibekiem stworzonym na kształt jej psyche. Przy przechodzeniu z Szóstego Nieba do ostatniego sygnał jej jestestwa w talizmanie został wygaszony, a kontrolę przejął dibek. Przeniesienie psyche ze sztucznego mózgu do mózgu organicznego w ciele czekającym w hiperbosie było już procedurą prostą i znaną w Siódmym Raju. Na czas trwających dłużej operacji Ooma była usypiana, a wspomnienia usuwane. Dlatego cała procedura wydawała jej się prosta i bezbolesna. W istocie przejście do ostatniego Raju trochę trwało.

Technologia Gustava była nowatorska, więc z nikim się nią nie podzielił, a ponieważ Ooma pojawiła się w świecie WayEmpire, jak nazywano Siódme Niebo, dosłownie znikąd, wielki władca ImBu wciąż nie wiedział o jej istnieniu. Jej frin był oddzielony od sieci, a obecne na tym obszarze Worplanu kamery TIO zostały przez Aarda zhakowane.

Potem Gustav pokazał jej wiele innych talizmanów oraz zamieszkujących je Weenów, a w Oomie rosło poczucie niesprawiedliwości.

Bunt.

Nie rozumiała, jak Sitowie, bogowie, którym niczego nie brak, mogą wykorzystywać biliony Myonów do swych podłych celów. Po co im większa

sprawczość? Oni już nie wiedzą, co robić z wolnością!

Przyczyny upatrywała w strukturze WayEmpire. Nie rozumiała, dlaczego Siódme Niebo nie jest zhierarchizowane. Wyrosła w mieście, które mądrze oddzielało Brorów wartościowych od bezwartościowych. Teraz znalazła się w krainie bogów, którzy tolerowali absolutnie płaską strukturę społeczną. Anarchię i bałagan. Był tylko jeden władca – ImBu. I on tolerował tę żalosną organizację. Tolerował też niewolnictwo Weenów, którzy ślepo wierzyli w bogów.

A bogów nie było.

I to była najstraszniejsza konstatacja Oomy z Tann.

Gdy Gustav zaproponował jej, by także zaczęła używać talizmanów, stanowczo odmówiła i nie dało jej się namówić żadnym sposobem, nawet gdy przekonywał, że praktycznie wszyscy Sitowie je noszą i że jeśli odmówi, będzie wzbudzała podejrzenia. Ooma kręciła głową. Nie chciała brać w tym udziału.

Ale to nie wystarczało. Jej odmowa niczego nie zmieniała. Biliony Weenów cierpiały. Te rzesze nie rozumiały kształtu rzeczywistości, nie wiedziały, że tkwią w tych przeklętych kamieniach... Trzeba to było zmienić. Wiele razy rozmawiała o tym z Gustavem, a on ostrzegał, że ImBu widzi wszystko i że wcale nie jest pewien, czy jego zabezpieczenia są wystarczające. Ale zgadzał się z nią. Płaski świat, pozbawiony celu i porządku, był sprzeczny z jego inżynierskim widzeniem.

– Są inne sposoby, Tann – przekonywał. – Można z ImBu rozmawiać, można sugerować, nie trzeba go obalać. Poza tym to praktycznie niemożliwe. Lada dzień połączę twój frin z siecią i staniesz się częścią ImBu.

– Ale istnieje Wolna Wola?

– Tak, Tann.

– Więc Budda nie zabroni mi walki o talizmany?

– Nie. On nie. Imperator pewnie też nie. Na tym polega błąd w twoim rozumowaniu. To my stanowimy siłę sprawczą...

– Mylisz się, Gustavie. Gdyby tak było, już byście coś zrobili. Ludzkością wciąż rządzi Imperator. To on kieruje Buddą. Widzę tu ślad hierarchii. I ta hierarchia jest zła.

– Są ugrupowania. RIOT czy coś takiego...

– Jakie ugrupowania?

– Zwalczające religie w talizmanach.

– Mają osiągnięcia?

– Mało o nich wiem.

– Więc nie mają.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Raczej nie.

– Gustav, przeszłam cały szereg wcieleń. Byłam Weenką, czym ty nie byłeś nigdy. Poznałam spektrum istnienia. Uwierz mi: to, co was otacza, jest złe. Wasz świat jest zły. Brak przeszkód spowoduje skarlenie charakterów, ludzkość rozejdzie się w szwach...

– Jesteś zła na ImBu, że pozwolił na talizmany. Wciąż ci powtarzam, że z ImBu można rozmawiać.

– Zrozumiałam, że nie ma bogów. Nie ma oprócz jednego: ImBu. Zrozumiałam, że nie da się go pokonać. I to mnie przeraża. Bo chcę go pokonać.

– Ale po co?

– Czy wy jesteście już tak leniwi, tak osadzeni w tej rzeczywistości, że nawet nie przychodzi wam to do głowy? W Tann każdy mógł mnie zastąpić, gdyby tylko chciał. Władcy powinni być zastępowalni. Jeśli się nie

sprawdzają, powinni ustąpić. Imperator nie ustąpi, a zamieniwszy się w cyfrową postać, wżarł się w całe WayEmpire. Jest nieusuwalny. To mnie przeraża. Trzeba go wykasować i wrócić do rządów cielesnych władców. Cieleśnych, zastępowalnych i zrozumiałych. Ludzkich.

Inżynier spojrział na nią poważnie i pochylił się.

– Jesteś pewna, że zrobisz to lepiej? Że będziesz lepszą władczynią? Znasz się na Imperium? To niezwykle złożona maszyna. WayEmpire rozwija się bardzo sprawnie. Uszkodzenie ImBu może spowodować katastrofę.

Kobieta prychnęła.

– Budda będzie robił dalej to, co do niego należy. A odpowiadając na twoje pytanie: nie chcę zastąpić Imperatora, bo, masz rację, nie znam się na rządzeniu tym Rajem. Chcę go tylko obalić. A potem rządzeniem zajmie się ktoś inny. Ktoś mądry.

Oczy Aarda błysnęły.

– Ktoś mądry?

Kobieta spojrzała na niego z miłością.

– Kto nadawałby się do tego lepiej niż ty?

– Ooma, jesteś szalona.

– Ty jesteś Bogiem, Gustavie. Jesteś mądry. Stworzyłeś Siódme Niebo, dzięki któremu wydobyłeś mnie z niewoli. Ty wyzwolisz Weenów.

Inżynier pokręcił głową.

– Nie chcę władać Imperium. Nie ciągnie mnie do władzy.

– Daj mi chociaż spróbować. Tylko spróbować.

– Imperator jest potężny. Próba obalenia go skończy się twoją śmiercią.

– Ja i tak już nie żyję. Nie widzę sensu istnieć, jeśli nie spróbuję.

– To się nie uda.

– W takim razie spraw, żebym miała większe szanse.

Gustav spojrział na nią spod oka.

- Być może jest sposób. Ryzykowny, ale... Taki eksperyment.
- Co to jest?
- Cena byłaby wysoka...
- Zrobię wszystko, żeby go obalić. To moje przeznaczenie. Po co innego żyć?

Inżynier uśmiechnął się smutno.

- Kochasz mnie?

Ooma uśmiechnęła się, patrząc mu głęboko w oczy.

- Zawsze. Wczoraj, Dzisiaj i Jutro.

Gdy Ooma dowiedziała się, co Gustav miał na myśli, mówiąc o „cenie”, zadrżała, a jej determinacja osłabła. Czy miała prawo to robić? Czy mogła poświęcić tylu Weenów, by walczyć z Imperatorem? Przecież to śmieszne: aby obalić niewolnictwo Myonów, sama miała ich zniewolić. I to w tak niewyobrażalny sposób. W nieskończoności. Ten pomysł wydawał się jej nieogarnialny i powodował, że znowu czuła się tak jak kiedyś – małą, niczego nierozumiejącą kapłanką zakochaną w Bogu Aardzie. Nie wiedziała, że żaden Sit nie potrafi objąć rozumem pojęcia nieskończoności, nawet jej ukochany. Jednak nie to matematyczne pojęcie budziło jej przerażenie, ale świadomość, że w tak niepojęty sposób zwielokrotniony zostanie jej kult. Przez chwilę zadawała sobie pytanie, czy to ona musi być boginią, kimś podobnym do Aarda w Qualdzie, ale odpowiedź była oczywista – jeśli chce się stać godną przeciwniczką Ezry, to oczywiście musi być ona. I tak oto stanęła przed straszliwym dylematem: prowadzić walkę z czymś, czego nienawidzi, używając narzędzia zbrodni, czy z niej zrezygnować. Ale przecież taki był cel jej istnienia. Czuła to każdym nerwem. Oś jej życia była prosta. U dołu była Ooma'o'Tann, wieśniaczka, która jako Weenka osiągnęła

szczyt. Potem sięgnęła krainy bogów i znowu musi iść na szczyt. To jedyny słuszny kierunek. Gdy tak się wahała, stojąc na tarasie krążącym wokół rdzawej siedziby Gustava kolorem przypominającej stary Quald, jej ukochany rozwiął jej wątpliwości.

– Kochanie, każdy kult można obalić. To nie jest trudne. Już po wszystkim...

– Co masz na myśli?

– Pamiętasz Quald? Wielu twoich ziomków nie wierzyło już w Aarda. Wystarczy wprowadzić trochę postaci, które zaczną głosić śmierć boga czy bogini, rozumiesz, ateizm, i Myoni ich posłuchają.

– Widziałeś to?

– Nie, ale to da się zrobić.

– Ale oni wciąż tam pozostaną.

– W kamieniach? Tak. Nikt nie potrafi przenieść nieskończoności do realium.

– To straszne.

– Zrobimy im tam raj. Będą szczęśliwi.

I Ooma z Tann się zgodziła. Już po uruchomieniu pierwszego talizmanu poczuła różnicę. Nagle świat stał się jaśniejszy, wykontrastowany, barwy zyskały na intensywności. W jej głowie pojawiły się iskierki dobrego humoru. Uwierzyła, że metoda jej ukochanego może zadziałać. Dostrzegła także, że Aard patrzy na nią inaczej. Zawsze w jego oczach widziała miłość, ale teraz było coś więcej.

Zachwyt.

Pierwszy kamień umieściła w naszyjniku. Następne Aard usytuował w jej paznokciach. To był potężny strumień mocy, bo od razu uruchomił dziesięć.

Przestrzeń wokół niej się wygięła. Teraz czuła, że każde jej słowo zyskuje na sile, jakby odbijało się echem od niewidzialnych, odległych ścian wszechświata. Gdy wypłynęła nad główny taras siedziby Gustava i spojrzała w górę, chmury zaczęły się rozchodzić i wyjrzało niebo. Tylko dlatego, że tego pragnęła.

Ilekcio Aard na nią patrzył, widziała, że pragnie jej coraz mocniej, że coraz bardziej ją kocha.

Ale ona kochała go coraz mniej.

Była teraz silniejsza. Gustav Aard nie był już Bogiem. Bogów nie było. Byli Sitowie. Był ImBu.

I była ona. Coraz potężniejsza.

Gdy Aard dodał pozostałych trzydzieści dziewięć talizmanów, wszystkie naraz, wokół Oomy rozbłysła tęcza, rzeczywistość rozdarła się, a ona poczuła, że może ją w dowolny sposób kształtować. W każdej cetni mogła poprosić, by Gustav ucałował ją w stopę, lizał jej piętę, popełnił samobójstwo. Z kimkolwiek by się spotkała, mogła mieć na niego całkowity wpływ. Co prawda inżynier opowiadał jej o Narach, Imperialnych Soulerach i Ranach, najpotężniejszych Synach Chaosu, ale nie wierzyła, by ktokolwiek mógł jej się oprzeć. Stała się mistrzynią realium.

Wtedy Gustav połączył jej frin z siecią i wprowadził do Akademii.

Zanim jednak to zrobił, Ooma zadbała o odpowiedni image. Poprosiła O'Tool, by sprowadził jej długie suknie.

I kolczastą koronę.

I wszyscy z miejsca ją pokochali, bo tego chciała. Jeden jej gest i Sitowie klękali przed nią. Jedna prośba i przesiadali się z motombów w ciała organiczne. Jeden uśmiech i zmieniali wystrój Akademii.

Ooma zrozumiała, że jest niezniszczalna. Teraz nie bała się ImBu, nie bała się nikogo, nawet półbogów ze Łzy Cheronei.

I już nie chciała, by kult w jej talizmanach został zniesiony, gdy pokona Buddę i Imperatora.

Poprosiła Aarda, by wzmocnił jej wyznanie, a w światy kamieni wprowadził lepsze zabezpieczenia przed wirusami. Oczywiście się zgodził.

Kazała się nazywać Imperatorką, a wszyscy przyjęli ten pomysł z radością.

Uczyła się bardzo łatwo. Wiedza sama wchodziła jej do głowy, implementowała się bez przeszkód, bo tak chciała. Dowiedziała się wtedy wszystkiego o Imperium, Buddzie, Imperatorze, wszelkich planetach, zależnościach i sposobach funkcjonowania Sitów.

Wiedziała wszystko.

I władza wydała jej się śmiesznie łatwa.

Świat legł u jej stóp. Stała się nadistotą, Galaktyka skurczyła się. Teraz odczuwała tylko niecierpliwość, chęć jak najszybszego opanowania tego bałaganu. Już nie zależało jej na wyzwoleniu Weenów. Każdy miał swoją szansę, każdy mógł, jeśli chciał, wyrwać się poza talizman. Byli tacy, w kamieniu zwanym osobliwością, którzy dokonali tej sztuki. Nie była Myonom nic winna. Nic. Winna była coś sobie i Imperium.

Jednak aby mogła wkroczyć na szerszą arenę, musiał zaistnieć jakiś szczególny moment.

Moment osłabienia WayEmpire, nadkruszenia jego marmurowych murów.

I przyszedł.

Nie miała wątpliwości co do tego, że się pojawił, bo tak chciała.

Erri Widzących wyleciały poza obszar Drogi Mlecznej. Na Cyklonie pojawiła się zaraza. A do jej planety zbliżało się dwóch Błogosławionych.

To był ten moment.

Posprząta bałagan, a potem osiadzie na tronie.

I jej droga się zakończy.

Gustav Aard zamrugał arealnymi powiekami, podczas gdy jego realne oczy trwały nieruchome, wpatrzone w dal. Oczywiście nie znał historii Oomy'o'Tann z tej perspektywy – każdy z nas jest wszak więźniem swojego losu. Pamiętał jednak ostatnią rozmowę, którą odbył z nią tuż przed wizytą Aymore'a i jego świty w Akademii.

Znajdowali się w jej świeżo zamówionym domostwie żeglującym na południowy wschód od uczelni. Na zewnątrz wiał nanobotowy wiatr, przez okna wpadało oranżowe światło. Ooma wyglądała w nim cudnie, chociaż wyraz jej twarzy, jak zwykle ostatnio, był surowy, obcy, odległy, jakby wyzuty z uczyć.

– Hierarchia – powiedziała. – Społeczeństwo nie może bez niej żyć. Jesteś inżynierem. Znasz jakiś układ troniczny, który nie byłby hierarchiczny?

Gustav pokręcił głową z uśmiechem. Już o tym rozmawiali. Sięgnął po puchar czerwonego wina i zapatrzył się w głębokie, czarne oczy kobiety.

– Dobrze wiesz, że nie.

Imperatorka także podniosła szkło.

– Imperator zwariował, a Budda jest nieprzewidywalny. Rozwój ludzkości przebiega za szybko.

– Tak, Tann.

– Nie nazywaj mnie tak.

– Kocham cię.

– Wiem.

– Nawet najpotężniejsza bogini musi mieć strażnika – odezwał się nieśmiało.

Roześmiała się.

– Jesteś pewien, że cokolwiek może mi zagrozić? Jestem niezniszczalna.

– Mnie się też tak wydaje, ale nawet największa twierdza...

– Przestań. – Wyciągnęła gwałtownie rękę z kieliszkiem. Chociaż każdemu człowiekowi w tym momencie ułoby się ze szkła, wino w jej pucharze zatrzymało się przed brzegiem. – Nie wierzysz w to, co mówisz.

Inżyniera po raz kolejny zdumiały możliwości talizmanów. Westchnął i znowu napił się wina.

– Testuję twoje talizmany nieustannie – zmienił temat. – Nic się nie przedrze.

– Sam widzisz. – Uśmiechnęła się chłodno.

– Wycelowana w ciebie broń się psuje, nawet deszcz cię omija. Ale bądźmy ostrożni. ImBu z pewnością wkrótce uderzy.

– Jest już za późno, kochany. – Nagle zastygła. – Gustav, dostałam przekaz od głównego inżyniera. Niedługo tu przylecą.

– Kto?

– Anioł Śmierci. Błogosławiony. I świta. To jest ten moment. To jest właśnie ten moment.

Na chwilę zamilkła. Aard wiedział, że przyspieszyła i pobierała informacje o gościach. Po chwili przekazała mu pak zawierający plan ich przyjęcia. Gustav zamrugął, starając się umieścić wszystkie szczegóły przekazu w segregatorach swojego umysłu. Ilość informacji była oszałamiająca.

– Myślisz – chrząknął – że kupią tę bajeczkę z przepowiednią? Że to ty ją ułożyłaś? Że śledzisz ich poczynania?

Roześmiała się.

– Z moim darem przekonywania? Kupią wszystko. Gdybym chciała, nawet ty byś w to uwierzył. – Błysnęła białymi, świecącymi zębami. – Coś się zbliża, Gustav. Coś niedobrego. I ja to przywołałam. Pomogę im to pokonać, a potem zrobię to, do czego jestem stworzona.

– Czasami mnie przerażasz.

Uśmiechnęła się słodko, ale jej oczy wciąż były nieobecne.

– Nadal jesteś moim wybrankiem. Zawsze nim będziesz. Wczoraj, Dzisiaj i Jutro.

Skinęła na niego palcem i rozchyliła szatę, pod którą kryło się śnieżnobiałe ciało. Podeszedł do niej. Zrzucił ubranie.

I ogarnął go szął.

Gustav wyłączył wspomnienie. Było zbyt intensywne i zbyt bolesne. Zwolnił. Dźwięki dookoła podniosły się o kilka oktaw. Rozejrzał się. Zamrugał. Prad patrzył na niego nieruchomym wzrokiem.

– Inżynierze?

Mężczyzna odchrząknął.

– Start.

Monitory wyświetlające skrzynię pokazały, jak pudło się otwiera, wylatują z niego talizmany i tworzą powoli rotującą kulę. Znajdujący się w pobliżu skrzyni przekaźnik wysłał do kamieni program, a następnie wydał im polecenie stukrotnego przyspieszenia, by wydarzenia nabrały tempa.

Przez kilka chwil nic się nie działo, potem jednak mózg statku doniósł, że szybkość rotacji talizmanów nieznacznie wzrosła.

– Widzicie to? – odezwał się Prad.

Na jednym z monitorów widać było wykres temperatury. Klejnoty zaczęły się nagrzewać. Obraz zafalował, jakby ktoś rzucił kamień w wodę, chociaż doskonale wiedzieliśmy, że jest tam tylko próżnia.

– Jasna cholera – zaklął admirał i całkowicie się z nim zgadzałem.

Wokół kamieni zaczęły wirować fioletowe strzępy, które z cetni na cetnię robiły się grubsze i gęstsze, aż zaczęły zasłaniać talizmany wirujące szybciej i szybciej...

– Aard, coś tam włożył?! – rzucił dowódca przez ramię, oddalając oko kamery, bo tworzący się wokół kamieni wir rósł w tempie fali uderzeniowej.

– Przecież to druga Łza Cheronei!

– Nie – odparł cicho Aard, a po jego policzkach płynęły łzy. – To Łza Królowej.

– Ale coś ty tam zrobił?!

– Imperatorka, świeć Buddo nad jej duszą, poddała się dobrowolnemu publicznemu łamaniu kołem, przepraszając za swoje grzechy wobec ludzkości. W ten sposób oddała Myonom sprawczość i zdjęła z nich lęk.

– Razy nieskończoność?!

– Razy nieskończoność.

– W tym samym czasie nieskończone społeczności zobaczyły śmierć bóstwa?!

– Tak, kapitanie.

Kamera uciekała przed szalejącym fioletowym lejem, informując, że twór ma już sekundę świetlną średnicy.

Jason Prad sapnął, otarł pot z czoła i szepnął:

– No to się nie dziwię.

Po policzkach Aarda wciąż płynęły łzy.

I wtedy zrozumiałem coś, co powinienem był zrozumieć już wcześniej, bo przecież wszystkie elementy łamigłówki leżały przede mną. Skoro Ooma'o'Tann była zwykłą kobietą, która uzyskała boskie moce dzięki talizmanom, a osobliwość w talizmanach zainstalował Gustav Aard... to właśnie on był władcą marionetek. To on, główny strażnik Imperatorki, był szarą eminencją. Być może po tym, jak uruchomił kamienie, nie miał już nad

nią władzy, ale de facto winien był powstania tej szalonej baby. I, jak dotąd, nie odpowiedział za ten czyn. Przecież musiał przewidzieć konsekwencje takiej akcji, musiał rozumieć, że powołuje do życia monstrum. A powołał je nie bez przyczyny. Ooma chciała władzy. A on, powodowany miłością, czy może ciekawością, po prostu jej ją dał...

Podpłynąłem do niego i położyłem mu rękę na ramieniu. Wzdrygnął się. Użyłem Łaski Imperatora i wpłynąłem na jego układ limbiczny.

– *Przyjacielu – nadałem totowo – tylko ty znasz tajemnicę stworzenia osobliwości?*

– *Tak, Błogosławiony – odparł, dołączając bardzo silne elementy wzruszenia.*

– *Czuję twój ból i współczuję z tobą, ale wiesz, że jesteś zdrajcą, prawda?*

Zacisnął ostro zarysowane usta i pokiwał głową.

– *Tak, Błogosławiony.*

Wziąłem długi wdech.

– *Mamy Czasy Szczęśliwości. Imperatora trudno jest zabić, nie mamy praktycznie więzień, wierzymy w dobro tkwiące w człowieku i... w to, że to, co zrobiłeś, zrobiłeś, mając najlepsze intencje. Kochałeś tę kobietę?*

– *Ponad życie.*

– *I dlatego podarowałeś jej boską moc?*

– *Nie wiedziałem, że będzie tak potężna. Równania załamywały się, gdy wprowadzałem do nich nieskończoność.*

– *To zrozumiałe. Dlaczego sam nie sięgnąłeś po władzę?*

Zagryzł wargi. Przeszło mu to przez myśl. Władza przeszła mu przez myśl. Imperatorka miała być pierwotnie etapem pośrednim. Ale nie. Nie była to myśl trwała.

– *Przez chwilę mnie nią kusiła. Jednak potem wszystko się zmieniło.*

– *Ten, który do mnie strzelał, chodzi na wolności, wiesz o tym?*

– *Wiem.*

Co mam z nim zrobić? Imperatorze, pomóż!

Ezra, jak zwykle, milczał.

– *W ramach zapłaty za twą zbrodnię – nadałem – nauczysz Imperialnych Programerów, jak stworzyć osobliwość. Czy zrobisz to dla WayEmpire?*

Inżynier spojrział na mnie zażawionymi oczami. Poczułem bijącą od niego falę wdzięczności. On naprawdę nie żądał władzy. Był ofiarą swojej miłości. I ambicji Oomy z Tann.

– *Tak, Błogosławiony.*

– *Wynalazłeś najpotężniejszą broń w historii ludzkości. Silniejszą od Skymourów i od naszych mocy. Wiedza o niej nie może się wydostać w żaden inny sposób z twojej głowy. Czy to rozumiesz?*

Przełknął ślinę.

– *Co masz na myśli, Błogosławiony?*

Wskazałem palcem jego czoło.

– *Założę blokadę w twoim frinie.*

Spojrział okrągłymi oczami.

– *To możliwe?*

– *Wolałbyś spędzić całe życie w Pałacu Imperatorskim ze strażnikiem u boku?*

– *Nie...*

– *Ta blokada nie będzie duża. Nie będziesz mógł tylko mówić ani przekazywać totów dotyczących tej konkretnej aplikacji. Masz zakaz mówienia o niej, a blokada ci w tym pomoże. Nie będziesz musiał o tym nieustannie myśleć. Jest jednak Wolna Wola i możesz mi teraz odpowiedzieć „Nie”. Wtedy jednak wybierzemy rozwiązanie z Pałacem Imperatorskim...*

– *Tak, zgadzam się – odparł szybko.*

– *To nic wielkiego. Wszyscy Imperialni Programerzy i Soulerzy mają takie*

blokady. O pewnych rzeczach po prostu nie wolno mówić dla bezpieczeństwa Imperium Drogi.

– Rozumiem.

Uruchomiłem Łaskę Imperatora i wprowadziłem do frina inżyniera odpowiedni program. Nawet on nie był w stanie go złamać, a gdyby próbował...

– Gustavie, myślę, że powinieneś wiedzieć, że gdybyś usiłował...

– Usunąć tę blokadę, spotka mnie śmierć.

– Niechybna.

– To zrozumiałe.

– Bądź dumny, inżynierze, dołączyłeś do grona strażników tajemnic.

Mężczyzna nie odpowiedział. Tylko zamrugał.

– I w ten sposób stałeś się jednym z władców WayEmpire – dodałem.

Jego jasne oczy patrzyły na mnie, zdumione.

– Naprawdę? To w taki sposób...?

Uśmiechnąłem się do niego.

– W taki, przyjacielu.

Galaktyka Andromedy

Planeta Vaterland, grunt

Dystrykt pałacowy

45 Secundi 233 EI, 09.00 H

Na płonącym niebie Vaterlandu, nad malowniczym truchłem bezgłowego arcydiabła tkwiącym na szczycie dawnego pałacu króla, rotował nowy symbol WayEmpire – Demon i Anielica na tle kręgu utworzonego ze zwiniętego ciała Smoka. Taka była sugestia Imperatora i została

podchwycona przez wszystkich Sitów, a jeden z najwybitniejszych artystów Imperium, Gino Charlotti, bezbłędnie wpasował nowy element w dawny znak. Trzeba dodać, że nie było to łatwe, bo Suver nie mógł być tak po prostu z tyłu. Gdyby Charlotti w ten sposób potraktował sprawę, trójwymiarowe logo po obróceniu o sto osiemdziesiąt stopni przedstawiałoby Smoka na pierwszym planie, przysłaniającego nogi i skrzydła anheliczno-demonicznej pary. Zatem artysta wplótł cielsko gada między prawe i lewe skrzydła kochanków, w miejscu ich stóp zaś zrobił przerwę – po jednej stronie był pysk, po drugiej ogon. Niektórzy krytykowali takie ułożenie, twierdząc, że Dragonoidy się obrażą, widząc Smoka liżącego stopy duchów, ale mylili się.

„Ostatni będą pierwszymi, a ci, co na dole, są w istocie na górze” – stwierdził Matias Kill, Car przemawiający w imieniu Jednego Smoka, i tak praca Charlottego została ostatecznie zatwierdzona.

Oderwałem wzrok od godła i rozejrzałem się. Wisieliśmy nad wielką platformą w pobliżu dawnych miejsc zmagania, kilkadziesiąt metrów nad ruinami domów. Pod nami gotowała się lawa, a pobliskie wulkany wciąż gniewały się za niedawną apokalipsę.

Byliśmy tam całym oddziałem, który brał udział w akcji *Nemesis*. Byli też członkowie floty, która przybyła nam z odsieczą. Kilkuset Sitów. Obok mnie oliwkową pierś przeżył kapitan Hans Colter, a dalej szkarłaciła się zbroja czempionki Tanyi Kitaro. Po mojej prawicy wisiała Angela, za nią natomiast Laurus. Byli Quai i Tell, Żuki i Kroz, słowem, komplet. Dookoła, na niezliczonych platformach, tkwiła wielomilionowa widownia z radością chłonąca widok jedynej ocalałej planety obcych. Na czas tej wizyty utworzono wokół nas gigantyczny aseptyczny bąbel, ale i tak wszyscy zobowiązani byli przed powrotem do domów przejść skany medmatów.

Znajdowaliśmy się w strefie, w której ze zrozumiałych względów nie było Ojców. Nie było ich w ogóle na planecie, bo po całej powierzchni

przebiegały trzęsienia ziemi. Wszyscy zostali ewakuowani na stacje orbitalne i przebywali tam pod czujnym okiem soulerów i disowych terapeutów, którzy starali się zgłębić tajemnice tej cywilizacji. Obcy nie stawiali oporu, nie buntowali się.

Nie umieli.

Czekała nas naprawdę ciężka praca polegająca nie tylko na ujarzmieniu klimatu cierpiącego globu, nie tylko na zrozumieniu i uleczeniu tutejszej ludności, ale także na poznaniu jej historii i tajemnic.

Wróciłem myślami do rzeczywistości. Przed wieloma rzędami bohaterów, wśród których tkwiłem i ja, wisiał Belisarius Ebbo, Imperialny Mistrz Ceremonii, ubrany w długie zielono-złote szaty. Przed chwilą uhonorował nas wszystkich Orderem Rajdu na Vaterland, niewielką okrągłą pieczęcią, która w moim przypadku spoczęła w górę i na prawo od pieczęci Anioła Śmierci, a przedstawiała postać arcydiabła w uścisku pancерnej ręki. Nota bene symbol Angeli Mortis nie wyglądał już na mojej piersi tak jak kiedyś. Ze względu na nowe umiejętności moja żywa zbroja oplotła go misternie wykonanym ciałem Smoka. Teraz byłem pierwszym, jak na Primusa przystało, Smoczym Ranem, co symbolizował ten właśnie znak. Moje osamotnienie w tej dziedzinie miało się wkrótce skończyć, bo planowano już przeszkolenie Secundusa, Toy Soldiers oraz Aniołów.

Ebbo właśnie podlatywał do unoszącego się dumnie na swoich potężnych skrzydłach Laurusa Wilehada, Rana wszystkich Ranów. RanaR, widząc Mistrza Ceremonii, nie krył zdziwienia. Przecież już otrzymaliśmy swoje ordery.

Zakapturzony mnich zatrzymał się przed nim i długo mierzył go wzrokiem.

A Laurus patrzył na niego.

Widać było, że prowadzą rozmowę, ale nie menową, raczej dialog

przeznaczeń, konwersację zawartą w mikroruchach twarzy, ledwie widocznych poruszeniach mięśni mimicznych. Oceniali się wzajemnie i odgadywali intencje. Ebbo wciąż był tajemnicą, podobnie jak SaintDroidy. Był niewątpliwie programem, animacją, ale istniał, odkąd istnieje Imperium, pełnił wszelkie honory, a ja czasem zastanawiałem się, zupełnie absurdalnie, czy to przypadkiem nie on jest Imperatorem.

Mistrz w końcu wyciągnął palec i wskazał głowę Laurusa, a wtedy dookoła jasnych włosów pojaśniała aureola, nad mężczyzną zaś z cichym westchnieniem wychynął z podprzestrzeni SaintDroid, pod którym pojawił się gonfalon z imieniem RanaRa. Towarzyszył temu podniosły akord z mocną basową podstawą, od której zadrżała platforma.

Gapie zaczęli bić brawo i otoczył nas huk aplauzu.

– Laurusie Wilehadzie, Bramo Ranów, Imperator w Wielości Jedyny oraz Budda uznali, że jesteś godzien zostać Błogosławionym. Czy przyjmujesz to wyróżnienie?

Belisarius zamilkł i przez chwilę słychać było tylko grom uderzających o siebie dłoni, okrzyki entuzjazmu oraz szum łopoczących w gorącym wietrze Vaterlandu proporców. Zerknąłem na Wilehada. Patrzył w dal. W spojrzeniu tym widziałem nie starego wyjadacza, nie zabijakę i twardziela, jakim Wilehad zawsze chciał być, ale chłopca, który, jak mi się wydawało, przypomniał sobie, co jest w życiu najważniejsze.

– Nie, Mistrzu.

Poczułem, jak spływa z niego wielki ciężar. Jakby ogromna fala przelała się przez moje ciało, i odebrałem jego ulgę. Wilehad wyzwolił się z kleszczów ambicji. Jakiś bezdomny, jeszcze na Damnacie, w Nowym Tokyo, bardzo dawno temu spytał mojego znajomego: „Wiesz, co to jest szczęście?”. „Nie”, odpowiedział znajomy. Bezdomny uśmiechnął się, pokiwał głową i szepnął: „Brak ambicji”.

Ebbo uśmiechnął się spod kaptura, a z nim my wszyscy, bo Belisarius praktycznie nigdy się nie uśmiechał.

– *Przeraża mnie ten gość* – nadał telepatycznie Tell.

– *Cicho.*

SaintDroid i aureola zniknęły z cichym sykiem. Towarzyszył temu jęk zawodu zgromadzonych dookoła ludzi. Owionął mnie mokry wiatr, pełen kurzu i gorzkiego zapachu jesiennych liści.

– *Laurus, co ty robisz?* – wysłałem men. – *Jesteś pewien?*

– *Torkil* – odpowiedział, także używając totu – *Błogosławionych jest mnóstwo. A słyszałeś o kimś, kto odmówił tego zaszczytu?*

Dorzucił emocje jakby... kwaśnej dumy.

Belisarius pokręcił głową, jak gdyby usłyszał zabawną wypowiedź niesfornego chłopca. Podniósł nieznacznie kościsty palec.

Nagle wokół głowy Wilehada rozbłysła przekreślona aureola, znak Żywego Świętego! I znowu towarzyszył temu podniosły akord!

– *No, no, ależ hojny jest pan Ebbo!* – nadał Tell. – *Znaczy Budda i Imperator, bo przecież chyba Mistrz nie działa w pojedynkę?*

– *Nieemożliwe* – odparłem.

– *No, to naprawdę ci się należy, Laurus* – usłyszeliśmy men Nexusa.

Fakt. Od pierwszego ataku Verów podczas Drugiej Wojny z Thirami, od Paryża. Tym razem Imperialny Mistrz Ceremonii nie pytał, czy się zgadza, a krzyk gawiedzi był tak silny, że drżały od niego pancerze. I po twarzy chłopca, którym nagle stał się Laurus, popłynęła łza. Nie dlatego, że został wreszcie wyróżniony i doceniony, lecz z zupełnie innego powodu.

I wtedy, gdy wydawało się, że ceremonia dobiega końca, gdy wrzała już wokół nas gawiedź i mnożyły się radosne komentarze, odezwał się Laurus, a zrobił to tak głośno, że słyszeli go wszyscy, nie tylko na Vaterlandzie, ale w całym Imperium.

– Podczas walk nad tą planetą zginęło mnóstwo Sitów. Maodów, Maod-Anów, Lapidosów, żołnierzy Armii Imperialnej. Nawet Trajan Teogenes, Car Smoków, oddał tu życie, podobnie admirał Geoffrey Hawk i wielu, wielu innych. Nawet ci, których tu widzimy, Angeli Mortis, zginęli w dwóch trzecich. Cześć ich pamięci. I był jeszcze jeden człowiek – ciągnął – który toczył swój bój w samotności. Nikt nie patrzył na jego bohaterstwo, nikt nie wsparł go w ostatniej chwili życia. Ale wytrzymał na stanowisku do samego końca. Gdyby nie ten Sit, nie spotkalibyśmy się tutaj. Przegralibyśmy bitwę i wojnę, chyba że Strażnik potrafiłby to jakoś za nas załatwić. Człowiekiem, który umożliwił transport CIII nad Vaterland, był Eryk Van Moon, Kreator Światów zawiadujący flotą *Steak*. Zdecydował obniżyć orbitę Statku Matki tak bardzo, że pojazd tego nie wytrzymał, ale dostarczył do teleportu Enkidu wystarczającą porcję energii. Zawdzięczamy zwycięstwo właśnie jemu.

Van Moon... Księżyc. Czyżby karta Tarota Imperialnego wskazywała również jego?

– To jemu należy się, niestety pośmiertnie, symbol Świętego, to on, podobno zwyczajny i wesoły facet, zasługuje na honory. Nie ja. Nie ja. – Przerwał i dopiero po chwili dodał: – Nie jestem godzien ani pierwszego, ani drugiego wyróżnienia.

Nagle dotarła do mnie bijąca od niego fala rozpaczy. Na Budę, Laurus...

– Nie jestem godzien! – powtórzył.

A ja poczułem, jakby wbijał mnie, sobie i całemu WayEmpire wielki, czarny nóż prosto w plecy.

– Dlaczego tak mówisz? – spytał Belisarius.

– *Torkil, co on wyprawia?* – nadał totowo Nexus.

Nie mogłem odpowiedzieć.

– Myślicie – podjął Maod-An – że jestem bohaterem. Ranem wszystkich Ranów, tym, który przewodzi Wielkiej Radzie Tomonari, nieskalanym

przywódcą Maodionów. – Uśmiechnął się smutno. – O, jakże się mylicie.

Mbele zerknął na mnie.

– *Thowk chce wszystkich thowkować?*

– Jakże się wszyscy mylicie! – krzyknął Wilehad. – Jestem zgniłym ziarnem! Jednym z trzech, na których wyrosło WayEmpire! Pierwszym był Sergio Lama, naukowiec Mobillenum, jednej z przykrywek korporacji Way Dao, która stworzyła podwaliny naszego państwa. Drugim zgniłym ziarnem był nasz ukochany ojciec, Rector Ludens, Gorgon Nemezjus Ezra, Imperator. Tak, widzę, że się obruszacie. Jak RanaR może tak mówić o Ojcu Ludzkości? Może! Bo go znał! Jak może tak mówić o nieodżałowanym Sergiu? Może! Bo jego także znał! Obaj odpowiedzieli za swoje czyny. Jeden popełnił samobójstwo, drugi poświęcił życie w realium na rzecz służby ludzkości w sieci, pozbawiając się wszelkich cielesnych uciech. Obaj odbyli pokutę. Trzecie ziarno, wasz ukochany Laurus Wilehad – RanaR zaśmiał się szyderczo, wypowiadając własne imię – wciąż żyje. Żyje, bo wybrał życie, a nie śmierć, której był bliski tutaj, na tej przeklętej planecie. A wybrał życie, by powiedzieć wam prawdę. Prawdę o Imperium. Bo wszystko, co wiecie, jest kłamstwem.

I popłynęła z ust Laurusa Wilehada opowieść o tym, co było dawno temu. O prawie zakazującym utrwalania wiedzy na reistycznych nośnikach, o Krachu Temporalnym, który był możliwy tylko dzięki tej ustawie, a służył temu, by zawłaszczyć wiedzę innych korporacji i ukryć to przywłaszczenie, o przesunięciu czasowym całej ludzkości, które miało maskować nagły skok cywilizacyjny Mobillenum, o sfingowanej bazie Aquamorfów, która rzekomo tłumaczyła niebywały rozwój Way Dao, o tym wreszcie, jak akcja Pandora, która miała tylko stymulować emigrację na Gaję, wymknęła się spod kontroli i jak w wyniku tych komplikacji powstał Thirowie. A potem wyznał, że był głównym agentem nadzorującym większość tych machinacji,

dyrektorem pociągającym za wiele sznurków. I że wyznaje wszystko po to, by ludzie znali prawdę. A Sitowie słuchali i milczeli.

Słuchał tego także Han Fierce przebywający w tym czasie ze swoją potężną wia w raju planety Asgard, a im dłużej słuchał, tym większa wzbierała w nim wściekłość. I wszyscy ci, którzy słyszeli o Wilehadzie i go podziwiali, wszyscy, którzy na wieść o śmierci Imperatorki odczuli żal, słuchając słów Laurusa, czuli, jak wzbiera w nich coraz większe poczucie krzywdy.

– Wiedziałem, że w tym świecie jest coś fałszywego, wiedziałem – syczał Han. – Nienawidzę tego sztucznego, cukrowanego Jemperium! Nienawidzę!

I zaczął przeklinać na głos, wyleciał z *Grendela* i ryknął wniebogłosy, a razem z nim wylegli na zewnątrz inni uczestnicy karawany i także dali upust złości długim, dzikim zawodzeniem.

A z nimi zaczęły wrzeszczeć miliony Sitów.

Jednak Laurus nie przestał mówić, aż nie wyjawiał wszystkiego, co wiedział o historii Imperium. Nie pominął żadnego szczegółu, żadnej niegodziwości, bo wiedział, że tylko ostateczna szczerłość da mu spokój ducha. I nie zważał na to, że właśnie wywraca do góry nogami cały wielki świat, który z takim trudem został skonstruowany.

Wiedział, że nie ma innej drogi.

A Imperator mu nie przerywał.

– Dlatego – podjął Wilehad – składam rezygnację ze stanowiska RanaRa. Nie uważam, że bym na nie zasługiwał. Nie uważam, żeby sam akt wyznania prawdy stanowił jakiegokolwiek rozgrzeszenie. Zgniłe ziarno musi zniknąć. Imperium, jeśli ma kwitnąć, powinno rosnąć na zdrowym gruncie. Wiszący

tu Torkil Aymore zawrócił mnie z krainy zmarłych, a udało mu się mnie stamtąd wyciągnąć tylko dlatego, że wyznanie prawdy uznałem za większy akt odwagi niż śmierć. Teraz wyznaczam właśnie jego na stanowisko pierwszego Rana. A sam będę żył i będzie to dla mnie największa kara.

– *Na Buddę, co on zrobił?* – szepnął przerażony Nexus. – *Kto zechce teraz żyć w Imperium?*

No właśnie. Kto zechce żyć w świecie, gdzie każde dziecko, już w okresie płodowym, nawiązuje łączność z ImBu? Kto zechce istnieć w WayEmpire, gdzie Imperator, największy zbrodniarz ludzkości, jest w każdym Sicie? Kto mu przebaczy przeszłość? Kto mu przebaczy milczenie i kłamstwa?

– Nie przyjmuję tego stanowiska – odezwałem się mocnym głosem i było to dla mnie samego wielkie zaskoczenie.

Belisariusza chyba po raz pierwszy w jego cyfrowym życiu zatkało, bo wisiał, milczał i bladł coraz bardziej.

– Nie przyjmuję go – podjąłem – bo jestem nie mniej winny niż Laurus. Ja, Primus i Podróżnik, dowiedziałem się o tym, o czym opowiedział Laurus, pierwszego dnia zerowego cyklu Imperium. I nie zrobiłem nic, żeby to zmienić. Przeciwnie. Uznałem po jakimś czasie, że Gorgon Nemezjus Ezra jest najlepszym władcą ludzkości. Także żyłem w kłamstwie.

Ebbo rozejrzał się dookoła, jakby zadawał nieme pytanie: „Czy jest w tym kręgu chociaż jeden sprawiedliwy?!”.
– Cóż – znowu odezwał się Laurus. – Powiedziałem, co miałem powiedzieć. Teraz nie pozostaje mi nic innego, jak was opuścić.

Wyrwał do góry i w huku błyskawic zmaterializował wokół siebie Skymoura. Targnął nami podmuch wiatru. Wilehad podleciał jeszcze kilkaset metrów i zniknął w podprzestrzeni.

Kilka cetni później usłyszeliśmy grom zasysanego powietrza, a proporce zafurkotały.

Wisieliśmy skonsternowani, nie wiedząc, co powiedzieć. Bo oto okazało się, że gdy nie ma nikogo, kto trzymałby strukturę, kto by jakoś nazwał to, co się dzieje, kto ogarnąłby towarzystwo, wszystko się załamuje. Laurus był filarem podtrzymującym gmach. Gdy go zabrakło, namiot zaczął się przechylać. Czekałem na pojawienie się Imperatora, ale on milczał. Wiedziałem dlaczego. To był już inny byt. Robił to dla nas, nie z powodu wstydu.

A szum narastał.

Zastanawiacie się pewnie, jak ta ceremonia się skończyła.

No cóż, skończyła się bardzo po ludzku. Ludzie zaczęli gadać. Dyskutować. I oto, do jakich mniej więcej wniosków doszli:

Jeśli RanaR nie zwariował, a chyba jednak nie, to rzeczywiście taka jest prawda o początkach Imperium. Powstało na fundamencie krwi i walki tytanów. Tak, naszym ojcem jest ktoś, kto brał udział w tej walce i zwyciężył. Tak, przez wiele cykli żyliśmy przekonani, że początki Imperium są inne. I co? Przecież to było tak dawno temu! Dwieście trzydzieści cykli! Dlaczego niby mielibyśmy się tym przejmować?

I co z tym zrobimy? W poczuciu oburzenia wyrwiemy sobie friny? Wiemy, że to niemożliwe. Nie wszczepimy ich następnym pokoleniom? Będzie to cywilizacyjny krok wstecz. Przestaniemy się kłaniać Ezrze? Są miejsca w WayEmpire, gdzie nie wierzą w jego istnienie, bo tak rzadko się pojawia przed ludźmi. Machniemy ręką na cały ten dobrobyt i zejdziemy do jaskiń? Tu pojawiły się pierwsze śmiechy i poczucie, że egzorta Laurusa była niepotrzebna.

Wilehad podał się do dymisji, dywagował tłum. Już dwa razy umarł za Imperium. Więcej niż dwa. Czy nie zasłużył na rozgrzeszenie? Więksi

zbrodniarze w historii je uzyskali, a RanaR wielokrotnym poświęceniem z nawiązką odpokutował swoje zbrodnie. Przyczynił się do rozwoju Imperium. Nie ma i nie było lepszego RanaRa. Jeśli nie chce dalej pełnić tej funkcji, wielka szkoda, uszanujemy jego decyzję, ale nigdy go nie potępimy. Na stanowisko Bramy Ranów znajdzie się na pewno inny człowiek. Mamy przecież tak wielu szlachetnych Maod-Anów...

Wtedy wiele oczu zwróciło się na Felixa Durana, pierwszego i jedyne go Żywego Świętego Imperium.

Ten zaś podleciał wyżej i pokręcił głową, mówiąc:

– Też mam swoje za uszami...

Wówczas uczestniczący w spektaklu widzowie wybuchnęli śmiechem, a cała historia opowiedziana przez Wilehada zdała się czymś w rodzaju legendy, strasznej i krwawej, ale przecież należącej do przeszłości. Laurus wróci, zaczęto mówić, bo ma zbyt duże poczucie obowiązku, by pokrywać je potrzebą pokuty! Na pewno znajdzie dla siebie godne miejsce. Jest Secundusem, zbyt wiele od niego zależy! Struktura Maodionów przetrwa, bo nie ma innej możliwości! I Imperium przetrwa! Dlaczego?! Bo nie ma innego wyjścia! Nie ma innej drogi prócz drogi naprzód! Przeszłości nie zmienimy! Nie zmienimy jej! Ale teraźniejszość i przyszłość należą do nas! Tchórzostwem byłoby odrzucenie odpowiedzialności, słyszysz Laurusie? Słyszysz nas?!

Laurus Wilehad to słyszał, słyszał to każdą komórką swojego ciała, gdy leciał z odsłoniętą twarzą przez raj Gai, zbliżając się do swojego domu. Słyszał to, a po jego twardych policzkach płynęły łzy suszone przez ciepły wiatr. Ale nie mógł wrócić. Nie teraz i nie tak. Ten etap jego życia był skończony.

Nie był to koniec świata, ale na pewno koniec drogi Rana.

Wylądował na najbardziej wysuniętym tarasie wydzielonym z *Bashinga* przez Kaję, która nie lubiła wojskowego wyglądu domostwa i gdy tylko mogła, zamieniała go w coś w rodzaju latającego parku. Miał nadzieję, że jego partnerka nie dostrzeże go.

Potrzebował ciszy.

Zacisnął usta, rozpatrując swoją przyszłość, bo jak słusznie mówił tłum, nie było innej drogi, tylko naprzód. Zatem skoro nie jest już Ranem, kim będzie? Przecież wojaczka to jedyna rzecz, jaką kocha.

A zatem będzie Ranem bez Maodionu.

Przez chwilę szukał odpowiedniej nazwy dla swojego stanu i znalazł ją.

Ronin.

Ronin. Wojownik bez pana. To pasowało.

Usiadł po turecku i przywołał O'Toola. Zanim ten przyleciał, zaprojektował kawał kremowej tkaniny i wysłał zapotrzebowanie do Worplanu. Czekaając na realizację zamówienia, rozejrzał się.

Zobaczył chmury.

Błękitne niebo.

Usłyszał śpiew ptaków.

A wszystko to było tak świeże i nowe. Poczł się jak dawno temu, za młodych czasów, gdy kończył szkołę, wracał do domu, a świat stał otworem i czekał na jego ruch. Teraz znowu nastał taki moment. Obok niego pojawił się czarny dron, złożył ręce w kształt koła i z teleportu wypłynęła ciężka szata. Laurus zważył ją w rękach. Zanurzył nos w materiale i zaciągnął się jego zapachem. Tak, pomyślał, pachnie moje nowe życie.

W pobożnym milczeniu nałożył ją na pancerz, a głowę przykrył kapturem.

Droga Mleczna

Planeta Asgard, raj
Sektor Q 73758
45 Secundi 233 EI, 09.39 H

Karawana Hana Fierce'a wrzała. Wokół niej roило się od airvilli, które wywieszały czarne flagi z białymi literami „WW”, i wciąż ich przybywało. Han wisiał nad najwyższym tarasem *Grendela*, rozpościerał ręce w geście władzy i patrzył gniewnie na przybywających wyznawców. Po jego lewicy wisiała smukła, blada Uma Black, a po prawicy siwobrody Toth Karna.

– Coraz ich więcej, Zabójco Błogosławionego – szepnęła Uma.

– Gniew rośnie – potwierdził Toth.

– Ludzie nie chcą żyć w kłamstwie. Odrzucają je – odezwała się kobieta. – Pragną czystości, porządku, hierarchii.

– Prawdy – dodał Toth.

– Ty dałeś im prawdę, Zabójco – oświadczyła Uma. – Za tobą pójdą wszędzie.

– Tak się stanie – odparł Han. – Znajdźcie nieskolonizowaną jeszcze, ale terraformowaną planetę. Wymuście na tym cyfrowym potworze, na... Buddzie, żeby nam ją oddał. Na pewno to zrobi.

– Tak, Zabójco – powiedziała kobieta.

Wydawało jej się, że przemowa RanaRa spowodowała zmianę koloru skóry Hana. Jego cera wydawała się szara, a zarys podbródka stał się bardziej kanciasty.

A może to światło rajy Asgardu tak grało na jego boskiej twarzy?

– Nowy glob, nasz świat, nazwiemy Prawdą. I ochronimy ludzkość przed zgnilizną i zniszczeniem – oświadczył Fierce.

– Tak, Zabójco.

Mężczyzna w popielatym pancerzu wskazał lewitujący obok nich biały

blat. Wisiały nad nim butelka wina, trzy kieliszki oraz „oko Astry”.

– Nalej mi wina – zwrócił się do kobiety.

Ta usłużnie podpłynęła do stołu i spełniła prośbę.

– Nalej też sobie i Tothowi. To wielki dzień.

Arealium

Nekropolia *Stairway*

Sektor Złoty Topoli

47 Secundi 233 EI, 10.02 H

– Jak się czujesz, chłopie? – spytał Sprite Tarika, który unosił się przed nim na tle wysokich, rozłożystych drzew i błękitnego nieba. Dalej duża grupa młodzieży piła wino i słuchała muzyki. Jej ciepłe tony rozchodziły się w powietrzu razem z zapachem jabłek i skoszonej trawy.

Obok Sprite’a lewitowała jego matka, Maria Tannen, jednak mimo pogodnej miny rozmówcy syna nie uśmiechała się. Jej oblicze było blade.

– Świetnie – odparł czarnowłosy chłopak. Wyszczrzył zęby. – Co u Eda?

Rudzielec dryfujący po drugiej stronie Sprite’a rozciągnął usta w sztucznym uśmiechu.

– Daję radę. Starzy już odbudowali chałupę. Ciągłe polatujemy w Tris.

– A Tannenowie jak dawniej, w gruncie? – Tarik spojrzął z ciekawością na Marię.

Ta chrząknęła.

– Nie. Już nie. Przyłączyliśmy się do karawany Smoczego Rana. Jego airvill wisi od jakiegoś czasu nad Wiz.

– A, to fajnie. – Tarik uśmiechnął się.

Maria skinęła sztywno głową.

– *Sean, proszę cię – nadała menowo. – Już nie mogę. Mamy jeszcze... zamienić słowo z ojcem.*

– *Tak, mamó, przepraszam* – odpowiedział totem i odezwał się do kolegi:
– Trzymaj się, Tarik.

– Trzymajcie się, chłopaki! – Młodzieniec zamachał im i oddalił się do młodzieży lewitującej wśród ogrodów.

Maria, Sprite i Ed popłynęli dalej, do sektora Srebrnych Dębów. Kobieta otworzyła okno komunikacyjne i wydała mentalną dyspozycję. Spomiędzy unoszących się na powietrznych tarasach drzew obciążonych dojrzałymi jabłkami wypłynął jej mąż i ojciec Sprite'a, John Tannen.

– *To ja może... się wyloguję* – przesłał mentalny komunikat Ed.

– *Dobrze, Ed, zobaczymy się w realium* – odpowiedziała Maria.

– *Trzymaj się, skontaktuję się* – dorzucił Sprite.

Rudy młodzieniec jeszcze przez chwilę patrzył nieruchomo na uśmiechniętego Johna Tannena, po czym wykonał gest wylogowania i zniknął.

– *Cześć, kochanie, cześć, Sprite.* – Mężczyzna uśmiechnął się.

– *Proszę cię, Sean* – nadała matka – *nie przedłużaj. Źle się tu czuję.*

– *Dobrze, mamó* – odparł chłopak. – *Cześć, tato!* – rzucił, wyprysnął do przodu i przytulił się do ojca.

Maria patrzyła na to blada i milcząca.

– *Dzień dobry, John* – powiedziała oschle.

– *Dlaczego jesteś smutna, kochanie?* – spytał, gładząc włosy syna.

Maria przełknęła ślinę.

– *Bo... umarłeś?*

– *Nie mów tak, mamó* – wyszeptał Sprite.

John smutno pokiwał głową.

– *Wciąż można ze mną rozmawiać.*

– Już nie z tobą – odparła kobieta.

– Sprawiasz mi przykrość, Mario.

Siti Tannen zacisnęła szczęki. Mężczyzna patrzył na nią dłuższą chwilę. Zwinęła dłonie w pięści. Tylko mi tego nie mów, tylko nie proponuj przytulenia, nie chcę cię dotykać!

John nie odezwał się. Zamiast tego spojrział na Sprite'a. Ujął go za ramiona.

– Opiekuj się mamą, synu.

– Dobrze, tato.

– I nie martw się. Ja po prostu wylogowałem się... do innego wymiaru. A tutaj zawsze możesz ze mną porozmawiać. Z takim drugim tatą.

– Będę cię odwiedzał.

– Przychodź śmiało. Zobacysz, że to fajne. Znam niejednego Sita, który nie przeszedłby testu Turinga!

Chłopak roześmiał się.

– Lubię, jak się śmiejesz. – Mężczyzna odsłonił zęby w promiennym uśmiechu.

– A ja ciebie lubię, tato. – Chłopak znowu się przytulił.

– Sean – nadała kobieta.

Sprite odsunął się od ojca.

– Bywaj, Mario. – Mężczyzna zamachał do niej ręką.

W odpowiedzi ledwie zauważalnie skinęła głową. Mężczyzna ucałował chłopca w czoło, powoli odwrócił się i zniknął pośród drzew. Matka Sprite'a płytko odetchnęła.

– Mamo, dlaczego byłaś niemila?

– To nie był twój ojciec, tylko jego obraz, Sean. Program stworzony na bazie psychiki Johna. Bot. Nieżywy.

– Przecież wiem. Tak samo jak Tarik.

– Tak.

– Ale wciąż nie rozumiem, dlaczego byłaś niemiła.

Maria Tannen zagryzła górną wargę.

– Przecież zawsze, gdy zatęsknisz za tatą – podjął Sprite – będziesz mogła z nim porozmawiać.

– Już nie z nim – szepnęła.

– Widzisz różnicę? Ja jej nie dostrzegłem.

Kobieta chciała coś powiedzieć, ale skurcz krtani jej to uniemożliwił.

– Taty czasami nie było w domu – ciągnął chłopiec. – Wtedy wyobrażałem sobie, co by powiedział, jak by na coś zareagował. I on...

Siti Tannen spojrzała na syna z mieszaniną zmęczenia i niechętnego zaciekawienia.

– On – Sprite popatrzył na nią, szukając słów – on jakby wtedy żył. We mnie. Jego obraz. Gdy przed chwilą z nim rozmawialiśmy, wiedziałem, że to nie jest stary tata, ale jego widok we mnie ożywał, rozumiesz, mamó?

Zbliżyli się do bramy nekropolii.

– Rozumiesz?

– Chyba tak, Sprite.

– Ja w każdym razie – podjął – zamierzam odwiedzać tatę często. I Tarika też.

Maria Tannen wyciągnęła rękę do bramy symbolizującej przejście z nekropolii do sieciowego menu. Drzwi otworzyły się, wpuszczając snopy światła.

– Dobrze, synku.

Droga Mleczna
Planeta Wiz, raj

W Maodionach uczą, że istnieją trzy rodzaje analizy akcji: zastana, wczesna i późna. Zastana odbywa się w czasie walki. Rozpatrujesz sytuację taktyczną i podejmujesz decyzje. Proste. Wczesna odbywa się po bitwie. Zastanawiasz się, co zrobiłeś dobrze, co spaprałeś, widzisz, gdzie przeszkodziły ci strach i błędne wyobrażenie o siłach i zamiarach wroga. Uczysz się, że informacja to najważniejsza broń na polu bitwy.

Co do późnej, czasami dek, dwa, nawet pendek po walce wracają wspomnienia, zaczynasz dostrzegać coś więcej, zadajesz pytania i odkrywasz to, czego nie dostrzegłeś od razu. Mówimy młodemu Tomo, że analiza późna jest często ważniejsza od zastanej i wczesnej, bo pozwala jeszcze lepiej zrozumieć rozgrywkę, dotrzeć do jej sedna.

Nic zatem dziwnego, że siedząc na tarasie *Teacupa* i sącząc herbatę, jakoś dwa dni po sławetnej ceremonii na Vaterlandzie wezwałem Imperatora na dywanik. O dziwo, stawił się. Rozbłysł SaintDroid i zobaczyłem jego dobrotliwą twarz.

– *Tak, Błogosławiony?*

– To żart, Ezra?

– *No cóż...* – Uśmiechnął się.

– Mam pytanie dotyczące Jednego Smoka. Wiedziałeś o jego istnieniu?

– *Oczywiście. Prawie od początku.*

– I dlatego oddzieliłeś Dragonoidy od reszty WayEmpire?

Gorgon wyszczerzył zęby.

– *Same tego chciały, świadome swojej potęgi.*

– Dlaczego milczałeś? Kiedy zamierzałeś to zdradzić? Ujawnić ich zdolności?

– *Torkilu, przestań.*

– *Co „przestań”?*

– *Myśl. Myśl czasami, Torkilu. Jeden Smok nie był żadną tajemnicą dla kogoś, kto używa mózgu. Telepatia, ta prawdziwa, nie może istnieć bez sieci. Ona tworzy sieć. A więc superistotę. Jednego Smoka. Czy tak trudno to pojąć?*

Złapał mnie. Rzeczywiście, ja i reszta ludzkości wyszliśmy na głupków. Zresztą może jacyś jajogłowi nad tym już kombinowali, nie wiem...

– *Wciąż myślę o tym bycie. Może to właśnie on stworzył warunki dla Strażnika? Umożliwił mu wejście w naszą czasoprzestrzeń?*

Gorgon uniósł brwi.

– *Być może. Dragony nieustannie rozdierają tkankę rzeczywistości.*

– *Wiesz, że to w sumie konkurencja?*

– *Dla mnie? Żeby była konkurencja, obie strony muszą konkurować. Ja nie zamierzam. Jeden Smok także jest zbyt mądry.*

– *Wchodząc w smoczą jaźń, widzę... niezwykle rzeczy. Obrazy istnień, nie wiem, jak to ująć... Mam wrażenie, że... istnienie jest... geometrią. Obrazem. Rozumiesz, o czym mówię, Ezra?*

Imperator ściągnął usta.

– *Zastanawiałeś się kiedyś, jak działa łapa grawitacyjna?*

– *Kilka razy. Ale niewiele mi to dało.*

– *To naprawdę zdumiewające, że przez tyle cykli nikt nigdy nie próbował na serio rozgryźć tego urządzenia. Mechanika kwantowa także jest niezrozumiała. Wszyscy się nią zajmują, wszyscy korzystają z jej dobrodziejstw, ale, jak mówi przysłowie, jeśli ktoś twierdzi, że ją rozumie, daje dowód na to, że jest odwrotnie. To coś podobnego jak rozbiór zdania.*

Roześmiałem się.

– *Coś, co wyciąga psychikę z mózgu i przenosi ją gdzie indziej, nie*

powinno funkcjonować. A funkcjonuje. Psychika jest połączona z mózgiem. Jej natura jest informacyjna. Psychika nie jest materią, ale się z niej wywodzi, ma tam swoje korzenie, wśród miliardów synaps i zależności chemicznych. Wyłania się, wynurza, ale tam są jej podstawowe cegiełki. Tak jak wygląd kwiatu, wygląd, rozumiesz, nie jego płatki czy pręciki, lecz jego obraz ma źródło w korzeniach, tak psychika jest obrazem, który ma korzenie w mózgu. Rozumiesz, wygląd, obraz ma źródło w korzeniach. Niedawno z Buddą to pojęliśmy. Psychika to nie fala, nie chemia, tylko informacja, a konkretnie... wygląd. Ale jeśli istnieje obraz, powinien być i widz, prawda? W czyich oczach jesteśmy obrazem? Kto spaceruje właśnie po wypolerowanych posadzkach galerii, gdzie wiszą wielkie płótna, i ogląda obrazki z Imperium?

– Bóg?

– Rzekłeś, Torkilu. Jeśli ta metafora jest prawdziwa, to stanowi dowód na istnienie boskiego obserwatora, prawda?

– Prawda.

– Wszechświat to bezmiar atomów i cząstek. Jaki cud spowodował, że sam się zobaczył? Co w oceanie bozonów i fermionów, które są kodem rzeczywistości, stało się oczami boga? Gdzie są oczy, które krzyknęły: „Istniejesz, świecie!”?

Milczałem.

– Tymi oczami jesteś przecież ty, Torkilu! To przecież ja! To my jesteśmy bogami, oczami Smoka, którego ogon jest cyfrowy, a pysk cielesny. Sami stwarzamy wszechświat jako bogowie!

Dał mi chwilę na przetrwanie tej rewelacji.

– Pamiętasz naszą pierwszą i ostatnią walkę? Tę w Genei?

– Tak.

– Wygrałeś ją, jak się wydaje.

Ładnie z jego strony, że tak powiedział, ale sądzę, że było inaczej. Myślę, że Gorgona w ogóle tam nie było. Walczyłem ze zdalnie sterowanym robotem.

– Jeśli tak mówisz...

– *Pamiętasz, co powiedziałaś na końcu?*

– Nigdy nie zapomnę.

– *„Będę cię obserwował, Gorgon”. Tak powiedziałaś. Wiele razy wracałem do tej chwili.*

– Ja także.

– *I wiele razy zadawałem sobie pytanie, czy cię nie usunąć.*

– Jak miło.

– *Wiesz, jak się tworzy tyranię? To opisywał już Herodot. Ścina się wszystkie najwyższe, najdorodniejsze kłosa pszenicy. Mówiąc prościej, usuwa się najwybitniejsze jednostki.*

– Skuteczne.

– *Zadawałem sobie jednak pytanie: Co się stanie, jeśli w społeczeństwie zabraknie najwybitniejszych obywateli? Wiadomo, że stanowią małą część. Nie wszystkich głos jest słyszalny, bo niektórzy nie potrafią się wybić i giną w zapomnieniu. Nawet jeśli stworzą coś wiekopomnego, z owocami ich starań zapoznają się nieliczni. Więc czy byłaby różnica między społecznością zawierającą tych ludzi a zbiorowiskiem ich pozbawionym?*

– I?

– *Doszedłem do interesującego wniosku. Ci ludzie, ta elita, nawet jeśli dla większości jest niewidoczna i niesłyszalna, pełni piekielnie ważną funkcję. Wiesz jaką, Torkilu?*

– Nie.

– *Zdumiewające. Sam przecież wypowiedziałaś to zdanie.*

– *Ściągnąłem brwi.*

- Ta grupa *obserwuje rzeczywistość?*
- *Tak jest! A obserwując, zmienia ją! Kontroluje, kształtuje, stwarza, rozumiesz, Torkilu, stwarza w akcie obserwacji! Uznałem zatem, że skoro będziesz mnie obserwował, będę lepszym Imperatorem niż bez tej obserwacji.*
- Gorgon uśmiechnął się.
- Bardzo ciekawa konstatacja.
- *Ja jestem od ciekawych konstatacji. Wracając do łap, to wrażenie, ten „obraz” udaje nam się przenosić. Uchwyciliśmy technologicznie coś niezwykle ważnego. Uchwyciliśmy narząd obserwacji...*
- *Oczy boga – szepnąłem z, nomen omen, nabożnym wyrazem twarzy.*
- *Tak jest. I te „oczy boga”, nasze oczy de facto, są zapisem matematycznym, który udało się zawrzeć w technologii. To naprawdę niezwykle osiągnięcie, nie sądzisz?*
- *A jeśli jest odwrotnie?*
- *Co masz na myśli?*
- *Jeśli psyche nie wywodzi się z materii, ale istnieje w Dominium Libri Mundi, a mózgi są odbiornikami? Im bardziej złożona sieć neuronowa, tym lepszy odbiornik – wyższy stopień świadomości? Co wtedy z obrazem?*
- *W sumie to samo. Wypustka zbiorowej świadomości wchodzi w twój mózg. Staje się indywidualnością. Zyskuje oczy. Tymi oczami widzi świat. Tymi oczami stwarza materię. Materia jest tworem widzenia. Materia to obraz.*
- *Czyli nie to samo. Tym razem materia jest obrazem, nie psychika. Psychika jest pierwociną, a materia jej obrazem.*
- *Rzeczywiście. Mam wrażenie, że to jakby jedno i to samo: materia i obraz.*
- *Uroboros? Smok zjadający własny ogon? Jedność duchowa i fizyczna wszechrzeczy?*

- *Uroboros jest wężem, Torkilu.*
- A mnie się wydaje, że to Smok. Jeden Smok.

Droga Mleczna
Planeta Gaja, raj
Sektor H 986532
02 Tertii 233 EI, 10.67 H

Jak za starych, dobrych czasów, postanowiliśmy polecieć z Mariem „Nexusem” Taylorem do Laurusa Wilehada. Wbrew wszystkiemu, co zaszło, będę się upierał, że „jak za starych, dobrych czasów”, bo znałem Laurusa, zanim został Ranem, a kumpłowaliśmy się nie dlatego, że byliśmy w Tomonari, tylko z zupełnie innego, męskiego powodu.

Przyjął nas na daleko wysuniętym tarasie *Bashinga*.

– *Kto mu tak szpetnie twierdzą przerobił?* – spytał Nexus.

Były RanaR urządził sobie coś w rodzaju samotni: kapliczkę lewitującą tuż nad gruntem, osłoniętą sosnami, bukami i dziwacznymi kamiennymi rzeźbami.

– Stara cię z domu wyrzuciła? – spytałem.

– I coś ty na siebie włożył? – dorzucił Nexus.

Laurus wyglądał kuriozalnie. Na pancerz narzucił jakby mnisią, kremową szatę okoloną zielonym greckim meandrem. Jego twarz częściowo skrywał kaptur.

– Jestem Roninem.

Wybuchnęliśmy śmiechem. Tylko ja i Syd.

– Poważnie? – Dimen wydał sztuczne usta.

– Możecie się śmiać. Mamy Czasy Szczęśliwości. Każdy się ubiera, jak

chce. Ta szata jest dla mnie ważna.

– No widzę – parsknąłem.

– Symbolizuje przemianę.

Ku mojemu zdumieniu w głosie Wilehada nie było wesołości. Wszystko to wypowiedział spokojnym, pozbawionym emocji tonem. Zupełnie jakby się stał jakimś duchownym.

– Uuu – nadał Taylor – *nie jest dobrze*.

– Laurus, a tak poważnie: wrócisz do Maodionu? – spytałem.

Przełknął ślinę i podniósł na nas oczy.

– I co miałbym tam robić? Jako kto? RanaRem już nie mogę być. Maod-Anem? Centurionem? Dekurionem? Instruktorem? Tomonari obejdzie się beze mnie.

Usłyszałem szum. Obejrzałem się. Spod krawędzi parkowej platformy, nad którą wisieliśmy, wyłoniło się trzech Ranów... w szatach podobnych do stroju Laurusa.

– Mistrzu – odezwał się płowowłosy Maod – chcemy... żebyś nas... uczył. Laurusa załala krew.

– Won mi stąd, psiakrew! Won do Maodionu! Cholera jasna, spokoju nie dają!

Młodzieńcy odskoczyli i posłusznie poszybowali w dół, ale po ich twarzach widziałem, że nie odpuszczają.

– To nie pierwszy raz? – spytałem.

– No, kurwa, nie dadzą spokoju – warknął Laurus.

Nexus nie zdołał się powstrzymać i zaszczyił nas gromkim, mechanicznym śmiechem.

– Śmiej się, kurwa, śmiej. Człowiek chce przejść przez pustynię, a tu, kurwa, akolici się pchają...

– Laurus – odezwałem się – przylecieliśmy do ciebie z pewną sprawą. Ale

zanim ją wyłuszczymy, mamy pytanie.

– Hm? – Podniósł jasne oczy ocienione kapturem.

– Co ty w zasadzie zrobiłeś ze swoim mieczem?

– Aaa. Zapomniałem wam powiedzieć. W zasadzie pewnie dlatego te chłystki mnie tu nawiedzają.

– To znaczy?

– Wszyscy wiedzą, że coś z nim zrobiłem, i chcą mieć to samo. Wszyscy wiedzą, że na Vaterlandzie jako jedyny oparłem się mocy arcydiabła, i chcą zrozumieć jak.

– No właśnie. Jak to zrobiłeś?

Laurus uśmiechnął się półgębkiem.

– Potężny Primus nie wie? Secundus prześcignął Pierwszego?

– Laurus, muszę ci powiedzieć, że, khm, nic się nie zmieniło.

Wilehad chrząknął.

– Dotąd wszyscy trochę zaniedbywaliśmy Anielicę, nie uważacie?

Ściągnąłem brwi. Rzeczywiście.

– Do czego służyła? – podjął. – Oslaniała, leczyła, takie rzeczy. Postanowiłem trochę nad nią popracować.

– Ty? – wyrwało się Nexusowi.

– Mówiłem, że się zmieniam. Kobięca część Omnihomo stała mi się wyjątkowo bliska. Wyszło mi, że przy odpowiedniej koncentracji daje potężnego kopa. Taką jakby soulerską tarczę. To dzięki niej dotarłem nad bark diabła. A potem...

– Zrobiłeś coś z mieczem.

– Tak. Zintegrowałem go z nią.

– Z kim?!

– Z Anielicą. Z Michelle.

– Co?! – krzyknęliśmy z Nexusem.

– Stary RanaR... to jest Ronin – poprawił się Wilehad – nie rdzewieje, co? Zamek Ranów, Tarcza Anielicy, teraz Anielski Miecz. Ostrze zaczyna morfować i tnie wszystko. Nasze miecze są doskonałe, ale Anielski Miecz nie ma sobie równych. To już nie tylko materialny sztych, nie tylko magnetyczna wibracja i rozbijanie wiązań atomowych, to moc soulerska, która, jak wiemy, daje radę tam, gdzie cała chemia i fizyka dają dupy.

– Ale jak ci się udało nakłonić Anielicę, by zjednoczyła się z ostrzem?! – spytałem.

Sapnął i obok niego z wibrującym westchnieniem powietrza wychynął z hipoka ten dziwny, duży miecz. RanaR, no, niech będzie, Ronin chwycił rękojeść i wskazał nasadę jelca. Była tam trójwymiarowa, bardzo dokładna podobizna jego serafki.

– Widzicie? To jest początek. Musicie odwzorować swoją panią tak dobrze, jak to możliwe. Odwzorowanie symboliczne równa się odwzorowaniu realnemu. A dalej – machnął ręką – kiedy indziej.

Miecz z sykiem zniknął.

– Laurus, powinieneś nas tego nauczyć – szepnąłem.

– No wiem. – Pokręcił głową z rezygnacją.

Ten jego kaptur był nawet twarzowy.

– Dostaniesz coś w zamian.

– Nic nie chcę.

– RanaRze...

– Nie mów tak do mnie.

– Wiesz, niedługo rusza program szkolenia Smoczyc Ranów.

– Mam to w dupie.

– Nie mów hop...

Nakazałem frinowi przeskanować ogród. Kilka metrów na prawo od nas unosiła się wyjątkowo paskudna rzeźba przedstawiająca skrzyżowanie

człowieka z głowonogiem. Jedna z macek wystających z twarzy potwora miała średnicę dwudziestu pięciu centymetrów. Podleciałem wzwyż. Nexus podążył za mną, a Rana... znaczy Ronin, niechętnie, ale do nas dołączył.

– Nada się – sapnąłem, oceniając szary, twardy kamień.

– Polubiłeś sztukę? – zażartował Nexus.

– Ta... Gotowi? – spytałem.

– Dawaj – rzucił zniechęcony Wilehad.

– *Tell?* – nadałem telepatycznie do Smoka.

– *Gotów.*

– *Już!*

Zamknąłem oczy i, chciałem czy nie, zalała mnie świadomość Jednego Smoka.

Przypomniałem sobie paki od Jeffa, te, które sprawiały, że krzychałem z przerażenia. Ale teraz nie mogłem się bać. Musiałem przyjąć ten ogrom.

Rozluźniłem się.

Poczułem wielką siłę, przestrzeń.

Przywołałem duchy.

A za chwilę...

Wciągnąłem w siebie Anielicę i Demona!

I staliśmy się jednym.

Ta potęga. Ta niewyobrażalna potęga. Powstrzymałem się, żeby nie rozerwać rzeźby na strzępy.

Otworzyłem oczy.

Nexus i Laurus byli poruszeni, bo poczuli ugięcie czasoprzestrzeni, ale nie poza mną, lecz wokół mnie. Uśmiechnąłem się i miałem wrażenie, że biją ode mnie promienie, tak jak od Moniki.

– O, kurwa... on świeci – szepnął Nexus.

– Te oczy... Twoje oczy... To animacje? – spytał Laurus zachrypniętym

głosem.

– Jak wyglądają? – spytałem.

– No, w ogóle ich nie ma. Tylko białe światło.

Roześmiałem się, a moi przyjaciele zadrżeli od tego śmiechu.

Wyciągnąłem rękę, wyprostowałem palec wskazujący i bez wysiłku przeciąłem kamienną mackę. Fragment rzeźby majestatycznie poszybował na cokół, przełamał się z suchym łoskotem, a potem oba fragmenty spadły na ziemię, wzniecając niewielki obłok kurzu.

Ranowie przez chwilę pozostali na wdechu.

– Ja cię przepraszam – sapnął Nexus. – Cały RanStone mi się trzęsie...

Laurus stęknął.

– Jak to zrobiłeś? Masz coś w paliczkach pancerza?

– Nazwałem to integracją duchów.

– Znaczy? – Były RanaR wyciągnął do mnie ręce, ale zatrzymał palce kilka centymetrów od powierzchni Coremoure'a.

– Osiąga się to, gdy Anioł i Demon wchodzą w ciebie.

– Jak, do jasnej?!

– A nauczysz Ranów, jak się robi Anielski Miecz? I Tarczę?

Wilehad odchylił głowę w geście zniecierpliwienia, a kaptur zsunął mu się na czubek czaszki.

– Nauczę, na Buddę, nauczę. Gadaj!

Uśmiechnąłem się do Nexusa.

– *To był dobry plan, Torkil – nadał pak. – Sam nie wiedziałem, jakie to robi wrażenie.*

– To możliwe dzięki Smokowi. Za pierwszym razem być może pomógł mi talizman. Ten od ciebie. I chyba Jeff. Ale myślę, że jestem w stanie przekazać tę umiejętność bez tych dodatków.

– Mój talizman?! – Na twarzy Laurusa mieszały się wielkie zaskoczenie

i zadowolenie.

– Tak.

– O ja pierdolę.

– Panowie, mamy następny etap rozwoju Ranów – rzuciłem z ukontentowaniem. Tylko że aby go osiągnąć, niezbędny jest Smok.

– Ale, kurwa, po co Suver? Myślałem, że Smoczy Ran to tylko nazwa, tak dla szpanu – zmartwił się Wilehad. On nie miał skrzydlatego towarzysza. – Co ma Dragon wspólnego z duchami?

– Nasi skrzydlaci koledzy mają nieustanny dostęp do nieograniczonej sieci Jednego Smoka. Ona daje większą, duuuużo większą pamięć operacyjną. Bez niej nie ogarniesz tego zjawiska. Teraz cały czas jestem trochę tu i trochę... wszędzie.

– Coś jak Strażnik? – rzucił Laurus.

– Dobre porównanie.

– Niesamowite – szepnął Nexus. – Oczy ciągle ci świecą i cały promieniejesz.

– Czekaście, już to skończę – powiedziałem i odezwałem się do Smoka: – *Tell, dzięki.*

– *Anytime, Efendi.*

Zamknąłem oczy, wypuściłem powietrze i... dałem im odejść.

Duchy zniknęły. Poczulem pustkę i przygnębienie, ale tylko przez chwilę. Kilka oddechów i wszystko będzie jak przedtem.

– Jesteś teraz pojedynczy? – upewnił się Laurus.

– Tak. – Uśmiechnąłem się.

Dałem sobie chwilę na pełny powrót do rzeczywistości.

– Zatem, drodzy Tomo, kolejny etap jest możliwy tylko ze Smokiem. Ludzkość nie dorosła jeszcze do takiego poziomu.

– A Suverzy tak?! – Laurus otworzył szeroko oczy.

Skrzywiłem się ironicznie.

– Widocznie tak.

Wilehadowi najwyraźniej nie przypadło to do gustu.

– Laurenty – odezwałem się – wiesz, co to dla ciebie oznacza?

– No?

– Musimy ci znaleźć Suvera.

– Albo Suverzycę! – rozochocił się Taylor. – I za to, kurwa, należy nam się kolejka!

Wyciągnął z udowego zasobnika butelkę Freyi. Zawisły między nami ciężkie kryształowe kieliszki.

– Mario – chrypnął Ronin – nie mam pojęcia, jak ty to robisz, że zawsze wiesz, jak się zachować.

Był wyraźnie podniesiony na duchu animacjami z etykiety schłodzonej butli.

– To proste. Wystarczy, że pomyślę, jak ty byś się zachował, i robię coś przeciwnego!

Droga Mleczna
Planeta Wiz, grunt
Zachodnie obrzeża Tris
13 Tertii 233 EI, 10.67 H

Siedziałem na urwisku skalnym, którym kończył się od strony Tris płaskowyż Wielkiej Pięty, i wraz z Tellem, Laurusem, Nexusem, Kajem Mbele, Diegiem Frostem, Felixem, Angelą, swoją obstawą, obstawą Nexusa i zakapturzonym Roninem Laurusem patrzyłem na zachodnią część bajkowej stolicy Wiz. To była jedna z tych chwil, gdy czas przepływa obok niczym

biały, surrealistyczny obłok, a ty po prostu siedzisz, oddychasz i pozwalasz, by myśli podążały za chmurą.

– Nie wiem, czy ktoś zauważył – mruknąłem po dłuższej chwili – ale zniknęły serafy.

– Fakt – odparł zaskoczony Laurus. Wyglądał, jakbym go obudził.

– Mam teorię.

– Jak zwykle – skwitował Nexus pozornie bez większego zainteresowania.

– One nie były splotami wspomnień bliskich, jak brzmi oficjalna linia. To była zbiorowa nieświadomość.

– Podświadomość? – dopytał się Mbele.

– Tak. Były ślepe. Jak Ojcowie.

– Warui nie są... – skontrolował Taylor.

– Te ich sowie oczy – przerwałem mu – widzą głównie podczerwień i pole magnetyczne, a widmo dla nas widzialne ledwo ledwo. Stąd wielkie nochale i uszy.

– Zgadza się – szepnął Dominic.

– Serafy dość często miały rogi – ciągnąłem. – I nogi satyrów. Mówiły, że spotkamy...

– Ojców?! – krzyknął Nexus.

– Tak.

– Wysłąłeś to już do ImBu? – spytała Angela.

Skinąłem głową.

– To dobrze. Podoba mi się ta hipoteza. – Uśmiechnęła się.

– Spójrzcie też na to. – Wyciągnąłem rękę i wyświetliłem duży trójwymiarowy obraz Errusa Widzących.

– No, Widmo – odezwał się Nexus.

– A teraz na to.

Na rotujący obraz statku nałożyłem głowę króla. Odarłem ją ze skóry

i mięśni. Została czaszka.

– O rany – jęknął Dominic.

Obrazy prawie do siebie pasowały.

Galaktyka Andromedy

Łza Królowej

13 Tertii 233 EI, 10.68 H

Jefferson „Spaceman” Ray zatrzymał się, by odetchnąć. Rozejrzył się. Tworzyli wraz z tysiącami Widzących nowy dom. Inny od Valhalli, jeszcze piękniejszy, bo bogom nie wypada cofać się w rozwoju. O ile świat Łzy Cheronei był płaski, bo tak podpowiedziała im fantazja, o tyle Elisjum, jak nazwali siedzibę we Łzie Królowej, stworzyli z kilkunastu nieustannie wokół siebie rotujących płaszczyzn, coś na kształt tarasów wokół siedziby Torkila. Gdziekolwiek Jeff spojrzeł, bogowie formowali wysiłkiem woli góry i doliny, budowle mieszkalne i czysto dekoracyjne. Łza Królowej była mniejsza od Łzy Cheronei, ale tamta była naprawdę gigantyczna. Wir w galaktyce Andromedy miał na razie średnicę orbity, jaką wokół starego Słońca tworzy pierścień asteroidów. Jeff zaśmiał się w duchu. Wystarczy miejsca dla wszystkich.

Właśnie miał rozpocząć kreację wodospadu, który już od jakiegoś czasu widział w wyobraźni, ale coś go powstrzymało.

Podleciała do niego Jennefer ubrana w kusy złoty pancerz odsłaniający znaczną część śniadego ciała.

– I jak, mój boże?

Uśmiechnął się do niej.

– Chciałem stworzyć wodogrzmot, ale się waham.

– Ty? – Rozszerzyła oczy, które były tak połyskliwe i głębokie, że widział w nich syreny kąpiące się w miodowym oceanie. I nie była to metafora.

– Tak, Jen. Jeśli wodospad ma być spektakularny, wzgórze powinno być wysokie, a to oznacza zasłonięcie krajobrazu. Nie chciałbym tego robić.

– Zawsze tęsknota, prawda? – Podleciała bliżej.

Poczuł zapach jej skóry rozgrzanej słońcem.

– Za wszechogarnianiem? – dodał.

– Nieskończonością? – Uśmiechnęła się smutno.

Tak, Jen. Nawet bóg pragnie od czasu do czasu ogarnąć wszystko, zawładnąć całym pięknem. Nawet on nie chce, żeby jakaś góra przesłoniła rajski widok. Ale bez zróżnicowania nie ma piękna, bez ograniczenia nie ma rozwoju... Odetchnął i przyjął jej uścisk.

– Czy to się nigdy nie skończy, kochany? – spytała szeptem.

– Tęsknota za absolutem?

– Wiecznością zawartą w chwili? Przecież to robimy, prawda? Wciąż na nowo usiłujemy zatrzymać czas i czerpać z teraźniejszości... wieczność. Ale to niemożliwe. Żeby to osiągnąć, musielibyśmy się stać...

– Ostatecznością? – Jeff spojrzał jej w twarz.

Bogini otarła łzy z jego policzków.

Zanurzył się w jej oczach. Zachodziło tam słońce. Cztery Jennefer kąpały się w pobliżu przybrzeżnych skał w wodzie barwy koniaku. Pływał razem z nimi. Woda była cudownie czysta, żywa, oddychająca. Z przyjemnością przyjął jej dotyk na gołej skórze. Fale były miękkie i chłodne.

– Chcesz być nieskończony? – spytała jedna z dziewcząt, płynąc leniwie obok niego.

– Chcesz być wszędzie? – dodała druga, poprawiając ciemne, mokre włosy.

– Chcesz przekroczyć ograniczenia czasu i przestrzeni? Stać się światem?

– zawtórowała im trzecia, wdrapując się na skałę.

Jeff przez cetnię podziwiał wycięcie jej talii i wypukłość pośladków.

– Możesz naprawdę stać się „Kosmicznym Człowiekiem”, Spacemanem – roześmiała się czwarta, skacząc do wody.

– Ale pamiętaj – odezwała się pierwsza – że utracisz wtedy...

– Tęsknotę? – wszedł jej w słowo Jeff.

– Tak, najdroższy. Pożądanie, ciekawość, dążenia, wszystkie pasje, które wciąż od czasu do czasu odczuwasz.

– Gdy zbyt wchodzisz w boską rolę... – powiedziała druga Jen.

– Tracisz te przymioty – zakończyła trzecia, sięgając ze skałki do lustra wody i oblewając go.

Dziewczęta wybuchnęły śmiechem.

– Najlepiej być półbogiem – mruknął Ray, odgarniając jasne włosy. – Ja to wiem. Ale to rodzi rozdarcie. Ból istnienia. Chcę być tu i tam, chcę przeżywać jedno i drugie. Nawet jako półbóg nie jestem w stanie tego osiągnąć. I cierpię. Rozumiecie? Cierpię. Czasem przeżywam rzeczywistość tak mocno, że coś we mnie wyje.

– Dopóki istniejesz, doznajesz bólu istnienia – zaśmiała się pierwsza Jen. – Przestań istnieć, a zaznasz boskiego spokoju.

– Martwoty. – Ray westchnął ciężko.

– Z cierpienia rodzą się marzenia – szepnęła dziewczyna.

– A z nich krystalizują się wizje, Jeff – dodała druga, zataczając krąg wokół niego.

– Stwórz najpiękniejszą wizję w historii – odezwała się trzecia, kładąc się na skałę.

– Niech Elisjum będzie nieskończenie piękne – dokończyła czwarta, wynurzając się z wody tuż przed nim i kładąc na jego ustach długi, gorący pocałunek.

Bóg opuścił powieki i zobaczył oczami wyobraźni budowle o niewyobrażalnie złożonych ornamentach, usłyszał muzykę, której każdy akord w połączeniu z innymi tworzy nieskończoną doskonałość. Ujrzał księgę zawierającą historię, która nie ma końca, chociaż rozgrywa się w ograniczonej przestrzeni, zobaczył te absolutne kreacje, o których zawsze marzył i które dotąd mu się wymykały.

I tym razem także się wymknęły.

Otworzył oczy i znalazł się z powrotem w ramionach Jen, a wodny świat zamknął się za jej rogówkami. Był obrazem w jej oczach. I wtedy Jefferson „Spaceman” Ray uświadomił sobie, że ona również jest obrazem. W jego oczach. I że wszystko żyje tylko dzięki temu, że jest obserwowane, że w akcie obserwacji wyłania się z potencjalności, wyskakuje spod powierzchni oceanu prawdopodobieństwa, a ostatecznym symbolem boskiego ożywiania jest...

Wiedział już, co ma robić. Uśmiechnął się do niej, odwrócił głowę w bok, wyciągnął rękę i z pobliskiego wzgórza wytrysnął w górę złoty pałac.

– Och – jęknęła Jennefer.

Budowla już unosiła się w powietrzu. Był to płaski, złoty trójkąt o szerokiej podstawie. W jego centrum zaczęło się kształtować wielobarwne, gęsto zdobione złotem...

Oko.

Droga Mleczna
Planeta Wiz, grunt
Zachodnie obrzeża Tris
13 Tertii 233 EI, 10.69 H

– Niesamowite – westchnął Mbele, nie mogąc oderwać wzroku od animacji Errusa z nałożoną na nią czaszką Ojca. – Sugerujesz, że Czarni wiedzieli?

– O obcych? Nie wiem. Nie wiem, czy oni w ogóle rozumieją termin „wiedzieć”. Mam wrażenie, że wiedzą jakby wszystko, tylko o tym... nie wiedzą.

Towarzystwo zarechotało.

– Pojmujecie – ciągnąłem – to jest jakby tajemnica rozumienia. Wszechrozumienia, które jest...

– Czuciem? Bezcuciem? Istnieniem? – wszedł mi w słowo Wilehad.

– Jak ty się naukowo wyrażasz, Roni – zażartował Nexus.

– Roni! – parsknął Mbele. – Cudne. Roni!

– Poważnie mamy tak do ciebie mówić? – spytałem.

– Na pewno nie RanaR – mruknął Laurus.

Chciał coś dodać, zapewne coś uszczypliwego. Potrząsnął kapturem i już otwierał usta, ale zauważył nerwowy ruch Tella moszczącego się między nim a mną i jego wzniesioną łapę, znak, że Smok nie zamierza uczestniczyć w naszych błahych przepychankach, a zamiast tego ma do powiedzenia coś istotnego.

– Będzie sporo ciekawych rzeczy do zbadania w Vaterlandzie. – Od jego głosu zadrżała ziemia. – Już badają tę planetę, a że cywilizacja stara i glob niemały, to i dużo sekretów.

Myślałem, że powie coś ciekawszego. Ale zamiast mu dogadywać, rzekłem po prostu:

– Tak.

– *Nie ukryjesz się przede mną, Efendi* – nadał, a na głos mruknął: – Już nas zgłosiłem. Do badań.

– Świetnie.

Naprawdę się cieszyłem.

- Nas, znaczy kogo? – spytał Taylor.
- Mnie i Torkila.
- Lecę z wami – stanowczo oznajmił Syd.
- Ja też – odezwał się cicho Laurus.
- No nie wiem – rzucił kwaśno Mario. – Ronin na oficjalnej wyprawie? Co na to RanaR powie?
- Nie drażnij mnie! – warknął Wilehad.
- Oberwiesz, Tell – mruknęła niskim głosem Angela – że o mnie zapomniałeś. Torkil się beze mnie nigdzie nie ruszy.
- Tak, Tomo. Przepraszam, o piękna. Zaraz to nadrobię... już. Już cię zgłosiłem.
- Przeprosiny przyjęte.
- ImBu obmacuje struktury, które te podobne do koron statki tworzyły na naszych planetach – ciągnął Tell. – Na razie nie daje się do nich nikomu zbliżyć. Rezerwaty jakieś zrobił.
- Może i słusznie – mruknałem. – To jakby ciało obce.
- I nie wiadomo, jakim cudem wybudowane – dodał zaraz Nexus.
- Ja bym się tak bardzo na waszym miejscu do tej wyprawy nie wyrzywał – rzucił Smok.
- Dlaczego? – spytałem.
- Suver pokiwał ciężko łbem.
- Warui nie buntują się. Nie próbują walczyć. Zupełnie jakby brak króla odebrał im wolę. To może oznaczać, że wystarczyło zdusić skurczybyka, żeby zakończyć konflikt. A myśmy ukatrupili całą cywilizację.
- Nie my – zaprotestował Mbele – tylko Strażnik.
- Tell znowu pokiwał łbem.
- Racja.
- A on musiał mieć swoje powody – dodałem.

Dragon głośno westchnął.

– Wiecie, co to może oznaczać? Że gdzieś w kosmosie może być kolejna galaktyka opanowana przez Warui.

– Przestań – przerwałem mu. – Widziałbym to. Rozejrzałem się w Eyenecie.

Smok parsknął.

– Przeceniacie ten swój wynalazek. Tak czy owak, badanie natury Ojców może być niezbyt przyjemne.

– Niezwykła cywilizacja – westchnął Felix. Z jego tonu wywnioskowałem, że chce zmienić nastrój. – Szkoda tylko, że cixy takie jakies zastraszone i niewymiarowe.

Zachichotaliśmy. Żywy Święty robi sprośne uwagi?

Spojrzał na nas.

– No co?

– Te elfice są całkiem, całkiem – rzucił Dominic.

– Właśnie – odezwał się Tell – już dawno miałem zapytać. Skąd się wzięła nazwa „cixa”? Jakaś głupia.

– Od współczynnika CX – odparłem.

– Czyli?

– Frin nie odpowiedział? – wszedł mi w słowo Frost.

– Ja pier... Ludzie, jeśli zaczniemy ze wszystkim zwracać się do frinów, o czym będziemy rozmawiali? – zagrzmiał Suver.

– CX to współczynnik opływowości – wyjaśniłem. – Im bardziej kobieta opływowa, rozumiesz – nakreśliłem dłońmi kształt klepsydry – tym ładniejsza.

– Aaaa... pojmuję. Nawet lepiej od ciebie, bo...

– Bo Smoczyce – wtrąciła się Quai – są dosłownie opływowe, prawda, Tell?

Machnęła potężnie skrzydłami, czym wzbudziła grom i wielki obłok kurzu, a następnie roześmiała się tak głośno, że zadrżały mi zbroja i RanStone w relikwiarzu. Wzbiła się w powietrze i ruszyła w podniebny tan, szybując na tle odległego Tris.

Gdyby Suverzy umieli się rumienić, Smok właśnie by się zaczerwienił. Zamiast tego zadarł łeb i potrząsnął nim. Dragonoidy w taki sposób zdradzają zażenowanie.

Założę się, że przez chwilę nadawali do siebie telepatycznie. Czułem bijące od nich podniecenie. Czyżby Tellowi udało się wreszcie ją zdobyć?

Suver prychnął, napiął szyję, nie spuszczać Quai z oczu, po czym wygramolił się nad brzeg urwiska, odbił od niego i runął w kierunku Smoczycy. Pięknie wyglądali w świetle dnia. On błękitno-czerwono-złoty, ona srebrno-niebieska. Czułem ich miłość. Smoki też potrafią kochać.

Przez chwilę śledziliśmy ich lot godowy. Pomyślałem, że cudnie by było być Smokiem – na własnych skrzydłach pruć powietrze...

Felix przerwał milczenie.

– Czy mi się zdaje, czy zaszło coś bardzo ważnego?

– W sensie? – spytał Diego. – Że niby Dragony? – Wskazał palcem lecącą parę.

Felix potrząsnął głową z dezaprobatą.

– Daliśmy w kość naszym stwórcom. Załatwiliśmy rodzinną sprawę. Do końca.

– W sumie nie rozumiem – odezwał się Nexus – dlaczego nas zaatakowali.

– Ba – mruknął Laurus.

– Co „ba”?

– Dlaczego zaatakowaliśmy Thirów? – spytał, poprawiając brzeg kaptura.

Mario rozciągnął mechaniczne usta w nauczycielskim uśmiechu.

– Czy muszę ci przypominać, drogi... Roninie, że to Thirowie zaatakowali

nas?

Teraz Wilehad się uśmiechnął. Kpiąco.

– Nexusiku, gdyby oni nas nie kopnęli, możesz być pewien, że my kopnęlibyśmy ich. Szukaliśmy ich w całej Galaktyce nie po to, by ich miłośnie objąć, ale by dorwać i zgnieść. – Chcąc zilustrować swoje słowa, ujął niewielki kamień i zgniótł go w pancernej pięści.

Taylor milczał.

– Thirowie – podjął były RanaR – byli synami marnotrawnymi. Pomiotem naszych wewnętrznych wojen. Poronionym płodem chorej ludzkości, że się tak poetycko wyrażę. I jak każdy taki niebezpieczny twór, musieli zostać usunięci. Imperator był geniuszem, że udało mu się wszystko tak załatwić, żeby ich oszczędzić.

– W sumie nie byli tacy źli – mruknąłem i także chwyciłem kamień, ale nie po to, by go rzucić czy zgnieść, lecz obejrzeć. Był rudy od pyłu, ale gdy go zbliżyłem do ust i dmuchnąłem, odsłonił interesującą sieć różowych żyłek na beżowym tle. – Po prostu skrzywione społeczeństwo wychowane przez psychopatów...

– Ta... – Laurus zapatrzył się na wysokie, kolorowe wieże Tris. – Skoro mowa o psychopatach, ciekawe, co wykręci teraz Han i jego hałastrą.

– Thirowie byli agresywni – ciągnąłem, dając do zrozumienia, że nie chcę zmieniać tematu. – Mieli skłonności sadystyczne – zerknąłem na Wilehada – trochę większe od Ronina. – Diego parsknął. – Lubili zabijać i mieli porąbaną hierarchię wartości.

– No. – Laurus wciąż patrzył na wieże polii. Wspominał okres, gdy zarządzaliśmy Spes. – Szlachetni Nobilites nazywali siebie Mordercami. Zaszczycem było kogoś tak po prostu zabić.

– Dałeś się zabić – zacytowałem jedno z przysłów Nadziei – nie zasługiwałeś na życie.

– Tak jest... – Nexus westchnął. – Wiecie, że Fierce’a tytułują Zabójcą Błogosławionego?

– Niedobrze – stęknął Diego.

Kaj Mbele śledził nas czarnymi oczami i powoli kiwał głową. On także trzymał w pięści kamień.

– Nasi byli nadzorcy Sparty sugerują – zaczął basem – że rasa ludzka również jest potwornym płodem, pomiotem niesnasek Ojców.

– Przestań – obruszył się Diego.

– Nie zauważyliście, jakim w sumie jesteśmy marnym gatunkiem? – nie ustępował Mbele. – Władzy już u nas nie ma, pieniędzy też, ale pamiętamy wszyscy, jak było. Traktowaliśmy te zjawiska jako naturalne, a przecież były podłe, zwierzęce...

– O czym ty mówisz? – spytał Nexus.

Syd urodził się w Młodym Imperium. Czasy sprzed WayEmpire znał jedynie ze szkoły.

Kaj spojrział na niego i wyszczerzył zęby koloru kości słoniowej. Intensywnie kontrastowały z ciemnymi ustami.

– Człowiek, który miał władzę, stawał się zepsuty. Jego charakter się załamywał. Człowiek, który miał pieniądze, stawał się zepsuty. To była psychologiczna korupcja. Wszyscy wiedzieli, że władza i pieniądze degradują, ale traktowano te zjawiska tak, jak my traktujemy wiatr czy zachód słońca.

– Jako oczywistość – szepnął Laurus.

– To niezbyt dobrze świadczyło o naszym gatunku – skwitował Mbele. – Wojny – słowo to wypowiedział wolno, a jego niski, tubalny głos stał się jeszcze niższy – było ich mnóstwo. Kłótnie, chciwość, zazdrość, zawiść, poniżanie lepszych od siebie, wyścig szczurów, oszustwa...

Przypomniał mi się mój wykład dla przedszkolaków. No tak. Sporo

mieliśmy przywar.

– Widzicie – Kaj wziął głęboki wdech i podrzucił kamyk – my też mogliśmy być postrzegani przez Ojców jako niebezpieczny, agresywny wynik nieudanego eksperymentu. Oni spłodzili nas na swój obraz i podobieństwo, my stworzyliśmy Thirów. Zniszczyliśmy... Zasywilowaliśmy – poprawił się – Thirów, a Ojcowie chcieli zniszczyć... nie, zaraz! Też zasywilować nas!

Racja. Ten feromon posłuszeństwa, imperatyw...

– Historia tak jakby się powtórzyła – skwitował Nexus. – Tylko że tym razem to synowie załatwili rodzica, nie odwrotnie.

– Były tam też córki – dodała sucho Angela.

– Sorry, Angie.

– Coś w tym towarzystwie często obrażają kobiety, zauważyłaś, Lea?

– Ta...

– A Whale? Co z nimi? – Spojrzałem na Taylora. Syd darzył Eiffle dużą sympatią. Może dlatego, że podobnie jak on, nie miały grama organicznego ciała.

– Są zdrowi. Znaczą zdrowieją.

– Dlaczego zaatakowali Ojców?

Mario uniósł mechaniczne brwi.

– Wiedzieli, że są źli?

Diego pokiwał głową.

– Na to by wychodziło.

– Słuchajcie, ale to by znaczyło, że tak naprawdę poznaliśmy tylko jednych obcych. Whale. Cała reszta to rodzinny biznes – rzuciłem.

Zarechotaliśmy.

– Brzytwa Ockhama – westchnął Felix.

– Co? – spytał Laurus.

- Zawsze trzeba szukać najprostszego rozwiązania – rzekł nowy RanaR.
- Ale co to ma wspólnego z Whalami?
- Nie z Whalami, tylko z Ojcami i CIII. Ująłbym to tak: „Jeśli interesują się tobą obcy, sprawdź najpierw, czy to nie rodzina”.

Wybuchnęliśmy śmiechem.

- *Coś mi przyszło do głowy* – nadał totowo Tell. – *W sprawie Eiffli.*
- *No?* – odpowiedziałem.
- *Wysłaliśmy w kosmos nasze Stridery, prawda?*
- *Tak.*
- *A co, jeśli Whale to takie Stridery innej rasy? I właśnie znalazły fajny domek dla reszty kumpli?*
- *Nie przerażaj mnie, Tell.*
- *Tak tylko rzucam. Równie dobrze Whale mogą być nami, ale nie za kilkadziesiąt tysięcy cykli, tylko kilka milionów...*

Podzieliłem się z pozostałymi obserwacją Smoka. Tą pierwszą. Nikomu się nie spodobała. Ale że Eiffle od wielu cykli nie czyniły nikomu szkody, trudno było się ich obawiać. Chociaż... może rzeczywiście usunęły Ojców, bo uznały ich za zbyt duże zagrożenie, a nas traktowały jak niegroźne insekty, które, gdy przyjdzie czas, po prostu się wymiecie?

Kto je tam wie.

I tak się z nimi nie dogadamy.

Każde z nas bawiło się kamykiem. Ja swój oglądałem, Kaj podrzucał, Laurus sprawdzał, który z tych w jego zasięgu jest najtwardszy, Nexus popychał je palcami, Felix budował coś na kształt karawany, Angela ustawiła dwa większe i jeden mniejszy obok siebie, jakby tworzyła rodzinę, a Diego usiłował zbudować piramidę. Jak dzieci w piaskownicy. Nie oglądałem się do tyłu, ale Agonai z pewnością nas przedrzeźniali, bo cicho chichotali. Przyjrzałem się bliżej górcie Frosta. Piramida...

Piramida.

Piramida jest symbolem wulkanu?

Podzieliłem się tym skojarzeniem z innymi. Pokiwali w milczeniu głowami.

– *To by wiele wyjaśniało, Tomo* – rzucił menowo Laurus. – *Symbolem Ojców jest wulkan. Wulkany są u nich uregulowane, stanowią źródło energii i chemiczne fabryki. Być może rzeczywiście dranie byli u nas i jakoś ten symbol zaszczepili dawno temu...*

– Trzeba dokładniej zbadać gwiazdy tworzące Oriona i Lwa – mruknął Nexus. – Może tam się do czegoś dogrzebiemy.

– Kolebka Ojców? – spytałem.

Mario pokiwał głową.

– Pamiętacie symbol boga? Trójkąt i oko? To też przecież piramida.

– Jak w mordę strzelił – potwierdził Wilehad.

– *Ja to już podczas naszej akcji stwierdziłem* – nadał Tell.

Wywołałem Tarota Imperialnego i wyciągnąłem ostatnie wtajemniczenie. Kartę Świat. Pokazałem ją wszystkim.

– Tę kartę wylosowałem, pytając, jak się wszystko skończy. Domknięcie wątków, uzyskanie pełnej fuzji ze światem, kosmiczna świadomość, wyzwolenie, zakończenie ewolucji.

– Ładne. – Felix się uśmiechnął. – Bohater tej karty jest świadom ruchów planet i słońc, ma nad nimi kontrolę.

– Strażnik – skwitował Ronin.

Strażnik.

Oczywiście, że Strażnik!

– Właśnie – odezwał się Nexus. – To jak to w końcu było? Skąd on się wziął?

– Moim zdaniem to proste i ta teoria już została omówiona – oznajmił

Laurus. – Wiedzieliśmy, że trzeba będzie załatwić sprawy rodzinne, znaczy z Warui, i wysłaliśmy sobie w przeszłość Rana. Z przyszłości. Dalekiej przyszłości.

– Tak po prostu? – spytała Angela.

– Tak. I bardzo mi się to podoba. – Diego zacisnął szczęki.

– W wielu toposach i mitach – przyszedłem w sukurs Roninowi i Frostowi – jest historia, że biednej sierotce, Cindirelli, Marysi czy innej Roszpunce, przychodzi z pomocą dobra wróżka, siła zewnętrzna. Można je interpretować na różne sposoby. Mój jest następujący: te osoby pomogły sobie same i tylko wizualizowały pomagające im siły w postaci halucynacji.

– Ludzkość pomogła sobie sama i to jest piękne – wszedł mi w słowo Wilehad. – Nie jakieś fiku-miku, przyjaciel z outer space, ale wzięliśmy los we własne ręce i sami sobie pomogliśmy. Świetne.

Zerknąłem na niego. Jak na człowieka, który dopiero co stał się Ranem bez Maodionu, był w całkiem niezłym humorze.

– Ale nielogiczne – skomentowała Angela, która korzystając z tego, że zwolniło się miejsce po Tellu, wyskoczyła w powietrze i usiadła między mną a Wilehadem. – Ojcowie też wiedzieli w przyszłości, że przyślemy Strażnika, więc powinni sobie przysłać lepszego.

– Nie przysłali, bo zabił ich nasz Strażnik – stwierdziła sucho Lea siedząca za Laurusem.

– Może nie mieli technologii? – Mbele wziął otoczek i rzucił go w przepaść. Kamień długo rotował i połyskiwał w świetle. Nagle został zasłonięty przez nurkującą i chichoczącą Quai. Tuż za nią pędził Tell. Dotarł do nas niesamowicie silny podmuch ich skrzydeł. To jednak potwory.

– Generał Stone właśnie logicznie to wyjaśniła – odezwał się Mars siedzący po mojej prawej. – Nie przysłali, bo ich załatwiliśmy.

– Ja optuję za czymś innym – odezwałem się, także podnosząc kamień

i ciskając go w dal. Miałem nadzieję, że poleci dalej niż rzucony przez Mbele. Chyba mi się udało.

– Nasz filozof ma teorię? – Nexus prychnął i zaczął szukać otoczaka.

– Tak, Sydzie.

– Zawsze do usług. Wal. – Zamachnął się i rzucił. Oczywiście najdalej.

Miał mechaniczne mięśnie.

– *Ech, chłopcy* – wysłała men Lea, opatrując go wielkim rysunkiem penisa. Zarechotaliśmy.

– WayEmpire jest... dobre – powiedziałem cicho.

Czereda znowu się roześmiała.

– I to jest to twoje wytłumaczenie? – spytał Felix.

– Imperium Tao – podjąłem – jest dobre. Królestwo Ojców było złe. Złe do szpiku kości. Wiemy, że podróż w czasie do tego samego uniwersum, na tę samą kartę Libri Mundi, jest niemożliwa. Strażnikowi się udało. To cud. Stworzył zapętlenie. W naszej czasoprzestrzeni po prostu jest Strażnik, który skacze wstecz i być może dotrwa do czasów, w których spotka swojego bliźniaka. Chodzi mi o to, że każda cywilizacja technologiczna powinna chcieć pomóc sobie samej w przeszłości. To logiczne. No pomyślcie.

Tym razem towarzystwo zamilkło. Znaczący zrobiło się ciszej niż przedtem. Miałem wrażenie, że nawet Smoki mniej hałasują.

– *Efendi, szacun* – nadał Tell.

– Ale żeby to się stało możliwe, żeby taki Strażnik wskoczył do właściwego uniwersum, musi zaistnieć swoista osobliwość.

– *Cud. Przecież powiedziałeś* – nadała Quai.

– Właśnie. Ten cud moim zdaniem jest niemożliwy w przypadku agresywnych, destruktywnych cywilizacji. Brakuje w nich...

– Miłości – odezwała się Lea i spojrzała na mnie nad barkiem Laurusa.

Popatrzyłem w jej błękitne oczy. To była krótka, ale poważna wymiana

spojrzeń. Lubilem patrzeć w te jasne, odważne oczy. Zarumieniłem się i powoli skinąłem głową.

– Tak, miłości.

Byłem wdzięczny Angeli, że nie wysłała złośliwego paku.

– Chcesz powiedzieć, że to taka twoja uniwersalna teoria? – spytał Felix.

– Tak. Dobre cywilizacje przetrwają, bo w ich przypadku możliwa jest samopomoc.

– Ale co mogło być tą osobliwością? – spytał Diego.

– Bo ja wiem? Może ostatni wyczyn Gustava Aarda? Skoro wyzwolił taką energię, że powstała Łza Królowej...

– Daj spokój. – Dominic machnął złotą ręką. – W Andromedzie jest takie nagromadzenie inotronów, że pierdniesz i powstanie łąza.

Roześmialiśmy się.

Pokręciłem głową.

– Samoposwięcenie się nieskończoną liczbę razy, takie nieskończone „przepraszam”, to jednak coś, czyż nie?

Angela westchnęła.

– Wszystko, co dobre, pomnożone przez nieskończoność, staje się...

– *Cudem* – nadał Tell.

– Może ten akt – ciągnąłem – to jej samoposwięcenie, spowodowało, że Strażnik odnalazł odpowiednią kartę Libri Mundi i trafił tam, gdzie powinien? Rozumiecie, czarne dziury przerywają tkankę czasoprzestrzeni. Może na karcie Księgi Świata taką czarną dziurą jest wydarzenie tego typu? Może to gwiazda, której nie sposób przeoczyć? Coś, co rozrywa wszystkie karty Księgi Świata?

– Ładne – rozpromienił się Nexus.

– Ale ona się poświęciła po wszystkim, nie przedtem – zauważyła Angela.

– W dodatku nie z własnej inicjatywy, ale skutek programu Aarda.

– Dla podróży w czasie nie ma to znaczenia – odparł Dominic. – A intencje też nie grają roli. Stało się to, co się stało.

– Dla mnie to zbyt wydumane – odezwała się Lea. – Ale jeśli nasz Smoczy Ran tak chce, przyjmijmy to za „teorię roboczą”.

– Lea, dobijasz mnie – mruknąłem.

– Jestem Lapidoską. Nie wierzę w te wasze czary – odparła.

Po niecałej hekcie zostałem na urwisku sam. To znaczy sam jak na Błogosławionego, czyli wśród błękitnych animacji, z aureolą wokół głowy, SaintDroidem powiewającym gonfalonem, dwoma ArtDroidami, Tellem u boku oraz Marsem i Leą gaworzącymi kilka metrów dalej.

Siedziałem wciąż na własnym tyłku na skałach, korzystając ze starej, dobrej grawitacji. Tell, także lubiący spocząć na gruncie, leżał obok mnie. Głęboko westchnął i poczułem bijącą od niego falę afektu, bardzo mocnego, nasyconego pożądaniem i tęsknotą. Quai odleciała z Nexusem.

– Jak ci z nią poszło? – spytałem.

– *Nie tak głośno, Torkil* – nadał telepatycznie.

– *Wstydzisz się? Ty?*

– *Przestań.*

– *Więc?*

– *Chce mnie. Niesamowite, ale chce mnie. Jest cudowna. Ta potęga, ta gracia. Ona ma klasę, bracie. Te uda, ten tułów, ta szyja...*

– *Teraz to ty przestań.*

– *Proszę o urlop.*

– *Na Dragonię?*

– *Oczywiście.*

– *Przyznany. Wiesz, że jesteś wolny, przyjacielu.*

– *Wiem. Ale zawsze warto takie rzeczy uzgadniać.*

– *Prześlij men do Maria i Quai, żeby to zsynchronizować.*

Dragon westchnął, potrząsnął łbem i machnął skrzydłami. W ten sposób rozluźniał mięśnie.

– *A teraz, drogi Tomo...*

Wszedł do mojej głowy, a ja wpłynąłem w macierz Jednego Smoka.

– *Tell, co mi robisz?*

– *Musisz ćwiczyć, Primusie.*

– *A żeby cię...*

Demon. Anielica. Torkil. Demon. Anielica. Torkil. Trójjednia. Trójjednia. Widzę jej skrzydła wyrastające z moich ramion. Widzę jego szpony wystające z moich paznokci. Głęboki wdech, rozluźnienie, wdech, rozluźnienie. Jestem. Jestem Smoczym Ranem. Widzę rzeczywistość trochę stereoskopowo, trochę wielowymiarowo. Podnoszę kamień, ale tak, żeby go nie zniszczyć. Zaglądam do jego wnętrza. Dostrzegam krystaliczną strukturę.

Bycie Smoczym Ranem jest niezwykle.

Przeciągam palcem i kamień się rozpada.

– *Będziemy ćwiczyć codziennie – nadaje Smok.*

– *Cieszę się.*

Naprawdę tak myślałem. Ciągle bałem się tej operacji, ale każda następna wychodziła sprawniej i była mniej obca. Już byłem w stanie wyobrazić sobie sytuację, gdy wchłonięcie Omnihomo będzie rutynową akcją.

– *Tell, już.*

– *Oczywiście.*

Przestrzeń dookoła się zassała, sapnęła i... znormalniała. Duchy zniknęły. Zwykle, stereoskopowe widzenie wydało się banalne i płaskie. Zwykle bycie tu i teraz zdało się żalosne. Nic dziwnego, że Suverzy mają zawsze dobry humor. Smok się roześmiał. Patrzyłem na niego i zastanawiałem się, jak

przez te wszystkie cykle mogłem być tak ślepy i głuchy.

Obejrzałem się. Lea i Mars porównywali Axele na naramiennikach.

Poprosiłem ich, żeby odlecieli kilkadziesiąt metrów dalej. Zdziwili się, ale bez szemrania walnęli silnikami w grunt i odskoczyli.

– Tell – szepnąłem, gdy upewniłem się, że są daleko. – Dlaczego cię nie przejrzałem?

– Że jestem taki genialny? – Potrząsnął łbem i roześmiał się. Zatańczyły wokół niego karmazynowe wstęgi.

– Tak – odparłem.

Uderzył pazurem w najbliższy głaz, rozbijając go na kawałki, i pochylił łeb.

– Ludzie, Efendi, myślą wesołych z głupkami, a milczków z mędrkami. Geniusz, kochany, jest wesoły. To jest, proszę cię, nieodłączna jego cecha, oczywiście poza chwilami, gdy jest przygnębiony albo gdy świat tak go wkurza, że miałby ochotę się z niego wypisać. Lecz nawet wtedy jest tylko przybity, a nie wygaszony emocjonalnie, rozumiesz. Co do milczków, to albo nie mają niczego do powiedzenia, albo zżerają ich kompleksy, co już samo w sobie niedobrze o nich świadczy, bo kompleksy niszczą ich i otoczenie. No, mogą jeszcze być niedorozwinięci. Więcej opcji nie ma.

Uśmiechnąłem się.

– Słuchałem czasami rozmów Sitów, wiesz, telepatycznie – ciągnął Suver. – „On jest niesamowity! Można go ugościć, poczęstować najlepszym winem, być dla niego miłym, a on potem usiądzie i napisze surowy artykuł oceniający nasze winnice!” Co za brednie. Dojrzały emocjonalnie Sit w sposób naturalny odczuwa wdzięczność, która jest cechą ludzi wielkich, więc napisze lepszy artykuł, znaczy oceniający wina lepiej. Nie powinno się cenić niedorozwojów za ich chłód emocjonalny, bo to tak, jak zachwycać się bezrękim albo ślepy, że jeden nie zrobi kawy, a drugi nie zobaczy wschodu

słońca.

– Ale czekaj. Oceniając lepiej ludzi, którzy go ugościli, krytyk robi krzywdę innym, robiącym lepsze wina.

– Racja. Zły przykład. Ale wiesz, o co mi chodzi.

– Chyba tak.

– Nie należy także sądzić, że geniusz, czyli ja, nie ma poczucia humoru i nie wie, czym są wygłupy – rzekł Tell. – Wielcy naszego i waszego świata potrafią robić miny, stroić żarty...

Zdaje się, że chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zabrakło mu słów.

– O, geniusz wie też, kiedy nie ma nic do powiedzenia – skwitował.

– A głupek – rzuciła z wielkiej odległości Lea Stone – uzna, że sto metrów to dostateczny dystans, żeby Agon go nie usłyszał.

Mars zachichotał.

– Już byś przestał się tak separować, Torkil – poprosiła Lea.

Usłyszałem szum i poczułem grzmotnięcie jej stóp tuż za plecami.

– Zwłaszcza od tych – szepnęła mi prosto do ucha – którzy cię kochają.

Ostatnie słowa powiedziała tak cicho, że być może mi się przesłyszało. Na pewno jednak poczułem na płątku ucha dotyk jej ust.

A potem poczułem je na wargach. Twarde, namiętne i bardzo, bardzo kochające.

– *Ależ te baby cię kochają, Efendi.*

Ależ jestem głupi i ślepy, myślałem, lejąc łzy na usta moje i Stone.

Nastał wieczór, emocje opadły, ale wciąż miałem potrzebę samotności. Ulokowałem się w wygodnym reistycznym fotelu nad jednym z tarasów *Teacupa*, zamówiłem Jacka Daniel'sa i patrzyłem na ruch w rajku Wiz. Zachodziło słońce i kładło długie cienie, których brązowe ostrza wdzierały

się w oranżową przestrzeń.

Spojrzałem na swoje dłonie w rękawicach Coremoura. W ich polerze odbijał się niebiesko-różowy świat pełen wież, airvilli i latających ludzi. Rozkazałem pancerzowi schować prawą rękawicę. Moja ręka. Skóra. Powiew wiatru między palcami. Dotknąłem opuszkami pancernego grzbietu drugiej dłoni. Pogładziłem go i wydałem dyspozycję usunięcia lewej rękawicy. Skóra na skórze. Dotyk. Wyciągnąłem palce do twarzy i pogładziłem policzki.

I spłynął na mnie spokój.

Wciąż patrząc na ręce, uruchomiłem opcję widzenia nieba Wiz. I zobaczyłem pod stopami gwiazdy i gwiazdozbiory. A gdzie spojrzałem, tam pojawiały się gryfy, smoki, jednorożce, rycerze, wojowniczkę i czarodzieje, bo każda planeta ma wyjątkową plejadę kosmicznych postaci.

Wciągnąłem głęboko powietrze, wsłuchując się w tętno planety... Tak, wracała do zdrowia.

I wtedy przypomniał mi się Xen Shou.

Wciąż tkwiąc pośród trójwymiarowych mirażów gwiazdnych konstelacji, wywołałem połączenie. Po chwili zobaczyłem małego, zielono-żółtego dimena oraz unoszącą się obok niego animację starego człowieka.

– Witaj, Błogosławiony.

– Dzień dobry, Xen.

– Czemu zawdzięczam ten telesens?

– Nie przeszkadzam?

– Nie, u nas jest poranek, a ty, jak widzę, pławisz się w popołudniowych promieniach.

Usunąłem animację gwiazd i znowu zobaczyłem miodowe światło.

– Tak, jestem na Wiz.

– O, to piękny glob.

– Chciałem... – Chrząknąłem. – Chciałem ci opowiedzieć o naszej

wyprawie i o tym... jak nam pomogłeś.

Małeńkie brwi Auduxa powędrowały w górę.

– Ja?

– Tak, Słuchaczu. Prawdę mówiąc, gdyby nie ty, pewnie by nam się nie udało.

– Niemożliwe!

Łyknąłem whiskey. Płyn rozlał się po przełyku i dotarł gorącą falą do żołądka.

– Posłuchaj. To było tak...

Droga Mleczna

Macierz

Gaja, raj

Sektor U 43253

45 Quarti 233 EI, 19.14 H

Wisieliliśmy na wygodnych sofach w *Bashingu* Laurusa. Przed nami skrzyło się szkło lewitujące nad stolikiem. Było późno, paliły się świece, wewnątrz zalewało światło zachodu na Gai. Wypiliśmy sporo kolejek. Kaja i Pauline siedziały naprzeciwko siebie sztywno i oprócz grzecznościowych formułek nie zamieniły ani słowa. Nie patrzyły sobie w oczy. Zmusiliśmy je z Roninem do tego spotkania, oznajmiając, że mamy im coś bardzo ważnego do powiedzenia. Nie ulegliśmy ich odmowom, chociaż w obu przypadkach było to bardzo trudne i słowo „trudne” jest doprawdy eufemizmem.

Wypuściłem z ręki kieliszek i patrzyłem, jak wędruje nad stoliki.

– Kaja. Pauline. Chciałem wam powiedzieć... że już wiem, skąd się wzięła wasza animozja.

– *Uuu, bracie, aleś przywalił* – odezwał się menowo Laurus. – *Bez smarowania?*

– *Tak najlepiej.*

– *Jak uważasz.*

Kobiety spojrzały spłoszone na mnie i na Wilehada.

– Torkil talizmanowy, Tald, rozwiązał tę zagadkę – wyjaśniłem.

– Jakim cudem?! – Głos Kai przypominał zduszony skrzek ptaka. Czulem, że walczy ze sobą, by nie uciec.

– Otrzymał skan twojej psychiki.

Kaja najpierw zamarła, nie rozumiejąc. A potem powoli spojrzała na Laurusa. Zacisnęła usta.

– Ty chamie. – Przełknęła ślinę. – Ty chamie! Jak mogłeś?!

Mario „Nexus” Taylor wstał z wiszącego w powietrzu fotela i dyplomatycznie wyfrunął przez okno. Na zewnątrz przywitał go radośnie jego SaintDroid z obstawą, która raczyła się drinkami z Sitami, którzy, ledwo Laurus stał się Roninem, stworzyli wokół *Bashinga* karawanę. Taka już jest natura ludzka. Lubi antybohaterów. Wilehad jeszcze się do tego nie przyzwyczaił.

Pauline patrzyła na mnie nieprzeniknionym wzrokiem. Nie lubię tego spojrzenia. Oznacza wielką awanturę, ale dopiero gdy będziemy sami.

– Jak mogłeś, Laur? – ciągnęła Kaja. Pokręciła głową, patrząc w dół. – Przekroczyłeś najważniejszą barierę. Jak mogłeś? Już rozumiem, dlaczego stałeś się Roninem. Nie zasłużyłeś na nic innego. Jesteś wiarołomcą!

Miałem wrażenie, że zaraz wykrzyczy „Nie możemy być razem!” albo coś w tym stylu. Zerknąłem na Wilehada. Przyjął całą tę tyradę, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– Wymieńmy paki – zaproponował cicho.

– Tak – zawtórowałem mu, patrząc na Pauline.

– Nie – Kaja wyciągnęła rękę – nie będę z kimś takim wymieniać paków.
Przekroczyłeś granicę.

– Kaja...

– Nie.

– Jeśli mogę – odezwałem się – jestem tutaj najbardziej bezstronny, bo cały manewr odbył się bez mojej wiedzy.

Paula i Kaja spojrzały na mnie. Naprawdę były strasznie podobne. Powietrze wokół nich lekko się ugięło, więc użyłem Siewcy, by je trochę uspokoić. Nie był to elegancki manewr, ale Łaska Imperatora podziałała bez zarzutu. Nie wiedziały, że to zrobiłem.

– Ładnie – pochwalił były RanaR.

– Wymieńmy się – powiedziałem. – To, do czego jesteście zdolne, może uratować wielu Ranów. Gdy ich arun zostanie uszkodzony, być może i tak zdołają zachować życie.

Laurus pokiwał głową.

– Jest jeszcze coś – ciągnąłem. – Przeanalizowaliśmy z... Roninem całą naszą przeszłość i dotarło do nas, że macie jeszcze jedną umiejętność. – Przełknąłem ślinę. – Mimo że jesteśmy Maod-Anami, nie udało nam się nigdy dotrzeć do waszych myśli, odkryć tej tajemnicy. Posiadacie niezwykłą zdolność ekranowania...

Wilehad wyciągnął rękę.

– Nie to, żebym próbował, Kaju, wiesz, że prywatność to dla mnie rzecz bardzo ważna, ale czasami coś samo się wyśliźnie w pakach. U was się to nie zdarzyło.

– Człowiek – podjąłem – emituje fale emocjonalne. My je czujemy. Odczytujemy w ten sposób stan rozmówcy. W waszym przypadku te fale także istnieją, ale są... nie wiem, jak to ująć, trymowane.

– To także powinno zostać zbadane – odezwał się Laurus. – Gwarantuję ci,

Kaju, że o tle tego wszystkiego dowie się minimalna liczba osób.

– Pamiętajcie – zniżyłem ton – nie jesteście odpowiedzialne za czyny swojego ojca. To on był winien, nie wy.

Kaja pokręciła głową.

– Nie.

Zagryzłem wargi.

– No dobrze. – Westchnąłem i spojrzałem jej w oczy. – Jak znam Laurusa, a znam go nieźle, pewnie powiedział ci, że na Vaterlandzie było „znośnie”. I nic więcej, prawda?

– *Torkil, nie waź się!* – dostałem od niego men.

Nie zwróciłem na niego uwagi. Jego partnerka ledwie zauważalnie skinęła głową.

– No właśnie – kontynuowałem – taki jest Laurus. Nigdy nie powie swojej kobiecie niczego, co mogłoby ją przestraszyć. Bo dla niego rodzina to świętość.

– *Torkil, jeszcze słowo i cię zabiję.*

Brzmiało to groźnie.

– *Tell, Smoczy Ran* – nadałem telepatycznie.

– *Efendi, be my guest!* – usłyszałem jego głos, chociaż Suver był w tym momencie na Dragonii.

I znowu poczułem wielowymiarową przestrzeń, a duchy, które wezwałem, otoczyły mnie i weszły w moje ciało. Miałem moc. Potrafiłem już panować nad wyglądem swoich oczu i promieniami, które rozsiewałem w tym stanie, więc wyglądałem praktycznie normalnie.

Skoro nie musiałem się już obawiać ataku Ronina, pociągnąłem temat.

– Prawda o Vaterlandzie jest nieco inna...

– Torkil – przerwała mi Pauline – co się z tobą dzieje? Dlaczego ty... świecisz?

Kaja patrzyła szeroko otwartymi oczami.

– I te jego ślepiea...

Cholera. Czyli jednak nie wyglądam normalnie. To pewnie przez nerwy.

– *Dobra, Primus, rób, co chcesz. I przestań świecić* – odezwał się Wilehad.

– *Tell, już.*

– *Jak każesz, przyjacielu.*

Odesłałem duchy i świat na chwilę poszarzał.

– Chryste, ale się przestraszyłam – szepnęła Pauline.

– To taka stara sztuczka Ranów – skłamałem.

– Mówiłam ci, żebyś na mnie żadnych soulerskich trików nie stosował – przypomniała moja pani.

– To była ochrona przed Roninem. – Wskazałem skamieniałego Laurusa. – Wracając do tematu, nad planetą Ojców nie było „znośnie”. Dwóch Laurusów zginęło podczas ataku na arcydiabła, molocha, w którego zamienił się król.

Kaja wzdrygnęła się i spojrzała z wyrzutem na partnera.

– A potem – ciągnąłem – odcinając łeb przeciwnikowi, zginął i trzeci Laurus. Arun nie ocalał w żadnym przypadku.

Kobieta przytknęła palce do ust.

– O Boże! Nic mi nie mów!

– Taki jest były RanaR.

– Ale jakim cudem w takim razie...

– Wszedłem w Eynet... w coś w rodzaju bezczasu... i odnalazłem go po tamtej stronie. Sprowadziłem z powrotem, wierząc, że to możliwe. Laurus wiedział, że to da się zrobić, bo dostał od gamedeca pak z całą waszą historią. Można powiedzieć, dziewczyny, że ocaliłyście mu życie. Że wasze przeżycia, wasz ból go uratował. Gdyby nie to, pewnie by mi się nie udało. Z tego punktu widzenia cała wasza tortura miała sens. Ocaliła mojego

przyjaciela, a twojego, Kaju, partnera.

W tym momencie Kaja nie wytrzymała i zaczęła szlochać. Pauline także. Laurus chciał się podnieść i przytulić ukochaną, ale powstrzymałem go.

– Nie odpowiadacie za to, co się stało w przeszłości – szepnąłem. – Wasz ojciec był podłym człowiekiem. Nie musicie się wstydzić ani cierpieć z jego powodu. Chcemy, żebyście znowu zaczęły się spotykać. I, nie ukrywam, chcemy, żeby Tomonari skorzystało z waszych niezwykłych umiejętności. To ocali jeszcze wiele istnień. Myślę, że warto za taką cenę... Rozumiecie?

Laurus odczekał chwilę i ponowił prośbę:

– Wymieńmy się pakami.

Kaja wytarła nos palcem i patrząc w dół, skinęła głową.

– Dlaczego? Dlaczego nie powiedziałaś, że zginąłeś? – Znowu się rozszlochała i wyciągnęła do niego rękę.

Przytulili się.

– Nie chciałem cię obciążać...

– Głupi jesteś! Głupi! Zawsze mi możesz...

Reszta jej słów zginęła w płaczu.

– *Torkil* – usłyszałem głos Pauline – *ty mi takich numerów nie rób, dobrze? Było tak, jak mówiłeś? Zginęło dwóch?*

– *Tak, Pauline. Dwóch. Najciężej uzbrojonych. Ja, prawie nagi, ocalałem...*

Jeszcze chwila i wymieniliśmy paki. Ja z Pauline, Laurus z Kają. I jak zwykle w takich sytuacjach, stał się cud zrozumienia. Pauline spojrzała na mnie łagodniejszym wzrokiem, a ja jeszcze lepiej pojąłem motywy jej i Kai. Laurus i siostra mojej pani wciąż się tulili. Bardzo, bardzo mocno. A ja przylgnąłem do Eim.

Arealium
Arka Lamy
Wioska Na Niebie Aymorland
Czas realium:
20 Quinti 233 EI, 10.01 H

– Chciałbym, żebyś dobrze zrozumiał, co ci proponuję. – Laurus, patrzący na mnie z materiału zwieszającego się z rzeźbionego drzewca, uśmiechnął się krzywo. – Metoda Aarda, procedura, którą nazwał „Siódme Niebo”, badania nad Pauline i Kają połączone ze skanami z urządzeń montowanych w koronach Waruitów odkryły coś zupełnie nowego... – Podrapał się po karku skrytym pod kremowym kapturem.

– Laurus, przepraszam, że ci przerywam, ale co ty masz na głowie?

– Hm. Torkil ci nie przekazał?

– Przekazał, ale musiałem zadać to pytanie. – Uśmiechnąłem się złośliwie.

– To zadaj je swoim Weenom. Oni mają na głowach dziwniejsze rzeczy.

– Touché.

– Wiedza, którą zdobyliśmy – podjął – pozwoli nam przenosić psyche z głowy do dibeka bez użycia aruna. To zasługa naszych pań i Warui. Zasługą Aarda jest to, że możemy przenosić psyche nawet z czegoś tak nieogarnialnego i informacyjnego jak Arka Lamy do mózgu i z powrotem, rozumiesz? To jest właśnie Siódme Niebo. Brzmi nieprawdopodobnie, ale w sumie jest dość proste. Chodzi o komunikację między reistycznym dibekiem a cyfrową psyche, lecz nie będę cię teraz zameczał szczegółami. – Wychylił się w stronę ekranu i spojrzał mi głęboko w oczy. – Będziesz mógł wrócić do realium. I każda osoba, którą wskażesz.

– Tak, rozumiem.

– Dziękuję za rozwiązanie sprawy Kai i Pauline. Nie wiedziałem, w jakie

pakuje cię bagno.

– Myślałem, że się nie doczekam. Podziękowania przyjęte.

– Naprawdę dziękuję.

– Zaproponowałeś mi fuchę w...

– Nieładny sposób, wiem. Wtedy mi się wydawało, że to najlepsze rozwiązanie. Zresztą nadal tak uważam, ale...

– Hm?

– Przepraszam także ci się należą.

Popatrzyłem w wielkie okno. Niech skurczybyk trochę pocierpi.

– Torkil?

– Przyjęte. Swoją drogą przypomniałeś mi, dlaczego tak bardzo lubię gamedeczenie.

– Uff.

Zafalował kaptur nad jasnymi oczami. Naprawdę mu ulżyło. Czyżby Laurus po zostaniu Roninem się zmienił? Paki od realnego Torkila zdawały się to potwierdzać...

– I jak? – podjął.

– Z czym?

– Z moją propozycją. Możemy cię przenieść.

Znowu spojrzałem przez wielkie panoramiczne okno na swoją Wioskę Na Niebie. Uwielbiam to okno, bo zawsze wpuszcza strugę światła, a dzieje się tak dlatego, że mój dom nieustannie rotuje zgodnie z kierunkiem ruchu słońca.

Arka Lamy była domem, w którym spędziłem ponad sto lat. To naprawdę kawał czasu. Kochałem ten świat. Byłem też w tysiącach innych talizmanów, odwiedziłem mnóstwo tak egzotycznych i cudownych miejsc, że wspomnienia z nich przypominały barwną dżunglę. To był nieskończenie złożony multiświat, miliardy rzeczywistości, i to nie z enpecami, ale

z prawdziwymi ludźmi. Jak wieść niosła, rozpoczął się ruch deteizacji, który bardzo mi odpowiadał. Zajęcia miałem na tysiąc lat... Słowem, żyłem w miejscu, o którym marzą wszyscy gamedecy, a trzysta lat temu nie mogli nawet o takim śnić, bo nie przyszłoby im do głowy, że gry będą prawdziwymi rzeczywistościami. Owszem, wejście tutaj było szlachetnym gestem, a jeszcze miesiąc temu, gdy wrażenia z wizyty w realium były świeże, byłbym tą propozycją poruszony, lecz teraz...

– Zastanowię się, Laurus.

– Czyli co? Jeszcze nie jesteś pewien? – RanaR, znaczy Ronin, nie krył zdziwienia.

Pokręciłem głową.

– W Czasach Szczęśliwości jest milion sposobów na osiągnięcie błogostanu.

Uśmiechnął się.

– Zgoda. W każdym razie furka jest otwarta. Pomyśl o tym.

– Pomyślę, przyjacielu.

Pozdrowiliśmy się i zakończyliśmy rozmowę.

Zerknąłem na drugi koniec pokoju, gdzie na „magicznym leżaku” kołysała się Patrząca w Światło. Widząc, że przestałem rozmawiać, wstała, powoli się przeciągnęła, dając moim oczom nacieszyć się jej wdziękami, i powoli podeszła. Pochyliła się i usiadła na moim łożu.

– Nowe wieści, Tori? – spytała, spoglądając mi w oczy.

Hm.

– Patrząca, czy chciałabyś zobaczyć... realium?

Droga Mleczna
Rubieże

Prawda, orbita
Sektor BN 897643
23 Quinti 233 EI, 12.00 H

Han Fierce siedział na realnym fotelu stojącym, nie wiszącym, na tarasie *Grendela* i patrzył na Prawdę, planetę, która była kolonizowana przez jego wyznawców. Czterdzieści miliardów wolnych ludzi. W najśmielszych marzeniach nie sądził, że tyle się ich zbierze, a wieść niosła, że jego ruch przyciąga wciąż nowe rzesze.

Glob był piękny, zielony, przyprószony barankami obłoków. Airvill orbitował wokół niego, pilnując, by proces kolonizacji przebiegał bez zakłóceń. Taka przynajmniej była oficjalna linia, bo i tak wszystkim, niestety, zajmował się ImBu. Uma Black oraz Toth Karna zasiadali obok przywódcy i trwali, podobnie jak ich guru, w ciszy.

– Popatrzcie – szepnął wreszcie Han – jakie to w sumie proste. Wystarczy jeden człowiek, jeden obywatel, który zrobi to, o czym wszyscy mówią, i nagle powstaje z tego ruch. Wielki ruch.

– Tak, Zabójco – potwierdziła z oddaniem Uma, patrząc na twarz Fierce’a, która z dnia na dzień coraz wyraźniej przybierała barwę popiołu przetykanego pasmami błękitu, podczas gdy podbródek wykształcał coś na podobieństwo dwóch małych rogów. Z lubością skonstatowała, że także jej skóra zmienia kolor, a żuchwa się przeobraża. Wielu obywateli, którzy do nich się przyłączyli, wykazywało tę mutację. Wyglądali pięknie.

– Wynika z tego, że potrzeba zmiany istniała już dawno, tylko nie było zapalnika.

– To próbowaliśmy ci przekazać podczas pierwszego spotkania – odezwał się Toth. Jego niebieskoszara twarz wyglądała nad siwą brodą jak malowidło.

– Imperatorki już nie ma – westchnął Fierce. – Ale godnie poniesiemy jej

spuściznę.

– To twoja spuścizna, Hanie – odezwała się Uma. – Imperatorka była wszechmocna. Ty pokazałeś, jak być silnym bez talizmanów.

Mężczyzna skinął głową, przyjmując komplement.

– Pojawiła się w Imperium nowa, wszechmocna siła.

– Strażnik? – poddał Karna.

– Tak. – Fierce powoli zacisnął wąskie usta. – Widzicie tę figurkę? – Wskazał unoszącą się nad pobliskim blatem humanoidalną postać wielkości ręki. Przypominała... jego.

– Właśnie chciałem cię zapytać, Zabójco – odezwał się siwobrody. – To twoja podobizna, prawda? Czy tak ma wyglądać nasz znak?

Han machnął ręką.

– Symbol już mamy. „WW”. To dobre godło.

– Więc... co to jest? – spytała Uma. Nie mogło jej się pomieścić w głowie, że człowieka, którego bezgranicznie podziwiała, którego słowa spijała jak boski nektar i zapisywała we frinie niczym święte wersety, mógł skalać narcyzm.

Han zagryzł dolną wargę i chwilę milczał.

– Otóż... Otóż miałem przyjaciółkę. Astrę Frey. Zginęła w niewyjaśnionych okolicznościach. To znaczy – poprawił się – jeszcze jakiś czas temu były one niewyjaśnione, a teraz, po przejrzaniu tego, co mi przesłała, i obejrzeniu akcji nad Vaterlandem, już wiem, jak to się stało.

– Zatem? – Toth poprosił gestem, by zdradził tajemnicę.

– Astra jakimś cudem poznała lokalizację Enkidu, wiecie, jeszcze przed atakiem Ojców. I za to poniosła karę. Zginęła, ledwie pojawiła się w systemie. Tak to sobie wyobrażam. Albo zabiło ją CIII, w co raczej nie wierzę, albo ci, którzy Enkidu pilnowali. I to jest prawie pewne. Zanim jednak odebrali jej życie, sprytna anarchistka zdążyła przesłać mi broszkę,

która była okiem. Okiem drona. I to oko zawierało hotki CIII.

– Niemożliwe! – wykrzyknął Toth.

Fierce wyświetlił kilka trójwymiarowych ujęć włochatej, błyszczącej planety.

– Tak wyglądał ten glob, zanim wysłaliśmy go do Waruitów.

– Niesamowite – szepnęła Uma.

– Jak wiemy, w trakcie walk CIII zmiotło całą cywilizację Ojców, a potem zmaterializowało się na Gai w postaci, która bardzo przypomina naszych dzielnych – splunął – Ranów w ich kiczowatych Skymourach.

– Na jego piersi... – zaczęła Black, lecz Fierce jej przerwał:

– Tak, wszyscy znamy tę historię. Pojawiło się tam logo WayEmpire, a na naramienniku symbol Toy Soldiers. I na tej podstawie uznano, że to jeden z naszych.

– To tajemnicza figura – stwierdził Toth.

– Bardzo – przyznał Han. – Bardzo, bardzo. Bo widzicie, ta zabawka, ta moja podobizna wisząca nad blatem... jeszcze wczoraj była okiem Astry.

– Jak?! – Black wstała z fotela.

Han uniósł brwi w uspokajającym geście.

– Najpierw zareagowałem tak jak ty, Umo. I pomyślałem, że to jeszcze jeden pośmiertny prezent od przyjaciółki. Ale gdy spróbowałem dotknąć tego obiektu...

Zachęcił Totha, by spróbował podnieść figurkę. Mężczyzna wstał, podszedł do stołu, wyciągnął rękę... i cofnął ją z krzykiem.

– Co to jest?!

– Zabolało? – spytała Uma.

– Nie, to nie był ból. To znaczy... jakiś niezwykle zlepek uczuć, coś jak szok! Nieprzyjemny, ale bezbolesny.

– Próbowalesz to zniszczyć? – spytała kobieta.

Han pokręcił głową.

– Nie. Mam wrażenie, że ten obiekt jest praktycznie... niezniszczalny. Zrozumiałem jedną prostą rzecz.

– Jaką?

– CIII formowało się z kwantów. Z tych kwantów powstał huragan, który zniszczył Warui, a potem Strażnik. Fotony, które utrwaliły obraz Enkidu w oku Astry, musiały zawierać informację o Strażniku. Przecież zostały wyemitowane przez planetę, czyż nie? Ponieważ są to cząstki nieważkie i ciężko cokolwiek z nich ulepić, trochę potrwało, nim oko zdołało się przepoczwarzyć.

– Ale zaraz – zaprotestowała Uma – jeśli tak, to w ten sam sposób Strażnik musiał zainfekować wszystkie statki, które go pilnowały.

– Otóż to – Fierce uśmiechnął się drapieźnie – otóż to. I nie tylko je. Jeśli mam rację, to teraz – zatoczył ręką łuk – wokół nas przebywa nie tylko to bydlę Ezra, nie tylko ten bezmózg Budda, ale i Strażnik...

– Ale dlaczego w takim razie – wykrzyknął Karna – wszystko się nie przekształca w Strażnika?! Twój airvill, planety, w ogóle całe Imperium? Dlaczego zmaterializował się tylko koło Pałacu Imperatorskiego, na orbicie Vaterlandu i... nad twoim stołem?

Fierce wyszczerzył zęby.

– Właśnie. Zwróćcie uwagę, że mój... mały Strażnik nie wygląda jak Toy Soldier. Wygląda jak ja. A skoro tak, to teoria, że to wysłannik z przyszłości, dobrotliwy wielowymiarowy Ran, wcale nie musi być prawdziwa. To może być zupełnie inna siła. I, jak widzicie, sprzyja mi. Mam na ten temat swoją teorię. CIII zaatakowało Ojców, bo zostało rzucone w wir walki, gdzie z garstką naszych sił walczyła niezliczona flota obcych. CIII słusznie stwierdziło, że głównym zagrożeniem są właśnie obcy. Trwała walka, Waruici byli agresywni. Oberwali. Potem Strażnik przyleciał do WayEmpire,

by zrobić podobny porządek, ale że nikogo nie zastał, nikogo nie zaatakował. Potraktowaliśmy go pokojowo, więc zachował się spokojnie, a nawet upodobił do tych, którzy go przywitani. Moim zdaniem to zupełnie inny rodzaj bytu, niż myślą jajogłowi z Imperium. To jakaś niezrozumiała, umiejąca stosować mimikrę, zaawansowana sztuczna inteligencja. I mam w związku z nią...

Głowa Fierce'a rozprysła się na tysiąc kawałków, obryzgując krwią i odłamkami kości Totha i Umę. Krzyknęli i poderwali się z miejsc, patrząc ze zgrozą na bezgłowe ciało, które jeszcze przed chwilą było myślącą istotą, a teraz przechylało się przez ramię fotela, sikając posoką z tętnic. Piersi i brzuch Hana nasiąkały krwią, a na podłodze rosła ciemnoczerwona kałuża.

– Co to było?! – krzyknęła ze zgrozą Uma.

– Han! Mistrzu! – ryknął Toth.

– To ta figurka?! – Kobieta wskazała palcem posązek.

– Nie wiem, nie widziałem... – Siwobrody mężczyzna patrzył przez chwilę ze zgrozą na miniaturę, a potem rozejrzał się nerwowo. – Kto to zrobił?! Jak to się stało?! Na Buddę, jak to się stało?!

Oddalona o pięćdziesiąt kilometrów od miejsca zdarzenia Pauline Eim chowała do hipoka czarną jak smoła Eleonorę. Była ubrana w matowy antracytowy pancerz, a broń nie świeciła ani jedną kontrolką, więc na tle czerni kosmosu zabójczyni była zupełnie niewidoczna. Żeby ją zobaczyć, trzeba by spojrzeć z wyższej orbity. Na tle rajskiej Prawdy prezentowałaby się jako czarna, smukła sylwetka.

– Chciałeś zabić mojego faceta – mruknęła, gdy podlatywała do także pozbawionego światła jednoosobowego statku. – I to był twój wielki błąd.

Owiewka pojazdu otworzyła się. Pauline wleciała do środka. Kabina

zamknęła się i zaczęła wypełniać powietrzem. Była Reormater usłyszała syk. Gdy arealna kontrolka na tablicy rozdzielczej zapaliła się na zielono, zwinęła czarny hełm, który schował się w obszernym kołnierzu zbroi. Wtedy z mroku wyłoniła się jej śniada, naznaczona wyrazem złości i przez to już niepiękna twarz.

– Wolna Wola, Wolna Wola – warczała, uruchamiając sekwencję skoku – wielki mi, kurwa, piewca Wolnej Woli. Gdzie byłeś, gdy razem z Anną walczyliśmy z Thirami? Gdzie chowałeś tłusty ryj? Gdzie byłeś, gdy Van Moon ratował nas wszystkich? Gdzie byłeś, gdy Laurus odcinał łeb arcydiabłowi? No? Guru się znalazł.

Przerwała monolog, wypowiadając mentalną instrukcję. Generatory statku cicho pisnęły, rzeczywistość zafalowała i przed oczami kobiety pojawiła się wielka, różowo-niebieska sfera. Raj planety Wiz.

Gdyby ktoś cofnął się o kilka mon, zobaczyłby nie wściekłą i przekonaną o słuszności swojego czynu boginię zemsty, ale kobietę rozdartą i wążącą w myślach to, co zamierzała uczynić. Pauline wisiała obok jednoosobowego pojazdu, a Eleonora czuwała przy niej, namierzywszy już cel. Eim jednak nie wydawała rozkazu strzału, chociaż broń zapewniała, że nie może chybić, ponieważ mężczyzna tkwi nieruchomo, a między wylotem lufy a nim nie znajdują się żadne obiekty. Kobieta wisiała w czerni kosmosu jakby zahipnotyzowana wszechogarniającą ciemnością. Zdecydowanie, które jej towarzyszyło, gdy w sekrecie wyruszała na tę wyprawę, gdzieś uleciało. Pojawiły się wątpliwości, nieduże, ale przeszkadzające w podjęciu decyzji. Czy postępuje słusznie? Torkil go oszczędził. Może miał rację? Może każdy człowiek zasługuje na drugą szansę? Fierce pomógł im uciec z Drogi Mlecznej. Przydał się. Ale teraz, Pauline potrząsnęła głową w czarnym

hełmie, tworzy ten swój Ruch Wolnej Woli, zmienił się, nie tylko psychicznie, ale i fizycznie, robi złe rzeczy. I niewątpliwie chciał zabić Torkila. Ba, wydał rozkaz strzału. Nieważne, że Aymore przeżył. Z punktu widzenia zabójcy akt się dokonał.

Według teorii Grossmana, który jeszcze w dwudziestym pierwszym wieku Przed Imperium opisał akt zabójstwa, cel stał się dla Pauline atrakcyjny. Był to osobnik, którego naprawdę należało usunąć. Teraz była Reormater raz jeszcze przeanalizowała, czy jest w stanie go zabić i niepostrzeżenie umknąć. Tutaj także była prawie pewna, że jej się uda. Pojazd, którym przybyła, był sprawny, a zamiary skoku już wprowadziła do jego mózgu. Pozostawała kwestia, czy ImBu nie uzna jej czynu za Wielkie Zło. W tej sprawie pewności nie było, ale była intuicja. A ona podpowiadała, że Imperator i Budda zawsze dążą do równowagi, Fierce zaś ją naruszył już dawno temu. Zatem prawdopodobieństwo niepostrzeżonej ucieczki było wysokie.

W zabiciu drugiego człowieka pomagają rozkaz zwierzchnika oraz wsparcie grupy. Pauline z jednej strony brakowało tych czynników, z drugiej cieszyła się, że jest sama i weźmie na własne barki odpowiedzialność za ten czyn. Tej wiedzy, tego dzieła nie można z nikim dzielić. W oddaniu strzału pomaga także, jak twierdził Grossman, dystans, zarówno fizyczny, jak i psychologiczny. Ten pierwszy to po prostu odległość i bufor mechaniczny w postaci wizjera. W celowniku Han Fierce bardziej przypominał animację niż żywego człowieka, zwłaszcza na nierealistycznym tle gwiazd i próżni. Dystans psychologiczny to różnice kulturowe i poczucie wyższości moralnej. Fierce reprezentował co prawda ruch, z którym Pauline częściowo sympatyzowała, ale stał po stronie chaosu, buntu i zła, z którymi musiałby walczyć Torkil. Jeśli chodzi o kwestie moralne, niewątpliwie był to padalec, który usiłował odebrać życie jej mężczyźnie.

Istniał jeszcze jeden składnik równania, taki, z którego Eim nie zdawała

sobie sprawy. Matka Konona i partnerka Aymore'a była kobietą, a kobiety nie mają tak wielkich oporów przed zabiciem człowieka jak mężczyźni. Posiadacze chromosomu Y to urodzeni drapieżcy, a jako tacy mają genetycznie wdrukowaną blokadę, gdy trzeba unieczwicić przedstawiciela swojego gatunku. Kobiety nie są drapieżne, a przez to, paradoksalnie, blokada jest u nich mniejsza. Zwłaszcza gdy czują, że muszą bronić swojego stada.

A Pauline musiała.

Gdyby na jej miejscu znajdował się Torkil, nie strzeliłby.

Ale znajdowała się ona.

I nagle wszystkie rozterki zastąpiła chłodna kobieca logika. Han Fierce próbował zniszczyć jej stado. Wszystko wskazywało na to, że próbę tę ponowi, jeśli nie wobec jej stada, to wobec innych.

Zatem zasługiwał na śmierć.

I była Reormater strzeliła.

– I co? – szepnęła, gdy zbliżała się do rajy Wiz. – I już cię nie ma.

Nie zdawała sobie sprawy, że jest w opisywanym przez podręczniki stanie euforii po zabójstwie, lecz niewiedza ta w niczym jej nie przeszkadzała. Przeciwnie, czuła się uwznioślona, niemal w ekstazie.

– Nikt – mruzczała – kto mierzył do mojego mężczyzny, nie ma prawa żyć. Niech sobie poeta Aymore z melancholikiem Nexusem i pojebanym Laurusem układają swoje wzory prawdopodobieństwa, ale gdy trzeba coś konkretnego zrobić, tylko my potrafimy zakasać rękawy. I proszę, ImBu nie zablokował mojego statku. Czyli nie uczyniłam Wielkiego Zła. Nie uczyniłam! I wcale nie jestem zaskoczona!

Jej pojazd zmienił barwę na purpurową i wleciał w rzadką atmosferę rajy.

Badania wskazują, że wkrótce po odebraniu życia człowiekowi zabójca ma silne poczucie winy, które potem musi zracjonalizować.

Była Reormater poczuła coś w rodzaju wyrzutów sumienia, ale potrząsnęła głową i zrzuciła z siebie to brzemie. Nie będzie się bawiła w sentymenty. Gdy zagrożone jest stado, lwica go broni. Kropka.

– Carl – odezwała się do swojego frina.

– *Skasowanie wspomnień to nie najlepszy pomysł* – odezwał się wewnętrzny majordomus, odgadując jej myśli. – *ImBu i tak o wszystkim wie, a akt usunięcia śladów pamięciowych jest zapisywany w sieci...*

Kobieta zacisnęła usta.

– Masz rację.

– *Zatem?*

– Będę musiała z tym żyć.

– *Ukrywanie przyczyn złych relacji z Kają udawało się przez wiele cykli.*

– Ale kosztowało mnie dużo wysiłku.

– *To prawda.*

Pauline zadrżała na wspomnienie całych dekad, podczas których pilnowała się, ilekroć Aymore patrzył na nią tymi swoimi przerażającymi soulerskimi oczami. Tylko ona i jej frin wiedzieli, ile koncentracji wymagało od niej kontrolowanie paków. I teraz ma ją czekać to samo? Ten sam stres, to samo napięcie?

Pokręciła głową. Wyjawienie tajemnicy dzieciństwa przyniosło jej niewyobrażalną ulgę. Nie chciała zastępować tej błogości kolejną udręką.

– *Błogosławiony Aymore nie jest wszechmocny.* – Carl znowu odgadł jej myśli.

– Ale jest coraz lepszy. A teraz, kiedy stał się Smoczym Ranem... Nie dam rady, Carl. Trzeba coś z tym zrobić. Wymaż te wspomnienia.

– *Jest inny sposób.*

– Jaki?

– *Mogę usunąć komponent emocjonalny śladu pamięciowego. Dzięki temu będziesz pamiętała, co zrobiłaś, ale nie będziesz miała do tego żadnego stosunku uczuciowego.*

– Czyli?

– *Będzie tak, jakbyś o tym przeczytała albo usłyszała, jakby zrobił to ktoś inny. Twój stosunek emocjonalny do tego aktu będzie neutralny.*

– A więc?

– *Nie będziesz się musiała wysilać, by chować sekret. Będzie on czysto intelektualny.*

– Carl, dlaczego dopiero teraz mi o tym mówisz? Przez te wszystkie cykle, kiedy...

– *Siti, informacja na ten temat pojawiła się w sieci dosłownie przed chwilą. To najnowsze odkrycie Akademii...*

Majordomus przerwał w pół zdania. Nigdy wcześniej się to nie zdarzyło. Pauline wsłuchiwała się w wewnętrzny głos.

– Carl? Carl?

– *Wybacz, Siti. Wybacz to zająknięcie. Mam wrażenie... Nie, to niedorzeczne.*

– Ale co jest niedorzeczne, do cholery?!

– *Że to rozwiązanie podsunął mi sam Budda.*

Kobieta przełknęła ślinę, a potem konkluzja, niczym śliski gad, wniknęła do jej psyche i rozgościła się tam niczym wąż układający pstrokate cielsko w gnieździe. Na jej usta wypełzł uśmiech.

– A więc mamy sprzymierzeńca.

– *Gdzieś bardzo wysoko, Siti.*

Droga Mleczna
Macierz
Planeta Wiz, raj
Polia Tris, dystrykt Hook
23 Quinti 233 EI, 12.15 H

– Han nie żyje – usłyszeliśmy głos Konona, gdy zasiadaliśmy do śniadania w głównym salonie *Teacupa*. Młody Eim zlatywał z górnej galerii.

Spojrzeliliśmy na siebie. Pauline, Anna, Angela, Lea, Mars i Harry zrobili baranie miny.

– Możesz powtórzyć? – poprosiłem.

– Ktoś go zastrzelił. Trafił prosto w łeb. – Konon ulokował się na swoim fotelu.

– Arun?

– W drzazgach. Nie przeżył.

– Miał kopie?

– Han Fierce? – Dimen prychnął. – Co ty, wuju. Szlag go trafił na zawsze. Niestety.

– Dlaczego „niestety”? – spytała Anna. – Przecież to szubrawiec. Dobrze mu tak.

Angela i Lea pokiwały głowami.

– Ciociu, szum rośnie w całym WayEmpire – rzekł Eim. – Szukają sprawcy. Burzą się, że ImBu go nie zatrzymał. Rozumiesz? Nie zatrzymał. Uznał, że nie popełniono Wielkiego Zła. Tym samym Budda i Ezra przyznali, że jak strzelają do Błogosławionego, to źle, a jak strzelają do zwykłego Sita, to dobrze.

– Ale przecież – odezwała się Lea – to nie był zwykły Sit, tylko zaburzony gość. W dodatku z ostatnich hotek wynika, że zaczął mutować...

– Tak, ciociu – przerwał jej Konon. Dla niego wszyscy byliśmy ciociami i wujkami. – My to wiemy. Ale nie pozostały bilion Sitów. Ci, którzy dotąd byli umiarkowanymi zwolennikami Hana, stają się wielkimi poplecznikami Ruchu Wolnej Woli. Coraz więcej ludzi leci na Prawdę. I coraz więcej mutuje. Podobno na tym globie prawie wszyscy. Zaraz potrzebne im będą druga i trzecia planeta. Już robią z niego męczennika. Mają jakąś tam relikwię, jego posążek czy coś takiego. Tak czy owak, asasyn, który go ukatrupił, przyczynił się do wzrostu popularności tego odłamu Imperium.

– Odłamu? – skrzywił się Norman.

– Odłamu, wuju – odparł Konon. – Zobaczysz, że w ciągu najbliższych cykli WayEmpire się podzieli. I nie powiem, żeby ten cały Ruch Wolnej Woli mi się podobał.

– Może to jego najbliżsi współpracownicy? – poddała Eim. – Historia zna takie przypadki. Najpierw rewolucjonista wywołuje przewrót, potem się go usuwa i obejmuje władzę.

Konon skinął głową.

– W tej chwili Ruchowi przewodzą Uma Black i Toth Karna. Taka para dziwaków.

– Dlaczego nie jestem zaskoczony... – mruknął Mars.

– Cholera. – Pokręciłem głową.

– Mówcie, co chcecie, ale ja wciąż będę twierdzić – powiedziała Anna – że dobrze się stało. To był niebezpieczny, zły człowiek. Strzelał do Torkila i gdyby trafił tamtego dnia, mówiliby w WayEmpire: „Torkil nie żyje”. Tak by mówili. Gdyby nie Mars... – Uśmiechnęła się ciepło do Lapidosa.

Ten z godnością się uklonił.

– Cholera – powtórzyłem.

– Co tak cholerujesz, wuju? – spytał Eim.

Westchnąłem.

– Zastanawiam się. Założmy, że Fierce’a zabił jakiś ideowiec. Ja wiem, że teoretycznie może nawet mu się należało, bo to, co robił, zaczynało być niebezpieczne. Po klątwie Imperatorki i ekspiacji Laurusa coś pękło w Imperium, więc może trzeba było odstrzelić skurczybykowi łeb. Z drugiej strony widzimy, że dało to jakby odwrotny do zamierzonego rezultat.

– I dlatego należy dać szubrawcom żyć?! – odezwała się ostro Pauline. – Bo jak się ich usunie, będzie jeszcze gorzej? Czy ty wiesz, co mówisz, Torkil?

Znowu westchnąłem i zapatrzyłem się w filiżankę z herbatą. Chciałbym kiedyś mieć tak jednoznaczne zdanie...

Droga Mleczna
Macierz
Planeta Wiz, grunt
Polia Tris, dystrykt Hook
40 Quinti 233 EI, 12.00 H

Czekaliśmy z Tellem, Pauline, Anną, Angelą, Normanem, Kononem, Marsem, Leą, rudowłosą Steffi, Tanyą Kitaro i obsadą *Wielkiego Lwa* przed centrum exuterowym Tris. Pogoda była piękna. Śpiewały ptaki, nad nami sunęły airville, słyszeliśmy krzyk dzieci bawiących się miniaturami Ranów, co chwila przelatywał jakiś birder czy inny barwny Sit, a myśmy rozmawiali i przekomarzali się, jakby cały konflikt z Ojcami nigdy się nie zdarzył, a rosnąca w Imperium schizma nas nie dotyczyła. Nasze animacje mieszały się, tworząc ogrody pełne motyli i wrózek, a talizmany, jakby zachęczone niefrasobliwym nastrojem, okrążały coraz to inne osoby. Czułem się naprawdę dobrze. Tak, jak człowiek powinien się czuć na co dzień, nie tylko

od święta. Pomyślałem, że muszę zapamiętać ten stan, żeby potem móc go odtwarzać.

Zdało się, że już zapomnieliśmy, po co się zebraliśmy nad wielkim tarasem centrum, gdy wreszcie wrota się uchyliły, usłyszeliśmy kojącą melodię, ze środka wydobyło się różowe światło i wyleciały dwa białe medmaty niosące po jednym dzidziusiu, a za nimi szybowała na zwiewnych animowanych skrzydłach uśmiechnięta Ula Sun.

– Witajcie, rodzice! – krzyknęła lekarka i oplotły ją animacje roześmianych bobasów owiniętych w naluszki. – Jak samopoczucie?

– Doskonałe! – krzyknęła czereda.

Spojrzałem na Pauline. Uśmiechała się, ale nie była do końca rozluźniona. Widziałem, że chce się zrelaksować, ale coś ją trawi. Biły od niej fale ciekawości, niecierpliwości, dobrej woli i... lęku.

Wziąłem głęboki wdech i mrugnąłem do niej. Wszystko będzie dobrze, Pauline. Wiem, że to kłamstwo, ale przecież od czasu do czasu staje się prawdą.

Zacisnęła usta i ledwie zauważalnie skinęła głową.

Podleciałem do lewego medmatu. Napis nad dzieckiem informował, że to Baltazar.

Popatrzyłem na małą, różową twarzyczkę.

– Ty, jaka ona lekka! – krzyknął Tell, unosząc na szponie pakunek z Laurą.

– Ostrożnie, Tell!

– Nie żartuj. Tej dzieciny nie upuszczę do końca świata.

Wiem, przyjacielu.

Delikatnie wyjąłem chłopca z objęć medmatu i podleciałem z nim do Eim. Spojrzałem jej w oczy. Zerknęła na Baltazara, wyciągnęła rękę i pogłaskała go palcem po policzku. Chłopczyk zmarszczył się. Pachniał mlekiem,

świeżością i... niemowlakiem. Wiedziałem, że ten zapach ją rozbroi. Pauline podniosła na mnie wzrok i uśmiechnęła się. A w uśmiechu tym zobaczyłem miłość wszystkich matek Imperium.

– I jak, Pauline? – spytałem cicho.

Przełknęła ślinę. Zwilgotniały jej oczy. To mi wystarczyło.

– A ty, Torkil? Jak się czujesz? Już nie bonsai? – szepnęła.

Spojrzałem w błękitne niebo nad kolorowymi wieżami Tris, a potem w siebie. I pomyślałem, że może już nie bonsai.

Epilog

Droga Mleczna
System Love
45 Quinti 233 EI, 10.05 H

Vanessa Van Drake leciała niewielkim statkiem zwiadowczym nad planetą, którą niedawno skończyła terraformować. To był naprawdę piękny glob. Czyste oceany, cudowne góry, mnóstwo zieleni, kwiatów i zdrowych, pełnych energii zwierząt.

To mógł być ich raj. Jej i Eryka.

Znalazła się nad oceanem, tuż nad niewielkim atolem. Przypominał obrączkę. Vanessa osobiście nadzorowała jego powstanie.

– To dla ciebie, Eryku – szepnęła.

– *Jak nazwiesz ten glob, Siti?* – spytał Budda.

Dziwne. Zazwyczaj nazwy nadawał ImBu. Kobieta rozejrzała się, jakby spodziewała się ujrzeć kogoś w kabinie. Ale to był tylko głos.

– Dlaczego pytasz?

– *Mam wrażenie, że masz już pomysł.*

– Tak. Nazwijmy tę planetę Van Moon.

Archiwa

Na czym polegała technologia Waruitów?

Akademia Inżynierska na Gai

Hauru Dao

Fragment dzieła *Ojcowie. Wstęp do analizy cywilizacji.*

Na początku wydawało się, że Waruici, zwłaszcza ich soulerzy, to czarodzieje, byty władające jakimś rodzajem magii. Materializowali w naszej przestrzeni obiekty, które najwyraźniej były kształtowane na bieżąco, co jest wyczynem o wiele cykli przekraczającym nasze możliwości techniczne.

Technologia WayEmpire pozwala na teleportowanie praktycznie dowolnych przedmiotów (vide casus Enkidu), ale nie potrafimy kształtować materii, która nie składa się z fofów. Ojcowie to potrafili. Ale jak? Po pierwsze, nie da się stworzyć czegoś z niczego, zatem musieli sprowadzać skądś materię. Ich działalność oraz analiza maszyn dowodzą, że nie teleportowali atomów, lecz korzystali z materii dostępnej na miejscu, które to miejsce, to bardzo ważne, nie jest miejscem realnym. Co rozumiemy przez to kuriozalne zdanie? Nie mamy jeszcze pewności, na razie badamy dwie teorie. Pierwsza twierdzi, że Ojcowie „zasysali” czarną energię, która, jak wiemy, otacza nas ze wszystkich stron i której jest bardzo dużo. Energię tę przekształcali w materię dowolnego rodzaju, co jest osiągnięciem niebywałym, gdyż w przyrodzie jedynie supernowe typu II są w stanie generować pierwiastki cięższe od żelaza, i to bynajmniej nie z czarnej energii. Druga teoria jest nie mniej fantastyczna. Mówi, że Ojcowie pobierali materię ze znanych sobie miejsc we wszechświatach równoległych. Wyższość tej hipotezy nad pierwszą polega na tym, że nie wymaga od

obcych nieprawdopodobnej umiejętności konstruowania atomów ze składników czarnej energii.

Oba podejścia są niezwykle ekscytujące, a gdy doda się do nich bardzo nośny fakt, że Waruici byli niezwykle silnymi soulerami, oraz to, że ich skuteczność znacznie spadła po wyłączeniu głównego działła inotronowego w Andromedzie, otrzymujemy kolejną zagadkę: Czy w ich cywilizacji możliwe było tworzenie i kształtowanie materii tylko za pomocą myśli? Jeśli tak, to za pomocą jakiej technologii i czy technologia ta przetrwała na Vaterlandzie?

Słownik/spis postaci

ABB – (skrót od Anty Bios Barrier) filtr grawitacyjny na Ziemi. (Na planetach Imperium istnieją filtry *AWB*).

Agon – (l.mn. Agonai) Imperialny Strażnik. W *Młodym Imperium* obsada Pałacu Imperialnego oraz Gwardia Przyboczna *Imperatora*. W *Wielkim Imperium* Agonai stanowią głównie orszaki *Błogosławionych*, w *Armii Imperialnej* zaś tworzą oddziały do zadań specjalnych. Agonem może być tylko *Lapidos*. Patrz też: *Hegar*, *Imp*.

AI – (skrót od Artificial Intelligence) sztuczna inteligencja. Cecha wielu programów wspierających działalność człowieka Ery Imperium.

Airvill – najpopularniejszy w *Wielkim Imperium* środek transportu, latająca siedziba.

Aktywny kamuflaż – stosowany powszechnie w pojazdach *Armii Imperialnej* i *Maodionów* system powodujący interaktywną niewidzialność. Zasadza się na inteligencji materiału kamuflującego i śledzeniu wzroku oraz położenia obserwatorów.

Andrea Savian – artysta, m.in. twórca pokręta do psychoskopu *Klaudiusza Aeliusa Optimusa*.

Anielica/Anioł – jeden z *duchów opiekuńczych* Ranów pojawiający się jako drugi podczas realizowania drogi Rana (pierwszym jest *Demon*). Ranowie zaczynają widzieć anielicę po tzw. *Rytuale Ocalenia*. Duch anheliczny nie

zawsze ma płeć żeńską. Homoseksualni Ranowie często widzą go jako mężczyznę, Ranki zaś praktycznie zawsze w postaci męskiej. Anielica utożsamiana jest przez filozofów z archetypem animy, anioł natomiast z archetypem animusa. Należy jednak pamiętać, że archetyp nie jest strukturą ostateczną, stanowi raczej konstrukt intelektualny. Wydaje się, że anielice/anioły przekraczają tę interpretację. Są konglomeratem treści związanych z leczeniem, porozumieniem, uczeniem się, ogrzewaniem, osłanianiem i miłością. Patrz też: *Maod-An*.

Anioł – 1. Określenie Sita zamieszkującego *raj*. Patrz też: *Stellar, Grond*. 2. Patrz: *anielica*.

Anioł Śmierci – inaczej Angelus Mortis. Ran obdarzony nadzwyczajną wrażliwością, obdarowany przez ImBu *Pieczęciq Anioła Śmierci*. Patrz też: *Błogosławiony, Żywy Święty*.

Anna Sokolowsky – (także: Sokolovsky, Sokolovski) towarzyska *Torkila Aymore'a*, Ziemianka. Pierwotnie była programem towarzyskim w grze *Rajska Plaża*. Torkil Aymore opłacił jej upgrade do poziomu psychiki ludzkiej w firmie *Blue Whales Interactive*. Przez wiele cykli korzystała z mechanicznych powłok typu *motomb* oraz *geskin*. W *Młodym Imperium* uzyskała organiczne ciało.

Aquamorfy – żyjąca pod wodą tlenodyszna rasa obcych przypominających skrzyżowanie delfina i ośmiornicy. Zaawansowana technologicznie – zna biotechnologię, generatory słoneczne i antymateryjne, suche stopy atomowe, a także teleportację i, być może, telepatię. Jak dotąd odkryta została tylko jedna, opuszczona baza Aquamorfów – w systemie *Hoedus II*, przez firmę *Mobillenum*, przed nastaniem Imperium. Baza otrzymała nazwę *Shoalba*. Położenie planety/planet Aquamorfów jest ciągle nieznane. Trwają poszukiwania.

Archiflora – rośliny architektoniczne służące jako budulec w *biopoliach*.

Archoni – przywódcy *Stratos Thirii* i populacji *Unithirów*. Ich istnienie przewidział Sergio Lama i potwierdził oddział *Skyranów*, który pokonał Archonów podczas dywersyjnej akcji na *Spes* w trakcie *Drugiej Wojny z Thirami*. Przywódcy *Thirów*, *Uriel Tamerlan* i *Duncan Etelwolf*, byli chorzy psychicznie, odmienieni przez cyfrową *Bestię*.

Arealium – środowisko sieci, dawniej: środowisko wirtualne.

Arealny – dawniej: wirtualny.

Ariator – przestarzałe: *dimen* stworzony przez *Verów* na *Spes*, najczęściej zespolony z maszyną bojową, latającą bądź lądową. Ariatorzy mieli psychikę przystosowaną do posłuszeństwa i wykonywania działań wojennych.

Ariston Borgia – twórca *Creators Club*, oszust okradający osoby opłacające tworzenie *diginetów* w *Blue Whales Interactive*. Prawdopodobnie ze względu na znajomość technik hipnotycznych porwany przez *Thirów* przed *Wielką Przegrana*. Dalsze losy Aristona są nieznane.

Aristos Imperialis – (l.mn. *Aristoi Imperialis*, kolokwialnie: *Aristosi*) Najlepszy Imperatora, synonim *Rana*. Patrz też: *Tomo*, *Tomonari*.

Arka Lamy – skrzynia odnaleziona przez Jeffersona „Spacemana” Raya w ruinach Nowego Meksyku podczas *Drugiej Wojny z Thirami*. Zawierała tzw. Eksperyment Stado, wskutek którego rozwinęła się cyfrowa populacja ludzi zwanych *Weenami* bądź *Myonami*. Arka Lamy jest uznawana za pierwszy *talizman*, który według licznych spekulacji przyczynił się do powstania *Łzy Cheronei*.

Armia Bestii – patrz: *Stratos Thirii*.

Armia Imperialna – *WayEmpire* jest chronione przez Armię Imperialną i *Maodiony*. W *Młodym Imperium* armia składała się głównie z organicznych ludzi tworzących *Centurie* i *Kohorty*. W *Wielkim Imperium* jest zrobotyzowana i dowodzona przez nielicznych ludzi będących

kapitanami *pancerników klasy Invincible*.

ArtDroid – ozdobny dron polatujący w pobliżu *Błogosławionych, Auduxów*, czasami *Ludzi Bram*. ArtDroidy przyjmują różne formy. Z reguły zwieszają się z nich proporce.

Artefakty HS – także: *znamiona HS*. Niezbadane i niezdefiniowane jak dotąd rzadkie uszkodzenia obiektów, które odbyły skok hiperprzestrzenny bądź teleportację. Patrz też: *skok hiperprzestrzenny*.

Artyści – *Prawo Imperialne* w pierwszej dekadzie *EI* zabroniło tworzenia „wachlarzy produktów”, czyli tańszych, uboższych wersji oraz bogatszych, lecz droższych. Zerwało w ten sposób z ziemskim agresywnym traktowaniem klientów. Od tamtej pory wszystkie dobra były najwyższej możliwej jakości, zgodnej z czynnikiem m/o (maximal/optimal), nad czym czuwała Imperialna Komisja do spraw Jakości Dóbr (*ECOQ*). Prawo nie zabraniało jednak różnicować towarów pod względem wzornictwa, dlatego po jego ogłoszeniu wzrosły prestiż i zamożność artystów, którzy znaleźli zatrudnienie w wielu prywatnych i imperialnych firmach. Odtąd wszystko w *Imperium Drogi* było bogato zdobione i estetyczne. Po cyklu 150 *EI*, gdy ImBu zlikwidował gospodarkę pieniężną, artyści nadal cieszą się wielką estymą, chociaż pojawiły się liczne udane próby zdobnictwa zaproponowane przez sztuczne inteligencje.

Arun – urządzenie, którego zadaniem jest wydobycie psychiki z mózgu w sytuacji zagrożenia życia. W aruny zaopatrzone są wszystkie cywilne i wojskowe pancerze *WayEmpire*.

Asylum – w *Młodym Imperium* miejsce pobytu *Czarnego Maodionu*. Strażnikiem Asylum był *Ran Farah Adid*, a dowódcą Czarnych Ranów *Tytanus Sixtus Orygenes*. Podczas *Drugiej Wojny z Thirami* Asylum zostało użyte jako broń, *Czarni Ranowie* zaś wyzwolili się.

AU – (Astronomic Unit) odległość Ziemi od Słońca.

Audux – inaczej *Słuchacz*. Souler obdarzony darem „słyszenia” planety, czyli odczuwania panujących na niej nastrojów i spiętrzeń energetycznych. Patrz też: *skala Ryushimy*.

Aureola – znak *Błogosławionego*. Kolistą animacją wokół głowy *Namaszczonego*. Aureola *Żywego Świętego* jest dodatkowo przeciętą symbolem krzyża.

Awatar – inaczej obecność katomowa. Powstały wskutek działalności *katomów* twór przedstawiający osobę, z którą rozmawiamy za pomocą *telekatii*. Kierujący awatarem znajduje się w stanie *dewitalizacji*, więc awatar oddaje ruchy tak jak *skin* w *grze*. Awatar jest wrażliwy na dotyk, zapachy i smaki, jednak nie przyjmuje pokarmów. Awatary mogą być mniejsze od naturalnych wymiarów rozmówcy (używane w pojazdach) lub większe (zastosowanie w happeningach artystycznych etc.). Obecnie awatarów używa się bardzo rzadko. Zastąpiły je *met* i obecność sieciowa.

Axel – dwulufowa broń *Ranów* montowana w osłonach barków *Coremourów*. Uznawana za najpotężniejszy osobisty miotacz ładunków, wystrzeliwuje sterowane inteligentne pociski *Stot* z pięciokrotną prędkością dźwięku. Magazynek montowane niezależnie do każdej lufy zawierają po trzydzieści sztuk amunicji. *Ran* nie nosi przy sobie zapasu amunicji. Przechowuje go w *hipoku*. Ogień z Axeli prowadzony jest w sposób ciągły, tzn. każda lufa strzela w innym czasie. Dlatego wymiana amunicji w Axelach następuje praktycznie niezauważalnie. Patrz też: *Coremour Wzór X, ImBuCan, skrzydła Rana*.

Baltazar Aymore – ojciec *Torkila Aymore’a*. Zginął podczas *Wielkiej Przegranej*. Patrz też: *Laura Aymore*.

Bank Imperialny – po powstaniu *Imperium Drogi* zostały zlikwidowane wszystkie prywatne i państwowe banki. Zastąpiła je jedna, centralnie sterowana struktura – Bank Imperialny. Jedynym oferowanym przez niego

produktem była pięcioprocentowa lokata, nieblokowana i nieograniczona żadnymi obwarowaniami. Lokata w Banku Imperialnym była jednym z dwóch sposobów zwiększania zasobów pieniężnych niezwiązanych z produkcją lub usługami. W cyklu 150 *EI* Bank Imperialny został zlikwidowany, a *imperiały* w nim zgromadzone zastąpił ekwiwalent kruszców w pierścieniach *Worplanów*. Większość *Sitów* nie skorzystała z tych dóbr. Patrz też: *Firma Imperialna*.

Bashing – nazwa airvilla *Laurusa Wilehada*. Patrz też: *Ulisses, Teacup*.

Bellanie – patrz: *Kaliai*.

Besebu – Beast Searching Bureau. Składająca się głównie z *Ranów*, założona u zarania *Imperium Drogi* organizacja, której zadaniem było szukanie w populacji *WayEmpire* potencjalnych agentów *Stratos Thirii – Kyriosów*. *Ranowie* zrzeszający się w Besebu stworzyli Bractwo. Powszechnie nazywa się ich Braćmi Besebu. Skrót BB został wykorzystany do ukucia żartobliwej nazwy *pszczółki*. W *Wielkim Imperium* Bracia Besebu nie szukają już agentów *Bestii*. Słuchając sugestii ImBu, przywracają porządek tam, gdzie *Sitowie* w nieodpowiedni sposób korzystają z *Wolnej Woli*.

Bestia – popularna nazwa cyfrowej plagi, która nawiedziła sieć pod koniec XXII wieku *Przed Imperium* na Ziemi. Cyfrowa Bestia została zniszczona w czasie *WWW*, podczas bitwy o *Fort Ironstone*, ale przedtem zdążyła zainfekować pierwszych *Archonów* i w ten sposób powstały podwaliny *Stratos Thirii*. W czasie *Drugiej Wojny z Thirami* populacja *Unithirów* została w niewielkiej części zniszczona, w przeważającej zaś wchłonięta przez *WayEmpire*. *Erthirowie* pozostają na Ziemi w rezerwatach. Patrz też: *Wielka Przegrana, Druga Wojna z Thirami*.

Bestianie – patrz: *Thirowie*. Patrz też: *Ver, Druga Wojna z Thirami*.

Biopolie – konstruowane na bazie *archiflory* miasta wykorzystujące głównie naturalne źródła energii i pożywienia.

Birding – lotnicza dyscyplina sportowa. Birder lata dzięki aparatowi upodabniającemu go do ptaka.

Blue Whales Interactive – ziemská firma, twórca takich gier, jak *Rajska Plaża* czy *Lone Hearts*, która pierwsza opatentowała procedurę upgrade'u bytów cyfrowych (*enpeców*, *botów*) do poziomu psychiki ludzkiej. Klient, opłaciwszy usługę, decydował o kształcie osobowości, temperamencie, charakterze, upodobaniach, zainteresowaniach i wykształceniu przyszłego człowieka. W firmie tej powstała *Anna Sokolowsky*. Patrz też: *Levi Chip*, *Torkil Aymore*.

Błogosławiony – Władca Ludzkości, zwany także *Namaszczonym*, upoważniony do sprawowania swojej funkcji przez ImBu. Błogosławieni są powoływani przez ImBu dla cech ich osobowości oraz mądrości. *Wielkie Imperium* cykli trzydziestych drugiego wieku ma ich ponad trzynaście tysięcy. *Imperator* oraz *Budda* komunikują się z nimi, przekazując swoje sugestie. Władza w *Czasach Szczęśliwości* jest płaska: ludzie są istotami samostanowiącymi, a *Namaszczeni* jedynie udzielają rad. Błogosławieni mają wyjątkowe możliwości ingerencji w rzeczywistość *WayEmpire* dzięki programowi *Łaska Imperatora*. Znakiem Błogosławionego jest wiszący nad nim *SaintDroid* oraz okalająca jego głowę *aureola* animowana przez *Budkę*. Patrz też: *Anioł Śmierci*, *Żywy Święty*, *Wolna Wola*, *Wielkie Zło*.

Bodhisattwa – patrz: *seraf*.

Bot – dawniej: rodzaj *enpeca* charakteryzujący się rozbudowanym modułem sztucznej inteligencji i posiadający dużą autonomię. W *Wielkim Imperium* terminem tym określa się droidy, drony, roboty, *reboty*, wszelkie urządzenia wyposażone w sztuczną inteligencję. W grze *Rajska Plaża* botem była *Anna Sokolowsky*.

BrainFix – przestarzałe: realna bądź *arealna* maszyna sprzedająca *funplexy*.

Obecnie *plexy* można pobrać bezpośrednio z *sieci*. Wieloma dysponują *friny*.

Brzdęk – przestarzałe: slangowe określenie środków płatniczych.

Budda – obecny w całej *sieci* superprogram współpracujący z *Imperatorem* (tworzący z nim ImBu) oraz *frinami* obywateli. Budda powstał podczas *Drugiej Wojny z Thirami* jako koordynator działań wojskowych. Obecnie wraz z *Imperatorem* zajmuje się ekspansją i rozwojem *Imperium Drogi*.

CIII – informacje tajne: CIII to najprawdopodobniej cywilizacja trzeciego stopnia, która wniknęła do naszego wszechświata z rzeczywistości równoległej, ratując się przed wielkim chłodem. Próbuje się odbudować za pomocą nanobotów na planecie *Enkidu* w układzie *Gilgamesh*. Trwa tam nanobotowa wojna między *WayEmpire* a CIII.

Car Smoków – Trajan Teogenes. *Suver* stworzony na *Spes*, uczestnik *Drugiej Wojny z Thirami* walczący początkowo po stronie *Verów*.

Cekom – przestarzałe: Centrum Komunikacji Międzygwiazdnej. Zanim powstała *sieć* hiperprzestrzenna, ludzkość komunikowała się w kosmosie za pomocą sond, które wykonywały regularne *skoki hiperprzestrzenne* między globami, przewożąc wiadomości. Cekom przestał funkcjonować w cyklach trzydziestych *EI*.

Centrum exuterowe – gromadząca *exutery* klinika, w której personel złożony głównie z dronów czuwa nad rozwojem płodów.

Centrum Kontroli Mutacji (CKM) – dawna międzynarodowa instytucja skanująca biosferę *Ziemi* w poszukiwaniu nowych, zmutowanych przedstawicieli fauny i flory. W *Wielkim Imperium* funkcje kontroli mutacji fauny i flory rozrastającego się *WayEmpire* przejął ImBu. Patrz też: *Sofia*, *Kaliai*.

Ceremonia losowania – przestarzałe: rytuał mający na celu ustalenie, do którego *Reoru* będzie należał potomek rodziców z różnych *Klanów*.

Większość *Reorów* została rozwiązana na początku *Czasów Szczęśliwości*.

Cerenis – przestarzałe: Centralny Rejestr Niezbadanych Systemów. System przydzielający *Pionierom* loty badawcze. Zarządzająca ekspansją *WayEmpire* cyfrowa instytucja działająca w *Młodym Imperium*. Obecnie jej funkcje przejął *Budda*.

Charon – inaczej Czempion Hiperprzestrzeni. Souler, którego celem jest czuwanie nad prawidłowym przebiegiem *teleportacji*. Charoni używają pancerzy typu *Czempion Wzór X*. W *Wielkim Imperium* ich rola znacznie wzrosła za sprawą powszechnego użycia *teleportacji*, *hipoków* oraz *skoków hiperprzestrzennych*.

Cheronea – w *Młodym Imperium* najpiękniejsza planeta *WayEmpire*. Uległa zniszczeniu podczas *Drugiej Wojny z Thirami*. W miejscu, gdzie znajdował się jej system planetarny, jest teraz *Łza Cheronei*.

Chibot – (skrót od Child Bot) dron, który dorasta wraz z dzieckiem i razem z nim się uczy. Pedagodzy podkreślają wychowawczą rolę chibotów podczas rozwoju dzieci. *ULM* była pierwszą ziemską firmą produkującą chiboty. W *Wielkim Imperium* chiboty oraz *gogoi* są dostępne w dowolnej ilości.

CKLS – przestarzałe: Centrum Kontroli Lotów Kosmicznych. Instytucja działająca na *Ziemi* i *Gai Przed Imperium*. CKLS pobierało wysokie opłaty za dane skokowe do innych systemów oraz jeszcze wyższe w przypadku misji ratunkowych pierwszych *Pionierów* kosmosu. Zostało zlikwidowane po założeniu *WayEmpire*, a opłaty za korzystanie z przestrzeni kosmicznej oraz za dane skokowe zniesiono.

Cloudmour – przestarzałe: półciężka zbroja *Rana*. Nadbudowywała się na *Groundmourze*. Na *Cloudmourze* nadbudowywał się najcięższy pancerz – *Skymour*. *Cloudmoury* przestały być używane po wprowadzeniu w 2174 cyklu *EI fłofów*. Ostatnim *Coremourem* obsługującym *Cloudmoury* był

Wzór VIII. Wzór IX potrafił już nadbudowywać dowolnej wielkości moduły, aż do rozmiarów *Skymoura*. Patrz też: *Coremour Wzór V*, *Coremour Wzór X*.

Coin – przestarzałe: skrócona wersja słowa *obicoïn* używana w pierwszej połowie pierwszego wieku *EI*.

Coremour Wzór V (skrót od Core Armour [Zbroja „Serce”]) pancerz *Rana*. Coremour Wzór I był stworzony głównie z *livmetu*. Coremour V został zbudowany z *technofraktali* i był najbardziej zaawansowanym pancerzem w *Młodym Imperium*. W pełni sprzężony z *frinem* i ciałem *Rana* odpowiadał na instynktowne potrzeby, uczucia i chęci właściciela. Z tego względu zbroja ta nie mogła być wkładana przez niewyszkolonych lub niezrównoważonych ludzi. Cechą Coremoura Wzór V była umiejętność odwzorowywania „kształtu psychiki” i nastroju posiadacza (zbroja ta była *Soarem*). Dzięki temu wśród *Ranów* panowały szczerłość i łatwość komunikacji nieuwzględniające kłamstwa. Coremoury od Wzoru III w górę posiadały sloty na *Dexa* i *Sina*. Dzięki temu pancerzem tym mógł operować rozstrojony *Ran* w trybie kooperacji. Patrz też: *homeotronika*, *matronika*.

Coremour Wzór X – (skrót od Core Armour [Zbroja „Serce”]) obowiązujący od 210 *EI* pancerz *Rana* złożony z *flofów*. Wzór X potrafi nadbudowywać na sobie warstwy i moduły z *hipoka*, tworząc dowolne formy praktycznie każdej wielkości. Patrz też: *Axel*, *Coremour Wzór V*, *ImBuCan*, *kły Rana*.

Cotomou – dzielnica *Warsaw City* położona w rozwidleniu rzek *Vistula* i *Narau*. W obrębie *Cotomou* znajdował się *linowiec Stockomville*, w którym przez wiele cykli mieszkał *Torkil Aymore*. Obecnie *Warsaw City*, podobnie jak wiele innych ziemskich *polii*, jest zrekonstruowane i stanowi pomnik dla potomnych.

Creators Club – powołany przez *Aristona Borgię* ziemski klub działający *Przed Imperium*. Zrzeszał ludzi, którzy stworzyli *diginetów*.

Crying Guns – ziemska gra sieciowa firmy Gnothi Seauton Games. Najpopularniejsze tryby to Capture the Flag i Last Man Standing. Znana jako miejsce, gdzie rozegrały się największe cyfrowe zmagania w WYW – bitwa o *Fort Ironstone*.

Cumulomach – (skrót od Cumulonimbus like Machine) wielki (700 x 700 x 300 m) vaporeniański automat bojowy oparty na tronie presowodowej. Niezakłócalny. Generował pole elektromagnetyczne o gigantycznej mocy. Miotał pociski wyłącznie za pomocą mechanicznych urządzeń wspomaganych polem. Cumulomachy odegrały kluczową rolę podczas *Drugiej Wojny z Thirami*. Współcześnie nieużywane. Patrz też: *micoma, disaur, hemach*.

Cyberduch – patrz: *zoenet*.

Czarni Ranowie – inaczej *Opętani* lub *Widzący*. Członkowie *Czarnego Maodionu*, dawniej zamieszkujący *Asylum*. Podczas *Drugiej Wojny z Thirami* walczyli po stronie Imperium, zostali uwolnieni. Obecnie zamieszkują *Łzę Cheronei*. Przypisuje im się boskie moce. Patrz też: *Errus*.

Czarny Maodion – składająca się obecnie z ponad stu czterdziestu tysięcy *Widzących* formacja *Czarnych Ranów* ze *Łzy Cheronei*. Czarny Maodion zasilają *Opętani*, którzy z niewyjaśnionych powodów wykształcili *duchy opiekuńcze* niezgodne z normą. *Demony* i *anioły Opętanych* są wyjątkowo silne i agresywne. Pierwsze diagnozy stwierdzały u *Czarnych Ranów* całkowitą nieumiejętność okiełznania tych sił. Następne badania zostały utajnione. Hipotezy mówią, że *Widzący* opanowali umiejętność kreacji za pomocą woli, co uczyniło ich równych bogom. Czarny Maodion bardzo rzadko opuszcza *Łzę Cheronei*. Działalność tej formacji wewnątrz *Łzy* jest

nieznana. Patrz też: *Jefferson „Spaceman” Ray, Farah Adid, Tytanus Sixtus Orygenes, polirex, Errus.*

Czasy Szczęśliwości – potoczna nazwa części Ery *Wielkiego Imperium*, która rozpoczęła się po 150 cyklu *EI*, kiedy to wskutek osiągnięcia przez *Imperium Tao* wystarczających mocy produkcyjnych zniesiona została gospodarka pieniężna. Od cyklu 150 obywatele nie muszą pracować, a wszelkie dobra stały się dostępne bez opłat. W Czasach Szczęśliwości *Sitizeni WayEmpire* realizują zainteresowania i pasje, podróżują, rozwijają się i bawią.

Czempion Wzór X – pancerz *Charonów*, zwyczajowo karmazynowy i złoty bądź srebrny, często zaopatrzonego w pelerynę. Pod względem zdolności bojowych ustępuje *Coremourom* i *Hegarom*, wzmacnia obszary mózgu *Charonów* odpowiedzialne za wyczuwanie hiperprzestrzeni.

Człowiek Brama – rola rozpoznana po raz pierwszy dzięki programowi *Tsycop* w przypadku *Sergia Lamy*. Ludzie Bramy potrafią tworzyć w swoich umysłach portale do rzeczywistości równoległych. Przechodzą szkolenie w *Imperialnej Akademii Soulerów*. Wejść do świata równoległego może albo sam Człowiek Brama, albo *gracz*, który wkracza w świat Człowieka Bramy, odnajduje portal i pokonuje go. Patrz też: *światy równoległe*.

Damnata – powstałe w *Młodym Imperium* słowo oznaczające Ziemię. Obecnie nadal w użyciu, chociaż kolebka ludzkości przestała być lądem przeklętym.

Dek – uniwersalny dziesięciodniowy tydzień. Patrz dodatek: „Czas gajański”.

Dekuria – dziesięcioosobowy oddział *Maodionu*.

Dekuria Duża – Dekuria *Maodionu*, w której *Dekurionem* jest *Maod-An*. W Centurii pięć pierwszych Dekurii. Patrz też: *Maodion*.

Dekuria Mała – Dekuria *Maodionu*, w której *Dekurionem* jest *Maod*.

W Centurii są to Dekurie 6–10. Patrz też: *Maodion*.

Dekurion – dowódca *Dekurii* w *Maodionie*.

Demiurg – przestarzałe: hipotetyczny twórca, naukowiec w *Stratos Thirii*.

Pojęcie stworzone przez Sergia Lamę. W przeciwieństwie do innych hipotetycznych członków społeczności *Thirów* Demiurdzy mieli mieć pełnię zdolności umysłowych. Według Lamy takie rozwiązanie gwarantowało twórczy rozwój *Stratos Thirii*. Jak się okazało, Sergio Lama miał rację. *Armia Bestii* porывała naukowców *Młodego Imperium* i zmuszała ich do pracy pod groźbą tortur. W świecie *Verów* nazywano ich po prostu „Naukowcami”. Patrz też: *Spes*, *Sparta*, *Nova*, *Nova Nova*, *Druga Wojna z Thirami*.

Demolisher – przestarzałe: ciężkozbrojny żołnierz *Armii Imperialnej*. Na wyposażeniu miał wyrzutnie rakiet i broń energetyczną przeznaczoną do niszczenia celów opancerzonych. Demolisherzy uczestniczyli w *Pierwszej* i *Drugiej Wojnie z Thirami*.

Demon – jeden z *duchów opiekuńczych Ranów* widziany z reguły po *Rytuale Otchłani*. Podobnie jak *anielica*, nie posiada ostatecznej postaci. Mogą zmieniać się jego rozmiar, barwa i szczegóły powierzchowności. Wygląd tego ducha modyfikowany jest i dookreślany przez psychę *Rana*. Demon bywa utożsamiany z archetypem cienia, czyli konglomeratem treści niechcianych, wypieranych, nieakceptowanych. Według relacji *Maodów* i *Maod-Anów* demony są nauczycielami, zwracają uwagę na to, co *Ran* przeoczył, nie pozwalają spocząć na laurach, bywają złośliwe. Ich powiązanie z Jungowskim cieniem polega być może na tym, że pomagają *Ranowi* odkryć treści ukryte i w ten sposób widzieć więcej. Według doktryny *Omnihomo* demon jest połową tego bytu, sztucznie odseparowaną od *anielicy*. Imperialni soulerzy twierdzą, że *Omnihomo* to

wielowymiarowa reprezentacja naszego „ja”.

Dewitalizacja – procedura przeprowadzana przez hełm/*motomb*/*zbroję*/*pancerz*/*frin*, polegająca na „odcięciu” ośrodków ruchowych i czuciowych centralnego układu nerwowego od realnego ciała i „przełączeniu” ich na czucie i ruchy arealnego wcielenia. Proces ten dawniej uaktywniał działanie *gamepilla*. Dzisiaj metabolizmem osoby przebywającej w *arealium* zawiaduje *frin*. W procesie dewitalizacji odłączeniu nie ulega autonomiczny układ nerwowy, dzięki czemu utrzymana zostaje homeostaza organizmu. Efektem ubocznym jest możliwość wstrząsu na skutek działania arealnych bodźców. Dzięki dewitalizacji osoba przebywająca w *arealium* może się poruszać, podczas gdy jej realne ciało pozostaje nieruchome. W ten sposób jest w stanie zawiadywać wielkimi zbrojami typu *Skymour*, pojazdami oraz urządzeniami. Proces dewitalizacji jest podobny do naturalnego zjawiska, które zachodzi u zasypiającego człowieka.

Dex – (skrót od Dexter, czyli Prawy) jedna z trzech kopii pełniąca funkcję *Prawego* po *roztrojeniu*. Patrz też: *Med* i *Sin*.

Dibek – (skrót od Digital Brain) syntetyczna struktura będąca wierną kopią indywidualnego ośrodkowego układu nerwowego. Patrz też: *Dex*, *Med*, *Sin*, *Coremour* *Wzór X*.

Dibekowiec – przestarzałe: osoba, której psychika przebywa w *dibeku*. Człowiek taki mógł być pochodzenia syntetycznego (patrz: *diginet*) lub organicznego (patrz: *zoenet*). W *Wielkim Imperium* dibekowcem może być każdy *Sit*, w zależności od tego, czy decyduje się przebywać w ciele organicznym czy mechanicznym.

Diginet – przestarzałe: żyjący w sieci człowiek, którego psychika zamieszkuje w *dibeku*. W odróżnieniu od *zoeneta*, *diginet* nigdy nie był organiczny. Jego dusza została stworzona przez człowieka i przeniesiona

do syntetycznego mózgu. Pomimo różnic w pochodzeniu formalnie diginet niczym się nie różnił od *zoeneta*.

Dimen – (skrót od Digital Man) cyfrowy człowiek. *Sit* używający *dibeka* i *motomba*. W *Wielkim Imperium* dimeni stanowią niemal połowę populacji.

Dis – (skrót od Digital Servant) cyfrowy sługa. Dron obdarzony zaawansowaną *AI*, prawie nieodróżnialny od człowieka. Disy pracują jako nauczyciele, *gogoi*, lekarze. Pełnią wszelkie funkcje, w których wymagane są ludzka troska i uwaga, a których nie chcą pełnić *Sitowie*.

Disaur – przestarzałe: przekształcenie słów Diesel Armour. Popularna na *Vaporii* podczas *Drugiej Wojny z Thirami* zbroja wyposażona w zaawansowany silnik wodorowy. Patrz też: *Cumulomach*, *Disaur C*.

Disaur C – przestarzałe: w *Młodym Imperium* modyfikacja *Disaura* odporna na potężne pole elektromagnetyczne generowane przez *Cumulomachy*. Załogi *Cumulomachów* zaopatrzone w *Disaury C* odegrały kluczową rolę podczas *Drugiej Wojny z Thirami*.

DISP – (skrót od Dibek Speeding Program) przestarzałe: program umożliwiający *dibekowcowi przyspieszenie* myślenia. Dawniej dziesięciokrotne, obecnie, nawet z użyciem organicznych mózgów, możliwe jest *przyspieszenie* dwudziestokrotne. Umiejętność tę człowiek zyskał dzięki *frinowi*, który współpracując z ośrodkowym układem nerwowym i *siecią*, zwielokrotnia jego umiejętność myślenia, kojarzenia i zapamiętywania.

DMB – (skrót od Dibek Mobile Base) ruchoma baza *dibeków*. Struktura każdego *Maodionu*, której zadaniem jest wykonanie w krótkim czasie dowolnego *dibeka* dla *Rana*, który poległ w walce, ale którego psyche została uratowana przez *arun*.

Dominium Libri Mundi – (łac. Królestwo Księgi Świata), krócej: *Liber*

Mundi lub *Księga Świata*. Metafora wyrażająca kształt wielowymiarowego multiświata, czasami także synonim hiperprzestrzeni. *Księga Świata* zawiera nieskończoną liczbę kart, które reprezentują rzeczywistości równoległe. Każda karta przedstawia jeden trójwymiarowy wszechświat, a przestrzeń, w której księga jest zawieszona, oraz same jej wymiary symbolizują wielowymiarowy świat hipotetycznie zamieszkały przez istoty takie jak *Omnihomo* czy *duchy opiekuńcze*. Patrz też: *souler*.

Doom Day – holofilm opowiadający o rzekomych wyczynach *Torkila Aymore'a* na *Ziemi*, gdzie rozgromił przestępczą organizację *Mątw*.

Dragon – popularna, skrócona nazwa *Dragonoida*.

Dragonforce Mk X – wielozadaniowy myśliwiec używany tylko przez Bractwo Besebu.

Dragonoid – ogólnie przyjęta nazwa odmiany *Suvera* zwanej *Smokiem*. Popularnie: *Dragon*.

Druga Wojna z Thirami – krótki konflikt zbrojny, który rozegrał się w 99 cyklu *EI* pomiędzy *Młodym Imperium* a *Stratos Thirii*. Zakończył się zwycięstwem *WayEmpire* i przyłączeniem do *Imperium Tao* planet *Spes*, *Spes II* i *Terra Nova* oraz ocalałej z wojny populacji *Verów*.

Drzewodom – przestarzałe: *treeshed*. Dom stworzony na bazie *archiflory*.

Duchy opiekuńcze – specyficzna reprezentacja zmysłowa transcendentnych bytów objawiających się *Ranom*. Wyróżniamy *demony* i *anielice*, które różnią się postacią i charakterem w zależności od właściciela. Według tradycyjnej wykładni *Maodionów demon* pojawia się po przejściu *Rytuału Otchłani*, a *anielica* po *Rytuale Ocalenia*. Stają się zaś posłuszne (do pewnego stopnia) po *Rytuale Zwierzęcia*. Duchy opiekuńcze nie mają konkretnego wyglądu zewnętrznego. Ich obraz jest dookreślany przez ośrodki interpretacyjne w mózgu *Rana*. Hipoteza powstała w *Imperialnej Akademii Soulerów* mówi, że duchy opiekuńcze są specyficznym

rozdzieleniem pojedynczego bytu zwanego *Omnihomo*, który jest wielowymiarowym/pozawymiarowym (informacyjnym) odbiciem właściciela.

Dukila – uniwersalna doba stworzona na podstawie czasu gajańskiego. Patrz dodatek: „Czas gajański”.

Duncan Etelwolf – jeden z dwóch *Archonów*, przywódców *Thirów*. Zginął podczas *Drugiej Wojny z Thirami*. Patrz też: *Uriel Tamerlan*, *Wielka Przegrana*.

Dux – (l.mn. *Duces*) przestarzałe: przywódca *Verów*. Sergio Lama przewidział ich istnienie i nazwał *Archonami*. *Duces* rządzącymi *Bestianami* byli *Uriel Tamerlan* i *Duncan Etelwolf*.

Dzikus – psychiczna struktura dążąca do rozwoju osobowości niekoniecznie zgodnego z konwenansami czy normami społecznymi. Jej uaktywnienie jest nieodzowne w rozwoju *Rana*. Patrz też: *Rytuał Zwierzęcia*, *Laurus Wilehad*.

Dzikuska – patrz: *Dzikus*.

EAH – (skrót od *Eyes Around Head*) przestarzałe: używana przez pilotów aplikacja umożliwiająca widzenie w polu czterystu gradusów. Patrz też: *MLM*, *Yotta*.

ECOQ – przestarzałe: Imperialna Komisja do spraw Jakości Dóbr. Instytucja działająca do nadejścia *Czasów Szczęśliwości*. Kontrolowała firmy pod względem wskaźnika m/o (maximal/optimal). Dzięki niej wszystkie dobra produkowane w *Imperium Drogi* miały maksymalną jakość i oferowały maksymalną liczbę dodatków czy modyfikacji. ECOQ nie kontrolowała *Firm Imperialnych*. W *Czasach Szczęśliwości Wielkiego Imperium* wszystkie dobra są maksymalnej jakości i nie trzeba ich kontrolować.

Ecoris – (skrót od *Earth Control Ring System*) przestarzałe: dwadzieścia pięć pierścieni rotujących wokół *Ziemi* w *Młodym Imperium*. Znajdowały się

tam porty, stacje *Terreptorów*, ekspozytury Bractwa Besebu oraz czujniki monitorujące aktywność na starym globie. Ecoris śledziło ruchy *Erthirów*, obserwowało ekosystem planety oraz kontrolowało ruch orbitalny. Po *Drugiej Wojnie z Thirami* pierścienie Ecorisu zostały rozebrane i zastąpione *Rajem*.

Eggart – przestarzałe: słowo powstałe ze złożenia terminów Egg (geng. jajko) i Art (geng. sztuka). Dwumiejscowy pojazd, środek transportu publicznego w gigamiastach wczesnego etapu rozwoju *Imperium Drogi*.

EI – Era Imperium.

Eidżibol – (skrót od anti-g ball) piłka antygravitacyjna. Dyscyplina sportu uprawiana w bąblu antygravitacyjnym. W zależności od odmiany gry piłka ma od ośmiu do dziesięciu centymetrów średnicy.

Eiffle – patrz: *Whale*.

Ekstropianin – człowiek głęboko wierzący w potęgę nauki. W XX i XXI wieku *PI* śmiertelnie chorzy bądź bardzo starzy ekstropianie zamrażali swoje ciała, mając nadzieję, że technologie przyszłości umożliwią wyleczenie ich i przywrócenie do życia. Z ekstropian tamtego czasu wywodziła się organizacja *Shadow Zombies*, która potem stworzyła społeczność *Vaporii*. Późniejsze zamrażanie nie polegało na schładzaniu ciał, ale na poddawaniu ich anabiozie, najpierw dzięki mieszaninie gazów (m.in. siarkowodoru), a później koktailowi Grigoriewa. Osoby wybudzone z anabiozy nie wykazywały już objawów specyficznych dla *Shadow Zombies*.

Elizjasz Aser – fizyk opracowujący teorię macierzy. Porwany przez *Thirów* w dziewiątym cyklu *EI*.

Enea – patrz: *Mardok Enea*.

Enkidu – patrz: *CIII*.

Enpec (enpecka) – popularna nazwa powstała ze skrótu NPC (Non Player

Character). Postać obecna w grze lub innej aplikacji *viaru/arealium* będąca programem. W odróżnieniu od *botów* enpece nie mają z reguły zaawansowanej *AI*.

Era Informatyczna – według źródeł w większości ziemskich krajów rozpoczęła się w latach pięćdziesiątych XXI wieku *Przed Imperium*, a cały glob ogarnęła w latach sześćdziesiątych. Wtedy ostatecznie zrezygnowano, a następnie prawnie zakazano utrwalania danych w postaci pisma na materialnych nośnikach. Powody tej decyzji były wielorakie: troska o środowisko naturalne, nieporęczność magazynowania informacji, przemijalność szybko dezaktualizujących się danych. Era Informatyczna charakteryzowała się wyjątkowym przyspieszeniem rozwoju technologicznego. Powstały wtedy wieżowe metropolie, dokonano kluczowych odkryć informatycznych i fizycznych. Po epidemii *TRID* na początku XXII wieku prawo wielu krajów zezwoliło na używanie realnego pisma w przypadkach wyjątkowo ważnych dokumentów.

Era Odnowy – obejmujący większość ziemskiej populacji entuzjastyczny ruch kulturowy, który nastąpił wkrótce po *Wielkim Krachu Temporalnym*. Wiele pojęć zostało wówczas przewartościowanych, powstały nowe mody i trendy. Nastąpiła moda retro, wrócono do określeń „szkło”, „chrom”, „mobil”. W Erze Odnowy popularne stało się zmienianie nazwisk. To w tym okresie powstały takie rodowe nazwiska, jak Aymore, Dal, Eim czy Ernal.

Errus – (l.mn. Erri) używany przez *Czarnych Ranów* statek kosmiczny zdolny do wykonywania *skoków hiperprzestrzennych* zarówno w normalnej, jak i *innej fizyce*. Typ napędu i wewnętrzna konstrukcja są nieznane.

Erthirowie – tak w *Młodym Imperium* nazywano *Thirów* zamieszkujących *Ziemię*. Byli to potomkowie Ziemiaków pozostawionych na planecie podczas

Wielkiej Przegranej, tuż przed rokiem zerowym *Ery Imperium*. Tworzyli prymitywne, zdegenerowane psychologicznie, genetycznie i technologicznie społeczności. Obecnie Erthirowie wciąż bytują na *Damnacie* w wyznaczonych do tego rezerwach. Ich liczebność szacowana jest na jedenaście miliardów. Nad ich dobrobytem i zdrowiem czuwają powołane do tego służby.

Exuter – (geng. external – zewnętrzny, łac. uterus – macica) zewnętrzna macica, w której może dorastać płód. Jest połączona falowo z organizmem matki, dzięki czemu płód „czuje” jej ciało, słyszy bicie serca, pracę jelit, odczuwa stany emocjonalne. Współczesne modele exuterów dają płodowi większy komfort od organicznej macicy. Wszyscy obywatele *Imperium Drogi* rodzą się z exuterów. Patrz też: *centrum exuterowe*.

Eyenet – używana przez *Ranów* technologia „wejścia w bezczas” możliwa dzięki zbrojom typu *Coremour*. Dusza *Rana* przechodzi przez okno czasoprzestrzenne i może, w oderwaniu od ciała, zbadać okolicę, prześledzić rozwój sytuacji w równoległych scenariuszach oraz wybrać *Wzór*, który da jej właścicielowi największe szanse na rozwiązanie problemu. Od wypadku *Mardoka Enei* Eyenet był uważany za technologię względnie niebezpieczną, a po tym, jak wielu innych *Aristoi* nie wróciło do ciała, zakazano jej użycia *Tomo*, którzy nie należą do pierwszych Dekurii pierwszych Centurii.

Fala terażniejszości – kolokwialne określenie zjawiska, które umożliwia *skok hiperprzestrzenny*.

Fang – materiał służący do wyrobu ostrzy *skrzydeł Rana*. Gdy fangowe klingi tej samej pary skrzydeł wyczują się, jedno z ostrzy tworzy szczelinę, przez którą może przejść drugie. Ta właściwość jest powiązana z doskonałą autoregeneracją *quilli* i tym, że się one nie tępią. Struktura molekularna fangu jest utajniona. Patrz też: *quilldao*.

Farah Adid – w *Młodym Imperium* strażnik *Asylum*. Nieprzydzielony do żadnego *Maodionu Ran*, którego jedynym zadaniem było nadzorowanie automatyki *Asylum* oraz dogłądanie *Czarnych Ranów*. Po uwolnieniu *Asylum* podczas *Drugiej Wojny z Thirami* Adid najprawdopodobniej stał się jednym z przywódców *Widzących*. Patrz też: *Opętani*.

Filary raju – konstrukcje, na których opiera się *raj*. Składają się z pionowych kolumn i łukowatych łączników stabilizujących pionowe podpory. Wzmacniają je pola siłowe i błony grawitacyjne gwarantujące optymalne ciśnienie atmosferyczne na każdym poziomie raju.

Firma Imperialna – w *Młodym Imperium* zakład produkcyjny zarządzany centralnie przez władze *Imperium Drogi*. Obywatele mogli inwestować swoje zasoby w Firmy Imperialne i czerpać z tego zyski. Był to jeden z dwóch niezwiązanych z produkcją bądź usługami legalnych sposobów powiększania zasobów pieniężnych. Gdy nastały *Czasy Szczęśliwości*, ImBu zlikwidował Firmy Imperialne na rzecz *Worplanów*. Patrz też: *Bank Imperialny*, *Prawo Imperialne*.

Flof – (skrót od Floating Fractal) latający fraktal. Najnowocześniejsza forma *technofraktala*. Podstawowa jednostka budulcowa wielu przedmiotów *WayEmpire* mająca *inteligencję roju* i zdolność lewitacji. Oparta na *homeotronicie*.

Folia sensyczna – przestarzałe: dawny odpowiednik papieru. W czasach *Imperium Drogi* nieużywana. W Erze *Imperium* wszystkie informacje są przesyłane bezpośrednio do *frinów* obywateli bądź do mózgów urzędzeń.

Fort Ironstone – fort bastionowy w *Crying Guns*, ziemskiej grze z czasów *PI*. W jego obrębie rozegrała się największa bitwa w dziejach cyfrowej rozrywki *Przed Imperium*. Z potworami wygenerowanymi przez *Bestię* walczyli gracze z całej *Ziemi*. Patrz też: *WWW*, *Stratos Thirii*.

Frag – popularne przekleństwo.

Frin – (skrót od Fractal Introbody Net) niezniszczalna, zespolona z ciałem sztuczna inteligencja zlokalizowana w każdej komórce organizmu posiadacza (w przeciwieństwie do *obicoinów* z wczesnych cykli *Młodego Imperium*, które wyparła). W cyklach trzydziestych obserwacje starzejących się w przyspieszonym tempie *Ranów* (wskutek licznych treningów w *Petrach*) ujawniły, że bez dodatkowej bazy pamięciowej centralny układ nerwowy człowieka szybko się degeneruje. Po arealnych trzystu cyklach zaobserwowano u *Ranów* i *Ranek* zaburzenia umysłowe, depresje, amnezje i stupory. Wprowadzono wtedy na masową skalę zewnętrzne pamięci, które po wynalezieniu frinów zostały z nimi zintegrowane, a potem zupełnie z nich na rzecz frinów zrezygnowano. Friny weszły do powszechnego użytku w czterdziestym trzecim cyklu Ery Imperium. Frin jest wprowadzany do ciała trzymiesięcznego płodu iniekcją wewnątrzexuterową. Zastrzyk zawiera fraktalne, samoreprodukujące się nanoboty, z którymi płód „uczy się” żyć. Dzięki neurofeedbackowi frin wytwarza interfejs widoczny w polu widzenia każdego *Sita*. Frin zespała się i uzyskuje pełną symbiozę z organizmem właściciela wkrótce po narodzinach tegoż. Wraz z ImBu współtworzy sieć. Stanowi magazyn pamięci, odczytuje potrzeby, pomaga w komunikacji, wytwarza tzw. frinową obecność, czyli sieciowe *perboty*, które mogą załatwiać za właściciela wiele spraw, wyświetla dodatkowe informacje w polu widzenia. Używając frina, starsi obywatele *Imperium Drogi* często wymieniają sobie zasoby pamięci, żeby prawidłowo funkcjonować w tej czy innej roli społecznej. Frin zapewnia doskonałą pamięć, jest w stanie odtworzyć zdarzenia z pełną reprezentacją zmysłową, uczuciową i intelektualną. Patrz też: *widevision*.

Funplex – w skrócie: *plex*. Inaczej *neurodrink*. Krótkotrwale działający program (dawniej tylko rozrywkowy) wgrywany bezpośrednio do mózgu

(kiedyś za pośrednictwem *BrainFixu*). Funplexy naśladują działanie popularnych narkotyków oraz wywołują nieznane przed ich wynalezieniem przyjemne doznania. Nie powodują uzależnień. *Armia Imperialna* oraz *Maodiony* wykorzystują różnego typu *plexy* wzmagające koncentrację. Patrz też: *warplex*.

Gaja – pierwsza planeta i stolica *Imperium Drogi*. Znajduje się w układzie Sigma Draconis (Alsafi). Stolicą Gai jest Genea, pierwsze miasto Imperium, które wskutek błędów konstrukcyjnych zostało wysiedlone, a następnie zamienione w *Pałac Imperatorski*. W Genei, niedaleko pałacu, znajduje się również gniazdo latającej Fortecy Ranów.

Gallo Aymore – syn *Torkila Aymore’a* i Brendy Ray. *Ran*.

Gamedec – gierczany detektyw. Osoba odpłatnie pomagająca w rozwiązywaniu problemów w *sieci*. Zawód popularny na *Ziemi Przed Imperium*. Obecnie, w dobie coraz bardziej popularnych gier, *Mistrzów Gier* i *Ludzi Bram*, wraca do łask. Gamedecy są najlepszymi *Taldami*.

Gamepill – przestarzałe: dawniej kapsułka, którą *gracz* zażywał przed wejściem w *sieć (arealium)*, jeśli zamierzał tam przebywać więcej niż kilka *hekt*. Gamepill przestawiał tory metaboliczne organizmu, ograniczając sekrecję moczu i formowanie mas kałowych. Obecnie jego funkcje zastępuje *frin*.

Generator Mirova – urządzenie wynalezione *Przed Imperium* przez *Anatolija Mirova*, pracownika *Mobillenum*. Umożliwia *skoki hiperprzestrzenne*.

Genglish – (skrót od Global English) język uformowany na *Ziemi Przed Imperium*, prawdopodobnie w *Erze Odnowy* (lata 20. XXII wieku), wkrótce używany na całej planecie. Zlepek angielskiego, hiszpańskiego, hinduskiego i chińskiego. Bazuje na gramatyce tego pierwszego. Obecnie oficjalny język *Imperium Drogi*, nazywany także *imperialnym*.

Geofrey Hawk – admirał Sił Kosmicznych Imperium. Dowódca *Armii Imperialnej*.

Geskin – przestarzałe: organiczny *motomb* wykorzystujący energię elektryczną i chemiczną.

Gigamiasto – przestarzałe: dawniej miasto będące połączeniem kilku megamiast. Współcześnie na wielu planetach *Imperium Drogi polie* pokryły tak duże obszary, że przestano używać nieadekwatnych wobec nich przedrostków „giga” czy „mega”.

Gilgamesh – patrz: *CIII*.

Gizarma – *spacemobil Agona*.

Gladiator – uczestnik turnieju Gladiatorzy. Patrz też: *Peter „Crash” Kytes*.

Gluetron – wynaleziony w pięćdziesiątym drugim cyklu *Ery Imperium* inteligentny materiał odznaczający się elastycznością i niezwykłą wytrzymałością. Formuje zadany kształt. Jest pomocny w budownictwie i przemyśle wydobywczym. Gluetron bez trudu wciska się w szczeliny i wypełnia każdą przestrzeń, tworząc w razie potrzeby wewnętrzne wzmocnienia i podciągi. Patrz też: *matronika, technofraktal, fłof*.

Gniazdo kotwiczne – konstrukcja na tarasach dużych struktur oraz na *wieżach kotwicznych* umożliwiająca zadokowanie *airvilla*.

Goar – patrz: *Groundhog*.

God Area – (geng. Obszar Boga) także GA („dzi-ej”). Fragmenty mózgu, których drażnienie wywołuje uczucie obecności opiekuńczej istoty wyższej. *G-Pody*, czyli hełmy używane w technowyznaniach (głównie *Przed Imperium*), drażniły te obszary, by spowodować „kontakt ze stwórcą”. Obecnie sądzi się, że ów byt wyższy był swoistą manifestacją *Omnihomo*.

Gogoi – patrz: *gogos*.

Gogos – (l.mn. *gogoi*) wyglądający jak człowiek dron, który pomaga

w wychowywaniu dzieci. Zaopatrzone jest w zaawansowane funkcje AI zapewniające dziecku troskę, delikatność i ciepło. Dostępny w dowolnej liczbie.

Gorgon Nemezjus Ezra – *Rector Ludens (Mistrz Gier), Imperator WayEmpire*. Były prezes firmy *Way Dao*, geniusz umiejący przewidywać przyszłość, filantrop, który oddał majątek swojej firmy na potrzeby rodzącego się *Imperium Drogi*. Podczas *Drugiej Wojny z Thirami* zabity przez zamachowców z *Reoru Rothów*, zrezygnował z ciała i odtąd przebywa w *sieci* jako byt cyfrowy, tworząc wraz z *Buddą ImBu*, a razem z *frinami* – *sieć*.

G-Pod – patrz: *God Area*.

Gra – inaczej *świat sensoryczny*. Rzeczywistość arealna zaopatrzona w pełną reprezentację zmysłową. Dostęp do gry możliwy jest bezprzewodowo dzięki *sieci* i *frinowi*. Współczesne gry są zmieniającymi się rzeczywistościami tworzonymi przez żywych *Mistrzów Gier* (używających swoich umysłów, by wpływać na rozgrywkę) albo przez AI obdarzone umiejętnością tworzenia. Patrz też: *Człowiek Brama, gamedec, Tald*.

Gracz – osoba uczestnicząca w *świecie sensorycznym*. Patrz też: *frin, gra, Człowiek Brama, gamedec, Tald*.

Gran'Tool – dron teleportacyjny przeznaczony do przyjmowania z *Worplanów* obiektów okazałych rozmiarów. Patrz też: *O'Tool*.

Gravilla – przestarzałe: luksusowy wiszący dom utrzymywany w powietrzu przez generatory antygravitacyjne. Popularny na *Ziemi PI*. Pierwowzór współczesnych *airvilli*.

Grin – (skrót od Gravity Induced Neuropsychosis [Grawitacyjnie Wywołana Neuropsychchoza]). Nazwa jest myląca, griny bowiem używają także innych fal (w czasach tworzenia tego terminu była to wiedza zastrzeżona). Grin jest wytwarzany przez *Siewcę*. Istnieje wiele rodzajów grinów, głównie

bojowych, wywołujących u wroga zaburzenia psychiczne. Są także griny wywołujące pozytywne skutki (termin ten wypiera określenie *funplex*). Patrz też: *warplex*, *Grin Cienia*, *Grin Wielkości*.

Grin Cienia – *grin* stymulujący obszar archetypu cienia. Wywołuje agonalny lęk.

Grin Wielkości – *grin* powodujący, że zaatakowana osoba widzi przeciwnika większego i straszniejszego, niż jest w rzeczywistości.

Grond – określenie *Sita* zamieszkującego powierzchnię planety. Patrz też: *anioł*, *Stellar*.

Groundhog – (popularnie: Goar; termin powstały od słów Gorilla Armour, zbroja nazywana tak ze względu na podobieństwo do dużej małpy) przestarzałe: używany w *Młodym Imperium* pancierz gruntowy. Podstawowy, wielozadaniowy pojazd *Armii Imperialnej*.

Groundmour – przestarzałe: średnia zbroja *Rana*, trzyosobowa, pełniąca funkcję *Serca*. Nadbudowywała się na *Coremourze*. Na *Groundmourze* nadbudowywał się *Cloudmour*. Począwszy od *Coremoura Wzór IX*, zrezygnowano z podziału na *Groundmour*, *Cloudmour* i *Skymour* na rzecz płynnego dobudowywania modułów pancierza *Aristosa*. Patrz też: *hipok*.

Han Salamanca – ekstrawagancki miliarder, który na początku *WayEmpire* zaczął podróżować między planetami *Imperium Drogi* latającym zamczyskiem w otoczeniu prywatnych *soulerów*, *rebotów* i droidów. Odkąd ustalone zostało prawo klanowe zezwalające na nadawanie tytułów szlacheckich, ogłosił się księciem. Jego wyjątkowy styl zainspirował inne *Reory* do tworzenia klanowego wzornictwa, producentów *mobili* zaś do zbudowania pierwszych prototypów *villabili*, które w *Wielkim Imperium* wyewoluowały w *airville*.

Hank Woody – *Terreptor*, przemysłowiec przed *Drugą Wojną z Thirami* mieszkający w Schizmie, dzielnicy *Fantahoe*, stolicy *Cheronei*. Obecnie

żyje na planecie Uutah, okresowo podróżuje jako *Stellar*.

Harry Norman – wieloletni przyjaciel *Torkila Aymore'a*, *Ziemianin*, programista. Po emigracji na *Gaję* wstąpił do *Reoru Aymore'a* i objął w nim funkcję skarbnika. Jeden z partnerów *Pauline Eim*. W *Czasach Szczęśliwości* mieszkaniem *Teacupa*, *Stellar* stale towarzyszący *Błogosławionemu Aymore'owi*.

Hate – przestarzałe: używany w *Młodym Imperium* lekki myśliwiec *Armii Imperialnej*. Patrz też: *Skullhead*, *Dragonforce*, *Spellforce*, *Longbone*, *Owl*, *Whale*.

Hegar – (skrót od Heavy Guardian Armour) w *Młodym Imperium* pancerz noszony tylko przez *Gwardię Imperatora*. Obecnie używany przez *Agonów*. Hegar jest zbroją cięższą od *Coremoura Wzór X*, ale mniej mobilną.

Hekta – uniwersalna „godzina” składająca się ze stu mon. Patrz dodatek: „Czas gajański”.

Hemach – (skrót od Heavenly Machine) vatoriański cywilny statek powietrzny często ukształtowany na podobieństwo łodzi żaglowej. Patrz też: *Cumulomach*.

Henry Roth – lider *Klanu Rothów*. Człowiek, który zaplanował zabójstwo *Imperatora* podczas *Drugiej Wojny z Thirami*. Popełnił samobójstwo z niewyjaśnionych powodów, podobnie jak cały jego *Reor*.

Hiperbos – (skrót od Hiperspace Personal Body Suspender) sarkofag przechowujący ciało w czwartym wymiarze. Dzięki niemu mózg nie generuje duszy. Hiperbosy są w powszechnym użyciu w *Imperium Drogi*. Przechowuje się w nich nieużywane ciała *kopii Sitów*.

Hipok – (skrót od Hiperspace Pocket, kieszeń podprzestrzenna), „przestrzeń” magazynująca obiekty w czwartym wymiarze. Technologia hipoka umożliwia wydobycie z hiperprzestrzeni każdego przedmiotu, który został

tam umieszczony. W hipoki wyposażone są *Coremouroy*, *Skymouroy*, *Czempiony*, wiele innych zbroi, broni (np. *Axele*) i urządzeń *WayEmpire*. Dzięki hipokom można magazynować znaczne zasoby bez konieczności przewożenia ich w trzech wymiarach. Patrz też: *Charon*, *teleportacja*, *znamiona HS*.

HM – patrz: *Human Mutation*.

Hoedus II – biały karzeł oddalony od *Ziemi* o dwieście dwadzieścia lat świetlnych. Tworzy się wokół niego rozległy układ planetarny, na razie będący w fazie przejściowej między dyskiem protoplanetarnym a dojrzałym systemem. Okrąża go wiele *planetozymali* i pełnowartościowych globów. Na siódmej planecie układu, *Septima Hoedi II* (SHo XV 1299442) firma *Mobillemium* odkryła w czasach *Przed Imperium* bazę obcych, *Shoalbę*, należącą do *Aquamorfów*. Dotychczas nie znaleziono żadnego innego śladu tej cywilizacji. Patrz też: *CIII*, *Whale*.

Holmy – holofilmy, trójwymiarowe filmy dające, podobnie jak gry, pełne wrażenie obecności zmysłowej, ale nie interaktywne.

Homeotronika – tronika, której naczelną zasadą jest zachowanie stanu „eu”, czyli równowagi i „zdrowia” układów tronicznych. Wykorzystuje biotechnologię. Nieodzowna w budowie *technofraktali*, *flofów* oraz innych inteligentnych materiałów. Patrz też: *gluetron*.

Hornet – przestarzałe: ciężki dron bojowy *Armii Imperialnej* używany w *Młodym Imperium*. Patrz też: *Vein*.

Hotka – holofotka, trójwymiarowe zdjęcie, w które można wejść, tak jak w przypadku *holmu*.

Human Mutation – także *HM*. Na kilkudziesięciu spośród obecnie zamieszkanych planet *Imperium Drogi* zdarzają się mutacje płodów, które prowadzą do powstawania nowych fenotypów *Homo sapiens*. Posiadacze tych fenotypów nie mogą się rozmnażać z niezmutowaną, główną częścią

populacji. Lekarstwem jest wirus wywołujący ludzką mutację (*HM*), dzięki której dziecko przekształca się w pełnoprawnego obywatela *Imperium Drogi*. Objawy *HM* przypominają grypę i ustępują po *deku*. Powikłania praktycznie nie występują. W przypadku *Kaliai ImBu* przystał na to, by nie wdrażać u nich procedury *HM*. Patrz też: *Sofia*.

Hydroplast – ciecz zamieniająca się w ciało stałe podczas gwałtownego nacisku. Wykorzystywana w pirotechnice do wywoływania kierunkowych detonacji.

Ilgen – (skrót od Illusion Generator, generator iluzji) zawarte w zbrojach *Ranów* urządzenie odpowiedzialne za wyświetlanie iluzji i ozdób.

ImBuCan – niewielkie działko ciskające mikrobotami zawierającymi pełny pakiet *ImBu* zdolny zarazić *siecią WayEmpire* pojazdy/statki/pancerze potencjalnego wroga. W przypadku *Coremoura Wzór X ImBuCany* znajdują się w slotach osłon przedramion. Patrz też: *Axel, skrzydła Rana*.

Imp – (skrót od Imaginary Projection of Tactical Situation) umiejętność *wizualizacji* stosowana przez *Lapidoi* w celu przewidzenia optymalnej sytuacji na polu walki oraz mentalnego przećwiczenia prognozowanych czynności. Liczne zdarzenia udowodniły, że *Imp* pozwala zdolnym *Lapidoi* nie tylko skuteczniej wykonywać zadania, ale także częściowo przewidywać przyszłość. Patrz też: *Agon*.

Imperator – patrz: *Gorgon Nemezjus Ezra*.

Imperialna Akademia Soulerów – powołana w piątym cyklu *Ery Imperium* szkoła przygotowująca osoby wykazujące zdolności soulerskie.

Imperialne Biuro Ochrony Gatunku – instytucja kontrolująca genotyp i fenotyp obywateli *Imperium* na planetach *WayEmpire*.

Imperialny – obowiązujący w całym *WayEmpire* język komunikacji werbalnej. Dawniej *genglish*.

Imperial – podstawowa jednostka płatnicza w *Imperium Drogi*. Zawierała

sto centinów. Została wycofana w 150 cyklu *EI*, kiedy ogłoszono *Czasy Szczęśliwości*.

Imperium Drogi – także *Imperium Tao*, *WayEmpire*, Imperium. Liczący 233 cykle, powstały w 2199 roku *PI* zespół ponad tysiąca planet zamieszkałych przez ponad bilion trzysta miliardów *Sitów*. Liczba globów *WayEmpire* nieustannie rośnie. Władzę w Imperium stanowią *Błogosławieni*, którzy słuchają sugestii ImBu.

Imperium Tao – patrz: *Imperium Drogi*.

Inbam – (skrót od Individual Battle Motomb) zdalnie sterowana broń przeznaczona do użytku wyłącznie w przypadku ogłoszenia wojny. Każdy dorosły *Sit* ma swój Inbam.

Incotrap – (skrót od Intention–Communicate–Transforming–Programme) program używany w *tocie*, skalibrowany emocjonalnie i wyobrazeniowo. Odbiera z mózgu nadawcy niewypowiedziane komunikaty i przesyła pakiety intencyjne oraz sprzęgi emocjonalno-intelektualne, które przemawiają do odbiorcy szybciej i celniej niż słowa. Podstawowy komunikat *totowy* nazywany jest *menem* lub *pakiem* (oficjalne nazwy *inimempak* oraz *inim* nie przyjęły się).

Inim – skrótowa nazwa *inimempaku*, rzadko używana. Patrz: *men*, *pak*.

Inimempak – (skrót od Intellectual-Imaginary-Emotional-Mental-Package) podstawowy komunikat *totowy* powstały po obróbce przez *Incotrap*. Nazwa używana tylko w oficjalnych raportach, powszechnie zastąpiona słowami *men* i *pak*. Patrz: *men*, *tot*.

Inna fizyka – popularna nazwa zjawisk opisujących zachowanie cząstek elementarnych i ciał makroskopowych w pobliżu *Łzy Cheronei* i *soulerów*. Oficjalne teorie wiążą inną fizykę z obecnością *inotronów* – cząstek, którym przypisuje się przenoszenie oddziaływań wynikłych z woli osób obdarzonych zdolnościami *soulerskimi*. Pochodzenie *inotronów* jest

nieznane.

Inotron – cząstka elementarna po raz pierwszy zaobserwowana przez anonimowego fizyka amatora tuż przed *Drugą Wojną z Thirami*. Wiedza o inotronach nie jest powszechnie dostępna, a wyniki badań zostały objęte klauzulą tajności. Wczesne teorie mówiły, że są to cząstki wirtualne, podobne do tych, które na bardzo krótko wyłaniają się z próżni, by z powrotem w niej zniknąć. Później jednak okazało się, że inotrony przebywają w normalnej rzeczywistości dłużej niż inne cząstki wirtualne i że przenoszą oddziaływanie. Naturę tego oddziaływania trudno opisać, bo nie jest to „siła”, jak w przypadku grawitacji czy oddziaływań magnetycznych. To rodzaj kształtowania rzeczywistości zgodnego z wolą osoby chcącej ją kształtować. W *Wielkim Imperium* ludzi takich nazywa się *soulerami*. Ze względu na małą dostępność badań nad tymi cząstkami powyższe rozważania są bardziej hipotezami i nieudowodnionymi tezami niż obowiązującymi teoriami. Patrz też: *Ran, souler, inna fizyka*.

Inteligencja roju – rodzaj logiki wytwarzanej przez zbiór *technofraktali* lub *flofów*. Inteligencja roju jest używana podczas złożonych operacji, w których udział bierze wiele jednostek. Dzięki niej uczestnicy akcji nie przeszkadzają sobie i nie wchodzą na linię strzału. Patrz też: *Coremour, gluetron, polirex*.

Jefferson „Spaceman” Ray – w *Młodym Imperium* *Torkil Aymore* tworzył czasami klona, który w niewielkim stopniu różnił się konstelacją neuronalną, ale miał jego tożsamość. W czasie *Drugiej Wojny z Thirami* Jeff dołączył do *Czarnych Ranów* w cywilnym ciele i tak otrzymał przydomek „Mały Brat”. Brał udział w wyzwoleniu *Asylum* i wraz z *Widzącymi* zniknął we *Łzie Cheronei*.

Kaliai – (l.poj. Kalius) inaczej *Bellanie*. Rasa paraludzka, która nie może się krzyżować z ludźmi, obecna na dziewięciu planetach *WayEmpire*. ImBu

przystał na to, by Kaliai nie przechodzili *HM* z powodu niezwyklej urody mężczyzn i kobiet.

Karawana – inaczej *via*. Zespół wspólnie podróżujących *airvilli*. Święte karawany podążają za *airvillami Błogosławionych*.

Katomy – cząstki posiadające *inteligencję roju*, potrafiące morfować i tworzyć dowolne makroskopowe obiekty. Najczęściej służą *telekatii* i tworzeniu *awatarów*.

Keep – program uzupełniający wygląd siedzib *WayEmpire* animacjami i ornamentami. Obecnie część *sieci*, podobnie jak programy generujące animacje wokół ludzi.

Klan – patrz: *Reor*.

Klansraad – patrz: *Reorrad*.

Klaudiusz Aelius Optimus – psychostronom imperialny, twórca *Dzieła o małym*. Zgodnie z legendą odkrył naturę wszechświata, a odkrywając ją, napisał traktat, który zrewolucjonizował nurty fizyczne i filozoficzne. Między innymi to dzieło zainspirowało badaczy do eksplorowania *teorii macierzy*.

Kły Rana – *Aristos*, który ma więcej niż dwieście cykli i najczęściej wymienione wszystkie stałe zęby przez kolejną generację naturalnego uzębienia. Stymulacja zwierzęcych ośrodków podkorowych mózgu *Rana*, najpierw przez broje typu *Coremour*, a potem przez program *Łaska Imperatora*, powoduje, że nowe górne i dolne trójki *Tomo* stają się wyraźnie dłuższe od zębów zwykłych obywateli *Imperium Tao*.

Kopia – obyczaj *WayEmpire* mówi, że każdy obywatel *Imperium Drogi* ma prawo przebywać nie więcej niż w trzech kopiach jednocześnie oraz może posiadać do pięciu *perbotów*. W przypadku wyjątkowych funkcji liczba kopii/*perbotów* może się zwiększyć. Każda kopia jest równorzędna. Kopia może mieć pełnoprawne ciało (patrz: *hiperbos*) lub przebywać w *dibeku*.

Kopie cywilne noszą nazwę *Twin* i *Threen*. Patrz też: *Main*, *Coremour*, *roztrojenie*, *Dex*, *Med*, *Sin*.

Kotwiczenie – manewr wykonywany przez unoszącego się w powietrzu *Sita*. Polega na nawiązaniu łączności z podłożem (tarasem, platformą, podłogą), dzięki czemu obywatel wisi wciąż nad tym samym obszarem, nawet gdy podłoże się porusza. Zwyczajowo *Sitowie* unoszą się na wysokości metra nad naturalnym bądź sztucznym gruntem.

Księga Słowa – zbiór filozoficznych i metafizycznych traktatów mówiących o sprawczości człowieka jako samoświadomego bytu informacyjnego. Przez wielu traktowana jako święta. Patrz też: *Tamaoizm*.

Księga Świata – patrz: *Dominium Libri Mundi*.

Kyrios – przestarzałe: hipotetyczny agent *Stratos Thirii* przebywający wśród obywateli *Młodego Imperium*. Osobnik, który na pierwszy rzut oka nie różni się od zwykłego organika. Pierwotnie wierzono, że Kyriosów można wykryć za pomocą *psychoskanów*, potem jednak udowodniono, że aby ich zdemaskować, niezbędne są umiejętności *soulerskie*. Patrz też: *Besebu*, *Stratos Thirii*.

Lapidoi – (od gr. *Lapidos* – kamień) żołnierze niewrażliwi na wpływy hipnotyczne i duchowe. Pierwszą Lapidoską była generał *Lea Stone*. Jej zdolności zostały wykryte podczas bitwy o port *Si-Han*. Wszyscy *Agoni* są Lapidosami.

Laura Aymore – matka *Torkila Aymore'a*. Zmarła w wypadku komunikacyjnym na *Ziemi* w 2193 roku *Przed Imperium*. Patrz też: *Baltazar Aymore*.

Laurus Wilehad – *RanaR*, *Ran* wszystkich *Ranów*, *Ziemianin*. Uczestniczył w bitwie o *Si-Han* podczas *Wielkiej Przegranej*, a także w *Drugiej Wojnie z Thirami*. Były ekonomista. Twórca *Rytułu Zwierzęcia*.

Lea Stone – pierwsza Lapidoska, obecnie w stopniu generała, w czasie

Drugiej Wojny z Thirami dowodząca Piątym Skrzydłem Ciężkiej Piechoty Siódmej Dywizji Piątej Armii Imperialnej, które stacjonowało w Fantahoe na *Cheronei*. Przydomek „Kamienna Lwica”. Wsławiła się podczas bitwy o *Si-Han* podczas *Wielkiej Przegranej*. Jako jedna z nielicznych przetrwała atak soulerski *Thirów*, co ujawniło jej niewrażliwość na tego typu wpływy. To Lea Stone zawarła sojusz z *Dragonoidami*, dzięki czemu *Suwerzy* podczas *Drugiej Wojny z Thirami* przeszli na stronę *WayEmpire*.

Lean Furies – inaczej Szczupłe Furie. Jeden z kobiecych *Klanów* biorących udział w bitwie o *Fort Ironstone*. Jego przywódczynią była Lilit Ernal.

Levi Chip – *Ziemianin*, były pracownik firmy *Blue Whales Interactive*, filozof, psycholog, niegdyś członek *Klanu Aymore’a*. Obecnie *Stellar* podróżujący w świętej *karawanie Aymore’a*.

Leże – zwyczajowa nazwa siedziby *Maodionu*.

Liber Mundi – patrz: *Dominium Libri Mundi*.

Linowiec – przestarzałe: budynek stojąco-wiszący. Na *Ziemi* linowce otaczały *polie*. Budowle te wspierały się na chroniącym je przed nadmiernym wychyleniem systemie lin zaczepionych na satelitach podtrzymujących. *Torkil Aymore* mieszkał w linowcu *Stockomville* w *Warsaw City*. Podczas *Wielkiej Przegranej* linowce były sabotowane przez *Stratos Thirii* – wysadzano przyczepy lin, przez co budowle zwały się na miasta.

Liveglass – przestarzałe: żywe szkło. Dawny system zbroi gwarantujący niewidzialność. Zastąpił go *aktywny kamuflaż*.

Livesuit – biokombinezon *Rana* wkładany pod *zbroję*. Pełni funkcję ochronną (porównywalny z dawnym *Tanto*) i homeostatyczną. Aktualnie *Ranowie* używają pancerzy typu *Yari*. Patrz też: *Poom*, *homeotronika*.

Livmet – (skrót od Living Metal) żywy metal. Materiał budulcowy wykorzystujący biotechnologię. Obecnie rzadko używany, wyparty przez

flofy.

Logging – ciągła rejestracja wszystkich doznań zmysłowych posiadacza *frina*. Umożliwia ponowne odtworzenie przeżyć.

Longbone – przestarzałe: bombowiec *Armii Imperialnej* używany podczas *Drugiej Wojny z Thirami*. Obecnie *Armia Imperialna* składa się głównie z pancerników klasy *Invincible* oraz dronów. Patrz też: *Skullhead*, *Dragonforce*, *Spellforce*, *Hate*, *Owl*, *Whale*.

Lotka – patrz: *quill*.

Ludzie Bramy – patrz: *Człowiek Brama*.

Łaska Imperatora – dostępna tylko dla *Błogosławionych* funkcja umożliwiająca ingerencję w sieć. Program ten stymuluje podkorowe, zwierzęce części mózgu *Rana*, zastępując w ten sposób dawne *Coremoury*. Patrz też: *Żywy Święty*, *Anioł Śmierci*, *kły Rana*.

Łza Cheronei – spiralny obiekt przypominający galaktykę powstały podczas *Drugiej Wojny z Thirami* w systemie Tau Ceti, gdzie znajdowała się *Cheronea*. Łza ma półtora roku świetlnego średnicy i wciąż rośnie. Jest domem *Czarnych Ranów*. Panuje tam *inna fizyka*. Większość danych na temat Łzy Cheronei jest utajniona.

M/O – patrz: *ECOQ*.

Machina Wojny – używany w *Młodym Imperium* wieloodnóżowy kroczący pancernik zapewniający wsparcie piechocie i siłom lądowym. Machiny Wojny były przeznaczone wyłącznie do działań poza miastami, ze względu na swoje rozmiary, ciężar i szkody, jakie wyrządzały w otoczeniu. Wycofano je w 132 cyklu, gdy zdecydowano, że główne siły *Armii Imperialnej* będą stanowiły *pancerniki klasy Invincible* oraz armie dronów.

Macierz – grupa ponad siedmiuset zamieszkanym systemów słonecznych *WayEmpire* skupionych wokół *Damnaty*. Patrz też: *Rubieże*.

Main – zwyczajowa nazwa *Sita*, który wytworzył *Twina* bądź *Twina*

i *Threena*, aby żyć równoległymi zyciami. Celem tworzenia kopii w *Wielkim Imperium* jest pomnożenie oraz intensyfikacja doznań.

Mała Rada Tomonari – organ dowódczy *Maodionu*. W jego skład wchodzi: *Ran-Torii*, *Maod-An-Torii*, *Maod-Torii* i dziesięciu Centurionów. Patrz też: *Tomo*, *Tomonari*.

Manta – przestarzałe: podobny do modliszki pojazd używany przez *Erthirów* w czasach *Młodego Imperium* i *Wielkiej Przegranej*.

Maod – (skrót od Master of Daemon) Pan Demona, niższa ranga *Rana*.

Maod-An – (skrót od Master of Daemon and Angel) Pan Demona i Anioła, wyższa ranga *Rana*.

Maod-An-Torii – naczelny dowódca *Maod-Anów* w *Maodionie*. Pełni funkcję nadrzędną w stosunku do Centurionów. Do jego obowiązków należy między innymi pilnowanie dobrego przepływu informacji wewnątrz *Maodionu*. Patrz też: *Maodion*, *Mała Rada Tomonari*, *Ran-Torii*.

Maodion – zespół tysiąca trzynastu *Ranów*. W *Imperium Tao* istnieje ponad tysiąc pełnych *Maodionów*. W skład *Maodionu* wchodzi dziesięć Centurii, które składają się z pięciu *Dekurii Małych* i pięciu *Dekurii Dużych*. Na czele *Maodionu* stoją *Ran-Torii*, *Maod-An-Torii* i *Maod-Torii*. Ta trójka, razem z dziesięcioma Centurionami, tworzy *Małą Radę Tomonari*.

Maod-Torii – naczelny dowódca *Maodów* w *Maodionie*. Pełni funkcję nadrzędną w stosunku do Centurionów. Do jego obowiązków należy między innymi kontrolowanie wykonywania rozkazów *Ran-Toriego*. Patrz też: *Maodion*, *Mała Rada Tomonari*, *Ran-Torii*.

Mardok Enea – jeden z pierwszych *Ranów* testujących *Eyenet*. Przy piętnastej próbie jego dusza nie wróciła do ciała. Po upływie cyklu skomunikował się z *Ranami* za pomocą telepatii. Zgodził się na próbę „włożenia” jego psychiki do *dibeka*, lecz eksperyment się nie powiódł. Pojawił się jeszcze kilka razy. Podczas ostatniej wizyty stwierdził, że

ludzkie sprawy zupełnie go już nie obchodzą. Wtedy też kontakt z nim się urwał. Po tym wydarzeniu i kilkunastu innych wypadkach uznano *Eyenet* za technologię niebezpieczną, zarezerwowaną do wyjątkowych sytuacji. *Syndrom Enei* porównywany jest z syndromem „wielkiego błękitu”.

Mario „Nexus” Taylor – najmłodszy członek *Skyranów*, jedyny *SydRan* tej *Dekurii*. Świadomie zrezygnował z organicznego ciała. Patrz też: *Syd*.

Matronika – tronika macierzowa zawierająca się w samej strukturze materiału tworzącego przedmiot. Pod koniec pierwszego wieku Ery Imperium niemal każdy przedmiot stał się jednocześnie strukturą i troniką, pamięcią kształtu, pamięcią informacyjną i zbiorem fraktali. Patrz też: *technofraktale*, *Coremour*, *flof*.

Med – (skrót od *Medius*, czyli Środkowy) w przypadku rozstrojenia *Rana* jedna z trzech kopii. Dwie pozostałe to *Sin* (Lewy) i *Dex* (Prawy).

Medmat – urządzenie diagnostyczno-leczące. Standardowe wyposażenie medyczne większości siedzib *WayEmpire*.

Medusa – pierwszy megastatek porwany przez *Stratos Thirii*, tuż przed *Wielką Przegraną*. Na jego pokładzie znajdowali się *Uriel Tamerlan* i *Dunkan Etelwolf*.

Men – inaczej *pak*, rzadziej *inim*. Poprawnie *inimempak*. Komunikat *totowy*.

Met – (skrót od *metaobecność*) popularny w *Wielkim Imperium* sposób komunikowania się wykorzystujący *sieć* i *friny*. Osoba używająca *metu* może widzieć obraz, czuć dotyk, zapach, nawet do pewnego stopnia opór ciała rozmówcy.

Miama – (skrót od *Micoma Assembling Machine*) przestarzałe: w *Młodym Imperium* vaporianański automat konstruujący *Micomy*. Podobnie jak one, wyposażony w *AI*, generatory grawitacyjne i *generatory Mirova*. Obecnie *Miama* i *Micomy* występują jedynie w charakterze ciekawostek. Oba typy maszyn zostały wyparte przez *Mulcomy*.

Micoma – (skrót od Mount like Intelligent Construction Machine) przestarzałe: w czasach *Młodego Imperium* vaporeiański automat konstruujący automaty, które budują *Cumulomachy*. Micomy, w przeciwieństwie do innych maszyn na *Vaporii*, miały *tronikę* i zaawansowaną *AI*. Były wyposażone w generatory grawitacyjne i *generatory Mirova*. Obecnie Micomy i *Miamy* zostały zastąpione przez *Mulcomy*.

Midweek – przestarzałe: wolny dzień roboczego tygodnia (*deku*). Czwartek. Termin ten stracił znaczenie po nastaniu *Czasów Szczęśliwości*. Patrz dodatek: „Czas gajański”.

Mirov Anatolij – naukowiec zatrudniony przez firmę *Mobillenum*. Badał bazę obcych, *Shoalbę*. Na podstawie znalezisk opracował między innymi *generator Mirova* oraz teleport. Obecnie pracuje w Imperialnej *Akademii Soulerów*.

Mistrz Gier – gracz lub zaawansowana *AI* tworząca świat *gry*, w którą mogą grać inni *gracze*. W odróżnieniu od typowej *gry* świat Mistrza Gier jest elastyczny i może się zmieniać w zależności od jego woli. Do tworzenia swoich *gier* Mistrzowie używają programu *Tsycop*.

MLM – (Multi Limb Module) moduł wykorzystywany w niektórych pancierzach inżynieryjnych oraz zbrojach pilotów *Yott*. Umożliwia bezkolizyjne używanie więcej niż dwóch kończyn górnych. Patrz też: *EAH*, *Technet Wzór X*.

Młode Imperium – Era *WayEmpire* liczona od *Wielkiej Przegranej* do *Drugiej Wojny z Thirami*. Patrz też: *Wielkie Imperium*.

Mnemon – osobisty pamiętnik zapisywany w *sieci*. Popularna dziedzina twórczej aktywności.

Mnemoprojektor – urządzenie służące zewnętrznej trójwymiarowej wizualizacji własnych wyobrażeń.

Mobil – kolokwialny synonim słowa „pojazd”. Mobilem jest *pneumobil*, *spacemobil*, *villabil* etc.

Mobillenum – jedna z największych firm na *Ziemi Przed Imperium*. Dziedziny działalności to transport, budownictwo, tronika. Główna siedziba znajdowała się w Matce Rosji. Według źródeł historycznych to Mobillenum stało za powstaniem cyfrowej *Bestii*. Bestia została stworzona, by firma mogła czerpać zyski z emigracji obywateli *Ziemi* na nowo powstałą *Gaję*. Mobillenum odkryło w układzie gwiazdy *Hoedus II* bazę *Aquamorfów* zwaną *Shoalba*. Dzięki niej uzyskała znaczną przewagę technologiczną nad innymi firmami i w końcu prymat w wyścigu o światowy monopol. Bazę zdekonspirowała agentka *Safe Nations* Lilith Erenal. Niestety, wszystkie artefakty i technologia obcych zostały przez Mobillenum zniszczone w obawie, że dostaną się w ręce konkurencji. Ten akt i skandaliczne zachowanie zarządu spowodowały gwałtowny spadek wartości akcji firmy, co zostało wykorzystane przez koncern *Way Dao*, który wykupił pakiet kontrolny i wchłonął Mobillenum.

Mobipolia – ruchome miasto. Wyróżniamy miasta latające (najbardziej popularne), pływające i kroczące.

Motomb – mechaniczne ciało *dimena* skonstruowane w przeważającej mierze z *flofów*. Nazwa pochodzi z czasów *PI*, kiedy istniały *netomby*, skrzynie utrzymujące przy życiu mózgi ofiar wypadków. Motomby – swoiste ruchome sarkofagi – umożliwiły posiadaczom tych mózgów przemieszczanie się w *realium*.

Mulcoma – (skrót od Multigoods Construction Machine) używany obecnie na *Vaporii* olbrzymi automat konstruujący wszelkie dobra. Wyposażony w liczne teleporty.

Mydoc – (zbitka słów My Doctor) przestarzałe: cywilny „osobisty lekarz”, urządzenie monitorujące organizm posiadacza i aplikujące niezbędne

medykamenty. Popularny na początku istnienia *Młodego Imperium*.
Odpowiednik *permedu*.

Myoni – patrz: *Weeni*.

Naevus – (l.mn. *Naevi*, łac. kret) podstawowy aparat będący częścią składową roju *Pożeraczy Światów*. Do jego zadań należy ekstrakcja minerałów, selekcja pierwiastków, oczyszczanie ich oraz teleportacja do pierścieni *Worplanów*.

Namaszczony – patrz: *Błogosławiony*.

Nanobot – robot-cząsteczka odpowiadający wielkością – w zależności od funkcji – mniej lub bardziej zaawansowanym enzymom bądź ich konglomeratom. Używany w przemyśle farmaceutycznym, zbrojeniowym, budownictwie, tronice. Patrz też: *frin*, *technofraktale*, *flofy*.

Nanowtyczka – przestarzałe: wtyczka służąca do podłączania biourządzeń. Dawniej umieszczona na przedramieniu. W czasach *Imperium* nanowtyczka może się otwierać i zamykać w dowolnym miejscu ciała dzięki działalności *frina*. Daje gwarancję aseptyczności. Osoba wchodząca do *arealium* na dłużej niż kilka *hekt* otrzymuje przez nią substancje odżywcze. Każdy pancerz zaopatrzone jest w zasobniki żywniowe. Wyjątkiem są pancerze *dimenów*.

Nar – *souler*, który mógł być *Ranem* (ma genotyp *Rana*), ale wybrał karierę cywilną.

Neocortex – inaczej kora nowa. Kora mózgowa człowieka.

Netomby – przestarzałe: skrzynie grawitacyjne podtrzymujące przy życiu mózgi *zoenetów*. Od tej nazwy wzięło się słowo *motomb*, czyli ruchomy sarkofag (Mobile Tomb).

Neurodrink – patrz: *funplex*.

Nomoria – planeta poligon. Drugi, obok *Sofii*, glob *Imperium Drogi* nieprzeznaczony do kolonizacji, krążący – w przeciwieństwie do

pozostałych planet *WayEmpire* – wokół czerwonego karła. Na Nomorii trwa *Pugna Eterna*: wieczna wojna, której celem jest hartowanie i rozwijanie umiejętności bojowych *Ranów* oraz żołnierzy *Armii Imperialnej*. Położenie Nomorii nie jest publicznie znane. *Ranowie* i członkowie *Armii Imperialnej* są tam transportowani statkami pilotowanymi przez maszyny.

Nova – jedyne miasto, jakie *Unithirowie* założyli na planecie *Spes*. Potworny Świat Fabryka produkujący głównie *ariatorów* i maszyny wojenne. Patrz też: *Druga Wojna z Thirami*, *Nova Nova*.

Nova Nova – po wygraniu *Drugiej Wojny z Thirami* miasto *Nova* zostało przebudowane i zmieniło nazwę na *Nova Nova*. Przez dziesięć cykli planetą *Spes* i *Novą* rządzą *Laurus Wilehad* i *Torkil Aymore* podszywający się pod *Duces Verów* – *Uriela Tamerlana* i *Dunkana Etelwolfa*.

O'Tool – „czcigodne narzędzie”, dron teleportacyjny, najczęściej humanoidalny. Potrafi stworzyć pierścień teleportacyjny, układając ręce w koło. W O'Tool zaopatrzonej jest każdy pełnoletni *Sit*. Obywatele *WayEmpire*, zamówiwszy poprzez sieć jakiś przedmiot, czekają, aż *Worplan* go wykona, po czym otrzymują go dzięki O'Toolowi. Gdy zamówiony obiekt jest duży, *Sit* wzywa *Gran'Tool*. Realizacja takiego zamówienia z reguły trwa kilka dni. Obiekty średniej wielkości nierzadko przychodzą w częściach, które potem same się składają. W koło O'Toola wrzuca się także odpadki, śmieci i zużyte przedmioty. Dzięki temu *Worplany* otrzymują surowce do recyklingu. W *WayEmpire* nie istnieje problem gromadzenia śmieci.

Obicoïn – (skrót od Omni-Brain Communication Interface) przestarzałe: interfejs używany w *Imperium Drogi* do czasu wynalezienia *frinów*. Obicoïn był kolejnym etapem rozwoju w stosunku do *omników*.

Zwyczajowo noszono go na skroni. W przeciwieństwie do *omników* i *walkteli* generował obraz w ośrodkach wzrokowych mózgu, a nie na okularach czy soczewkach.

Omnihomo – według niektórych badaczy (m.in. Rexa Gordona z Ósmego Imperialnego Laboratorium, Wirginia, Plaato) był transcendentny, pozawymiarowy (informacyjny), czasami nazywany wielowymiarowym, strukturą zbliżony do psyche, stanowiący niejako odbicie swojego posiadacza. „Wielowymiarowy niewolnik” (z Platońskiej jaskini) stojący naprzeciwko cienia – człowieka trójwymiarowego. Rex Gordon twierdzi, że Omnihomo jest jednolite i raczej bezpostaciowe, chociaż ma tożsamość naszego „ja”. Rozdzielenie go na *demony* i *anielice* przez *Ranów* stanowi dziwną odmianę normalnie pojedynczego bytu. Inna teoria mówi, że Omnihomo jest naszym odbiciem z drugiego, równoległego wszechświata. Pogląd ten nie jest powszechnie aprobowany. Patrz też: *G-Pod*, *God Area*, *duchy opiekuńcze*.

Omnik – przestarzałe: nadgarstkowe urządzenie wykonujące wszelkie funkcje medialne. Odpowiednik starszego *walktela*. Został wyparty przez *obicoiny* na początku *Młodego Imperium*.

Opętani – synonim *Widzących* i *Czarnych Ranów*. *Soulerzy* pragnący zostać *Aristosami*, których *Rytuał Otchłani*, *Ocalenia* bądź *Zwierzęcia* zakończył się opętaniem. Opętani są przewożeni do *Łzy Cheronei*, gdzie pieczę nad nimi przejmują inni *Czarni Ranowie*.

Organik – potoczna nazwa człowieka mającego funkcjonujące ciało lub organiczną przeszłość.

OSO – (skrót od opcja stabilizacji obrazu) przestarzałe: funkcja wykorzystywana w niektórych *obicoinach*.

Otchłań – (*Przed Imperium*) gra firmy Gnothi Seauton Games uaktywniająca głębokie warstwy podświadomości *gracza*. W tej grze przeciwnikiem nie

jest inny *gracz* czy program, ale podświadomość grającego, jego cień. *Torkil Aymore* nawiązał podczas rozgrywki kontakt ze swoim *demonem*, którego nazwał *Lee Rothem*. Patrz też: *Rytuał Otchłani*.

Out-Rangers – termin sprzed Imperium. Ziemska formacja paramilitarna zajmująca się kontrolą obszarów poza barierami *ABB*.

Oven – wielozadaniowy transportowiec *Armii Imperialnej* używany w *Młodym Imperium*. Wycofany w cyklach trzydziestych drugiego wieku *EI*.

Owl – statek wsparcia *Armii Imperialnej Młodego Imperium*. Wycofany w czwartej dekadzie drugiego wieku. Patrz też: *Skullhead*, *Dragonforce*, *Spellforce*, *Hate*, *Longbone*, *Whale*.

Pak – komunikat *totowy*. Inaczej *men*.

Pałac Imperatorski – dawniej znajdująca się na *Genei* siedziba *Imperatora*, najlepiej strzeżone miejsce w *WayEmpire*. Obecnie teren badań naukowych, siedziba *soulerów*, miejsce, gdzie znajduje się *Arka Lamy*.

Pancernik klasy *Invincible* – najpotężniejsza broń *Armii Imperialnej*, z reguły dowodzony tylko przez trzech *Sitów* albo w ogóle pozbawiony ludzkiej obsługi.

Pancerz – patrz: *zbroja*.

Pandora – kryptonim akcji infekowania *sieci* wirusami *Przed Imperium*. Pandora była bezpośrednią przyczyną powstania cyfrowej *Bestii*. Patrz też: *Mobillenum*, *Way Dao*.

Parsek – miara odległości kosmicznej – 3,26 roku świetlnego.

Pauline Eim – *Ziemianka*, była *gamedekini*, pracownik *ziemskiej* firmy *Novatronics*. Jej syn to *Konon Eim* (jego ojciec, *Charles Eim*, zginął w wypadku lotniczym), przez wiele cykli *zoenet*. Po emigracji na *Gaję* *Pauline* związała się z *Torkilem Aymore'em* i założyła z nim *Reor*, stając się tym samym *Reormater*. Spłodziła z *Pierwszym* dwóch synów: *Kyla*

i Gabriela. Po nastaniu *Czasów Szczęśliwości Reor Aymore*'a się rozpadł, ale Pauline została z Torkilem, podobnie jak *Anna Sokolowsky* i *Harry Norman*. Pauline bywa nazywana byłą Reormater.

Pendek – gajański miesiąc składający się z pięciu *deków*. Patrz dodatek: „Czas gajański”.

Perbot – *bot* wyglądający jak właściciel, ale pozbawiony jego osobowości. Patrz też: *kopia*.

Permed – (skrót od Personal Medic) przestarzałe: urządzenie nadzorujące funkcjonowanie organizmu *Rana*/żołnierza *Armii Imperialnej*. Permedy wycofano z użycia po wynalezieniu *frinów*.

Pershell – (skrót od Personal Shell, geng. osobista zbroja) przestarzałe: wykonany na zamówienie *motomb* uwzględniający indywidualne cechy właściciela. Pershelle produkowano przed *Wielką Przegraną* i przez dwadzieścia pięć cykli *Imperium Drogi*. Potem zostały zastąpione innymi technologiami.

Peter „Crash” Kytes – *Ziemianin*, lider drużyny *Bezbolesnych* w grze *Goodabads*. Gra przestała być popularna w cyklach siedemdziesiątych drugiego wieku po wprowadzeniu bardziej realistycznych *Gladiatorów*. Peter szybko stał się czempionem tego turnieju.

Petra – słowo powstałe z określenia *Personal Trainer*. Aparat uczący w przyspieszonym tempie wszelkich umiejętności umysłowo-motorycznych. Wykorzystywany m.in. do trenowania *Ranów*.

PI – patrz: *Przed Imperium*.

Pieczęć Anioła Śmierci – złoty emblemat pojawiający się na pancerzu typu *Coremour* wskutek decyzji *ImBu*. Oznacza wyjątkowo wrażliwego i empatycznego *Rana*.

Planetozymal – bryła pierwotnej materii krążąca w dysku protoplanetarnym. Planetozymale, zderzając się, tworzą planety.

Plex – patrz: *funplex*.

Płaszczyzna galaktyczna – umowna płaszczyzna równoległa do horyzontu Drogi Mlecznej przechodząca przez Układ Słoneczny. W czasach *Imperium Drogi* Słońce wciąż stanowi centrum mapy gwiazdnej.

Płyn infuzyjny – przeznaczony dla *graczy* i osób przebywających w *arealium* miks substancji odżywczych utrzymujących homeostazę ciała w czasie pobytu w *sieci*. Zasobnik z nim podłączany jest do *nanowtyczki*. W czasach *Imperium Drogi* większość *zbroi* zawiera sloty ze zbiornikami z płynami infuzyjnymi, a podłączanie się do organizmu i odżywianie go następuje automatycznie.

Polia – synonim miasta. Patrz też: *mobipolia*.

Polirex – stworzony z żywych *technofraktali* materiał budowlany używany do ekranowania pomieszczeń, w których *Ranowie* trenują swoje umiejętności duchowe, oraz – w *Młodym Imperium* – do budowy *Asylum*. Polirex był pierwszą w historii *Imperium Drogi* substancją, przy której uzyskiwaniu użyto *rytuału błogosławieństwa*. Stwierdzono empirycznie, że polirex błogosławiony przez imperialnych *soulerów* ma większą szczelność. Z błogosławionego polirexu wytwarzany jest także Kamień Ranów. Patrz: *RanStone*.

Poom – lekki pancerz stanowiący podstawowe wyposażenie *spacemobili WayEmpire*.

Pożeracze Światów – zautomatyzowane armady, składające się z *Władcy Kretów* oraz roju *Naevi*, których zadaniem jest pozyskiwanie surowców z nienadających się do kolonizacji układów planetarnych. Oczyszczone pierwiastki i związki chemiczne teleportowane są w sąsiedztwa pierścieni *Worplanów*. Patrz też: *Terraformery*.

Praszczur – patrz: *Reoratavus*.

Prawo Imperialne – znany wszystkim obywatelom *WayEmpire* ogólny zapis

mówiący, że Sitizenów obowiązuje *Wolna Wola* i jedynie gdy popełnią czyn kwalifikowany przez ImBu jako *Wielkie Zło*, zostaną skazani na pobyt na *Sofii*. Szczegółowe procedury i czynności, od których zależy bezpieczeństwo obywateli, są podpowiadane przez *sieć*.

Prawo Równowagi – dotyczyło *SydRanów*. *SydRan* nie mógł mieć potomstwa ani zakładać Klanu, chociaż mógł do jakiegoś należeć. Prawo Równowagi stanowiło, że liczba *SydRanów* nie może przekroczyć liczby *Ranów*. Zakaz posiadania potomstwa zniesiono po ogłoszeniu *Czasów Szczęśliwości*. Liczbę *SydRanów* kontroluje ImBu.

Primus – (rzadziej: Pierwszy) termin, jakim określa się pierwszego *Rana*. Jest nim *Torkil Aymore*, który wszedł w grę *Otchłań*, dzięki czemu uaktywnił swojego *demonę*, potem zaś, w wyniku zatrucia neurotoksynami i skrajnego wyczerpania, przeżył rozpad osobowości. Uratowany został przez byt anheliczny, Monikę Wedę. Do dzisiaj powstają liczne opracowania na temat Primusa, jego wpływu na kształtowanie się *Maodionów* i norm społecznych wśród *Ranów*.

Przed Imperium – w skrócie *PI*. Era istnienia ludzkości poprzedzająca powstanie *WayEmpire*. Patrz też: *Młode Imperium*, *Wielkie Imperium*.

Przyspieszenie – dzięki współpracy *frina*, mózgu ludzkiego oraz *sieci* możliwe jest nawet dwudziestokrotne przyspieszenie niektórych funkcji ośrodkowego układu nerwowego człowieka. Poddany przyspieszeniu obywatel ma więcej czasu na analizę sytuacji, a w rezultacie może reagować adekwatniej i precyzyjniej. Przyspieszenie koncentruje się na pracy pamięci operacyjnej mózgu, zlokalizowanej w dużej mierze w zakrętach przedczołowych, oraz na pracy ośrodków ruchowych znajdujących się przed bruzdą Sylwiusza. W obszarach pamięci operacyjnej działania mentalne dążą do rozwiązania problemu. Niezbędne dane są „pobierane” z zasobów pamięci trwałej oraz *sieci*, a następnie

„przetwarzane” w wymienionym obszarze w wyobrażonym czasie i przestrzeni. *Frin* i *sieć* sprzęgają się z pamięcią operacyjną mózgu, zwiększają jej pojemność i wykonują za nią część analiz. Mechanizm przyspieszenia ruchów od strony technicznej jest podobny do przyspieszenia pamięci operacyjnej. Aby ruchy przyspieszonej osoby mogły być szybsze, niezbędne jest posiadanie ciała *Rana* lub ciała mechanicznego. Gdy obie te opcje są niedostępne, przyspieszona osoba może „wyjść” z realnego ciała za pomocą metaobecności.

Psychoskan – skan struktur neuronalnych mózgu. Jedna z metod identyfikacji właściciela ciała/*motomba*.

Pszczółka – patrz: *Besebu*.

Pugna Eterna – Wieczna Wojna, poligon na *Nomorii* przygotowujący żołnierzy *WayEmpire* do starć zbrojnych.

Quill – *lotka skrzydeł Rana* wytworzona z *fangu*. Dwa ostatnie quille są najdłuższe i morfują w broń do walki wręcz, najczęściej przypominającą miecze (są to tzw. *quilldao*). Quill może się podzielić na pięć *subquilli* (*sublotek*). Każdy quill może działać niezależnie. Wystrzelony w stronę celu, na dystansie trzystu metrów osiąga prędkość dwóch machów.

Quill Kata – bojowa medytacja *Aristosa* przedstawiająca wyimaginowaną walkę z wieloma przeciwnikami za pomocą *skrzydeł Rana*. Quill Kata zapisujemy wielkimi literami z uwagi na szacunek, jakim *Aristoi Imperialis* darzą tę formę ćwiczeń. Patrz też: *quilldao*, *fang*.

Quilldao – zbitka słów quill i dao („miecz” w starochińskim). Dwie najdłuższe *lotki* w *skrzydłach Rana* mogące morfować w miecze. Patrz też: *Quill Kata*, *fang*.

RAC-5 – rotawirus, który wywołał chorobę *TRID*.

Raj – struktura rusztowań i błon grawitacyjnych podnosząca atmosferę planety kilka tysięcy kilometrów nad jej powierzchnię. Pierwszy raj

(pisany, dla odróżnienia, wielką literą) powstał na *Ziemi*. *Sitowie* zamieszkujący raje na stałe nazywani są *Aniołami*. Patrz też: *Stellarzy*, *Grond*.

Rajska Plaża – gra firmy *Blue Whales Interactive* popularna na *Ziemi Przed Imperium*. W tej grze powstała *Anna Sokolowsky*.

Ran – *souler*, członek *Maodionu*. Wyróżniamy *Maodów* i *Maod-Anów*. W starojapońskim słowo „ran” oznacza chaos. Drugie znaczenie to orchidea. W *Wielkim Imperium* starych *Ranów* można poznać po długich kłach. Patrz też: *Aristos Imperialis*, *Tomo*, *Tomonari*, *kły Ranów*.

RanaR – *Ran* wszystkich *Ranów*. Przywódca *Maodionów*. Od początku istnienia *Maodionów* funkcję *RanaRa* pełni *Laurus Wilehad*.

RanStone – Kamień *Rana*. Dawniej prostokątne urządzenie zawierające kodeks napomnień dla członków *Maodionów*. Od osiemdziesiątego dziewiątego cyklu *Ery Imperium* zastąpiony emblematem w kształcie godła *WayEmpire* stworzonym z błogosławionego *polirexu*. W *Młodym Imperium* *RanStone*, wpasowując się w *Coremour* między płytami piersiowymi, miał – zgodnie z zapewnieniami *Imperialnych Soulerów* – wzmacniać jego właściwości bojowe. Od *Coremoura Wzór VII* w górę *RanStone* przebywa w antygrawitacyjnym *relikwiarzu* między płytami piersiowymi zbroi, gdzie rotuje za przeziernym *polirexem*. Kodeks *Rana* jest możliwy do odczytania jedynie przez *Tomo* odzianego w *Coremour*. Patrz: *rytuał błogosławieństwa*. Patrz dodatek: „*RanStone*”.

Ran-Torii – przywódca *Maodionu*. Zwierzchnik *Maod-Toriego* i *Maod-An-Toriego*. *Ran-Torii* wchodzi w skład *Małej Rady Tomonari* i *Wielkiej Rady Tomonari*.

Realium – potoczna nazwa rzeczywistego świata. Patrz też: *arealium*, *viar*.

Rebot – zbitka słów *Reality* i *Bot*. *Bot* w *realium*. Obdarzony *AI* humanoidalny dron.

Relikwiarz – antygravitacyjny, osłonięty przezroczystym *polirexem* slot na *RanStone* między płytami piersiowymi pancerza typu *Coremour* (Wzory VIII–X), w którym Kamień Rana rotuje wokół swojej długiej osi. Relikwiarz zastąpił zwykły slot Wzorów I–VII, w którym *RanStone* nie rotował, lecz był wpasowany w rysunek pancerza.

Reor – (skrót od Relatives Organization) inaczej *Klan*. Popularna w *Młodym Imperium* struktura rodzinna, w której skład wchodziło wiele związków partnerskich (*stad*). Miał prawa, obowiązki i przywileje opisane w prawie klanowym, które było stanowione przez *Reorrad*. W *Młodym Imperium* powstało około dwóch i pół miliona *Reorów* zrzeszających blisko siedemdziesiąt milionów *Sitów*. Największych *Klanów*, liczących od pięciu do sześciu pokoleń, było około dwóch tysięcy. Dwieście najstarszych *Reorów* miało najmniej po pięciuset członków. Większość *Reorów* została rozwiązana na początku *Czasów Szczęśliwości*. Te, które przetrwały, najczęściej przestawały być związkami rodzinnymi na rzecz zrzeszania osób dzielących wspólne pasje. Patrz też: *Reorrad*, *Reoratus*, *Reormater*.

Reoratus – wielki ojciec *Klanu*, dosłownie praprapradziad *Reoru*. Rzadziej: *praszczur*. Tytuł, jaki w *Młodym Imperium* otrzymywała męska głowa *Klanu*. Obecnie termin rzadko używany, najczęściej żartobliwie.

Reormater – wielka matka *Klanu*. Tytuł, jaki otrzymywała w *Młodym Imperium* żeńska głowa *Reoru*. Obecnie słowo rzadko używane, najczęściej żartobliwie.

Reorrad – inaczej *Klansraad*, zgromadzenie *Reorów*, w którym zasiadali *Reoratusi* i *Reormatres*. *Reorrad* ustanawiał *prawo klanowe*. Podlegał władzy *Imperium*. *Reorrad* został rozwiązany, gdy ogłoszono *Czasy Szczęśliwości*.

Reptor – patrz: *Terreptor*.

Reunia – ponowne połączenie w jeden umysł wielu jaźni zamieszkujących równoważne kopie.

Rewitalizacja – procedura odwrotna do *dewitalizacji*.

Roberto Demonhunt – były *Reoratavus* Klanu Myśliwych. Były mieszkaniec dystryktu Nowy Paryż na Quintusie. Obecnie *Stellar* podróżujący w *karawanie Błogosławionego Aymore'a*.

Roddy Aymore – dziecko Cloe Aymore (czwarta córka *Torkila Aymore'a* i Angeli Sky) i Gedeona Stara z *Reoru Gwiazdy*.

Roztrojenie – zabieg stworzenia trzech równoważnych kopii człowieka. Jego pionierem był *Torkil Aymore*, który po raz pierwszy dokonał udanej operacji roztrojenia i zespolenia trzech psyche w czasach *Wielkiej Przegranej*. Po roztrojeniu kopie mogą wykonywać niezależne czynności bądź, jeśli są w jednej *zbroi*, wejść w *tryb kooperacji*. Patrz też: *Med*, *Sin*, *Dex*.

Ruben Troy – *Ziemianin*, jeden z hakerów tworzących *Pandorę* i jedyny z tej grupy, który nie stał się częścią *Stratos Thirii*. Obecnie *Stellar* podróżujący w *karawanie Błogosławionego Aymore'a*.

Rubieże – zbiór około trzystu zamieszkanym systemów planetarnych *WayEmpire* zgromadzonych wokół *Sparty*. Rubieże znajdują się po przeciwnej stronie Drogi Mlecznej w stosunku do *Macierzy*.

Rytuał błogosławieństwa – stosowane stosunkowo rzadko święcenie przedmiotu lub materiału przez Imperialnych *Soulerów* celem zwiększenia jego funkcjonalności/niezawodności/wytrzymałości. Potwierdzona empirycznie skuteczność w przypadku *polirexu*. Patrz też: *RanStone*.

Rytuał Ocalenia – drastyczna procedura, którą przechodzą tylko zgłaszający się na ochotnika *Maodowie*. Jej celem jest uzyskanie kontaktu z *anielicą/aniołem*, dzięki czemu *Maod* staje się *Maod-Anem*. Rytuał polega na zakażeniu *Rana* zjadliwym szczepem bakteryjnym

powodującym uogólnioną infekcję. Dodatkowo podaje się neurotoksyny. Na czas rytuału *Maod* wyłącza *frin* (by ten nie przeciwdziałał chorobie). W wyniku tych zabiegów ciało *Aristosa* zaczyna umierać, a jego umysł pogrąża się w szaleństwie. Wybrany przez uczestnika rytuału mentor wspiera go i uspokaja. W jednej drugiej przypadków rytuał kończy się „cudownym” uzdrowieniem i uzyskaniem kontaktu z *anielicą/aniołem*. Drugie pięćdziesiąt procent to przypadki niepowodzeń oraz osobników, którzy zasilają *Czarny Maodion* (dokładne dane są utajnione). Pierwszy przeszedł ten rytuał *Torkil Aymore*. Patrz też: *Primus*.

Rytuał Otchłani – pierwszy rytuał, jaki przechodzi kandydat na *Rana*. Jego celem jest uzyskanie kontaktu z własnym *demonem/diabolicą*. Rytuał oparty jest na doświadczeniach *Primusa*. Polega na wejściu w grę wzorowaną na starym tytule *Otchłań* i pomyślnym jej rozegraniu. Celem jest znalezienie wyjścia z labiryntu, który symbolizuje psychikę gracza. Kandydat staje oko w oko ze swoją podświadomością. Zakończenie gry sukcesem – wewnętrznym, ważnym dla kandydata odkryciem – może skutkować nawiązaniem kontaktu z *demonem/diabolicą*. Jeśli tak się stanie, kandydat uzyskuje miano *Maoda* i zostaje *Ranem*. W rzadkich przypadkach rytuał skutkuje zaburzeniami psychicznymi lub opętaniem. Patrz też: *Czarny Maodion*.

Rytuał Utraty – domniemany, hipotetyczny rytuał, który ma wyzwolić niespotykaną siłę i nadludzkie możliwości *Rana*. Nazwa powstała na podstawie retrospektywnych analiz czynów *Torkila Aymore’a* podczas bitwy o *Si-Han*, kiedy to *Primus* zniszczył w krótkim czasie kilkaset bojowych dronów wroga. Wielu badaczy uważa, że niespotykana energia została wyzwolona przez przeżycie śmierci ukochanej (*Lilith Ernal*), są jednak tacy, którzy twierdzą, że nie utrata, lecz rozdarcie było przyczyną tej erupcji.

Rytuał Zwierzęcia – jedyny rytuał, który nie został wprowadzony przez *Primusa*, tylko przez obecnego *RanaRa*, *Laurusa Wilehada*. Dzięki *Rytuałom Otchłani* i *Ocalenia Ran* uzyskuje kontakt z *demonem/diabolicą* i *anielicą/aniołem*, ale duchy te pojawiają się w sposób losowy i są całkowicie autonomiczne. Dzięki Rytuałowi Zwierzęcia *Ran* uzyskuje nad nimi swoistą kontrolę – potrafi je wywołać i spowodować zniknięcie. Rytuał Zwierzęcia to procedura, podczas której *Aristos* jest doprowadzany do skrajnego wyczerpania (poprzez intensywny trening w *Petrze*), a następnie w specjalnej komorze poddawany serii intymnych pytań, które mają obnażyć jego podstawowe kompleksy i słabe punkty. Gdy struktura „ja” ulegnie znacznej dezintegracji, doprowadza się do konfrontacji między *Maod-Anem* i trzema bojowymi dronami (typ: Szakal). *Ran* musi wygrać starcie, po czym wydostać się z pomieszczenia wyjściem, które znajduje się pięć metrów nad poziomem podłogi. Wydostawszy się, spędza dzień i noc w dzikim lesie. Wszystkie te zabiegi mają na celu doprowadzenie do reintegracji psyche *Rana* na poziomie pierwotnym. Dzięki temu jego organizm lepiej adaptuje się do wszelkich zmian, a „dusza” uzyskuje dostęp do neotypu zwanego *Dzikusem*.

Ryushimy skala – patrz: *skala Ryushimy*.

Safe Nations – jedna z największych ziemskich firm ubezpieczeniowych. Safe Nations ubezpieczała lot *Medusy*, pierwszego megastatku porwanego przez *Stratos Thirii*. Agentka *Two Eyes* tej firmy, *Lilith Ernal*, odkryła i zdekonspirowała stację obcych *Shoalba*.

SaintDroid – wiszący nad *Błogosławionym* ozdobny dron będący znakiem jego władzy. Przedstawia symbol *Imperium Drogi*, czyli splecionych w miłosnym uścisku anielicę i demona, których nogi owija spiralnie ułożony ogon biesa. Z *SaintDroida* zwiesza się gonfalon z imieniem *Namaszczonego*. *SaintDroidy* nie mogą być podrobione. Patrz też:

ArtDroid.

Sejf – pancerna skrzynia w *motombie* lub *zbroi* chroniąca znajdujący się w niej *dibek*.

Seraf – inaczej *bodhisattwa*. Niezrozumiałe zjawisko optyczne przedstawiające ślepe anioły lub ich rogate demoniczne odmiany, które pojawia się w pobliżu soczewek *innej fizyki*, takich jak *soulerzy* czy *Łza Cheronei*.

Serce – inna nazwa pancerza typu *Coremour*.

Shadow Zombies – tajna organizacja zrzeszająca *ekstropian*, którzy w Erze *Przed Imperium* zostali zamrożeni w stary, tradycyjny sposób i potem odmrożeni. Osoby te po wybudzeniu doznawały głębokich przemian osobowości.

Shapefix – jedna z odmian materiałów konstrukcyjnych opartych na *matronice*, *homeotronicie*, *technofraktalach* i *flofach*. Zaprogramowany shapefix jest w stanie w krótkim czasie stworzyć kilkusetmetrową konstrukcję nośną zaopatrzoną w ruchome troniczne części.

Shoalba – (skrót od Septima Hoedi Alien Base) została zdemaskowana przez agentkę *Two Eyes*, Lilith Ernal, zatrudnioną przez firmę *Safe Nations*. Baza ta znajdowała się na siódmej planecie białego karła *Hoedus II*. Została odkryta, a potem była intensywnie badana przez firmę *Mobillenum* na długo przed dekonspiracją dokonaną przez Lilith Ernal. Zawierała technologię teleportacyjną, stopy atomowe, sztuczne słońca i agregaty antymateryjne. Była opuszczona. Dziura w szczycie jedynej wieży struktury sugeruje, że doszło do eksplozji albo baza została zniszczona przez meteoryt. Shoalbę ostatecznie zniszczył koncern *Mobillenum*.

Sieć – w *Wielkim Imperium* nazwą tą określa się opartą na architekturze fraktalnej bezprzewodową hiperprzestrzenną sieć obejmującą wszystkie

planety. Sieć jest tworzona przez *Budę*, *Imperatora* (ImBu) oraz *friny* *Sitzenów*. Patrz też: *arealium*.

Sierota – oprócz oczywistego znaczenia w *Wielkim Imperium* słowem tym określa się *Ziemiaków*, którzy stracili rodziców/bliskich/przyjaciół na *Damnacie* podczas *Wielkiej Przegranej*. Popularne wśród sierot mających pełny zapis DNA osób, które zginęły bądź umarły na *Ziemi*, jest tworzenie ich klonów. Patrz też: *exuter*, *centrum exuterowe*.

Siewca – patrz: *SOW*.

Si-Han – port kosmiczny na terenie dawnych Chin na *Ziemi*. Rozegrała się tam jedna z siedmiu bitew o przetrwanie rodzaju ludzkiego podczas *Wielkiej Przegranej*. Patrz też: *Torkil Aymore*, *Lea Stone*, *Laurus Wilehad*, *Rytuał Utraty*.

Sin – (skrót od *Sinister*, czyli Lewy) jedna z trzech kopii po rozdrojeniu *Rana*. Patrz też: *Med* i *Dex*.

Sit – (skrót od *Sitzen*) inaczej obywatel. Popularna w *WayEmpire* nazwa będąca synonimem słowa „pan”.

Siti – (skrót od *Sitzen*) inaczej obywatelka. Popularna w *WayEmpire* nazwa będąca synonimem słowa „pani”.

Skala Ryushimy – stworzona w sto pierwszym cyklu *EI* skala oceny szczęścia na danej planecie. Używana przez *Auduxów*.

Skin – gierzany ubiór maskujący lub modyfikujący powierzchowność *gracza*. Może zmieniać rozmiary lub płeć, ujmować bądź dodawać członki (np. skrzydła).

Skok hiperprzestrzenny – od momentu wynalezienia *generatora Mirova* procedura umożliwiająca bezczasowe przeniesienie się z jednego punktu czasoprzestrzeni do drugiego. Pierwotna teza, że skoki hiperprzestrzenne są obojętne dla statków i innych urządzeń, została obalona pod koniec *Młodego Imperium*. Badania empiryczne potwierdzają, że wielokrotnie

powtarzane skoki mogą doprowadzić do nieodwracalnych uszkodzeń części mechanicznych i tronicznych. Natura usterek, tak zwanych *artefaktów HS*, jest nieznana. Patrz też: *Charon*.

Skrzydła Rana – podstawowa broń *Rana*. Skrzydła składają się z dwudziestu pięciu *quilli* (*lotek*), z których każda w razie potrzeby może się rozdzielić na pięć *subquilli* (*sublotek*). *Quille* mogą się łączyć u podstawy, tworząc funkcjonalne aerodynamiczne skrzydło, lub rozdzielać i działać niezależnie. Powolne woli *Aristosa*, układają się wokół jego ciała w różne formy, zależnie od intencji bojowej *Rana*. Mogą także być wystrzeliwane w stronę wroga. Tor ich lotu jest określany przez sugestie *Rana* i jego *frin*. *Quille* są bronią sieczną wielokrotnego użytku. Najdłuższe, skrajne *quille*, zwane *quilldao*, pełnią funkcję mieczy i często są dzierżone bezpośrednio przez *Aristosa*. Patrz też: *Quill Kata*, *fang*.

Skullhead – przestarzałe: w *Młodym Imperium* myśliwiec używany tylko przez *Ranów*. Miał kształt ludzkiej czaszki. Obecnie niektórzy *Ranowie*, kierowani sentymentem, wciąż tworzą pojazdy przypominające *Skullheady*. Patrz też: *Dragonforce*, *Spellforce*, *Hate*, *Longbone*, *Owl*, *Whale*.

Skymour – zbitka słów *Sky* i *Armour*. Podniebna Zbroja. Najpotężniejszy pancerz *Rana*. Do wprowadzenia *Coremoura Wzór IX* *Skymour* miał rozmiar i formę dookreśloną i nieprzekraczalną. Po wprowadzeniu „dziewiątki” zlikwidowano ograniczenia kształtów i wymiarów. Teraz *Skymoury* mogą mieć dowolną postać tudzież rozmiar i formować się wokół *Serca* w sposób płynny. Chociaż wielkość *Skymoura* nie jest już niczym ograniczona, optymalna wysokość tej zbroi wynosi sto metrów. Powyżej tego rozmiaru zbroja traci szybkość i płynność ruchów.

Skyran – członek Pierwszej *Dekurii* Pierwszej *Centurii* Pierwszego *Maodionu*. Nazwa wzięła się od cyfr 111, które poeta Pierwszego

Maodionu, Diego Frost, skojarzył z trójką buław *Tarota Imperialnego*. Motto tej karty brzmi „Sky is the limit”. Symbolem oddziału Skyranów w *Młodym Imperium* był niebieski żołnierz na tle białego obłoku i błękitnego nieba, lecz w cyklu trzydziestym drugiego wieku *EI Torkil Aymore* zaproponował, by tłem figurki były rollercoastery *Sydneylandu*, na pamiątkę miejsca, gdzie została ona znaleziona. Ze względu na symbolikę Pierwsza *Dekuria* Pierwszej Centurii Pierwszego *Maodionu* bywa nazywana *Toy Soldiers*.

Słuchacz – patrz: *Audux*.

Smok – współczesna, często stosowana nazwa *Dragonoida*, najczęściej występującej w *WayEmpire* postaci *Suvera*. Smoki były pierwotnie ludźmi. Stworzono je na *Spes*, usiłując poprzez liczne mutacje wykreować doskonałych *Verów*. Obecnie to rasa wesołych, podobnych do mitycznych gadów istot, które utrzymują w *WayEmpire* autonomię. Niektóre Smoki i Smoczyce decydują się towarzyszyć *Ranom*. Patrz też: *Szpon*, *Car Smoków*.

Soar – (skrót od Soul Armour) popularny, zwłaszcza wśród intelektualistów i *Ranów*, typ zbroi odzwierciedlającej stan psychiki posiadacza. Soary stymulują rozwój osobowości, dając psychice bezpośredni i natychmiastowy feedback swoim wyglądem. Każdy *Coremour* jest Soarem.

Sofia – planeta skolonizowana w piętnastym cyklu *EI*. Liczba zmutowanych płodów była tam tak wielka, że w cyklu sześćdziesiątym została opuszczona. Większość mieszkańców osiedliła się na *Queenie*, pusty świat zaś postanowiono zamienić na więzienie dla recydywistów. Więźniowie na *Sofii* najczęściej mutują i stają się ludzkim podgatunkiem. W *Czasach Szczęśliwości* liczba przebywających tam skazanych zaczęła się zmniejszać. Patrz też: *Human Mutation*.

Souler – osoba obdarzona duchowym talentem, wyczuwająca rzeczywistość inną od trójwymiarowej lub umiejąca poprzez nią wpływać na nasz świat. Najprawdopodobniej istnieje powiązanie między soulerami i *inotronami* oraz *inną fizyką*. Patrz też: *Ran, Nar, Charon*.

SOW – (skrót od Soul Weapon) Broń Duszy. Kolokwialnie: *Siewca*. Urządzenie wmontowane w każdą *zbroję Rana*. Siewca śledzi położenie mózgów przeciwników i w razie potrzeby stymuluje różne ich obszary, by wywołać zaburzenia psychiczne. Działanie tego typu nazywane jest *grinem*.

Spacemobil – pojazd kosmiczny, cywilny bądź wojskowy. Patrz też: *mobil, villabil, airvill*.

Sparta – znajdująca się w centrum *Rubieży* planeta krążąca wokół gwiazdy Fides. Pierwotnie potężna kolonia *Thirów* nosząca nazwę *Spes*. W *Wielkim Imperium* Sparta jest ośrodkiem szkolącym kadry *Armii Imperialnej*. Słynie z najlepszych kapitanów *pancerników klasy Invincible*. Patrz też: *Spes*.

Spellforce – przestarzałe: w *Młodym Imperium* wielozadaniowy myśliwiec *Armii Imperialnej*. Patrz też: *Skullhead, Dragonforce, Hate, Longbone, Owl, Whale*.

Spes – (łac. Nadzieja) główna planeta *Unithirów* krążąca wokół gwiazdy Fides (łac. Wiara). Jedyne miasto, jakie założyli tam *Verowie*, nosiło nazwę *Nova*. Na *Spes* stworzono skrajnie niekorzystne warunki społeczne, które sprzyjały zachowaniom psychopatycznym. Po *Drugiej Wojnie z Thirami* nazwano planetę *Spartą*, a *Nova* otrzymała nazwę *Nova Nova*. *Polię* przebudowano, społeczeństwo *Verów* zaś poddano reorganizacji. Patrz też: *Spes II*.

Spes II – druga po *Spes* kolonia *Unithirów*, założona w zewnętrznym ramieniu Drogi Mlecznej. Zawierała niewielką populację *Bestian*.

Przylączona do *WayEmpire* podczas *Drugiej Wojny z Thirami*, podobnie jak Tylos, *polia* na planecie Terra Nova, założona w gromadzie gwiazdnej LMC (w Wielkim Obłoku Magellana).

Ssieć! – popularne przekleństwo.

Stado – w *Młodym Imperium* podstawowa komórka rodzinna składająca się z wielu partnerek i partnerów. W *Wielkim Imperium* niezobowiązująca nazwa grupy przyjaciół.

Steffi Alland – *Ziemianka*, córka Harolda Allanda, przywódcy *Shadow Zombies* i założyciela kolonii na *Vaporii*. Przez wiele lat *zoenetka* (jako dziecko uległa bardzo rozległym poparzeniom). Agentka *Zoenet Labs*. Poznała *Torkila Aymore’a* podczas rozgrywki w *grze Mrok*. W *Młodym Imperium* mieszkanka *Vaporii*. Obecnie *Stellarka* podróżująca w *karawanie Błogosławionego Aymore’a*.

Stellar – *Sit* podróżujący w *karawanach*. Patrz też: *Anioł, Grond*.

Stockomville – jeden z kilkunastu *linowców* otaczających kiedyś *Warsaw City (Ziemia)*. Znajdował się w dzielnicy *Cotomou*.

Stot – (skrót od *Stay on target*) napędzany generatorem anty-g, wystrzeliwany z *Axela Rana* inteligentny pocisk podążający za celem. Prędkość wylotowa to pięć machów i wzrasta do dziesięciu na dystansie tysiąca metrów. Przy uderzeniu prostopadłym stot przebija dziesięciocentymetrową blachę z błogosławionego *polirexu*. Stot słucha intencji *Rana* i nie tylko zmienia tor lotu i śledzi cel, ale także potrafi się rozdzielić na fragmenty, regulować siłę eksplozji po trafieniu oraz jej skutki – może cel podpalać, zamrażać, paraliżować (cel organiczny) lub unieczynniać (cel mechaniczny).

Stratos Thirii – (gr. *Stratos* – armia, gr. *Thiros* – bestia) *Armia Bestii*. Ogólna nazwa sił, które powstały po zainfekowaniu organików przez cyfrową *Bestię*. Podczas *Wielkiej Przegranej* *Stratos* zainfekował na *Ziemi*

wiele miliardów ludzi oraz wystawił do walki potężną armię droidów i *soulerów*. Złożona taktyka, polegająca na kilkakrotnym wprowadzeniu sił ziemskich w błąd, spowodowała opuszczenie globu przez część ludzkości oraz ucieczkę ponad miliona *Thirów* w kosmos. Stratos zaatakował ponownie podczas *Drugiej Wojny z Thirami*. Patrz też: *Unithirowie*, *Erthirowie*, *Wielka Przegrana*.

Sublotka – patrz: *subquill*.

Subquill – inaczej *sublotka*. Broń biała *Rana* powstała po rozdzieleniu *quilla* na pięć podjednostek. *Subquill* jest mniej wytrzymały niż *quill* i przeznaczony głównie do eliminacji celów organicznych. Ma taką samą autonomię jak *quill*, ale jego maksymalna prędkość, osiągnięta na dystansie czterystu metrów, to jeden mach.

Suspensor plażowy – antygravitacyjny leżak.

Suver – nazwa stworzona przez *Verów* ze słów „super” i „Ver”. Pierwsze populacje *Suwerów* powstały na *Spes* najprawdopodobniej w cyklu dwudziestym pierwszym *EI* wskutek modyfikacji genetycznych ludzi (używano m.in. technologii ziemskiej firmy Yama). *Suwerzy* mieli stanowić skok rozwojowy populacji *Novej*, superżołnierzy, najdoskonalszych *Verów*. Tworzenie *Suwerów* pełne było porażek i przeszkód, ponadto chów dorosłych osobników trwał dłużej, niż przewidywano. Z tego powodu, mimo otrzymania bardzo udanej linii *Dragonoidów*, które jako efekt uboczny większego mózgu wykształciły telepatię, zarzucono plan zbudowania armii *Suwerów* i rozpoczęto produkcję *ariatorów*. Obecnie *Dragonoidy*, *Suwerowie* zwani także *Smokami*, zamieszkują dziewięć planet *WayEmpire* i tworzą niezależną populację *Imperium*. Pozostałe odmiany *Suwerów*, bardzo rzadkie, zamieszkują różne planety *WayEmpire* w niezmienionej formie bądź już jako ludzie, po kuracjach genetycznych. Niektórzy z nich zachowali

specyficzne umiejętności i cechy. Najczęściej słowa „Suver” używa się jako synonimu *Smoka* bądź *Dragonoida*, nie jest to jednak zwyczaj poprawny. *Smoki* to *Dragonoidy*, a termin Suver ma szersze znaczenie.

Syd – patrz: *Sydoh*.

Sydoh – (skrót od Synthetic DNA Based Homo) człowiek stworzony na bazie syntetycznego DNA. Popularnie: *Syd*.

SydRanowie – na początku istnienia *WayEmpire*, gdy odkryto, że *Ranowie*, którzy krzyżują się z *Rankami*, często płodzą potomstwo o silnych zdolnościach parapsychicznych, zaczęto hodować *Ranów* na bazie syntetycznego DNA. Procedurę wprowadzono eksperymentalnie w dziesiątym cyklu *EI*, a do masowej produkcji *Ranów* zastosowano w trzynastym. Wzrost od płodu do organizmu dwudziestocyklowego udało się skrócić do dwóch cykli. W ten sposób powstała populacja *Maodów* i *Maod-Anów* bez matek i ojców, postdiginetów. *Ranów* stworzonych dzięki tej technologii nazwano SydRanami. Wszczepiano im wspomnienia oparte na kodzie randomizacyjnym i dawano wykształcenie. *Prawo Imperialne Młodego Imperium* mówiło, że liczba SydRanów nie może przekroczyć liczby *Ranów* naturalnych (było to tzw. *Prawo Równowagi*). SydRanowie nie mogli mieć potomstwa ani zakładać *Klanów*, chociaż mogli do *Klanów* należeć. Do *Drugiej Wojny z Thirami* byli przydzielani do *Maodionów* losowo. Po przyłączeniu do *WayEmpire Sparty* produkcja SydRanów spadła, a ich rozwój przestał być przyspieszany. Obecnie SydRanowie mogą płodzić potomstwo.

Syndrom Enei – (SE) zespół objawów pojawiających się u *Rana* podczas używania *Eyenetu*: kłopoty z rozumieniem ludzkich dylematów i problemów, zadań i powinności, chęć oderwania się od ciała. Po raz pierwszy zaobserwowany u *Mardoka Enei*. Syndrom Enei spowodował, że *Eyenet* uznano za technologię wysokiego ryzyka, zarezerwowaną do

wyjatkowych akcji.

Szerokość galaktyczna – kąt mierzony na *płaszczyźnie galaktycznej* od 0 do 400 gradusów w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Osią „0” jest linia łącząca Układ Słoneczny z centrum Drogi Mlecznej.

Szpon – *spacemobil Dragonoida*. Szpony przypominają drapieżne ryby lub ptaki, z reguły są bogato zdobione i niezwykle kolorowe. Patrz też: *Smok*.

Świat Arki – *arealna* rzeczywistość zamieszkiwana przez populację stworzoną przez Sergia Lamę. Mieściła się w komputerze zwanym *Arką Lamy* będącym pierwszym *talizmanem*. Podczas *Drugiej Wojny z Thirami* do Świata Arki weszło stu ochotników, którzy zwerbowali mieszkającą tam społeczność do walki ze *Stratos Thirii*. Ochotnicy ci wciąż przebywają w Świecie Arki i stali się *piewszymi Taldami*.

Świat sensoryczny – patrz: *gra*.

Światy równoległe – na temat tych rzeczywistości wiadomo niewiele oprócz tego, że równania matematyczne, teoria multiwszechświata i *teoria macierzy* wskazują, że istnieją. Jak dotąd kontakt ze światami równoległymi można nawiązać jedynie poprzez umysł *Człowieka Bramy*. *Gracz* wkraczający w świat *Człowieka Bramy*, pokonujący usytuowany tam portal, wchodzi w rzeczywistość równoległą. Widzi w niej inne światy i często doświadcza *innej fizyki*. Należy jednak podkreślić, że wszystko, co postrzega, jest interpretacją istniejących tam zjawisk dokonaną przez program *Tsycop*.

Tald – termin powstały ze słów *Talisman Dweller*. *Gamedec* posiadający wydaną przez ImBu licencję na pracę w *talizmanach*. Taldowie nadzorują prawidłowość rozwoju społeczeństw *Myonów*, śledzą talizmanowe przestępstwa i ukrócają swawolę właścicieli oraz hakerów.

Talizman – wkrótce po odkryciu właściwości *Arki Lamy Worplany* *WayEmpire* uruchomiły produkcję ozdobnych klejnotów zawierających

populacje *Weenów* nieskażone naleciałościami kulturowymi ludności *WayEmpire*. Nazwano je talizmanami. ImBu zezwala na wprowadzenie do talizmanu misjonarzy, czyli programów tworzących religię, w której bóstwem jest właściciel kamienia. Wierząc w istnienie boga – właściciela, *Myoni* wzmagają jego sprawczość. Takiemu traktowaniu *Weenów* przeciwstawiają się niektórzy *gamedecy* i *Taldowie*. Uważają oni, że religijne manipulacje są niemoralne. Patrz też: *Świat Arki*.

Tamaoizm – zbitka słów Tao, *Maod-An* i optymizm. Popularny w *Imperium Drogi* prąd filozoficzny kładący nacisk na sprawczość i siłę człowieka. Patrz też: *Księga Słowa*.

Tanto – przestarzałe: lekki egzozskielet *Rana*. *Pancerzy* Tanto przestano używać w dwudziestym piątym cyklu *EI*. Obecnie podstawowym strojem pod *Coremour* jest kombinezon *Yari*. Patrz też: *Poom*.

Tarot Imperialny – *metowy* zbiór siedemdziesięciu ośmiu kart, z reguły przedstawianych jako misterne trójwymiarowe witraże opracowane w kamień i metal, prezentujących typowe dla tarota symbole i znaczenia. Powszechnie używany przez *Ranów* w niepewnych sytuacjach.

Teacup – nazwa *airvilla* należącego do *stada Torkila Aymore'a*. Patrz też: *Bashing*, *Ulisses*.

Technet Wzór X – czterokończynowy *pancerz* inżynierski umożliwiający prace naprawcze w próżni i innych skrajnie niebezpiecznych warunkach. Ma pięćdziesiąt armii mikrobotów naprawczych oraz *AI* mogącą dowodzić *flofami* i *technofraktalami* reperowanych struktur. Patrz też: *MLM*.

Technofraktal – konstrukcyjny fraktal zdolny wygenerować, przy minimalnej ilości materiałów i energii, swoją kopię. Zbiór technofraktali wykształca *inteligencję roju*. Technofraktale mogą być zbudowane z różnych atomów i tworzyć rozmaite materiały. Wykorzystywane są w budowie *frinów*, *Coremourów*, *polirexu*, *gluetronu*, *shapefixu*, *flofów*

i wielu innych powszechnie używanych materiałów i urządzeń. Patrz też: *Coremour, matronika*.

Technokapłan – przestarzałe: *Przed Imperium* i w *Młodym Imperium* kapłan używający *G-Poda* i często połączonego z nim *mnemoprojektora*. W *Wielkim Imperium* technokapłani należą do rzadkości. Z reguły wyznają *Tamaoizm*.

Telekatia – komunikowanie się za pomocą *katomów*. Popularna forma komunikacji w *Młodym Imperium*. Obecnie w dużej mierze wyparta przez *met* i komunikację sieciową. Patrz też: *awatar*.

Teleportacja – bezczasowe przeniesienie obiektu fizycznego na dowolną odległość. Teleportacja pasywna przenosi obiekt w miejsce, gdzie znajduje się inny teleport (np. *O'Tool, Gran'Tool*). Teleportacja aktywna przenosi obiekt do lokacji pozbawionej teleportu. Patrz też: *Charoni, hipok*.

Telesens – popularny tryb komunikacji na odległość. Oprócz zmysłu słuchu, wzroku (stereoskopia) i węchu połączenia telesensyczne umożliwiają także dotykanie osoby, z którą rozmawiamy (dotyk możliwy jest tylko w obrębie *arealnego ekranu*). Patrz też: *met*.

Temporyści – parareligijna organizacja terrorystyczna działająca na początku XXII wieku *PI* na *Ziemi*. Obrała sobie za cel chaotyzację czasową ludzkości we wszystkich aspektach. Na skutek jej działalności (patrz: *Wielki Krach Temporalny*) uszkodzone zostały informatyczne dane kodujące daty i okresy. Temporyści zniszczyli setki tysięcy cmentarzy i pomników, dzieł sztuki i tablic pamiątkowych. Stworzyli tysiące fikcyjnych obiektów opatrzonych datami z przyszłości, które znajdowano nie tylko w miejscach publicznych, ale także w prywatnych mieszkaniach. Oficjalna teoria mówi, że wyhodowali oni i uwolnili wirus *RAC-5* wywołujący chorobę *TRID*, a następnie, wykorzystując jej objawy, zwerbowali przez *sieć* około dziesięciu milionów zwolenników. Atak

informatyczny, setki tysięcy aktów wandalizmu i akcji dezorientujących oraz epidemia spowodowały chaos. Nikt nie wiedział, co się kiedy wydarzyło ani jak długo trwało, a że dane nie były zapisane w formie materialnej (patrz: *Era Informatyczna*), nie było na czym się oprzeć. Większość dat zrekonstruowano na podstawie ocalałych informacji i szczegółowych analiz logicznych, do dzisiaj jednak nie ma pewności, czy odtworzone realia historyczne *Ery Informatycznej* są prawidłowe. Przywódców temporystów nigdy nie schwytano. Większość poszlakowych procesów ich zwolenników umorzono z braku dowodów i na skutek istotnych okoliczności łagodzących.

Teoria macierzy – (inaczej: fizyka macierzy) hipoteza matematyczna twierząca, że stosownie dobrane „słowo” potrafi dotrzeć do macierzy konstruującej naszą rzeczywistość. Teoria ta zasadza się na aksjomacie, że znana nam rzeczywistość ma przyczynę w innej domenie – w „macierzy”. „Słowem” może być forma – plastyczna, geometryczna, werbalna, symboliczna. Dzięki „słowu” można, zgodnie z tą teorią, dokonywać zmian rzeczywistości, które według klasycznej fizyki wymagają niezwykle dużych nakładów energetycznych. Patrz też: *souler*.

Terraformery – z reguły bezzałogowe floty, których zadaniem jest przekształcanie globów znajdujących się w „strefie złotowłosej” (mających optymalne warunki do rozwoju życia białkowego) w planety posiadające atmosferę, oceany, faunę oraz florę. Patrz też: *Pożeracze Światów*.

Terreptor – (popularnie: „reptor”, „ter”, rzadziej „śmieciarz”) przestarzałe: w *Młodym Imperium* zarejestrowany w Gildii Terreptorów człowiek zajmujący się wydobywaniem dóbr z *Ziemi*. Z reguły działa na zlecenie osób prywatnych lub *Reorów*. Po odzyskaniu *Damnaty* u zarania *Wielkiego Imperium* Terreptorzy stracili pracę. Wielu z nich stało się przewodnikami po *Ziemi*, dozorcami rezerwatów dla *Erthirów*. Po nastaniu *Czasów*

Szczęśliwości społeczność Terreptorów rozpięzchła się po całym *WayEmpire*.

Thirowie – inaczej *Bestianie*. Sami siebie nazywali *Verami* (łac. *verus* – prawdziwy). Pod tym pojęciem kryje się zróżnicowana grupa społeczna dzieląca się na *Erthirów* (zamieszkujących w czasach *Młodego Imperium Ziemi*) i *Unithirów* (tych, którzy podczas *Wielkiej Przegranej* uciekli w kosmos, na *Spes*, potem *Spes II* i *Telos*). Przywódcami *Unithirów* byli *Duces Uriel Tamerlan* i *Dunkan Etelwolf*, ludzie o psychice skrzywionej przez cyfrową *Bestię*. Ze względu na terror panujący w *Nowej Unithirowie* nie byli zdolni do twórczego, konstruktywnego myślenia i potrzebowali imperialnych naukowców, których systematycznie porywali z *WayEmpire*. Najwyższą kastą *Unithirów* byli *Nobilites* – niestarzejący się organicy. Kastą niższą byli *ariatorzy* – wojownicy o psychice zjednoczonej z machinami wojennymi. Jeszcze niżej znajdowali się *Suwerzy*, a najniżej kobiety. Głównymi cnotami *Thirów* były Święta Wojna (*Sancta Pugna*), Święta Zemsta (*Sancta Poena*), Święte Podporządkowanie (*Sancta Submissio*) i Święta Obrona (*Sanctum Tutamen*).

Thowk – (skrót od *The One Who Knows*) ten, który wie.

Threen – zwyczajowa nazwa drugiej kopii *Sita*, która żyje równoległym życiem i przesyła do *Maina* i *Twina paki*.

TIO – (*Through ImBu Observation*) funkcja, dzięki której możliwe jest obserwowanie dowolnego fragmentu *WayEmpire* w dowolnym przybliżeniu i pod dowolnym kątem.

Tomo – (starojap. – przyjaciel) synonim słowa *Ran* stosowany wewnątrz *Maodionów*. Patrz też: *Tomonari*, *Wielka Rada Tomonari*, *Mała Rada Tomonari*, *Aristos Imperialis*.

Tomonari – (starojap. – rodząca się przyjaźń) społeczność *Ranów*. Patrz też: *Tomo*, *Mała Rada Tomonari*, *Wielka Rada Tomonari*.

Toppcode – (skrót od Total Population Psyche Controlling Device) przestarzałe: urządzenie, za pomocą którego firma *Mobillenum Przed Imperium* kontrolowała psychikę obywateli *Ziemi*.

Tori – patrz: *Torkil Aymore*.

Torii – (starojap. – brama) dowódca *Ranów*. Patrz też: *Maod-An-Torii*, *Maod-Torii*.

Torkil Aymore – urodzony 14.12.2168 roku *Przed Imperium* na *Ziemi*, we Wrocławiu (Wolna Europa). Skończył studia medyczne (*Warsaw City, Ziemia*), potem zamieszkał w *Cotomou*. Nie pracował jako lekarz. W firmie zabawkarskiej pełnił funkcję mobilnego sprzedawcy. Skłócony z ojcem (patrz: *Baltazar Aymore*), oskarżający go o śmierć matki, zajął się pracą *gamedeca*. Legenda głosi, że jako jedyny człowiek przechytrył *Mistrza Gier, Imperatora Gorgona Nemezjusa Ezrę*, u zarania *Imperium Drogi*. W nagrodę Władca Ludzkości przystał na jego warunki: Torkil, chociaż był *Ranem*, odbywał w *Młodym Imperium* służbę tylko przez jedną trzecią cyklu. W trakcie służby w *Maodionach* zyskał przydomki *Podróżnik* i *Gamedec*. W *Młodym Imperium* założyciel *Klanu* (*Reor Aymore'a*) na *Persefonie*. Partnerki: *Angela Sky* (*Ranka*; córki *Cloe* i *Juliette*, synowie *Rama* i *Gallo*), *Anna Sokolowsky* (córka *Laura*), *Brenda Ray* (*Ranka*; syn *Aquila*), *Pauline Eim* (synowie *Kyle* i *Gabriel*), *Vivien Badalamenti* (*Ranka*; syn *Shiva*). Przez pierwszą dekadę drugiego wieku *EI* zarządzał wraz z *Laurusem Wilehadem Spartą*. Potem *ImBu* nadał mu rangę *Błogosławionego* i *Anioła Śmierci*. Od tej pory podróżował przez *WayEmpire* zgodnie z sugestiami *Imperatora*. Po nastaniu *Czasów Szczęśliwości* za jego *airvillem* utworzyła się jedna z pierwszych *karawan*. Oprócz *Torkila* (zamieszkującego *realium*) istnieją jeszcze dwie jego *kopie*: *Torkil Tald* osiedlony w *Świecie Arki* oraz *Jefferson „Spaceman” Ray*, *Czarny Ran* rezydujący we *Łzie Cheronei*.

Tot – język używany początkowo przez *Ranów* i żołnierzy *Armii Imperialnej*, a potem także cywili *Młodego Imperium*. W *Wielkim Imperium* popularna, znacznie szybsza niż mowa forma komunikacji. Umożliwia przesyłanie precyzyjnych emocjonalno-wyobrażeniowo-intelektualnych komunikatów. Komunikaty totowe są zwane *menami* lub *pakami*, a za przemianę intencji w zrozumiałe dla odbiorców przekazy odpowiada program *Incotrap* będący częścią *sieci*.

Toy Soldiers – patrz: *Skyran*.

Transgravy – ciężkie ziemskie pociągi grawitacyjne wykorzystywane do przewożenia ludności, a potem głównie do transportu towarów. Poruszały się po prostych torach biegnących wewnątrz zbrojonych tuneli próżniowych, nierzadko przecinających płaszc *Ziemi*. Obecnie nieużywane.

Treeshed – patrz: *drzewodom*.

Trend rozwoju i szczerości – popularny w *Młodym Imperium* prąd myślowy kładący nacisk na rozwój osobowości i szczerość.

TRID – (skrót od Time Recognition Impairment Disease) choroba wywołana przez rotawirus *RAC-5*. Spowodowała *Wielki Krach Temporalny*. Ogólnoświatowa epidemia wystąpiła najprawdopodobniej w roku 2120 *Przed Imperium*. Objawami były zaburzenia krótko- i długoterminowej pamięci, trudności z czasowym umiejscowieniem wydarzeń, rzadziej zaburzenia osobowości, paranoidalne zaburzenia zachowania, wyjątkowo psychozy. Epidemii towarzyszyła bardzo wysoka śmiertelność osób powyżej sześćdziesiątego roku życia. Typowo przebiegająca infekcja trwała najprawdopodobniej około *pendeka* (niektóre źródła wskazują, że znacznie dłużej – nawet trzy *pendeki*), nie reagowała na leczenie i ustępowała sama, trwale zaburzając pamięć o przeszłych zdarzeniach, ale nie wpływając na zapamiętywanie nowych.

Tryb kooperacji – popularny wśród *Ranów* sposób walki w *zbroi*. Tryb ten polega na zawiadywaniu *pancerzem* w dwie bądź trzy *kopie* naraz (patrz: *Med*, *Sin* i *Dex*). Zwyczajowo *Med* jest organiczny, a *Dex* i *Sin* spoczywają w *dibekach*, które znajdują się w *sejfach* w odpowiednich slotach *pancerza*.

Tsycop – (skrót od Thought-Symbol Converting Programme, program konwertujący myśli na symbole) program używany obecnie przez *Ludzi Bramy* i *Mistrzów Gier*.

Twierdza Wielkiej Rady Tomonari – próżniowy zamek, którego forma oparta została na regularnym tetraedrze. Orbituje nad Onorią, planetą znajdującą się w układzie Glory (Chwała). Przez wiele cykli Twierdza krążyła wokół *Gai*, ale stan ten zmienił się w osiemdziesiątym piątym cyklu *EI*, kiedy ówczesny Gubernator Onorii, Wysoki Baron *Reoru Rothów Felicio Mazda*, zaproponował *Imperium*, by uznało niepodległość planety. *Imperator* stanowczo się temu sprzeciwił. Gubernator, używając klanowych machinacji, sprowokował demonstracje i zamieszki, w odpowiedzi na co wprowadzono na planecie stan wojenny, a Twierdza została przesłana na jej orbitę. Po dwóch *pendekach* Gubernator ustąpił ze stanowiska, nowy władca obrał politykę proimperialną, stan wojenny się skończył, ale Twierdza *Wielkiej Rady Tomonari* pozostała na orbicie i krążyła tam aż do *Drugiej Wojny z Thirami*, kiedy to odegrała znaczącą rolę podczas ewakuacji *Cheronei*. W *Wielkim Imperium* Twierdza podróżuje głównie wśród nowo zasiedlanych planet *WayEmpire*.

Twin – zwyczajowa nazwa pierwszej *kopii Sita*, która żyje równolegle i przesyła paki swoich przeżyć do *Maina* i *Threena*.

Two Eyes – „dwoje oczu”. Wywiad ziemskiej firmy ubezpieczeniowej *Safe Nations*. Nazwa powstała z gry brzmieniowej. Insurance Intelligence (geng. wywiad ubezpieczeniowy), w skrócie „ii”, można przeczytać jako

„dwa i”, czyli w genglish „two ais”, co brzmi tak samo jak „two eyes” – dwoje oczu. Agentką Two Eyes była Lilith Erenal.

Tytanus Sixtus Orygenes – przywódca *Czarnych Ranów*.

ULM – (skrót od Understanding Little Mind) ziemską firmą produkującą zabawki edukacyjne kładące nacisk na rozwój inteligencji emocjonalnej, motorycznej, wyobraźniowej, komunikacyjnej i intelektualnej. Jedną z nielicznych korporacji, której idee zostały przeniesione na grunt *Imperium Drogi*. Patrz też: *chibot*.

Undevit – (skrót od Under Neck Devitalisation, dewitalizacja poniżej szyi) popularny typ dewitalizacji podczas używania zbroi tak dużych, że zawiadywanie nimi za pomocą kończyn jest utrudnione lub niemożliwe. Jeśli pilot chce zachować przytomność i jednocześnie naturalnie poruszać zbroją, przechodzi undevit: ciało poniżej szyi „śpi”, a głowa – nie.

Ulisses – nazwa *airvilla* należącego do *stada Maria „Nexusa” Taylora*. Patrz też: *Bashing, Teacup*.

Undukila – uniwersalna *dukila* równoważna *dukili gajańskiej*. Patrz dodatek: „Czas gajański”.

Unithirowie – *Thirowie* w kosmosie. Potomkowie tych, którzy podczas *Wielkiej Przegranej* uciekli z Ziemi. Przeciwieństwo prymitywnych *Erthirów*, którzy zostali na macierzystym globie. *Druga Wojna z Thirami* rozegrała się między siłami *WayEmpire* a armią Unithirów.

Upiory – programy obronne używane przez *Ranów* i *pancerniki klasy Invincible*. Zadaniem upiorów jest aktywne skanowanie psychiki otaczających ludzi, kontrolowanie ich stanu i intencji oraz – jeśli zajdzie taka potrzeba – wzbudzanie strachu. *Sieć* wizualizuje upiory jako przerażające dymne mary.

Uriel Tamerlan – jeden z biznesmenów nadzorujących prace hakerów tworzących *Pandorę*. *Dux*, przywódca *Stratos Thirii*. Patrz też: *Archoni*.

Urmolior – bardzo dużych rozmiarów inteligentna maszyna, której zadaniem jest budowanie *polii*.

Vaporìa – planeta założona przez *Shadow Zombies*, którzy uciekli z Ziemi przed *Wielką Przegraną*. Nie należała do *Imperium Drogi* aż do *Drugiej Wojny z Thirami*. W *Młodym Imperium* panował na niej reizm. Większość urzędów nie podlegała tronie, lecz mechanizmowi presowodowemu, hydrowodowemu i pneumowodowemu. Popularnym zasilaniem były silniki wodorowe. W *Wielkim Imperium* Vaporìa zachowała swoją stylistykę, ale skorzystała z większości rozwiązań technologicznych *WayEmpire*. Patrz też: *ekstropianin*.

Vein – używany w *Młodym Imperium* lekki dron bojowy *Armii Imperialnej*. Patrz też: *Hornet*.

Ver – (l.mn. Verowie) tak nazywali siebie *Thirowie*. Wyraz pochodzi od łacińskiego słowa „verus” – prawdziwy. Na skutek intensywnej indoktrynacji stosowanej przez *Duces* Verowie uwierzyli, że podczas *Wielkiej Przegranej* zostali odrzuceni przez *Młode Imperium*. Stali się dziećmi gwiazd, parvastri, nienawidzącymi „demena”, czyli „wroga demokracji” – *Imperatora*. W istocie zostali porwani przez *Kyriosów*, agentów *Stratos Thirii*, i zahipnotyzowani. Główną cnotą Verów była Święta Zemsta (*Sancta Poena*). System indoktrynacyjny *Duces* zakładał wzmaganie poczucia izolacji, zagrożenia i krzywdy oraz intensyfikował zamiłowanie do oręża. Odczłowieczył mieszkańców *Imperium*, którzy byli nazywani robakami lub larwami. Stworzono setki stopni hierarchicznych, które sprzyjały rywalizacji, zazdrości i zawiści, co ułatwiało zarządzanie populacją Verów. Kobiety Verów traktowane były jak niewolnice – służyły głównie do rodzenia dzieci. *Duces*, stwierdziwszy, że płodzenie organicznych Verów zajmuje zbyt dużo czasu, a kobiety z wrodzonym instynktem miłości stanowią zagrożenie, ustawili je najniżej w hierarchii

i sankcjonowali ich zabijanie, rozwój społeczności zaś oparli na *ariatorach*. Patrz też: *Thirowie*, *Suver*.

Via – patrz: *karawana*.

Viar – (skrót od Virtual Reality) termin przestarzały, odpowiednik współczesnego *arealium*.

Vigil – jedna ze specjalizacji soulerskich. *Souler*, który przeczuwa Wzory w światach równoległych.

Villabil – przestarzałe: odmiana luksusowego, morfującego *spacemobila*, który przypomina dom lub zamczysko. Popularny od sześćdziesiątego trzeciego cyklu *EI*, kiedy w podróż po planetach *Imperium Drogi* wybrał się *Han Salamanca*. W cyklach czterdziestych drugiego wieku *villabile* zostały wyparte przez *airville*.

Wakizashi – przestarzałe: standardowy lekki *pancerz Rana*, wkładany tylko w pomieszczeniach *Leża*, używany podczas *Drugiej Wojny z Thirami*. Obecnie wyparty przez kombinezony *Yari*.

Walktel – przestarzałe: używane *Przed Imperium* i na początku *Młodego Imperium* przenośne urządzenie pełniące wszelkie funkcje medialne. Ekran generowany był na zsynchronizowanych z nim okularach bądź soczewkach narogówkowych, w które wszczepiano nadajniki stymulujące ośrodki słuchowe, węchowe oraz dotykowe. Walktele zostały w dużej mierze wyparte przed *Wielką Przegraną* przez *omniki*, a te, na początku *Młodego Imperium*, przez *obicoiny*, które zniknęły po wprowadzeniu w czterdziestym trzecim cyklu *EI* *frinów*.

Warplex – kontrolowany *funplex* o stałym natężeniu stymulujący obszary mózgowo wzmagające skupienie i nagradzające pozytywnymi emocjami akty destrukcji. Stosowany podczas walki u *Ranów* i żołnierzy *Armii Imperialnej*. Patrz też: *warpill*.

Warpill – przestarzałe: tabletki, którą przed walką spożywali *Ranowie*.

Obecnie zastąpiony *warplexem*. Patrz też: *Wielka Przegrana*.

Warsaw City – jedno z głównych ziemskich miast w Europie Środkowo-Wschodniej.

Way Dao – legendarna firma zbrojeniowa, która w czasie *Wielkiego Krachu Temporalnego* (lata dwudzieste XXII wieku *Przed Imperium*) pomogła ludzkości odzyskać orientację czasową. Way Dao przejęło skompromitowaną firmę *Mobillenum* i poświęciło swój majątek na stworzenie *Imperium Drogi*. Jego prezes, *Gorgon Nemezjus Ezra*, stał się *Imperatorem*. Firma Way Dao zlikwidowała opłaty za dane *skoków hiperprzestrzennych*, udostępniła ludzkości darmową technologię zapewniającą nieśmiertelność, zapewniła bezpieczeństwo przed *Stratos Thirii* oraz bezpieczeństwo wewnętrzne, powołując *Besebu*.

WayEmpire – patrz: *Imperium Drogi*.

Weeni – kolokwialna nazwa cyfrowych ludzi zamieszkujących *talizmany*. Wyraz powstał od słowa „we” – my. Inna nazwa Weenów to *Myoni*. Terminy te ukuto podczas pierwszej wyprawy do *Arki Lamy*, gdzie cyfrowa społeczność nie знаła słowa „ja”. Mimo że współczesne społeczności *talizmanów* przeważnie rozumieją pojęcie „ja”, dla odróżnienia od *Sitów z realium* wciąż nazywa się ich Weenami bądź *Myonami*.

Whale – 1. Przeszarżałe: transportowiec *Armii Imperialnej* używany podczas *Drugiej Wojny z Thirami*. 2. Popularna nazwa obcej rasy zwanej też *Eiffle’ami*. Whale pojawiły się w Drodze Mlecznej, w Ramieniu Krzyża, w sto sześćdziesiątym drugim cyklu *EI*. Ich odkrywcą był Pionier Rodney Duval. Do dzisiaj nie udało się z nimi nawiązać kontaktu. Patrz też: *Skullhead, Dragonforce, Spellforce, Hate, Longbone, Owl*.

Widevision – opcja biooptyczna poprawiająca widzenie peryferyjne. Standardowe wyposażenie *frina*.

Widzący – popularne, pełne szacunku określenie *Czarnych Ranów*. Patrz też: *Opętani*.

Wielka Przegrana – wynik pierwszego starcia sił ziemskich z *Thirami* zakończono wygraną *Thirów* i wygnaniem ludzi z ojczystej planety. Wielka Przegrana rozpoczęła się zniszczeniem byłych stolic (osiemdziesiąt trzy miasta) przez dywersyjne siły *Stratos Thirii*, które, najprawdopodobniej używając technik hipnotycznych i substancji wywołujących modyfikacje genetyczne, uzyskały władzę nad rzeszami ludzi zamieszkujących niższe warstwy ziemskich *polii*. Standardowe armie były zbyt małe, by poradzić sobie z przeważającymi siłami cywilnych przeciwników, nie umiały też walczyć z *soulerami* wroga. *Armia Bestii* zniszczyła na wielu odcinkach bariery *ABB* i chemicznie skaziła faunę, powodując jej nienaturalnie agresywne zachowania. Pod koniec starć uszkodziła pompy regulujące *Golfstrom* i rozbiła lodowiec grenlandzki, co spowodowało anomalie pogodowe. Broniąca się ludzkość skupiła siły nad siedmioma portami kosmicznymi, w czym pomogły oddziały *Way Dao* i świeżo utworzone szeregi *Ranów*. Nad portami rozegrały się wielkie bitwy (patrz: *Si-Han*). *Stratos Thirii*, zaopatrzone w armie dronów oraz rosnące zastępy odmienionych ludzi, zyskał panowanie nad wielkimi obszarami *Ziemi*. W ciągu kilku *dukil* ewakuowano miliony obywateli. Przetrwało około trzech miliardów ludzi. Patrz też: *Ziemia, Mobillenum, Erthirowie*.

Wielka Rada Tomonari – organ dowódczy wszystkich *Maodionów*. Wielką Radę Tomonari tworzą *RanaR* oraz *Ran-Torii* pozostałych *Maodionów*. Patrz też: *Tomo, Tomonari*.

Wielki Krach Temporalny – wywołany przez *temporystów* największy kryzys informacyjny w historii ludzkości. Nastąpił najprawdopodobniej w latach dwudziestych XXII wieku *Przed Imperium*, na *Ziemi*. W jego

wyniku populacja ludzka straciła orientację czasową – zniszczenie datujących danych informatycznych oraz choroba *TRID* spowodowały paraliż wszystkich dziedzin ludzkiej działalności. Stały fabryki, elektrownie, firmy usługowe, domy maklerskie, banki. Przed chaosem nie obroniły się armie, stacje kosmiczne i kompleksy oceaniczne. W wielu krajach doszło do zamieszek i krwawych konfrontacji, powszechne były akty przemocy i wandalizmu. Po krachu trzeba było odtwarzać na podstawie zniekształconych danych siedemdziesiąt lat ludzkiej historii. Nieocenioną pomoc okazały wówczas programy rekonstrukcyjne chińskiej firmy informatycznej Tao, które ostatecznie ustaliły, że jest rok 2120. Wielkiemu Krachowi Temporalnemu przypisuje się znaczącą rolę w powstaniu *Ery Odnowy*.

Wielkie Imperium – Era *Imperium*, którą rozpoczęła *Druga Wojna z Thirami*. Trwa do dziś. Ważną datą jest cykl 150, gdy nastąpiły *Czasy Szczęśliwości*. Patrz też: *Młode Imperium*, *Przed Imperium*.

Wielkie Zło – czyn, za który ImBu ześle sprawcę na *Sofię*.

Wieża kotwiczna – w obecnych czasach najpopularniejszą formą siedziby ludzkiej jest *airvill*, latające domostwo. *Airville* zamieszkują nawet *Grondzi*. Wieże kotwiczne to istniejące w każdej *polii WayEmpire* wielkie budowle, które oferują *gniazda kotwiczne*. Dzięki nim *airvill* może się przyczepić i pozostać tam tak długo, jak uznają za stosowne właściciele domostwa.

Willanou – (dawn. Wilanów) bogata dzielnica *Warsaw City*.

Wizualizacja – patrz: *Imp*.

Władca Kretów – patrz: *Pożeracze Światów*.

Wolna Wola – podstawowy koncept *Prawa Imperialnego* stanowiący, że *Sitizensi WayEmpire* są wolni i odpowiedzialni za swoje czyny. W *Imperium Tao* nie ma nakazów, zakazów, przepisów określających, co

wolno, a czego nie wolno. Wszystko jest sterowane poczuciem moralności obywateli. Koncept ten dobrze rozumieją młodzi obywatele, natomiast starsi, zwłaszcza *Ziemiańskie*, z dużym oporem akceptują nową ideę samostanowienia. Patrz też: *Wielkie Zło*.

Worplan – (skrót od geng. World – świat i geng. Plant – fabryka) Świat Fabryka. Planeta zaopatrzona w pierścień kruszców, zajmująca się produkcją dóbr dla *Imperium Tao* oraz wysyłaniem ich drogą teleportacyjną, głównie do *O'Tooli* i *Gran'Tooli*. Patrz też: *Pożeracze Światów*, *Charoni*.

WWW – Wielka Wirtualna Wojna, medialna nazwa walk z cyfrową *Bestią*, które rozgrywały się w sieci na Ziemi przed nastaniem *Imperium Drogi*.

Wysokość galaktyczna – kąt, pod jakim dany obiekt znajduje się w stosunku do płaszczyzny galaktycznej, mierzony prostopadle do tej płaszczyzny. Powyżej płaszczyzny galaktycznej jest dodatni, a poniżej ujemny.

Wzór – tak *Ranowie* określają optymalny przebieg wydarzeń w wybranym wszechświecie równoległym. Patrz też: *Eyenet*.

Yari – kombinezon *Rana* wkładany pod pancerz *Coremour Wzór X*. Patrz też: *Poom*.

Yotta – największy imperialny cywilny statek transportowy *Młodego Imperium*. W dobie powszechnych skoków hiperprzestrzennych i teleportacji koncept statków transportowych przeszedł do historii. Patrz też: *MLM*, *EAH*.

Zbroja – patrz też: *pancerz*. Już w setnym cyklu *EI* noszenie zbroi było niezwykle popularne. Po upowszechnieniu się technologii *technofraktalnej* zbroje stały się elastyczne i wygodne, dawały poczucie komfortu i bezpieczeństwa. Wprowadzenie mody na *Soary* wywołało *Trend rozwoju i szczerości*. W *Wielkim Imperium* zbroją jest nawet takie ubranie, które na pierwszy rzut oka wydaje się lekkie i przewiewne. Patrz też: *hipok*,

Coremour, Czempion, Skymour.

Ziemia – (także: *Damnata*) kolebka ludzkości, planeta położona w Układzie Słonecznym, w ostatnich latach *Przed Imperium* zamieszkała przez dwadzieścia miliardów ludzi. Utracona wskutek wielkiej ofensywy *Stratos Thirii* (patrz: *Wielka Przegrana*). Z globu uratowały się trzy miliardy *Ziemi* i zasiedliły *Gaję*. W *Młodym Imperium* Ziemię otoczono dwudziestoma pięcioma pierścieniami *Ecoris*, na których stacjonowały oddziały Bractwa Besebu. *Damnate* zamieszkiwało około siedemnastu miliardów *Erthirów*. Klimat i biosfera *Ziemi* były wtedy wysoce niebezpieczne. Obecnie kolebka ludzkości jest zamieniona w wielkie muzeum różnych okresów rozwoju ludzkości i walk z *Thirami* oraz rezerwat *Erthirów*, których liczebność zmniejszyła się do jedenastu miliardów. Ze względu na zakaz osiedlania się na *Damnacie* wokół globu powstał pierwszy *Raj*. Patrz też: *Terreptor*.

Ziemiainin – *Sit*, który urodził się na *Ziemi*.

Znamiona HS – patrz: *artefakty HS*.

Zoenet – przestarzałe: *cyberduch*. Popularny *Przed Imperium* termin określający osobę istniejącą tylko w *sieci* i *światach sensorycznych*. Psychika przebywała w mózgu/*dibeku* zawieszonym w *netombie* bądź *motombie*. W *Wielkim Imperium*, ze względu na wszechobecność *sieci* i *metu*, pojęcie to straciło zastosowanie. Patrz też: *dimen*.

Zoenet Labs – nieistniejąca już ziemską firmą z siedzibą w Teksasie, w Wolnych Stanach Ameryk, zrzeszająca *zoenetów*.

Żywy Święty – ranga nadana przez ImBu po *Drugiej Wojnie z Thirami* tylko jednemu *Ranowi*, *Felixowi Duranowi*, za bohaterską obronę *Yotty* o nazwie *Archimedes*. Znakiem Żywego Świętego jest aureola wokół głowy przecięta świetlistym krzyżem. Patrz też: *Anioł Śmierci*, *Błogosławiony*.

Czas gajański (uniwersalny)

1 cykl = 10 pendeków = 507,5 dnia = 1 rok i 142,5 dnia

1 pendek = 5 deków = 1218 godzin = 50,75 dnia

1 dek = 10 dukil = 243,6 godziny = 10 dób i 3,6 godziny

1 dukila = 24 godziny, 22 minuty i 30 sekund

1 hekta = 73,125 minuty

1 mona = 43,875 sekundy

1 cetnia = 0,43875 sekundy

Pendeki

Primus

Secundus

Tertius

Quartus

Quintus

Sextus

Septimus

Octus

Nanus

Decimus

Dni w deku

Poniedziałek

Wtorek

Środa

Czwartek (kiedyś: midweek)

Piątek

Szóstek

Siódmek

Ósmek (weekend)

Sobota (weekend)

Niedziela (weekend)

RanStone

1. *Ran nieustannie sprawdza stan swojego umysłu.*
2. *Psyche Rana jest jego bronią.*
3. *Ran nie kieruje się rachunkiem prawdopodobieństwa.*
4. *Ran nastawia wewnętrzne ucho na ścieżki przeznaczenia.*
5. *Jeśli Ran przeczuwa śmierć, nie wystawia się na jej wpływ. Nie daje w ten sposób powodów do radości swoim przeciwnikom.*
6. *Ran nie czyni niczego bez odpowiedniego przygotowania mentalnego.*
7. *W polu uwagi Rana nieustannie tkwią wewnętrzny Dzikus, Demon i Anioł.*
8. *W polu uwagi Rana nieustannie pozostaje on sam jako dziecko i on sam jako starzec.*
9. *Stan umysłu Rana jest determinowany przez jego czucie rzeczywistości, nie zaś jej rozumienie czy postrzeganie.*
10. *Ran nie patrzy, nie słyszy, nie wącha, lecz czuje – sprowadzając zmysły do pierwotnej postaci.*

Ważne planety WayEmpire

1. **Gaja** – stolica WayEmpire, centrum Macierzy.
2. **Sparta** – centrum Rubieży WayEmpire.
3. **Nomoria** – planeta poligon krążąca wokół czerwonego karła. Lokalizacja utajniona.
4. **Sofia** – górzysta planeta, ze względu na bardzo dużą liczbę mutacji zamieniona w planetę więzienną.

Spis treści

Gamedec. Obrazki z Imperium. Część 2

Panorama 4. Sprawy rodzinne

Obraz 1. Miecz Pauli

Obraz 2. Pałac króla

Obraz 3. Zgrupowanie A1

Obraz 4. Król

Obraz 5. Czerwona planeta

Obraz 6. Na obcej ziemi

Obraz 7. Integracja

Obraz 8. Enkidu

Panorama 5. Karta Świat

Obraz 1. Strażnik

Obraz 2. Nowe drogi

[Epilog](#)

[Archiwa](#)

[Słownik/spis postaci](#)

[Czas gajański \(uniwersalny\)](#)

[Pendeki](#)

[Dni w deku](#)

[RanStone](#)

[Ważne planety WayEmpire](#)

[Spis treści](#)

[Strona redakcyjna](#)

Text copyright © by Marcin Sergiusz Przybyłek 2015
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by
REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2015

Informacja o zabezpieczeniach:

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation
(<https://fedorahosted.org/liberation-fonts/>)

Redaktor: Błażej Kemnitz

Projekt, opracowanie graficzne okładki oraz ilustracja na okładce: Tomasz Maroński

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Gamedec. Obrazki z Imperium. Część 2, wyd. I, Poznań 2015)

ISBN 978-83-7818-948-0

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

e-Book: Sławomir Folkman / www.kaladan.pl